



CZAS I LUDZIE

Lea Aschkenas

# To właśnie Kuba

Życie i miłość  
na gorącej  
wyspie  
beprawia

VIDEOGRAF

**Lea Aschkenas**

# **To właśnie Kuba**

*Życie i miłość na gorącej wyspie bezprawia*

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'MAS' in a bold, cursive font.

## **Prolog**

Nie znalazłabym się na Kubie, gdyby w Ekwadorze nie wybuchł wulkan.

Porzuciwszy niedawno pracę reporterki w jednej z amerykańskich gazet, zapragnęłam zwiedzić trochę świata. Jeden z moich przyjaciół, który właśnie wrócił z Ekwadoru, zachwyił się tam małym miasteczkiem na południu kraju. Postanowiłam więc zapisać się do tamtejszej szkoły języka hiszpańskiego i zorganizowałam sobie zakwaterowanie przy miejscowej rodzinie.

To było w listopadzie 1999 roku. Wkrótce potem, kiedy już wszystko zaplanowałam, w Ekwadorze wybuchły nagle dwa wulkany, wyrzucając w powietrze słupy rozgrzanej lawy i popiołu. Lotnisko w Quito zostało zamknięte, ewakuowano również mieszkańców kilkunastu miasteczek położonych najbliżej wulkanów.

W tym samym czasie, choć nieco dalej, miało miejsce inne wydarzenie, które przykuło moją uwagę i podsunęło nowy pomysł na kolejną podróż.

Nieprawdą byłoby, gdybym napisała, że na Kubę wybrałam się wyłącznie z powodu Eliana Gonzalesa, małego chłopca, którego morze wyrzuciło na plażę w Miami na Florydzie, niczym pielgrzyma naszych czasów przybywającego na Święto Dziękczynienia. Jednak cały ten rozdmuchany przez media kryzys, który narósł wokół tego wydarzenia, zwrócił moją - podobnie jak tysiący Amerykanów - uwagę na Kubę, rozbudzając przy tym patriotyczne emocje. Historia Eliana Gonzalesa przypomniła mi, że niecałe 150 kilometrów od południowego krańca Florydy znajduje się państwo, które pod względem politycznym i ideologicznym dzieli od Stanów Zjednoczonych przepaść. Kuba wydawała mi się bardziej odległa niż wszystkie miejsca na świecie, w których do tej pory byłam. Pozostawała jedynym komunistycznym krajem na całej półkuli zachodniej i jednym z ostatnich na kuli ziemskiej, a rządzący nią prezydent od śmierci króla Jordanii, Husajna w 1999 roku był najdłużej sprawującym władzę dyktatorem we współczesnym świecie.

Jednak na tym kończyła się moja wiedza na temat Kuby. Urodziłam się w roku 1973, tym samym, w którym Fulgencio Batista, symbol świetności kapitalistycznej Kuby, zmarł na emigracji w Hiszpanii, zabierając do grobu 300 milionów dolarów, które zdążył wywieźć z ojczyznoego kraju. Od nałożenia embarga turystycznego i handlowego na Kubę przez Stany Zjednoczone minęło 13 lat, od inwazji w Zatoce Świń - 12, a od tzw. kryzysu kubańskiego (spowodowanego rozmieszczeniem przez Związek Radziecki na Kubie pocisków rakietowych średniego zasięgu, bezpośrednio zagrażających terytorium USA - przyp. tłum.), który nieomal skończył się wojną światową - przeszło 10 lat.

W 1980 roku, gdy z kubańskiego portu Mariel uciekło do USA w sumie ponad 100 tysięcy imigrantów, byłam za młoda, żeby interesować się losami świata. W 1996 roku, kiedy na mocy Traktatu Helmsa-Burtona nastąpiło dalsze zaostrzenie sankcji politycznych i gospodarczych nałożonych na Kubę, pracowałam w jednej z gazet wydawanych w Ameryce Środkowej, zatopiona w politycznej traumie, jaka udzielała się całemu regionowi. Sprawa Eliána Gonzálesa była pierwszą ważną informacją z Kuby, jaką usłyszałam w swoim - wówczas 26-let-nim - życiu. Wcześniej Kuba była w mojej świadomości skąpym kolażem nieokreślonych obrazów. Z krajem tym kojarzyły mi się dwa hasła: „Fidel Castro” oraz „inwazja w Zatoce Świń” - z popularnej w latach 80. piosenki Billy’ego Joela We didn’t start the fire. Kuba przywodziła na myśl słodki alkoholowy drink o konsystencji syropu, będący mieszanką rumu z colą - Cuba libre. Kuba - tak nazywał się zespół starych czarnoskórych facetów w cylindrach i garniturach, grających na saksofonach i śpiewających piosenki o miłości. Kuba była zakazanym lądem, chociaż nie bardzo wiedziałam, dlaczego.

Niestety, nie byłam odosobniona w swojej indolencji. Kiedy przed pierwszym wyjazdem na wyspę poszłam do międzynarodowej kliniki dla turystów, żeby się zaszczepić, technik laboratoryjny spytał: - Kuba to gdzieś w Ameryce Południowej, prawda?

Jeden z moich przyjaciół poprosił, bym mu przywiozła zdjęcie Fidela Castro. - Jeśli ci się nie uda - powiedział ze śmiechem - zrób sobie przynajmniej zdjęcie na tle jednego z jego pomników.

W odróżnieniu od stalinowskiej Rosji, na Kubie nigdy nie było zwyczaju stawiania pomników swojemu przywódcy. Skąd zatem mój znajomy miał takie informacje? Na pewno nie z współczesnych fotografii, których autorom - nawet tym najbardziej niezłomnym - nie udałooby się znaleźć na całej Kubie choćby jednego pomnika, budynku czy miasta nazwanego imieniem Fidela Castro.

Powszechny brak wiedzy w społeczeństwie na temat Kuby udzielił się również poczytnemu magazynowi „New Yorker”, który 26 stycznia 1998 roku na okładce specjalnego wydania pisma zamieścił zadowolonego z siebie Fidela z wielkim cygarem w dłoni. Dyktator, siedzący na białym piasku pod łagodnie kołyszącą się palmą, otoczony karaibskim beżmiarem, wydawał się symbolizować wszystko, co kojarzy się z Kubą. Poza jednym „drobnym” szczegółem. Wszyscy Kubańczycy wiedzieli, że Castro przestał palić już na początku lat 80., ustanawiając na pamiątkę tego wydarzenia Narodowy Dzień Bez Papierosa.

Mieszkańcy USA i amerykańskie media padają ofiarą dezinformacji, której przyczyną jest embargo, polegające nie tylko na blokadzie dostępu do żywności i leków, ale także - czy raczej przede wszystkim - blokadzie informacji.

Chociaż mam nadzieję, że moja książka pomoże w pewnym stopniu przełamać mur milczenia, nie zamierzam skupiać się na polityce wewnętrznej wyspy. Kłamstwem jednak byłoby twierdzenie, że całkowicie się od niej odcinam. Będąc Amerykaninem, nie sposób rozmawiać o Kubie, a co dopiero jechać tam, być świadkiem wszystkich zakazów oraz innych ograniczeń, twierdząc przy tym, że polityka nie ma tu nic do rzeczy.

Moja książka jest historią o zmieniającej się Kubie, stojącej w rozkroku między komunizmem a kapitalizmem. To opowieść o romansie z krajem i jednym z jego companeros. Wreszcie jest to zapis osobistego spojrzenia na politykę i jej konfrontacji z niezmienną siłą historii.

W języku hiszpańskim słowo *revolución* jest rodzaju żeńskiego. Wśród wielu obietnic towarzyszących Rewolucji na Kubie była i ta mówiąca o lepszych perspektywach dla jej obywateli. Będąc na Kubie, miałam okazję rozmawiać z tamtejszymi kobietami o sprawach, którymi nie wolno było im się dzielić z obcymi. Wiele z tych kobiet opowiedziało mi o sukcesach i porażkach Rewolucji - dzięki temu miałam okazję prześledzić życie na wyspie oczami trzech pokoleń Kubanek, z którymi mieszkałam w Hawanie. Jedną z nich była staruszka, która blisko połowę swojego życia przeżyła w czasach przed Rewolucją. W domu mieszkała także jej córka, która weszła w dorosłość wraz z nastaniem Rewolucji, oraz wnuczka w wieku 24 lat, będąca świadkiem rozpadu światowego bloku komunistycznego i towarzyszącego mu kryzysu ekonomicznego na Kubie.

Do tego, rzecz jasna, dochodzi moja osobista historia o Kubie - historia amerykańskiej kobiety, która zakochała się i wyszła za mąż za Kubańczyka. Spotkałam go w pierwszym tygodniu mojego pobytu w Hawanie i razem podróżowaliśmy po całej wyspie. Widziałam Kubę jego i moimi oczami. Podróżując, oboje byliśmy tam w pewnym sensie obcymi. Alfredo miał wówczas 26 lat, nigdy wcześniej nie opuścił Hawany i problemy, jakie napotkaliśmy po drodze jako amerykańsko-kubańska para, jeszcze bardziej unaocniły zarówno ułomność kubańskiego przemysłu turystycznego, jak i niezwykle, niemal surrealistyczną sytuację współczesnej Kuby.

Akcja książki rozgrywa się w ciągu dziesięciu miesięcy, podczas dwóch moich pobytów na wyspie. Od lutego do listopada 2000 roku moje życie kręciło się wokół Kuby. W trakcie pierwszej podróży, kiedy nie miałam dostępu do internetu i byłam skazana jedynie na tradycyjną pocztę, za pośrednictwem której dostarczenie zwykłego listu do Stanów Zjednoczonych trwało prawie trzy miesiące, szybko straciłam kontakt z większością moich przyjaciół. Ponieważ kilkakrotnie przekładałam datę powrotu do kraju, spóźniłam się na zjazd absolwentów mojego rocznika z okazji pięciolecia zakończenia studiów. Dowiedziałam się

później od jednej z koleżanek, że gdy pozostali pytali o przyczynę mojej nieobecności, ktoś zażartował, że gdy USA oddadzą Eliána, Fidel zwróci Leę.

Za każdym razem, gdy wracałam do domu, czułam, że część mnie zostaje na Kubie. Wciąż o niej mówiłam, zbierałam wycinki z gazet i pisałam na jej temat. Pomagałam znajomym i obcym zaplanować podróż na Kubę, wręczając im przy okazji listy i drobne upominki dla moich przyjaciół na wyspie. Robiłam też własne plany, zastanawiając się, co będzie, kiedy już uda mi się odłożyć pieniądze na bilet i polecieć na Kubę. Wiele osób pytało mnie, dlaczego po prostu nie znajdę sobie pracy tam, na miejscu. Jednak to nie takie proste, biorąc pod uwagę, że byłam cudzoziemką w socjalistycznym państwie, w którym średnia miesięczna płaca wynosi około 12 dolarów.

Moje życie w trakcie tych dziesięciu miesięcy przypominało samą Kubę - unosiłam się na bezkresnym oceanie dzielącym dwa państwa, z których każde było przeciwieństwem drugiego, i które najwyraźniej czerpały tak dużą radość z wzajemnej nienawiści, że momentami wydawały się ze sobą nierozzerwalnie związane.

W Stanach ludzie zawsze pytali mnie o kluby salsa, cygara marki Santería, stare amerykańskie samochody i Eliána Gon-zálesa. Nagabywali mnie także o opinie na temat biedy panującej na wyspie, rychłej śmierci Fidela oraz muzyki Buena Vista Social Club.

Jednak podstawowym pytaniem, które słyszałam, było zawsze: dlaczego Kuba? Wielu nie dawało wiary historii z wulkanem w Ekwadorze. A przecież życie lubi płatać figle. Poza tym uważam, że tak naprawdę jedynym istotnym pytaniem w tym wszystkim było: dlaczego spędziłam tyle czasu na Kubie podczas mojej pierwszej wizyty i co sprawiło, że wróciłam tam po raz drugi? O tym właśnie jest ta książka.

## Rozdział I

Es Cuba

Pierwszym słowem, jakiego nauczyłam się na Kubie, było sobornar - dawać łapówkę.

Był niedzielny wieczór w środku lutego. Zaczynał się właśnie drugi tydzień mojego pobytu na wyspie, a ja czekałam na wejście do parku lodowego Coppelia, jednego z najpopularniejszych miejsc spotkań hawańskiej młodzieży, które równie chętnie odwiedzały nastolatki, co ludzie starsi. Niezależnie od pory dnia czy roku kolejka do wejścia wiła się między dwiema przecznicami, okrążała je i zawijała się z powrotem niczym wąż pozerający swój ogon na rogu ulic L i 23.

Stałam na 23. ulicy, wciśnięta między sygnalizację świetlną i ogromny billboard z wizerunkiem Eliána Gonzáleza. Będący na ustach wszystkich mały chłopiec, nieco zdezorientowany, spozierał zza ogrodzenia z drutu kolczastego. Całości dopełniał czerwony napis pod spodem: DEVUELVAN NUESTRO NINO (Oddajcie nam nasze dziecko). Powietrze gęstniało od wilgoci, a moja cierpliwość powoli się kończyła.

Przyszłam tutaj z Alfredem, moim przyjacielem, ponad godzinę temu. Teraz zniknął w tłumie kłębiącym się pod bramą Coppelii, szukając jakiegoś sposobu, żeby wejść do środka bez kolejki. Piętnaście minut po tym, jak zostawił mnie zastanawiającą się nad trudnym położeniem Eliána, wrócił do kolejki z tajemniczym błyskiem w oku.

- Masz dolara? - spytał miękko, ściszonego głosem, niemal szeptem. - Fula - dodał, wtrącając slangowe określenie, które oznaczało zarówno przymiotnik „głupia”, jak i amerykańską walutę.

Po przyjeździe na Kubę szybko zdałam sobie sprawę z trzech obowiązujących tutaj równoległe walut. Pierwszą z nich było kubańskie peso, drugą amerykański dolar, a trzecią coś, co nazywało się „wymiernym peso”, a w rzeczywistości było ekwiwalentem dolara. Jak nietrudno się domyślić, peso wymienne zastępowało z powodzeniem obydwie waluty. Gdy jednak chodziło o łapówkę, prawdziwy dolar nie miał sobie równych.

Alfredo złapał mnie za rękę i ruszyliśmy wzdłuż szpaleru Kubańczyków wachlujących się cienkimi papierowymi rożkami, zwanymi maniseros, do których sprzedawcy orzeszków ziemnych pakowali swój towar. Zatrzymaliśmy się dopiero na początku kolejki przed pilnującym bramy policjantem. Miał na sobie tradycyjny beret i cienkie wąsiki, przypominające myślniki w tekście. Kiedy Alfredo skinął głową w moją stronę, wręczyłam policjantowi dolara. Ten odsunął się na bok, przepuszczając nas do wnętrza popularnego

dwupiętrowego salonu z lodami, w którym unosił się słodki zapach kokosa, czekolady i pysznych zimnych lodów.

Muszę przyznać, że dla Alfreda ten triumf miał nieco gorzki posmak. Za kilka kolejnych dolarów mogliśmy natychmiast kupić dowolne lody w jednym z walutowych stoisk, przy których cudzoziemcy i szczęśliwi posiadacze amerykańskiej waluty w ciągu kilku minut zamawiali i zjadali następne porcje lodów, budząc zazdrość pozostałych.

Mimo iż byłam na Kubie zaledwie od tygodnia, ta scena wydawała mi się już znajoma. Pamiętam, jak któregoś dnia przemierzałam ulice Hawany turystycznym klimatyzowanym autokarem i w pewnym momencie zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle tuż obok camello, wypchanego po brzegi, pokraccznego autobusu komunikacji miejskiej, którym podróżowali ściśnięci jak sardynki, ociekający potem Kubańczycy. Kiedy przewodnik mówił coś do mikrofonu, wskazując palcem szpital i szkołę podstawową, widziałam zamazane twarze mieszkańców Hawany, zagląające z zazdrością przez brudne szyby camello do przestronnego wnętrza mojego autobusu.

Nigdy nie planowałam zwiedzania Kuby zza szyb turystycznego autobusu. Przyjechałam tutaj na miesięczny kurs językowy, organizowany przez Global Exchange, organizację pożytku publicznego z siedzibą w San Francisco. Inni uczestnicy programu, z którymi rozmawiałam wcześniej, opowiadali mi o wrażeniach, jakich doznali w camello, i o życiu wśród kubańskich rodzin. Gdy jednak dotarłam na miejsce, opiekun mojego programu, z którym spotkaliśmy się w holu hawańskiego Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Jose Martiego - nazwanego tak na cześć XIX-wiecznego poety, który zginął, walcząc za ojczyznę z Hiszpanami - poinformował nas, że Global Exchange współpracuje teraz bezpośrednio z jednym z kubańskich biur podróży. Chwilę potem zapakowano nas do turystycznego autokaru i wywieziono do luksusowego hotelu w ekskluzywnej dzielnicy na przedmieściach Hawany.

Alfreda poznałam trzeciej nocy na wyspie. Wciąż nie mogłam otrząsnąć się z kulturowego szoku, jaki wywołał we mnie kontrast pomiędzy snobistycznym hotelem, w którym byliśmy zakwaterowani, a resztą Kuby - z rozpadającymi się domami, ulicami tętniącymi życiem i trudną do sprecyzowania tęsknotą, czy może raczej nadzieją. Był nietypowy jak na hawańskie warunki, chłodny wieczór. Alfredo miał na sobie za dużą białą bluzę i szare spodnie, wytarte na kolanach i noszące ślady licznych przeróbek. Włosy miał schludnie upięte w długie spiralne dredy, przypominające nieco fryzurę Tracy Chapman. Lekko pochylony, kopał jakiś przedmiot leżący na chodniku, gdy nagle podniósł nerwowo wzrok, wprawiając mnie w zakłopotanie swoją bezpretensjonalną urodą i wielkimi jak u sarny



oczyrna, którymi przeszywał mnie, kiedy zbliżałam się w towarzystwie mojej przyjaciółki Heather oraz kolegi Alfreda, Gerarda.

Heather również brała udział w programie i poznała Gerarda w klubie salsy już pierwszej nocy w Hawanie. Tego wieczoru zaprosiła mnie, byśmy wybrali się w trójkę na spacer, ale kiedy Gerardo przyszedł po nas do hotelu El Bosque, w którym mieszkaliśmy, powiedział, że przyprowadził ze sobą kolegę.

- Czeka na przystanku autobusowym - dodał. Pamiętam, że najpierw cała ta sytuacja wydała mi się śmieszna, szybko jednak zdałam sobie sprawę, jak to wyglądało z perspektywy Alfreda. Z jednej strony był dumnym Kubańczykiem, z drugiej - ofiarą panującego na wyspie „turystycznego apartheidu”, w którym mieszkańcom wyspy nie wolno było zbliżać się do określonych hoteli, a cudzoziemcy często cieszyli się większą swobodą niż rodowici hawańczycy. Alfredo nie mógł brać pełnego udziału w życiu towarzyskim swojego kraju, ale nie chciał też stać z boku i przyglądać się biernie. Po prostu nie był nim zainteresowany.

Tej nocy, kiedy Alfredo, ja, Heather i Gerardo spacerowaliśmy po wybrukowanych uliczkach turystycznej dzielnicy Starej Hawany - Habana Vieja, zatrzymał nas jednoosobowy patrol policji, który zażądał od naszych towarzyszy okazania dowodów osobistych.

Oficer, mulato w błękitnym berecie, stanął na rogu ulicy z dowodami w ręku i wywołał kogoś przez krótkofalówkę. Panowała niczym niezmacona cisza, nie licząc odległych dźwięków salsy, dochodzących z Plaza de Armas, który przed chwilą mijaliśmy.

Zanim zjawił się policjant, kupiliśmy butelkę rumu Guayab-ita del Pinar. Zamierzaliśmy usiąść na Malecónie, nadmorskiej promenadzie, napić się i pogadać. Alfredo otworzył butelkę i wylał kilka kropel rumu na chodnik.

- To dla prześlągania Elegguy, boga afrokubańskiej religii - wyjaśnił nam Gerardo.

Czekając, aż policjant skończy rozmawiać, obserwowałam kroplę gęstego rumu spływającą po prawym kciuku Alfreda. Podobały mi się jego palce - długie i szczupłe, prawie delikatne.

Po chwili policjant wrócił i nadal trzymając dowody w ręku, zwrócił się do mnie i Heather:

- Pragnę panie przestrzec przed większością tutejszych młodych mężczyzn - powiedział. - Oni wykorzystują cudzoziemki dla ich ciał i pieniędzy. To jineteros.

Słowo jinetero, w wolnym tłumaczeniu oznaczające alfonsa, słyszałam na Kubie niemal codziennie. Pojawiło się ono jednak dopiero po zalegalizowaniu w 1993 roku waluty amerykańskiej. Myślałam, że Alfredo i jego kompan zareagują jakoś na oskarżenia ze strony policjanta, ale milczeli, wpatrując się w ziemię bez ruchu. Heather spojrzała na mnie

znacząco.

- To tylko pokaz siły - powiedział później Alfredo, kiedy już znaleźliśmy się na Malecónie. - Zazwyczaj nic ci nie grozi.

Siedzieliśmy, spoglądając w dół na ocean. Fale kłębiły się w małych zatoczkach, utworzonych przez rafę koralową i wyrzucone puszkami po piwie Cristal. Podczas gdy Heather i Gerardo kreślili w powietrzu znaki, próbując porozumieć się bez użycia języka, Alfredo opowiadał mi o swojej pracy technika odpowiedzialnego za światło i dźwięk w kubańskiej Narodowej Orkiestrze Symfonicznej. A potem zaprosił mnie na koncert w najbliższą niedzielę.

W filharmonii z dumą pokazał mi swoje nazwisko na pierwszej stronie programu. Po koncercie oprowadził mnie po budynku, w którym mieściły się dwie sale teatralne i bar na ostatnim piętrze, z którego rozpościerał się widok na całe miasto. Po raz pierwszy od opuszczenia hotelu El Bosque byłam w miejscu, w którym działała klimatyzacja. Fidel wprawdzie drastycznie ograniczał zużycie energii w hawańskich domostwach, natomiast nie oszczędził jej wszelkim miejskim ośrodkom kultury i sztuki. Alfredo opowiedział mi, że w zeszłym miesiącu ojciec narodu odwiedził tutejszą filharmonię i bez zapowiedzi podniósł pensje wszystkim jej pracownikom. - Teraz zarabiam równowartość 15 dolarów - powiedział Alfredo. - I to jedyna dobra rzecz, jaką do tej pory zawdzięczam Fidelowi.

Jeszcze przed wyjazdem na Kubę wyczytałam gdzieś, że mieszkańcy kraju rzadko zwracają się do dyktatora po imieniu, chyba że go wychwalają. Tymczasem, pomimo licznych opowieści na temat konspiracji panującej na ulicach Hawany, zwykli ludzie często otwierali się przede mną, narzekając na swojego przywódcę oraz na panujący na wyspie kryzys ekonomiczny. Kiedy jednak spytałam o to Alfreda, ten natychmiast zmienił temat.

- Jesteś głodna? - spytał. - Zabiorę cię w pewne bardzo ważne miejsce w Hawanie. Ja stawiam, tam przyjmują tylko kubańskie peso.

Kiedy znaleźliśmy się w Coppelii, gdzie kelnerki krążyły wokół stolików w czerwonych minispódniczkach, Alfredo mógł już płacić peso. Było kilka wolnych stolików, jednak usiedliśmy obok ojca z synem, którzy byli tak pochłonięci swoimi lodami, że nie zauważyli naszej obecności. Pochyleni nad stalowymi pucharkami, łąpczywie przetykali ensaladas, składające się z kilku gałek lodów ułożonych jedna na drugiej.

Kiedy podeszła do nas kelnerka, poprosiłam o zestaw ko-kosowo-czekoladowy, lecz kobieta nieoczekiwanie zwróciła się w stronę Alfreda. Potrząsała głową i mówiła tak szybko, że nic nie mogłam zrozumieć. Potem Alfredo zaczął się z nią wyklócać - tyle zdołałam się domyślić - najwyraźniej jednak nie przynosiło to skutku. Po kilku minutach rozsierdzona

kelnerka położyła ręce na biodrach i zamilkła, jak gdyby dając do zrozumienia, że dalsza dyskusja jest bezcelowa.

Alfredo odwrócił się do mnie i powiedział powoli: - Ona mówi, że nie wolno mieszać smaków. Lody muszą być w całości czekoladowe albo kokosowe.

- Dobrze - zgodziłam się. - Niech będą czekoladowe, ale dlaczego tak jest?

- Es Cuba - odparł, wzruszając ramionami. - To Kuba.

Zaśmiałam się i po chwili na twarzy Alfreda nie było śladu irytacji ani głębokich zmarszczek złościących jego czoło.

- Cała awantura tylko o to, żeby dostać trochę lodów, które w końcu i tak smakują tak samo - powiedział Alfredo, kiedy kelnerka sobie poszła. - Powiedziałem jej, że wezmę taki smak, którego ty nie zamówisz, żebyśmy mogli się podzielić.

Czekaliśmy z niecierpliwością na nasz deser, walcząc z narastającym głodem. A może to mój głód udzielił się Alfredowi? Wydawało mi się, że Kubańcy nie jedzą zbyt dużo. Pierwszy tydzień pobytu na Kubie upłynął mi pod znakiem niekończącego się, otepiającego głodu, którego nie były w stanie zaspokoić sałatki z pomidorów i ogórków, serwowane w hotelowej restauracji na śniadanie, obiad i kolację. Jednak wszyscy Ku-bańcy, których poznałam, jedli niewiele albo jeszcze mniej, i wydawali się tym nie przejmować. Do śniadania pili kawę, zagryzając tostem z pastą z guajawy, potem w pracy - jeśli mieli szczęście - jedli darmową kanapkę; dopiero w przypadku obiadu można było mówić o prawdziwym posiłku - składał się nań z reguły ryż z fasolą i kawałkami kurczaka lub wieprzowiny oraz sałatka. Jako wegetarianka jadałam dużo skromniej, a dzisiaj w ogóle nie miałam nic w ustach. Nie posądzałam o to także Alfreda, z którym umówiłam się o 4.00 po południu i razem poszliśmy do jego filharmonii, Teatro Amadeo Roldan. Spotkaliśmy się przed hotelem i gdy go zobaczyłam, ujrzałam w jego ręce mały biały pakuneczek. „O, nie - pomyślałam - tylko nie kolejny prezent”.

Spotkaliśmy się już wcześniej w tym tygodniu i kiedy przyznałam mu się, że jestem pisarką, Alfredo kupił mi książkę. Na czarnej okładce widniał ociekający krzykliwymi żółtymi literami tytuł: La Pesadilla de la Realidad (Koszmar rzeczywistości), przypominający mi tanią literaturę science fiction z supermarketu.

- Nie czytałem jej - przyznał lekko zawstydzony. - Ale zobaczyłem ją w sklepie i pomyślałem, że może ci się spodoba.

- Dziękuję - odparłam z fałszywym entuzjazmem. - Wygląda świetnie.

Później wieczorem, zanim położyłam się spać, zajrzałam do książki i ku swojemu zaskoczeniu odkryłam, że jest to zbiór esejów na temat pisarstwa. Jednak choć był to tylko

niewinny prezent, w pewien sposób wytrącił mnie z równowagi. Nie chciałam prezentów. Nie szukałam romansu na Kubie. Chociaż od mojego przyjazdu na wyspę minął już tydzień, ekonomiczna przepaść dzieląca Kubańczyków i cudzoziemców nadal wprawiała mnie w zakłopotanie.

Po studiach spędziłam trochę czasu w Ameryce Łacińskiej i bieda nie była mi obca. Ale ten rodzaj ubóstwa w konfrontacji z bogactwem, jakiego doświadczałam za każdym razem po powrocie na ulicach San Francisco, był czymś zupełnie innym. Nie potrafiłam się do niego przyzwyczaić. Ludzie, których spotykałam na Kubie, byli bardzo często niepiśmienni. Nosili za małe albo za duże ubrania, podarte i poplamione. Mieli skołtunione, brudne włosy. Wielu z nich żyło na ulicy, trzymając w ręce kartkę papieru potwierdzającą stopień ich nędzy.

Alfredo był inny. Miał pracę z prawdziwego zdarzenia. Uczył się włoskiego i portugalskiego. Nosił czyste, starannie wyprasowane ubrania. Pod względem intelektualnym komunikowaliśmy się na tym samym poziomie, a mimo to jego obecność wystawiła na ciężką próbę wszystkie moje dotychczasowe przekonania w kwestii biedy i sposobu, w jaki funkcjonuje świat.

Chociaż wiedziałam, że jego pensja, 15 dolarów miesięcznie, była wyższa niż w przypadku większości Kubańczyków, to i tak zdawałam sobie sprawę, jak niewiele można było za to kupić w nowej, postsowieckiej kubańskiej rzeczywistości. Dlatego gdy zobaczyłam nieumiejętnie zamazaną ołówkiem cenę z tyłu okładki książki, którą dostałam od Alfreda, dotarło do mnie, że była to niemal równowartość jego dniówki.

Z drugiej strony wiedziałam, że nie mogę mierzyć tutejszej sytuacji ekonomicznej według zachodnich standardów, ponieważ większość mieszkańców Kuby była właścicielami domów, w których mieszkali; mieli także dostęp do darmowej edukacji i służby zdrowia. Pomyślałam więc, że równowartość dziennego wynagrodzenia na Kubie ma się nijak do tej w Stanach Zjednoczonych.

Gdy miałam dwadzieścia parę lat, również miałam wielu przyjaciół w San Francisco, głównie niespełnionych artystów, którzy żyli z dnia na dzień. Być może byli oni w jeszcze gorszej sytuacji, gdyż mało który z nich posiadał ubezpieczenie zdrowotne. W przypadku Alfreda nie można było jednak mówić o żadnej tymczasowości, ale mimo iż zarabiał więcej niż większość jego znajomych, nie stać go było, żeby zapłacić ekstra dolara za wejście do Coppelii. Czy to czyniło go w moich oczach biednym? A w jego? Czy bieda, której nie widać na zewnątrz, nadal nią pozostaje? Czy w ogóle możemy mówić o ubóstwie, jeśli wszyscy wokół znajdują się w tej samej sytuacji? Tylko czy rzeczywiście tak było, skoro przed

dewizowym pawilonem w Coppelii kłębił się spory tłumek amatorów lodowych deserów?

Zanim przyleciałam na Kubę, przeczytałam gdzieś, że ostatnim stadium socjalizmu był surrealizm - dzisiaj ten aforyzm na moich oczach stawał się rzeczywistością. Na Kubie byłam świadkiem rzeczy, których nie potrafiłam sobie wytłumaczyć. Jak rozświetlającej niebo błyskawicy, która nie zawsze musi poprzedzać grzmot.

Na szczęście małe białe zawiniątko, które miał ze sobą Alfredo, nie okazało się kolejnym prezentem dla mnie, lecz paczką chusteczek higienicznych, zwanych tutaj panuelo. Kubańscy nosili panuelo, by wycierać nimi pot z czoła lub usta po posiłku w lokalach, w których nie było serwetek, a napoje serwowano w plastikowych kubkach, nierzadko noszących ślady szminki, a nawet zębów.

Podchodząc bliżej, Alfredo zamachał chusteczką, która nagle wypadła mu z ręki, rozwinęła skrzydła i poszybowała w gęstym powietrzu, przecinając nieskazitelnie błękitne niebo niczym biała flaga lub okręt przybijający do nieznanego brzegu-

Zobaczywszy to, odwzajemniłam pozdrowienie i ruszyłam w jego kierunku. Alfredo delikatnym ruchem opuścił rękę, sięgnął po kolejną panuelo i wytarł nią pot z czoła.

Kuba była najgorętszym miejscem, w jakim kiedykolwiek byłam, nawet bardziej wilgotnym i lepkiem niż jej karaibski sąsiad - Kostaryka. Upał zaczynał się w chwilę po tym, jak wychodziłam rano spod prysznic, i trwał do momentu, gdy ponownie brałam kąpiel wieczorem - wtedy pot mieszał się z mydłem, tworząc gęstą pianę.

Wewnątrz Coppelii panował jednak orzeźwiający chłód. Alfredo i ja przysunęliśmy do siebie nasze pucharki z lodami, aby wymienić się smakami - kokosowym i czekoladowym. Niestety, jakoś lodów nie wynagradzała trudu, jaki kosztowało nas ich zdobycie. Lokal obniżył loty - lody były roztopione na powierzchni i zmrożone na kość w środku. Mimo to włożyłam kolejną łyżeczkę do ust, starając się zapanować nad burczeniem dochodzącym z pustego żołądka. W myślach karciałam siebie za to, że nie wstąpiłam po drodze do dewizowych delikatesów, nazywanych tutaj chopping, i nie kupiłam żadnej przekąski. A nawet gdyby - to co bym kupiła? Pastę pomidorową? Okrągłe słone krakersy bez soli? Majonez? Wybór był bardzo skromny - jeśli w ogóle był jakiś. W zeszłym tygodniu w jednym z takich sklepów koło hotelu El Bosque zabrakło nagle oleju słonecznikowego, pod którym jeszcze kilka dni wcześniej ugiwały się półki. Nazajutrz po prostu go nie było. Podobnie dzień później i następnego dnia. Po prostu na Kubie nie było rezerw żywności. Produkty spożywcze z nienacka pojawiały się w sklepach i równie niespodziewanie znikwały. Pomimo żyznych gleb, na których leży Kuba, nie można było liczyć ani na produkcję, ani na regularne dostawy.

W czasie wizyty papieża Jana Pawła II w 1998 roku na wyspie krążył dowcip, opierający się na grze znaczeń słowa papa, które oznacza zarówno głowę Kościoła, jak i ziemniaka: „Co mają ze sobą wspólnego Watykan i Kuba? W obydwu państwach w ciągu czterdziestu lat były tylko cztery papas”.

Niezależnie jednak od braku zaopatrzenia na rynku, inaczej wyglądała sytuacja w przypadku dwóch różnych walut - dolara i peso. Będąc w posiadaniu tych pierwszych, zawsze można było znaleźć coś do jedzenia, lepszego lub gorszego. Ale Alfredo nie miał dolarów.

Tamtej nocy, kiedy go poznałam przy okazji spaceru z przyjaciółmi, Heather i ja płaciłyśmy za wszystko. Nie dlatego, że - zgodnie z tym, co sugerował policjant - Alfredo i Gerardo starali się nas naciągnąć. Płaciłyśmy, ponieważ poruszałyśmy się po Kubie wyłącznie turystycznymi ścieżkami. A te były na wyspie wybrukowane dolarami. Nie wiedziałyśmy, że zamiast brać luksusową, klimatyzowaną państwową taksówkę, wystarczyło podnieść w górę kciuk i coger una botella. Za mniej więcej dziesięć procent sumy w obowiązującym cenniku państwowej korporacji można było się przejechać jednym z niemiłosiernie rozklekotanych, ale wciąż sprawnych czerwonych cadillaców telepiących się wąskimi uliczkami Hawany.

Jak się później dowiedziałam, Alfredo i Gerardo siedzieli tej nocy w milczeniu, tłumiąc urażoną dumę i odwracając wzrok w drugą stronę, kiedy my płaciłyśmy za taksówkę. Widząc hotel, w którym mieszkaliśmy, i luksusowe autokary, które nas do niego przywiozły, wzięli nas - co było równie omyłkowe, co zrozumiałe - za tego rodzaju dewizowe turystki. Martwili się nawet, że stan gospodarczej ruiny panującej na Kubie zepsuje nam wakacje na wyspie.

Po wyjściu z Coppelii Alfredo namówił mnie, bym mu pozwoliła się odprowadzić z powrotem do oddalonego o godzinę marszu hotelu El Bosque. Szliśmy wzdłuż szpaleru drzew ciągnących się na całej długości Vedado - dzielnicy starych kolonialnych posiadłości, wciąż eleganckich, pomimo niszczących elewacji. Kiedy po raz trzeci potknęłam się w ciemności na wybrukowanym chodniku, niemal upadając, Alfredo zaproponował mi, bym wzięła go za rękę. Zgodziłam się. Miał suchą, a jednocześnie miękką skórę, delikatną jak kamień wyłobiony przez wodę.

Zycie nocne w Hawanie było bardziej intensywne niż w innych miastach Ameryki Łacińskiej, które miałam okazję odwiedzić. Starzy Kubańczycy gromadzili się wokół skrzypiących karcianych stolików, grając w domino do wczesnych godzin rannych, a młode dziewczyny tańczyły pod balkonami salsę przy dźwiękach płynących z przenośnych magnetofonów. Ale kiedy przecięliśmy park obok Państwowego Związku Pisarzy

Kubańskich, gwar nagle ucichł.

Park wokół, z altanami, gładko przystrzyżonymi trawnikami i sięgającymi nieba palmami, był najpiękniejszy w całej Hawanie. Inne parki składały się przeważnie z betonowych płyt, kilku ławek, w których brakowało połowy desek i pomnika José Martíego lub innego poległego rewolucjonisty. Jednak niezależnie od swojej urody bądź jej braku, wszystkie parki w Hawanie po zmroku wyludniały się.

Podczas mojej pierwszej nocy na Kubie byłam ogromnie zaskoczona tym fenomenem w kraju, który zdawał się tętnić życiem przez całą dobę. Dopiero dzisiaj zdałam sobie sprawę, dlaczego tak się działo. Na ulicach Hawany pomimo panującego półmroku paliły się pojedyncze latarnie, które dawały ludziom możliwość jako takiej orientacji. Za to w parkach, gdzie nie było ani jednego światła, panowały egipskie ciemności.

Kiedy zbliżyliśmy się do jednej z altan, usłyszałam jakiś szelest i podskoczyłam ze strachu. Nic dziwnego, wychowałam się w USA, gdzie szmery w ciemnym parku mogły zwiastować zbliżające się niebezpieczeństwo - bandycki napad albo coś jeszcze gorszego. W odpowiedzi Alfredo wybuchnął stłumionym śmiechem. Kiedy po chwili moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zrozumiałam jego reakcję. W mroku zamajaczyły mi sylwetki co najmniej kilku par splecionych w miłosnym uścisku.

- W twoim kraju takie rzeczy się nie zdarzają? - spytał, wciąż rozbawiony.

- Cóż, pewnie tak - odparłam zmieszana. - Ale... nie w ten sposób. Nie w parku.

- My, Kubańscy, jesteśmy właśnie tacy... - w tym miejscu przerwał, jakby szukając odpowiedniego słowa, które mogłoby pomóc scharakteryzować kulturę jego narodu. - Jesteśmy tacy... - powtórzył i w tym momencie z krzaków wybiegły dwa małe psy, które zaczęły kopulować na chodniku, tuż przed nami.

- Jak one? - spytałam.

- Cóż, pewnie tak... Ale nie w ten sposób. Nie na ulicy... - Teraz oboje zanosiliśmy się już gromkim śmiechem.

Przeszliśmy jeszcze kilka przecznic i doszliśmy do 23. ulicy, głównej hawańskiej arterii, która od strony północno-wschodniej kończyła się ślepo zejściem do morza. Dzisiaj szliśmy w przeciwnym kierunku. Minęliśmy słynny róg ulic 23. i 12., na którym wszystkie obiekty - od kina do kawiarni - nosiły nazwę upamiętniającą pewne doniosłe wydarzenie historyczne. To tutaj po inwazji w Zatoce Świń Fidel Castro zadeklarował, że Kuba będzie odtąd państwem socjalistycznym i ogłosił sojusz ze Związkiem Radzieckim. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się tabliczka z hasłem: „To, czego imperialiści nie mogą nam wybaczyć, to to, że dokonaliśmy REWOLUCJI SOCJALISTYCZNEJ tuż pod ich nosami”.

- Szkoda, że nie mam aparatu - powiedziałam.

- To zwykła propaganda - odparł Alfredo. - Mogłabyś wy-pstrykać cały film, dokumentując podobne świadectwa politycznego reżimu na Kubie. Ale to nic nie znaczy. Zwykle gównu. - Ostatnie słowo powiedział po angielsku.

- Nie wierzysz w Rewolucję? - spytałam, kiedy przeszliśmy na drugą stronę ulicy i ruszyliśmy wzdłuż żółtego muru wielkiego cmentarza Cristóbal Colón, na którym - obok poetów i strażaków - w misternie wykutych marmurowych grobowcach spoczywali rewolucyjni bohaterzy. Kilka dni wcześniej, kiedy odwiedziłam cmentarz w ramach zorganizowanej wycieczki, przewodnik powiedział mi, że brakuje już na nim miejsca na nowe pochówki. Rodziny, których krewni tu spoczywali, po dwóch latach od pogrzebu były wzywane w celu otwarcia trumny i zabrania szczątków swoich bliskich, zwalniając w ten sposób miejsce na kolejne groby.

- Trudno wierzyć w Rewolucję, kiedy osiągnęło się pełno-letniość w trakcie Okresu Specjalnego - odpowiedział Alfredo, nawiązując do eufemistycznego określenia, jakie funkcjonowało po rozpadzie ZSRR, gdy kubańska ekonomia wzięła głęboki wdech i zwróciła się w stronę turystyki, mając nadzieję, że w ten sposób sytuacja gospodarcza tropikalnej wyspy ulegnie poprawie.

- Dobrze to znam - ciągnął dalej. - Dorastałem w czasach pustych półek w sklepach i nierównego traktowania turystów i moich rodaków. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie mogę wejść do hotelu, a cudzoziemcy mają w moim kraju więcej praw niż ja?

Pokiwałam głową ze zrozumieniem, chociaż jego pytanie zbiło mnie z tropu.

- Nie lubię rozmawiać o polityce, ponieważ wywołuje ona we mnie jedynie złość i smutek - powiedział Alfredo. - A nie chcę być przy tobie zły ani smutny.

- W porządku - zgodziłam się. - Nie musimy rozmawiać o polityce.

- Jest tyle innych ciekawych tematów. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twoim pisaniu. Jak to jest być pisarzem w Stanach Zjednoczonych? Kiedy wiesz, że jesteś gotowa, by napisać książkę? I od czego zacząć?

Na Kubie ci, którzy studiowali literaturę, sztukę lub muzykę, niezależnie od swoich dalszych sukcesów w tej materii po otrzymaniu dyplomów dostawali od państwa regularną pensję. Abstrahując od tego, czy Alfredo wierzył w Rewolucję, czy też nie, jego pytanie przypomniało mi o jednym z niezaprzeczalnych sukcesów socjalizmu na Kubie - Rewolucja wykształciła ludzi i tchnęła w nich fascynację nauką. Na Kubie, w odróżnieniu od Gwatemali, Hiszpanii oraz wielu innych państw, w których byłam, ludzie nie pytali mnie o to, czy znam Michaela Jacksona albo Madonnę. Tutaj ludzie chcieli się dowiedzieć jak najwięcej na temat



szkolnictwa wyższego i opieki medycznej w USA. I mojego zawodu. Wszyscy wydawali się mieć jak najlepsze zdanie o pisarzach. - Que Undo! (Jak cudownie!) - mówili.

Opowiedziałam więc Alfredowi o moich początkach z pisaniem i o tym, że chociaż jeszcze nic nie opublikowałam, mam zamiar napisać kilka artykułów na temat Kuby.

- Napisz teraz, kiedy to się dzieje - powiedział. - Później zapomnisz. Wiem, że pisanie jest dla ciebie ważne i przyjechałaś tu z konkretnymi zamiarami, dlatego jeśli sprawia ci kłopot, powiedz mi po prostu: „Muszę dzisiaj popracować” albo „Chcę spędzić trochę czasu sama” - zrozumie to.

Przyznam, że ucieszyłam się, słysząc te słowa. Odkąd spotkaliśmy się po raz pierwszy, Alfredo dzwonił do mnie codziennie i chociaż go polubiłam, czułam się trochę przytłoczona.

- Czy twoi rodzice też są pisarzami? - spytał.

- Nie, ale zawsze mogłam liczyć na ich wsparcie.

- W moim przypadku kimś takim jest moja babcia - Alfredo zamyślił się. - Mieszkam teraz z nią, a moja siostra z naszą matką. Nasi rodzice rozwiedli się, ojciec mieszka niedaleko lotniska z drugą żoną i ich córką. Ze wszystkich moich bliskich chyba najbardziej Kocham babcię. Ona po prostu poświęcała mi więcej uwagi niż matka czy ojciec. No i jest starsza, a przez to mądrzejsza.

Nadchodzący z naprzeciwka Murzyn uśmiechnął się i podszedł bliżej. Kiedy się mijaliśmy, podniósł rękę i przybił Alfredowi „piątkę”.

- Socio - powiedział. - Que bola?

W obowiązującym na ulicach Hawany slangu, nierozpoznawalnym chyba w żadnym innym hiszpańskojęzycznym kraju, znaczyło to mniej więcej: - Koleś, co słyhać?

- Americano - wyjaśnił Alfredo.

- Americano? - człowiek, z którym rozmawiał, wyglądał mi na rasowego Kubańczyka. Zastanawiałam się, czy może Alfredo chce mnie przedstawić swojemu znajomemu, ten jednak uśmiechnął się, pokiwał głową i poszedł dalej.

- Co mu powiedziałaś? - spytałam Alfreda.

- Americano - powtórzył i roześmiał się. - Chyba znasz to słowo?

- Ale dlaczego użyłeś akurat tego słowa?

- Bo jesteś moją przyjaciółką. Nazywamy tak ludzi, których lubimy.

Teraz już naprawdę nic nie rozumiałam. Amerykańskie pieniądze nazywano tutaj fula - „głupie”, natomiast słowo americanos wiązało się z szacunkiem i sympatią.

- Hmm - Alfredo zastanowił się, gdy zwróciłam mu na to uwagę. - Nie myślałem o

tym nigdy w ten sposób.

- Czy Kubańczycy lubią Amerykanów? - spytałam.

- Potrafimy odróżnić wasz rząd od zwykłych obywateli - odparł Alfredo, powtarzając zdanie, które słyszałam na Kubie wielokrotnie. - Narzekam na Kubę - kontynuował - ale to nie znaczy, że czekam na interwencję USA. Gdyby taka miała miejsce, stanąłbym do walki o swój kraj.

Zbliżaliśmy się do mostu Almendares, który łączył brzegi rzeki o tej samej nazwie i prowadził wprost do bramy hotelu El Bosque. W tym miejscu zaczynał się Miramar, ekskluzywna dzielnica Hawany, w której mieszkało wielu dyplomatów. Wejścia do Miramaru strzegł wielki billboard, jeden z tych, które Alfredo nazywał „gównem”. Z billboardu patrzył na nas Che Guevara w swoim słynnym czerwonym berecie. Pod spodem widniał napis: „Twój przykład żyje. Twoje idee trwają”.

Księżyc prawie w pełni rzucał bladą poświatę na zdyszanych rowerzystów, którzy minęli nas na nędznych chińskich rowerach. Na moście nie było ani jednego samochodu, a pod nami leniwie płynęła rzeka.

- Masz rower? - spytałam Alfreda.

- Nie - pokręcił głową. - Kiedyś miałem, ale nie mieliśmy pieniędzy, więc matka musiała go sprzedać. - Na chwilę zamilkł, a potem spytał, zmieniając temat: - Jakie są twoje marzenia jako pisarki?

- Chciałabym zarabiać na życie jako wolny strzelec - odparłam. - A ty?

- Chciałbym uczyć muzyki. Biorę lekcje gry na perkusji. Pragnę żyć w świecie kultury. Poza tym mam jeszcze jedno marzenie.

- Jakie?

- Szukam mojej szczęśliwej gwiazdy - powiedział. - Może ona pozwoliłaby mi cię pocałować.

„Oho... Latynoski temperament daje o sobie znać” - pomyślałam. Roześmiałam się.

- Co ty na to? - Alfredo uśmiechnął się.

Wiedziałam, że nie chcę się angażować emocjonalnie. Ale gdy spojrzałam na Alfreda, którego gładka skóra była tylko o ton jaśniejsza od tajemniczego nocnego nieba, zobaczyłam w jego ciemnych oczach niemal dziecięcą szczerość. Ujrzałam uśmiech, który błąkał się niepewnie w kącikach jego ust, nie mając odwagi zabłysnąć w pełni. Nachyliłam się w jego stronę.

- Nie musisz pytać gwiazd o zgodę - powiedziałam.

## Rozdział II

Liczy się chwila

Kiedy wróciłam do hotelu, w recepcji czekał na mnie Amaury, zielonooki boy hotelowy o jasnej karnacji, który pracował na nocną zmianę.

- Lea! - zawołał. - Mam dla ciebie ważną wiadomość.

Ale kiedy się zbliżyłam, zatrzymał mnie i kiwnął dyskretnie głową w stronę jednej z zawieszonych na suficie lamp.

- Kamera - wyszeptał.

- Co takiego? - spytałam zaskoczona, dorzucając najczęściej używane przeze mnie zdanie po hiszpańsku: No entiendo.

Zamiast wyjaśnień Amaury zrobił krok wstecz i cofał się z każdym moim krokiem naprzód, jakbyśmy tańczyli salsę w zwolnionym tempie. Zatrzymaliśmy się dopiero pod ścianą, w zacienionym miejscu hotelowego holu.

- Nie mogłem ci tam powiedzieć - odetchnął z ulgą. - W lampie jest ukryta kamera.

- Skąd wiesz? - spytałam, zastanawiając się, czemu nikt inny nie uciekał w kąt sali, żeby porozmawiać.

- Kiedy jesteś Kubańczykiem, po prostu wiesz o pewnych sprawach - odparł zagadkowo Amaury. - Teraz jest już OK, jesteśmy poza jej zasięgiem.

Zerknęłam na podejrzaną lampę. Wyglądała tak samo jak pozostałe. Popatrzyłam na chłopca sceptycznie, ale on wydawał się tego nie zauważać. Sprawiał wrażenie człowieka, który ma do wykonania misję i właśnie nadeszła ta chwila.

- Słyszałem, że szukasz roweru - powiedział, zniżając głos, tak że słowo „rower” było już ledwo słyszalnym szeptem, jak gdyby oznaczało jakąś groźną infekcję. Albo przestępstwo. I faktycznie, jeśli Amaury proponował mi - czego się obawiałam - rower z czarnego rynku, to był to czyn zagrożony więzieniem.

Po tygodniu spędzonym w autobusie, którym jeździłam na lekcje hiszpańskiego do Instytutu Językowego José Martíego, zaczęłam faktycznie rozglądać się za bardziej niezależnym środkiem lokomocji. Mimo iż na Kubie nie ma sklepów rowerowych, próbowałam załatwić coś drogą oficjalną. Kiedy któregoś popołudnia wybraliśmy się na wycieczkę rowerową, zorganizowaną przez Klub Cyklistów Uniwersytetu Hawańskiego, spytałam naszego przewodnika o możliwość wypożyczenia jednego z dwudziestu kilku rowerów, które dla nas sprowadzili.

- To ostatni dzień, kiedy mamy je do dyspozycji - odpowiedział. - Jutro zabierają rowery na trzy tygodnie do prowincji Pinar del Río.

Rowery miały wrócić do Hawany dopiero 2 marca, na dzień przed końcem mojego programu i powrotem do Stanów.

Później zwróciłam się z tą samą prośbą do Alvara, naszego kubańskiego opiekuna. Choć widywałam go codziennie, nie miałam okazji poznać go bliżej. W odróżnieniu od reszty wścibskich Kubańczyków, których spotykałam każdego dnia, Alvaro nigdy nie zadawał pytań nikomu z naszego programu. Nie interesowało go, dlaczego wybraliśmy Kubę, co myślimy o jego kraju, ani jak długo zamierzamy zostać na wyspie. Ograniczał się jedynie do roli naszego przewodnika - przyzwoicie ubranego mężczyzny, który odbierał nas co rano z hotelu i odwoził do szkoły, po drodze opowiadając o sukcesach Rewolucji Kubańskiej. Opisywał każdy mijany po drodze budynek tym samym monotonnym głosem, jak gdyby deklamował wyuczony na pamięć tekst z kartki.

Tylko raz, kiedy mijaliśmy Coppelię, przed którą ustawiała S1? już długa kolejka Kubańczyków płacących w pesos, i krótki ogonek turystów dewizowych, Alvaro zdobył się na własny komentarz, wtrącając złośliwą uwagę:

- Kubańczycy godzinami czekają na lody - powiedział, po czym dodał ze zjadliwym uśmiechem: - Dlatego wymyśliliśmy kolejkę dolarową, bo wiemy, jak mało macie czasu.

Potraktowałam brak szacunku ze strony Alvara jako wyraz jego dezaprobaty wobec niepewnej pracy, jaką było wożenie grupy amerykańskich turystów. Dawniej, w czasach sprzed Rewolucji, na Kubie regularnie lądowały samoloty wypełnione po brzegi bogatymi Amerykanami, szukającymi na wyspie odpowiedniego klimatu, kasyn, cygar i tanich prostytutek.

Jednak po wybuchu Rewolucji, a następnie po nałożeniu przez USA embarga na Kubę, zmienił się profil odwiedzających ten kraj turystów. Nieliczni, którzy zjawiali się na wyspie, mieli przeważnie lewicowe poglądy i żywili głęboką pogardę wobec swoich poprzedników.

Uczestnicy mojego programu Global Exchange - turyści, którzy nie chcieli być nazywani turystami - różnili się dość znacząco od tych, których na co dzień woził Alvaro. W tym byliśmy akurat do siebie podobni - i on, i my byliśmy w pewnym stopniu na marginesie społeczeństwa.

W przeciwieństwie do przybyszów z innych państw, którzy mogli swobodnie podróżować po Kubie na własną rękę, Amerykanie byli tego przywileju pozbawieni. Rząd Stanów Zjednoczonych przyznawał wize kubańskie wyłącznie przedstawicielom określonych

zawodów - dziennikarzom, lekarzom, muzykom czy artystom. Wszyscy pozostali, którzy chcieli odwiedzić Kubę, musieli wykupić zorganizowaną wycieczkę, której program w najdrobniejszych szczegółach został wcześniej uzgodniony przez przedstawicieli obydwu rządów - amerykańskiego i kubańskiego.

Pewnego ranka w drodze do szkoły, gdy Alvaro opowiadał nam o atmosferze panującej w różnych dzielnicach Hawany, spytałam, którą z nich kubański przywódca uważa za swój dom.

- Gdzie mieszka Fidel? - Alvaro powtórzył pytanie, jak gdyby chodziło o rozmiar prezydenckiej bielizny. - To tajemnica.

Nikt nie wie, gdzie mieszka nasz przywódca. Rzecz jasna, chodzi o względy bezpieczeństwa.

W czasach Rewolucji Fidel nie miał domu. Jego żona wraz z synem mieszkali w dzielnicy Vedado, natomiast on sam często zmieniał miejsce pobytu, zatrzymując się w domach swoich przyjaciół, krewnych i towarzyszy broni. Do jednego z nich, przy 25. ulicy, wchodził i wychodził przez okno na tyłach budynku, kryjąc się przed Batistą i jego kohortami.

Zastanawiałam się, jak czuł się Fidel Castro, wiodąc tak potajemny tryb życia. I czy zdawał sobie sprawę, że prawie pół wieku po objęciu władzy na Kubie w 1959 roku, nadal będzie musiał czuć się jak zwierzyna - tym razem tropiona przez amerykański rząd, który nie krył tego, że chętnie ujrzałby kubańskiego dyktatora martwego.

Od tamtej pory nie rozmawiałam z Alvarem. I kiedy kilka dni później powiedziałam mu o swojej rozmowie z przewodnikiem od rowerów, pytając, czy istnieje jeszcze inna możliwość wypożyczenia jednoślada, ujrzałam na jego twarzy ten sam wyraz niedowierzania.

- To prawda. Jedynie klub rowerowy jest upoważniony do ich wypożyczenia - powiedział, rozkładając bezradnie ręce i wzruszając ramionami w geście obrony. - Nie ma innego sposobu - powtórzył.

Ale ja wiedziałam, że nie mówi całej prawdy. Pamiętając o sprzedawanych przez Alfreda na lewo biletach na wyprzedane spektakle w filharmonii, a także o swojej ostatniej przygodzie z łapówką w Coppelii, byłam pewna, że na Kubie zawsze istnieje jakieś inne wyjście. Jak widać, z podobnego założenia wychodził Amaury. Pocztą pantoflową dowiedział się, że szukam roweru i szybko się o niego postarał.

- Mam rower, który mogę ci pożyczyć na tydzień - powiedział, nachylając się w moją stronę. Choć nie opierał się już o ścianę, jego twarz nadal pozostawała w cieniu. - Tylko trzy dolary za dzień.

- Czy to twój rower? - spytałam. - Jak go dostanę?

- To rower mojego kumpla - odparł Amaury. - Jest teraz tutaj, na zewnątrz. Możesz go obejrzeć, jeśli chcesz.

Skinęłam głową i Amaury dał mi znak, żebym za nim poszła, po czym sam wychynął z cienia. Minęliśmy razem recepcję, jeden z jego kolegów uśmiechnął się na mój widok. Wyszliśmy na zewnątrz w ciepłą noc. Po drugiej stronie ulicy znajdował się hotelowy parking. Virgilio, starszek pilnujący samochodów, pomachał w naszą stronę. Podeszliśmy bliżej.

- La bicicleta - zwrócił się do niego Amaury, po czym odwrócił się do mnie i z niekłamaną dumą powiedział: - On pilnuje twojego roweru.

Virgilio otworzył furtkę na tyłach parkingu i zniknął gdzieś za rogiem. Wrócił po kilku minutach, prowadząc moją zdobycz - zdezelowany rdzawoczerwony rower marki Flying Pigeon, jeden z tysięcy rzęchów sprezentowanych Kubańczykom przez Chiny na początku lat 60. Z popękanego i podartego siodełka wystawały strzępy bliżej nieokreślonego materiału, wyglądające jak chwasty wylazące z dziurawego chodnika.

- Wypróbuj go - zachęcił Amaury. - Zrób kilka rundek wokół budynku.

Dzwonek nie działał, podobnie jak hamulce. Pocieszałam się, że być może nie nacisnęłam ich odpowiednio mocno za pierwszym razem. Założenie to okazało się, niestety, błędne i jazda próbna o mały włos nie zakończyła się wypadkiem. Ledwie udało mi się zsiąść z roweru na stromej drodze prowadzącej do hotelu.

- Lepiej będzie go chyba sprowadzać - zasugerował Amaury, poklepując dźwignię hamulca ręcznego niczym nadopiekuńczy rodzic. - Nie jest to nowy rower, ale zawiezie cię wszędzie tam, gdzie będziesz chciała.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. Widziałam rowery, na których jeździli mieszkańcy Hawany, i chociaż mój Flying Pigeon wyglądał i jeździł jak lodówka na kołach, w porównaniu z wieloma innymi tutejszymi modelami nie miałam się specjalnie czego wstydzić.

Z wysokości dziurawego siodełka wypożyczonego roweru zobaczyłam zupełnie inną Hawanę niż ta, którą poznałam w trakcie mojego pierwszego tygodnia pobytu na Kubie. Miasto, pozbawione narracji Alvara, otworzyło się przede mną. Nikt nie zanudzał mnie statystykami dotyczącymi umieralności niemowląt, ani nie recytował historii Związku Młodzieży Komunistycznej. Mijałam kioski z gazetami, szkoły podstawowe i prawie puste, choć nadal otwarte apteki, których fasady były pokryte łuszczącą się farbą. Zatrzymywałam się, kiedy tylko miałam ochotę, żeby kupić na straganie owoc guajawy czy kilka mandarynek.

Zbaczałam z szerokich arterii na mniej zatłoczone, boczne uliczki. Byłam szczęśliwa, wolna, spocona i anonimowa - o ile to w ogóle było możliwe w takim mieście jak Hawana.

Szybko odkryłam, że jazda na rowerze ma tutaj wymiar społeczny - widok dwóch, trzech, a nierzadko nawet czterech osób jadących na jednym bicyklu nie był niczym niezwykłym. Któregoś dnia w drodze do szkoły, oddalonej od hotelu o jakieś pięć kilometrów, minęłam czteroosobową rodzinę przyklejoną do jednego roweru - matka i córka jechały ściśnięte na bagażniku, podczas gdy ojciec pedałowal odważnie z małym dzieckiem wtulonym w jego ramiona. Po jakimś czasie zaczęłam rozpoznawać innych rowerzystów, jeśli nie z imienia, to przynajmniej z twarzy - machaliśmy sobie na powitanie, mijając się na ulicy.

Pod warunkiem, że w ogóle można było mówić o jakimkolwiek mijaniu. W Hawanie nie było szybkich rowerów i ja także, pedałowując wysłużonym antykiem marki Flying Pigeon, wkrótce zapadłam w swoisty letarg, kompletnie tracąc poczucie czasu w surrealistycznym krajobrazie żywcem wyjętym z lat 50., jaki panował na ulicach XXI-wiecznej Hawany.

Popołudniami, kiedy pozostali uczestnicy programu siedzieli w hotelu, słuchając wywodów rządowych ekspertów z wszystkich możliwych dziedzin - od architektury po rolnictwo - ja szukałam odpowiedzi na pytanie: dlaczego Kuba, pomimo rozwiniętego systemu edukacji i opieki zdrowotnej, tkwi tak głęboko zanurzona w przeszłości? Zanim tu przyjechałam, myślałam, że to wina embarga, ale już na samym początku mojego pobytu na wyspie odkryłam nie bez zaskoczenia, jak niewielu Kubańczyków podziela mój pogląd na tę sprawę.

- Embargo jest strasliwym przestępstwem - powiedział mi kiedyś poznany na ulicy nauczyciel historii. - Ale jego kres nie będzie równoznaczny z naszym wybawieniem. Być może Fidel chce, byśmy wszyscy myśleli w ten sposób, ale prawdą jest, że Kuba ma swoje własne problemy.

Chociaż część wykładów była ciekawa i dzięki nim mogłam uzupełnić luki w mojej wiedzy na temat historii Kuby, szybko zdałam sobie sprawę, że więcej dowiem się z nieoficjalnych źródeł na ulicy. Poza tym miałam już dosyć robienia wszystkiego w grupie. I tak jak wcześniej zamieniłam klimatyzowany autokar na rower, tak teraz zaczęłam urywać się z popołudniowych odczytów i pozostałych wieczornych atrakcji, będących częścią programu, na rzecz penetrowania wyspy na własną rękę lub w towarzystwie Alfreda.

Chodziliśmy często do filharmonii, na koncerty kwintetów jazzowych lub wirtuozów gitary, którzy nie tylko uderzali w struny swoich instrumentów, ale walili w gitarowe pudła niczym w bębny. Któregoś wieczoru poszliśmy do kina Cine Yara, po drugiej stronie ulicy, na której znajdowała się Coppelia, na kubański film o Tropicanie - ekskluzywnym kabarecie z

dzielnicy Marianao. Spacerowaliśmy ulicami, szukając ciekawych imprez kulturalnych, które rzekomo miały się odbywać - jak na przykład karnawał, zwany też pena, potańcówka na dachu czyjeś domu w Habana Vieja - ale nic takiego się nie działo.

- Es Cuba - Alfredo wzruszał ramionami z zakłopotaniem, starając się, by zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

Gdy któregoś razu jedliśmy obiad w lokalnej restauracji, Alfredo zamówił sobie dodatkowo deser, a gdy spytałam dlaczego, odpowiedział, że zapasy żywności mogą się skończyć w każdej chwili.

- Tutaj, gdy masz na coś ochotę, musisz natychmiast po to sięgnąć, bo nigdy nie wiadomo, kiedy to coś zniknie jak bańka mydlana - powiedział mi. - Na Kubie liczy się tylko chwila.

Nieco później tego samego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy o moim życiu w Kalifornii, samotności towarzyszącej uprawianiu wolnego zawodu, wegetarianizmie, porannych biegach w górach i centrum filozofii zen znajdującym się nieopodal mojego domu, w pewnym momencie Alfredo powiedział:

- Chyba się w tobie zakochałem.

- To niemożliwe - zaśmiałam się. - Przecież dopiero się poznaliśmy. Poza tym, czy wiesz, ile razy słyszałam to zdanie w trakcie moich podróży po świecie?

- Nie, nie wiem - Alfredo spoważniał. - Nie wiem, ponieważ mieszkańcom Kuby nie wolno wyjeżdżać z kraju. Potrzebujemy zaproszenia i specjalnego zezwolenia, a jeśli jesteś młody i samotny, i tak ci go odmawiają, uważając cię za potencjalnego emigranta. Ta wyspa jest jak więzienie.

Jednak już po chwili, odwracając perspektywę o 180 stopni, oznajmił mi, dlaczego czuje się dumny z tego, że jest Kubańczykiem. - Nie znamy przemocy. Mamy za to darmową służbę zdrowia. I edukację. Poza tym jesteśmy urodzonymi muzykami.

W trakcie tamtej rozmowy zaczęłam dostrzegać w Alfredzie

- jego języku, mowie ciała, gestykulacji - niezwykłą, pozornie sprzeczną mieszankę melancholii i optymizmu, która, jak się potem przekonałam, była charakterystyczna dla tego kraju. To coś, co widziałam w nim i w Kubie, inspirowało mnie i smuciło zarazem. Widziałam nadzieję w miejscach, w których na pierwszy rzut oka niepodzielnie panowała rozpacz. Doświadczyłam ze strony Alfreda uprzejmości, która - wbrew temu, przed czym przestrzegał mnie policjant - nie oczekiwała niczego w zamian. To coś sprawiało, że gdy budziłam się co rano świeża i wypoczęta po zaledwie kilku godzinach snu, czułam zbliżającą się falę dawno oczekiwanego szczęścia i z nadzieją wychodziłam naprzeciw kolejnemu dniu.



## Rozdział III

### Lekcje Rewolucji

W ostatnim dniu mojego pierwszego pobytu na Kubie, podekscytowana tym, że za chwilę wsiądę na pożyczony rower i wmieszam się w tłum Hawańczyków na ulicy, zaproponowałam podwiezienie na zajęcia jednej z uczestniczek programu o imieniu Kate, która spóźniła się na autobus. Wszyscy podróżujący w ten sposób Kubańczycy - dwójkami, trójkami, a nawet czwórkami - sprawiali wrażenie swobodnych i wyluzowanych. Wyglądało to czasem jak impreza na kółkach - ten, który mozolnie pedałowal, był zagadywany i odrywany od jazdy przez swoich pasażerów.

Nam od samego początku szło znacznie gorzej. Już wyjeżdżając z parkingu, o mało się nie przewróciliśmy, ostatecznie jednak zapanowałam nad kierownicą. Kiedy w końcu dotarliśmy do gmachu Instytutu Językowego José Martíego, spóźnione pół godziny i złane potem, czekał tam na nas dyrektor szkoły z informacją, że zajęcia zostały odwołane z powodu nieobecności nauczyciela.

Lisset zawsze się spóźniała albo odwoływała zajęcia. Ale dopiero po tygodniu zrozumiałam, że nie należy mieć jej tego za złe. Teraz już wiem, że określanie braku punktualności Lisset mianem nieodpowiedzialności było jednoznaczne z powiedzeniem, że na Kubie brakuje lekarstw, ponieważ opieka medyczna nie jest priorytetem kubańskiego rządu.

W tym kraju najbardziej oczywista odpowiedź z reguły sprawdza się najrzadziej. Prawda obiektywna skrywa się za kurtyną skomplikowanych intryg i pajęczyną hipotez, tak skomplikowanych jak historia samej Kuby. Na wyspie nie było zapasów lekarstw z powodu amerykańskiego embarga; to samo dotyczyło innych dóbr materialnych, których Kuba potrzebowała.

Spóźniałstwo Lisset również miało swoje podłoże polityczne. Podobnie jak większość Kubańczyków, których poznałam, była osobą wielce odpowiedzialną, zarówno w kwestiach osobistych, jak i społecznych. Z pełnego rozpaczy grymasu na jej twarzy wnioskowałam, jak jest jej przykro, ale nic nie mogła na to poradzić. Mieszkała kilka przystanków autobusowych od instytutu i przynajmniej raz w tygodniu przejazd był blokowany lub utrudniany przez zwolenników uwolnienia Eliána, pikietujących przed siedzibą Sekcji Interesów USA. Odkąd oficjalne stosunki dyplomatyczne pomiędzy oboma krajami zostały zerwane, dawną ambasadę Stanów Zjednoczonych zastąpiono właśnie Sekcją Interesów, aby oddać aktualny stan braku wzajemnych kontaktów.

Lisset nie próbowała nawet podejmować negocjacji, ani stawać po żadnej ze stron sporu. Od pierwszych zajęć nazywała rzeczy po imieniu, tak jak je widziała. Będąc dzieckiem Rewolucji, urodzonym w 1959 roku, kiedy Castro doszedł do władzy, wpadła w przepaść dzielącą optymizm i euforię panującą w chwili, kiedy przysłała na świat, i znacznie mniej romantyczną rzeczywistość, z jaką obecnie miała do czynienia na co dzień.

- Kiedy byłam mała i zastanawiałam się, kim będę w przyszłości, sądziłam, że moje życie potoczy się inaczej - wyznała nam kiedyś w trakcie zajęć. Opowiedziała o tym, jak podkreślano rolę edukacji w rzeczywistości porewolucyjnej, zwłaszcza w przypadku kobiet, które uzyskały łatwiejszy dostęp do bardziej prestiżowych zawodów. - Po Rewolucji zakazano wszelkich seksistowskich zachowań w miejscu pracy - podkreśliła.

W Hawanie prawie na każdej ulicy były billboardy głoszące wielkimi literami: HOY COMO SIEMPRE, MUJER ES REVOLUCIÓN (Teraz i zawsze, kobieta jest Rewolucją).

Podczas mojego krótkiego pobytu na Kubie zauważyłam również, że męski ideał macho nie był tu tak popularny, jak w innych krajach latynoamerykańskich. Oczywiście mężczyźni zaczepiali mnie na ulicy, nie było jednak słyhać gwizdania ani wulgarnych komentarzy. Był za to pewien dźwięk, brzmiący jak pst, pst, który często słyszałam, spacerując ulicami Hawany. Poznałam kilka kobiet, które spędziły na wyspie jeszcze mniej czasu niż ja i traktowały owo niegroźne „pst, pst” na równi ze sprośnym pogwizdywaniem. Z początku robiłam tak samo, ignorując pst, pst. Ale któregoś dnia, gdy dźwięk ten wydał mi się szczególnie natrętny, słońce wyjątkowo pałace, a smród wydobywający się z otwartego kontenera na śmieci szczególnie przykry, moja cierpliwość sięgnęła zenitu. Kiedy po raz kolejny usłyszałam pst, pst, obróciłam się na pięcie i stanęłam twarzą w twarz ze starszym mężczyzną, siedzącym na rozchwanym stołeczku przed wiaderkiem kwiatów, którymi handlował.

- Czego pan chce? - spytałam.

- Wreszcie się pani zatrzymała - odparł staruszek, a jego przeoraną bruzdami twarz rozjaśnił uśmiech. Pomyślałam, czy czasem nie jest przygłuchy. - Wołam panią codziennie, za każdym razem, kiedy pani tędy przechodzi. Ale pani nie zwraca na mnie uwagi.

- Nie mam zwyczaju odpowiadać każdemu mężczyźnie, który pogwizduje na mnie na ulicy - powiedziałam.

- No tak - moja odpowiedź nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. - Wielu mężczyzn pragnie poznać taką cudzoziemkę jak pani. Ale mam do pani pytanie.

- Słucham? - spytałam, wciąż rozgniewana.

- Czy każdy mężczyzna, który na panią pogwizduje, robi coś takiego? - to mówiąc,

staruszek sięgnął do wiadra, wyciągnął z niego długi pełny słonecznik i wręczył mi go, mówiąc: - To wszystko. Chciałem tylko dać pani ten słonecznik i powiedzieć: „Witamy w sąsiedztwie”.

Zacisnęłam dłoń na słoneczniku - miał szorstką łodygę, przypominającą w dotyku koci język.

Po tym zdarzeniu zaczęłam przywiązywać większą wagę do pst, pst zasłyszanego na ulicy. Zauważyłam też coś, co dotąd zupełnie uszło mojej uwagi. Pst, pst nie było adresowane wyłącznie do kobiet. Mężczyźni porozumiewali się w ten sposób między sobą, a kobiety - z mężczyznami. Któregoś dnia usłyszałam pst, pst z ust starszej kobiety, która spytała mnie, czy nie wzięłabym ją pod rękę i przeprowadziła przez ulicę.

Oczywiście nadal ignorowałam pewne typy syczenia, ale w większości przypadków reagowałam i z reguły byłam mile zaskoczona. Ludzie często zaczepiali mnie, pytając o wrażenia z pobytu w ich kraju, proponowali randkę w Muzeum Rewolucji, bądź zapraszali na afrokubański pokaz tańca. Muszę przyznać, że większość tego typu „prowokacji” była dużo bardziej kulturalna niż te, z którymi spotykałam się w innych krajach. A co najważniejsze, także bardziej ludzka. Na Kubie nie byłam obiektem pożądania, lecz człowiekiem z krwi i kości, z którym mężczyźni chcieli porozmawiać.

To właśnie uczucie szacunku i autentycznego zainteresowania zbliżyło mnie do Alfreda. Od samego początku imponowało mi to, że zadaje mi inteligentne pytania o moją rodzinę, zawód, który wykonuję i życie w USA. Jednak później, kiedy spędzaliśmy ze sobą coraz więcej czasu, zauważyłam pewną niezbyt subtelną zmianę w jego zachowaniu - wkraczającą w sferę intymności, co budziło mój niepokój i wytrącało z równowagi.

Od kiedy wyznał, że się we mnie zakochał, zaczął mnie codziennie zapraszać na randki i pytał, czy może mnie przedstawiać znajomym jako swoją dziewczynę. Zawstydział mnie regularnie swoimi piropos - słowo to w moim słowniku oznaczało po prostu komplement, tymczasem w całej Ameryce Łacińskiej miało znacznie większy ładunek emocjonalny.

Komplementem jest dla mnie zdanie: „Pięknie dziś wyglądasz”. Piropo w wydaniu mojego kubańskiego adoratora wyglądało tak, że Alfredo padał przede mną na kolana, żegnał się (często wykonując znak krzyża w odwrotnej kolejności, jako że nie był katolikiem) i wołał po angielsku: - O, mój Boże!

Mimo to nie potrafiłam się z nim rozstać, ponieważ wspólnie spędzony czas był dla mnie niezwykle cenny - uwielbiałam nasze wizyty w kulturalnych centrach Hawany, długie rozmowy podczas spacerów w drodze powrotnej do Miramaru i przeciągające się w

nieskończoność pożegnania przed hotelem El Bosque.

Podobnie jak Kuba ze swoimi samochodami i wieczną tęsknotą za wolnością, także mój związek z Alfredem pozostawał zawieszony w próżni. Od pewnego momentu każdy wspólnie spędzony wieczór kończył się tak samo - namiętymi pocałunkami w cieniu hotelu El Bosque. Byliśmy jak para tragicznych kochanków, których przeznaczeniem jest się rozstać. Ale nie byliśmy kochankami. Zaproszenie go do hotelu nie wchodziło w rachubę, a i on nie miał swojego mieszkania, do którego mógłby mnie zabrać. Czułam nawet z tego powodu ulgę.

Chociaż za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, czułam przysłowiowe „motyle w żołądku”, towarzyszące pierwszemu zauroczeniu, nie potrafiłam oswoić się z myślą, że moglibyśmy stanowić parę. Posuwałam się naprzód bardzo małymi krokami, w odróżnieniu od Alfreda trzymając emocje na więzi. Ta zasadnicza różnica w parze z materialną przepaścią, jaka nas dzieliła, sprawiały, że bałam się tego, iż nigdy nie będziemy sobie równi.

Zastanawiałam się czasem, czy Alfredo zachowywałby się tak samo, gdybym była Kubanką i czy, mając do dyspozycji więcej czasu, potrafiłby zwolnić tempo. Zadawałam sobie pytanie: czy cubana odwzajemniłaby jego piropos? A może z miejsca dałaby mu kosza?

Bijąc się w myślach z tymi i wieloma innymi pytaniami, spytałam Lisset, czy mogłybyśmy porozmawiać o roli kobiet na Kubie. Zgodziła się bez wahania i któregoś dnia zostałyśmy po zajęciach w pustej sali, zalanej słońcem przebijającym się przez zasunięte żaluzje i oświetlającym warstwę kurzu, która zgromadziła się na parapecie.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że po Rewolucji seksizm został zakazany? - spytała Lisset.

Pokiwałam głową.

- No cóż, nie oznacza to, że całkowicie udało nam się pozbyć męskiego szowinizmu. Różnica polega jedynie na tym, że jest on nielegalny. Kuba to wciąż kraj macho. Mimo iż pracuję zawodowo, kiedy wracam do domu, muszę się wszystkim zająć. A biorąc pod uwagę różnice cywilizacyjne między naszymi krajami, życie pani domu na Kubie wygląda zupełnie inaczej niż w Stanach Zjednoczonych. Nie mamy mrozonek. Ani pralek automatycznych. Musimy przygotowywać posiłki od zera i prac w rękach. Czasem mój mąż ugotuje coś na obiad i jestem mu za to wdzięczna, choć sama nigdy nie usłyszałam z jego ust słowa „dziękuję”.

Lisset miała córkę z poprzedniego małżeństwa i, jak sama powiedziała, nie planuje więcej dzieci. - Nie teraz - stwierdziła. - Życie jest zbyt trudne. Błędem byłoby zakładanie licznej rodziny, skoro już w trójkę jest nam ciężko.

Pomyślałam o moich wcześniejszych podróżach po Ameryce Łacińskiej - o górach Gwatemali i stolicy Nikaragui, o małych wysepkach u wybrzeży Panamy i lasach tropikalnych Kostaryki - wszędzie tam kobiety dużo biedniejsze od Lisset rodziły jedno dziecko za drugim, pogrążając się coraz bardziej w skrajnym ubóstwie. Dlaczego żadna z nich nie miała tak praktycznego podejścia do życia jak Lisset?

Różnica, jak sądzę, tkwiła w religii. Podczas gdy większość mieszkańców kontynentu środkowoamerykańskiego jest głęboko wierząca, na Kubie panuje absolutna wolność w kwestii kontroli urodzeń, czy też aborcji. Pomimo zakazu wszelkich praktyk religijnych we wczesnych latach Rewolucji, ludzie wierzący mogą obecnie zapisywać się do partii komunistycznej, a Boże Narodzenie zostało oficjalnie wpisane do kalendarza ustawowych dni wolnych od pracy. W całej Hawanie jest kilka kościołów, a nawet synagoga, chociaż nigdy nie widziałam, by odbywały się tam regularne nabożeństwa.

Spytałam Lisset, czego pragnie dla swojej córki. - Chcę, żeby była wykształconą i kulturalną osobą - odpowiedziała bez wahania. - Nie chcę, żeby wyrosła na materialistkę, chociaż uważam, że pieniądze są w życiu potrzebne. Dlatego czasem zamiast prezentu kupuję jej kwiatek, żeby wiedziała, że są na świecie ważniejsze rzeczy niż dobra doczesne.

Lisset dodała jeszcze, że zależy jej na tym, aby córka miała darzenia, mimo iż jej własne nigdy się nie spełniły. - Nie żałuję tego, że zostałam nauczycielką, bo uważam, że edukacja jest bardzo ważna. Jestem tylko rozczarowana tym, jak żyję, pracując w tym zawodzie.

- Co masz na myśli? - spytałam. Miałam świadomość, że Lisset nie dostaje pensji w dolarach i nie stać jej na luksusy, ale przynajmniej miała pracę, w którą wierzyła i wyglądała na cieszącą się dobrym zdrowiem - zawsze była pełna energii, kiedy prowadziła zajęcia. - Nie rozumiem - powtórzyłam. - O co chodzi z tym życiem?

- Och, Lea... - westchnęła i odgarnęła z czoła ciemne, krótko przystryżone włosy. - O wielu rzeczach nie mogę ci powiedzieć, mam swoją dumę. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, czego mi brakuje. Wiedz jednak, że komuś, kto nie pracuje w sektorze prywatnym i nie zarabia w dolarach, ani nie ma krewnych w Stanach, którzy wysyłaliby mu pieniądze, żyje się tutaj bardzo ciężko. A zwłaszcza kobietom. Podam ci przykład pierwszy z brzegu. Aktualnie nie mamy w domu miotły. Mój mąż wzrusza ramionami i mówi: „Co z tego? Po co nam miotła?”. Ale mówi tak dlatego, bo sam nigdy nie sprząta. A dla mnie to ma znaczenie. Muszę targać na szmaty stare t-shirty i jest to dla mnie poniżające, że jako osobę wykształconą i aktywną zawodową nie stać mnie na zwykłą miotłę, bo można ją kupić tylko za dolary. I tak zamiast godziny, poświęcam na sprzątanie trzy, wycierając podłogę starym

t-shirtem.

Spojrzała na mnie zakłopotana, jak gdyby powiedziała za dużo. - Słuchaj - odezwała się nagle. - Jestem dumna z tego, że urodziłam się Kubanką. Nie zamieniłabym tego kraju na żaden inny. Chcę tylko, żeby żyło nam się tutaj lepiej.

## Rozdział IV

Obiecano nam socjalizm

Pierwszą fidelistkę poznałam w oranżerii w Miramarze. Stała obok pachnącej mariposy, narodowego kwiatu Kuby, i najwyraźniej sporządzała jakieś notatki na temat tej rośliny, bo gdy podeszliśmy do niej razem z moją przyjaciółką Amy, podniosła wzrok zaskoczona.

Amy, studiująca gender studies, była uczestniczką mojego programu. Zrobiła sobie roczną przerwę na uczelni, żeby zwiedzić trochę świata. W ciągu zaledwie dwóch tygodni zaprzyjaźniłyśmy się do tego stopnia, że postanowiłyśmy przedłużyć nasz pobyt na Kubie o następne dwa tygodnie, a kolejne dwa spędzić na zwiedzaniu wyspy. Kiedy opowiedziałam Amy o mojej rozmowie z Lisset, zaproponowała mi, żebyśmy razem poszły do Federación de Mujeres Cubanas. Po Rewolucji Federacja Kobiet Kubańskich otworzyła swoje siedziby w większości miast na wyspie, służąc miejscowym kobietom pomocą i wsparciem.

Któregoś popołudnia po skończonych zajęciach postanowiłyśmy odnaleźć budynek Federacji w Miramarze. Nauczyciel z instytutu lingwistyki skierował nas na południe, ale szliśmy w tym kierunku już dobre 20 minut, nie napotkawszy po drodze żadnego znaku ani drogowskazu. W końcu dotarliśmy do budynku ogrodnictwa, którego brama stała szerokim otworem, i weszliśmy do środka, żeby zapytać o dalszą drogę.

Otrząsnąwszy się z początkowego zaskoczenia, kobieta stojąca obok mariposy odłożyła notatki i uśmiechnęła się.

- Czym mogę służyć? - spytała z profesjonalizmem, z którym nie miałam jeszcze do czynienia od przyjazdu na Kubę, oczywiście z wyjątkiem służb nastawionych stricte na turystów. Ale w szklarni poza nami nie było żadnych turystów, przechadzało się tam jedynie kilka tutejszych kobiet, oglądających rośliny.

- Przepraszam, że wasze pojawienie się wywołało u mnie takie zdziwienie, ale jedna z was wygląda łudzaco podobnie do mojej przyjaciółki, która wyprowadziła się dawno temu - to mówiąc, kobieta wskazała palcem Amy.

Pod pojęciem „wyprowadzki” w kraju, w którym ludzie rodzili się, dorastali, a potem umierali w jednym i tym samym miejscu, kryło się coś znacznie poważniejszego, bardziej stałego, a nawet naznaczonego piętnem rozpaczki. Powaga w głosie kobiety podpowiadała mi, że jej przyjaciółka prawdopodobnie uciekła do Stanów Zjednoczonych - wspaniałego kraju możliwości, z którego nie było już powrotu. La Coca-Cola del ol - j vido - Coca-Cola

zapomnienia - mianem tym ludzie na Kubie określali USA, rozmawiając o swoich bliskich w Miami, którym udało się pokonać liczący blisko 150 kilometrów dystans, a następnie stracili kontakt z ojczyzną.

Amy i ja przedstawiłyśmy się, a kobieta nachyliła się, żeby pocałować nas w policzek. Powiedziała, że nazywa się Ludmiła i wybuchnęła śmiechem, kiedy próbowałyśmy powtórzyć jej imię.

- To rosyjskie imię - powiedziała z dumą. - Jak wiecie, Rosjanie wspierali Rewolucję Kubańską i okazali wielką pomoc naszemu narodowi.

Pokiwałam głową, natomiast Amy wydawała się nieco zbита z tropu. Studiowała iberystykę zaledwie semestr i nigdy wcześniej nie była w hiszpańskojęzycznym kraju.

- Możemy rozmawiać po angielsku - zaproponowała Ludmiła, a w jej głosie nie było słyhać nawet cienia kubańskiego akcentu.

- Gdzie się nauczyłaś angielskiego? - spytałam.

- Pracowałam w turystyce - odpowiedziała.

- A teraz jesteś... - Amy gorączkowo szukała właściwego słowa - botanikiem?

- Niezupełnie. Co prawda, lubię przyrodę i rośliny, ale to tylko dorywcza praca popołudniami. Tak naprawdę studiuję księgowość na Uniwersytecie w Hawanie.

- Nieźle ci idzie, jak na dyletantkę - uśmiechnęłam się. - Jesteś prawdziwą kobietą renesansu.

- Tak, ale... - Ludmiła zamilkła na chwilę. - To trochę bardziej skomplikowane.

Miałam nadzieję, że rozwinie tę myśl, ale odwróciła wzrok w stronę mariposy, jak gdyby miała ona coś do dodania.

- Przyszłyście tu z powodu rośliny? - spytała Ludmiła.

Powiedziałyśmy jej, że szukamy Federacji Kobiet Kubańskich, na co Ludmiła znów się uśmiechnęła.

- Wiecie co, nigdy tam nie byłam - powiedziała, przykładając dłoń do ust, jak gdyby jej własne słowa wprawiły ją w zakłopotanie. - Poczekajcie, sprawdzę, czy ktoś wie, gdzie to jest.

Ludmiła podeszła do zielonej drewnianej szopy na samym środku podwórka. Po kilku krokach odwróciła się i pomachała w naszym kierunku.

- Chodźcie! - zawołała. - Przedstawię was wszystkim.

Weszłyśmy do szopy składającej się z dwóch pomieszczeń.

W pierwszym, oprócz starej zardzewiałej kasy stojącej na biurku, nie było żadnych sprzętów. W drugim, pozbawionym okien, na starych krzesłach siedziały dwie kobiety w



towarzystwie mężczyzny. Pograżeni w półmroku, byli zajęci rozmową. Na podłodze leżał wychudzony kundel, który głośno dyszał.

- To moje przyjaciółki, Amy i Lea - przedstawiła nas Ludmiła. Kiedy już ze wszystkimi wymieniliśmy zwyczajowe uściski, spytała: - Czy ktoś z was wie, jak dotrzeć do Federacji Kobiet Kubańskich?

- To gdzieś tutaj - powiedziała jedna z kobiet.

- Chyba na tej ulicy - dodał mężczyzna.

- Musicie iść prosto - stwierdziła druga kobieta.

Ludmiła wzruszyła ramionami. - Więcej nie możemy wam pomóc - powiedziała. Po chwili przypomniała sobie jednak:

- Mogłabym zadzwonić do ciotki. Ona należy do Partii Komunistycznej i wie, gdzie znajdują się wszystkie organizacje rządowe.

Uznałam, że nie należy angażować w poszukiwania kręgów rządowych, podziękowałam więc Ludmile, zapewniając ją, że damy sobie radę. Zaprowadziła nas do wyjścia.

- Wpadnijcie kiedyś pogadać - zaproponowała na pożegnanie.

Poszliśmy dalej, na wprost przez ogród, tak jak zasugerowali współpracownicy Ludmiły, w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby wskazać nam drogę. Uszliśmy jednak zaledwie dwie przecznice od oranżerii, kiedy usłyszałam głos wołający nas po imieniu. Obróciłam się i zobaczyłam biegnącą w naszą stronę Ludmiłę. Zdążyła się przebrać - zamiast zgniętych szortów i szarego bezrękawnika, miała na sobie granatowe dżinsy i białą bluzkę z odkrytymi plecami, kontrastującą z jej ciemną karnacją.

- Czekajcie! - wołała z daleka. - Idę z wami.

- Nie musisz być w pracy? - spytała Amy, kiedy Ludmiła nas dogoniła.

- Nie, w porządku - odpowiedziała. - I tak miałam niebawem kończyć.

- Nie pracujesz na pełny etat? - zapytałam. Była dopiero trzecia po południu.

- To trochę skomplikowane - powtórzyła Ludmiła i zniżając głos, dodała: - Popołudniami wszyscy urywają się z pracy. Para solver sus problemas.

- Jakie problemy? - zainteresowałam się.

Ludmiła potarła palce w geście symbolizującym pieniądze.

- Wszyscy zajmują się swoimi biznesami - powiedziała. - Negocios.

To słowo było jednym z pierwszych, jakich nauczył mnie Alfredo. Negocios oznaczało nielegalne źródło dochodów. Zaliczało się do nich handlowanie cygarami, nauka hiszpańskiego i ściąganie z turystów haraczy za wskazanie im drogi do klubów i restauracji.

Negocios pozwalało zarobić kilka dolarów, a w najgorszym razie pesos, i podreperować w ten sposób domowy budżet, opierający się wyłącznie na minimalnych państwowych płacach.

Alfredo po raz pierwszy opowiedział mi o swoich negocios, kiedy spytałam o parę zniszczonych amerykańskich butów Timberland, w których zawsze chodził. Produkty tej marki były na Kubie nieosiągalne z powodu embarga, a gdyby nawet komuś udało się przeszmuglować je na wyspę, nikogo z jej mieszkańców nie byłoby stać na takie buty. Kiedy więc spytałam Alfreda, skąd je ma, roześmiał się.

- A jak myślisz? Ze sklepu.

- Ale... - nie wiedziałam, jak to powiedzieć. - Czy nie były zbyt drogie?

- Kosztowały pięćdziesiąt pięć dolarów - odparł Alfredo. W jego przypadku stanowiło to równowartość pensji z czterech miesięcy. - Posłuchaj, Lea - mówił coraz wolniej - może ci się wydawać, że to ogromna suma pieniędzy jak na kubańskie warunki, i będziesz miała rację. Cudzoziemcy przeważnie nie potrafią zrozumieć, że nie mamy innego wyjścia. Kiedy byłem nastolatkiem, posiadanie dolarów było zabronione. Gdy przyłapano cię choćby z jednym, lądowałaś w pudle. Potem nagle dolary stały się legalne, a dziś bez nich nikt nie wyobraża sobie tu życia. Robimy więc, co możemy, żeby zdobyć kilka „zielonych”.

- A co ty robiłaś?

- Wszystko. W moim sąsiedztwie mieszkała dziewczyna, która jeździła do Stanów w odwiedziny do ojca. Kiedyś spyta-czy czegoś nie potrzebuję, a ja powiedziałem, że przydałaby mi się nowa para porządnych butów. Wiedziałem, że są drogie, zacząłem więc myśleć o negocios. To było w czasie Okresu Specjalnego i wszyscy rozpychali się łokciami. Przez jakiś czas hodowałem gołębie na dachu domu ojca, ponieważ były one używane do celów religijnych. Miałem też wujka, który pracował w panaderii i codziennie przynosił do domu trochę ciasta, ktoś inny z kolei skombinował trochę sosu pomidorowego i sera. Codziennie po pracy jechałem na rowerze do wujka i wspólnie piekliśmy pizzę, które potem sprzedawałem. Z tego wszystkiego miałem jakiś dochód.

Chciałam spytać Ludmiłę, czy też dorabiała w ten sposób, ale ona sama zadawała nam tyle pytań, że nie mogłam dojść do słowa. Wypytywała mnie i Amy o nasz program, o wrażenia, z pobytu na Kubie i o nasze rodziny. A potem, po krótkiej namowie, opowiedziała nam o swoim życiu. Mieszkała z matką, babcią i młodszym bratem, który miał 18 lat i był jej totalnym przeciwieństwem.

- On należy do innej generacji - machnęła ręką zrezygnowana.

- A ty ile masz lat? - spytałam.

- Dwadzieścia cztery - odpowiedziała i kiedy zobaczyła, że z trudem powstrzymuję

śmiej, dodała: - Wiem, co sobie myślisz. To nie jest duża różnica wieku. Ale kiedy o tym mówię, nie mam na myśli wyłącznie cyferek. Jego życie wygląda zupełnie inaczej niż moje, kiedy wkraczałam w dorosłość. Mój brat spędza czas wyłącznie na ulicy i w klubach, gdzie może poznać jakichś przyjezdnych. Tak samo żyją jego koledzy i koleżanki z klasy. Wszyscy są w tym wzglądzie podobni do siebie jak krople wody.

- A ty? - spytała Amy.

- Ja jestem spokojniejsza. Studiuję i spędzam czas w domu z rodziną. Kiedy miałam osiemnaście lat, na Kubie zalegalizowano dolary amerykańskie. W tych czasach na wyspie nie było jeszcze tylu jineteros. Ludzie żyli z dnia na dzień i nie myśleli o tym, żeby zdobywać świat czy wyjeżdżać z kraju - mówiąc to, ściszyła głos.

- Myślę, że mój brat chce wyjechać - powiedziała.

- Do Stanów? - upewniłam się.

Skinęła głową. Po raz kolejny chciałam ją o to dopytać i po raz kolejny nie dała mi dojść do słowa, zgrabnie zmieniając temat rozmowy na nasze poszukiwania Federacji.

W końcu kilka przecznic dalej znalazłyśmy interesujący nas budynek - elegancką białą willę w stylu kolonialnym, z potężnymi kolumnami. Przed budynkiem stał posąg nagiej kobiety, która wyglądała bardziej jak rzymska syrena niż miejscowa cubana.

W niemal całkowicie opustoszałym holu recepcjonistka poinformowała nas, że dyrektor razem z całym personelem jest na spotkaniu.

- Mogę jednak panie oprowadzić - dodała po chwili, jak gdyby tylko czekała, aż nadarzy się jakaś okazja, żeby opuścić swoje nudne miejsce pracy.

Budynek pochodził z lat 50. Na ścianach w kolorze awo-kado wisiały wyblakłe zdjęcia Fidela Castro i Celi Sánchez, rewolucjonistki, która wspierała swojego wodza w Sierra Maestra u schyłku Rewolucji. W 1980 roku Celia przegrała własną wojnę z rakiem piersi, a jej przedwczesna śmierć uczyniła z niej bohaterką na miarę żeńskiego Che Guevary.

- Mieściła się tu kiedyś prywatna rezydencja, ale właściciele uciekli po zakończeniu Rewolucji - wyjaśniła kobieta, kiedy weszłyśmy do dawnej jadalni, która obecnie służyła do zupełnie innych celów. Na stołach leżały książeczki dla dzieci, a któregoś dnia - wyraziła nadzieję recepcjonistka - miał tu także stanąć komputer.

- Póki co, jest to po prostu miejsce dla kobiet, które chcą się spotkać, porozmawiać o życiu i spróbować sobie pomóc, gdy zajdzie taka potrzeba.

Zatrzymałam się przed wiszącą na ścianie, oprawioną, czarno-białą fotografią Fidela. Przypomniałam sobie, że jeden z moich przyjaciół poprosił mnie, bym mu przywiozła z Kuby zdjęcie, na którym uwiecznię się w towarzystwie kubańskiego przywódcy. Stałam pod

ściana; Fidel był przynajmniej o głowę wyższy ode mnie. Wyciągnęłam aparat i poprosiłam recepcjonistkę, czy mogłaby mi zrobić zdjęcie. Ta jednak pokręciła głową i wybiegła z sali.

Amy wyglądała na zaskoczoną, a Ludmiła na odrobinę zmartwioną. Zanim jednak zdążyłam wykrztusić słowo, recepcjonistka wróciła, ciągnąc za sobą krzesło. Ustawiła je obok Portretu i wyciągnęła rękę po aparat.

- Teraz - powiedziała z dumą, wskazując, bym weszła na krzesło. - Będziecie na tym samym poziomie.

Po skończonym zwiedzaniu usiadłyśmy we trójkę w słońcu na wytartej kanapie.

Spytałam Ludmiłę o billboard z napisem „Teraz i zawsze, kobieta jest Rewolucją”.

- To prawda - powiedziała. - Słyszałam od matki i babki opowieści o tym, jak wyglądało życie przed Rewolucją, jak trudno kobietom było pójść do szkoły. Po Rewolucji wszystko zmieniło się na lepsze. Kobiety są reprezentowane na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Spójrzcie, nie dalej jak tydzień temu odbył się Marsz Kobiet w Obronie Eliána.

- Słyszałam, że kobietom kazano iść na ten marsz - wtrąciła Amy, powtarzając zasłyszana plotkę, która krążyła wśród turystów na Kubie. - Podobno podstawiono autobusy pod każdy zakład pracy i sprawdzano listy obecności.

- Ja nie byłam - powiedziała Ludmiła. - Po prostu nie mogłam. I wątpię, by kogokolwiek przymuszano. Ale to tylko moje zdanie. Jeśli chcecie poznać prawdę o życiu na Kubie, musicie więcej rozmawiać z ludźmi.

Kiedy odruchowo przytaknęłam, na twarzy Ludmiły zagościł promienny uśmiech.

- Może zaczniecie od mojej rodziny? - zasugerowała. - Możecie pójść teraz ze mną i wypytać o wszystko moją matkę i babkę. Na pewno ucieszyłyby się z takiego spotkania.

- Z chęcią - powiedziała Amy. - Ale obiecałam koledze, że za godzinę spotkam się z nim w hotelu.

- Rozumiem - odparła Ludmiła, spoglądając z nadzieją na mnie. - Ale ty chyba możesz?

Kiedy Ludmiła powiedziała, że mieszka w odrestaurowanej dzielnicy Buena Vista, od razu wyobraziłam sobie starszych mężczyzn grających na trąbkach na rogu każdej ulicy. I gdy tak wędrowałyśmy prawie od godziny przez zdewastowaną okolicę, wspomniałam jej o filmie, który podbił serca widzów na całym świecie. Ludmiła powiedziała, że nigdy o nim nie słyszała, a ja zdałam sobie sprawę, że być może obraz Wima Wendersa zyskał większą popularność w Stanach niż na Kubie. Chociaż Buena Vista znajdowała się w granicach administracyjnych Playa – tej samej gminy co Miramar, była zupełnie inna niż pozostałe

części Hawany. Nie było tu ani szerokich, trójpasmowych ulic znanych i Vedado, ani popadających w ruinę eleganckich posiadłości, jak te w Miramarze. Buena Vista wyglądała jak położona na wzgórzu dzielnica nędzy, z małymi domkami zbitymi w kupę, jeden na drugim. Mimo to miała pewien niezwykle urok, zwłaszcza teraz - o zachodzie słońca. Na ulicach panował spokój i cisza. Jedynie z pobliskiego otwartego okna dochodziły dźwięki popularnej piosenki Lou Begi Mambo Number 5.

Wspięliśmy się po trzy poziomowych schodach do domu Ludmiły. Zanim weszliśmy do środka, Ludmiła zwróciła się do mnie przepaszającym tonem: - W domu może być trochę ciemno. Mocne żarówki są teraz bardzo drogie.

Potem otworzyła drzwi do malutkiego, choć schludnego domku. Niebieska lodówka oddzielała aneks kuchenny od jadalni połączonej z salonem. Na nasz widok stara kobieta w fartuchu podniosła się z fotela, który zaskrzypiał przeraźliwie.

- Babciu, to jest moja przyjaciółka Lea - przedstawiła mnie Ludmiła. - Chce lepiej poznać życie kubańskich kobiet.

- W takim razie dobrze trafiłaś - kobieta uśmiechnęła się. - Proszę, usiądź.

Spoczęłam w drugim fotelu, a Ludmiła przyniosła sobie krzesło z kuchni. Nad nami wisiał sześcioramienny żyrandol z jedną żarówką. Z półmroku panującego w kuchni wynurzyła się druga kobieta z chochlą w ręku.

- Ludmiło, czy twoja koleżanka zostanie na obiad? - spytała.

- To moja mama - powiedziała Ludmiła, po czym zwróciła się do matki z zatroskanym wyrazem twarzy: - Ale nie mamy przecież mięsa, prawda?

- W porządku, jestem wegetarianką - uspokoiłam ją.

Matka Ludmiły uśmiechnęła się. Podobnie jak Ludmiła i jej babka, była drobną, szczupłą kobietą, roztaczającą wokół siebie aurę spokoju i dostojeństwa.

- Vegetariana - powtórzyła, akcentując ostatnią literę jakby słowo to pochodziło z języka włoskiego. - Nie mamy ich tu zbyt wielu. Kubańczycy lubią mięso.

- Ale sami jesteśmy teraz prawie wegetarianami - wtrąciła Ludmiła. - Jemy głównie jajka, bo mięso jest zbyt drogie.

- Nadeszły ciężkie czasy, Lea - odezwała się babcia. - Oczywiście przed Rewolucją było jeszcze gorzej - to mówiąc, uszczypnęła się w rękę. Na Kubie był to popularny gest, podkreślający kolor skóry.

- Moja matka całe życie przepracowała na plantacji trzciny cukrowej, a ja pracowałam jako pokojówka, kiedy byłam młoda - ciągnęła dalej. - Pracowałam dla ludzi, którzy mieli mnóstwo pieniędzy i byli bardzo wymagający. Mieszkałam razem z nimi i mogłam

wychodzić z domu tylko raz w tygodniu. Chciałam spróbować czegoś innego, pójść do szkoły, ale nie było takiej możliwości. W tamtych czasach musiałas płacić za naukę.

- Za wszystko trzeba było płacić - z kuchni dobiegł głos matki.

Babcia przytaknęła. Chwilę później do pokoju weszła jeszcze jedna kobieta, równie niska i krzepka z wyglądu jak pozostałe. Miała potargane włosy i ciężko oddychała. Ona także przysunęła krzesło i usiadła koło nas.

- Co za dzień! - wyrzuciła z siebie. - Musiałam wracać na piechotę z pracy, zajęło mi to dwie godziny. Wszystkie autobusy wysłali na prowincję, żeby ściągnąć ludzi na jutrzejszy wiec w obronie Eliana.

- Kolejny wiec? - spytałam.

- Tak - kobieta powtórzyła od niechcenia, po czym spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z mojej obecności. - Kim jesteś?

- To moja nowa przyjaciółka ze Stanów - przedstawiła mnie Ludmiła.

- Ach tak. Witaj, jestem jej siostrą - kobieta wskazała palcem matkę Ludmiły.

- Pani też z nimi mieszka? - zagađnęłam.

- Nie, wpadam tu tylko co jakiś czas.

- Ciotka należy do Partii Komunistycznej - wtajemniczyła mnie Ludmiła. Była to pierwsza osoba zaangażowana politycznie, jaką miałam okazję poznać, przyglądałam jej się więc i ciekawością w poszukiwaniu jakichś oznak tego zaangażowania. Nie bardzo wiedziałam jednak, czego się spodziewać. Czerwonej flagi schowanej w torebce? Chęci dominacji nad innymi? Zdałam sobie sprawę, że żyjąc w kraju kapitalistycznym, w którym uczono nas nienawiści do komunistów, odebrałam solidną lekcję pogardy, której znaczenia tak naprawdę nikt mi nie wyjaśnił. I oto miałam przed sobą prawdziwą komunistkę z krwi i kości. Tak jak my wszystkie, była kobietą zmęczoną sytuacją panującą w kraju, a mimo to wciąż oddaną sprawie, choć jakby z nieco mniejszym przekonaniem. Mało tego, pierwsze pytanie, jakie mi zadała, nie dotyczyło polityki, lecz popkultury. Ciotka Ludmiły była pierwszą osobą na Kubie, która spytała, czy mieszkam blisko Hollywood.

- Uwielbiam kino - wyznała. - Zwłaszcza chińskie filmy kung-fu.

- A ja przepadam za dramataми - włączyła się w rozmowę Ludmiła. - Moje ulubione to Smażone zielone pomidory i Fortepian.

Dyskusję przerwało pojawienie się młodego chłopaka w szortach i za dużym t-shircie. Jak się słusznie domyśliłam, był to brat Ludmiły, którego natychmiast przepytano w kwestii preferencji filmowych.

- Sciencefiction - odparł bez namysłu.

- Ja tam wolę historie o miłości - babcia dorzuciła swoje trzy grosze.

W tym momencie do pokoju wkroczyła matka, niosąc półmisek dymiącego ryżu i drugie naczynie, wypełnione czarną fasolą. Postawiła je na stole i obwieściła: - Moim marzeniem zawsze było wzięcie udziału w ceremonii wręczenia Oscarów.

- A ty, Lea? - zwróciła się do mnie Ludmiła.

- Ja też lubię dramaty - przytaknęłam, na co dziewczyna zareagowała promiennym uśmiechem, jak gdybym tą deklaracją ostatecznie scementowała naszą przyjaźń.

- Chcesz umyć ręce przed obiadem? - spytała.

Zaprowadziła mnie do sypialni, w której stały dwa piętrowe łóżka.

- Wszyscy tu śpimy - wyjaśniła. - Matka z babcią w jednym łóżku, a ja z bratem w drugim.

Obok znajdowała się łazienka. Ludmiła wyjęła spod zlewu małą kostkę różowego mydła. Pod prysznicem, odgrodzonym od reszty łazienki jedynie parawanem, zauważyłam pojedynczą butelkę szamponu. Na oknie suszyła się para postrzępionych koronkowych majtek.

Kiedy wróciłam do salonu, babcia zapraszała już wszystkich do stołu. Matka wniosła trzeci i ostatni półmisek z kapustą za-smażaną z sosem pomidorowym i cebulą. Wszystko pachniało cudownie, zastanawiałam się tylko, czy jedzenia wystarczy na sześć osób.

- Będę się zbierać - oznajmiła ciotka. - Wygląda na to, że autobusy w tej części miasta już kursują.

Pożegnała się ze wszystkimi i wyszła pośpiesznie. Na jej miejscu usiadł brat. Tymczasem babka podsunęła w moją stronę półmisek z fasolą.

- Sonos pobrecitos, Lea - powiedziała. - Bieda u nas piszczy, ale ty jesteś naszym gościem.

Nabrałam małą porcję z każdego z półmisków i jakimś cudem dla nikogo nie zabrakło. Kiedy matka nałożyła sobie fasolę, na dnie zostało jeszcze kilka ziaren. Przez chwilę patrzyła na półmisek, po czym przełożyła na mój talerz to, co zostało.

- Gotowe - powiedziała. - Buen provecho.

Później w trakcie obiadu matka Ludmiły opowiedziała mi o zajęciach informatycznych, na które właśnie się zapisała. Podczas mojego dwupółtygodniowego pobytu na Kubie widziałam do tej pory tylko jeden komputer - poźółkły ze starości Macintosh, na którym blisko pięćdziesiątka studentów odbierała pocztę w Instytucie Lingwistyki José Martíego.

- Gdzie odbywa się ten kurs? - spytałam.

- W centrum Hawany znajduje się centrum komputerowe. Jest tam kilka komputerów podarowanych przez sponsorów. Ich obsługi uczą wynajęci cudzoziemcy. Ale to takie trudne. Chyba nigdy nie nauczę się obsługi komputera.

- Dasz radę. Tú verás. Zobaczysz - powiedziałam, wtrącając kubańskie powiedzonko, którego nauczyłam się ostatnio. Tú verás było swego rodzaju odpowiedzią na Es Cuba, w każdym razie Alfredo używał obydwu powiedzonek z podobną częstotliwością. Jeśli coś nie było do końca pewne, Tú verás oznaczało, że prawdopodobnie uda się to zmienić. W jaki sposób, tego już powiedzonko nie precyzowało. Jednak Kubańczycy, słynący z niepoprawnego życiowego optymizmu, wydawali się tym faktem niewzruszeni.

Także w tym przypadku magiczne zaklęcie, rzecz jasna, poskutkowało. Matka Ludmiły uściśliła mi dłoń i podziękowała za dobre słowo.

Rozejrzałam się po domu, zastanawiając się, co będziemy robić po obiedzie. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Kubańczycy spędzają popołudniami czas w domu. Nigdzie nie widziałam telefonu, zauważyłam natomiast mały telewizor, stojący na półce w kącie pokoju.

- Chcesz obejrzyć zdjęcia? - zaproponowała Ludmiła. Skinęłam głową, a ona zniknęła w sypialni, by po chwili wrócić z niewielkim albumem pełnym czarno-białych fotografii, na których była głównie ona albo jej brat. Na jednym ze zdjęć Ludmiła miała na sobie długą sukienkę z falbankami.

- To była moja quinceanera - powiedziała. Przypomniały mi się opowieści moich kubańskich przyjaciół, opisujące barwne ceremonie z okazji piętnastych urodzin. Miały one podobny charakter jak „słodkie szesnastki” pokolenia mojej babki.

Ludmiła skończyła 15 lat w 1990 roku - w chwili rozpadu Związku Radzieckiego i na krótko przed rozpoczęciem potężnego kryzysu na Kubie. Na zdjęciu widziałam pełną radości nastolatkę. Nic nie zwiastowało zbliżającego się załamania gospodarczego, które wkrótce miało odcisnąć okrutne piętno na życiu większości mieszkańców wyspy. Zdjęcie to było jednym z ostatnich w albumie. Jedna strona na końcu pozostawała pusta.

- To bardzo ładne zdjęcia - powiedziałam Ludmile. Zastanawiałam się jednak, gdzie jest jej ojciec. W sypialni nie było śladu jego obecności, nikt też nie wspominał o nim przy obiedzie. Ludmiła rozejrzała się po pokoju. Przez chwilę myślałam, że zaraz wyciągnie jeszcze jeden album, który rozwieje wszystkie wątpliwości. Ona jednak spytała, czy widziałam libretę.

Kiedy zaprzeczyłam, jej matka wyciągnęła z portfela książeczkę z kartkami.

- Musisz to zobaczyć, jeśli chcesz zrozumieć aktualną sytuację na Kubie - powiedziała.



Libreta była małą książeczką o rozmiarach książeczki czekowej, tylko trochę szerszą. W środku znajdował się adres i dane osobowe rodziny. Potem następowały przydziały na poszczególne artykuły - jajka, pieczywo, kurczaka, szynkę, sól, ziemniaki, ryż, mydło, fasolę i papier toaletowy. Lista tych dóbr była dość krótka, ale Ludmiła uświadomiła mnie, że części z nich w ogóle nie można dostać w sklepach.

- Przed Okresem Specjalnym było inaczej - powiedziała.

- Wszystkiego mieliśmy pod dostatkiem. A teraz, jeśli nawet rzuca jakiś towar na półki, mamy tak mały przydział, że nigdy nam nie wystarcza.

- Wyobraź sobie - dodała babka - na następne dwa tygodnie mamy tylko jedną kostkę mydła dla całej rodziny.

- No es facil. Nie jest nam łatwo - odezwała się matka.

- Czy widziałaś bodegę?

Po raz kolejny zaprzeczyłam. Wiele słyszałam o sklepach na kartki, ale nigdy w żadnym nie byłam.

- Zaprowadzę cię - powiedziała Ludmiła. - I tak musisz tamtędy iść, żeby złapać autobus do hotelu.

Pożegnałam się z całą rodziną, życząc matce powodzenia na kursie komputerowym.

Kiedy jedliśmy kolację, słońce zdążyło już zejść, i wszystkie detale, które widziałam po drodze, teraz kryły się w półmroku. Przeszliśmy kilka przecznic i zatrzymałyśmy się pod zacienionym balkonem.

- Ten dom - Ludmiła ściszyła głos - należy do babalawo, arcykapłana tajemnej afrokubańskiej religii.

Obydwie wpatrywałyśmy się w niego w milczeniu.

- Pewnie teraz pracuje - odezwała się Ludmiła po chwili-

- To też jego negocio. Cudzoziemcy przychodzą tu i płacą kupę forsy w nadziei, że przepowie im przyszłość. Kiedyś mu pomagałam, tłumacząc jego przepowiednie na angielski klientkom» które nie mówiły w żadnym innym języku.

- Czy babalawo ci płacił?

- Nie interesują mnie negocios. Chcę tylko studiować i opiekować się moją rodziną.

- A twój ojciec?

- Rodzice się rozwiedli - Ludmiła z nonszalancją machnęła ręką. - Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek w ogóle się pobrali. Kiedy miałam szesnaście lat, ojciec odszedł. Mieszka godzinę jazdy stąd. Czasem odwiedzam go w czasie wakacji, ale nie mamy dobrego kontaktu.

Zdażyłam już na tyle poznać Ludmiłę, że wiedziałam, kiedy zmienia temat, o którym nie chce rozmawiać.

- Bodega jest tuż za rogiem - powiedziała. - Mam nadzieję, że jest otwarta.

Niestety, sklep był zamknięty. Przez zakratowaną witrynę widać było jedynie pustą ladę i kilka półek.

- Cóż, kiedy jest otwarta, nie wygląda dużo lepiej - podsumowała Ludmiła. - Pomogę ci złapać autobus, żebyś nie zablądziła.

Przekonywałam ją, że to nie będzie konieczne, ale nalegała. Potem z tym samym uporem zapłaciła za mój bilet. W autobusie powiedziała: - Podoba mi się hotel El Bosque. Lubię tam chodzić. Kiedy studiowałam turystykę, chciałam tam pracować.

- Dlaczego nie zrealizowałaś tych planów? - spytałam.

- Tak naprawdę to chciałam zostać prawnikiem - odparła. - Ale tutaj, zanim zaczniesz studia, musisz zdać test z interesującego cię przedmiotu. Ja swój egzamin prawniczy oblałam.

To samo spotkało Alfreda w szkole muzycznej. Ale on, zamiast wybrać inny przedmiot, w ogóle porzucił naukę i trudnił się różnymi dziwnymi pracami, od robotnika do ochroniarza. W końcu udało mu się wejść do świata muzyki tylnymi drzwiami> chociaż jako technik w filharmonii znajdował się po przeciwnej stronie sceny, niż to sobie wcześniej wyobrażał.

~ Z początku nie wiedziałam, co ze sobą zrobić po niezdanym teście - kontynuowała swoją opowieść Ludmiła. - Potem Jednak wszystko się zmieniło. Zalegalizowano dolary, turystyka zaczęła się rozwijać. Pomyślałam więc, że spróbuję. Wydawało mi się, że poznam ludzi z całego świata, no i oczywiście dostanę wyższą pensję, robiąc to niż nie robiąc nic. W rzeczywistości moja praca polegała wyłącznie na sprzątaniu łóżek. Byłam tylko pokojówką, a to mi nie odpowiadało.

Pomyślałam o babce Ludmiły, o jej pracy w charakterze pokojówki i o tym, jak - jej zdaniem - wszystko odmieniło się na lepsze po Rewolucji. W tym momencie przypomniałam sobie dowcip, który opowiedział pewien ekonomista, zaproszony do naszego programu w charakterze gościa: „Na ulicach Hawany pijak zostaje zatrzymany za naruszenie porządku. Policjant zabiera go na komisariat i dzwoni do jego żony, by go stamtąd odebrała.

- Wydaje nam się, że pani mąż oszalał - mówi.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Otóż w dowodzie osobistym pani mąż ma wpisany zawód »lekarz«. Tymczasem on sam przekonuje nas, że pracuje jako portier w Habana Libre, luksusowym hotelu w dzielnicy Vedado.

- Och, teraz rozumiem - odpowiada żona, zanosząc się śmiechem. - Kiedy mój mąż za dużo wypije, cierpi na manię wielkości”.

Pamiętam też pewną nocną rozmowę z Alfredem na temat pieniędzy, którą odbyliśmy w drodze powrotnej do hotelu. Alfredo zżymał się, że policjant zarabia miesięcznie równowartość blisko 40 dolarów, podczas gdy tacy specjaliści, jak nauczyciele czy lekarze, muszą się zadowolić 12 dolarami.

Chociaż było ciemno, wyobrażałam sobie wtedy wyraz twarzy Alfreda. Oczywiście wyobraźni widziałam jego zmarszczone brwi i rozszerzone, pełne gniewu ciemne oczy. Często zdarzało mu się zbaczać z pierwotnego tematu rozmowy tylko po to, żeby sobie trochę ponarzekać. Zarzekał się wprawdzie, że nie chce tego robić przy mnie, ale z reguły i tak wpadał w te swoje malkontenckie nastroje, tak dobrze znane większości jego rodaków.

Wbrew temu, czego nasłuchiwałam się w Stanach, jakoby Kubańcy bali się szkalować swoich przywódców, w rzeczywistości okazali się oni dużo bardziej szczerzy i krytyczni wobec elit władzy niż wielu Amerykanów. Mieli też znacznie wyższe wymagania jako społeczeństwo od innych narodów, które miałam okazję poznać. Narzekali niemal na wszystko - na śmieci na ulicach, tłok w komunikacji miejskiej, różnice w wynagrodzeniach.

Tamtej nocy miałam już jednak dość narzekania.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się uskarżacie - powiedziałam Alfredowi. - W wielu miejscach na świecie jest dużo gorzej niż u was. Kiedy pracowałam w gazecie, wszyscy zatrudnieni w niej dziennikarze spędzili wiele lat na nauce. Tymczasem nasi koledzy z branży reklamowej praktycznie bez żadnego wykształcenia zarabiali przynajmniej dwa razy tyle co my. Podobnie właściciele fabryk - zatruwający środowisko, wyzyskujący swoich pracowników i płacący im minimalne stawki - sami obrastali w bogactwo...

Kiedy myślałam nad kolejnym ewidentnym przykładem rażącej niesprawiedliwości ekonomicznej, Alfredo położył mi rękę na ramieniu, zatrzymał w miejscu i obrócił twarzą do siebie.

- Posłuchaj, Lea - powiedział, po czym w trzech zwięzłych zdaniach wyjaśnił mi istotę problemu, której nie potrafiłam dostrzec: - Ty żyjesz w kapitalistycznym świecie. Ale tutaj, na Kubie, obiecano nam coś lepszego. Obiecano nam socjalizm.

Kiedy autobus zatrzymał się przed hotelem El Bosque, nie mogąc zaprosić Ludmiły do środka, zaproponowałam jej krótki spacer w stronę przystanku, z którego odjeżdżały autobusy do Buena Visty.

- Ależ nie, nie trzeba. Pójdę sama - zapewniła mnie, dodając szybko: - Lubię chodzić.

Uzmysłowiłam sobie, że może nie ma już pieniędzy na bilet Powrotny do domu. W

końcu zapłaciła za nas obie w tę stronę.

Było już za późno na spacer do domu, zwłaszcza w tych zdartych chodakach, które miała na nogach. Poruszała się w nich w tempie 80-letniej staruszki.

- Która godzina? - spytałam, spoglądając na elektroniczny zegarek, który Ludmiła miała na ręce. Na wyświetlaczu nie było nic widać. Zegarek był ciemny jak otaczająca nas noc.

- Bateria się wyczerpała. Ale noszę go i tak, dla dekoracji - powiedziała. Potem pocałowała mnie na pożegnanie i ruszyła w swoją stronę. Ale po kilku krokach stukot jej chodaków ucichł. Odwróciła się w moją stronę, a potem postukała w zegarek z zaskoczonym wyrazem twarzy, jak gdyby zapomniała, co chciała powiedzieć. Pomachała mi raz jeszcze i zanim odwróciła się z powrotem, by zniknąć w ciemności, powiedziała głosem tak cichym, że nie byłam pewna, czy mówi do mnie, czy do siebie: - Dam sobie radę.

## Rozdział V

### Miłość na basenie

Następnego dnia niemal w tym samym miejscu w Miramarze, w którym spotkałam Ludmiłę, poznałam nową przyjaciółkę. Tym razem była nią nad wiek rozwinięta dziewięcioletka, która, nie marnując okazji, przyczepiła się do mnie.

- Co robisz? - spytała, podchodząc do mnie, kiedy stałam przed pizzerią. Miała na sobie szkolny mundur w kolorach kubańskiej flagi, składający się z czerwonego sweterka, białej bluzki i niebieskiej chusty, zawiązanej ciasno wokół szyi.

Jadłam właśnie popołudniową „uliczną pizzę”. Nazywałyśmy tak z Amy ociekającą tłuszczem mieszankę niedopieczonego ciasta, rozwodnionego sosu pomidorowego i sztucznego sera, którą sprzedawano wprost z witryny lub po prostu przez wycięty w ścianie otwór imitujący okienko. Kubańskie pizzerie - jedne z nielicznych przykładów prywatnego biznesu, zalegalizowanych w 1993 roku - nie miały stałych pór otwarcia. W niektóre dni były czynne od 7.00 rano, w inne od 11.00 wieczorem, a w jeszcze inne - w ogóle.

Kiedy czekałam na pizzę, z reguły zaglądałam do środka lokalu, przyglądając się, w jakich warunkach jest przygotowywana. Przez okienka widziałam czyste, skromnie urządzone kuchnie, a w głębi słabo oświetlone sale jadalne. Najczęściej na ścianach wisiały czarno-białe rodzinne fotografie, stanowiące obowiązkowy element wyposażenia, obok kilku rozchwianych stolików i obowiązkowej kolekcji pustych butelek po rumie, które Kubańczycy ustawiali na podłodze lub na telewizorze, prezentując je z nie mniejszą dumą niż Amerykanie swoje nie-odkorkowane butelki po winie, leżakujące w gustownych mahoniowych koszykach.

Kiedy już podano mi kawałek pizzy na imitującym talerz kawałku brązowego papierowego ręcznika, stałam na śmierdzącej ulicy razem z innymi ludźmi, składającymi swoje pizze za 25 centów w półksiężyc i wyciskającymi nadmiar oleju na chodnik, tak aby posiłek był smaczniejszy.

Nagle ktoś podszedł do mnie i zapytał, starając się zgadnąć kraj mojego pochodzenia:

- Hiszpania? Francja? Anglaterra? Italia?

Już na samym początku mojej przygody z Kubą nauczyłam się, że jest to swoisty rytuał przejścia, któremu wszyscy cudzoziemcy musieli wielokrotnie stawić czoło.

Kręciłam głową, czekając cierpliwie, aż skończą się wszystkie kraje zachodnioeuropejskie, po czym nastąpi wyliczanka kilku państw Europy Wschodniej, aż w końcu nastąpi płynne przejście na kontynent południowoamerykański. Nikt nigdy nie zadał

mi pytania, czy jestem ze Stanów Zjednoczonych. Przez kilka pierwszych dni, zanim znudziła mi się ta zabawa w zgadywanie, czekałam cierpliwie do ostatniej minuty, do znajdujących się na końcu stawki Argentina? Uruguay?, zanim ujawniłam swoją prawdziwą tożsamość.

- Och! - Kubańczycy nie posiadali się ze zdumienia. - Amerykanka? Naprawdę?

Tymczasem dziewczynka z tornistrem na plecach już za pierwszym razem odkryła zaskakującą prawdę.

- Czy widziałas Eliana? - spytała.

- Eliana? - powtórzyłam jak echo.

- Którego dnia pojedę do Stanów i sprowadzę go z powrotem - poinformowała mnie zdecydowanym głosem, w którym słychać było determinację.

- Co tutaj robisz? - dziewczynka kontynuowała przesłuchanie.

- Uczę się hiszpańskiego - odparłam w nadziei, że moja misja okaże się co najmniej tak samo ważna jak jej. - To mój ostatni tydzień zajęć. Potem prawdopodobnie zwiedzę Kubę w towarzystwie przyjaciela.

Dziewczynka pokiwała głową. Moje plany nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

- A teraz? - spytała, wpatrując się we mnie karmelowymi oczyma. Miała typową, śliczną kubańską urodę - skórę o prawie wszystkich możliwych odcieniach i włosy na wpół murzyńskie - skręcone i czarne, na wpół złocistobrązowe. - Co zamierzasz robić, kiedy zjesz pizzę?

- Szczerze mówiąc, miałam w planach powrót do hotelu.

- Czy mogę pójść z tobą? Może spędzimy razem popołudnie?

- A nie musisz wracać do szkoły? Jest dopiero wpół do pierwszej.

- Nie, nie - w jej głosie słychać było tę samą nonszalancję, z którą Ludmiła opuściła swoje stanowisko pracy, aby pójść razem ze mną i Amy do Federacji Kobiet Kubańskich. - Po południu mamy tylko zajęcia plastyczne.

Spojrzałam na nią z wahaniem.

- Proszę... - dziewczynka nalegała błagalnym tonem, splatając dłonie jak do modlitwy. Potem odwróciła się i wskazała palcem na ulicę. - Tam jest moja mama, rozmawia z koleżanką. Spytam, czy się zgodzi.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, dziewczynka już biegła w stronę dwóch kobiet plotkujących na środku chodnika. Wzięła je za ręce i przyprowadziła do mnie. Kobiety przedstawiły się i powiedziały mi, że dziewczynka ma na imię Guelmis. A potem, nim znów wykrztusiłam słowo powitania, już ich nie było. Matka Guelmis, przechodząc przez ulicę, zawołała jeszcze: - Bawcie się dobrze! Opiekuj się moją córką.

Kiedy wracałyśmy taksówką do hotelu El Bosque, z początku nie mogłam uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. A potem, zastanawiając się, jak spędzę czas z Guelmis, pomyślałam o basenie. Kubańczycy widziani w hotelowym holu byli rutynowo przepytywani, w jakim celu się tu znaleźli, natomiast, o dziwo, nikt ich nie niepokoił, kiedy przechodzili przez recepcję, kierując się w stronę basenu.

- Masz kostium kąpielowy? - spytałam Guelmis.

Przytaknęła, a potem nagle, bez słowa wyjaśnienia kazała taksówkarzowi się zatrzymać.

- Mieszkam tuż obok - powiedziała, kiedy samochód stanął z piskiem opon. - Muszę wysiąść - poinformowała mnie, otwierając drzwi. - Ale zaraz wracam, więc nigdzie się stąd nie ruszaj.

Zniknęła za rogiem, po czym - dosłownie po kilku sekundach - wróciła, niosąc w ręku czerwony kostium.

Miałam nadzieję, że w hotelu zastanę Amaury'ego, z którym chciałam porozmawiać na temat możliwości ponownego wypożyczenia roweru, ale jego miejsce zajął jakiś inny boy. Nie pozwolił Guelmis przebrać się w moim pokoju, więc dziewczynka założyła kostium w łazience w holu. Ja tymczasem poszłam na górę, wściekła z powodu kolejnego przykładu dyskryminacji Kubańczyków przez swoich rodaków. Przypomniałam sobie przy okazji, jak kilka dni wcześniej Alfredo powiedział mi, że z reguły dzwoniąc do mnie przez recepcję, mówi z argentyńskim akcentem. Kiedy spytałam dlaczego, powiedział, że w przeciwnym razie recepcjonistka odłożyłaby słuchawkę.

- Kiedyś jakaś kobieta powiedziała mi, że w hotelu nie mieszka nikt o imieniu Lea. Gdyby nie wiedzieli, że jestem tutejszy, natychmiast by mnie z tobą połączyli.

- Dlaczego tak się dzieje? - spytałam.

- Niektórzy uważają, że z tego samego powodu, dla którego nie możemy podróżować - odparł Alfredo. - Podobno władze zabraniają nam rozmawiać z turystami, ponieważ obawiają się, że nasłuchamy się zbyt wiele o życiu w innych krajach i przestanie nam się tu podobać.

- W Stanach są tacy, którzy myślą dokładnie tak samo - uśmiechnęłam się.

- Jak to? - Alfredo osłupiał. - Co jest tutaj takiego, co wy chcielibyście mieć u siebie?

- Ludzie mówią, że nasz rząd obawia się, iż zaczniemy pytać na przykład o służbę zdrowia. „Dlaczego my musimy płacić za ubezpieczenie zdrowotne? Dlaczego tam mają bezpłatne szkolnictwo?”. A ty, jak sądzisz?

- O czym? O moim kraju czy o twoim?

- O obydwu. I każdym z osobna.

- Myśle... - Alfredo zrobił pauzę, wpatrując się w jakiś odległy punkt. - Myśle, że to bez sensu. Nie widzę powodu, dla którego wy nie mielibyście tu przyjeżdżać, a my podróżować po świecie. I wchodzić swobodnie do tutejszych hoteli.

Pomimo lekceważącego tonu odpowiedzi Alfreda byłam przekonana, że jednak musi być jakiś powód i za wszelką cenę starałam się go poznać, rozmawiając z mieszkańcami Kuby. Kilka osób powiedziało mi, że Kubańczykom nie wolno przebywać w hotelach dla turystów, ponieważ rząd obawia się o bezpieczeństwo przyjezdnych i nie chce ich narażać na kontakty z jineteros. Inni twierdzili natomiast, że turystyczny apartheid miał na celu ochronę samych Kubańczyków - stał na straży ich godności, zapobiegając prostytucji, która szalała na Kubie przed Rewolucją, potem została zakazana, a w ostatnich latach - mimo iż wciąż nielegalna - stopniowo, lecz konsekwentnie wracała do łask.

Prawdę mówiąc, w ciągu trzech ostatnich tygodni mojego pobytu na Kubie nie widziałam zbyt wielu prostytutek. Jednak prawdziwa rozpusta kryła się pozornie niezauważona w anonimowych miejscach, dwuznacznych słowach, kuszących gestach. Każdego wieczoru na rogach hawańskich ulic, przed klubami, w których turyści tańczyli salsę i bawili się za dolary, ustawiały się kolejki cubanas. Wszystkie te kobiety czekały na swoją szczęśliwą gwiazdę - cudzoziemca, który zaprosi je na tańce. W zamian oferowały wieczór pełen iście kubańskich wrażeń, a być może - w zależności od tego, jak bardzo czuły się docenione i atrakcyjne - także coś więcej.

Wiele kubańskich kobiet czuło się wręcz zobowiązanych, by okazać wdzięczność swojemu sponsorowi i nie uważały tego ani za jednorazową przygodę, ani też za prostytucję w klasycznym rozumieniu tego słowa. Większość relacji, jakie zaobserwowałam pomiędzy Kubankami i turystami z Zachodu, wydawała się mocno niejednoznaczna.

Dobrym przykładem był dzisiejszy dzień na basenie. Na Pierwszy rzut oka wyglądało to jak typowa sielankowa scena żywcem wyjęta z turystycznego folderu - pary wylegające się w słońcu i popijające egzotyczne drinki. Kiedy się jednak przyjrzeć bliżej, można było zauważyć, iż niemal każda taka para składała się z atrakcyjnej smukłej dziewczyny w wieku najwyżej 20 lat o afrokubańskiej urodzie oraz zarośniętego, brzuchatego cudzoziemca, który spokojnie mógłby być jej ojcem.

Gdyby te dziewczyny były faktycznie prostytutkami, nie pozwolono by im przekroczyć progu hotelu El Bosque, nawet pomimo złagodzonych rygorów korzystania z basenu. Ale żadna z nich oficjalnie nie trudniła się nierządem i bez jasno sprecyzowanej sytuacji, w której każda ze stron wie, w co się pakuje, trudno było się w tym wszystkim



połapać.

Poza kilkoma mokrymi facetami, rozmawiającymi na głos ze swoimi kubańskimi lolitkami w językach, których ani one, ani ja nie byłyśmy w stanie zrozumieć, zauważyłam na basenie dwie dziewczyny z mojego programu w towarzystwie latynoskich kochanków. Melanie była z Władimirem, swoim chłopakiem poznanym zaledwie dwa tygodnie temu. Po tygodniu Melanie wprowadziła się do domu Władimira i zamieszkała z jego rodziną, na którą bez przerwy narzekała, oskarżając wszystkich domowników o wyłudzenie od niej pieniędzy. Drugą dziewczyną była Emily, 19-letnia Brytyjka, która również niedawno poderwała pewnego chłopaka i, tak jak Melanie, wprowadziła się do niego. Armando, bo tak miał na imię amant Emily, planował wyjazd z Kuby i jak najszybszy ślub ze swoją nową dziewczyną, która mogła okazać się dla niego przepustką do wielkiego świata.

Podczas trwającego dwa tygodnie kursu znalazło się także kilkoro innych amatorów romansów, którzy teraz wylegiwali się nad basenem w towarzystwie swoich kubańskich partnerów. Były tam między innymi dwie kobiety, które zakochały się w swoich instruktorach tańca, ci zaś w niespełna tydzień od ich wyjazdu bez problemu znaleźli sobie nowe obiekty pożądania w kolejnej grupie kursantów. Widziałam też żonatego mężczyznę, który regularnie odwiedzał hotelowy basen ze swoją młodszą latynoską kochanką.

W przypadku wszystkich tych związków Amerykanie kupowali swoim ukochanym i ich rodzinom prezenty w postaci ubrań, żywności i kosmetyków. Zabierali je także do drogich restauracji, wozili pożyczonymi samochodami i wspólnie zwiedzali odległe zakątki wyspy. Żegnając się, obiecywali pozostać w kontakcie, po czym wsiadali do samolotu i wracali do swojego prawdziwego życia.

Być może część uczestników kursu łudziła się, że kiedyś tu wróci i odzyska straconą miłość. Może niektórzy starsi panowie z nadwagą byli faktycznie przekonani, że piękne Kubanki, z którymi pływali w basenie, naprawdę widziały w nich coś więcej niż tylko wypchane portfele. Kto wie, może nawet tak było. Miałam jednak wrażenie, że w każdym z tych związków ktoś wykorzystuje swoją przewagę. Tylko nie zawsze było jasne, kto tak naprawdę jest górą.

Jednego byłam pewna. Te codzienne scenki rodzajowe, które obserwowałam przy hotelowym basenie, potwierdzały jedynie moje obawy co do romantycznych związków z Kubańczykami. To, co łączyło mnie z Alfredem, w niczym nie odbiegało od ulotnych hotelowych romansów i kazało mi trzymać się na dystans. W mojej głowie paliło się ostrzegawcze światełko, które podpowiadało mi, jak to się może skończyć.

Kiedy ja rozmyślałam nad zawilnością stosunków łączących mieszkańców Kuby i

resztę świata, Guelmis nurkowała w basenie, nieświadoma złamanych serc i kłamstw, jakie rozgrywały się wokół. Na chwilę przyłączyła się do gry w waterpolo, a kiedy kubańska orkiestra, która każdego wieczoru grała tuż za hotelem, zaczęła swój codzienny recital, dziewczynka odtańczyła solową partię salsy na stopniach basenu.

Gdy zegar wiszący nad barem wybił piątą, powiedziałam Guelmis, że powinnam zabrać ją do domu.

- Do domu? - dziecko było niepokieszone. - Nie chcę jeszcze wracać. Dobrze mi tutaj.

- Ale przecież musisz kiedyś wrócić - starałam się ją przekonać. - Nie chcę, żeby twoja mama się martwiła.

- Martwiła? O co? - Guelmis zdziwiła się. - Przecież wie, jestem z tobą.

Roześmiałam się, zaskoczona logiką wypowiedzi 9-letniej dziewczynki, a także prostotą i poczuciem bezpieczeństwa panującym na Kubie. Pomyślałam o życiu w USA i o artykule w jakiejś gazecie, który niedawno przeczytałam. Było w nim napisane, że większość dzieci, które mieszkają zbyt blisko szkoły, by jeździć na zajęcia szkolnym autobusem, zamiast chodzić na piechotę, jest podwożona przez rodziców. Rodzice ci boją się, że po drodze do szkoły, oddalanej od domu o trzy-cztery przecznice, ich pociechy mogą zostać porwane.

Powiedziałam Guelmis, że mam plany na wieczór.

- Och - powiedziała poważnym, zaskakująco dorośle brzmiącym głosem. - Idziesz na randkę?

- Coś w tym stylu - odpowiedziałam. Umówiłam się z Alfredem na koncert w filharmonii.

- W takim razie uważaj na siebie - powiedziała Guelmis z tajemniczym uśmiechem.

- Los cubanos son candela.

Candela. Kolejne popularne słówko, którego nauczyłam się już wcześniej od Alfreda. W zależności od kontekstu, miało ono wiele znaczeń. Oznaczało rozterkę, trudną sytuację lub niebezpieczeństwo. W wolnym tłumaczeniu zdanie, które wypowiedziała Guelmis, brzmiało mniej więcej: „Kubańscy faceci oznaczają kłopoty”.

## Rozdział VI

### Los Cubanos Son Candela

Idąc na spotkanie z Alfredem, minęłam starszego mężczyznę sprzedającego „Granmę”, rządową gazetę kubańską. Nosiła ona swą nazwę od nazwy jachtu, na którym Fidel w 1956 roku dokonał drugiej nieudanej próby obalenia prezydenta Batisty. Gdzieś tam podśmiewano się, że gazeta była takim samym niewypałem, jak burzliwy rewolucyjny rejs z Mexico City, gdzie Fidel żył na emigracji. Na pokładzie statku znalazło się 82 niedoświadczonych żeglarzy, którzy - jak cytuje Che Guevarę w swojej książce zatytułowanej Fidel: portret krytyczny Tad Szulc - „mieli na twarzach wypisane cierpienie, trzymali się za brzuchy, niektórzy z głowami w wiadrach... Ich ubrania były przesiąknięte wymiocinami”.

Być może dlatego większość ludzi wypowiadających się na temat „Granmy” przyznawała, że gazeta najlepiej sprawdza się w roli papieru toaletowego.

Codziennie o 9.00 rano, jakieś 45 minut po tym, jak „Granda” lądowała w kioskach, w całym mieście nie można już było jej dostać. Na Kubie brakowało papieru, nie było też wystarczającej liczby maszyn drukarskich, żeby zrobić dodruk, dlatego rząd uchwalił dekret ograniczający liczbę gazet do jednego egzemplarza na głowę.

Zanim jeszcze „Granma” trafiała do kiosków, na ulicy ustawiały się po nią tłumy ludzi dopytujących się: El último?

Mnie osobiście pytanie, kto jest ostatni w kolejce, wydawało się równie oczywiste, co głupie. Ale na Kubie, gdzie kolejki były czymś bardziej powszednim niż to, za czym się tworzyły - żywność, bilety na koncert, czy gazeta - sama idea stania w ogonku uległa transformacji, tak aby ludzie w niej stojący mogli wykonywać większość normalnych, codziennych czynności. Oczywiście istniało pewne ryzyko, kiedy szło się odwiedzić przyjaciela po tym, jak już dowiedzieliśmy się, kto jest ostatni, ale było to ryzyko czysto teoretyczne - z reguły po powrocie miejsce było nadal wolne. Ktoś mógł wprawdzie przyjść pod naszą nieobecność i spytać: El último! Wtedy inni szybko odpowiadali mu, że el último musiał na chwilę wyjść z kolejki. Wtedy taki delikwent ustawiał się posłusznie za pen último, czyli przedostatnim, i grzecznie robił ci miejsce, kiedy wróciłaś i przedstawiałaś się jako último.

Większość ludzi spędzających poranki w kolejkach byli to ludzie starsi, emeryci, którzy reglamentację gazety przekuwali na swoją korzyść. W warunkach socjalistycznych

udało im się jakoś osiąść kapitalistyczne zwyczaje rynkowe. Chwilę po tym, jak odebrali upragnioną gazetę, wracali na koniec kolejki. W ten sposób po kilku godzinach, kiedy nakład się wyczerpał, mieli w ręku kilka lub kilkanaście egzemplarzy gazety cieszącej się ogromną popularnością i zerowym szacunkiem, które następnie odsprzedawali w ciągu dnia za jedno peso - czyli pięć razy drożej niż za nią zapłacili.

Kiedy skręcałam z 23. ulicy w stronę dzielnicy mieszkaniowej Vedado, w której mieszkał Alfredo, uliczni sprzedawcy „Granmy” zniknęli, podobnie jak taksówki i towarzyszący im gwar hawańskich korków. Względny spokój panujący na ocienionych, szerokich ulicach Vedado przypomniał mi o nocnych powrotach z Alfredem do hotelu El Bosque. Lubiłam te wspólne przechadzki, ale tym razem, kiedy Alfredo zadzwonił, pytając, o której może po mnie wpaść (przeważnie chodziliśmy razem do filharmonii), powiedziałam mu, że spotkamy się na miejscu.

Ostatnio zdałam sobie sprawę, że większość czasu spędzam albo z uczestnikami kursu, albo w towarzystwie Alfreda. Brakowało mi samotności i tego wyjątkowego kontaktu z otoczeniem, który mogłam poczuć tylko w jeden sposób - wędrując w pojedynkę ulicami obcego miasta.

Dotarłam do filharmonii pół godziny przed czasem i rozglądałam się w tłumie, wypatrując charakterystycznych dredów Alfreda. Tego wieczoru grał Rey Guerra, popularny kubański gitarzysta, nic więc dziwnego, że kolejka chętnych do wysłuchania jego recitalu ciągnęła się od kasy znajdującej się wewnątrz budynku aż na ulicę.

W Stanach nigdy nie byłam w filharmonii - odstraszały mnie wysokie ceny biletów i snobistyczny klimat panujący wśród odzianych w eleganckie czarne stroje wielbicieli muzyki klasycznej. Za to w filharmonii kubańskiej czułam się jak w domu. Podczas gdy większość turystów wybierała kluby z muzyką salsa, automatycznie windując ceny i zmieniając charakter klienteli tego typu lokali, kubańskie dzieła filmowe i teatralne przyciągały wyłącznie miejscową ludność. Na bilet do filharmonii, który kosztował zaledwie 25 centów, stać było każdego - od ubranej w dzinsy studenckiej bohemy do kobiet w wieczorowych kreacjach i rodziny z płaczącymi dziećmi na rękach.

Alfredo miał do dyspozycji po trzy bilety na każdy koncert, dał mi więc wolną rękę i zapraszał na wszystkie imprezy, jakie miały miejsce w jego filharmonii. Poprzedniego wieczoru wydawał się szczególnie podekscytowany dzisiejszym spektaklem.

- Jak już się skończy, mam dla ciebie niespodziankę - zdradził.

A teraz wołał mnie ze swojego punktu widokowego na szczycie marmurowych schodów prowadzących do filharmonii, z dala od kłębiącego się tłumu. Pomimo panującego

upału miał na sobie tweedową marynarkę. Jej rękawy były zbyt szerokie jak na szczupłą sylwetkę Alfreda i gdy machał do mnie ręką, Podjeżdżały mu w górę aż do łokci. W miarę jak się zbliżałam, widziałam krople potu kapiące mu z twarzy i karku na kołnierz zapiętej pod szyję białej koszuli. Pocałował mnie słonymi ustami, a Potem wmieszczyliśmy się w tłum i weszliśmy do środka.

Kiedy znaleźliśmy się w klimatyzowanym korytarzu prowadzącym do windy, zrobiło mi się zimno. Poczulałam też, że cała lepię się od potu. Alfredo pozdrawiał po drodze swoich kolegów z pracy, a oni odwzajemniali ten gest, przybijając mu „piątkę”. Jedna z kobiet zachichotała, szepcząc dwuznacznie: - Witaj, Alfredito!

Alfredo nie był wysokim mężczyzną, mierzył tylko nieco ponad 160 centymetrów. Jednak bez względu na wzrost wszyscy faceci na Kubie byli nazywani zdrobniale, z przyrostkiem - ito na końcu. Jego przyjaciel, o imieniu Abilio, wysokie jak dąb chłopisko, do którego Alfredo zwracał się czasem El Grandę, miał przydomek Mamito. Kiedyś spytałam Mamita, co znaczy jego przezwisko, ale nie zrozumiałam odpowiedzi. Kilka razy próbowałam nawiązać rozmowę z kolegami Alfreda, ci jednak albo mówili za szybko, albo wydawali się speszeni moją obecnością i nie wiedzieli, jak się do mnie zwracać, ani co powiedzieć. Jeden z nich spytał mnie kiedyś, czy mówię po hiszpańsku, co wywołało moje oburzenie - nie chciałam nawet myśleć, o jaki rodzaj kontaktów podejrzewają mnie z Alfredem, który nie rozumiał ani słowa po angielsku. Zastanawiałam się też wielokrotnie, czy kobiety, które chichotały, kiedy przechodziliśmy obok, nabijały się ze mnie, czy może był to jakiś żart, którego znaczenia nie rozumiałam. A może wesołość wzbudzał sam fakt, że byliśmy kolejną parą kubańsko-amerykańską w tym diabelskim kraju, do którego moim rodakom nie wolno było ot, tak sobie przyjeżdżać.

Nie inaczej było tego wieczoru. Kiedy wsiedliśmy do windy, farbowana na blond bileterka zachichotała, po czym puściła oczko do Alfreda.

- Dlaczego to zrobiła? - spytałam.

- Ciesz się, że mam dziewczynę - odpowiedział Alfredo, obejmując mnie, kiedy drzwi windy zamknęły się. Zanim wjechaliśmy na drugie piętro, zerknęłam na nasze odbicie w lustrze windy. Czy wyglądaliśmy razem komicznie? Oboje byliśmy wprawdzie bardzo szczupli, nie zmieniało to jednak faktu, że pod względem wyglądu należeliśmy do dwóch zupełnie różnych światów. Ja miałam długi, typowo żydowski nos, Alfredo - krótki i rozszerzający się u dołu, jak u Che Guevary. Moja karnacja nawet w żarze największych tropików pozostawała jasna, za to skóra Alfreda miała głęboki czarny odcień. Miałam szerokie brwi, jego były cienkie jak ołówek. Moje falujące brązowe włosy wyglądały na

ciemny blond i wydawały się zupełnie proste w porównaniu ze skrzyconą czarną czupryną mojego towarzysza - jego dredy wydawały się sterceć niczym anteny we wszystkich możliwych kierunkach. Alfredo zauważył, że gapię się w lustro i uśmiechnął się do mojego odbicia, nachylając się bliżej, jak gdybyśmy pozowali do zdjęcia.

Alfredo był zajęty w trakcie koncertu, dlatego odprowadził mnie na miejsce i pocałował na do widzenia, po czym zniknął za sceną. Po chwili jednak usłyszałam delikatne stukanie dochodzące z prawej strony sceny. Kiedy spojrzałam w tamtym kierunku, zobaczyłam, że uśmiecha się i macha do mnie zza pudła rezonansowego. Odwzajemniłam uśmiech. Od tej pory, za każdym razem, gdy patrzyłam w tamtą stronę, widziałam, jak mnie obserwuje rozpromieniony. Trochę mnie to krępowało, więc w końcu przestałam patrzeć. Kiedy kurtyna powędrowała w górę i na scenie pojawił się Rey Guerra, oparłam się wygodniej w fotelu i dałam się ponieść muzyce, rozmyślając o tym, co jeszcze czeka mnie w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Po zakończeniu programu zamierzałyśmy razem z Amy zapisać się na dodatkowy, dwutygodniowy kurs hiszpańskiego organizowany przez Uniwersytet w Hawanie. A ostatnie dwa tygodnie marca chciałyśmy spędzić, podróżując po wschodniej części wyspy, tak aby na początku kwietnia wrócić do Stanów. Dojrzałam już do tego, by opuścić Hawanę. Chciałam się przekonać, czy życie na prowincji wygląda tak samo jak w stolicy kraju. Pomysł podchwyciła dwójka naszych kubańskich przyjaciół. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżali z miasta, dlatego postanowili skorzystać z okazji i przyłączyć się do nas.

Ludmiła chciała zobaczyć mauzoleum Che Guevary w miejscowości Santa Clara. Było to miejsce pochówku słynnego rewolucjonisty, którego prochy zostały tu przywiezione z Boliwii. Alfredo zamierzał z kolei odwiedzić Santiago, drugie pod względem wielkości miasto Kuby, gdzie w górach Sierra Maestra podczas Rewolucji ukrywali się powstańcy pod wodzą Fidela Castro.

Jeśli chodzi o mnie, to nie uśmiechało mi się podróżowanie w większej grupie. Amy też nie była zachwycona tym pomysłem. Poza tym kończyły nam się pieniądze, a zdobycie dodatkowych funduszy na Kubie było dla obywatela Stanów Zjednoczonych nie lada wyzwaniem. Nie można było wykorzystać amerykańskich kart kredytowych ani czeków podróżnych. Nieliczne bankomaty, znajdujące się w kilku największych hotelach, również nie obsługiwały naszych banków. W drugą stronę było podobnie. Tylko największe agencje prasowe w USA miały możliwość przesyłania pieniędzy na Kubę. Dlatego najpewniejszym, najszybszym, a nierzadko także najtańszym sposobem było wysłanie gotówki bezpośrednio przez kuriera. Gdyby Ludmiła i Alfredo pojechali z nami, musiałybyśmy za wszystko płacić

ze swoich pieniędzy, ponieważ ich kubańskie pensje wystarczały jedynie na pokrycie podstawowych kosztów utrzymania, a i to nie zawsze.

Cała ta sytuacja między mną a moimi kubańskimi przyjaciółmi rodziła wiele niejasności i niedomówień. Zasadniczo to ja płaciłam za wszystko, co razem robiliśmy, Kubańczycy odwracali tylko wzrok, nie mówiąc nigdy „dziękuję”. Z kolei, gdy ja próbowałam im za coś podziękować, odrzucali moją wdzięczność, mówiąc: „No hay de nada, mi amor”. To drobiazg, kochanie. Na Kubie okazywanie drugiej osobie wdzięczności było uważane za nietakt, wskazywało bowiem, że jej uprzejmość była czymś nadzwyczajnym.

Duma brała tu górę zarówno nad dobrymi manierami, jak i męskością. I to w kraju, w którym - pomimo pozornej porewolucyjnej emancypacji kobiet - mężczyźni nadal za wszystko płacili.

Amy i ja postanowiłyśmy wziąć ze sobą tylko Alfreda i podzielić koszty związane z jego wyżywieniem, zakwaterowaniem i transportem po równo między siebie. Policzyłyśmy, że będzie nas to kosztować dodatkowe 150 dolarów na głowę. Moje wahanie nie miało jednak bezpośredniego związku z pieniędzmi.

Bałam się bardziej, czy uda mi się zobaczyć Kubę z perspektywy kobiety-turystki, nie przywiązanej do żadnego mężczyzny, zwłaszcza tutejszego.

Tego wieczoru, bijąc się z myślami, w jaki sposób powiem moim kubańskim przyjaciółom, że chcę jechać tylko i wyłącznie z Amy, bałam się, że Alfredo wziął urlop specjalnie na tę okazję. Może dlatego był taki podniecony? Może to była ta niespodzianka, o której chciał mi powiedzieć po koncercie?

Gdy tylko zapaliły się światła na widowni, Alfredo przybiegł do mnie. Wziął mnie za rękę i powiedział:

- Chcę cię zaprosić na drinka do baru na górze. Dzisiaj dostaliśmy wypłatę.

Poczułam ulgę, kiedy dotarło do mnie, że to jest właśnie ta niespodzianka, o której wspominał. W windzie byłam już zupełnie zrelaksowana, mimo że znów jechaliśmy w towarzystwie kilku chichoczących koleżanek Alfreda z pracy.

W barze o nazwie Opus usiadłam przy oknie, skąd rozpościerał się widok na miasto, Alfredo tymczasem poszedł po drinki. Wrócił po kilku minutach, niosąc dwie szklanki mojito - tradycyjnego kubańskiego drinka, składającego się z rumu, toniku, limetki, cukru i - co najważniejsze - hierba buetia, czyli listka mięty. Mojito było rarytasem niemożliwym do zdobycia w całym kraju, oczywiście poza lokalami.

- Smakuje ci? - Alfredo promieniał dumą, jak gdyby to on wymieszał wszystkie składniki w moim mojito.

- Muy rico - odparłam i pociągnęłam spory łyk przez słomkę, powstrzymując się od podziękowania.

- A teraz - powiedział, kładąc obydwie dłonie na stole - zdradzę ci moją niespodziankę.

- To nie była ta niespodzianka? - spytałam zdziwiona.

- Nie... właściwie tak... częściowo - Alfredo uśmiechnął się zakłopotany. - Tak naprawdę to chciałem ci powiedzieć, że C1? Kocham. Bardzo cię kocham. Powiem to po angielsku i hiszpańsku: Te amo. I love you.

Zaskoczona tym nagłym wyznaniem, wciągnęłam do ust kolejny duży łyk mojito.

- Zakochałem się w tobie już tamtej pierwszej nocy - ciągnął dalej. - I z każdym kolejnym dniem czułem, że kocham cię bardziej. Uważam, że jesteś cudowną kobietą. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, chcę być z tobą na zawsze i...

Podniosłam rękę, przerywając jego liryczny monolog.

- To bardzo miłe, co mówisz - powiedziałam, szukając najbardziej odpowiednich słów. - Ale wiesz dobrze, że w kwietniu wracam do domu i nie czuję jeszcze do ciebie tego, co ty do mnie.

- Nic nie szkodzi - Alfredo wydawał się niewzruszony. - Z początku zawsze jedna osoba kocha mocniej. Ale wszystko się zmieni. Tú verás. Chcę ci tyle powiedzieć, Lea. Jak bardzo podobają mi się twoje oczy i to, w jaki sposób wystawiasz leciutko język przed zęby, kiedy się śmiejesz. Chcę cię pieścić i całować każdy centymetr twojego ciała, aż do dedo gordo. „Gruby paluch” - w ten sposób Kubańczycy nazywali największy palec u stopy. Zazwyczaj to określenie mnie śmieszyło, lecz dzisiaj tylko spotęgowało moją irytację, że nie byłam w stanie odwieść Alfreda od jego zamiarów. Rzuciłam mu więc tylko spojrzenie pełne sceptycyzmu.

- Wiem, wiem - zreflektował się, a ja przez chwilę poczułam cień nadziei. - Nie widziałem jeszcze twojego dedo gordo. Ale na pewno jest piękny.

- Słuchaj, muszę wracać do hotelu - powiedziałam, wstając od stolika. Umówiłam się z rodzicami na telefon.

- Odprowadzę cię.

- Wolałabym być teraz sama.

- Nie powinnaś chodzić sama ulicami nocą.

- Wezmę taksówkę.

- Pomogę ci.

Kiedy schodziliśmy schodami na ulicę, starałam się przez cały czas iść kilka stopni



przed nim.

- O której możemy się jutro spotkać? - spytał, kiedy dotarliśmy do holu. Sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni. - Sprawdzę tylko swój grafik.

W naszą stronę zmierzała - a jakże - ta sama rozchichotana farbowana blondynka. Przez chwilę pomyślałam, że może ona przyjdzie mi z odsieczą. Może chwyci Alfreda za rękę i odciągnie go na bok, oszczędzając mu dalszego wstydu, a mnie umożliwiając szybką ucieczkę. Niestety. Tej nocy wszystkim najwyraźniej poprzewracało się w głowach.

Zamiast przywrócić swojego kolegę do porządku, bileterka zwróciła się do mnie: - Alfredo to dobry chłopak. Cásate con él. Wyjdź za niego.

## Rozdział VII

### Bezimienni

Każdego wieczoru o godzinie 9.00 niebo nad Hawanę eksploduje. Sygnał daje wystrzał z działa, a po chwili pojawiają się żołnierze ubrani w czerwone galowe mundury, którzy maszerują na prostych nogach, wyprężeni jak struna. Potem stają na baczność na szczycie La Cabańy - wznoszącej się w niebo kamiennej cytadeli, zbudowanej w XVIII wieku dla ochrony Kubańczyków przed ewentualną kolejną inwazją Anglików.

Ceremonia oznaczająca rychłe zamknięcie miejskich bram rozpoczynała się dokładnie o 9.00 i kończyła 15 minut później. Jednak kanonada wystrzałów jeszcze długo odbijała się echem w całym mieście.

Dzisiaj usłyszałam huk armat w okolicy Teatru Narodowego, oddalonego od twierdzy o dobre 8 kilometrów. Czekałam tu na Alfreda, a kiedy wystrzały ucichły, przypomniałam sobie, że było to miejsce jednej z naszych pierwszych randek.

Tym razem, dzień po tym, jak Alfredo w dość niefortunnych okolicznościach wyznał mi miłość, kanonada wydała mi się mało efektowna, jak gdyby zapowiadając niespecjalnie czarujący wieczór, na myśl o którym przez cały dzień ścisnęło mnie w żołądku.

Kiedy rano wstałam z łóżka, przypomniałam sobie z gorzkim uczuciem ulgi, że gdy Alfredo poprosił mnie o spotkanie nazajutrz, zostawiłam sobie otwartą furtkę. Zamiast od razu ustalić czas i miejsce, jak to mieliśmy w zwyczaju, powiedziałam po prostu, że do niego zadzwonię.

Odkładałam ten telefon najdłużej jak się dało. Chciałam zostać sam na sam ze swoimi myślami, więc opuściłam zajęcia w szkole i pojechałam autobusem do Habana Vieja, żeby zobaczyć słynne Muzeum Rewolucji, mieszczące się w dawnym Pałacu Prezydenckim Batisty, w którym głównym eksponatem był owiany legendą jacht Granma. Podróż z Meksyku na Kubę zakończyła się porażką, po której Fidel Castro wraz z kilkoma ocalałymi towarzyszami broni przez kilka dni ukrywał się na plantacji trzciny cukrowej, by ostatecznie schronić się w pobliskim masywie Sierra Maestra. Ale to także tutaj, w tych górach, rebelianci dali początek nowej Rewolucji, stąd przez kolejnych 25 miesięcy organizowali działania, zanim wyszli z ukrycia, wycieńczeni, lecz triumfujący, o świcie 1 stycznia 1959 roku.

Jednak historia muzeum nie kończy się tutaj, tak jak sama Rewolucja nie zaczęła się od pierwszej potyczki w 1953 roku. W tym miejscu słowo „Rewolucja” nabiera najgłębszego

z możliwych znaczeń, którego symbolem jest żywotność kubańskiego przywódcy. W środku można na przykład zobaczyć zdjęcie Carlosa Manuela de Céspedes, który nazywał się tak samo jak syn sławnego przywódcy z czasów pierwszej Wojny o Niepodległość, w odróżnieniu od niego był jednak skrajnie prawicowym politykiem, łudząco podobnym z wyglądu do Adolfa Hitlera. Do innych, otaczanych niemal boską czcią eksponatów należą fragmenty włosów Che Guevary, strzępki jego skarpet, a także zakrwawione prześcieradło, na którym wyzionął ducha w Boliwii, zamordowany przez agentów CIA.

Weszłam do sali upamiętniającej Okres Specjalny, która ~ być może w nawiązaniu do trudnych czasów, które nawiedziły Kubę po rozpadzie Związku Radzieckiego - była niemal zupełnie pozbawiona światła. Gdy ktoś wchodził do środka, z Podłogi wzbijał się tuman kurzu, potęgując mroczną aurę towarzyszącą wystawie. Na tylnej ścianie wisiała jakaś tablica.

Kiedy podeszłam bliżej, nie bez trudu udało mi się odczytać napis: „Efekty rozpadu ZSRR”. Podobnie jak w przypadku Wielu innych eksponatów, angielskie tłumaczenie urywało się w tym miejscu, jak gdyby tłumacz - sfrustrowany pracą - pozostawił swoje dzieło niedokończone.

Tablica była w istocie listą, którą czytało się jak podsumowanie strat, czy raczej nekrolog pewnego państwa. Na początku lat 90. Rosja wstrzymała dotowanie kubańskiej trzciny cukrowej, przez co w magazynach na wyspie zaczęły zalegać ogromne ilości niewykorzystanego cukru. Potem Rosja odcięła także dostawy benzyny i ropy, co oznaczało praktycznie paraliż całego kubańskiego systemu transportowego. Zaczęto ograniczać sprzedaż paliwa indywidualnym odbiorcom, a widok miejskich autobusów stojących na środku ulicy z powodu jego braku nie należał do rzadkości. W dalszej kolejności zabrakło pozostałych surowców niezbędnych do funkcjonowania państwa.

Trudno dziś uwierzyć, że załamanie kontaktów handlowych z jednym tylko partnerem doprowadziło Kubę na skraj gospodarczej zapaści. Wiedziałam jednak, że wprowadzenie przez Stany Zjednoczone embarga na handel z Kubą oznaczało w praktyce, że USA wywierały wpływ na inne państwa, by i one zaprzęstały handlu z reżimem Castro. W związku z tym kubańska gospodarka generowała stałe straty także w wymianie handlowej na mniejszą skalę.

W 1974 roku, kiedy powódź w Bangladeszu wywołała największą w historii kraju klęskę głodu, Stany Zjednoczone odmówiły udzielenia wsparcia temu azjatyckiemu państwu z jednego tylko powodu - Bangladesz utrzymywał stosunki gospodarcze z Kubą. Mimo iż władze kraju bardzo szybko ugięły się pod presją i zaprzęstały tego procederu, w Bangladeszu w wyniku powodzi i głodu zmarło 100 tysięcy ludzi.

Stosunkowo niedawno, bo w 1992 roku weszła w życie tzw. Ustawa Toricellego (Toricelli Act), zgodnie z którą każde państwo, pod którego banderą statki handlowe wpływały do portów kubańskich, nie mogło używać tych samych okrętów do handlu ze Stanami Zjednoczonymi.

Tuż obok Sali Okresu Specjalnego znajdował się Zaulek Kretynów, będący swoistym satyrycznym wyrazem hołdu wobec wszystkich tych, którzy przyczynili się do kryzysu na Kubie. Na ścianach wisiały naturalnych rozmiarów portrety Fulgencio Batisty, Ronalda Reagana i Geoga Busha seniora. U stóp Batisty widniał podpis: DZIĘKUJEMY CI, KRETYNIE, ZA TWÓJ WKŁAD W ROZWÓJ NASZEJ REWOLUCJI, portret Reagana był podpisany: DZIĘKUJEMY CI, KRETYNIE, ZA TWÓJ WKŁAD WE WZMOCNIENIE NASZEJ REWOLUCJI, zaś George Bush senior dostąpił wątpliwego honoru, którego wyrazem był jeszcze inny podpis: DZIĘKUJEMY CI, KRETYNIE, ZA TWÓJ WKŁAD W UTRWALENIE NASZEJ REWOLUCJI.

Uśmiełam się, czytając te tablice, ale zastanawiałam się jednocześnie, na ile prawdziwa jest ich treść. Faktycznie, Kubańczykom udało się przeżyć 41 lat międzynarodowego ekonomicznego terroryzmu, który ominął szpitale i szkoły, pomimo braku leków i podręczników do nauki. Prawdą jest również to, że wszystkie te przeciwności losu wyraźnie zintegrowały naród kubański w typowo socjalistyczny sposób, którego odbiciem mogłoby być hasło „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Z drugiej strony, poznałam tutaj wielu ludzi, którzy mieli już serdecznie dość bezustannego zmagania się z życiem codziennym na Kubie.

W odróżnieniu od innych konfliktów, w których brały udział Stany Zjednoczone, a które obracały w ruinę kraje takie jak Irak w ciągu zaledwie kilku miesięcy, embargo nałożone na Kubę przypominało bardziej nieuleczalny wirus, który powoli pożerał wyspę, a wielu jej mieszkańców stopniowo doprowadził do śmierci głodowej. Po jakimś czasie, otepiali z głodu i wściekłości, tracili kontekst całej sytuacji, żyli chwilą i za wszelką cenę starali się - możliwie jak najbliżej - znaleźć kogoś, kogo mogliby obarczyć odpowiedzialnością za sytuację, w jakiej aktualnie znajdował się ich kraj.

Opuszczałam Muzeum Rewolucji równie pozbawiona entuzjazmu, jak wtedy, gdy przekraczałam jego progi. Postanowiłam skorzystać z okazji i zadzwonić do Alfreda z wiszącego meopodal aparatu telefonicznego - pora na telefon była równie dobra (czy raczej: równie zła), jak każda inna.

Po krótkiej rozmowie o tym, jak spędziliśmy dzisiejszy dzień, Alfredo powiedział wreszcie: - Powiedz, gdzie jesteś. przyjdę po ciebie.

- Nie, dzisiaj nie możemy się zobaczyć - wykręciłam się. - Chcę побыć trochę sama.  
- W porządku, rozumiem - powiedział. - Korzystaj z wolnego czasu, ile tylko zechcesz. A jutro?

- Jutro też nie.

- To może pojutrze? - w jego głosie słyszałam coraz większe zniecierpliwienie.

- Chyba nie powinniśmy się teraz widywać - starałam się, by moje słowa zabrzmiały przekonująco. - Nie jestem jeszcze gotowa na tak poważny związek.

- No me digas - odparł Alfredo. - Nie mów tak. No me digas eso.

W środku byłam cała roztrzęsiona.

- Wybacz - wykrztusiłam - ale nie mam ci w tej chwili nic więcej do powiedzenia.

- Nie rozumiem - usłyszałam w słuchawce. - Nie wiem, co się stało. Czy możemy chociaż spotkać się osobiście, żebyś mogła mi to wyjaśnić?

Głos Alfreda wydawał mi się teraz bardzo słaby. Uznałam jednak, że mojemu niedoszłemu chłopakowi należy się coś więcej niż koszt przez telefon, mimo że najchętniej w ogóle nie wracałabym do tego tematu w obawie przed tym, że znów zranię jego uczucia.

- Dobrze - powiedziałam. - Kiedy?

- Kiedy zechcesz. Sama zdecyduj.

- Może być dzisiaj wieczorem, koło 9.00. Nie wiem tylko gdzie.

- Pod Teatrem Narodowym - powiedział Alfredo. - To blisko mojego domu. Będę tam na ciebie czekał.

Chwilę po tym, jak eksplodowała kanonada armatnich wystrzałów, Alfredo wyłonił się z ciemności po drugiej stronie teatru. Szedł w moją stronę z rękami splecionymi z tyłu. Zauważył mnie i kiwnął głową, ale odwrócił przy tym oczy i szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, dopóki się nie spotkaliśmy. Wtedy zobaczyłam, że jego oczy są zaczerwienione i mokre. Alfredo podał mi książkę, którą chował za plecami. Ja z kolei wręczyłam mu kartkę papieru, poplamioną i wygniecioną od wieczornego chłodu i wilgoci, którą miałam na rękach.

Po naszej rozmowie telefonicznej natychmiast pobiegłam do hotelu i spisałam na kartce to wszystko, co chciałam mu powiedzieć. Potem wstąpiłam na chwilę do Ludmiły, by dać jej list do sprawdzenia pod kątem poprawności językowej.

Kiedy Ludmiła skończyła czytać mój list, poklepała mnie po ręce i powiedziała: - Dobrze napisane. Szczere, ale pozbawione nieuprzejmości.

W liście do Alfreda napisałam, że bardzo chętnie spędzam z nim czas i możliwość poznania go bliżej była jedną z najfajniejszych rzeczy, jakich mogłam tu doświadczyć. Wyczuwam jednak dzielące nas ogromne różnice, z którymi nie potrafię sobie poradzić.

- Pamiętam tę pierwszą noc, kiedy powiedziałeś, że się we mnie zakochałeś - napisałam. - Ale ja nigdy nie czułam do ciebie tego samego. Wiedziałam za to, że ty czekasz na moment, w którym moje uczucia ulegną zmianie. To nie w porządku wobec nas obojga. Powinieneś być z kimś, kto czuje do ciebie prawdziwą miłość. Dla mnie to wszystko dzieje się zbyt szybko.

Kiedy Alfredo siedział i czytał mój list, obejrzałam książkę, którą mi wręczył, mówiąc: - Jest trochę zniszczona, ale powinna ci pomóc w nauce hiszpańskiego.

Książka faktycznie była pożółkła i wymięta jak starożytny pergamin. Grzbiet został zaklejony dwiema warstwami taśmy klejącej, żeby całość się nie rozleciała. Na okładce, przez którą biegła głęboka, ukośna rysa, widniało czarno-białe zdjęcie ręki trzymającej ołówek. Książka była zatytułowana Lo Esencial de la Ortografía. Był to podręcznik gramatyki do szkoły średniej, o którym Alfredo opowiadał mi wcześniej. Otworzyłam go i zobaczyłam datę wydania - 1977 rok, blisko dziesięć lat wcześniej, zanim Alfredo poszedł do liceum. Strony nosiły ślady zalania wodą, były tam też inne plamy w różnych odciekach brązu, a dolna część pierwszej strony została przez kogoś Zwyczajnie wyrwana.

Na kawałku drugiej strony, przebijającej spod spodu, Alfredo napisał dedykację: „Książkę tę, wraz z wyrazami mojej miłości, ofiarowuję mojej przyjaciółce Lei za to, że potrafiła rozpaść moje uczucia i dotrzeć do samego dna mojego serca”.

Alfredo dalej czytał mój list. W pewnym momencie usłyszałam, jak delikatnie pociąga nosem, a potem po policzkach potoczyły mu się wielkie łzy. Nie starał się nawet ich wytrzeć, nie drgnął, kiedy objęłam go ramieniem, by go pocieszyć.

- Mogę zaakceptować to, że jeszcze mnie nie kochasz - powiedział po chwili. - Wiem, że jesteś inna niż reszta kobiet. Zdaję też sobie sprawę, że nie przyjechałaś tu w poszukiwaniu chłopaka. Ale ja cię kocham, więc dlaczego nie możemy być razem?

- Ponieważ - odpowiedziałam, starając się, by moje słowa zabrzmiały jak najbardziej taktownie - nie jestem pewna, czy j to, co do ciebie czuję, kiedykolwiek przerodzi się w miłość.

- Ale dlaczego wybiegasz tak daleko w przyszłość? - spytał Alfredo. - Dlaczego wy, Amerykanie, zawsze tacy jesteście? Jestem z tobą szczęśliwy tu i teraz, tobie też jest chyba ze mną dobrze, prawda? - to mówiąc, spojrzał na mnie z paniką w oczach, jak gdyby bał się, że za wcześnie to powiedział.

- Dobrze mi z tobą - powiedziałam - dopóki nie zaczniesz wspominać o miłości. To mnie wytrąca z równowagi.

Pamiętam, jak kiedyś Alfredo powiedział mi, że mężczyźni na Kubie w ogóle nie mają

przyjaciółek, tylko od razu dziewcz - I czyny. Przyjaźń między osobami przeciwnych płci była wymysłem Zachodu. A ja właśnie tego chciałam. Może nawet czegoś więcej, ale bez deklaracji niekończącej się miłości i padania na kolana z oczami wzniesionymi do nieba.

- Mogę to zmienić - zadeklarował Alfredo. - Przeszanę tyle mówić o miłości. Nie będę cię nawet przedstawiał jako swojej dziewczyny, jeśli to sprawia, że czujesz się mniej komfortowo. Możemy być... Jak tu napisałaś? Bezimienni?

- OK - powiedziałam, poruszona żarliwą nadzieją, jaką ujrzałam w jego oczach. - Jeśli wszystko sobie wyjaśniliśmy i nie przeszkadza ci to, chciałabym, żebyśmy nadal spotykali się jako przyjaciele.

- Amigos? - Alfredo wyglądał na zaskoczonego. - Amigos- Co to znaczy? Czy będę mógł cię jeszcze pocałować?

Uśmiechnęłam się.

- Chyba tak - powiedziałam nieco zalotnie. - Myślę, że przyjaciele mogą się całować.

Alfredo otarł łzy i odwzajemnił uśmiech. Wyciągnął przed siebie drżącą rękę.

- Spójrz na mnie, cały się trzęsę - powiedział, a w kącikach jego ust ujrzałam znów cień uśmiechu. - Zobacz, do czego mnie doprowadziłaś.

- Lo siento - odparłam. - Przepraszam.

Alfredo cofnął rękę i pokręcił głową, jak gdyby przeprosiny nie były konieczne.

- Czy chciałabyś teraz pójść ze mną i poznać moich dziadków? - spytał. - To bardzo blisko.

Prawdę mówiąc, nie był to, moim zdaniem, najlepszy moment na składanie wizyt rodzinie Alfreda.

- Może zrobiłabyś wywiad z moją babcią? - zaproponował. - Opowiadałem jej, jak rozmawiasz z innymi kobietami. Powiedziałem, że jesteś pisarką.

Uśmiechnęłam się, po czym opuściliśmy teatr i ruszyliśmy ulicami, które, choć pogrążone w mroku, tętniły muzyką i gwarem rozmów.

- Ta dzielnica nazywa się Nuovo Vedado - wyjaśnił Alfredo, kiedy doszliśmy do nijakiego osiedla domków z pustaków.

Na drzwiach domu dziadków wisiała tabliczka z napisem: WIERZYM W REWOLUCJĘ. Spojrzałam na Alfreda ze zdziwieniem. Biorąc pod uwagę, jak często narzekał na reżim Castro, nie przypuszczałam, że wywodzi się z prorządowo nastawionej rodziny.

- To starzy ludzie - powiedział, zanim zdążyłam spytać o cokolwiek. - Tutaj wszyscy starzy popierają Fidela.

- Dlaczego? - nie dawałam za wygraną. Alfredo zastukał otwartą dłońią w drzwi, które po chwili otworzyły się i weszliśmy do salonu. W pokoju, wyłożonym kafelkami w ziemistym kolorze, stał kolorowy telewizor i biała kanapa z prostą brązową narzutą, złożoną na jednej z poduszek.

- Bo uważają, że wcześniej było jeszcze gorzej. Imaginate wyobraź sobie.

Weszłam za Alfredem przez rozsuwane szklane drzwi do jadalni, a potem na znajdujące się z tyłu domu patio. Na podwórku, w cieniu palm i migdałowców, biegały tam i z powrotem małe kurczęta. Dziadkowie Alfreda - wysoki czarny mężczyzna i niższa od niego kobieta o lekko kawowym odcieniu skóry z brązowymi włosami przewiązanymi żółtą chustką - stali obok zardzewiałego wraku samochodu.

Alfredo przedstawił mnie, po czym powiedział, że jego dziadek naprawia samochody.

- Nie zajmuję się mechaniką - poprawił go dziadek. - Naprawiam tylko karoserie. Staram się je doprowadzić do porządku, ale potem uruchomić taki samochód... To zupełnie inna historia.

- Czy Lea mogłaby zadać babci kilka pytań? - spytał Alfredo.

- Ależ oczywiście - babcia zgodziła się bez wahania. - Zrobię wam soku z guajawy.

Weszliśmy z powrotem do domu. Kiedy babcia szatkowała i miksowała różowy w środku owoc, poprosiłam ją, by opowiedziała mi o swoim życiu.

- Urodziłam się na wsi, w Camagiiey - zaczęła. - Rodzicie rozstali się przed moimi narodzinami, a gdy miałam niespełna dwa lata, moja mama zmarła. Mieszkałam więc z babką, która pracowała jako pokojówka w domu pewnego lekarza. Zaczęłam jej pomagać, kiedy skończyłam osiem lat. Podobnie jak moja dziesięcioletnia siostra. Doktor płacił nam tylko co drugi miesiąc. Kiedy miałam czternaście lat, poznałam chłopaka i wyjechałam z nim do Hawany. Tam urodziła się nasza córka, matka Alfreda, a ja dostałam pracę jako kucharka. Zawsze mieszkałam kątem u ludzi, u których pracowałam. Ale gdy nadeszła Rewolucja, starałam się pomóc, jak tylko umiałam-Zgłosiłam się na ochotnika do pomocy biednym i gdy Fidel zapytał mnie, co chciałabym dostać w zamian, napisałam, że proszę o własny dom.

Słyszałam już o tym wcześniej - po zwycięstwie Rewolucji ci, którzy zgłosili się do pracy przy nowych programach społecznych, zostali poproszeni o zapisanie na kartce swoich marzeń, na przykład zagranicznej wycieczki, samochodu albo domu.

- I tak oto Rewolucja dała mi dom - kontynuowała swoją opowieść babka Alfreda. - Stąd większość ludzi ma teraz własny dach nad głową. Płacą czynsz do wysokości ceny domu, po czym przechodzi on na ich własność.

- Co Rewolucji zawdzięcza pani jako kobieta? - spytałam.



- Rewolucja słuchała kobiet. Dała nam lekarstwa. Czasem miewam bóle w kościach, ale nigdy nie musiałam płacić za leki. Kiedy prezydentem był Batista, czarni byli pozbawieni jakichkolwiek praw, a campesinos na wsi nie mieli elektryczności. Wszystko, co mam, zawdzięczam Jej - la Revolución. Wcześniej też było wszystkiego pod dostatkiem - ale tylko dla bogatych.

Potakiwałam głową w milczeniu, czekając, aż Alfredo włączy się do rozmowy i wytknie różnice klasowe panujące obecnie na Kubie, jak zwykł to robić za każdym razem, gdy stawałam po stronie kubańskiej Rewolucji, starając się znaleźć jakieś dobre jej strony. Ale dzisiaj Alfredo gapił się tylko w telewizor. Grali właśnie El Rey del Ganado, brazylijską telenowelę z hiszpańskim dubbingiem. Nie podejrzewałam go o zainteresowanie niekończącą się fabułą, składającą się wyłącznie z romansów i kłamstw, które powtarzały się co wieczór. A jednak milczał. Umilkła także babcia, które złożyła starannie dłonie na podoł-ku i uśmiechała się sama do siebie, wspominając minione czasy. Wkrótce kolejny odcinek telenoweli dobiegł końca. Alfredo oderwał wzrok od ekranu i spytał, czy chce już wracać.

Pożegnaliśmy się z jego rodziną i wyruszyliśmy w długą, choć doskonale mi znaną drogę powrotną do hotelu El Bosque.

- Podobał ci się ten serial? - spytałam.

- Nie zwracałem na niego uwagi - odparł Alfredo. - To tylko taki pretekst, żeby się wyłączyć, kiedy babcia zaczyna nawijać o Rewolucji. Mogę wtedy pomyśleć o innych rzeczach.

- O czym dziś myślałeś?

- O nas - Alfredo uśmiechnął się. - Myślałem o tym, jak Zasmucił mnie twój list i jak się ucieszyłem, że mi go dałaś, ponieważ teraz już wiem, czego chcesz, na czym ci zależy. Dzięki tym kilku zdaniom poznałem cię lepiej. Kiedy napiszesz coś o mnie?

- O tobie?

- Tak. Byłaby to historia kubańskiego chłopca, który zbyt szybko stracił głowę dla pewnej pięknej kobiety.

Wybuchnęłam śmiechem, a potem objęłam Alfreda ramieniem, przytulając się do niego, i szliśmy tak obok siebie w kolejną gorącą hawańską noc. Słońce już dawno zaszło, ale jego ciepłe promienie pozostały w wilgotnym powietrzu, które otulało nas niczym aksamitne ciężkie krople deszczu - pozostałości po burzy, która niedawno przeszła tuż obok.

## Rozdział VIII

Una Vida Plastica

Następnego ranka zostawiłam pokojówce napiwek tuż obok śnieżnobiałych ręczników kąpielowych, które jakimś dziwnym zwyczajem zawsze formowała w kształt dwóch splecionych ze sobą łabędzi, tak że ich szyje tworzyły obrys serca. Złapałam w pośpiechu parę majtek i poplamiony mydłem biustonosz zwisający z parapetu, na którym wieszalam go zawsze po praniu w umywalce. Gapiłam się przez chwilę w punkt na chodniku, gdzie Alfredo i ja całowaliśmy się co wieczór na pożegnanie. W oddali zniknął autokar wiozący uczestników mojego kursu na lotnisko. Beze mnie.

Założyłam plecak, tak wyładowany, że wyglądał, jakbym niosła kogoś na barana, i zeszłam schodami do holu, w którym czekała na mnie Amy z równie ciężkim bagażem. Na zewnątrz złapałyśmy taksówkę. Amy wręczyła kierowcy karteczkę z adresem naszego nowego mieszkania w Centro Habana. Spotkałyśmy wcześniej dwójkę Amerykanów, którzy mieszkali Przez pewien czas w casa particular, czyli prywatnym domu, którego właściciel miał pozwolenie na wynajem pokoiów cudzoziemcom. Twierdzili oni, że jest to jedno z najładniejszych miejsc w całej Hawanie.

Kiedy dwa tygodnie temu powiedziałam Alfredowi, że chcę zostać jeszcze na Kubie kolejny miesiąc, zaproponował mi, żebym zamieszkała z jego rodziną.

- Oczywiście za darmo - zastrzegł. - I jest tam mnóstwo miejsca. Mam nawet własną sypialnię.

Szukałam na jego twarzy choćby cienia błysku w oczach czy niewinnego uśmiechu, który mógłby zdradzić jego prawdziwe zamiary, jakie wiązał ze swoim równie hojnym, co niedojrzałym zaproszeniem. Tym bardziej, że - jak dotąd - nie spaliśmy ze sobą. Ale Alfredo uśmiechał się tym swoim zwyczajnym, szczerym uśmiechem, oczekując mojej odpowiedzi. Najwyraźniej bez żadnych podtekstów czy ukrytych motywów. Czy było tak dlatego, że faktycznie nic nie chodziło mu po głowie, czy może dlatego, że byliśmy w kraju, w którym tabu stanowiła raczej polityka niż sprawy obyczajowe, a seks był traktowany jako coś naturalnego i nie wzbudzał takich emocji jak w Stanach Zjednoczonych?

Tak czy inaczej, nie zamierzałam wprowadzać się do Alfreda i jego rodziny. Chciałam mieć swój własny kąt na Kubie, poza tym jego propozycja zbyt przypominała mi to, czego byłam świadkiem przy hotelowym basenie. Podziękowałam więc i grzecznie odmówiłam, wspominając coś o potrzebie niezależności i o planach wynajęcia mieszkania z Amy.

- W porządku, nie ma problemu. - Alfredo unikał mojego wzroku, najwyraźniej przybierając pozycję obronną. - Myślałem tylko, że to ułatwi ci wiele spraw.

Kiedy taksówka przebijała się przez korki Centro Habana, dzielnicy, która przed Rewolucją była najbiedniejsza w całej Hawanie, ludzie dosłownie uciekali spod maski w najróżniejszych kierunkach. W przeciwieństwie do czystych i spokojnych ulic wokół hotelu El Bosque w dzielnicy Miramar, tutaj panował niepodzielnie brud, zgiełk i chaos. Domy były zbite w kupę niczym kamienice na Manhattanie, a na balkonach stały stare kobiety, ubrane w bawełniane koszule nocne w grochy wylewając pomyje z mieszkań wprost na chodnik. Dzieci grały w baseball, używając zamiast kijów połamanych kawałków sklejki, wyrwanych ze zniszczonych futryn. Białe i różnokolorowe kawałki pokruszonego cementu wielkości orzechów włoskich zalegały na chodniku przed jednym ze zrujnowanych domów, którego szkielet wciąż stał niewzruszony, chociaż wydawało się, że runie przy następnym podmuchu wiatru.

Centro Habana była jakby żywcem wyjęta z pierwszych stron opisu Ulicy nadbrzeżnej Steinbecka, jeśli nie liczyć burdeli i przemysłu. Nawet tutaj, w samym sercu Hawany, nie było sklepów ani niczego, co mogłoby choć trochę przypominać biura. Niektóre budynki wciąż nosiły nazwy kin i sklepów, których funkcje niegdyś pełniły, teraz jednak ich drzwi były zabite gwoździami.

Zacząłam się zastanawiać, co takiego widzieli w tym miejscu Amerykanie, którzy tak je nam polecali. Lecz kiedy taksówkarz wysadził nas przed pokrytym zwietrzałym tynkiem budynkiem mieszkalnym na ulicy Animas, a Amy nacisnęła dzwonek wtopiony w solidne drewniane drzwi wejściowe, po raz kolejny dotarło do mnie, jak niepozorna mogła się wydawać Kuba na pierwszy rzut oka i jakie niesamowite sekrety skrywała pod powierzchnią.

Chwilę po tym, jak Amy zdjęła palec z dzwonka i zanim zdążyła odsunąć się od drzwi, te otwarły się na oścież, ukazując wysoką i wąską klatkę schodową, a za nią co najmniej dwadzieścia wyłożonych białym marmurem schodów. Na ich szczycie stała drobna kobieta o oliwkowej skórze. Miała na sobie czerwoną letnią sukienkę na ramiączkach, a w rękę trzymała koniec sznura, który biegł po ścianie na sam dół i przytwierdzony do drzwi frontowych, umożliwiał ich „zdalne” otwarcie. Wspięliśmy się po schodach, które przechodziły w ogromny salon ze zdobionym szklanym żyrandolem oraz mozaiką różowych i zielonych płytek na posadzce. Dzięki wysokim stropom we wszystkich pomieszczeniach panował przyjemny chłód, pomimo potwornego upału w stojącym powietrzu na zewnątrz.

tu więcej mebli niż we wszystkich kubańskich domach, w Jakich byłam, razem wziętych. Dwa szklane stoliki, dwa bujane fotele, trzy kanapy z koronkowymi serwetkami na

opar-Clach, mahoniowa półka z magnetowidem, zestawem stereo i wielkim telewizorem, w którym leciała akurat Mechaniczna Pomarańcza. Na szczycie zestawu stał mały słoń z ceramiki oraz miniaturowa figurka wieży Eiffla.

Na balkonie wychodzącym na ulicę Animas stała stara siwa kobieta, przyglądając się Amy i mnie. Uśmiechnęłam się, a kobieta z ekscytacją wyciągnęła przed siebie ręce, jak gdyby chciała nas uściskać. Zdążyła zrobić jeden niepewny krok, gdy do pokoju wpadła kobieta, która nam otworzyła, wołając:

- Mimi, espera!

Potem objęła staruszkę i odprowadziła do fotela, popychając delikatnie, by usiadła.

- Mama bardzo się ożywia na widok gości - westchnęła, kiedy już udało jej się zapanować nad sytuacją. Potem cofnęła się o krok, jak rzeźbiarz, który musi ocenić swoje dzieło z odpowiedniej perspektywy. - Ma osiemdziesiąt dziewięć lat i jest za stara, by samodzielnie się poruszać - kontynuowała. - Ale wciąż próbuje. Pobrecita.

- Mimi, te dziewczyny zostaną u nas na górze kilka tygodni - kobieta poklepała mnie po ramieniu. - Jak macie na imię?

Kiedy się przedstawiłyśmy, powiedziała, że nazywa się Di-nora.

- Możecie do niej mówić Abuela, babciu - Dinora wskazała na swoją matkę, która pomachała do nas przyjaźnie.

- Un beso. Chcę buziaka - domagała się staruszka, nachylając policzek w moją stronę. Skóra na jej twarzy była miękka i pokryta starczymi zmarszczkami.

Kiedy Amy nachyliła się, by ją pocałować, Abuela jakby bardziej się ożywiła, po czym oznajmiła:

- Mira que gorda esta ella! Spójrzcie, jaka ona gruba!

Amy cofnęła się o krok; wyglądała, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Moja przyjaciółka była słusznego wzrostu, miała grube kości i szerokie ramiona zawodowego pływaka. I lekką nadwagę. Podróżując po Ameryce Łacińskiej, słyszałam wielokrotnie słowo gorda, nie zawsze w obraźliwym kontekście. Spora waga u kobiet była nieraz uważana za dowód zdrowia oraz prawdziwie kobiecych kształtów. Mimo to nigdy nie słyszałam by ktoś wypowiedział to słowo w sposób tak bezpośredni, przy ludziach. Zrobiło mi się żal Amy, ale zanim zdążyłam zareagować, i mnie się dostało.

- Powinnaś jej oddać parę kilogramów - zaśmiała się staruszka, wskazując na mnie palcem. - Wyglądasz jak patyk.

Wybuchnęłam śmiechem, podobnie jak Dinora. Amy również. Potem Abuela wróciła do oglądania Mechanicznej pomarańczy, a jej córka oprowadziła nas po domu.

- To sypialnia mojej córki Nitzy - powiedziała, otwierając drzwi do malutkiego zagraconego pokoiku przylegającego do salonu. Łóżko było przykryte stosem ubrań, wśród których dostrzegłam kilka wieczorowych kostiumów i wiosennych sukienek w kwiaty. Na wpół otwarta szafa odkrywała przed nami kolekcję butów, której nie powstydziliby się Imelda Marcos. Na szafce pod wielkim lustrem wiszącym na frontowej ścianie leżały w nieładzie porozrzucane przybory do pielęgnacji paznokci.

- Musimy zburzyć jedną ze ścian i w ten sposób powiększyć ten pokój - powiedziała Dinora. - Nitza nie wetknie tu już szpilki. Pobrecita. Zazwyczaj nie ma tu takiego bałaganu, ale dzisiaj córka bardzo się spieszyła. Wyjechała na tydzień do Argentyny. To bardzo zdolna dziewczyna. Ma dopiero 24 lata, a już jest lekarzem i mówi w pięciu językach.

- Co robi w Argentynie? - spytałam, pamiętając o tym, co powiedział mi Alfredo, jak trudno jest Kubańczykom wyjeżdżać z kraju.

- No cóż - powiedziała Dinora, zamykając drzwi do sypialni. - Pracuje tam teraz jako stewardesa. Mój mąż także pracuje w lotnictwie, jako inżynier, dlatego było jej łatwiej dostać tę Pracę.

Prawdę mówiąc, uznałam to wytłumaczenie za mało wiarygodne, ale z pośpiechu, w jakim Dinora schodziła ze schodów, wywnioskowałam, że nie chce ciągnąć tej rozmowy.

Przeszliśmy przez masywne wysokie drzwi, podobne do tych prowadzących na balkon, i znalazłyśmy się w przestronnym, choć spartańsko urządzonym pokoju, za którego całe wyposażenie służyło podwójne łóżko i mała komoda.

- Tutaj śpimy z moim mężem Luisem - wyjaśniła Dinora. pokój też wymaga odświeżenia. Moim marzeniem było zawsze mieć w domu bibliotekę. Jestem wykładowcą na uniwersytecie, a nie stać nas nawet na porządną półkę na książki.

- Czego uczysz? - zainteresowała się Amy.

- Rosyjskiego - Dinora zamilkła na chwilę. - Ale w tej chwili jestem na urlopie naukowym. Musiałam wziąć trochę wolnego, żeby zająć się matką. Gdybym ja tego nie zrobiła, nikt by się nią nie zaopiekował.

Zerknęłam przez otwarte drzwi sypialni w stronę salonu. Abuela nadal siedziała przed telewizorem, tym razem jednak w towarzystwie starszej czarnej kobiety.

- To jej przyjaciółka, Rosa. Poznały się wieki temu na circulo de abuelos - powiedziała Dinora. Circulos de abuelos powstały po Rewolucji, w celu integracji starszej części populacji Kubańczyków. Widok starszych ludzi gimnastykujących się w grupach o poranku w hawańskich parkach, zanim z nieba zaczynał lać się żar, nie należał do rzadkości. Wysuszone kończyny cięły miarowo powietrze, ludzie gięli się w skłonach przed popiersiem

Jose Martiego.

- Na szczęście Rosa odwiedza mamę codziennie - Dinora zniżyła głos. - Czasem mam wrażenie, że gdyby nie ona, zwariowałabym. Zwłaszcza, kiedy Luis i Nitza są w pracy, a ja siedzę z Abuelą cały dzień sama. Jak każdy, potrzebuję czasem świeżego powietrza, trochę nowej energii. Dlatego cieszę się, że nas odwiedziłyście.

Uśmiechnęłam się. W ciągu kilku kolejnych minut Dinora całkowicie się przed nami otworzyła. Równocześnie zadawała tyle różnych pytań, że nie wiedziałam, na które mam najpierw odpowiedzieć. Ale ona wydawała się zupełnie nie przejmować moim milczeniem. Kontynuowała swoje tournee w roli przewodnika po domu, otwierając trzecią parę masywnych francuskich drzwi, które prowadziły do pokoju niemal identycznego jak ten, który przed chwilą opuściliśmy.

- To pokój Abueli - oznajmiła. Tym razem na toalecie zobaczyłam oprawioną fotografię mocno umalowanej dziewczyny-Ta sama dziewczyna widniała na kilku innych portretach wiszących na ścianach.

- To Nitza - powiedziała z dumą Dinora.

Ostatnim pokojem na końcu długiego korytarza była jadalnia. Okrągły stół zajmował większość pomieszczenia; w kącie stała jeszcze lodówka w kolorze awokado i zamrażarka wielkości spożywczej lody chłodniczej. Przeszliśmy przez kuchnię z kipiącym szybkowarem, by znaleźć się nagle w otwartym holu, ograniczonym ścianą dzielącą dom od wychodzącej na zewnątrz werandy sąsiada. Zanurkowałyśmy pod sznurem, na którym suszyło się rozwieszone pranie. Dinora, ścisząc głos, powiedziała, że sąsiedzi są bardzo religijni i zdarza im się nawet składać ofiary ze zwierząt. Po chwili znów byliśmy w środku; weszliśmy jeszcze na chwilę do salonu, gdzie Abuela wykręciła szyję, by jeszcze raz nam się przyjrzeć.

- Zabieram dziewczyny na górę, żeby pokazać im pokoje, w których zamieszkają - powiedziała Dinora. - Nie musisz już nadwierać karku, żeby przysłuchiwać się naszej rozmowie.

Abuela puściła mimo uszu tę złośliwość i odprowadziła nas wzrokiem, kiedy zakładaliśmy plecaki, a potem wspięliśmy się za gospodynią po schodach.

- Mama nigdy nie była na górze - powiedziała Dinora. - Dobudowaliśmy to piętro dawno temu, ale już wtedy miała problemy z poruszaniem się. Jednak pomimo swojego niedołęstwa, zawsze chce we wszystkim uczestniczyć. Przypomina mi czasem żyrafę, która wyciąga szyję, żeby zobaczyć, gdzie jestem i co robię. Mama jest bardzo wścibska, potrafi też być apodyktyczna. Mam tylko jedną córkę, ponieważ zabroniła mi mieć więcej dzieci. A ja zawsze byłam jej posłuszną.

- Musisz mieć za to dużo rodzeństwa? - spytałam.

- Dwóch braci i dwie siostry, z czego jedna mieszka w Miami. Druga siostra odwiedza nas z mężem co kilka dni. Jeśli chodzi o moich braci, to jeden z nich jest dobrym i odpowiedzialnym człowiekiem. Za to drugi, kiedy tylko ma dotrzymać towarzystwa Abueli, zasypia w bujanym fotelu - Dinora cmoknęła językiem i pokręciła lekceważąco głową. - Jestem z nich Wszystkich najmłodsza, ale tak naprawdę ja tu rządę.

Potem zaprowadziła nas do naszej sypialni. Pokój miał podłogę wyłożoną prostymi białymi płytkami. Było w nim łóżko ze świeżo wyprasowaną pościelą, dwie szafy z kilkoma półkami na książki, a nawet klimatyzator stojący w kącie. Wszystko było takie czyste i poukładane, że na chwilę zapomniałam o brudzie i hałasie panującym na zewnątrz.

Ostatnią sypialnię zajmowała Amerykanka studiująca rolnictwo naturalne. Na górze była jeszcze łazienka, mała kuchnia i jadalnia, do której przez otwarte okno wpadało słońce. Z tego poziomu można było wyjść schodami na dach, na którym suszyła się pościel i kilka bezrękawników, powiewając na lekkim wietrze. Z miasta dobiegała niezwykła kakofonia dźwięków salsy, bolera i muzyki rockowej, które wydawały się wypełzać z każdej szczeliny w chodniku. Na dachach domów widać było starych mężczyzn, którzy spoglądali w stronę błyszczącego lazurowego oceanu. Rozejrzałam się wokół, ciesząc oczy widokiem panoramy Hawany. Na zachodzie widziałam rzymskie kolumny strzegące wejścia na Uniwersytet Hawański, po stronie północnej, w oddali kłębiła się nieśmiertelna kolejka przed lodziarnią Coppelia. Odwróciłam wzrok w drugą stronę, by ujrzeć gmach Szpitala imienia Hermanosa Ameijeirasa. Raptem dostrzegłam coś dziwnego. W samym sercu betonowego centrum miasta, zaledwie kilka przecznic od domu Dinory znajdowało się kilka budynków pomalowanych w jaskrawe, czerwono-niebieskie, żółto-białe i zielono-czarne barwy. Wyglądało to tak, jakby malarz chciał wypróbować w tym miejscu paletę wszystkich dostępnych kolorów.

- Co to takiego? - spytałam Dinorę.

- To Callejón de Hamel, aleja poświęcona pewnej starej afrokubańskiej religii. W szesnastym wieku na Kubę docierały transporty niewolników z Czarnego Lądu. Ci biedacy zabrali tu ze sobą swoje wierzenia.

W trakcie rozmów z Alfredem dowiedziałam się, że religia afrokubańska, o której mówiła Dinora, stanowiła zlepek katolicyzmu i kultu o nazwie Lucumi, którego wyznawcami I był zachodnioafrykański lud Joruba. Wiedziałam też, że kult ten, który przybrał z czasem nazwę Santería, był praktykowany współcześnie przez wielu mieszkańców Kuby, zarówno pochodzenia iberyjskiego, jak i afrykańskiego. Jednak z tego» co zauważyłam, linia podziału

religijnego na Kubie pokrywa się mniej więcej z tą wytyczoną przez zwolenników i przeciwników Rewolucji. Kult Santerii przyciągał raczej starsze pokolenie, a jego wyznawców cechowało autentyczne religijne zaangażowanie. Matka i babka Alfreda były głęboko wierzące i obchodziły dodatkowe święto w postaci imienin, upamiętniających patrona, którego imię zostało im nadane. W celu, jak mówili Kubańczycy, „nabrania świętości”, wyznawcy Santerii (nazywani również yabos) musieli przejść trwający rok, oczyszczający rytuał. Polegał on na jedzeniu przez trzy miesiące z maty rozłożonej na podłodze i posługiwaniu się przy tym za każdym razem jednym talerzem, tak aby nie został on skażony przez kogoś z domowników. Wśród wielu innych zasad, których przestrzegali yabos, był zakaz przeglądania się w lustrze czy obcinania włosów przez rok. Nie mogli oni również wychodzić na ulicę między zmierzchem a świtem, w obawie przed złymi mocami czającymi się w nocnym powietrzu, a także grać w domino z przyjaciółmi czy uczestniczyć w pozostałych imprezach towarzyskich, na których istniało ryzyko naruszenia ich czystości przez tych, którzy nie mieli ambicji zostania świętymi. Jednym z podstawowych atrybutów yabos był biały strój. Przed rokiem 1992, kiedy praktyki religijne na Kubie były zakazane, ludzie bali się paradować po ulicach w białych szatach, dlatego czekali do powrotu z pracy do domu. Tam, pod osłoną czterech ścian zrzucali służbowe ubrania, przywdziewając na ich miejsce stroje przypominające uniform pielęgniarki.

Alfredo uczestniczył w imieninowych obchodach, ale nie czuł się blisko związany z żadną religią. Kilka lat temu, by sprawić przyjemność babce, dał sobie odczytać kauri (drobne muszelki pełniące niegdyś funkcję środka monetarnego - przyp. tłum.) - była to autentyczna tradycja towarzysząca kultowi Santerii, w niczym nie przypominająca wrózenia z kart tarota> tak chętnie pokazywanych w różnych filmach. Babalawo rozrzucił kauri na stojącym przed Alfredem stole, a kiedy już znalazły się na swoich miejscach, odczytał z nich jego los.

~ Kapłan powiedział, że jeśli będę pił alkohol, nosił ubrania w ciemnych kolorach albo pływał w morzu, może mi się Przytrafić coś złego. Ale ja przepadam za rumem, czasem ubieram się na czarno i uwielbiam chodzić na plażę - powiedział Alfredo. - Więc to był definitywny koniec praktyk religijnych w moim wykonaniu.

- A ty, jesteś wierząca? - spytałam Dinorę.

- Nie - odparła. - Zostałam, co prawda, ochrzczona w Kościele katolickim, ale potem wybuchła Rewolucja. Miałam wtedy trzynaście lat, a trzy lata później zgłosiłam się na ochotnika do Kampanii Walki z Analfabetyzmem. Wyjechałam na wschodni kraniec wyspy, by tam uczyć czytania. Wtedy coś się we mnie zmieniło. Widziałam, jak żarliwie wierzący są to ludzie, a z drugiej strony byłam świadkiem potwornej nędzy, w której żyli na co dzień. To



sprawiło, że po powrocie do domu moja wiara rozwiała się jak poranna mgła.

Na sąsiednim dachu dwaj chłopcy rzucali grudami cementu na ulicę. Dinora przerwała na chwilę i pomachała ręką w ich kierunku.

- To niebezpieczne! - zawołała. - Możecie kogoś trafić, a z tej wysokości... - w tym momencie, zamiast dokończyć zdanie, wykonała popularny na Kubie gest. Potrząsnęła dłonią w taki sposób, że wskazujący i środkowy palec uderzyły o siebie, wydając głośnie klaśnięcie. Gest ten zwiastował z reguły nadejście czegoś strasznego. Chłopcy z pokorą skinęli głowami i wrócili do gapienia się w horyzont, jak to mieli w zwyczaju starsi.

- Wracając do tematu - odezwała się po chwili - moja matka była zawsze bardzo religijna, nie interesowała jej polityka. Pochodziła z bardzo zamożnej rodziny i mieszkała w wielkiej posiadłości. Tam zakochała się w jednym z rolników, który w dodatku był komunistą. Było to jeszcze w czasach, kiedy komunistów ściągano z urzędu, ale mojej matce nie przeszkodziło to wyjść za niego za mąż. W łóżku zapomniała, że sypia z komunistą, a on zapomniał, że moja matka jest wierząca.

Amy zachichotała, ja też nie potrafiłam się powstrzymać od śmiechu.

- To prawda - powiedziała Dinora. - Taka już jest namięt" ność. Apolityczna. Wiecie, co się mówi na Kubie? Jedynym towarem bez ograniczeń jest seks - to mówiąc, uśmiechnęła się pod nosem.

- Tak to już jest - powiedziała z filozoficzną nutą w głosie. - Taka właśnie jest Kuba. Chcecie zwiedzić okolicę?

Skinęłyśmy głowami. Przez następną godzinę Dinora prowadziła nas głównymi ulicami śródmiejskiej dzielnicy Centro Habana. Doszliśmy do Callejón de Hamel, gdzie mogłam z bliska przyjrzeć się malowidłom przedstawiającym kłębiące się drzewa i sylwetki kobiet, unoszące się w powietrzu twarze, słońca, a nawet wiersze opisujące problemy dnia codziennego. Nawet latarnie wydawały się tracić swój użytkowy charakter na rzecz kolejnych dzieł sztuki - motywów roślinnych i popiersi José Martíego.

Słońce prażyło niemiłosiernie, więc zatrzymałyśmy się przy kiosku z pizzą, by napić się soku z guajawy. Kiedy Amy poszła po picie, Dinora błyskawicznie wyciągnęła z torby portmonetkę i zaczęła upierać się, byśmy pozwoliły jej zapłacić za nasz sok.

- Kiedy samemu ma się tak niewiele, ofiarowanie komuś czegoś jest nie lada luksusem - powiedziała.

Uderzył mnie sposób, w jaki zaakcentowała słowo „niewiele”. Czy to ja czegoś tu nie rozumiałam, czy może Dinora nigdy nie była w domu innej kubańskiej rodziny - na przykład takiej Ludmiły, u której wszyscy spali w jednym pokoju i dla której zafundowanie mi biletu

na autobus, stanowiącego ułamek ceny soku z guajawy, oznaczało powrót do domu na piechotę?

- Jeśli mam być z wami szczerą, postawiłam wam ten sok także z nieco egoistycznych powodów - powiedziała Dinora, wręczając nam po szklance różowego napoju, kiedy schroniliśmy się pod malutką wiatą budki z pizzą, by choć na chwilę odetchnąć od palącego słońca.

- Co masz na myśli? - spytałam.

- Czasem czuję się zakłopotana, spacerując ulicą w towarzystwie obcokrajowców - powiedziała. - Nie chcę, żeby ludzie sobie pomyśleli, że się z wami zadaję, bo czegoś od was chcę. Ze jestem jinetera. A tak kupuję wam sok i ludzie widzą, że jesteśmy przyjaciółkami.

Potem zabrała nas do miejscowego sklepu spożywczego. w odróżnieniu od sklepu nieopodal hotelu El Bosque, który sprzedawał wyłącznie produkty przetworzone, tutaj można było zaopatrzyć się we względnie świeże mięso i nabiał. Mięso leżało na styropianowych tackach, zawinięte w folię, zupełnie jak w Stanach. Z tą tylko różnicą, że tutaj wszystko było na wierzchu, bez jakiegokolwiek przykrycia, nie wspominając już o walorach estetycznych - mięso pływało we własnym, krwawym sosie. Przy kasie sprzedawcy wycierali szmatami ociekającą krwią metalową ladę, przez którą przechodziło całe jedzenie. Kartony z sokami i opakowania makaronu lepiły się do plastikowych toreb, w które pakował je kasjer. Dlatego bardzo szybko wyrobiłam sobie nawyk dokładnego mycia rąk po każdorazowym wypakowaniu zakupów.

Kiedy kończyliśmy nasz spacer na miejscowym targu warzywnym, tuż za rogiem domu Dinory, nasza gospodyni powiedziała, że musi wracać, bo zaczynają boleć ją stopy.

- Wszystkie buty, które tu sprzedają, mają ten sam defekt - westchnęła, przyglądając się z dezaprobatą swoim czółenkom na wysokim obcasie. - Bueno, es Cuba - dodała jeszcze, wręczając nam klucz do domu, po czym zostawiła nas, byśmy rozejrzały się po targu.

Kupiłyśmy zapote, wilgotny, słodki owoc, który przypominał w smaku figę, a także guanabanę - zielony kolczasty owoc, którego mlecznobiały miąższ smakował jak olejek do opalania. Amy znalazła grejpfrut tak wielki, że z początku go nie rozpoznałam, a sprzedawca w czapeczce drużyny baseballowej Michigan, kiedy usłyszał, że Amy pochodzi z tego stanu, tak się podniecił, że dołożył jej gratis torbę pełną kapusty pekińskiej, okry i zielonych papryczek.

- Następnym razem, gdy pani tu wróci, dam pani list do mojej bratanicy, która mieszka w stanie Michigan - powiedział, niezrażony odpowiedzią, że Amy nie wróci do domu co najmniej przed upływem miesiąca.

Ja także miałam już kilka listów, które dostałam od moich kubańskich przyjaciół, jak i zupełnie przypadkowych spotkanych na ulicy. Były one adresowane do krewnych w Miami Las Vegas i wielu małych miasteczkach na środkowym zachodzie, o których nigdy nie słyszałam. Czasem ludzie zdradzali mi treść swoich listów - były to najczęściej prośby o pieniądze lub zapytania w sprawie okularów słonecznych, które miały przyjść, a nie przysły. Najczęściej jednak wręczano mi je bez słowa wyjaśnienia. Po prostu ktoś wtykał mi je w rękę, przeprasząc pod nosem za brak koperty czy znaczka.

Kiedy w trakcie pierwszego tygodnia mojego pobytu na Kubie odkrywałam uroki Hawany, w oczy rzucił mi się całkowity brak skrzynek na listy na ulicach i drzwiach domów.

- W jaki sposób ludzie otrzymują korespondencję? - spytałam kiedyś Alfreda.

- Listonosz, przechodząc pod twoim domem, gwizdże, jeśli ma dla ciebie jakąś pocztę - wyjaśnił mi. - Wtedy musisz wyjść i własnoręcznie ją odebrać.

- A jeśli nie ma cię w domu?

- Hmm... wtedy być może robi to za ciebie sąsiad. - Alfredo przez moment wyglądał na zbitego z tropu. - Tak, na pewno - przypomniał sobie po chwili. - Kiedyś nasza sąsiadka dostała list od syna z Tampy, a ponieważ nie było jej wtedy w domu, moja matka poszła i wzięła ten list.

Spytałam Alfreda, czy kiedykolwiek dostał jakiś list.

- Nie wydaje mi się - odparł. - Po co ktoś miałby do mnie pisać, skoro może przyjść osobiście i powiedzieć, o co mu chodzi?

- A co z rachunkami? Na przykład za prąd czy karę z biblioteki?

- Wtedy ktoś przychodzi i pobiera od ciebie opłatę - powiedział Alfredo. - W Stanach jest inaczej?

Próbowałam wyobrazić sobie jego minę na widok sterty nikomu niepotrzebnej korespondencji - reklam i próśb o wsparcie finansowe od organizacji pożytku publicznego - która czekała na mnie za każdym razem, kiedy wracałam z podróży. Co by sobie pomyślał, widząc te wszystkie anonse o zaginionych dzieciach? Albo kupony zakładów pieniężnych? Na samą myśl o tym, jak Alfredo wyglądałby w moim świecie, zakręciło mi się w głowie.

Nawet teraz, kiedy zobaczyłam go stojącego po raz pierwszy przed domem Dinory, wydał mi się jakby nie na miejscu.

Jakby wytracony z równowagi, mały, skurczony i przytłoczony samymi rozmiarami drzwi do domu mojej gospodyni.

Amy i ja zaprosiliśmy jego i Ludmiłę na kolację. Cieszyłam się, że po raz pierwszy będą mogli wziąć udział w czymś, co nie wymaga od nich pieniędzy, których nie mieli, a co

w efekcie wprawiało ich w zakłopotanie. Podniecała mnie myśl, że w tym domu nikt, tak jak w hotelu, nie będzie się im przyglądał z ironicznym uśmiechem i nie będą musieli posłusznie czekać w holu, aż ktoś po nich wyjdzie. A Alfredo nie będzie musiał używać argentyńskiego akcentu, by móc ze mną porozmawiać przez telefon.

Gdy jednak usłyszałam dzwonek do drzwi i zbiegłam po pierwszych schodach, by przywitać się z Alfredem, zobaczyłam Dinorę w towarzystwie niskiego półnagiego mężczyzny o cerze równie oliwkowej jak ona; oboje przyglądali się Alfredowi ze szczytu schodów.

- Twierdzi, że jest przyjacielem tych dziewczyn - powiedziała Dinora do męża z wyrazem zwątpienia na twarzy.

- Mój przyjaciel zje z nami kolację - rozwiałam wątpliwości pani domu. W tym momencie przypominałam sobie, że Alfredo poprosił mnie wcześniej, bym uprzedziła Dinorę o jego wizycie. Jego prośba wydała mi się wtedy dziwna, zważywszy że byliśmy przecież w kraju, w którym ludzie wpadali do siebie bez uprzedzenia, chociażby telefonicznego, o dowolnej niemal porze. Tak czy inaczej, próbowałam jakoś naprawić krępującą sytuację.

- Lada chwila przyjdzie jeszcze jedna osoba - powiedziałam. - Nie sprawi to państwu kłopotu?

- Ależ nie, skądże - zachnęła się Dinora. - To teraz także twój dom. Proszę, wejdź na górę - powiedziała, zwracając się do Alfreda i cofając kilka kroków, tak aby mógł mnie zobaczyć. Towarzyszący jej mężczyzna zrobił to samo, mimo to Alfredo w dalszym ciągu wyglądał na speszonego, dopóki nie stanęłam na wprost niego na szczycie schodów i nie uśmiechnęłam się. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyłam strużki potu spływające po jego twarzy, pomimo panującego w domu ożywczego chłodu-

- Nigdy nic nie wiadomo - powiedziała Dinora, kiedy Alfredo wszedł po schodach na górę. - Przychodzą tu różni ludzie.

Kiedyś jakiś pijak zadzwonił do drzwi, a gdy mu otworzyłam, próbował wejść do środka. Uwierzycie w to? Musiałam go pogonić.

Potrząsnęłam głową, naśladując jej niedowierzanie. Potem przedstawiłam Alfreda mężczyźnie, który - tak jak myślałam - okazał się mężem Dinory, Luisem. Luis uścisnął mi dłoń, a Dinora pocałowała go w policzek. W jednej chwili wszystko stało się tak naturalne, że aż nie mogłam uwierzyć, kiedy nastąpiła ta metamorfoza.

Abuela wychyliła się ze swojego bujanego fotela ustawionego w salonie, aby przyjrzeć się Alfredowi.

- W porządku, mimi - powiedziała Dinora - możesz się przywitać z naszym gościem.

- Czy to twój marido? - Abuela ożywiła się niespodziewanie.

- Mój mąż? - powtórzyłam bezwiednie. - Nie, tylko przyjaciel.

W odpowiedzi Abuela zareagowała potokiem słów, których nie byłam w stanie zrozumieć.

- Co powiedziała? - spytałam zaciekawiona.

Alfredo roześmiał się.

- Powiedziała, że wyczuwa w powietrzu coś więcej niż tylko przyjaźń.

Zawtórowałam mu śmiechem, nie bardzo wiedząc, co dalej. Wiedziałam już, że Kuba to kraj swatów, w którym miłość, a potem zaręczyny następowały z prędkością, która mnie przerażała, szczególnie z powodu braku jakiegokolwiek głębszej refleksji, do jakiej byłam przyzwyczajona w tych sprawach.

Kiedy o tym rozmyślałam, rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem wyszłam Ludmile naprzeciw, chcąc oszczędzić jej widoku gapiących się domowników. Kiedy mnie zobaczyła, błyskawicznie wspięła się po schodach, a gdy już dotarła na górę, wyjęła rękę zza pleców, wyciągając kremowobiałą mariposę.

~ To dla ciebie i señority Amy - powiedziała. Przyglądała się przez chwilę z nieskrywaną radością, jak wdycham oszałamiający zapach wanilii i jaśminu, po czym dodała:  
- Mariposa ma w sobie piękny aromat, lecz jest bardzo droga. Sprzedają ją wyłącznie w sklepach dewizowych.

Dinora z życzliwością pokiwała głową, by po chwili przywitać Ludmilę serdecznym pocałunkiem w policzek. Lody zostały przełamane. Potem przedstawiłam ją Alfredowi; Ludmiła uśmiechnęła się pod nosem, a kiedy Alfredo nie patrzył, pokazała mi uniesiony do góry kciuk.

Na górze Amy gotowała fasolę na płycie kuchennej. Zamierzałyśmy zrobić potaje, kubańską zupę z czarnej fasoli, którą zalewano biały ryż. Było to jedno z lepszych dań, jakie miałam okazję jeść w hotelu El Bosque. Ale po całym dniu poszukiwań, kiedy kupiłyśmy już odpowiednią fasolę i najsmaczniejszy ryż na targu niedaleko domu Dinory, zdałyśmy sobie sprawę, że nie mamy najmniejszego pojęcia o gotowaniu potaje.

Ludmiła nachyliła się nad kuchnią, fachowo oceniając zapachy dochodzące z wielkiego garnka.

- Brakuje cebuli - stwierdziła.

Alfredo również wsadził nos do garnka.

- I czosnku - powiedział, po czym zastanowił się przez chwilę. - Przydałoby się też sól i oliwa.

- Nie zapomnij też o cukrze i kminku - wtrąciła się ponownie Ludmiła.

W ciągu kilku następnych minut nasi kubańscy przyjaciele wyrzucili nas z kuchni i sami wzięli się za przygotowanie posiłku. Nie chcąc czuć się zupełnie nieprzydatne, Amy i ja zaczęłyśmy w tym czasie przygotowywać mojitos w sąsiedniej jadalni. Jednocześnie starałam się dyskretnie wyłowić co nieco z rozmowy Ludmiły z Alfredem, dobiegającej wśród tradycyjnego wieczornego zgiełku hawańskiej ulicy - na zewnątrz słychać było dźwięki wszędobylskiej salsy i pobrzękiwanie sztuccami naszych sąsiadów, którzy również zasiedli do kolacji.

W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszę, jak Alfredo śpiewa. Przerwałam na chwilę kruszenie hierba buena, by sprawdzić, co się dzieje w kuchni.

Alfredo stał nachylony nad zlewem i szorował garnek, podczas gdy Ludmiła polewała potaje, ryż ułożony w idealnych półkolach na naszych talerzach.

- Sabe lavar, sabe planchar, sabe coser, sabe cocinar. Mi casa, limpia y bonita! Qué maravilla es ese papá! - Alfredo śpiewa! seksownym, niskim głosem. - Wiem jak prać, wiem jak prasować, wiem jak szyć i wiem jak gotować. Mój dom jest czysty i piękny. Ależ wspaniały ze mnie ojciec!

- Sam to wymyśliłeś? - spytałam ze śmiechem. W piosence, będącej artystycznym manifestem wszystkich kubańskich gospodyń domowych, Alfredo zamienił na oczekaniu słowo „matka” wyrazem „ojciec”.

- Nie - Alfredo pokręcił głową. - Nauczyłem się jej z pewnej kreskówki, którą oglądałem, gdy byłem dzieckiem.

- Dalej ją puszczać - zauważyła Ludmiła. - Rząd wznowił emisję tej bajki po Rewolucji, w celu zmiany tradycyjnej postawy mężczyzn w społeczeństwie.

- Wow! - Amy była zachwycona. - Czemu u nas w Stanach nie puszczać takich kreskówek?

Ludmiła przyniosła nasze potaje, tymczasem Alfredo zebrał przed sobą wszystkie warzywa, po czym odwrócił się do nas plecami, co trudno było uznać za przejaw wysokiej kultury osobistej. Zanim zaczął siekać warzywa, rzucił na nas okiem przez ramię i powiedział: - Proszę nie podglądać - to ma być niespodzianka!

Dziesięć minut później odwrócił się z powrotem; z czoła znów zwisały mu ciężkie krople potu. Po chwili postawił przed nami półmisek z jedną z najpiękniejszych sałatek, jakie w życiu widziałam. W przeciwieństwie do moich sałatek, które składały się ze wszystkiego, co było pod ręką i dało się posiekać, sałatka Alfreda wyglądała niczym dzieło sztuki kulinarnej. Na samym dnie półmiska znajdowało się posłanie z liści sałaty, na którym

spoczywały kawałki pokrojonej zielonej papryki, upstrzone dodatkowo wiórkami cebuli. Górną warstwę tworzyły cienkie niczym arkusz papieru plastry pomidora, leżące jeden na drugim jak przewrócone domino. Całości dopełniały znajdujące się w środku paski czerwonej papryki, tworzące napis z moim imieniem.

- Zobacz - Alfredo pokraśniał z dumy - nie ma nic o miłości tylko twoje imię.

Ludmiła puściła do mnie oko, a Amy zachichotała. Potem wszyscy wznieśliśmy toast naszymi mojitos - za koniec programu w hotelu El Bosque i początek czegoś, co roboczo nazwałam „nowym, prawdziwym życiem na Kubie”.

Po kolacji Amy z Ludmiłą wybrały się na spacer wzdłuż Malecónu, a my z Alfredem wyszliśmy na dach. Siedzieliśmy na leżakach i obserwowaliśmy miasto nocą.

- Twoja gospodyni nie będzie miała nic przeciwko temu, że siedzę u ciebie do tak późna? - spytał Alfredo.

Spojrzałam na jego zegarek. Była dopiero 10.00.

- Na pewno nie - uspokoiłam go. Nie wiem, czy była to zasługa piosenki Qué maravilla!, pysznej sałatki, a może subtelnego nawiązania Alfreda do mojego listu i towarzyszącego mu zapewnienia, że między nami wszystko się ułoży, ale tego wieczoru czułam się z nim związana bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nachyliłam się i pocałowałam go.

- Nie martw się, tu jesteśmy bezpieczni - powiedziałam.

Alfredo odchylił się do tyłu i nagle leżak, na którym siedział, złożył się z trzaskiem; siedzący pod nim karaluch uciekł przerażony.

- Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz? - Alfredo parsknął śmiechem.

- Może wejdziemy do środka? - zaproponowałam.

- Dobrze - zgodził się, choć w jego głosie wyczułam nutę niepewności.

Kiedy byliśmy już w pokoju, zamknęłam drzwi i usiadłam na łóżku; Alfredo przyglądał mi się z ciekawością z drugiego końca pokoju.

- Coś nie tak? - spytałam.

- Może powinienem już iść - powiedział. - Co będzie, jeśli Amy wróci?

- Na pewno Ludmiła zagada ją na śmierć - odparłam.

Wstałam i podeszłam do niego. Nagle, zupełnie jak kiedyś w kolejce, coś nam przeszkodziło. Ktoś pukał do drzwi. Alfredo podskoczył w miejscu, a potem drzwi się otworzyły i przez ciekawą szczelinę do pokoju zajrzał Luis. Widział tylko mnie.

- Czy ten kawaler tu jeszcze jest? - spytał podejrzliwie. - Chciałbym się już położyć, a muszę zamknąć drzwi wejściowe na noc.

Alfredo podszedł do drzwi.

- Właśnie miałem wychodzić - powiedział.

- W porządku - ucieszył się Luis. - Dziękuję.

Kiedy jego kroki ucichły na schodach, odwróciłam się do Alfreda, który wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Co to miało być? - spytałam.

Zaskoczył mnie wyraz jego twarzy - wyglądał raczej na wściekłego niż zażenowanego.

- Wiedziałem. Od chwili, gdy tu wszedłem, wiedziałem, że tak będzie.

- Co wiedziałeś? Myślisz, że on się domyślił, że chcesz tu spędzić noc?

- Przede wszystkim pomyślał sobie, że nie wyglądam tak jak on - Alfredo uszczypnął się w ramię, jakby chcąc jeszcze bardziej podkreślić kolor swojej skóry. - Es racismo.

To oskarżenie wprawiło mnie w zdumienie. Mieszkając w hotelu, nasłuchiwałam się o miejscowym apartheidzie pomiędzy miejscowymi i turystami, ale nigdy nie było mowy o klasycznym rasizmie ze względu na kolor skóry. W El Bosque z równą nieufnością traktowano wszystkich Kubańczyków - czarnych, białych i Mulatów.

Wśród gości zapraszanych do hotelowej sali konferencyjnej w charakterze ekspertów i prelegentów było tyłu samo białych, co czarnych. Tak samo na ulicach Hawany nigdy nie spotkałam się z bezpośrednimi przejawami jakiegokolwiek dyskryminacji rasowej - przynajmniej nie w tym sensie, w jakim miałam 2 nią do czynienia w USA, gdzie mniejszości etniczne zamyka się w gettach. Na Kubie czarni mieszkali razem z białymi.

- Nie sądzę, by tu chodziło o rasizm - powiedziałam do Alfreda. - Może po prostu Luis nie czuje się komfortowo, goszcząc obcych pod swoim dachem.

- A ty?

- Ze mną jest inaczej - broniłam się.

- Jak to? Przecież też jesteś dla niego obca.

- Ale wynajmuję tu pokój.

- W takim razie mamy do czynienia z innym rodzajem rasizmu - mnie nigdy nie byłoby stać na mieszkanie w takim domu.

Chociaż nie podobało mi się, że Alfredo doszedł do tak kategorycznych wniosków zaledwie po kilku godzinach spędzonych w domu Dinory i Luisa, wiedziałam, że ma rację, mówiąc, że nie stać go na takie lokum. Płaciłyśmy z Amy za pokój w domu 25 dolarów za dzień, co miesięcznie dawało 750 dolarów. Za podobną cenę można było wynająć coś w San Francisco, z tym, że tam prawdopodobnie miałybyśmy do dyspozycji telefon, kuchnię z



gorącą wodą i łazienkę z normalnym prysznicem, zamiast kranu w ścianie obok toalety. W innych krajach Ameryki Łacińskiej, w których miesięczna pensja była dużo wyższa niż standardowe 12 dolarów na Kubie, nigdy nie płaciłam za pokój 750 dolarów miesięcznie. Był to kolejny aspekt kubańskiej gospodarki, którego nie potrafiłam zrozumieć.

- Lea, no te pongas molesta - powiedział Alfredo. - Nie bądź zła, ale wiem, co mówię. Mieszkałaś w hotelu przez miesiąc, to była una vida plastica. Plastikowe życie. Poza hotelem na Kubie jest wiele problemów. Większość turystów ich nie dostrzega, ty będziesz miała tę okazję. Dlatego powinnaś słuchać i robić notatki, żeby napisać dobrą książkę i powiedzieć ludziom, co tu się dzieje. Podczas obiadu piliśmy za nowe, prawdziwe życie na Kubie. Oto ono.

To mówiąc, otworzył drzwi, ukazując pogrążoną w mroku ulicę, wciąż wypełnioną ludźmi oraz wylegającymi się na schodach przed domami niedożywionymi kundlami. Potem rozłożył szeroko ramiona, jak dyrygent przygotowujący do występu swoją orkiestrę.

- Witaj na prawdziwej Kubie, Lea - powiedział.

## Rozdział IX

### Prawdziwa Kuba

W hotelu El Bosque mieliśmy prąd 24 godziny na dobę; jednak szybko przekonałam się, że nie jest to dobro powszechnie dostępne. W każdy poniedziałek z dokładnością, której nie powstydziliby się szwajcarscy zegarmistrzowie, następowały przerwy w dostawie energii elektrycznej. Działo się to zawsze tuż przed zachodem słońca i trwało zazwyczaj od dwóch do czterech godzin.

Alfredo opowiedział mi, że w czasie Okresu Specjalnego ludzie żyli bez prądu nawet do ośmiu godzin dziennie. A kiedy włączano elektryczność z powrotem, napięcie w sieci było tak silne, że niszczyło wiele sprzętów domowego użytku; podobno z lodówki należącej do ojca Alfreda raz nawet buchnął snop iskier.

Do tej pory Kubańcy zdążyli się już do tego stopnia przyzwyczaić do ograniczeń w dostawie energii, że nic nie mówili, tylko sięgali po zapalki i zapalali świece jak przed uroczystą kolacją - życie toczyło się dalej. Poza tym większość pomieszczeń w domach była tak słabo oświetlona z powodu wysokich Cen żarówek, że różnica między nimi a świecami była prawie niezauważalna. Różnicę tę było jednak widać, a w zasadzie sły-chać gdzie indziej. Kiedy milkły wszystkie odbiorniki radiowe w całej Hawanie, zamiast wszechobecnej salsy sły-chać było

Przeraźliwą ciszę.

Przerwy w dostawie prądu były na Kubie czymś z góry zaplanowanym. Każdego dnia w gazetach publikowano godziny i przewidywany czas wyłączenia prądu. Rząd bronił się w ten sposób po pierwsze, przed nadmiernymi kosztami, a po drugie - oszczędzał i tak już skąpe zapasy energii elektrycznej. Jedynie szpitale i biura administracji rządowej były w tej kwestii traktowane na specjalnych zasadach.

Wkrótce i ja przyzwyczałam się do tych „zaćmień”, chowając w każdym pokoju w naszym mieszkanku na piętrze pudełko zapalek i zabierając ze sobą latarkę za każdym razem, gdy wychodziłam wieczorem na miasto.

Nauczyłam się tego kilka dni po tym, jak wprowadziłyśmy się z Amy do domu Dinory. Było późne popołudnie, zwiastujące niemal zupełnie bezksiężycową noc, a ja biegłam samotnie wzdłuż Malecónu. Planowałam krótki jogging, ale po raz kolejny dałam się zauroczyć widokowi cudownego morza - rozbijających się o brzeg fal, rybaków zarzucających sieci, uczennic siedzących na plaży i wpatrujących się w błękitny bezkres.

Kiedy słońce zaczęło się chować za taflą Morza Karaibskiego, zmieniając kolor wody z indygo w czarny, ruszyłam z powrotem do hotelu. Chwilę później wyłączyli prąd w całym mieście. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło i ciemność wydawała mi się teraz tak nieprzenikniona, że nie widziałam zarysów budynków ani linii dzielącej chodnik od jezdni na 7. ulicy.

Za dnia Hawana była miastem, w którym bardzo łatwo było się poruszać. Do tego stopnia, że nigdy nawet nie zadałam sobie trudu, żeby kupić mapę. W dzielnicy Vedado, w której spędzałam większość czasu, wszystkie ulice były dobrze oznaczone i ponumerowane, biegnąc po przekątnej i wpadając do morza na swoich północnych krańcach. W sąsiedztwie domu Dinory ulic było więcej i były one dużo mniejsze. Błądząc w ciemnościach, postanowiłam więc zapytać o drogę jednego z niewidzialnych ludzi, których kroki towarzyszyły mi przez całą drogę.

Zwróciłam się na głos donikąd, jakbym wypowiadała słowa modlitwy skierowane do nieznanego boga: - Przepraszam, mógłby mi ktoś powiedzieć, co to za ulica?

W odpowiedzi usłyszałam głuchy łomot tuż przede mną.

- Dios mio, como me asustaste! - głos kobiety dobiegał jakby z dołu. - Ale mnie pani przestraszyła!

Uklęknęłam i macając, wyczułam najpierw głowę z krótkimi szorstkimi włosami, a potem rękę chwytającą moją dłoń. Podniosłam kobietę z chodnika i przeprosiłam ją z całego serca.

- W porządku, nic mi się nie stało - odparła kobieta. - W którą stronę pani idzie?

- Szukam ulicy Animas - powiedziałam - między Soledad i Aramburo.

- Idę w tamtym kierunku. Możemy sobie nawzajem pomóc.

Szłyśmy dalej razem, ramię w ramię, jak matka i córka na wieczornym spacerze. Kobieta skarżyła się na upał i brak oleju do smażenia w sklepach w tym tygodniu. Kiedy doszłyśmy do Animas, usłyszałam, jak grzebie w kieszeniach.

- A, tu jest - powiedziała, pocierając coś w dłoni; po chwili rozbłysła zapalka. Pomachała nią przed drzwiami domu, przed którym stałyśmy. Szczęśliwym trafem był to dom sąsiadów Dinory.

Przez tę krótką chwilę widziałam twarz kobiety, którą wystraszyłam. Była w podeszłym wieku, zaproponowałam więc, że teraz ja odprowadzę ją do domu. Staruszka zareagowała jednak śmiechem.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Szłam tą drogą w ciemności wiele, wiele razy.

- Es Cuba - odpowiedziałam, a ona roześmiała się jeszcze głośniejsze, a potem nachyliła

się, by ucałować mnie na do widzenia. Pachniała morzem i ulicą.

Byłam zaskoczona tempem, w jakim przyzwyczałam się do rytmu życia panującego w domu Dinory. Pobyt w hotelu El Bosque wydawał mi się teraz odległym wspomnieniem z obcego kraju. Nie pamiętałam już, jak to jest obudzić się rano, nie słysząc krzyków i śmiechów dzieci dobiegających z círculo Infantil - jednego z tanich przedszkoli, będących jeszcze jedną zdobyczą Rewolucji, które akurat znajdowało się wprost pod nami mojej sypialni.

Myłam się w akompaniamencie hałaśliwego koncertu, wydawanego przez skrzypiące koła wózków wiozących owoce i warzywa na pobliski targ na rogu Soledad i Animas. Minął marzec i choć wydawało się, że pogoda jest już nie do zniesienia, zrobiło się jeszcze cieplej. Jak większość Kubańczyków, brałam prysznic przynajmniej dwa razy dziennie. Podłoga wyłożona gładkimi, białymi kafelkami zmieniała się z czasem w dno basenu kąpielowego, które musiałam wycierać po każdej kąpeli - prysznic nie był oddzielony od reszty łazienki podmurowaniem czy choćby zasłonką z ceraty, a jedynie odpływem umieszczonym w posadzce. Z początku taki prysznic bez formy i kształtu trochę mnie przerażał, ale potem zaczęłam sobie cenić niczym nieograniczoną swobodę, przypominającą kryty wodospad w sercu miasta.

Stałam na środku łazienki, woda lała się na mnie wprost ze ściany, a pod uchylonym oknem gdakały kurczęta. Byłam szczęśliwa. Po wyjściu spod prysznica prałam bieliznę w umywalce, a potem rozwieszałam ją na dachu, gdzie w palącym słońcu i wysmagana wiatrem, schła w mniej niż pół godziny.

Dinora miała pralkę na dole, która jednak często się psuła, wylewając potoki mydlin na podłogę w jadalni. Podobnie jak w przypadku swoich butów, Dinora zwała całą winę na fatalną jakość sprzętu AGD produkowanego na Kubie.

- Nie ma tutaj ani jednego sklepu, który sprzedawałby proszek do pralek automatycznych - mówiła. - Jestem albo uzależniona od cudzoziemców, którzy przywożą mi detergenty w prezencie, albo czekam, aż Nitza wróci do domu z podróży.

Nitza wróciła z Argentyny w pierwszym tygodniu mojego pobytu u Dinory. Amy i ja siedziałyśmy w salonie, rozmawiając z Abuelą, która codziennie czekała na nas, aż wrócimy ze szkoły. Minął już rok, odkąd staruszka przestała wychodzić z domu, czując się zbyt słaba, by zejść po schodach, dlatego była strasznie ciekawa, co słyhać na zewnątrz. Pytała o nasze zajęcia, o ludzi, których spotykałyśmy w sąsiedztwie, o produkty na bazarze i temperaturę na ulicy. Rozmowa z nami sprawiała jej wielką radość, choć rzadko pamiętała nasze imiona. Zamiast nich używała przezwisk, które sama nam nadała: Gorda (Gruba) i La Flaca (Chuda).

Kiedy wracałam popołudniami do domu bez Amy, Abuela pytała mnie zaniepokojona: - Donde está La Gorda? (Gdzie jest ta Gruba?)

Tego dnia, kiedy Nitza miała wrócić do domu, Abuela wiedziała o tym pierwsza.

- Nitza wróciła - obwieściła triumfująco. - Słyszę samochód przed domem.

Mimo że dom Dinory znajdował się w dzielnicy Centro Habana - praktycznie w samym centrum stolicy - odgłos samochodu nie był tutaj czymś powszechnym. W kraju, w którym wszędzie chodzi się na piechotę, warkot silnika należał najczęściej do jedyne go sprawnego egzemplarza na ulicy.

- Chłopak Nitzy ma samochód - Abuela sprzedała nam sensacyjną nowinę, po czym zniżyła głos: - Ale łysieje. Wydaje mi się, że jest dla niej za stary.

Podeszłam do schodów, by poznać Nitzę, ale najpierw ujrzałam jej bagaże. Kiedy Dinora otworzyła frontowe drzwi, pojawiła się w nich najpierw sterta pudeł, a za nimi do środka wtoczył się ciemnowłosy (i faktycznie łysiejący) mężczyzna, wyglądający na świeżo po czterdziestce. Wniósł jedno z największych pudeł na górę, po czym w drzwiach stanęła Nitza - niska kobieta w opiętej różowobiałej sukience w kwiaty - która podniosła kolejną paczkę i zaczęła ostrożnie wnosić ją po schodach.

Z bliska wydawała się bardzo podobna do swoich rodziców. Jej długie włosy miały ten sam odcień brązu, co włosy Dinory; z kolei szerokie ramiona i nieco krępą budowę ciała z pewnością odziedziczyła po Luisie.

- Nowi na pokładzie? - spytała, nachylając się, by nas pocałować na dzień dobry.

- Są z nami od dwóch tygodni - pospieszyła z wyjaśnieniami Dinora. - I zamierzają objechać całą wyspę. Ay, qué rico! ~ westchnęła w ten sam rozmarzony sposób, w jaki Ludmiła i Alfredo reagowali na wieść o moich i Amy planach turystycz-nych związanych z Kubą.

- Jak było w Argentynie? - Amy zwróciła się do Nitzy.

- Och, jak zwykle - odparła dziewczyna z nonszalancją, stanowiącą wyraźną przeciwwagę dla zamiłowania do podróży, które cechowało Dinorę. - Umawiałam się ze znajomymi na lunch. Wiezorami chodziłam do klubów. Robiłam zakupy.

Kiedy Nitza wspomniała o zakupach, Dinora podeszła do sterty pudeł, która rosła z minuty na minutę za sprawą jej chłopaka, taszczonego na piętro kolejne kartony.

- Kupiłaś telewizor? - spytała, a Nitza potwierdziła. - I pościel? - Nitza znów pokiwała głową. - Materiał na ubrania? I proszek do pralki?

- Tak, tnimi - Nitza wyglądała na rozdrażnioną. - Możesz sobie wszystko pooglądać. Ja tymczasem wezmę prysznic i przygotuję się na wieczór. Idziemy z Reyem potańczyć.

- Ay, qué rico! - Dinora znów westchnęła.

Rey, po hiszpańsku „król”, pocałował nas na pożegnanie

- jego twarz była ciepła i spocona z wysiłku. Nitzza pomaszerowała do swojej sypialni. Dinora rozejrzała się trochę bezradnie wokół, jak gdyby nie wiedziała, co powinna teraz zrobić.

- Czy ktoś jest głodny? - spytała. - Lea? Amy? Luis szykuje kolację.

Mimo iż posiłki nie były wliczone w cenę pokoju, Dinora zapraszała nas zawsze, byśmy zjedli z całą rodziną. Z początku krępowało mnie to, ale po pierwsze, nalegała, a po drugie, przygotowane przez nią i Luisa jedzenie było o niebo lepsze od wszystkiego, co byliśmy w stanie przygotować sobie same z Amy.

Luis był dobrym kucharzem i - w odróżnieniu od Dinory i Abueli - nigdy nie patrzył na mnie z takim sceptycyzmem i nie namawiał, bym jeszcze raz przemyślała sprawę przejścia na wegetarianizm. Nigdy nie kwestionował mojego wyboru i - muszę to przyznać - jego talent kulinarny wielokrotnie uchronił mnie od głodu. Robił na przykład pyszne ajiaco - zupę zawierającą składniki, których nigdy nie odważyłabym się ze sobą wymieszać, takie jak: makaron, banany, sok z cytryny i ziemniaki. Luis uwielbiał gotować i gdy tylko był w domu można go było zastać w kuchni, mieszającego fasolę w garnku albo smażącego wieprzowinę na patelni. Po kolacji posłusznie zbierał i mył wszystkie naczynia, nie zgadzając się, byśmy z Amy mu pomogły.

Po *Qué maravilla es ese papá* w wykonaniu Alfreda nie dziwił mnie już widok kubańskiego mężczyzny w kuchni. Tym większe było moje zaskoczenie, kiedy któregoś dnia zapytałam Dinorę o to, czy na wyspie panuje szowinizm, a ona odpowiedziała: - Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Męski szowinizm jest jednym z największych problemów, z jakimi mamy tu do czynienia - powiedziała. - Luis jest pod tym względem lepszy od większości facetów. Przynajmniej pomaga mi w domu i gotuje, chociaż gdy wychodzi, rzadko mówi mi, kiedy wróci. Jest dość subtelnym, ale jednak macho. Przez niego nigdy nie nauczyłam się prowadzić samochodu. Powiedział, że nie mogę i sam zrobił prawo jazdy. Po czym uległ wypadkowi i to był koniec naszej przygody z samochodami. Kiedy spotyka się ze swoimi braćmi, nigdy nie zabiera mnie ze sobą. Pamiętam pierwszy i zarazem ostatni wyjazd do jego rodziny. Luis i dwaj jego bracia postanowili wyjść do sklepu po piwo. Wyszli beze mnie, ponieważ uważali, że kobiety powinny siedzieć w domu. I zostawili mnie samą na kilka godzin, w obcym domu i mieście, w którym nie znałam nikogo. Wyobrażasz sobie?

Oboje z Amy pokręciłyśmy głowami z niedowierzaniem.

- Choć w sumie powinnam się była tego spodziewać - ciągnęła dalej Dinora. - Luis jest z Santiago, oriente - wyjaśniła z grymasem obrzydzenia na twarzy.

Pomimo że wschodnia Kuba była kolebką Rewolucji, a samo miasto Santiago chętnie odwiedzali turyści, ludzie z Hawany wyrażali się o jego mieszkańcach z pogardą. Nazywali ich guajiros (kmiotami) lub jeszcze dziwniej - palestinos (Palestyńczykami). Któregoś razu, kiedy jakiś policjant wylegitymował Alfreda w biały dzień na środku ulicy, usłyszałam, jak mój Przyjaciel mamrocze pod nosem: el santiaguero estúpido.

~ Mój sąsiad poślubił dziewczynę z Santiago - opowiedział mi kiedyś. - Wprowadziła się do jego domu w Hawanie i przez pierwszy miesiąc wszystko układało się idealnie. W drugim miesiącu zaprosiła swojego brata, a w trzecim ~ matkę. Problem w tym, że oni nic nie robili. Siedzieli w domu, czekając aż mój przyjaciel przyniesie wypłatę. Każdy, kto nie mieszka w Hawanie, szuka jakiegoś sposobu, żeby tu przyjechać.

Jednak Alfredo, jak większość Kubańczyków, co innego mówił, a co innego robił. Niezależnie od lekceważącego tonu, w jakim wypowiadał się o mieszkańcach Santiago, chciał się tam wybrać i nie zamierzał przegapić szansy, byśmy pojechali tam razem. Ponieważ wciąż nie byłam zdecydowana, czy chcę go zabrać ze sobą, póki co robiłam wszystko, by go zniechęcić. Mówiłam, że nie mamy jeszcze z Amy sprecyzowanych planów ani terminów.

Tak naprawdę bałam się, że nasze relacje z Alfredem ulegną zmianie w trakcie tej podróży. Jak na razie wszystko układało się dobrze, począwszy od wieczoru, kiedy dałam mu swój list. Ku mojemu zaskoczeniu, nie tylko nosił go w portfelu razem z moim zdjęciem, ale często wspominał, jak gdyby był to co najmniej miłosny poemat. Kiedy oczy świeciły mu się dobrze znanym mi blaskiem, kiedy obsypywał mnie komplementami, zwykle cytował przy tej okazji jego fragmenty.

Jedyną rzeczą, jaka nie uległa zmianie w kontaktach między nami, był niepokój Alfreda towarzyszący jego wizytom w domu Dinory. Czasem czuł się tak skrępowany, że prosił, byśmy spotkali się o umówionej porze gdzieś na zewnątrz. W Dniu Kobiet czekał na mnie na rogu Animas i Soledad, by dać mi wyrzeźbiony w mahoniu kwiat z dedykacją „Dla Lei, z całym moim sercem”. Kiedy zaprosiłam go do środka, spytał, czy nie moglibyśmy raczej pospacerować trochę po mieście.

Przyglądałam się rodzinie Dinory w poszukiwaniu przejawów rasizmu, ale nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Wszyscy sprawiali wrażenie autentycznie dobrych ludzi i czułam się w ich towarzystwie dużo bardziej komfortowo niż kiedykolwiek w hotelu El Bosque. Jednak mimo iż Dinora i Luis wielokrotnie pytali o Alfreda i zapraszali go do siebie, on w dalszym ciągu uważał ich za rasistów.

- Nigdy tego nie zrozumiesz, bo nie jesteś Kubanką - powiedział mi którejś nocy, kiedy spacerowaliśmy wzdłuż Malecónu.

- W takim razie może nie powinniśmy być razem, skoro nigdy nie będę Kubanką - odparłam zirytowana tym, że nasze kłótnie zawsze krążyły wokół tych samych, niemożliwych do pokonania różnic, które nas dzieliły.

- Wy, Amerykanie, jesteście bardzo trudni - powiedział Alfredo. - Wydaje wam się, że możecie gdzieś przyjechać i zrozumiecie wszystko w ciągu miesiąca.

- Nigdy nie mówiłam, że wszystko rozumiem - natychmiast odbiłam piłeczkę. - A to, co mówię, nie ma żadnego związku z tym, że jestem Amerykanką. Jestem człowiekiem, nie państwem.

Czasem jednak wydawało mi się, że Alfredo ma rację. Docierało do mnie wtedy, że faktycznie nigdy w pełni nie rozumiem Kuby. Nawet znając historię tego kraju, ba, będąc w nim, zawsze będę postrzegać tę wyspę z perspektywy turystki. I z tego samego powodu nie byłam w stanie zrozumieć sensu życia Alfreda.

Nie podzieliłam się z nim jednak tymi wątpliwościami. Nie mogłam pozwolić, by uznał to za swój triumf. W miarę, jak nasz związek się rozwijał, odkryłam w sobie pewien rodzaj uporu, z którego istnienia wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. Czasem nasze relacje przypominały jeden wielki spór, w którym każda ze stron była zbyt dumna, żeby odpuścić. Nawet wtedy, gdy wiedzieliśmy, że nie mamy racji.



## Rozdział X

El Bombo

Kiedy Alfredo powiedział mi, że jego ojciec wygrał w el bombo, czyli kubańską loterię, na początku nie zrozumiałam go, sądząc, że chodzi o el bombón, czyli pudełko czekoladek

- towar równie rzadko spotykany na Kubie.

Nigdy wcześniej nie słyszałam o el bombo. W innych krajach iberoamerykańskich była la loteria. Czytałam za to, że hazard i wszelkie tego typu atrakcje były na Kubie zakazane.

- Nie chodzi tu o czekoladki, choć nie jest to zwykła loteria

- odparł Alfredo, rozbawiony moją pomyłką. Jego żaloszny wyraz twarzy, który utrzymywał się od wyjścia z filharmonii pół godziny temu, zniknął, ustępując miejsca czemuś, co w innych okolicznościach mogłoby zostać wzięte za uśmiech.

Siedzieliśmy w taksówce, która miała nas zawieźć do domu ojca Alfredo w dzielnicy Residencial Almendares, w bezpośrednim sąsiedztwie lotniska. Zaplanowaliśmy tę wizytę kilka dni wcześniej, tak żebym mogła zrobić wywiad z babcią Alfredo ze strony ojca, która mieszkała ze swoim mężem i wujkiem Alfredo, jego przyrodnią siostrą, ojcem i jego drugą żoną. Teraz, kiedy dowiedziałam się o el bombo, wizyta nabrała zupełnie nowego wymiaru.

El bombo w odróżnieniu od loterii w USA wzbudzała szeroki wachlarz emocji - od radości i podniecenia po smutek i strach. Co więcej, w el bombo nie chodziło o pieniądze. Kupon nic nie kosztował, podobnie jak w przypadku nagrody nie wypłacano ani jednego dolara. Zamiast tego, od momentu powstania loterii w 1996 roku 20 tysięcy Kubańczyków rocznie otrzymywało prawo wyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Ojciec Alfredo, który pragnął lepszego życia dla siebie i swojej rodziny, wysłał swoją aplikację o kartę stałego pobytu w ramach el bombo w 1997 roku. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, wysłał dokumenty raz jeszcze, rok później. Mijały kolejne miesiące, a potem lata bez żadnego odzewu, aż w końcu przyjaciele przestali pytać, czy przeprowadza się do USA. W końcu i Alfredo pogodził się z tym, że jego ojciec na zawsze pozostanie na Kubie. Ale tego dnia, kiedy Alfredo jechał do pracy, ojciec zadzwonił do niego z sensacyjną wiadomością.

- Powiedział, że może wyjechać w ciągu dwóch miesięcy - wyjaśnił Alfredo, kiedy minęliśmy Międzynarodowy Port Lotniczy im. José Martíego i skręciliśmy w ulicę biegnącą równoległe do pasa startowego. Ojciec Alfredo próbował już raz opuścić Kubę w 1980 roku

podczas słynnej akcji, w trakcie której z portu Mariel uciekło do Stanów 125 tysięcy Kubańczyków. Wszystko zaczęło się, gdy kubański kierowca autobusu staranował bramę ambasady peruwiańskiej i poprosił o azyl polityczny. Policja zażądała od dyplomatów peruwiańskich wydania „kontrrewolucjonistów”, ci jednak odmówili. Wieści o tym wydarzeniu błyskawicznie obiegły światową opinię publiczną i wkrótce prezydent USA Jimmy Carter zaprosił oficjalnie wszystkich mieszkańców Kuby, którzy uważają się za prześladowanych, do emigracji na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Fidel odpowiedział w uprzejmym tonie. Nie tylko pozwolił wszystkim chętnym na wyjazd z kraju, ale także zachęcał do tego najbardziej, jego zdaniem, uciskane warstwy społeczne, na czele z pensjonariuszami zakładów karnych i szpitali psychiatrycznych.

Ale zanim jeszcze więźniowie stanęli u bram ambasady peruwiańskiej, na ulicach Hawany wybuchła plotka o spodziewanym exodusie. Dzień później ojciec Alfreda wyszedł na przerwę w Pracy i spotkał kilku swoich kolegów jadących do ambasady.

- Spytali, czy chce jechać z nimi - Alfredo snuł dalej swoją opowieść, podczas gdy taksówka skręciła z głównej drogi i wjechała do dzielnicy o szerokich alejach i niewielkich wypielegnowanych trawnikach przed domami. - Mój ojciec skorzystał z okazji, żeby przekonać się na własne oczy, czy to prawda, a potem podjął definitywną decyzję o wyjeździe z kraju. Wrócił do domu, by podzielić się tą nowiną z moją matką, siostrą i mną, ale nasza mama nie chciała opuszczać domu.

- A ty? - nie mogłam nie spytać.

- Ja miałem wówczas siedem lat - odparł. - Całe moje życie kręciło się wokół Kuby, więc raczej nie miałbym ochoty na emigrację. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie. Zresztą, byłem wtedy w szkole. Nie wiem nawet, w jaki sposób dowiedziałem się tego wszystkiego, o czym ci teraz opowiadam. Po prostu jakoś tak się złożyło, że po tylu latach poznałem wreszcie prawdę.

- A pamiętasz, jak poczuł się twój ojciec, kiedy matka powiedziała mu, że nie chce jechać? To z tego powodu się rozwiedli?

- Nie - pokręcił głową Alfredo. - Byli ze sobą jeszcze przez parę lat po tym, co się stało, mimo że dwa kolejne lata ojciec spędził w więzieniu, do którego został wtrącony dziesięć dni po tym, jak odwiedził ambasadę peruwiańską.

- Za co go wsadzili? - spytałam przerażona samą historią, którą opowiedział Alfredo, jak i pozbawionym emocji, chłodnym tonem, jakim mi ją przekazał. - Co zrobił nie tak? Chciał wyjechać? A może tylko popatrzeć na tych, którzy zdecydowali się na ten krok? To bez sensu.

- Es Cuba - powiedział Alfredo, wzruszając ramionami.

To mówiąc, kazał taksówkarzowi zatrzymać się przed piętrowym otynkowanym budynkiem, przed którym - w słońcu na trawniku - wylegiwał się beztrosko bezański kundel. Wspięliśmy się po schodach na taras, na którym w bujanym fotelu, czytając, siedział starszy jegomość o afrykańskim kolorze skóry. Był to pierwszy człowiek na Kubie, nie licząc studentów Uniwersytetu Hawańskiego, gdzie uczyłam się hiszpańskiego, który dał się przylapać w miejscu publicznym z książką.

Chociaż władze Kuby chwaliły się wskaźnikiem umiejętności czytania i pisania na poziomie 98 procent, najwyższym w całej Europie Łacińskiej, niewielu ludzi zdawało się korzystać na co dzień z tego dobrodziejstwa.

Kiedy Amy i ja dołączyliśmy do Alfreda w tradycyjnym niedzielnym wypadzie wprost z filharmonii nad morze, wzięliśmy ze sobą kilka butelek wody oraz parę książek. Kubańczycy najchętniej przynosili ze sobą rum, który popijali prosto z butelki. Kiedy zabrakło już alkoholu, a rozmowa - składająca się zazwyczaj z plotek i dokuczania sobie wzajemnie - też jakoś się nie kleiła, ludzie uciekali ze słońca, szukając schronienia w cieniu palm, gdzie mogli beztrosko poświęcić się przesypywaniu piasku z jednej dłoni do drugiej.

- Czy Kubańczycy nie lubią czytać? A ty? - spytałam raz Alfreda. Dziwiło mnie, że pomimo tych wszystkich pytań dotyczących literatury, którymi mnie zasypywał i pomimo niezliczonych poetów rewolucjonistów, którzy wywodzili się z ludu, Kubańczycy nadal woleli kontemplować piasek na plaży niż czytać książki.

- A co miałbym czytać? - obruszył się Alfredo. - Byłaś tutaj kiedyś w księgarni?

Byłam. Nawet w kilku, starając się jakoś odróżnić jedną od drugiej. Ale każda wyglądała tak samo - pachnące stęchlizną półki, a na nich historia Rewolucji i poezja José Martíego. Dla dzieci były komiksy z Che Guevarą i Fidelem Castro walczącymi w górach Sierra Maestras. A dla tych, którzy wolą fikcję, była specjalna półka z powieściami Tołstoja i Dostojewskiego. Jedynymi amerykańskimi autorami, jakich widziałam na kubańskim rynku, byli Edgar Allan Poe i William Kennedy.

Niezależnie od autora, wszystkie książki miały taką samą nijaką, jednokolorową okładkę, różniącą się tylko jakimiś drobnymi szczegółami. Tytuły na grzbietach były pisane od dołu do góry, tak że chcąc je przeczytać, trzeba było przekręcać głowę maksymalnie w lewo.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce i weszliśmy do domu, zobaczyłam starszego mężczyznę w bujanym fotelu, który czytał po angielsku jakiś techniczny tekst.

- Lea, to jest Alipio, mój dziadek - powiedział Alfredo. Mężczyzna zamknął książkę i

podniósł się z fotela, by się ze mną przywitać.

Alfredo kilka dni wcześniej zdradził mi, że Alipio skończył studia techniczne w ramach wymiany kulturalnej w latach 50. Wiedziałam też, że nie był jego biologicznym dziadkiem.

- Ożenił się z moją babką zanim przyszedłem na świat - wyjaśnił Alfredo, próbując nakreślić mi swoje drzewo genealogiczne. - Ale mój prawdziwy dziadek mieszka gdzieś w La Vibora. Praktycznie go nie znam, widzieliśmy się może dwa czy trzy razy.

- Ma inną kobietę?

- Nie, nigdy nie ożenił się powtórnie, ale miał wiele kochanek, także wtedy, gdy był z moją babką. Dlatego się rozwiedli.

- Czy rozwód był wtedy skandalem?

- Być może. Powinnaś spytać o to babkę. Ona rozwiodła się trzy razy. Teraz ma czwartego męża.

Kiedy to usłyszałam, wiedziałam już, że muszę poznać tę kobietę. Chociaż Alfredo nie potrafił mi powiedzieć, jak traktowane było w społeczeństwie rozwodzenie się i ponowne wychodzenie za mąż, nie wyobrażałam sobie, by mogło to być normą, zwłaszcza w przypadku kobiet. Babka Alfreda jawiła mi się więc jako buntowniczką, silną kobietą, która wiedziała, czego chce, i jako jedna z pierwszych odpowiedziała na zew Rewolucji.

W istocie, Juana Rosa Gonzales nie rozczarowała mnie. Po tym, jak jej mąż odbył ze mną fascynującą, w swoim mniemaniu, rozmowę o polityce i inżynierii, którą prowadził w nie do końca dla mnie zrozumiałym języku angielskim, weszliśmy z Alfredem do jadalni, gdzie czekała już na nas jego babka. Siedziała za dużym szklanym stołem, na którym włożyła z dumą wszystkie swoje rewolucyjne medale i ordery.

Juana była drobną czarną kobietą o odrobinę jaśniejszej karnacji. Długie siwe włosy miała zaplecione w warkocz i związane w kok, który spięła srebrno-turkusową spinką. Siedziała na kanapie w białoniebieskiej sukience w kwiaty i lustrowała nas wzrokiem zza wielkich okularów, które zasłaniały całą górną połowę jej twarzy.

- Możesz pytać, o co tylko zechcesz - powiedziała, wskazując mi krzesło obok. - Ale ostrzegam, mam siedemdziesiąt jeden lat i pamięć czasem mi szwankuje.

Spytałam Juanę, w jaki sposób Rewolucja odmieniła jej życie.

- Przed Rewolucją, kiedy byłam młodą dziewczyną, chciałam zostać nauczycielką, ale wówczas studia dla dziewczyn nie były czymś powszechnym, nie wspominając już o pracy - zaczęła swoją opowieść. - Przede wszystkim dla czarnych nie było wtedy zbyt wielu możliwości. Moja mama była Murzynką, ale na szczęście ojciec miał latynoskie korzenie i

wysoką pozycję w armii. Nie byliśmy bogaczami, ale stać nas było, bym mogła studiować.

- Czy kiedy studiowałaś, zdawałaś sobie sprawę, że nie dostaniesz pracy? - spytałam.

- Tak - Juana uczciwie pokiwała głową. - Ale czułam też, że coś we mnie musi się zmienić. Gdy dorastałam, stale towarzyszył mi niepokój. Ale zrobiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Rzuciłam studia i wyszłam za męża. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Od tamtej pory jestem mężatką.

Sądziłam, że Juana doda coś o swoich rozwodach, ona jednak wyciągnęła rękę po dwa wypolerowane medale, które leżały na stole niczym dwie pozłacane podkładki pod kubki.

- Kiedy skończyłam trzydzieści lat, przyszła Rewolucja i wreszcie zostałam nauczycielką - powiedziała z dumą w głosie. - Te medale dostałam za zasługi dla Kampanii Walki z Analfabetyzmem, a ten certyfikat został podpisany przez samego Fidela - Juana posłała w moją stronę pożąłką kartkę papieru, a ja pokiwałam głową z uznaniem, rozpoznając autograf na dole strony.

Pamiętam, że Dinora również wspominała o swoim udziale w tej kampanii z 1961 roku, podczas której ponad 100 tysięcy Kubańczyków ruszyło w kraj, by uczyć wieśniaków czytania. W tym czasie blisko jedna czwarta populacji kraju była analfabetami.

~ Przez trzy miesiące uczyłam chłopów czytania. Ale oni, Pobrecitos, nie potrafili się nawet podpisać. Odciskali tylko swój kciuk na papierze. - Juana podniosła do góry palec i przyjrzała mu się ze smutkiem. - Potraficie to sobie wyobrazić? To było raptem czterdzieści lat temu. Moi uczniowie byli mi tacy wdzięczni, z niektórymi nadal utrzymuję kontakt. Jeden z nich jest teraz prawnikiem, a inny lekarzem. Wielu też zmarło. Ale przynajmniej doczekali późnej starości i zmarli śmiercią naturalną. W odróżnieniu od niektórych swoich nauczycieli.

- Co pani ma na myśli? - spytałam zaskoczona.

- Zabiło ich CIA.

- CIA? - powtórzyłam, chcąc się upewnić, czy przypadkiem się nie przesłyszałam. - Mówi pani o tym CIA, w Stanach?

- Zgadza się - potwierdziła. - Amerykanie nie chcieli, by Rewolucja zakończyła się sukcesem, więc wymyślali różne historie, żeby nastraszyć wieśniaków. Powiedzieli im, że chcemy ich skrzywdzić, a nie pomóc, i zapłacili im, by się nas pozbyli. Niektórych nauczycieli powieszono, inni zostali utopieni w sadzawkach.

- Nigdy o tym nie słyszałam - byłam wstrząśnięta.

- Oczywiście - Juana roześmiała się na głos. - Wątpię, żeby uczyli was tego na lekcjach historii w szkole.

Przytaknęłam.

- Skąd pani wie, że to prawda? - musiałam zadać to pytanie. - I jak w ogóle się pani o tym dowiedziała?

- Informacje na ten temat znajdują się w niedawno odtajnionych, a wcześniej poufnych dokumentach. Kiedy wróci pani do domu, proszę poszukać na własną rękę, przekona się pani - powiedziała Juana. - A korzystając z tego, że jest pani teraz tutaj, proszę porozmawiać z innymi ludźmi. Opowiedzą pani dużo więcej.

W tym miejscu zrobiła krótką pauzę, a potem szybko dodała: - Szczerze mówiąc, ja sama nie lubię zbyt wiele mówić o tych sprawach. Nigdy nie interesowałam się polityką. Es sucia en todas partes. Wszędzie jest tak samo brudna.

Kiedy rozmyślałam nad tym ostatnim zdaniem, Alfredo, który siedział na balkonie z dziadkiem, odkąd zaczęłam rozmowę z Juaną, wszedł do pokoju z butelką rumu w ręce, nim zjawilo się pół tuzina innych osób, z których każdy miał coś ze sobą. Jakaś postawna kobieta w kostiumie kąpielowym ze spandeksu w fioletowo-czarne pasy (bardzo popularny „strój” na Kubie) włączyła przenośny magnetofon. Kilkunastoletnia dziewczyna, ubrana w szkolny mundurek w musztardowym kolorze, postawiła na podłodze miskę z popcornem i zaczęła tańczyć do grających na nerwach utworów Los Orishas - kubańskiego zespołu hip-hopowego, który obecnie tworzy muzykę w Europie.

Alfredo podszedł do mnie w towarzystwie mężczyzny ubranego w błękitny bezrękawnik z nadrukowanym surferem zjeżdżającym na fali w kolorach tęczy i napisem „Atlantic Ocean”.

- Tato, to jest Lea - przedstawił mnie Alfredo. Dopiero teraz zauważyłam podobieństwo. Ojciec Alfreda miał nieco jaśniejszy odcień skóry i zielone, a nie brązowe oczy. Obaj mieli jednak tę samą budowę ciała i niemal identyczny ciepły głos.

- Przyłączysz się do zabawy? - spytał mnie ojciec.

- Pewnie - odparłam. W trakcie rozmowy z Juaną kompletnie zapomniałam o el bombo. - Gratuluję - powiedziałam. - Cieszy się pan?

- Jadę tam - odpowiedział. - Wciąż trudno mi w to uwierzyć. Wczoraj rozmawiałem z kolegą, który roznosi pocztę. W pewnym momencie powiedział: „Wiesz, wygrałeś w el bombo”. Roześmiałem mu się w twarz: „Tak, jasne”. A on na to: „Poważnie. Chodź ze mną do domu, pokażę ci. Mam dla ciebie zawiadomienie”. Kiedy wróciłem z listem do domu i powiedziałem o wszystkim żonie, też mi nie uwierzyła.

To mówiąc, wskazał na kobietę w pasiastym spandeksie, tańczącą teraz z mężczyzną, który trzymał na rękach małe dziecko.

- Milagro, pozwól na chwilę! - zawołał.

Chciałam go zapytać o tyle różnych rzeczy. Zwłaszcza o jego Pobyty w więzieniu. Mimo iż Alfredo twierdził, że ten epizod nie miał wpływu na życie i karierę jego ojca, byłam ciekawa, jak sobie poradził po wyjściu na wolność. Ale dzisiaj najwidoczniej nie był to najlepszy moment na takie rozmowy.

Milagro przedstawiła mi własną wersję wydarzeń z tego dnia, w którym jej mąż wygrał w el bombo, po czym złapała go za rękę i oboje ruszyli na balkon, by tam na prowizorycznym parkiecie odtńczyć zmysłową salsę. Alfredo spojrzał na mnie wymownie, czekając na swoją kolej.

- W porządku - powiedziałam i chwilę później ujrzałam na jego twarzy ten sam szczerzy, cudowny uśmiech, który towarzyszył mu zawsze, kiedy tańczył.

Tańczyliśmy bardziej na uboczu, trochę wolniej i z mniejszym wdziękiem niż inni. Czasem zdawało mi się, że jestem jedyną osobą na Kubie - zarówno wśród miejscowych, jak i turystów - która nie potrafi tańczyć salsy. Alfredo był dla mnie aż nadto wyrozumiały, podobnie jak wszyscy Kubańczycy, którzy usiłowali nauczyć mnie, jak kręcić biodrami i ruszać stopami do rytmu.

Po trzech tańcach Alfredo zrobił sobie przerwę, by dać trochę odpocząć swoim podeptanym stopom, a ja - szukając pocieszenia - spytałam go, czy miał kiedyś przyjaciółkę, która nie potrafiła tańczyć salsy. Może w szkole trafił mu się jakiś nieporadny mól książkowy albo daleka kuzynka - niezdara, mieszkająca gdzieś na dalekiej kubańskiej prowincji.

- Niestety - Alfredo pokręcił głową. - Znam tylko dwie takie osoby. Jedną jesteś ty, a drugą Fidel.

- Fidel? - parsknęłam śmiechem.

- Ludzie mają mu to za złe - powiedział Alfredo, udając śmiertelną powagę. - Tak samo jak to, że jest kawalerem. Co prawda, chodzą słuchy, że gdzieś tam się ożenił, ale nawet jeśli to prawda - nikt nie widział na oczy jego wybranki. Mówi się, że Castro tak poświęcił się Rewolucji, że stracił kontakt z szarą kubańską rzeczywistością.

Alfredo, stojąc na jednej nodze, złapał mnie za ramię, żeby utrzymać równowagę.

- Chyba sobie usiądę - powiedział. - Napijesz się ze mną?

Przenieśliśmy się do salonu i spędziliśmy tam resztę wieczoru, popijając rum i gawędząc z bliższymi i dalszymi krewnymi Alfreda, którzy też przyszli się trochę zabawić. Rum znikał błyskawicznie, godziny mijały nieubłaganie, a ja zaczynałam odczuwać głód. Miałam cichą nadzieję, że ktoś wyskoczy po coś do jedzenia. Nie miałam w ustach nic od lunchu, a było już grubo po 22.00. Kilka symbolicznych ziarenek popcornu to zdecydowanie za mało, by zneutralizować działanie rumu od którego wirowało mi w głowie. Ale wszyscy

wydawał się całkowicie pochłonięci muzyką, tańcem. Poza tym byłam prawie pewna że nikt nie ma pieniędzy, by przynieść coś z miasta. Postanowiłam więc zostać na sofie i pić jak najwięcej wody, w bezpiecznej odległości od salsy.



## Rozdział XI

Idioma Ruso, Profesora

Kiedy następnego dnia po imprezie z okazji el bombo wróciłam do domu z zajęć, zastałam Dinorę w salonie na dole, rozmawiającą przez telefon. Wchodząc po schodach do swojego pokoju, powiedziałam jak zwykle „cześć”, ale ona jednym szybkim ruchem ręki jednocześnie uciszyła mnie i kazała zejść z powrotem na dół.

Kiedy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że Dinora nie rozmawia przez telefon, tylko podsłuchuje czyjąś rozmowę z drugiego aparatu. Podniosła rękę do góry na znak, bym poczekała. Rzuciłam okiem na ekran telewizora, który grał ze ściszym dźwiękiem. Fidel, ubrany tradycyjnie w swój oliwkowy mundur, gestykulował w uniesieniu, bezgłośnie poruszając przy tym wargami. W lewym rogu ekranu było okienko ze zdjęciem Eliana Gonzalesa, tradycyjnie zamyszonego i zapatrzonego w dal, w prawym rogu natomiast widać było kobietę; która tłumaczyła słowa przywódcy na język migowy.

Po kilku minutach Dinora odłożyła słuchawkę, a chwilę później drzwi sypialni Nitzy otworzyły się na oścież.

Nitza jak zwykle wyglądała tak, jakby przed chwilą wróciła z pokazu makijażu. Na powiekach miała cienie, na ustach szminkę, a włosy usztywnione grubą warstwą lakieru. Za każdym razem, gdy ją widziałam, miała na sobie nowy strój w tym przypadku czarną wieczorową suknię.

- Nieźle - powiedziałam. - Dokąd się wybierasz?

- W sumie nigdzie - odparła wymijająco. - Umówiłam się z przyjaciółmi, tymi co zwykle.

- Czyli którymi? - spytała Dinora.

- Och, mimi, nie wiem, kto w końcu przyjdzie - dziewczyna zdradzała oznaki coraz większego zdenerwowania. - Idę do Margarity, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Zeszła ostrożnie po schodach, a kiedy na klatce schodowej ucichł stukot jej szpilek i rozległ się huk zamykanych w pośpiechu drzwi wejściowych, Dinora odwróciła się do mnie.

- To wszystko kłamstwa - powiedziała dramatycznym tonem.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- No, może nie wszystko. Przed chwilą słyszałam jej rozmowę z chłopakiem. To prawda, idzie teraz do Margarity, ale wieczorem spotyka się z Reymem.

- I co z tego? - zdziwiłam się i dodałam natychmiast: - Nie powinnaś jej podsłuchiwać.

- Wiem - głos Dinory stał się łagodniejszy. - Ale martwię się o nią. Wiesz, jak poznała tego Reya?

- Nie mam pojęcia. Jak?

- En una botella. Jeździła po wyspie stopem, a on ją zabrał. Myślę, że zrobił na niej wrażenie swoim samochodem. Lubi go, bo ma pieniądze, ale ja nie mam o nim najlepszego zdania. Jej poprzedni chłopak był taki miły.

- Dairon? - spytałam. Wśród wielu innych gości, przewijających się przez dom Dinory i jej męża - sąsiadów, krewnych i sprzedawców warzyw zapraszanych na szklaneczkę soku z guanabany - moją uwagę zwrócił jeden chłopak, który zaglądał tu niemal codziennie. Dairon był brunetem, mógł mieć dwadzieścia parę lat. Z początku myślałam, że to kolega Nitzy, ale potem zauważyłam, że zostaje w domu także wtedy, gdy dziewczyna wychodzi. Czasem pomagał Luisowi w kuchni, innym razem spędzał całe godziny z Abuelą, wsłuchując się z uwagą w każdy jej mamrot.

- Dairon i Nitza mieszkali razem przez siedem lat, odkąd skończyli siedemnaście lat - tu, w jej sypialni - powiedziała Dinora. - Zaprosiłam go do nas, bo wiedziałam, że są ze sobą, a to taki sympatyczny chłopak.

- I co się stało?

- Wszystko było dobrze, dopóki oboje się uczyli. Ale potem Nitza dostała pracę jako stewardesa, zaczęła zarabiać pieniądze, chciała wychodzić na noc do klubów i na koncerty. I zawsze musiała płacić za Dairona, który jest lekarzem i nie zarabia zbyt wiele.

- Nitza dostaje więcej pieniędzy od niego jako stewardesa? - zdziwiłam się.

- Nie w tym rzecz - Dinora pokręciła głową. - Płacą jej w dolarach.

- To mi wygląda jak związek Kubańczyka z cudzoziemką - powiedziałam. - Ze mną i Alfredem też tak było na początku, ale teraz staramy się robić wspólnie rzeczy, które nic nie kosztują.

- A, zapomniałam spytać, jak wam się udało wczorajsze spotkanie? - przypomniała sobie Dinora. - Czekałam na ciebie do północy, ale potem zmorzył mnie sen.

- Wróciłam późno do domu. Wszystko skończyło się wielką balangą. Tata Alfreda dzień wcześniej dowiedział się, że wygrał w el bombo.

- Miałam przyjaciółkę, pielęgniarkę, która wygrała kartę stałego pobytu w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Przeprowadziła się do Miami z mężem i dziećmi. Pracuje tam tak ciężko, że prawie nie widuje męża, a dzieci zdążyły się już wyprowadzić i mieszkają w innych miastach. Teraz stara się o pozwolenie na powrót na Kubę, ale jej rodzina chce zostać w Stanach - pokręciła głową. - Wiem, że to nie jej wina. Wiem, że nie jest nam tu

lekką, ale nie zamieniłabym tego na życie w USA. Dzieci się wyprowadzają i na stare lata nie ma się kto tobą zająć. Ta przyjaciółka opowiadała mi, że starych ludzi odsyła się do domów starców, by tam mieszkali z innymi starymi - Czy to prawda?

- Czasami - odpowiedziałam. - W Stanach dzieci wychowuje się tak, by jak najszybciej się usamodzielnili...

- Uważam, że to błąd - przerwała mi Dinora. - Dla nas to nielogiczne i nieludzkie, pozbywać się w ten sposób swoich rodziców.

- A co dzieje się z tymi, którzy nie mają żadnych krewnych?

- Wtedy nie mają wyboru, muszą iść do domu opieki. Ale przynajmniej nie trzeba za to płacić, a jeśli masz w rodzinie kogoś starego i zniedołężniałego, dostajesz od opieki społecznej pieniądze, by się taką osobą zająć. Mnie tak płacą. Powinnaś o tym wspomnieć, gdy będziesz pisać o Kubie - powiedziała, po czym nagle spytała: - Kiedy zrobisz ze mną wywiad?

- A masz na to ochotę? - spytałam lekko zaskoczona. Kiedy pierwszego dnia wspomniałam jej o moich planach napisania książki o kubańskich kobietach, wyraźnie ją to zdenerwowało.

Zdziwiło mnie to, bo wszystkie inne Kubanki, z którymi rozmawiałam, otwierały się przede mną, opowiadając mi historie swojego życia i nie stroniąc od krytycznych uwag na temat kubańskiej władzy. Obawę Dinory mogłam tłumaczyć tylko jednym - trzema małymi literami na drzwiach jej domu: KOR.

KOR-y, w skrócie Komitety Obrony Rewolucji, były organizacjami obywatelskimi pilnującymi porządku na każdym osiedlu (na wzór polskiego ORMÓ - przyp. tłum.). Będąc jeszcze w Stanach, słyszałam, że przypisywano im szpiegowanie na rozkaz samego Fidela Castro, który chciał mieć w ten sposób pewność, że ludzie nie będą się angażować w działalność kontrrewolucyjną. Z tego, co widziałam na Kubie, członkowie KOR-ów pełnili raczej funkcję dozorców zbierających Pieniądze na utrzymanie ogródków komunalnych, przyjmujących skargi na wadliwie działającą instalację elektryczną i dokonujących drobnych napraw w budynkach. Luis był szefem lokalnej komórki KOR-u i raz w tygodniu między 22.00 a 2.00 nad ranem obchodził osiedle, sprawdzając, czy wszystko jest w Porządku. Zdawałam sobie sprawę, że w przypadku KOR-ów może chodzić o coś więcej i podejrzewałam, że być może właśnie o coś, o czym nie zdążyłam się dowiedzieć w trakcie mojego krótkiego pobytu na Kubie, tak wystraszyło Dinorę.

- Z chęcią zrobię z tobą wywiad - powiedziała Dinorze, kiedy zmieniła zdanie. - Nie musisz odpowiadać na pytania, które z jakiegoś powodu cię krępują, oczywiście mogą też

zmienić w tekście twoje imię.

Ta ostatnia możliwość najwyraźniej uspokoiła Dinorę, gdyż na jej twarzy zamiast troski zobaczyłam podniecenie.

- Dobrze - powiedziała, z uśmiechem sadowiąc się wygodnie na kanapie. Ja usiadłam w fotelu naprzeciwko. - Możesz pytać.

Pobiegłam na górę po notes, a kiedy wróciłam, zobaczyłam Beatriz, jeszcze jedną znajomą Abueli z ctrculo de abuelos, która przenosiła starszkę na jej ulubiony bujany fotel.

Beatriz nachyliła się, żeby pocałować ją w policzek i powiedziała:

- Do zobaczenia jutro, kochanie.

- Jest bardzo miła - oceniła kobietę Dinora, kiedy ta wyszła. - Tylko zbyt rewolucyjna.

- A jak jest z tobą? - spytałam wprost, nie mogąc od dłuższego czasu rozgryźć mojej rozmówczynie. Dinora wahała się pomiędzy manifestowaniem otwartego wręcz pesymizmu wobec sytuacji na Kubie a bardzo uproszczonym idealizmem, w myśl którego nowy telewizor czy komplet pościeli załatwią sprawę. A teraz, po początkowej nieufności wobec mojej historii o kubańskich kobietach, chciała dyskutować o Rewolucji jako pierwszym z tematów naszej rozmowy.

- Nie jestem kontrrewolucjonistką ani antykomunistką, ale nie można mi też zarzucić sympatii dla komunizmu, bo to na Kubie oznacza brak starań o lepszą przyszłość i własne szczęście. A ja walczyłam o nie przez wiele lat. Spójrz na moje dłonie - wyciągnęła w moją stronę ręce. Spojrzałam, oczekując blizn i oznak spracowania, ale zobaczyłam jedynie gładką oliwkową skórę.

- Pracowałam na wsi dla Rewolucji - kontynuowała Dinora. - A teraz wszystko, co mam, zawdzięczam mężowi i córce, którzy dostają wypłatę w dolarach. To nie jest socjalizm. Moim zdaniem, to zwykły kapitalizm. Kiedyś myślałam inaczej. Wydawało mi się, że wszyscy powinniśmy trzymać się razem. Teraz uważam, że należy dbać przede wszystkim o swoje. Kiedyś tak żyłam - powiedziała, po czym nagle wstała, przyłożyła dłonie do twarzy i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, powtarzając: - Idioma ruso, profesora. Idioma ruso, profesora.

- Miałam klapki na oczach - powróciła do swojej opowieści. - Jedyne, co liczyło się dla mnie w życiu, to lektorat z rosyjskiego na uniwersytecie. To właśnie dała mi Rewolucja. Przez trzydzieści lat pracowałam jako wykładowca i wyobrażałam sobie, że moje życie zawsze będzie już takie, po czym z dnia na dzień zostałam kurą domową.

- Myślałam, że przestałaś pracować z powodu chorej matki? - wtrąciłam. - To nie ma nic wspólnego z Rewolucją.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy upadek Związku Radzieckiego zaczął mieć w końcu bezpośredni wpływ na sytuację na Kubie, lekcje rosyjskiego przestały być potrzebne. A wszyscy profesorowie uczący tego języka zaczęli uczyć się włoskiego, angielskiego i portugalskiego. Ja wzięłam się za angielski, ale okazało się, że nauczycieli akurat tego języka nie brakuje. Na uczelni panowała wtedy grobowa atmosfera, wszyscy wydawali się tacy przygnębieni. Mój szef popełnił samobójstwo. W ekonomii zmieniły się priorytety i teraz ludzie pracujący w turystyce zaczęli dostawać pensje w amerykańskiej walucie. Zaczęłam podejrzewać, że moi znajomi wykorzystują fakt, iż Luis zarabia w dolarach. Ludzie nie mieli wtedy nawet mydła, myło się solą.

Do pokoju jak na zawołanie wszedł Luis w towarzystwie El Dormida, „Śpiocha”, jak wszyscy nazywali brata Dinory, który zamiast zajmować się Abuelą, wiecznie przysypiał w fotelu.

Dinora wzięła ze stołu egzemplarz Casa de los Espiritus Isabel Allende.

- Proszę, nie gniewaj się, ale jestem mało cierpliwą osobą - Często zżerają mnie nerwy, więc, jeśli pozwolisz, poczytam sobie trochę w czasie, kiedy ty będziesz zadawać mi pytania.-Jedna Amerykanka, która tu mieszkała, zostawiła tę książkę - Powiedziała, przewracając w zamyśleniu strony. - Chociaż Allende jest Chilijką, problemy, o których pisze, są takie same jak u nas - szare, trudne życie w słabo rozwiniętym kraju. Różnica jest tylko taka, że naszych rolników już się tak nie wykorzystuje, chociaż, kto wie - może gdyby moja rodzina nie przeprowadziła się do Hawany dawno temu i mieszkałabym teraz na prowincji, uważałabym inaczej.

- Dlaczego się przenieśliście?

- Mimi - Dinora zwróciła się do Abueli, która próbowała czytać „Granmę” i ciągle mrużyła oczy, chociaż trzymała już gazetę kilka centymetrów przed nosem.

Abuela wymamrotała coś, czego, jak zwykle, nie zrozumiałam.

- A, racja - kiwnęła głową. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że w tamtych czasach komuniści, tacy jak mój ojciec, byli prześladowani? Kiedy któregoś dnia do domu przyszli uzbrojeni mężczyźni, po prostu wyjechaliśmy.

Abuela wróciła do lektury „Granmy”, a mnie zaskoczył obojętny ton, w jakim Dinora opowiedziała o swoich traumatycznych przeżyciach.

- Opowiedz mi coś więcej o Kampanii Walki z Analfabetyzmem - poprosiłam.

- Nie było mi łatwo i czasem płakałam. Ale uczyłam tych biednych ludzi osiem pełnych miesięcy, bo wierzyłam w Rewolucję. Wieśniacy byli dla mnie tacy dobrzy, więc i ja bardzo ich polubiłam. Co wieczór czytałam starszym ludziom fragmenty książki Historia

mnie rozgrzeszy.

Był to 80-stronicowy zapis mowy obrończej Fidela Castro w sądzie, oskarżanego o atak na koszary wojskowe Batisty w Santiago.

- Powiedziałaś wtedy chłopom coś, w co nadal mocno wierzę - ciągnęła dalej Dinora.  
- Powiedziałaś im, żeby każdego dnia spróbowali nauczyć się czegoś nowego. To piękna rzecz. Dzisiaj, kiedy kładę się do łóżka, przed zaśnięciem myślę o tym, czego się w tym dniu nauczyłam - kiedy mówiła te słowa, patrzyła gdzieś w dal.

- Potem, kiedy władze poprosiły mnie, bym im zdradziła swoje największe marzenie, napisałam, że chcę się uczyć języków obcych. Przez następnych kilka lat uczyłam się i nauczałam rosyjskiego, a kiedy skończyłam dwadzieścia trzy lata, dostałam telegram z zawiadomieniem, że przyznano mi pięcioletnie stypendium w Rosji.

- Czy tam nauczyłaś się tej kołysanki? - spytałam. W zeszły poniedziałek, podczas kolejnej przerwy w dostawie prądu wybiegałam z domu na spotkanie z Alfredem. W salonie ujrzałam Dinorę siedzącą z zamkniętymi oczyma przy stoliku, na którym paliła się świeca, i nucącą jakąś słodką, ciepłą piosenkę w języku, którego nie znałam.

- Tak, znam wiele rosyjskich piosenek - odparła z dumą. - W Moskwie śpiewałam w chórze kubańskim. Naszym dyrygentem był Frank Fernandez, który wrócił na Kubę i jest teraz sławnym pianistą. Kiedy był młodszy, był bardzo przystojny i strasznie mi się podobał.

- A w Rosji ci się podobało?

- Pewnie. Nigdy wcześniej nie opuszczałam wyspy, więc to stypendium było dla mnie cudownym nowym doświadczeniem. Chociaż zimą było tam zimniej niż mogłam się spodziewać. Nie podobały mi się za to studia. Dostałam grant na wydziale inżynierii, którą się w ogóle nie interesowałam. Ale życie nie jest cudem, czasem trzeba brać, co dają. Jak tak sobie pomyślę, dochodzę do wniosku, że właściwie to miałam w życiu szczęście. Nie cierpię gotować i proszę, trafił mi się mąż, który robi to za mnie. Zanim za niego wyszłam, jadłam tylko czekoladę.

- Kiedy się poznaliście?

- Czy książka, którą napiszesz, będzie pro - czy antykubańska? - spytała nagle Dinora.

- Ani taka, ani taka - odpowiedziałam. - To będzie po prostu... opowieść.

- W porządku - moja odpowiedź chyba ją zadowolila. - Poznaliśmy się na czwartym roku mojego stypendium w Związku Radzieckim, w mieście Soczi nad Morzem Czarnym. To było w sierpniu. Spędziliśmy dwadzieścia cztery dni jako przyjaciele. Dwunastego września po raz pierwszy poszliśmy do łóżka, a dwudziestego czwartego września spytałam Luisa, jakie ma Plany na przyszłość. „Ożenić się z tobą” - odpowiedział, i tak SI? stało. Po ośmiu

miesiącach zaszłam w ciążę z Nitzą.

- Jak wyglądał wasz ślub?

- Przyszło tylko kilkoro przyjaciół. Większość ludzi, których znaliśmy, została na Kubie. Nie powiedziałam o ślubie nawet mojej rodzinie, dopiero po powrocie.

- Dlaczego? - spytałam. - Nie chcieliście z tym poczekać?

- Bałam się, że stracę tę chwilę. - Dinora spojrzała na książkę, którą trzymała w ręce i której nie otworzyła mimo zapowiedzi, że będzie ją czytać w trakcie naszej rozmowy. El Dormido gdzieś zniknął, a Luis wrócił do kuchni gotować obiad. Słysząc było jedynie skrzypienie fotela Abueli; w międzyczasie zaszło słońce, pogrążając balkon w półmroku.

W tej ciszy głos Dinory wydawał się szorstki.

- Wysłałam za mąż w ZSRR - powiedziała - pod wpływem chwili, w której czułam się szczęśliwa. Myślę, że najważniejszą rzeczą w życiu jest takiej chwili nie przegapić.

## Rozdział XII

Latynoski kochanek

Przez resztę dnia towarzyszyło mi ostatnie zdanie, które wypowiedziała Dinora. Tej nocy spałam niespokojnie, rozmyślając o zbliżającym się niechybnie powrocie do Stanów.

Miałam jeden z tych koszmarów, które często nawiedzają podróżników i który mnie także śnił się już w wielu miejscach na Ziemi. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego ani też specjalnie ważnego powodu musiałam w jednej chwili rzucić wszystko i podjąć decyzję o powrocie. Ale po przyjeździe do Kalifornii, niczym sen we śnie, wszystko zaczęło dziać się jak w zwolnionym tempie. Za każdym razem, gdy chciałam wrócić tam, skąd przyjechałam, robiłam się tak ospała i ociężała, że nie byłam w stanie kupić biletu, spakować się, zdążyć na samolot i zrobić wszystkiego, co konieczne, by znów znaleźć się - w tym wypadku - na Kubie.

Zazwyczaj po przebudzeniu z takiego kosmaru śmiałam się, a potem najzwyczajniej w świecie o nim zapomniałam, bo Przecież powrót był zawsze możliwy. Jednak tym razem było inaczej. Uświadomiłam sobie, że gdyby kiedykolwiek istniał Clen szansy, iż scenariusz z mojego snu się spełni, stałoby się to w Przypadku próby powrotu na Kubę.

Dzięki uczestnictwu w programie edukacyjnym dostałam specjalny dokument z Ministerstwa Skarbu USA, potwierdzający moje prawo do pobytu na wyspie. Wiedziałam jednak, że gdyby przyszło mi do głowy wrócić tam na własną rękę i zostałabym złapana, wlepiliby mi grzywnę w wysokości nawet 55 tysięcy dolarów.

W rzeczywistości do pozostania na wyspie skłaniało mnie coś znacznie bardziej banalnego niż strach przed złapaniem w przypadku nielegalnego powrotu. Chciałam zostać, bo czułam się tu po prostu szczęśliwa.

Cieszyłam się między innymi z tego, że udało mi się od nowa ułożyć relacje z Alfredem. Był teraz między nami większy dystans, czułam się spokojniejsza. Dzięki temu wszystko, co tak w nim lubiałam - począwszy od tego, w jaki sposób zawsze pytał mnie, co mówiłam, kiedy mi przerwał, a skończywszy na tym, jak cała jego twarz, nie tylko usta, wyrażała radość, kiedy się uśmiechał - wydawało mi się teraz jeszcze pełniejsze i wyraźniejsze.

Byłam również zadowolona, że tak dobrze dogadywałyśmy się z Dinorą. Kiedy sięgnęłam pamięcią wstecz, od momentu, gdy się tu wprowadziłyśmy - nie licząc kilku skarg - wszystko to, co Dinora opowiedziała mi w ciągu tego krótkiego tygodnia, miało jakąś trudną



do opisania mądrość - wzruszającą moc, która przypominała mi poezję.

Poza tym z każdym kolejnym dniem życie codzienne w Centro Habana wydawało mi się coraz fajniejsze. Z braku zorganizowanych wycieczek, które wcześniej zapewniali nam organizatorzy programu, wymyślałyśmy sobie z Amy własne atrakcje. Ona chodziła na kursy tańca w różnych szkołach w całej Hawanie, a ja spędzałam popołudnia, wędrując ulicami, zjadając się pizzą z ulicznych budek i poznając przy okazji nowych przyjaciół.

Któregoś dnia, kiedy czekałam na swoją kolej przed jedną z pizzerii przy ulicy San Lazaro, podszedł do mnie czarny jak smoła, wysoki mężczyzna w czerwono-brązowych spodniach i bez koszulki. Spotkaliśmy się już wcześniej, dlatego zapytał, jak mi się podoba na Kubie i jakie mam dalsze plany. Przywitał się z kobietą sprzedającą pizzę, a potem powiedział coś szybko i wręczył jej kilka monet. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę, ale zanim zdążyłam zapytać, kim właściwie był ten przystojny Kubańczyk, mały biały pies, którego wyprowadzał, zaczął szarpać smycz. Mężczyzna szybko pocałował mnie w policzek, a potem zniknął w zalanej słońcem alei Callejón de Hamel. Kiedy wróciłam do kolejki, sprzedawczyni podała mi kawałek pizzy.

- To dla mnie? - spytałam zaskoczona. - Przecież jeszcze nie zamówiłam.

- To prezent od Harolda - powiedziała, wskazując miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał mężczyzna, z którym rozmawiałam. Wzięłam pizzę i poszłam w dół Callejón de Hamel, żeby podziękować Haroldowi, ale nigdzie go nie znalazłam i nigdy już go nie spotkałam.

Życie na Kubie składało się z takich właśnie nieoczekiwanych, prostych lekcji bezinteresownej życzliwości. Po wyjściu z zajęć, każdego dnia czułam, że uczę się czegoś nowego, dokładnie tak, jak to opisywała swoim studentom Dinora.

Kiedy obudziłam się następnego ranka po tym, jak opowiedziała mi o swojej wyjątkowej chwili, zrozumiałam, że ja swoją chwilę znalazłam na Kubie. Kiedy powiedziałam Amy, że chcę zostać jeszcze miesiąc dłużej, uśmiechnęła się zalotnie.

- Myślałam o tym samym i chyba też nie jestem jeszcze gotowa, by wracać - powiedziała.

Kiedy podzieliłam się tą nowiną z Alfredem, proponując mu jednocześnie, żeby pojechał z nami do Santiago, był tak szczęśliwy, że wykonał krótki taniec na środku ulicy, strzelając palcami i kręcąc biodrami do wymyślonego naprędce rytmu. Staliśmy przed budynkiem filharmonii, otoczeni tłumem ludzi czekających na koncert Franka Fernandez, słynnego kubańskiego pianisty, który oczarował Dinorę w Związku Radzieckim.

Gdy tego samego dnia rano zaprosiłam Dinorę na koncert, trudno było opisać jej radość i entuzjizm.

~ Och, pójdę z największą chęcią! - krzyknęła, siadając wyprostowana na łóżku i klaszcząc w dłonie jak małe dziecko.”, Nie widziałam Franka od lat - w tym momencie zrobiła krótką przerwę. - Czasem mam wrażenie, że od wieków w ogóle nie biorę udziału w życiu kulturalnym.

Przechodziłam przez jej pokój rano, idąc na spotkanie z Ludmiłą i wracając po południu. Za każdym razem moim oczom ukazywał się ten sam widok: Dinora leżała bez życia na łóżku, czytając książkę Isabel Allende i prowadząc jednocześnie zacieklą walkę ze stojącym na nocnym stoliku wiatrakiem, który - za każdym razem, gdy puściła na moment książkę - przewracał jej strony. Dinora odganiała wtedy powietrze, jak gdyby chciała złapać niewidzialną muchę. A potem sztywniała na moment, ściskając książkę w śmiertelnym uścisku i odwracała się plecami do wiatraka.

Było zbyt gorąco, by wyłączyć wentylator, a w pokoju nie było klimatyzacji. Pewnego razu, nieświadoma furii, jaką wywoła moja sugestia, zaproponowałam jej, że skoro w naszym pokoju jest klimatyzator, powinna kupić sobie drugi taki sam dla siebie.

- Lea - powiedziała z westchnieniem - La vida aquí es tremenda lucha. Życie tutaj to ciągła walka o byt. Wiesz, ile czasu zajęło mi odkładanie pieniędzy na ten mały klimatyzator, który stoi u was w pokoju? Dwa lata!

- Dwa lata? Ile kosztował? - spytałam.

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów - odpowiedziała, osuwając się na kuchenne krzesło, jak gdyby wyczerpana samą myślą o takiej kwocie. Potem wskazała palcem drewniane drzwi do naszego pokoju.

- Masz pojęcie, ile za nie dałam?

- Nie.

- Siedemset dolarów - kładła nacisk na każdą sylabę, zupełnie jak nasz lektor hiszpańskiego, kiedy wyjaśniał nam znaczenie nowego słowa.

Wzięła ze stołu stojący w wazonie bukiet plastikowych słoneczników i pomachała mi nim przed nosem.

- Trzy dolary? - zaryzykowałam.

- Pięć - wykrzyknęła z triumfem, biorąc do ręki podkładkę pod naczynia.

- Dziesięć?

- Nie, tylko pięć - tym razem sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Czy pieniądze z wynajmu nie wystarczają na pokrycie tych wydatków? - zrobiłam się podejrzliwa. Dinora miała dwa pokoje, które wynajmowała przez okrągły rok. Nawet jeśli były zajęte tylko przez połowę tego czasu, dawało jej to dochód w wysokości przynajmniej

750 dolarów miesięcznie, co z kolei stanowiło 50-krotność przeciętnej pensji na wyspie. Do tego miała jeszcze dolary Luisa i Nitzu.

- Do tego dochodzą podatki - najeżyła się Dinora. - Każdy, kto prowadzi własny interes, musi płacić podatki. U was tak nie jest?

- Owszem - przytaknęłam. - A ile kosztują cię te podatki, jeśli wolno spytać?

- Co miesiąc muszę płacić sto dolarów za każdy pokój, niezależnie od tego, czy jest akurat wynajmowany, czy nie. A wszystko, co kupuję na ich wyposażenie, musi być najwyższej jakości, bo tego oczekują turyści. Nikt nie zamieszkałby tu w takich warunkach jak Kubańcy, bez ciepłej wody, telefonu i pralki. Wasz pokój jest jedynym z klimatyzacją, muszę więc odłożyć teraz kolejne dwieście pięćdziesiąt dolarów na klimatyzator w drugim pokoju. A kiedy zainstalowałam wam klimatyzację, dziewczyna z tamtego pokoju zaczęła wybrzydzać, że płaci tyle samo za pokój bez klimatyzacji, więc musiałam obniżyć jej czynsz.

- Dlaczego w takim razie nie podniosłaś ceny pokoju z klimatyzacją?

- No cóż... - wydawała się kompletnie zaskoczona moim Pytaniem. - Prawdę mówiąc, nigdy o tym nie myślałam. Kuba to kraj socjalistyczny. Nie myślimy tak jak wy, kapitaliści.

Kiedy zaproponowałam Dinorze wspólne wyjście na koncert Franka Fernandeza, powiedziała mi, że musi tylko wziąć Prysznic i będzie gotowa za pół godziny.

Poszłam na górę, by też się odświeżyć, lecz kiedy wróciłam, Ostałam ją w tej samej pozycji - leżącą na łóżku, z tą tylko różnicą, że odłożyła już książkę i wpatrywała się tępym wzrokiem w sufit.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiłam się.

- Zaraz po twoim wyjściu dzwoniła moja siostra. Nie może przyjść dziś wieczorem i zająć się Abuelą.

- W takim razie zostaw ją z Nitzą albo Luisem.

- Polecieli do Cancun. Wrócą dopiero jutro.

- A twoi bracia?

- Nie mają telefonów, a obaj mieszkają na drugim końcu miasta. Gdybym po nich poszła, nie zdążyłybyśmy na koncert.

- Możemy wziąć taksówkę - nie dawałam za wygraną.

- Nie, nie trzeba - powiedziała Dinora. - Nic się nie stało. I tak czuję, że za chwilę rozboli mnie głowa. Najlepiej będzie, jeśli zostanę w domu.

W filharmonii Alfredo zaprosił mnie na balkon dla pracowników i podłączając oświetlenie, opisał mi wszystkie miejsca, które chciałby zobaczyć w czasie naszej podróży. Wśród nich był El Cobre, słynny kościół w Santiago, który jego matka zawsze chciała

odwiedzić.

- Masz aparat fotograficzny? - spytał.

Skinęłam głową.

- Świetnie. W przyszłym tygodniu dostaję wypłatę, więc kupię film, żeby zrobić matce zdjęcia El Cobre - powiedział, a w jego głosie usłyszałam tę samą dumę, która rozpierała go za każdym razem, gdy stać go było, żeby za coś zapłacić.

Nachyliłam się i pocałowałam go. Alfredo pogłaskał mnie po plecach prawą ręką, lewą włożył na uszy słuchawki i włączył oświetlenie. Scena utonęła w feerii tęczy barw.

- Jaki kolor powinienem rzucić na scenę, gdy wyjdzie na nią Frank Fernandez? - spytał.

- Purpurowy, a potem może pomarańczowy - powiedziałam dla żartu. Ku mojemu zdumieniu Alfredo oświetlił czerwonym reflektorem stojące na scenie pianino, a kiedy Fernandez wyszedł do publiczności, roziskrzył mu drogę na pomarańczowo.

- Nieźle - roześmiał się. - Może masz talent, którego jeszcze nie odkryłaś?

Brawa ucichły. Wirtuoz siadł do pianina i uderzył pierwszą nutę. Spod jego palców popłynęła miękka, zmysłowa muzyka, która wydawała się roztaczać czar spokoju nad głowami zgromadzonych w sali widzów. Nie minęło kilka chwil i mnie także udzielił się romantyczny nastrój.

- Ta muzyka sprawia, że czuję się, jakbyśmy byli w innym świecie - usłyszałam głos Alfreda. - W innym czasie.

Objęłam go i siedzieliśmy tak w ciszy, przytuleni, przez pierwszą połowę koncertu. Kiedy filharmonia opustoszała w czasie antraktu, Alfredo zdjął z uszu słuchawki i odwrócił się do mnie; w jego oczach zobaczyłam żar i pewność siebie.

- Tengo ganas de estar solo contigo - powiedział. - Chcę być dzisiaj z tobą sam na sam.

Od czasu naszej przerwanej wieczornej schadzki w domu Dinory też o tym myślałam, co by się stało, gdyby Luis nam wtedy nie przeszkodził. Zastanawiałam się, jaki odcień brązu ma skóra Alfreda pod ubraniem, nietknięta palącym słońcem. Wyobrażałam sobie, jak by to było obudzić się u jego boku. Czy śpi spokojnie, a może przewraca się z boku na bok? Czy chrapie?

- Ja też chcę być z tobą sam na sam - powiedziałam, powtarzając dokładnie słowa Alfreda. Zaskoczyło mnie to, że on, zawsze taki bezpośredni w okazywaniu swoich emocji i pragnień, teraz posunął się do tak dwuznacznej frazy.

- Naprawdę? - Każdy miesiąc jego twarzy wydawał się krzywić z radości. - Mówisz

poważnie? Tej nocy?

- Dobrze, ale gdzie?

- Dowiem się - powiedział. - Zaraz wracam. - Zbiegł po schodach z balkonu w takim pędzie, że wsunięty do tylnej kieszeni jego spodni portfel wypadł na podłogę. Podeszłam, żeby go podnieść i zobaczyłam, że Alfredo rozmawia na drugim końcu balkonu z jakimś kolegą. Pomyślałam, że będą pewnie spoglądać co chwila w moim kierunku, chichotać ukradkiem i Przybijać sobie piątki, ale oni tylko rozmawiali ściszymi głosami.

Kilka minut później Alfredo wrócił na górę, wciąż uśmiechnięty Pokazał mi skrawek papieru z zapisanym adresem w dzielnicy Vedado.

- Kolega twierdzi, że to dobre miejsce - powiedział.

- OK - wzruszyłam ramionami. Wciąż miałam ochotę to zrobić, ale czułam pierwsze objawy strachu. Wydawało mi się, że nasza decyzja powinna mieć nieco bardziej prywatny charakter. Modliłam się w duchu, żebym, wychodząc z filharmonii, nie musiała spojrzeć w oczy koledze Alfreda, który dał nam ten adres.

Kiedy Frank Fernández bisował po raz ostatni, ja rozglądałam się nerwowo, szukając ewentualnej drogi ewakuacji. Z ulgą odkryłam, że tuż za mną znajduje się osobne wyjście z balkonu bezpośrednio na ulicę. Mogłam wyjść tędy niezauważenie i poczekać przed budynkiem na Alfreda, który musiał pomóc reszcie ekipy technicznej zabrać ze sceny fortepian i trochę posprzątać.

Ale on wstał i ruszył do wyjścia razem ze mną. Delikatnie położył mi torebkę na ramieniu i przykrył ją swoją dłonią.

- Chodźmy - powiedział.

- Nie musisz pomóc? - spytałam.

- Darien mnie zastąpi. - Alfredo położył palec na ustach i puścił oko do kolegi, który pomachał w naszą stronę i zawołał: - No, już was nie ma!

Zjechaliśmy windą do holu, a potem wyszliśmy z filharmonii, przeciskając się przez tłum. Nad Vedado zapadła już głęboka ciemność.

Próbowałam sobie wyobrazić, dokąd idziemy. Nie słyszałam o hotelach na Kubie, do których wstęp mieliby i przyjezdni, i miejscowi. Zastanawiałam się też, czy w rozumieniu Alfreda „bycie sam na sam” oznaczało także „wspólne spędzenie nocy”. Czy zadzwonił do domu, uprzedzając, że wróci później? Czy ja także powinnam zadzwonić do Amy i Dinory, żeby na mnie nie czekały? I najważniejsze, czy Alfredo miał ze sobą prezerwatywy? Mogłam tylko przypuszczać, że skoro to on zaproponował „bycie sam na sam”, zaopatrzył się we wszystko, jak należy.

W końcu przestałam wszystko analizować i być taka „amerykańska”, jakby powiedział Alfredo. Postanowiłam dać się przenieść tej upojnej nocy. Jeśli żadne z nas nie miało kondomów spędzimy ją ze sobą bez seksu.

Szliśmy w milczeniu, aż Alfredo zatrzymał się przed piętrowym otynkowanym budynkiem z wychodzącym na ulicę balkonem. Na zewnątrz nie paliło się żadne światło, nie dało się więc odczytać numeru. Alfredo cofnął się kilka kroków i na sąsiednim domu, który przed chwilą minęliśmy, w świetle dochodzącym z sypialni odczytał duży napis „34” na drzwiach. Potem wyjął z kieszeni wymięty świstek papieru i podniósł go do światła.

- To chyba tutaj - powiedział, wskazując zaciemniony dom. - Szukamy numeru trzydzieści sześć.

- Ale wygląda, jakby był... hmm... zamknięty - nie wiedziałam, jakiego słowa należałoby w tym przypadku użyć, gdyż budynek wyglądał jak typowy dom, a nie miejsce, w którym prowadzi się interesy.

Alfredo jeszcze raz spojrzał na kartkę. Nad adresem widniało imię Lucia. Podeszedł do ciemnego budynku i wypowiedział to imię na głos - najpierw raz, potem drugi i trzeci. Za każdym razem akcentował mocniej ostatnią sylabę, tak że imię kobiety na dłużej zawisało w mroku. Widziałam już wcześniej ludzi, którzy wołali tak swoich znajomych z pierwszego piętra w domach bez dzwonek przy drzwiach. Zawsze jednak działo się to w dzień, a nie o pierwszej w nocy.

- Hmmm - Alfredo zamruczał pod nosem, zaskoczony brakiem odpowiedzi. - Może po prostu zapukamy.

Obeszliśmy dom, szukając drzwi, i natknęliśmy się na pusty garaż, w którym w bujanym fotelu spał zwinięty w kłębek starszy mężczyzna.

- Oye, tto! - zawołał Alfredo. - Słuchaj, wujku! - w ten sposób bardzo często zwracano się tu do starszych.

- O co chodzi? - dziadek ocknął się, wydając przy tym głośne chrząknięcie.

- Szukamy Lucii. Wiesz, gdzie możemy ją znaleźć?

Staruszek wskazał kościstym palcem ciemny kąt garażu, z którego drzwi prowadziły na klatkę schodową. Po omacku, niczym w grze w ciuciubabkę, wspięliśmy się na górę. Na szczycie schodów zapalił się mały reflektorek podłączony do foto komórki. Alfredo podeszedł do drzwi i zapukał. Usłyszeliśmy tupot stóp po drugiej stronie.

Drzwi otworzyła nam kobieta, prawdopodobnie była to Lucia, której szukaliśmy. Zza jej pleców wyskoczył mały chłopiec. Lucia była grubą kobietą o jasnej karnacji i wzbudzającym zaufanie wyrazie twarzy.

- Wejdźcie i usiądźcie - wskazała nam ławkę stojącą za drzwiami. - Przygotuję łóżko.

Usiedliśmy, podczas gdy Lucia zniknęła za rogiem. Jej syn biegał jeszcze trochę wokół nas, po czym wyczerpany usiadł obok i położył mi głowę na ramieniu. Pogłaskałam go. Alfredo uśmiechnął się. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zgodziłam się, żebyśmy spędzili trochę czasu na osobności, zauważyłam nerwowy błysk w jego oczach. Poczułam ulgę, kiedy Lucia wróciła, a jej syn rzucił się jej na spotkanie. Kobieta kazała mu usiąść. Alfredo i ja wstaliśmy.

Lucia zaprowadziła nas do słabo oświetlonego pokoju, znajdującego się za kuchnią. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający jakiś abstrakcyjny wzór, a w środku cyfrę 6. Ściana naprzeciwko udekorowana była rakieta tenisową. Nad łóżkiem ktoś przybił niewielką figurkę Chrystusa. Lucia podeszła do małego stolika nocnego i włączyła radio. Staliśmy w milczeniu, wsłuchując się w dźwięki nieśmiertelnej samby. Po chwili kobieta wyłączyła radio i powiedziała:

- Una hora, tres dólares.

Alfredowi musiało poszczęścić się wcześniej w jakichś szemranych interesach, gdyż - ku mojemu zaskoczeniu - wyciągnął z kieszeni trzy dolary i wręczył je Lucii, która uśmiechnęła się i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Usiadłam na łóżku, które zaskrzypiało tak przeraźliwie, że przestraszyłam się, że się pode mną rozleci.

- Chodź do mnie - Alfredo skinął ręką, żebym wstała - Włączył radio i nastawił w miarę czysto nadającą stację. Grali Mambo nr 5 - śpiewał Lou Bega.

Podeszłam do Alfreda, a on mnie objął. Poczułam tak dobrze znajome ciepło jego ciała.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Pokiwałam głową i nachyliłam się, żeby go pocałować.

Kiedy wylądowaliśmy na łóżku, zaskrzypiało jeszcze bardziej, pozostało jednak nadal w jednym kawałku. Zrzuciliśmy ubrania na podłogę - nie chciałam nawet myśleć, na czym mogły wylądować. Alfredo przeczołgał się na drugi koniec łóżka i zaczął całować mnie w stopy.

- Co robisz? - spytałam nieco zawstydzona.

. - Nie pamiętasz, jak ci obiecałem, że któregoś dnia obsypię pocałunkami całe twoje ciało, zaczynając od dużego palca u nogi?

Zaśmiałam się na głos i poczułam, że ogarnia mnie fala pożądania. Chciałam powiedzieć Alfredowi o prezerwatywie dopiero wtedy, gdy nie będę już miała żadnych

wątpliwości, że akcja zmierza właśnie w tym kierunku. On jednak rozłożył mi nogi szybciej, niż się spodziewałam.

- Nie mam gumki - powiedziałam nagle.

- Ja też nie - Alfredo usiadł z powrotem na piętach. - Ale to nic, robiłem sobie wszystkie badania.

Wiedziałam, że mówi prawdę, gdyż w obliczu szalejącej na pobliskim Haiti epidemii AIDS, wszyscy Kubańczycy byli regularnie badani na obecność wirusa hiv i innych chorób wenerycznych. Mimo to nie zgodziłam się.

- Wybacz, ale nie mam w zwyczaju uprawiać seksu bez zabezpieczenia.

- A myślałaś, że po co tu idziemy? - spytał Alfredo.

- Żeby pobyć trochę na osobności - spróbowałam obrócić całą sytuację w żart.

Zamiast się roześmiać, Alfredo spojrzał na mnie z tak smutnym i bolesnym wyrazem twarzy, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Lea, proszę - powiedział, akcentując dobitnie każdą sylabę - - Jestem Latynosem.

W tym momencie nie mogłam się już powstrzymać i wybuchnęłam głośnym śmiechem.

- Alfredo, przecież nie eksplodujesz, jeśli nie pójdziemy dziś do łóżka!

On milczał, wpatrując się we mnie ciągle tym samym żalonym, błagalnym wzrokiem.

- Poza tym, skoro tego chciałeś, dlaczego sam nie kupiłeś kondomów? - spytałam. - Co zwykle robisz w takiej sytuacji?

- Zwykle? Lea, nie wiem, za kogo ty mnie uważasz, ale nie jestem żadnym mujeriego.

- Ale byłeś już z kobietą, prawda?

- Oczywiście - Alfredo znów wyglądał na urażonego. - Ale byłem w poważnym związku tylko z jedną dziewczyną i to ona zawsze miała przy sobie prezerwatywy.

Nie miałam ochoty wdawać się w jakieś polityczne dyskusje, chociaż zachowanie Alfreda zaskoczyło mnie. Myślałam, że po Rewolucji kwestia kontroli urodzeń nie leży już wyłącznie w gestii kobiet.

- A ty? - spytał Alfredo.

- Kupiłam paczkę kondomów. Miałam je nawet przy sobie, ale zostały u Dinory.

- Nie o to pytam - Alfredo szybko spuścił wzrok, jak gdyby nie był pewien, czy chce poznać prawdę. - Miałem na myśli twoje związki? Byłaś z wieloma mężczyznami?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek oszukałaś swojego partnera?

- Nie. A ty?



- Nie. Nigdy.

- Ostatni facet, z którym byłam, równocześnie spotykał się z inną kobietą - powiedziałam. - Czy wiesz, co to znaczy?

Alfredo pokręcił głową. Próbowałam mu to wyjaśnić, ale na próżno. Równie dobrze mogłabym mówić po angielsku. Wiedziałam, że posiadanie kilku partnerek było na Kubie czymś powszechnym. Różnica polegała jednak na tym, że tutaj taką sytuację utrzymywało się w głębokiej tajemnicy, a w każdym razie - nie za obopólną zgodą.

Dalsze rozmyślenia przerwało mi pukanie do drzwi.

- Zostało jeszcze piętnaście minut - usłyszałam głos Lucii.

Alfredo spojrzał na mnie z panicznym wyrazem twarzy.

- Nie chcę spędzić tej nocy bez ciebie. Chcę zasnąć u twego boku. Ale... - znowu spuścił wzrok, podniósł z ziemi spodnie i opróżnił kieszenie, z których wypadło tylko jedno peso.

- W porządku, zapłacę - powiedziałam.

Alfredo pocałował mnie w czoło i zaczął się ubierać.

- Daj mi siedem dolarów. Pójdę ponegocjować, ale myślę, że tyle wystarczy.

Wyłączyłam radio i włączyłam stojący obok wentylator. Potem wczołgałam się pod wytarte, pachnące mydłem prześcieradło i czekałam na Alfreda.

Kiedy wrócił, pokazał mi kciuk uniesiony w górę i położył się obok mnie. Rozmawialiśmy jeszcze trochę o związkach, w których byliśmy, i o naszych rodzinach. W pewnej chwili musiałam po prostu zasnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, było słońce zakradające się do pokoju przez otwarte żaluzje i zegarek Alfreda, który pokazywał 6.05.

Wiedziałam, że na pewno nie poszliśmy spać przed trzecią, a mimo to czułam się wyspana i gotowa opuścić dom, zanim do drzwi rozlegnie się kolejne pukanie Lucii. Szturchnęłam Alfreda, który przewrócił się na bok i objął mnie.

- Buenos dtas, mi amor - powiedział.

Udało mi się jakoś postawić go na nogi. Ubraliśmy się w pośpiechu i wyszliśmy z domu na palcach.

- Więc tak wygląda miejsce, do którego Kubańscy chodzą uprawiać seks? - zaczęłam Alfreda, kiedy byliśmy już na ulicy.

- Nie, to prywatna posesja. Nielegalna. Lucia prowadzi ten interes na boku. Kubańscy chodzą z reguły do państwowych, w których płaci się w pesos.

- Dlaczego nie poszliśmy do takiej?

- Wątpię, by ci się tam spodobało.

- Byłeś kiedyś w takim miejscu?

- Raz - przyznał. - W mojej dzielnicy mieszkała pewna dziewczyna, której się podobałem. Umówiłem się z nią na drinka i poszliśmy do baru. Zanim zdążyliśmy wypić po piwie, ona powiedziała: - Chodźmy do posady. Nie podobało mi się tam. Na łóżku nie było nawet prześcieradła.

- Faktycznie, nie brzmi zbyt zachęcająco.

Wokół panowała jeszcze poranna cisza, a na ulicach nie było praktycznie żywej duszy. Tylko raz zdarzyło mi się wyjść tak wcześnie i był to środek tygodnia, a nie niedziela, kiedy wszyscy odsypiają tygodniowe zaległości. Nie widziałam żadnych samochodów i czułam się tak, jakbyśmy mieli Hawanę tylko dla siebie.

Szliśmy do domu ulicami, których nigdy wcześniej nie widziałam - to Alfredo zaimprovizował to „zwiedzanie”, pokazując mi na przykład dom, w którym brał lekcje gry na perkusji.

- Mój nauczyciel zmarł na zawał na krótko przed twoim przyjazdem - powiedział. - A nie mogłem znaleźć żadnego innego, który przyjąłby zapłatę w pesos.

- Myślałam, że edukacja na Kubie jest bezpłatna - zdziwiłam się. - Nie mogłeś po prostu pójść na studia i tam nauczyć się gry na perkusji?

- Wiesz, tutaj wszystko ma jakieś „ale” - odparł. - Edukacja jest za darmo, ale najpierw muszą cię przyjąć do szkoły muzycznej, a ja nie miałem takiej możliwości, więc musiałem brać prywatne lekcje. A wszystko, co prywatne, kosztuje.

Minęliśmy otynkowany budynek, przed którym stał posąg kobiety z dzieckiem. Alfredo wyjaśnił mi, że to szpital dziecięcy-

- Moja siostra kiedyś tu pracowała - powiedział. - Jest pielęgniarką.

- Czym się teraz zajmuje?

- Pracuje w turystyce - powiedział, a ja natychmiast pomyślałam o Nitzy. - W czasie studiów medycznych uczyła się kilku języków, więc łatwo jej było zmienić branżę.

Kilka przecznic dalej pokazał mi budynek, w którym kilka lat temu uczył się włoskiego i portugalskiego.

Kiedy zbliżaliśmy się do domu Dinory, spytałam:

- Jakie masz plany na dzisiaj?

Alfredo wyciągnął przed siebie dłoń i zaczął liczyć na palcach, jak gdyby skreślał z listy rzeczy do zrobienia kolejne zadania.

- Za trzy dni wyjeżdżamy do Santiago - powiedział. - Chyba zacznę się pakować.

- Tak wcześnie?

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem - odparł obronnym tonem. - Może mi to zająć trochę czasu.

- W porządku - roześmiałam się. - Ja najpewniej zacznę się pakować w nocy przed wyjazdem.

- Jak chcesz, tylko zrób to dobrze - w jego głosie usłyszałam jakiś chytry ton.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to - odparł, unosząc wymownie brwi - żebyś nie zapomniała niczego, co może się nam przydać którejs nocy.

- Acha - wykrztusiłam, czując jak policzki oblewa mi rumieniec.

Alfredo uśmiechnął się. Był to ten sam dziecięcy uśmiech, który widziałam tej nocy, kiedy po raz pierwszy pocałowaliśmy się przed hotelem El Bosque. Tylko wtedy Alfredo, szukając swojej szczęśliwej gwiazdy, spoglądał w bezgwiezdne i błękitne jak ocean poranne niebo nad rozpaloną do czerwoności Hawanę, a teraz patrzył mi prosto w oczy. Wschodzące słońce parzyło mnie w kark, a wózki z warzywami jadące ulicą Animas na pobliski targ podskakiwały na wybojach, wyznaczając rytm kolejnego dnia w Centro Habana. Odpowiedziałam Alfredowi tym samym spojrzeniem.

## Rozdział XIII

Legalne nielegalne

W dniu naszego wyjazdu do Santiago Amy i ja kryłyśmy się w cieniu domu Dinory, pakując ostatnie rzeczy i czekając na telefon od Alfreda. Stojąc w stosunkowo chłodnej sypialni, patrzyłam przez opuszczone drewniane żaluzje jak kolejne fale rozedrganego tropikalnego powietrza unoszą się nad rozgrzanym asfaltem.

- W Santiago będzie jeszcze goręcej - powiedziała Dinora, zaglądając na chwilę do naszego pokoju, po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dwóch godzin. Leżałam bez życia na łóżku, wyczerpana i odwodniona po wspinaczce na dach, na którym suszyły się nasze ubrania.

Podniosłam się na łóżku i spojrzałam na nią wsparta na łokciach. Powoli docierało do mnie, że Dinora nie chce, byśmy wyjeżdżały.

- Słyszałam też, że w Santiago jest najwięcej jineteros na całej Kubie - ciągnęła gospodyni, celując w nas miotłą, którą trzymała w ręce. - Dziewczyny, musicie na siebie bardzo uważać.

Dinora sprzątała dom - było to zadanie, w które angażowała się bez reszty, szorując blat w kuchni i przekładając naczynia, które odłożyłyśmy na suszarkę poprzedniego dnia, zanim Marta umyła podłogę. Marta była starszą kobietą, która przychodziła do domu sprzątać i palić papierosy, często zostawiając po sobie ślady popiołu na podłodze w łazience. Ale poza tą jedną słabością, była równie nienaganna, jeśli chodzi o porządek, co Dinora. Kiedyś znalazła pod moim łóżkiem ubłocone adidasy i wyszorowała je tak, że ledwo je rozpoznałam.

Z początku mylnie wzięłam Martę za służącą, ale Dinora szybko wyprowadziła mnie z błędu.

- Marta pomaga mi w sprzątaniu - powiedziała wyraźnie zirytowana. - Nie jest służącą.

Próbowałam zrozumieć, na czym polega różnica. Wiedziałam, że Marta je razem z gospodarzami, co było niedopuszczalne w Stanach Zjednoczonych. Wciąż jednak nie mogłam pojąć, dlaczego moja pomyłka tak ją zdenerwowała.

Kiedy powiedziałam o tym Alfredowi, roześmiał się.

- Pewnie ją wystraszyłeś - powiedział. - Może bała się, że będzie miała z tego powodu problemy.

- Co masz na myśli? - spytałam.

- Posiadanie służby na Kubie jest nielegalne. Zakazano tego po Rewolucji.

- Co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział, że Dinora ma służącą? - zainteresowałam się.

- Prawdopodobnie nic.

- Więc czemu tak się tym przejęła?

Alfredo wzruszył ramionami. - Wystarczy sam fakt, że jest to nielegalne. Ale, jak widzisz, na Kubie zawsze znajdzie się jakiś sposób.

Niestety, reguła, o której mówił Alfredo, nie znalazła potwierdzenia w naszej podróży do Santiago - zarówno w przypadku kursujących na tej trasie dwóch linii autobusowych, samolotu, jak i wypożyczonego samochodu. Na pokonanie blisko tysiąca kilometrów dzielących Hawanę i Santiago autobusy linii Astro - za przejazd którymi Kubańczycy płacili ^ Pesos, a cudzoziemcy w dolarach - potrzebowały 17 godzin. Ponadto nie miały klimatyzacji i były w tak opłakanym stanie technicznym, że często odmawiały posłuszeństwa. Odrobinę lepsze (14 godzin) były autobusy linii Viazul, ale miejsca na ich pokładzie, podobnie jak w samolotach, mogli rezerwować wyłącznie Kubańczycy, którzy wykupywali je z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Firma Panautos wypożyczała wprawdzie samochody, ale wszystkie one miały manualną skrzynię biegów, której ani ja, ani Amy nie potrafiłyśmy obsługiwać, a Alfredo nie miał prawa jazdy. Miał za to sąsiada o imieniu Jimmy, który obiecał zarezerwować nam bilety na autobus.

- To jego negocjacja - powiedział nam Alfredo, uśmiechając się z dumą, że jego plan wypalił. - Jimmy zna kierowcę w Astro i może nam załatwić specjalną ofertę - trzy bilety za jedyne 50 dolarów. To 20 dolarów mniej, niż gdybyście miały kupić z Amy dwa bilety w Astro na własną rękę, i 70 dolarów mniej, niż gdybyśmy w trójkę mieli jechać Viazul.

W milczeniu wyobrażałam sobie nasz autobus linii Astro, rozkraczający się gdzieś na jakimś pustkowiu, i nas - czekających długie godziny, a może nawet dni na możliwość kontynuowania jazdy.

- Mogę ci dać trzydzieści pięć pesos - zaproponował Alfredo, starając się mnie w ten sposób dodatkowo zachęcić. - Tyle kosztowałby mnie bilet, gdybym sam jechał z Astro, więc wychodzi na to, że sam zapłacę za swoją podróż.

Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem, uśmiechając się niepewnie, kiedy zwlekałam z odpowiedzią.

- W porządku, to brzmi sensownie - skłamałam w końcu, nie chcąc łamać jego dumy.

- Świetnie - ucieszył się. - Zadzwoń jutro rano koło 8.30 i dam wam znać, na którą

Jimmy załatwił bilety.

Następnego dnia o 8.30 telefon milczał. Tak samo o 9.00, 9.30 i 10.00. Mimo że postanowiłam odłożyć na bok swój wrodzony sceptycyzm i pozwolić, by sprawy potoczyły się swoim rytmem, zaczynałam się niepokoić. Chciałam zadzwonić do Alfreda, ale on - chcąc być bliżej mnie - wprowadził się ostatnio do domu swojej matki w Centro Habana, gdzie nie było telefonu.

- Jak myślisz, co mogło się stać? - pytałam Amy. - Może ten sąsiad po prostu wziął pieniądze i zniknął? - poprzedniego dnia wieczorem dałyśmy Alfredowi 50 dolarów na bilety w jedną stronę dla całej naszej trójki.

- Może jedna z nas pójdzie na dworzec autobusowy i poszuka, a druga zaczeka tutaj? - zaproponowała Amy. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do pokoju po raz kolejny zajrzała Dinora, żeby przedstawić nam kolejne mrożące krew w żyłach statystyki dotyczące Santiago.

- Czy wiedziałyście, że w Santiago mężczyźni są dużo bardziej szowinistyczni niż w Hawanie?

- Nie - odparłam ze znużeniem. - Dinora, czy ty chcesz nas koniecznie przekonać, żebyśmy zostały?

- Ależ skąd! Oczywiście, będzie mi was brakowało, ale chcę was tylko przygotować na tę podróż. Nie wszędzie jest tak jak w Hawanie.

Rozmowę przerwał dźwięk telefonu, a ja poczułam z tego powodu podwójną ulgę.

- Lea, to Alfredo! - zawołała Nitza. - Tylko pospiesz się, czekam na telefon od Reya.

Twarz Dinory wykrzywił grymas niesmaku. Gestem dała córce do zrozumienia, żeby dała sobie spokój z podobnymi odzywkami, a ja poszłam odebrać telefon.

- Gdzie jesteś? - spytałam Alfreda.

- Dzwonię z budki telefonicznej koło domu mojej matki. Jimmy jest jeszcze na dworcu, ale wiem, że w południe odjeżdża autobus, więc chyba powinniśmy się tam z nim spotkać.

Dinora pomogła nam dokończyć pakowanie, a potem odprowadziła nas na dół do pierwszych schodów. Kiedy się żegnałyśmy, w oczach miała łzy. Luis był w pracy, Abuela uciwała sobie właśnie popołudniową drzemkę w swoim łóżku, a Nitza - pomimo panującego na zewnątrz upału - suszyła włosy w pokoju.

- Przynajmniej wróćcie tu na kolejny miesiąc - powiedziała z nadzieją w głosie.

Alfredo czekał na nas przed domem razem z rozklekotaną taksówką rowerową. Upchał nasze plecaki pod siodelkiem kierowcy, a potem sam usiadł na małej dwuosobowej ławeczce z tyłu.

- Wszyscy się chyba nie zmieścimy - powiedziała Amy, na Co - Alfredo zareagował śmiechem.

. Podał mi swój bagaż - poszarpany worek marynarski, porzyczony od Dinory - i pokazał, bym usiadła mu na kolanach.

Amy wcisnęła się obok. Dinora, stojąca na balkonie nad naszymi głowami, zawołała:

- Bądźcie ostrożni! I zadzwóńcie, gdyby coś się stało!

Ruszyliśmy. Kierowca, który prowadził rower, oddychał z takim wysiłkiem, że czekałam tylko, aż każe nam wysiadać. Jednak jakimś cudem pedałował dalej, przepychając się z trudem przez zatłoczone ulice Centro Habana. Jechaliśmy tak wolno, że w pewnym momencie minęła nas staruszka wracająca z targowiska z torbami wypełnionymi po brzegi owocami i warzywami. Pomyślałam, że w czasie, w którym pokonaliśmy odległość jednej przecznicy, zdążylibyśmy rozegrać emocjonującą partyjkę w domino.

Alfredo nie wydawał się jednak poruszony żółtym tempem, w jakim się poruszaliśmy. Wręcz przeciwnie, wyglądał na bardzo zadowolonego. W odróżnieniu od błyszczących, żółtych cocotaxis o jajowatym kształcie, które przyjmowały tylko dolary i czekały na rogu ulic 21. i O. na turystów z hotelu Nacional, których zabierały w najciekawsze miejsca Hawany, naszą zdezelowaną, czarną bicitaxi można było wynająć za pesos, co czyniło z niej podstawowy środek lokomocji niezmotoryzowanych Kubańczyków. Mimo to 25 peso (czyli równowartość jednego dolara), które trzeba było zapłacić za przejazd, stanowiło ni mniej, ni więcej, tylko stukrotność biletu za przejazd camello, dlatego mieszkańcy Hawany korzystali z rikszy tylko przy specjalnej okazji.

Dzisiaj Alfredo, niczym księżę jadący na czele parady, pozdrawiał z wysokości rowerowego krzeselka swoich fanów ze wszystkich dzielnic, które w taki czy inny sposób wyznaczały cały rytm jego dotychczasowego życia.

- Qué bola, socio? - zawołał na głos, kiedy mijaliśmy wózek z lodami należący do jego wujka Elpri. Wujek odmachął mu pustym różkiem na lody, zachęcając tym gestem, byśmy zatrzymali się na kilka gałek.

- No, no ahora! - krzyknął Alfredo, jakbyśmy faktycznie mieli czasu na zjedzenie potrójnego loda, zanim nasza bicit pokona kolejny podjazd i minie następną przecznicę. - Voy P'a Santiago.

Potem minęliśmy miejscowego handlarza przypraw, który co rano, zanim słońce zaczynało niemiłosiernie prażyć, rozkładał swój stolik koło Parque Trillo i sprzedawał zioła - lecznicze i do gotowania - a także miód w butelkach bez nakrętek. Alfredo zabrał mnie tutaj podczas pierwszego tygodnia u Dinory, by pokazać mi sprzedawców handlujących na czarno

różnymi rzeczami w Centro Habana. Dzięki temu dowiedziałam się, do których nieoznakowanych drzwi zapukać, żeby kupić sojowy jogurt truskawkowy, owoce mango czy reglamentowany chleb, co nie było takie złe, zważywszy że te same towary w dewizowych sklepach były o połowę droższe.

- Żaden z tych ludzi nie prowadzi legalnej działalności? - spytałam wtedy Alfreda.

- Bueno, son legales pero son Ulegałeś - odpowiedział. - Są legalni i jednocześnie nielegalni.

Uniosłam brwi w zdumieniu.

- Z wyjątkiem mango, wszystkie te produkty są legalne - wyjaśnił. - W pewnym sensie. Miód na przykład można sprzedawać, ale nie cudzoziemcom. Jogurt sojowy jest przeznaczony wyłącznie dla dzieci i osób starszych. A chleb można kupić w liczbie jednego bochenka dziennie na osobę, i to tylko na kartki. Potem możesz już kupować tyle bochenków, ile dusza zapagnie, ale w cenie jednego peso za sztukę i jest to nielegalne.

- Czyli oboje możemy zostać ukarani? - spytałam.

- Teoretycznie tak, w praktyce - nie.

Alfredo nie omieszkiał podzielić się z zielarzem radosną nowiną o wyjeździe do Santiago, a potem poprosił riksarza, żeby zatrzymał się na następnej ulicy przed domem jego babki, z którą chciał się pożegnać. Do tego czasu nasz kierowca był już tak zlany potem, że wyglądał, jakby w daszku nad głową miał zamontowany automatyczny zraszacz.

- Zaraz wracam - powiedział Alfredo, wyskakując z taksówki, która podniosła się o kilka centymetrów, pozbawiona dodatkowego ciężaru.

- Przekaż od nas hola swojej babci! - zawołałam za nim.

Alfredo spojrzał na mnie z dziwną miną.

- Hola? - spytał. - O que le mandas un beso?

- Dobrze, powiedz, że przesyłam całusy - poprawiłam się. Wciąż jeszcze nie opanowałam delikatnej sztuki pozdrawiania na Kubie.

Kiedy razem z Amy i kierowcą taksówki pociliśmy się w cieniu kwitnącego migdałowca, spojrzałam na tabliczkę z napisem SE PERMUTA, zawieszoną na drzwiach jednego z sąsiednich domów. Był to kubański odpowiednik popularnego w Stanach Zjednoczonych FOR SALE, z tą jednak różnicą, że na Kubie, gdzie posiadanie własnego domu jest uznawane za jedno z podstawowych - obok bezpłatnego szkolnictwa i służby zdrowia - praw obywatelskich, a zarabianie pieniędzy na jednym z takich praw zalicza się w poczet przestępstw, NA SPRZEDAZ zostało zastąpione NA ZAMIANĘ.

Alfredo wytłumaczyłby mi to pewnie w ten sposób, że ludzie na Kubie jednocześnie



są i nie są właścicielami domów, w których mieszkają. Faktycznie, nie płacą czynszu, a zatem - z mojej kapitalistycznej perspektywy - muszą mieć do nich pełne prawo własności. Z drugiej jednak strony, to państwo posiadało akt własności każdego z tych domów, dlatego też nie mogły być one sprzedawane, a jedynie „zamieniane”.

Kiedy Alfredo wrócił od babci, spojrział tylko na naszego wyczerpanego rikszarza, po czym wręczył mu dolara i powiedział:

- Dalej pójdziemy już pieszo.

Pół godziny później, wysuszeni na wiór i pokryci cienką warstwą soli, dotarliśmy na dworzec autobusowy, gdzie Alfredo obwieścił: - Znam specjalny drink, idealny na taki dzień jak dziś.

Poszliśmy za nim w głąb brudnej bocznej uliczki, która cuchnęła gnijącymi drożdżami i spleśniałymi skórkami pomarańczowymi. Zatrzymaliśmy się przed otwartą kuchenną futryną, za którą jakiś mężczyzna o grubych, ubrudzonych ziemią dłoniach przeciskał zielone, podobne do bambusa łądygi przez obracającą się, cylindryczną maszynę, z której wypływała mętna biała ciecz.

- Dame tres - Alfredo zwrócił się do mężczyzny, który na pełnił do pełna trzy szklanki i postawił je przed nami na ladzie.

Alfredo wziął szklankę i wychylił zawartość jednym potężnym łykiem; resztki soku ściekły mu po palcach. Idąc w jego ślady, chwyciliśmy z Amy nasze szklanki pełne brudnej zawiesiny i opróżniłyśmy je równie szybko jak Alfredo. Spodziewałam się czegoś w rodzaju Alka-Seltzer, ale zaskoczyła mnie jedwabista słodycz napoju.

- Co to takiego? - spytałam.

- Guarapo - wyjaśnił Alfredo, rzucając na ladę trzy pesos. - To sok z trzciny cukrowej.

- Skąd masz pieniądze? - zapytałam go, kiedy ruszyliśmy z powrotem. Zazwyczaj Alfreda stać było na coś do picia, jeśli mógł zapłacić w pesos, ale nie za trzy drinki plus taksówka.

- Babcia dała mi pięć dolarów - powiedział. - Oprócz tego mam jeszcze swoje dwa dolary na wypadek, gdyby tamte się skończyły.

Umówiliśmy się wcześniej, że pokryję połowę jego wydatków podczas podróży, a Amy, która zadeklarowała, że Alfredo jest też jej przyjacielem, zobowiązała się zapłacić drugą połowę. Nie omawialiśmy natomiast tej kwestii z samym zainteresowanym. Tak jak to było przyjęte na Kubie, unikałyśmy w ogóle dyskusji o pieniądzach.

Teraz, kiedy wchodziliśmy na dworzec autobusowy, miałam nadzieję, że zaraz zjawi się kolega Alfreda z biletami i będziemy mogli rozpocząć dalszą podróż z czystym kontem,

nie licząc wydatków, jakie miały miejsce do tej pory.

- Jak po angielsku powiedzieć emocionado? - spytał Alfredo, kiedy Amy poszła do toalety, a my zrzuciliśmy w dworcowej Poczekalni nasze plecaki, siadając na nich jak na poduszkach.

- Excited - odpowiedziałam. - Czujesz się podekscytowany?

- Tak, i trochę zdenerwowany - przyznał, uśmiechając się do mnie nieśmiało.

- Dlaczego?

- No cóż, nie widzieliśmy się wczoraj. A ja bywam czasem spięty, kiedy widzę cię nawet po krótkiej przerwie.

~ Nie powinieneś - zapewniłam go, chociaż czasem czułam samo - chwilowy brak oddechu i lekki dreszcz na plecach, który towarzyszył mi wtedy, gdy spotykaliśmy się po jakimś czasie spędzonym osobno. Nie byłam jednak tak odważna jak Alfredo i nie potrafiłam się przed nim do tego przyznać. Zamiast tego nachyliłam się i pocałowałam go w policzek.

Kiedy Amy wróciła z toalety, poszliśmy poszukać Jimmy'ego. Znaleźliśmy go stojącego pod ogrodzeniem w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

- Zaczekajcie tutaj - poinstruował nas Alfredo i sam podszedł do nich. Patrzyłam jak rozmawiają. Alfredo gestykułował w sposób, który równie dobrze mógł oznaczać podniecenie, co frustrację.

Alfredo wyglądał jak rastamański krasnal, wystrojony w swój ulubiony kostium, który z pewnością nie należał do moich ulubionych - golfowe szorty w zielono-czarną kratę i jaskrawozielony t-shirt z reklamą niemieckiego piwa Bavaria, którego nigdy tutaj nie widziałam.

Przed rozpadem Związku Radzieckiego Kubańczycy kupowali ubrania za psie pieniądze w bodegach, teraz jednak byli zdani wyłącznie na siebie w wyszukiwaniu i zdobywaniu czegoś godnego założenia. Alfredo miał kilka nowych koszulek, otrzymanych w prezencie od orkiestr symfonicznych z Nowej Anglii czy Minneapolis, które koncertowały w jego filharmonii, jednak większość jego garderoby stanowiły ciuchy pozostawione na wyspie przez przypadkowych turystów.

Były na nich loga produktów i miejsc, o których nigdy nie słyszał. Z jednakową obojętnością nosił koszulki Habitat for Humanity i Nike, bez względu na zupełnie odmienną historię oraz koncept obu marek. Habitat for Humanity, abstrahując od swoich chrześcijańskich korzeni, brzmiał jak program, który mógł zostać wprowadzony na Kubie, a o którym większość Kubańczyków nie miała zielonego pojęcia. Z kolei Nike było nie tylko symbolem „amerykańskości”, ale także - w sposób pośredni - embarga, jakie USA nałożyło

na handel i możliwość podróżowania na Kubę.

Tak czy inaczej, obydwie t-shirty stanowiły na wyspie raritytas, czego najwyraźniej nie można było powiedzieć o paskudnej koszulce Bawarii, w której widziałam już wcześniej kilku innych mężczyzn. Teraz, kiedy Alfredo dyskutował w uniesieniu z Jimmym i dwójką jego towarzyszy, mogłam podziwiać w całej okazałości żółtą kalkomanie przedstawiającą oszroniony kufel pełen spienionego piwa. W końcu mężczyźni rozeszli się każdy w swoją stronę - Alfredo wyszedł na zewnątrz, a Jimmy podszedł do nas.

- Przykro mi - powiedział, przysiadając ciężko na popękany plastikowy krzesło, na którym obie z Amy bałyśmy się usiąść. - Wygląda na to, że nic nie da się zrobić.

- Jak to? - Amy wytrzeszczyła oczy.

- Myślałem, że uda mi się załatwić wam bilety na południowy autobus - powiedział Jimmy - ale kurs jest już pełny, a kierowca, który jest moim przyjacielem, rozchorował się.

- Nie ma innych autobusów? - nie dawała za wygraną Amy.

- Są, ale już za późno, żeby zdobyć bilet.

- A gdzie poszedł Alfredo? - spytałam.

- Zorientować się, czy jest jakiś sposób, żeby wam pomóc.

Westchnęłam, być może trochę za głośno, bo Jimmy położył mi rękę na ramieniu.

- Es Cuba - powiedział.

- Wiem, ale myślałam też o tym, co powiedział Alfredo: „Na Kubie zawsze jest jakiś sposób” - odparłam zirytowana.

- Nie złość się na niego - Jimmy starał się mnie udobruchać. - Alfredo chciał wam pomóc. Wiesz, że on cię naprawdę kocha. O nikim innym nie mówi.

Zarumieniłam się. Alfredo mówił mi już kilkakrotnie, że mnie kocha, ale w ustach obcego faceta zabrzmiało to bardziej prawdziwie i - co dziwne - bardziej intymnie.

Alfredo za wszelką cenę starał się znaleźć dla nas bilety. Kiedy wrócił z propozycją wynajęcia prywatnej taksówki za 100 dolarów - drożej niż kosztowałby nas przejazd którąkolwiek z linii autobusowych - Amy i ja byłyśmy już tak zdeterminowane) żeby opuścić w końcu ten cholerny dworzec, że zgodziłyśmy się bez namysłu. Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie czekał na nas kierowca, oparty o maskę wgniecionej szarej łady.

~ Może nas zabrać swoim samochodem do Bayamo - obwieścił Alfredo. - To tylko godzinę drogi od Santiago i dojeżdżamy tam szybciej niż autobusem.

- Czy to legalne? - upewniła się Amy.

- Każdy, kto ma prawo jazdy, może jechać do Bayamo - z lekkim wahaniem odparł Alfredo. - Natomiast niekoniecznie musi mieć licencję na przewóz pasażerów, więc...

- Niech zgadnę - przerwałam mu. - To legalne, ale też trochę nielegalne.

- No tak - uśmiechnął się. - Szybko załapałaś.

Kierowca, który przedstawił się jako Darien, pomógł nam zapakować plecaki do bagażnika i ruszyliśmy. Kilka przecznic dalej zatrzymał się bez słowa wyjaśnienia przed otynkowanym na biało domem. Zostawiwszy klucz w stacyjce, wyskoczył z auta, pobiegł do drzwi wejściowych i zapukał. Po chwili wrócił w towarzystwie drugiego mężczyzny.

- To mój brat, Ramiro - wyjaśnił. - Jedzie z nami.

Siedząca z przodu Amy przesiadła się do tyłu, wciskając się obok mnie i Alfreda. Ramiro usiadł obok brata, włożył do odtwarzacza kasetę z salsą i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przez pierwsze pół godziny łąda jechała płynnie i z dość dużą prędkością, ale potem skręciliśmy w wyboistą polną drogę i Darien był zmuszony zredukować bieg. Jechaliśmy wzdłuż rzędów palm i mangowców, mijając rozpadające się gospodarstwa; jedynymi świadkami naszej podróży były teraz kurczaki i indyki, szukające pożywienia na poboczu drogi.

- Zupełnie jak hawańskie campo - Alfredo wydawał się zaskoczony. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżał poza rogatki miasta i praktycznie nie ruszał się z Centro Habana. Nie licząc „wirtualnych” podróży towarzyszących opowieściom kolegów z filharmonii, którzy w ciągu ostatniego roku odwiedzili z orkiestrą Martynikę, Meksyk i Minneapolis w Stanach Zjednoczonych. Od kiedy się poznaliśmy, Alfredo regularnie wypytywał mnie o kraje, do których podróżowałam, pytając o wszystko - kuchnię, ludzi, krajobrazy i pogodę.

Zastanawiałam się nieraz, dlaczego nigdy nie wyjechał z Hawany. Wprawdzie podróże po świecie były dla przeciętnego Kubańczyka nieosiągalnie, ale większość z nich - podobnie jak Europejczycy - miała do dyspozycji co najmniej miesiąc urlopu w roku. Alfredo mógł wykorzystać ten czas na odwiedzenie innych kubańskich miast.

- Cała moja rodzina mieszka w Hawanie - Alfredo starał się teraz przekrzyczeć dobiegające z magnetofonu dźwięki salsy.

- Nie miałbym się gdzie zatrzymać.

- A hotele Islazul? - spytałam. Zdawałam sobie sprawę, że prywatne pensjonaty, takie jak u Dinory, były poza jego zasięgiem, wiedziałam jednak, że matka Alfreda pracuje w agencji turystycznej Islazul, która zarządza także siecią hoteli na Kubie o tej samej nazwie.

- Hotele Islazul są dla VIP-ów, personas destacadas - odparł. - Dla baseballistów, urzędników państwowych albo pracowników firm, którzy zrobili coś wyjątkowego w pracy i szef powiedział im: - Masz tu tygodniowy karnet na pobyt w hotelu w Santiago.

- Czyli zwykli Kubańczycy w ogóle nie podróżują po wyspie? - dociekałam.

- Nie, chyba że odwiedzają rodzinę, u której mogą się zatrzymać.

- Więc co w takim razie robią w wakacje? Jak ty je spędzasz?

- To mój pierwszy urlop od dwóch lat - powiedział Alfredo.

- Większość ludzi na Kubie bierze wolne tylko dlatego, że szef im kazał. Tak naprawdę, nie ma tu nic do roboty. Najczęściej wykorzystujemy urlopy na dodatkowe interesy. Kiedy byłem młodszy, jeździłem za miasto, kupowałem tam tańsze mięso i owoce, potem wracałem do centrum Hawany, żeby sprzedać je drożej. Ale trudno to nazwać wakacjami.

Kiedy minęliśmy przydrożną tablicę z napisem NO NECESITAMOS AMOS (Nie potrzebujemy właścicieli), wyciągnęłam mały notes, w którym zapisywałam wszystkie tego rodzaju Propagandowe hasła. Poprzednie brzmiało: „Dwieście milionów dzieci śpi codziennie na ulicy. Żadne z nich nie jest Kubańczykiem”.

Alfredo westchnął. Nie mógł zrozumieć mojej fascynacji poetycznymi sloganami. Ja z kolei uważałam, że w porównaniu z komercyjną propagandą na całym świecie, dumne kubańskie billboardy są dużo ciekawsze i bardziej oryginalne. Po drodze na Kubę przesiadałam się na lotnisku w meksykańskim Cancun, gdzie powitał mnie rząd anglojęzycznych tablic. Na jednej było napisane „Tutaj mówimy w American Express”, a na drugim - opatrzonym zdjęciem okazałych rozmiarów krwistego steku - „Wegetarianie do domu”.

Kiedy zapisywałam ostatnie przydrożne hasło, Darien zwolnił, a potem zatrzymał się z piskiem opon przed niewielkim, pomalowanym na żółto domem. Ramiro wyskoczył z wozu i pobiegł do drzwi. Zapukał, a chwilę później zniknął w środku. Po kilku minutach wyszedł w towarzystwie młodej dziewczyny ubranej w śnieżnobiałą bluzkę na ramiączkach. Oboje podnieceni podbiegli do auta.

- To moja dziewczyna, Milagro - Ramiro przedstawił nam nowego towarzysza podróży. - Ona też jedzie z nami.

Milagro nachyliła się i pocałowała mnie w policzek, a potem machnęła ręką w powietrzu, witając się z Alfredem i Amy, których nie mogła dosięgnąć. Ramiro usiadł z powrotem na miejscu pasażera, a Milagro włączyła mu się na kolana. Wyjęła z odtwarzacza kasetę z salsa i puściła inną, z hiszpańskim techno. Zaczęła kiwać się w rytm muzyki, kiedy wyjechaliśmy na autostradę, a chwilę później podała nam do tyłu opróżnioną do połowy butelkę rumu.

Jechaliśmy dalej, mijając po drodze rowerzystów, pasące się na poboczu krowy i - od czasu do czasu - unieruchomione samochody. Jeśli główną rozrywką na Kubie był baseball, to

z pewnością porzucanie wraków chryslerów i chevroletów wzdłuż autostrady plasowało się tuż za nim.

Po zachodzie słońca zatrzymaliśmy się jeszcze raz, tym razem przed stojącymi w rzędzie kilkoma budynkami rolniczymi.

- To dom naszych rodziców - poinformował nas Ramiro - Zjemy z nimi kolację.

Weszliśmy razem z braćmi i Milagro do środka, gdzie przedstawiono nas ojcu, który, jakby wiedząc o naszej wizycie, błyskawicznie nakrył do stołu. Chwilę później uchyliła się zasłona pełniąca rolę drzwi do sypialni i do pokoju weszła starsza kobieta, która przywitała nas słowami: - Tenemos visita! Na stole pojawiła się czarna fasola, ryż, wieprzowina oraz sałatka z ogórków i pomidorów.

Podczas kolacji Darien opowiedział nam, jak razem z Ra-mirem woził Kubańczyków z jednego końca wyspy na drugi. Po skończonym posiłku ojciec zabrał nas do ogrodu, gdzie zjedliśmy deser składający się ze świeżo ściętych kokosów. Słodkie mleczko kokosowe spływało mi po policzkach i kapało na bluzkę. Kiedy wyjeżdżaliśmy, miałam na sobie białe, świeżo wyprasowane szorty (Dinora nalegała). Teraz te same szorty były wygniecione i upstrzone czarnymi plamkami - najprawdopodobniej ze smaru. Ale kiedy zasypiałam przy pełni księżyca, w całkowitej ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu chrząkaniem należącego do rodziny prosiaka, byłam szczęśliwa, że nie udało nam się w końcu złapać tego autobusu.

## Rozdział XIV

Żywa historia

Na dworcu autobusowym w Bayamo, wśród rojów much krążących w powietrzu gęstym jak żelatyna Alfredo oświadczył, że chce wracać do Hawany.

O 7.00 rano, po 800 kilometrach spędzonych w ciasnej taksówce wszyscy byliśmy wyczerpani i rozdrażnieni. Przez ostatnią godzinę jazdy omawialiśmy z Amy nasze plany dotyczące pobytu w Santiago. Obydwie spędziłyśmy miesiąc na przygotowaniach, podkreślając w naszych przewodnikach miejsca godne odwiedzenia. Żeby oszczędzić miejsce w plecaku, wyrwałam z książki strony dotyczące samego Santiago, co rozzłościło Alfredo.

- Wy, Amerykanie - pokręcił głową z lekceważeniem. - Na Kubie ludzie szanują książki. Nikt nie zrobiłby tutaj czegoś podobnego.

Westchnęłam tylko i dalej gryzmoliłam coś na marginesach stron z okaleczonego przewodnika.

Alfredo nachylił się, żeby zobaczyć, co piszę.

- Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, co jest napisane w tej książce? - spytał.

Zmęczona brakiem snu, podsunęłam mu kartki pod nos.

- A co, może nie rozumiesz? - wyrzuciłam z siebie, ale jego nie rozbawił mój żart.

- To mój kraj, ale nie mój język - powiedział, z powagą kręcąc głową.

Czasem zaskakiwało mnie, że Alfredo nie mówi po angielsku, a mimo to udało nam się zejść tak daleko w naszym związku bez posługiwania się wspólnym językiem.

Kiedy Alfredo oznajmił na stacji w Bayamo, że chce wracać do domu, zdałam sobie sprawę, jak duże braki mamy we wzajemnej komunikacji. I nie miało to nic wspólnego z barierą językową.

- Wiesz, co znaczy zero a la izquierda? - spytał nagle Alfredo, kiedy wypytywałam go o powody jego decyzji. Staliśmy we trójkę w potwornym skwarze przed budynkiem dworca - brudni, głodni, opędzający się od much.

- Nie, ale ty mi pewnie powiesz - powiedziałam, kiedy Alfredo sięgał do kieszeni po chusteczkę, żeby wytrzeć pot z czoła. - Co znaczy zero a la izquierda?

Alfredo pokazał palcem na Amy i kazał jej się przysunąć bliżej do mnie.

- To tak jak z wami - powiedział, stając z boku. - Ja jestem zawsze w tym samym miejscu, z twojej lewej strony, sam jak palec. Bez przerwy rozmawiacie ze sobą po angielsku, tak jakbyście mówiły o jakichś sekretach. Wygląda na to, że już dawno zaplanowałyście

wszystkie szczegóły tej wycieczki, a ja mam tylko siedzieć i wykonywać wasze polecenia. To nie w porządku! - oburzony Alfredo zakończył swój monolog, patrząc mi prosto w twarz. - Nikt nie powinien się tak czuć, zwłaszcza jeśli ten ktoś jest twoim facetem.

Stałam w milczeniu, pozwalając rojom much gromadzić mi się nad głową, i myślałam o tym, co przed chwilą zarzucił mi Alfredo. Byłam wstrząśnięta jego goryczą i zakłopotana faktem, że po części miał rację. Nie opowiadałyśmy sobie z Amy żadnych sekretów, chociaż w trakcie naszej długiej i męczącej Podróży do Bayamo nie mogłam powstrzymać się od myśli, o ile wszystko przebiegłoby prościej, gdybyśmy poszły do kasy i po prostu kupiły za dolary dwa bilety na bezpośredni autobus do Santiago.

- Może powinniśmy o tym porozmawiać na osobności - Wróciłam się do niego i spojrzałam wymownie na Amy, która skinęła głową i weszła z powrotem do budynku dworca.

- Alfredo, przepraszam cię - powiedziałam, kiedy byliśmy już sami. - Chcę, żebyś tu był.

W odpowiedzi Alfredo uniósł brwi.

- Nie chciałam, żebyś poczuł się jak zero a la izquierda - dodałam.

Kiedy spuścił wzrok, obróciłam jego twarz w moją stronę, tak żeby spojrzał mi prosto w oczy.

- Chcę z tobą podróżować. Jeżeli zostaniesz, będziemy z Amy mówiły częściej po hiszpańsku. A jeśli będziesz chciał, nauczę cię też angielskiego.

Alfredo objął mnie. Poczułam, że jego koszulka lepi się od potu. I coś jeszcze. To samo poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło mi za każdym razem, gdy tonęłam w jego uścisku - delikatnym, a jednocześnie stanowczym.

Kiedy znaleźliśmy się już w autobusie do Santiago, Alfredo opowiedział nam historię miasta Bayamo. Wszystko co na ten temat wiedziałam, zawierało się w słowach kubańskiego hymnu narodowego, w którym była mowa o los Bayameses, którym kazano iść w bój (Do walki, biegnijcie, bayamejczycy. Ojczyzna dumna na was patrzy).

- Tutaj zaczęła się pierwsza wojna z Hiszpanią w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku - powiedział Alfredo.

- Carlos Manuel de Céspedes uwolnił wszystkich swoich niewolników walczących z hiszpańskim rządem kolonialnym. Potem Hiszpanie złapali jego syna i zagrozili, że go zabiją, jeśli Céspedes się nie podda. - Ale - w tym miejscu Alfredo zrobił dramatyczną pauzę - Céspedes odpowiedział, że wszyscy Kubańczycy są jego rodziną i nie może poświęcić wolności całej rodziny dla jednego syna.

- I co się stało? - spytała Amy.



- Syn został zamordowany.

- To okropne - powiedziałam.

- To jeden z powodów, dla których nie lubię polityki - przyznał Alfredo. - Kiedy wszystko staje się polityką, nawet twoje dzieci-

- Czy Céspedes też zginął z rąk Hiszpanów? - byłam ciekawa finału tej opowieści.

- Tak, kilka lat później. Ale zanim to się stało, bayamejczycy wiedzieli już, że nie dadzą rady Hiszpanom. A ponieważ byli to bardzo dumni ludzie, woleli sami spalić miasto, niż oddać je w ręce wroga.

- Czy myślisz, że dzisiaj takie poświęcenie byłoby możliwe? - spytałam. - Gdyby Fidel umarł, a Stany Zjednoczone zdecydowały się dokonać inwazji na Kubę?

- Nie wiem - potrząsnął głową. - Ale jednego możesz być pewna. W dniu, w którym umrze Castro, na wyspie zapanuje totalny chaos. Nie chcę być na Kubie, kiedy to się stanie.

Na dworcu w Santiago zadzwoniliśmy do Martina, ciemnego blondyna o jasnej karnacji, który był właścicielem casa particular, gdzie zarezerwowaliśmy pokoje. Martin odebrał nas z dworca swoim chevroletem w kolorze świeżej mięty. Kiedy jechaliśmy niezbyt zatłoczonymi, pagórkowatymi ulicami Santiago, w tle których widać było wiecznie zielone góry, zauważyłam, że chociaż ludzie wyglądają na zewnątrz z balkonów tak jak w Hawanie, nikt nie wylewa na ulicę brudnej wody z mydlinami. Santiago wydawało się nieporównywalnie czystsze i spokojniejsze w porównaniu ze stolicą, w której mieszkało dwa razy więcej ludzi. Chaos i brud też był dwa razy większy w Hawanie. Wysokie, smukłe palmy strzelały w niebo między kolorowymi domami o dachach z czerwonej dachówki.

- Santiago było stolicą kolonialnej Kuby - oznajmił nam z dumą Martin, kiedy mijaliśmy zasiany trawą gazon, na którym stał olbrzymich rozmiarów pomnik z brązu, przedstawiający mężczyznę trzymającego się grzywy stojącego dęba konia.

- Jesteśmy na Plaza de la Revolución - powiedział. - A to Antonio Maceo.

W Hawanie, po drodze na Malecón wielokrotnie widywałam podobne, choć mniejsze pomniki upamiętniające tego zasłużonego santiaguero, który walczył w obydwu kubańskich Wojnach o niepodległość, w drugiej z nich służąc u boku salego Jose Martíego. Maceo podzielił los Martíego i Céspedes, Hiszpanie zamordowali także jego ojca i kilku braci. We Wszystkich relacjach dotyczących jego życia, jakie przeczytałam, autorzy zawsze podkreślali, że Maceo był Mulatem. Fakt ten miał szczególne znaczenie w historii kraju, w którym większość populacji jest czarna, zaś wszyscy przywódcy (nie licząc prezydenta Fulgencia Batisty, również Mulata) - biali. Nawet dzisiaj w rewolucyjnym gabinecie Fidela Castro pracuje zaledwie kilku czarnych, i to na niskich stanowiskach biurowych.

Mieszkańcom Santiago najwyraźniej pasował fakt, że ich generał był Mulaćem, pewnie dlatego, że mieszkało tu więcej czarnych niż w jakimkolwiek innym kubańskim mieście. Kiedy znalazłam tę ciekawostkę w moim przewodniku, od razu przypomniałam sobie przestrogi Dinory i zaczęłam się zastanawiać, czy ten fakt może mieć jakiś wpływ na statystyki, o których mówiła nasza gospodyni.

Miałam nadzieję, że w środowisku, w którym większość stanowią Afrokubańscy, zarzuty Alfreda dotyczące rasizmu na Kubie okażą się bezpodstawne i nie zepsują nam pobytu w Santiago. Alfredo nalegał jednak, abym uprzedziła Martina telefonicznie jeszcze w Hawanie, że mój chłopak jest Kubańczykiem.

- Świetnie, nie ma problemu - ucieszył się Martin.

Kiedy przekazałam jego reakcję Alfredowi, ten wydawał się usatysfakcjonowany. Nie wspomniałam jednak Martinowi, że Alfredo jest czarny. Miałam cichą nadzieję, że Martin też okaże się czarny.

Pierwszego wieczoru po przyjeździe zjedliśmy kolację w towarzystwie Martina, jego żony Esperanzy i dwójki ich dzieci - Usnavy'ego i Yinette, które - nasiąknięte eklektyzmem i wiedzą - uzupełniały obraz modelowej kubańskiej rodziny, która jakoś sobie radzi, a czasem nawet prosperuje, na przekór powszechnej biedzie i przeciwnościom losu. Rodziny, która trzymała się przy tym kulturowych i naukowych założeń Rewolucji.

Esperanza i Martin uczyli odpowiednio matematyki i geologii na miejscowym uniwersytecie. Usnavy studiował germanistykę i pracował jako trener lekkoatletyki; dodatkowo robił też tatuaże na zamówienie. Przy stole pokazał nam tatuaże w formie symetrycznych węży i róż na swoich ramionach, obracając nimi niczym kucharz kebabami na ruszcie. Alfredo przyglądał się temu pokazowi z wytrzeszczonymi oczyma, jak gdyby właśnie po raz pierwszy ujrzał pozaziemską formę życia.

- Sam to sobie zrobiłeś? - spytał z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

- Tak - Usnavy nie krył dumy. - Tutaj mało komu się podobają, ale moja dziewczyna mieszka w Niemczech i tam wszyscy noszą tatuaże.

Spojrzałam na Alfreda i widząc szok na jego twarzy, wyobraziłam sobie, jak przyjeżdża do kraju, w którym ludzie wydziergani są od stóp do głów węzowymi wzorami.

Historia jego siostry była nieco bardziej banalna, choć równie interesująca. Yinette była kiedyś modelką, a teraz studiowała anglistykę i zastanawiała się, jaką karierę wybrać - prawniczki, lekarki czy dziennikarki.

- Wszystkie te zawody mnie fascynują - mówiła, śmiejąc się sama z własnego niezdecydowania. - Mam nadzieję, że nie będę się musiała ograniczać tylko do jednego.

Po kolacji Usnavy i Yinette zabrali nas na imprezę do znajomych. Szliśmy razem w świetle księżyca, który rzucał nam pod nogi bladą poświatę, gdy mijaliśmy jeden jednorodzinny dom za drugim. Tutaj nie było tych szkaradnych betonowych bloków, które wystrzeliwały w niebo, wypierając z krajobrazu Hawany kolejne niszczące kolonialne rezydencje. W zasadzie jedynym śladem wpływów sowieckich w Santiago, jaki do tej pory widziałam, był rząd wyblakłych czerwonych liter, namalowanych na łuszczących się niebieskich drzwiach zabitego deskami, opuszczonego domostwa. Mocno nieaktualny propagandowy napis głosił: QUE SE FORTALEZCA Y PROSPERE LA AMISTAD SOVIÉTICO CUBANO! (Niech żyje przyjaźń radziecko-kubańska!).

Kiedy dotarliśmy na przyjęcie, wszyscy już tańczyli. Ku mojej radości było to merengue - uproszczona, wschodnia wersja salsy. Potrafiłam tańczyć merengue, w którym nie było szalonych obrotów, a kroki powtarzały się w zasadzie tylko w kilku kombinacjach. Taniec ten pochodzi z Dominikany i być może właśnie z racji swojego geograficznego pochodzenia dumni habaneros, tacy jak Alfredo, wyrażają się o nim z lekceważeniem, uważając merengue za zbyt proste; coś w sam raz dla ograniczonych santiagueros.

Z boku stało kilka osób, które uformowały małe kółko wokół dwóch mężczyzn, z których jeden wymachiwał w powietrzu chusteczką. Kiedy ją puszczał, drugi z mężczyzn, niczym rekrut wykonujący rozkaz surowego sierżanta, padał na ziemię w pozycji wyjściowej do robienia pompek i łapał spadającą chusteczkę ustami, tak by nie zdążyła dotknąć ziemi. Wszyscy wydawali się świetnie przy tym bawić.

- Que boberia! Jakie to głupie! - wyszeptał mi na ucho Alfredo.

Kiedy „łapacz” wykonał swoje zadanie i wstał z ziemi, zobaczył nas stojących na uboczu. Ruchem ręki wskazał na Alfreda, by do nich podszedł. Alfredo odmówił, wyraźnie zażenowany. Ale to jeszcze bardziej rozjuszyło bawiących się z kręgu panuelo, którzy zaczęli na zmianę wołać *Te toca a ti!*, klaszcząc przy tym w dłonie i zachęcając Alfreda gwałtownymi gestami, by przyłączył się do zabawy.

Alfredo ponownie odmówił, na co jeden z uczestników zabawy chwycił go za ramiona i wciągnął do środka. Ten zdążył jeszcze rzucić ostatnie bezsilne spojrzenie w naszą stronę, zanim tancerze spytali go o imię. Chwilę później chusteczka poszybowała w górę przy akompaniamencie radosnego skandowania: - Alfredo! Alfredo!

Alfredo wywiązał się z zadania za pierwszym podejściem, nie dane mu było jednak odejść tak szybko. Kiedy udało mu się złapać chusteczkę po raz drugi, grymas na jego twarzy ustąpił miejsca radosnemu uśmiechowi, który towarzyszy zwykle nowicjuszom pomyślnie przechodzącym rytuał inicjacji. Zostałam go więc z nowymi przyjaciółmi, a sama poszłam

z Amy rozejrzeć się, co jeszcze dzieje się na imprezie. W tym czasie merengue zostało już zastąpione Michaeliem Jacksonem.

Każdy skupiał się teraz na własnym tańcu i wykonywanych w jego trakcie ruchach. Faceci, którzy przyszli bez par, zaczęli swój taniec godowy. Widziałam, jak kilku z nich obserwuje Amy.

- Que fuerte! - zachwycił się jej sylwetką przystojny ciemnowłosy chłopak. Potem chwycił Amy za rękę i wykonał przed nią seksowny taniec, wijąc się niczym kobra w górę i w dół. Amy była dobrą tancerką, więc bardzo szybko podchwyciła rytm swojego partnera i zaczęła zmysłowo kręcić biodrami, wywołując powszechną zazdrość wśród tych, którzy nie byli wystarczająco szybcy, by wykorzystać okazję.

Jeden z nich podszedł do mnie. Podniecona na samą myśl o tym, że po raz pierwszy mogę wziąć udział w autentycznej kubańskiej imprezie, zainicjowałam sobie tylko znany układ choreograficzny, którym zawsze rozśmieszałam Alfreda do łez. Mój partner przyglądał mi się przez chwilę, lekko zaskoczony, a potem uśmiechnął się.

- Podoba mi się jak tańczysz - powiedział. - Tak... inaczej.

Nie byłam pewna, czy nie robi sobie ze mnie przypadkiem żartów, ale fakt faktem, ani razu nie nadepnęłam mu na palce, a kiedy złapał mnie i obrócił dookoła, nogi nie poplątały mi się, jak to zwykle miało miejsce w takiej sytuacji. Kiedy mój tancerz zaczął się wyginać jak ten, z którym tańczyła Amy, usłyszałam gdzieś z boku piskliwy okrzyk bojowy, jaki wydaje z siebie zaatakowane małe zwierzątko. Obróciwszy się, zobaczyłam Alfreda wybiegającego z kręgu pañuelo.

- Ona jest moja! - krzyknął, wskakując przede mną i rozkładając szeroko ręce, jak gdybym była piłką do koszykówki, którą za wszelką cenę musi bronić przed napastnikiem przeciwnej drużyny.

Mój partner, zobaczywszy nie wróżący nic dobrego ogień w oczach Alfreda, wycofał się bez słowa. Patrzyłam na Alfreda z niedowierzaniem. Rozejrzałam się po parkiecie, ale na szczęście nikt chyba nie zauważył dramatycznej sceny z naszym udziałem. Wszyscy wyglądali na skupionych w tańcu lub na Uczeniu się w pary.

Alfredo poklepał mnie delikatnie po ramieniu, po czym zaczął tańczyć, jakby nic się nie stało. Mnie tymczasem odeszła ochota na zabawę. Wyszłam z pokoju na tyły domu, w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, w którym mogłabym pobyć przez chwilę sama i zebrać kłębiące się w głowie myśli. Znalazłam wolną łazienkę. Zamknęłam się w środku i gapiłam na pustą ścianę, na której powinno wisieć lustro. Po jakimś czasie usłyszałam pukanie. Otworzyłam drzwi i ujrzałam Amy w towarzystwie Alfreda.

- Chyba już pójdziemy - powiedziała Amy.

- Jeśli chodzi o mnie, jestem za - odparłam, unikając wzroku Alfreda.

- Co prawda, Jorge, ten facet, z którym tańczyłam, chciał pójść ze mną na spacer - powiedziała szybko Amy - ale nie wiem, czy powinnam zostać z nim sam na sam, więc pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy razem wrócimy do domu.

Przytaknęłam, w dalszym ciągu nie zwracając uwagi na Alfreda, który stał jak słup soli. Do domu wracaliśmy w kompletnym milczeniu. Tylko Amy i Jorge, którzy szli przed nami, rozmawiali ściszonymi głosami. Potem Jorge pożegnał się z nami i poszedł do siebie; jego dom znajdował się zaledwie kilka przecznic od naszego.

Kiedy byliśmy już w naszej casa particular, Alfredo pożegnał się z Amy, życząc jej dobrej nocy, po czym obrócił się na pięcie i poszedł do swojego pokoju.

- Z wami wszystko w porządku? - spytała Amy, kiedy stałyśmy w holu. Chciałam jej opowiedzieć wszystko ze szczegółami, ale wtedy Alfredo wychynął nagle ze swojej sypialni.

- Męski szowinizm - szepnęłam jej do ucha, ściskając ją na dobranoc. - Jutro ci opowiem.

Alfredo zaczekał, aż Amy zniknie w swoim pokoju, po czym powiedział lekko drżącym głosem: - Mam do ciebie prośbę.

- O co chodzi? - spytałam prawie pewna, że poprosi mnie, bym nie rozmawiała z innymi mężczyznami na imprezach. Nieoczekiwanie jednak Alfredo skinął na mnie ręką, bym poszła z nim do sypialni. W środku wziął swój sfatygowany marynarski worek, który pożyczyła mu Dinora, i wyjął z niego szczoteczkę do zębów.

- Wziąłem z domu szczoteczkę - powiedział - ale zapomniałem kupić pastę.

- I to wszystko? - spytałam z niedowierzaniem. - Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie, to nie wszystko. Chciałem cię zapytać, czy będę mógł korzystać z twojej pasty do zębów w czasie naszej podróży.

Zaśmiałam się nerwowo, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Wyjęłam z plecaka tubkę pasty i kręcąc głową, podałam mu.

- Posłuchaj, Alfredo - powiedziałam. - Powinniśmy chyba porozmawiać o tym, co zdarzyło się dzisiaj między nami na imprezie, nie o paście do zębów.

- Dobrze - zgodził się, biorąc do ręki swój ręcznik i przybory do mycia. - Ale pozwól mi najpierw wziąć prysznic.

Czekając, aż Alfredo się umyje, zapisałam sobie w zeszycie wszystko, co chciałam mu powiedzieć. Kiedy wrócił do pokoju, owinięty w pasie ręcznikiem, miałam już gotową mowę.

Przez chwilę skupiłam się na jego urodzie - błyszczących, ociekających wodą dreadach i pięknej skórze o głębokim kawowym odcieniu, lekko zaczerwienionej od gorącej wody.

- Nie jestem twoją własnością, Alfredo - zaczęłam, kiedy usiadł przy mnie na łóżku. - I nie życzę sobie, byś wpadał jak bomba na środek parkietu i mówił facetowi, z którym tańczę, że jestem twoja.

- Nie widziałas, jak cię podrywał? - obruszył się.

- To nie ma znaczenia - odparłam. - Musisz mi zaufać. Jeśli będę potrzebowała twojej pomocy, sama o nią poproszę.

- A może chciałaś, żeby się do ciebie zbliżył? - wyglądał na kompletnie zbitego z tropu.

- Nie, gdyby sobie pozwolił na zbyt wiele, po prostu dałabym mu to do zrozumienia. Tak trudno ci to zrozumieć?

- Wiem - Alfredo zrobił krótką pauzę. - Ale czasem się boję, że znajdziesz sobie kogoś innego.

- Jeśli tak ma się stać, nic na to nie poradzisz - powiedziałam. - Nie wolno kontrolować ludzi, na których nam zależy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, spuszczać wzrok i gapiąc się w łóżko jak skarcony dzieciak. Potem oparł głowę na moim ramieniu, a ja poczułam, jak gniew zaczyna odpływać.

- Nie powinieneś się martwić, że znajdę sobie kogoś innego - powiedziałam. - Chcę być z tobą.

Alfredo podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Ja też.

Zaczął szturchać mnie nosem po szyi jak mały psiak. Przyciągnęłam go do siebie. Leżeliśmy na łóżku, a on całował całe moje ciało, od góry do dołu. Kiedy przesunął się w kierunku moich bioder, spojrzał na mnie pytająco.

- Wzięłaś prezerwatywy?

Kiwnęłam głową i sięgnęłam do kosmetyczki stojącej na nocnym stoliku.

Kiedy tarzaliśmy się w pościeli, gładziłam palcami jego naprężoną, gładką skórę na plecach i czułam strużki potu na jego twarzy, kiedy całowaliśmy się. Przez opuszczone żaluzje wpadało do pokoju gorące, wilgotne powietrze. W pewnym momencie przypomniałam sobie słowa jednej z moich byłych profeserek, którą spytałam o wrażenia z jej ostatniej wizyty na Kubie.

- Za gorąco - powiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Nie wiem, jak ludziom chce się tam uprawiać seks.

Następnego dnia uciekliśmy przed skwarem na dziką kamienistą plażę. Unosiłam się leniwie na plecach na powierzchni turkusowego morza, pozwalając, by ciepłe fale leniwie obmywały moje zmęczone trudami podróży mięśnie. Wokół mnie wesoło tańczyły na wodzie słoneczne promienie, a ja myślałam o tym, co zdarzyło się w ciągu ostatniej doby.

Piętnaście godzin temu byłam na imprezie w Santiago, odpierając ataki urażonej samczej dumy Alfreda. Piętnaście godzin wcześniej oganiałam się od much na dworcu w Bayamo. Kolejne piętnaście godzin wstecz też byłam na dworcu, tyle że w Hawanie i zastanawiałam się, jak zareagować na słowa Alfreda, który powiedział, że gdy spotykamy się po przerwie, jest w mojej obecności niespokojny.

Teraz, dzięki wspólnie spędzonej nocy, próbom, na jakie zostaliśmy wystawieni w czasie podróży do Santiago i temu wszystkiemu, co sprawiło, że teraz znalazłam się na tej plaży i poczułam, że nasz związek wszedł w nową, lepszą fazę.

Ale gdy tylko wyszłam z wody, poczułam, jak mój spokój gaśnie. Usiadłam przy Amy, która czytała książkę pod rozłożystą palmą, i zaczęłam pisać dziennik podróży. Alfredo siedział tuż obok, łamiąc w palcach gałązki, które spadły z drzewa nad nami - przypominało mi to odgłos wyłamywanych nerwowo palców.

Zanim spędziliśmy razem noc w posada privada, którą zresztą prawie w całości przespaliśmy, nigdy nie byłam z Alfredem dłużej niż 6 godzin pod rząd. I teraz, gdy z każdą kolejną złamaną gałązką czułam rosnącą irytację, zaczęłam się obawiać, że być może 48 godzin jest górną granicą, jaką mogę znieść.

Wiedziałam, że panujące wokół spokój i cisza, które tak sobie ceniłam, wywoływały u niego zupełnie odwrotną reakcję - podobną do objawów choroby morskiej. Przypominałam sobie, jak Alfredo i jego kumple z orkiestry bawili się w przesypywanie piasku z jednego miejsca na drugie na plaży pod Hawaną i pomyślałam, że może przydałby się tu ktoś, z kim Alfredo mógłby spędzić trochę czasu - pod inną, najlepiej oddaloną palmą.

- Alfredo, może się przejdiesz? - zaproponowałam. - Jeśli chcesz, możesz nawet porobić trochę zdjęć - powiedziałam, wręczając mu aparat.

Alfredo nigdy nie miał okazji robić zdjęć, ale chodził kiedyś na kurs fotografii, gdzie razem z 40 innymi uczestnikami, z których żaden nie posiadał aparatu, słuchał z przejęciem wykładów na temat oświetlenia i kadrowania zdjęć.

Moja propozycja bardzo go ucieszyła i porzucił łamanie gałązek. Wyciągnął z namaszczeniem ręce po mój porysowany i sfatygowany trudami podróży automatyczny aparat. A potem zniknął na prawie dwie godziny, w czasie których zdążyłam dwa razy wejść do wody, przeczytać trzy rozdziały książki i dopisać nowy fragment pamiętnika. Wreszcie

zobaczyłam, że wraca. Sunął dumnie po piasku z rękami schowanymi za plecami. Kiedy był już przy nas, jedną ręką podciągnął za duże o kilka numerów kapelówkę, a drugą sięgnął za plecy, wyciągane stamtąd słomiany kapelusz z szerokim rondem - sombrero Santiaguero. Włożył go sobie na głowę i wybuchnął śmiechem, kiedy kapelusz - również za duży - zjechał mu na nos.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - śmiałam się razem z nim.

Zamiast odpowiedzieć, włożył mi kapelusz na głowę i szybko pstryknął zdjęcie.

- Hej! - uderzyłam go lekko kapeluszem z udawanym oburzeniem.

- Nie martw się, będziesz miała fajne zdjęcie - odparł z przekonaniem. - Chciałem uchwycić twój wyraz twarzy w chwili, gdy na mnie spojrzełaś.

- A jak na ciebie spojrzełam?

- Jak pisarz. Jak gdybyś próbowała mnie rozgryźć, znaleźć najlepsze słowo, którym możesz mnie opisać. Moja guajira, pisarka.

Nieprzyzwyczajona do samego określenia guajiro, któremu w ustach Alfreda z reguły towarzyszył przymiotnik estúpido, uśmiechnęłam się i powtórzyłam moje pierwsze pytanie.

- Dostałem go od moich amigos guajiros - Alfredo wypiął pierś z dumą.

- Masz jakichś amigos guajiros? - zdziwiłam się.

- Poznałem ich w barze niedaleko miejsca, w którym wysadził nas kierowca autobusu.

Kiedy tamtędy przechodziłem, zawołali mnie i zgadnij, co mi zaproponowali?

- Co takiego?

- Piwo Hatuey!

Od samego przyjazdu do Santiago Alfredo miał nadzieję znaleźć ten słynny napój, który w połowie lat 90. zniknął w tajemniczych okolicznościach ze wszystkich hawańskich pubów. Dzisiaj był dostępny tylko we wschodniej części wyspy, z której wywodził się jego imiennik, wódz Indian z plemienia Taino.

W 1512 roku Hatuey został schwytany przez Hiszpanów, którzy poinformowali go, że zostanie spalony na stosie podczas zakończonej prawie całkowitym sukcesem akcji usuwania z wyspy autochtonicznej ludności. Przedtem katolicki ksiądz zaproponował wodzowi, by ten dał się ochrzcić, zapewniając sobie w ten sposób pobyt w raj. Hatuey spytał, czy do tego samego raj. trafiają po śmierci hiszpańscy najeźdźcy, a kiedy uzyskał odpowiedź twierdzącą, stwierdził, że w takim razie woli iść do piekła.

Podobnie jak w przypadku pobytu w domu Dinory w Hawanie, Alfredo i ja szybko przyzwyczailiśmy się do warunków życia panujących w naszej nowej rezydencji w Santiago. Wieczorami, kiedy Amy wychodziła na miasto z którymś z kilku zabiegających o jej względy



adoratorów, siadaliśmy na frontowych schodach, w cieniu dachu z hiszpańskich dachówek, obserwując życie uliczne, tak jak to robiliśmy wcześniej w Hawanie. Za każdym razem, gdy ulicą - jak w zwolnionym tempie - przejeżdżał rowerzysta, zagadując któregoś ze swoich sąsiadów, gęste, tropikalne powietrze przecinał lekki, ożywczy powiew. Zawsze ktoś zamykał ulicę, a u schyłku dnia pewien starszy pan sprzedający mango rozkładał swój żółtozielony towar w purpurowym blasku zachodzącego słońca.

Kiedy zapadał mrok, wracaliśmy do środka, by tam odbyć kolejną lekcję języka angielskiego. Jeśli chodzi o mnie, to już dawno przestałam starać się poprawnie wymawiać kubańskie „r”, mając nadzieję, że ludzie wybaczą mi moją fatalną wymowę, a czego nie zrozumieją, domyślą się z kontekstu. Z kolei Alfredo nalegał, bym mu powtarzała każde nowo poznane słowo, dopóki nie wymówi go w sposób perfekcyjny. Na koniec każdej lekcji uśmiechał się nieśmiało i mówił po angielsku: - Dziękuję, kochanie.

Przed pójściem do łóżka Alfredo - najbardziej obsesyjnie podchodzący do spraw higieny osobistej Kubańczyk, jakiego kiedykolwiek znałam - brał trzeci prysznic w ciągu dnia. Niedawno odkryłam, że „zapomniał” nie tylko pasty do zębów, do czego przyznał się pierwszego wieczoru w Santiago, ale także mydła. Wiedziałam, że statystyczny mieszkaniec Kuby nie miał dostępu do nici dentystycznej czy wacików do demakijażu, ale mydło można było przecież kupić w każdej bodedze, i to za rozsądną cenę.

Dopiero kiedy po raz pierwszy poszliśmy razem pod prysznic w Santiago, odkryłam prawdę. Gdy zobaczyłam, jak Alfredo sięga po kostkę białego mydła Dove, które Amy zabrała ze sobą ze Stanów, zdałam sobie sprawę, że być może ceny mydła w bodedze nie były aż tak rozsądne, by przeciętna kubańska rodzina mogła sobie pozwolić na luksus posiadania kilku kostek jednocześnie. Alfredo „zapomniał” mydła z domu po to, by jego rodzina miała się czym myć. Za pierwszym razem byłam zbyt zszokowana, by zareagować, ale za drugim razem, kiedy zobaczyłam, jak ponownie sięga po - dużo mniejsze na skutek kolejnych kąpieli - mydło Amy, zaproponowałam mu, żeby umył się moim mydłem w płynie.

- Ale ja nie chcę teraz myć włosów - zaproponował.

- Nie, to jest mydło - powiedziałam.

- Naprawdę? Przecież jest w płynie.

- Nie macie na Kubie mydła w płynie?

- Och - Alfredo coś sobie przypomniał. - Mamy gel del bano, ale można go dostać tylko w dewizowych sklepach.

Incydent z mydłem wpłynął na mnie do tego stopnia przygnębiająco, że postanowiłam jak najszybciej o nim zapomnieć. Ale któregoś dnia Amy spytała mnie lekko drżącym

głosem:

- Czy nie wydaje ci się, że Alfredo używa mojego mydła? Już prawie mi się skończyło, poza tym widziałam na nim jego włosy. Tak się tylko głośno zastanawiam - dodała szybko. - Nie żebym go od razu podejrzewała.

- Nie wydaje mi się - odparłam ostrożnie i powoli, udając głębokie zastanowienie. - Pewnie tylu ludzi korzysta z tego prysznicza, że woda, której używają, spływając, wypłukuje twoje mydło. Ale powiem Alfredowi, żeby uważał, gdzie zostawia włosy.

Przez kilka pierwszych dni spędzaliśmy mnóstwo czasu, zwiedzając muzea, których pełno było w miejscu narodzin Rewolucji i wielu spośród jej męczenników. Z jednej strony było to dla mnie fascynujące przeżycie - zobaczyć na własne oczy to, o czym tak wiele nasłuchiwałam się w Hawanie. Jednak z drugiej strony od nadmiaru informacji kręciło mi się w głowie.

Kiedy na początku drugiego tygodnia naszego pobytu w Santiago zwiedzaliśmy Museo Lucha Clandestina (Muzeum Walki Podziemnej), wszystko zaczęło mi się już zlewać w jedną całość. Przechodziliśmy z jednej sali do drugiej, a w każdej na ścianach wisiały czarno-białe fotografie uzbrojonych i brodatych partyzantów, z których każdy wyglądał dokładnie tak samo. Zauważyłam, że wzrok Amy stał się szklisty i bez wyrazu, a z ust Alfreda zaczęły się wydobywać nieartykułowane dźwięki. Kiedy przysłuchiwałam się im bliżej, odkryłam, że mamrocze pod nosem na przemian dwa słowa, znaczące w dwóch różnych językach to samo: mierda, shit. Sprawiał wrażenie kogoś z łagodnymi objawami bilingualnego syndromu Tourette'a.

- O co chodzi? - spytałam.

- Mam już dosyć tej propagandy - westchnął.

- OK, mnie też już to trochę zmęczyło - zgodziłam się. - Może darujemy sobie Moncadę?

W koszarach Moneada, które zostały zaatakowane przez powstańców 26 lipca 1953 roku, obecnie mieściła się szkoła oraz Museo de la Revolución. Było to ostatnie muzeum na naszej liście, ale bałam się, że dla Alfreda to za dużo. Jednak, ku mojemu zdziwieniu, wydawał się śmiertelnie urażony moją sugestią, żebyśmy zrezygnowali z przypomnienia sobie tej chwalebnej karty z dziejów kubańskiej Rewolucji.

- Nie możemy opuścić Moncady! - uniósł się. - To początek Rewolucji.

- Myślałam, że dla ciebie to wszystko mierda - zakpiłam.

- Tak, ale to Mon-ca-da - wyartykułował dobitnie każdą sylabę, odwołując się do niesłabnącego kubańskiego patriotyzmu, który koegzystował w parze z równie silnym

poczuciem frustracji spowodowanej aktualnym stanem rzeczy.

Kiedy wchodziliśmy na teren Moncady, akurat skończyły się lekcje w szkole i na podwórzu przed fortecą w kolorze musztardy wybiegły dzieci w biało-czerwono-niebieskich mundurkach pionierów. Chociaż na murach szkoły widać było jeszcze ślady po kulach, plotka głosiła, że nie były oryginalne. Podobno Batista zamurował wszystkie dziury zaraz po ataku, a Fidel - po dojściu do władzy w styczniu 1959 roku - kazał wykuć je na nowo, czcząc w ten sposób pamięć pierwszej, niekoniecznie zwycięskiej bitwy Rewolucji, której każda kolejna rocznica była od tej pory hucznie obchodzona.

Pomimo straty 69 ze 105 towarzyszy broni Fidela Castro (pierwotnie było ich 123, ale 18 zabłądziło w trakcie przemarszu z Hawany i nie zdążyło wziąć udziału w bitwie), którzy rozdzielili się, by zaatakować jednocześnie Moncadę i jeszcze jeden obiekt w Bayamo, 26 lipca był co roku obchodzony jako święto narodowe, a Fidel wykorzystywał tę okazję do wygłoszenia jednego ze swoich słynnych długich przemówień. Nigdy nie rozumiałam podstaw do świętowania w tym przypadku, a wizyta w Muzeum Rewolucji jeszcze bardziej mnie w tym przekonaniu utwierdziła. Większość eksponatów stanowiły bowiem przesiąknięte krwią mundury powstańców, którzy zostali schwytani i zamordowani.

- Tak, bitwa zakończyła się porażką - tłumaczył mi Alfredo - ale w pewnym sensie był to także sukces. Entiendes?

Mając w pamięci poprzednie wynurzenia Alfreda na temat tego wszystkiego, co było na Kubie „legalne-nielegalne” - służby domowej, prywatnych przedsiębiorstw i taksówek - pokiwałam tylko głową, nie chcąc prowokować go do kolejnych, jeszcze bardziej pokrętnych odpowiedzi.

Skupiłam się więc dalej na zwiedzaniu muzeum w nadziei, że znajdę odpowiedź na którejś z tablic informacyjnych. Ostatecznie znalazłam ją dopiero wtedy, gdy nabrałam dystansu do tego, co wcześniej uznawałam za racjonalne i prawdziwe.

Zdałam sobie sprawę, że traktowałam sukces w najbardziej dosłowny sposób - jako zwycięstwo w bitwie. Tymczasem atak z 26 lipca przeszedł do historii jako zwycięstwo z racji makabrycznych szczegółów, jakie towarzyszyły jego porażce. Z perspektywy czasu przegrana stała się wygraną, dokładnie tak, jak przewidział to Castro w swojej mowie obrończej zatytułowanej Historia mnie rozgrzeszy, wygłoszonej na rozprawie, podczas której był sądzony właśnie za atak na Moncadę.

W trakcie trwania procesu pewnej młodej dziennikarce o nazwisku Marta Rojas udało się przemycić na salę sądową zdjęcia 61 rebeliantów, którzy zostali złapani i w wyniku tortur zamęczeni na śmierć. Mimo iż 26-letni wówczas Fidel Castro 125 jego towarzyszy broni

zostali natychmiast osadzeni w więzieniu, zdjęcia okazały się ważnym dowodem na to, że Batista kłamał w sprawie bitwy. Wzburzona opinia publiczna wstawiła się za skazanymi, czego wynikiem było powstanie ruchu o nazwie El Movimiento Revolucionario 26 de Julio, który z kolei zmusił Batistę do uwolnienia więźniów 15 maja 1955 roku. Zdążyli oni odsiedzieć zaledwie 20 miesięcy z 15-letniego wyroku.

Tak jak z początku nie potrafiłam zrozumieć symboliki porażki w Moncadzie, przekutej w sukces, tak samo w konsternację wprawiała mnie sprzeczna logika różnych motywacji charakteryzujących zachowanie Alfreda - na pozór osobistych, a w istocie głęboko politycznych i ściśle związanych z najnowszą historią Kuby, którą dopiero zaczynałam poznawać i rozumieć.

Ostatniego dnia naszego pobytu w Santiago, kiedy schodziliśmy z góry La Gran Piedra, wznoszącej się na wysokość zaledwie 1200 m n.p.m., a mimo to dającej wrażenie, jak gdyby stało się na dachu świata, Alfredo zachwycił się pięknem intensywnie zielonego, niczym nie przesłoniętego lasu, po czym cisnął między drzewa pustą butelkę po wodzie.

Przed chwilą zboczyliśmy nieco ze szlaku, żeby uciec przed hordami turystów płynącymi w dół ze szczytu, więc tylko Amy i ja byłyśmy świadkami tego, co zrobił Alfredo. Wydało mi się to tak absurdalne, zważywszy, jakie peany wygłaszał przed chwilą w obronie dzikiej natury, że przez chwilę nie potrafiłam wydusić z siebie słowa.

Zauważyłam jednak identyczny wyraz zdumienia na twarzy Amy i postanowiłam zareagować. Podniosłam butelkę, którą wyrzucił Alfredo, i wręczyłam mu ją z powrotem.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytałam.

- A co miałem z nią zrobić? - odparł, przyglądając się obojętnie pogniecionej, zakurzonej butelce. - Miałem ją znieść z tej góry do taksówki, a potem jeszcze trzymać w autobusie?

- Nie można tak po prostu wyrzucać pod nogi śmieci, zwłaszcza w lesie - powiedziałam, szukając wsparcia w oczach Amy, która pokiwała głową. - Trzymasz je tak długo, aż znajdziesz gdzieś w pobliżu kosz.

- Ale tutaj nigdzie nie znajdę kosza - zdenerwował się Alfredo, rozglądając się wokół. Mała, kręta ścieżka, którą schodziliśmy, była pusta, z wyjątkiem maleńkiej szkoły z jedną klasą, w której dzieci bawiły się razem z kurczakami na powierzchni wielkości warzywnego ogródka.

- Gdybyśmy byli na szlaku, to co innego - dodał.

- Jak to? - zdziwiłam się.

- Nie zauważyłaś, że władze ustawiają kosze nie dla Kubań-czyków, tylko dla

turystów? - odparł, a ja poczułam, jak z każdym kolejnym słowem wzbiera się w nim gniew. - Nie dotarło jeszcze do ciebie, że ten kraj, za którego wolność życie oddało tylu santiagueros, stał się własnością turystów?

- Pere no tiene sentido - powiedziałam, co znaczyło mniej więcej „Co ma piernik do wiatraka?”. Niedawno nauczyłam się tego powiedzenia i od tej pory często wykorzystywałam je w kłótniach z Alfredem. - To źle, że nie ma koszy dla Ku-bańczyków, ale to cię nie usprawiedliwia. Rzucając śmieci pod nogi, niszczysz tylko środowisko naturalne.

- Proszę - Alfredo wręczył mi z powrotem butelkę. - Jeśli tak ci na tym zależy, ponieś ją sobie sama.

- Świetnie - odparłam ze złością. - Zawsze tak robię w czasie podróży, gdy nie mogę znaleźć kosza na śmieci.

- Och - za sprawą mojej odpowiedzi Alfredo doznał czegoś na kształt olśnienia. - I o to właśnie tu chodzi. Ty jesteś turystką, a ja Kubańczykiem.

- Alfredo, nie sprowadzaj wszystkiego do polityki.

- A kto mówi o polityce? Ja jej nie cierpię - obruszył się.

- Poddaję się - powiedziałam po angielsku. Amy roześmiała się, a Alfredo wymamrotał coś pod nosem, co zabrzmiało, jak popularne w jego ustach słówko Americanos.

## Rozdział XV

### El Bloquelo InternaI

Wracaliśmy do Hawany w błyszczącej klimatyzowanej toyocie, za kierownicą której siedział Ralph, nowojorski taksówkarz o izraelskich korzeniach, którego poznaliśmy w Santiago. Ralph przyjechał na Kubę pod wpływem przelotnego kaprysu, skracając dwutygodniowe wakacje na Jamajce tylko dlatego, że ktoś powiedział mu, że znajdzie tu „dobrą trawkę”. Przekonawszy się, że na Kubie trudno jest znaleźć nawet „kiepską trawkę”, Ralph - lub El Loco, jak ochrzcił go Alfredo - chciał wracać. Zaproponował, byśmy wynajęli wspólnie samochód w drodze powrotnej do Hawany, a my zgodziliśmy się na tę propozycję bez wahania, mając w perspektywie niezbyt przyjemną podróż kolejną rozklekotaną i zapoconą taxi particular lub równie mało pociągający maraton autobusowy.

Dzięki temu, że zakupiliśmy za 30 dolarów pełen bak czarnorynkowej benzyny, która po kilku przejechanych kilometrach okazała się w połowie chrzczona wodą, pozostała część naszej dwudniowej podróży minęła bez incydentów. Pędziliśmy wzdłuż gajów ananasowych i płonących plantacji trzciny cukrowej, które wypalano w celu użyczenia gleby pod zasiew nowej, jeszcze słodszej. Kiedy bezludne pola ustępowały miej-SCa małym miasteczkom, Ralph zaciągał się cygarem i przez otwarte okno krzychał w stronę mijanych ludzi i bezpańskich Psów: - Cuba Libre!

Alfredo od czasu do czasu przyłączał się do tej „zabawy”, podczas gdy Amy, podskakując na wybojach, starała się przespać całe przedstawienie. Nie licząc jej chrapania, cała scena przypominała mi pewien czarno-biały filmik, który widziałam w kubańskiej telewizji - Fidel Castro, jadący na czołgu w styczniu 1959 roku, pozdrawia tłumy skinieniem dłoni w czasie trwającej 5 dni zwycięskiej parady, która odbywała się na drodze z Santiago do Hawany.

Zazdrościłam Amy, że potrafi spać wśród wrzasków Ralpha, ale za każdym razem, gdy sama próbowałam zmrużyć oczy, jego krzyki stawiały mnie na równe nogi. Gapiłam się więc bezmyślnie przed siebie, starając się nie zwracać uwagi na panujący w aucie jazgot.

- Cały czas zachowujesz się tak - skonstatował Ralph, widząc, że wpatruję się w czyste, bezchmurne niebo - jak ja, gdy jestem na haju.

Kiedy zajechaliśmy pod drzwi hawańskiego biura wypożyczalni samochodów Panautos, Ralph - który następnego dnia odlatywał na Jamajkę - pożegnał się z nami słowami: - Jutro o tej porze będę siedział w klimatyzowanym hotelu i jarał wielkiego jointa.

Patrzyłam za nim, jak zniknął za zakrętem Malecónu, w którym odbijały się błyszczące promienie popołudniowego słońca. Po promenadzie spacerowały młode pary, obok dreptali zmęczeni życiem starszanki, dzieciaki skakały na skakance. Wszyscy, poza Ralphem, zmierzali w swoją stronę bez pośpiechu. Tuż obok zawarkotał samochód, wyrzucając z rury kłęby błękitnych spalin. Alfredo, będąc świadkiem tej sceny, podniósł do góry ręce i zacisnął je, jakby chciał zatrzymać zanieczyszczone powietrze tylko dla siebie.

- La Poma! - zawołał z czułością, wymieniając jedną z potocznie przyjętych nazw Hawany. - Jak mnie brakowało tego skażenia!

Wybuchnęłam śmiechem, a Amy zaczęła wachlować sobie twarz dłońmi, starając się rozwiać unoszący się w powietrzu tłusty osad.

- Nie mogę uwierzyć, że w końcu wróciliśmy - cieszył się dalej Alfredo. - Mam wszystkim tyle do opowiedzenia. Najpierw odwiedzę babcię, a potem - uśmiechnął się szatańsko - założę swój kapelusz guajiro z Santiago i pójdę tak do teatru. Ludzie oszaleją.

Obraz Alfreda wkraczającego do przyćmionego klimatyzowanego gmachu teatru w słomkowym kapeluszu z wielkim rondem wywołał u mnie salwę śmiechu.

- Baw się dobrze - powiedziałam. - I ucałuj ode mnie babcię.

- Dobra - Alfred zarzucił na ramię swój marynarski worek. Stał przez chwilę, jakby wahał się, co ma powiedzieć. - Czyli... mogę do ciebie zadzwonić wieczorem i pójdziemy na spacer?

- Pewnie, brzmi nieźle - powiedziałam, choć tak naprawdę poczułam się dziwnie. Takie nocne spacerki, poprzedzone telefonami, były dla nas czymś normalnym, odkąd zamieszkałam u Dinory. Ale teraz, biorąc pod uwagę intymny charakter naszych kontaktów i ostatnie dwa tygodnie, które spędziliśmy ze sobą, umawianie się przez telefon na randkę wydawało mi się trochę sztuczne. Jak krok wstecz - od mieszkania z chłopakiem do umawiania się z nim na mieście. I bałam się, że bez tych niekończących się nocy, podczas których dyskutowaliśmy o wszystkim, zanim zasypialiśmy wtuleni w siebie, stracimy to uczucie wzajemnego zrozumienia, które udało nam się wypracować w trakcie naszej podróży.

Kilka przecznic od miejsca, w którym się rozstaliśmy, pochłonał mnie znajomy chaos ulicy Animas - skupiłam się na Pozdrawianiu sąsiadów i unikaniu nadlatujących papierowych Piłek do baseballa, w który grali młodzi chłopcy.

Wyobrażałam sobie podniecenie na twarzach Dinory i Abu-eh, kiedy zobaczą mnie z Amy. Cieszyłam się na to popołudnie ~ będziemy siedzieć w chłodnym salonie i wspominać nasze Przygody.

Ale kiedy przyjechałyśmy do Dinory, na balkonie zastałyśmy nie Abuelę, lecz Nitę, a

drzwi otworzyła nam Marta - sprzątaczką. Wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do salonu, w którym panowała kompletna cisza i było w nim mniej ludzi, niż kiedykolwiek wcześniej.

- Z Abuelą nie jest dobrze - poinformowała nas Marta. Do pokoju z balkonu weszła Nitza - wyglądała na zmęczoną i zmartwioną.

- Mama jest u niej w szpitalu - powiedziała. - Ja nie mogłam pójść, bo czekam na Reya, który odwiezie mnie na lotnisko. Za trzy godziny mam lot do Meksyku. Ojciec już tam jest od tygodnia, a jutro musi lecieć na kolejny tydzień do Chile.

- Co jest Abueli? - spytałam.

- Dokładnie nie wiemy - powiedziała Marta. - Wszystko stało się tak nagle. Któregoś dnia siedziała jak zwykle w swoim bujanym fotelu i oglądała telewizję, ale kiedy przyszedłam jej pomóc przejść do kuchni na obiad i wzięłam ją za rękę, była zimna jak lód. Powiedziała, że czuje się zdrętwiała i kręci jej się w głowie.

- To problemy z ciśnieniem - wyjaśniła Nitza.

- Jak długo jest w szpitalu? - spytała Amy.

- Mniej więcej tydzień. I codziennie pyta, kiedy wróciacie. - Nitza spojrzała na zegarek.

- Powinnyście ją odwiedzić. Została jeszcze godzina na wizyty.

Rzuciłyśmy więc nasze bagaże w pokoju i wróciłyśmy na ulicę. Przeciskałyśmy się przez zatłoczone Centro Habana, aż w końcu dotarłyśmy do imponującego mlecznożółtego gmazyska szpitala Hermanos Ameijeiras, który widziałam rano i wieczorem z okna łazienki, w której brałam prysznic.

Weszłyśmy do środka od ulicy San Lázaro i stanęłyśmy w kolejce do windy, podobnej do tej, która ustawiała się do Coppellii po lody. Jednak w tym przypadku kolejka przesuwała się trochę szybciej, a i nastrój dość niespodziewanie był jakby bardziej odświętny - ludzie ściskali w rękach przenośne magnetofony i balansujące talerze z dymiącym jedzeniem, które przyciskali do piersi za każdym razem, gdy otwierały się drzwi i wchodzili do windy.

Po kilku takich rundach udało nam się wreszcie wejść do windy i wjechać na 20. piętro, gdzie wylądowałyśmy - jedyne z pustymi rękami - w jednym z obskurnych, niczym nie wyróżniających się szpitalnych korytarzy.

Abuela leżała w sali numer 54, razem z trzema innymi kobietami. Dwie z nich były czarne, a jedna biała. Dwie młode, trzecia stara - mniej więcej w wieku Abueli. Wyglądało to tak, jakby szpital z góry zaplanował i wymieszał swoich pacjentów pod względem rasy i wieku.

Każde łóżko było oddzielone parawanem podobnym do tych, jakie widziałam w



Stanach. Tutaj parawany były odsłonięte, a każdy z pacjentów miał własną, kolorową pościel. Abuela jako jedyna miała mały telewizorek, który grał cicho, mimo że gwar w pokoju był tak wielki, jak gdyby kilka dużych odbiorników włączono na cały regulator. W pokoju kłębili się goście, rozmawiając wszyscy ze wszystkimi, tak że miałam problem z odróżnieniem, kto do kogo przyszedł.

Abuela spała i Dinora delikatnie szturchnęła ją, machając w naszą stronę.

- Zobacz, kto przyszedł - powiedziała do Abueli.

Abuela zamrugnęła oczyma, a potem spojrzała na nas i wymamrotała szybko kilka zdań, z których nie zrozumiałam ani słowa.

- Mimi, musisz mówić do dziewczyn trochę wolniej - powiedziała Dinora, na co Abuela tylko się uśmiechnęła. Sięgnęła ręką ponad talerzem z fasolą i ryżem, żeby dotknąć Amy, która pocałowała ją w policzek.

- Jak się pani miewa? - spytałam.

- Dobrze - uściśnęła mi lekko rękę zabandażowaną dłonią, a potem znów wymamrotała coś niezrozumiale.

- Abuela mówi, że czuje się lepiej i być może za kilka dni będzie mogła wrócić do domu - pospieszyła z pomocą Dinora. Potem, zniżając głos, powiedziała prawie szeptem: - Szczerze mówiąc, moim zdaniem, mogłaby już wrócić kilka dni temu. Niedługo miną dwa tygodnie, odkąd tu leży, a wszystko to z powodu niewielkich problemów z krążeniem.

~ Jeśli jest tak jak mówisz, to dlaczego lekarze trzymają ją w szpitalu? - spytałam.

~ Mówią, że chcą mieć pewność, chcą ją jeszcze zostawić na obserwacji - odparła z irytacją w głosie.

Pomyślałam o kilku moich wizytach w amerykańskich szpitalach, w których nacisk kładzie się na to, by wypuścić pacjenta jak najszybciej.

- To chyba nic złego, że chcą ją mieć na oku - powiedziałam.

- I tak, i nie - Dinora wydawała się znużona tą rozmową.

- No es facil, Lea. To nie takie proste.

- Co masz na myśli?

- Mam z tego powodu mnóstwo pracy i same wydatki. Po rozpadzie Związku Radzieckiego szpitale przeżywały wielki kryzys. Żaden z nich nie został zamknięty, ale teraz nie mają nic. Wszystko, co tu widzisz, musiałam przynieść sama - telewizor, jedzenie, nawet pościel i ręczniki.

- Pacjenci muszą sami przynosić sobie jedzenie do szpitala? - zdziwiłam się.

- Nie muszą - Dinora z obrzydzeniem zatkała nos - ale szpitalne jedzenie jest tutaj tak

obrzydliwe, że nikt nie chce go jeść.

- Tak samo jest w USA - powiedziałam.

- Tak, ale tam przynajmniej każdy ma samochód, żeby je sobie przywieźć.

- W Stanach ludzie rzadko przywożą jedzenie do szpitali.

- Tak? - zdziwiła się Dinora. - A dlaczego?

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami, szukając wsparcia w oczach Amy.

- Może to jest zabronione? - zasugerowała moja przyjaciółka.

- A może ludzie są po prostu zbyt zajęci - dorzuciłam. Dinora spojrzała na nas z podejrzliwym wyrazem twarzy, jak gdyby badała pozaziemską formę życia. Ale zaraz potem wróciła do swojej historii:

- Trzy razy dziennie muszę dowozić Abueli posiłki brudnymi ulicami. Robię, co mogę, by się nie potknąć, a jednocześnie dowieźć jedzenie jeszcze ciepłe - Dinora przerwała na chwilę» by spojrzeć na swoją matkę - inaczej go nie zje.

Abuela zamachała gwałtownie obandażowaną ręką, co z Początku wzięłam za oznakę gniewu wymierzonego w Dinor?'

Wtedy zobaczyłam, że do pokoju wszedł Dairon, były chłopak Nitzy.

- Czy on się opiekuje Abuelą? - spytałam, mając w pamięci opowieść Dinory o tym, jak Nitza ostatecznie zerwała z Dairo-nem, ponieważ nie stać go było na nic z lekarskiej pensji.

- Nie, Dairon przyszedł tylko z wizytą - wyjaśniła Dinora, wręczając mu kartkę papieru wielkości karty kredytowej. - Teraz jest przerwa.

- Jaka przerwa? - spytałam.

- Ten papier upoważnia jedną osobę do przebywania z Abuelą przez cały czas, nawet po godzinach odwiedzin - powiedział Dairon. - Spędzę więc tutaj noc.

- Naprawdę? A gdzie będziesz spał? - w sali było kilka krzeseł, za to ani jednego dodatkowego łóżka.

- Dairon będzie spał ze mną - odezwała się Abuela, poklepując łóżko zdrową ręką. - Co straciła Nitza, ja zyskałam.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem, zauważyłam jednak, że na dźwięk imienia Nitzy śmiech Dairona jakby się załamał i zabrzmiał nieco fałszywie, jak śpiew tenora, który nagle zapomniał o górnym C.

Przez kilka następnych dni widywałam Dinorę wyłącznie między posiłkami, które zawoziła matce, a nocami, które spędzała w szpitalu, podczas gdy ja szykowałam się do ostatniego miesiąca zajęć na uczelni. Dowiadywałam się o stanie zdrowia Abueli dzięki

strzępom informacji otrzymanych od Dinory, kiedy mijają mnie na ulicy, zziębnięta i bez tchu.

- Jutro zdejmują jej opatrunki - powiedziała mi któregoś Popołudnia niedaleko targu warzywnego. Stałyśmy obie, zatykając nosy przed smrodem zgniłych skórek bananów i kwaśnym odorem drożdży panaderti, dobiegającym z pobliskiego wysypiska śmieci.

- Jej ręka wraca do normalnej temperatury - powiedziała mi kilka dni później pod budką z churro przy ulico Aramburo- - Te są jej ulubione - dodała, kupując pół tuzina twardych słodkich racuchów. - Kiedy jest w domu, codziennie kupuję jej Po jednym.

W końcu, tak jak przewidywała Dinora, Abuelę wypisano ze szpitala dokładnie dwa tygodnie od przyjęcia na izbę chorych. Tego popołudnia, kiedy do domu wpadli z wizytą Dairon, El Dormido i kilkunastu innych członków rodziny i przyjaciół Abueli, w końcu udało nam się usiąść z Dinorą w salonie na piętrze i pogadać na spokojnie, tak jak to sobie wyobrażałam tuż po powrocie z Santiago w zeszłym tygodniu.

- Powiedz mi, jacy byli santiaguerost - spytała, zgodnie z moimi oczekiwaniami, Dinora. - Widziałas to, przed czym cię ostrzegałam? Czy spotkałas wielu jineteros?

- Owszem, było ich sporo w turystycznej części miasta - odparłam. - Ale my tam praktycznie nie zaglądaliśmy.

- A jak się podobało Alfredowi?

- Nie okazywał tego, ale myślę, że był zadowolony. Zaprzyjaźnił się nawet z kilkoma miejscowymi. Rodzina, u której mieszkaliśmy, też była bardzo miła. Profesorska - dodałam specjalnie z myślą o Dinorze.

- Hmm - odparła bez przekonania, po czym spytała, zmieniając nagle temat: - Czy mówiłam ci już, że w przyszłym tygodniu obchodzimy z Luisem dwudziestą piątą rocznicę naszego ślubu i chcemy z tej okazji urządzić małe przyjęcie?

Pokręciłam głową.

- Kiedy Luis zadzwonił do mnie z Chile i powiedziałam mu, że już wróciłyście, powiedział, że mam ci także przekazać zaproszenie dla Alfreda.

- Naprawdę? - odparłam, zaskoczona. Wiedziałam, że Luis i Dinora przekonali się do niego po pierwszej nocy, kiedy odwiedził mnie w ich domu. Gdy do mnie wpadał, często zapraszali go na kawę i pogawędkę. Alfredo wprawdzie nigdy nie odmówił, ale do końca pozostał ostrożny i nieufny, w dalszym ciągu uważając Luisa i Dinorę za rasistów i wyrażając się krytycznie na ich temat. Ta sytuacja sprawiała, że czułam się między młotem a kowadłem, nie wiedząc tak naprawdę, komu wierzyć.

Teraz Dinora jeszcze dołała oliwy do ognia, zapraszając Alfreda na przyjęcie i nalegając, by spędził u nas noc, kiedy przyjdzie następnym razem. Kiedy to usłyszałam,

byłam już całkowicie skołowana.

- To twój chłopak - przekonywała mnie Dinora. - I sprawia wrażenie dobrego człowieka. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa i czuła się tu jak u siebie. Wyremontowałam dodatkowy pokój obok waszego z Amy, ale nikt w nim teraz nie mieszka. Pomyślałam, że gdy tylko będzie pusty, możecie wykorzystać go z Alfredem.

- Dziękuję, to fantastycznie - powiedziałam, z jednej strony czując wdzięczność wobec propozycji Dinory, z drugiej jednak byłam nieco zakłopotana całą tą rozmową.

- Myślałam sobie, czy takie rozwiązanie zda egzamin - kontynuowała Dinora - i doszłam do wniosku, że wszystko będzie w porządku, jeśli nikt się nie dowie o naszej umowie.

- Jak to? - spytałam jeszcze bardziej zdziwiona. Zaczynało mi to przypominać sytuację z wypożyczeniem roweru w hotelu El Bosque i czekałam tylko, aż Dinora przyzna się, że zainstalowała w swoim pokoju gościnnym ukrytą kamerę.

- Gdyby ludzie się dowiedzieli, mogłyby być z tego jakieś problemy - odpowiedziała tajemniczo Dinora. Na chwilę zamilkła, po czym wróciła do tematu: - Pamiętasz, jak ci mówiłam o podatkach? Ze muszę płacić co miesiąc po sto dolarów za każdy pokój, który przeznaczam pod wynajem, nawet jeśli nikt w nim nie mieszka?

Pamiętałam.

- Pomyślałam więc sobie - powiedziała powoli - że skoro nie mam nikogo, komu mogłabym wynajmować ten pokój, nie będę go jeszcze zgłaszać.

- Możesz tak zrobić?

- Jeśli nikt się nie dowie... Gdyby więc Alfredo miał tu nocować, musiałby wychodzić z domu wcześniej rano, powiedzmy przed ósmą, tak żeby nikt go nie widział, nie zaczął spekulować i domyślać się, że mam nowy pokój.

- Czy twoi sąsiedzi wiedzą, ile masz pokoi i komu je wynajmujesz?

- Może. Nigdy nie wiadomo - powiedziała Dinora. - Wiadomo za to, choć nie jest to oficjalna informacja, że władze mają na oku Kubańczyków mieszkających w *casas particulares*.

- Dlaczego?

- Wszyscy wiedzą, że Kubańczyka nie stać na prywatną kwaterę. A to oznacza, że musi mieszkać z cudzoziemką - wytłumaczyła Dinora. - Jak już pewnie zdążyłaś się zorientować, tego rodzaju związki z całą pewnością nie są na Kubie mile widziane. Ale nie martw się - dodała niemal natychmiast. - Sądzę, że mój plan zadziała. Kiedy podróżowałaś, dużo o tym myślałam. Dobrze jest mieć o czym pomyśleć, a nie tylko zaprzętać sobie głowę

stanem zdrowia Abueli. Tak się tym wszystkim martwiłam i brakowało mi was, nie miałam z kim porozmawiać. Gdy tak z tobą teraz siedzę, czuję się spokojniejsza. I wiem, że trochę za późno na takie słowa - powiedziała, nachylając się, by mnie pocałować - ale witajcie w domu.

Niestety, spokój Dinory nie potrwał długo. Zaledwie kilka godzin później, kiedy siedziałam u siebie, odrabiając zadanie domowe, Dinora wsadziła głowę przez drzwi do pokoju. Znowy wyglądała na zdenerwowaną i zmartwioną.

- Przepraszam, Lea, jesteś bardzo zajęta? - spytała z wahaniem w głosie.

Potrząsnęłam głową i zaprosiłam ją do środka.

- Właśnie wróciłam ze szpitala z receptami na leki dla Abueli, ale okazuje się, że nie ma ich w żadnej z lokalnych aptek. Można je kupić wyłącznie w międzynarodowej aptece w Miramarze - zrobiła pauzę, by wziąć kolejny oddech. - Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś tam ze mną pojechać. Nitza dała mi pieniądze, zapłacę też za taksówkę. To naprawdę nie potrwa długo.

- Pewnie, mogę pojechać - zgodziłam się, zaskoczona potokiem słów, jaki wypłynął z ust Dinory. - Ale do czego właściwie jestem ci potrzebna?

Dinora wyjrzała przez zasłonięte żaluzjami okno, z którego rozpościerał się widok na dachy Centro Habana, po czym westchnęła ciężko.

- Kubańczykom nie wolno kupować leków w międzynarodowych aptekach - powiedziała. - Mogę pójść tam z tobą, ale to ty musisz wręczyć pieniądze aptekarzowi.

- Jesteś pewna? - spytałam. - Dlaczego lekarz miałby przepisywać leki, których nie wolno ci kupić?

- Bo właśnie tego leku potrzebuje Abuela. Poza tym, wszyscy wiedzą, że na Kubie zawsze znajdzie się jakiś sposób.

Apteka mieściła się w małym, niepozornym, szarym budyńeczku przy ulicy Avenida 41. Przed wejściem obleciał mnie strach, za to Dinora wyglądała na pewną siebie. Weszła do środka i od razu zwróciła się do stojącej za ladą farmaceutki. Bez wahania wręczyła jej receptę i wskazała na mnie:

- Ta dziewczyna chce zrealizować receptę - powiedziała, a ja zrozumiałam, że mam w tej historii odegrać nie mówiącą po hiszpańsku turystkę, która zaprzyjaźniła się z uczynną Kubanką. Farmaceutka skinęła głową i poszła na zaplecze po lekarstwo. Wtedy Dinora ukradkiem przekazała mi pod ladą pieniądze. Zacisnęłam palce na banknocie i starając się zachowywać zupełnie swobodnie, oglądałam zawartość stojącej przede mną szklanej witryny. Były w niej wszystkie higieniczne, kosmetyczne i dentystyczne dobra, których nie widziałam, odkąd opuściłam Stany Zjednoczone - wszystkie dużo droższe niż w Ameryce. Była tam

między innymi nić dentystyczna za 5 dolarów, pudełko tamponów za 10 dolarów i malutka tubka kremu przeciwsłonecznego za 14 dolarów. Szczególne pożądanie budziła we mnie nić dentystyczna - swoją zużyłam tydzień wcześniej. Ale kiedy przypomniałam sobie o szpulce zwykłych nici, których Dinora sporadycznie używała do czyszczenia zębów, poczułam, że byłby to zbyt ekstrawagancki zakup.

Moje dywagacje przerwał powrót aptekarki, która oznajmiła, że przepisane lekarstwo kosztuje 20 dolarów. Otworzyłam dłoń i z ulgą zobaczyłam twarz Andrew Jacksona, spoglądającą na mnie z dwudziestodolarowego banknotu, który położyłam na ladzie.

Po chwili byliśmy już z powrotem na ulicy, próbując złapać taksówkę do domu. Dinora narzekała na upał i nieustający ból stopy, jak gdyby zapomniała już o całej scenie w aptece.

W drodze powrotnej Dinora była wyjątkowo milcząca, a ja starałam się powstrzymać zżerającą mnie ciekawość, dotyczącą tego, co się stało w aptece, nie praktykowałam bowiem takich rozmów w obecności obcych.

- I co o tym myślisz? - spytałam, kiedy byliśmy już w domu. Dinora stała przy zlewie, napełniając wodą swoją różową plastikową miskę do pedicure, w której moczyła stopy. - Nie było tak źle, prawda?

- Nie - powiedziała. - Tutaj takie rzeczy przeważnie się udają. Męczące jest wszystko to, co ma miejsce wcześniej. Cały czas musisz być gotowa, żeby wymyślić, a potem udoskonalić i wprowadzić w życie swój plan.

- Ale dlaczego tak jest w przypadku aptek? Dlaczego Kubańczycy nie mogą normalnie kupować tam leków?

- Wiem, że to pewnie brzmi dla ciebie okropnie - odpowiedziała, przenosząc miskę do salonu, gdzie usiadła na kanapie i zanurzyła stopy w parującej wodzie. - Przez jakiś czas też tak do tego podchodziłam, zwłaszcza że przed rozpadem ZSRR wszystko wyglądało inaczej. Ale teraz na pierwszym miejscu jest turystyka. Do tego dochodzi amerykańskie embargo, przez które Kubańczycy nie mogą dostać większości potrzebnych im leków. Dlatego władze robią wszystko, żeby te zapasy leków, które nam jeszcze zostały, były dostępne dla odwiedzających nas turystów. Kto by tu przyjechał, wiedząc, że w razie choroby nie będzie miał jak ich kupić?

- A co z Kubańczykami? Nie powinniście być na pierwszym miejscu?

- Teoretycznie tak. Ale pieniądze, które zostawiają tu przyjezdni, są najważniejszym zastrzykiem finansowym dla naszego szkolnictwa i służby zdrowia. Zobacz, moja matka spędziła dwa tygodnie w szpitalu, otrzymując na miejscu świetną opiekę medyczną i nie

zapłaciliśmy za to nawet jednego peso.

Zaskoczyło mnie, jak szybko Dinora zapomniała o swojej krytyce pod adresem lekarzy, którzy rzekomo zbyt długo trzymali Abuelę w szpitalu.

- Ale kiedy Abuela wróciła do domu, na jej tygodniowe leczenie trzeba wydać więcej, niż większość Kubańczyków zarabia w miesiącu - powiedziałam, prowokując w ten sposób Dinorę.

- Masz rację - moja rozmówczyni nieoczekiwanie zmieniła punkt widzenia. - Można by więc powiedzieć, że na Kubie obowiązują dwa embarga - un bloquelo external y un bloquelo internal.

- Czy Nitza mogłaby wypisywać recepty i przynosić do domu lekarstwa, gdyby była lekarką? - spytałam.

- Gdyby faktycznie nią została, nie stać by jej było na tak drogie medykamenty - powiedziała Dinora, wybuchając krótkim, nerwowym śmiechem. - Oprócz Abueli, to był mój kolejny powód do zmartwień podczas waszej nieobecności.

To mówiąc, wyjęła stopy z miski i położyła je na wyłożonym ręcznikiem podnóżku. Nadal ze mną rozmawiając, zaczęła robić sobie pedicure. Od tej pory naszej konwersacji towarzyszył delikatny dźwięk obcinacza do paznokci: klik-klak.

- Kiedy was nie było - ciągnęła dalej Dinora - Nitza dostała telefon z propozycją pracy w służbie zdrowia - zrobiła w tym miejscu dramatyczną pauzę, wpatrując się we mnie pytającym wzrokiem.

- I co z tego? - spytałam, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Jak to, co z tego? - powtórzyła Dinora. - To z tego, że te wszystkie telefony zadrezczają Nitzę, która nie obrała jeszcze drogi swojej kariery zawodowej.

- Myślałam, że już się zdecydowała. Przecież pracuje jako stewardesa.

- No tak, ale to ma sens wyłącznie z ekonomicznego punktu widzenia. W końcu ta sytuacja będzie musiała ulec zmianie. Nitza znów zapragnie zostać lekarzem, ponieważ było to zawsze jej marzenie. Ale na Kubie funkcjonuje prawo, zgodnie z którym, jeśli nie będziesz pracować przez pięć lat w swoim zawodzie, odbiorą ci tytuł.

- A gdyby Nitza rzuciła teraz swoją pracę jako stewardesa i zaczęła leczyć? Czy z pensją Luisa i pieniędzmi z wynajmu Pokojów nie dalibyście sobie rady? - spytałam.

- Gdyby Nitza została lekarzem - odparła bez cienia zastanowienia - nie mielibyśmy teraz telewizora ani dobudowanego drugiego piętra domu. Ciebie też by tu nie było. Teraz Nitza może podróżować i zwiedzać świat. Lekarzom nie wolno opuszczać Kuby.

- A co z tymi, którzy są wysyłani za granicę?

- Jadą tam tylko i wyłącznie do pracy. Muszą się stawić z powrotem natychmiast po zakończeniu stażu czy praktyki. Chcę, żeby Nitza była wolna i miała lepsze życie niż ja w jej wieku.

- Myślisz, że jej się to uda? - spytałam.

- Już jej się udało - odparła z przekonaniem. - Układało jej się w życiu znacznie lepiej niż mnie przed Rewolucją. Miała wszystko - miłość, ciuchy, jedzenie. Jest wykształcona. Podobnie jak jej rodzice. Gdybym ja miała kogoś, kto pokierowałby moim życiem tak jak ja pokierowałam życiem Nitzy, może moje własne życie potoczyłoby się inaczej. Może zamiast iść na politechnikę, studiowałabym literaturę. Wszystko, czego w życiu dokonałam, dokonałam sama.

- A jak wygląda jej obecne życie?

- Czasem myślę, że całkiem nieźle. Nitza widziała więcej świata niż ja kiedykolwiek zdołam zobaczyć. Ma pieniądze i może robić, co chce. W zeszłym tygodniu dostała nawet pozwolenie na kupno samochodu za kilka lat. Ale przychodzą też takie chwile, kiedy myślę tylko o tym, że Nitza od dziecka chciała zostać lekarzem. Wtedy nie wiem już, co mam myśleć, ani co mam robić. Nic już nie wiem.



## Rozdział XVI

### Kubański Kopciuszek

Mniej więcej tydzień po powrocie Abueli do domu i dwa tygodnie przed moim wylotem do Stanów, życie na Kubie wróciło do normy - słodkiej stagnacji. Jediną zmianą, jaką zauważyłam, było to, że w całym mieście zniknęły pomidory. W pustych czerwonych skrzynkach na targowisku piętrzyły się teraz stosy awokado - tak dużych i gładkich, że z trudem rozpoznałam owoce, z których robiłam w Kalifornii sos guacamole.

W ten sam prosty, naturalny sposób, w który wiosna zmieniała się w lato, a wraz z nią nastął czas nowych warzyw i owoców sezonowych, zauważyłam subtelną zmianę w sobie. Kiedy pewnej nocy Alfredo i ja zapadaliśmy w sen w pokoju gościnnym Dinory, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy w odpowiedzi na tradycyjne „I love you” Alfreda, zareagowałam nie jak dotychczas - mamrocząc pod nosem „Mmm...”, po którym następował przyjacielski uścisk - lecz słowami: „Ja też cię kocham”.

W którymś momencie, gdzieś między naszą podróżą do Santiago i chwilą obecną, w której martwiłam się o to, jak Przewieźć Abuelę ze szpitala do domu, i o wiele podobnych spraw, zakochałam się w Alfredzie.

Kochałam jego wrażliwość, którą manifestował zarówno poprzez swoje emocje, jak i w podejściu do polityki oraz Świata, w którym żył. Kochałam jego delikatne ciemnobrązowe powieki, kiedy spał. I chociaż z początku strasznie mnie to irytowało, z czasem pokochałam także otwartość, z jaką dawał wyraz swoim emocjom, nie bacząc na to, czy w ten sposób się odsłoni i stanie się bezbronny. Dzięki niemu zapraǳnęłam żyć z większą odwagą.

Przez kilka pierwszych dni po tym, jak powiedziałam Alfredowi, że go kocham, wydawało mi się, że nieschodzący z jego twarzy uśmiech i intensywność tych emocji w zupełności nam wystarczą. Ale potem - w mało wyrafinowany sposób - uświadomiłam sobie, że pomimo tych wszystkich truizmów i tekstów piosenek, w których świat wygląda idealnie, miłość nie zawsze wystarczy. A już z pewnością słowo „miłość” nie było synonimem zgodności.

Nasz związek przypominał mi tango, w którym za każdym razem, gdy stawaliśmy naprzeciw siebie, następował krok wstecz. Gdyby jakiś choreograf rozpiisał to na poszczególne sceny, nasze stosunki wyglądałyby tak: kłótnia, zranienie, wycofanie, zbliżenie, ostra dyskusja, spokojna dyskusja, uspokojenie, a potem wszystko od nowa.

Czy moja niezdolność do zrozumienia Alfreda - a przynajmniej do przewidzenia, jak

zareaguje w danej sytuacji - wynikała z różniących nas języków i kultur? Może winą należało obarczyć różne klimaty, z których pochodziliśmy, i odmienny kolor skóry? A może chodziło o całkowicie nieprzystające do siebie środowiska ekonomiczne i polityczne, z których się wywodziliśmy? Lub po prostu - o zderzenie dwóch różnych osobowości?

Ponieważ potencjalnych powodów fiaska naszej wzajemnej komunikacji było zbyt wiele, postanowiłam wyeliminować jedyny taki powód, nad którym miałam kontrolę - mój udział w naszych kłótniach. Przez jedną noc postanowiłam, że będę ustępować Alfredowi, zakładając, że wszystko, co robi, bierze się z jego dobrych intencji. Przede wszystkim chciałam mu pokazać, że go rozumiem, i zobaczyć, do czego nas to doprowadzi na zakończenie nocy.

Wieczór, który wybrałam za cel mojego eksperymentu, był jednocześnie dniem urodzin mojej austriackiej koleżanek z kursu, która spytała mnie, czy nie chciałabym spędzić tego wieczoru na Małecónie, świętując z jej przyjaciółmi. Kiedy zadzwoniłam do Alfreda do pracy, żeby spytać, czy pójdzie ze mną, zawahał się, a potem spytał, czy będzie jedynym Kubańczykiem na imprezie.

- Jestem przekonana, że Barbara ma tutaj wielu przyjaciół - powiedziałam - a nawet jeśli nie, to na pewno ucieszy się z twojej obecności. Ale to twoja decyzja - cokolwiek postanowisz, zrozumieć to.

- Przyjdę - w jego głosie nie usłyszałam żadnych zastrzeżeń.

- Chcę być z tobą.

Uśmiechnęłam się, odkładając słuchawkę. Noc już na samym początku zapowiadała się dobrze. Zastanowiłam się, jak wielu z naszych wcześniejszych kłótni dałoby się uniknąć, gdybym była bardziej wyrozumiała dla Alfreda i jego obaw.

Wśród przyjaciół Barbary było także dwóch innych Kubańczyków i widziałam, że Alfredo dobrze się bawi, kiedy siedzieliśmy na Małecónie i rozmawialiśmy. Lecz gdy tylko słońce zaszło i Barbara zaproponowała, byśmy poszli coś zjeść, Alfredo natychmiast się zjeżył.

W czasie naszej podróży do Santiago Alfredo, nie mając możliwości powrotu do babci na darmowy obiad, stopniowo pokonywał w sobie wstyd, który odczuwał za każdym razem, gdy to ja płaciłam w knajpie za jedzenie. Ale tego wieczoru, w państwowej restauracji Hanoi, która serwowała ryż z fasolą i pieczonym kurczakiem, wyglądającym zdecydowanie bardziej kubańsko niż wietnamsko, Alfredo siedział na swoim krześle jak na szpilkach, bezmyślnie przeglądając menu. Nawet w przeliczeniu na peso tutejsze dania kosztowały co najmniej tyle, ile Przeciętny Kubańczyk zarabiał w ciągu dwóch dni.

Spojrzałam na pozostałą dwójkę Kubańczyków, żeby zobaczyć ich reakcję, ale - ku mojemu zaskoczeniu - obaj wydawali się niewzruszeni. Zamówili swój posiłek tak jak wszyscy, a kiedy kelner przyniósł rachunek, który został podzielony między Wszystkich obecnych, kontynuowali swoją rozmowę z Barbarą. Jak gdyby wyjście na kolację w urodziny przyjaciółki było tutaj czymś absolutnie normalnym. Z kolei Alfredo jadł w milczeniu, spuszczać wzrok, gdy na stole pojawił się rachunek.

Chociaż nie byłam tym zaskoczona i do pewnego stopnia podziwiałam jego dumę, czasami wolałabym, żeby nie brał tak wszystkiego do siebie. Ale dzisiaj nie zamierzałam zwracać mu na to uwagi.

Po kolacji jeden z przyjaciół Barbary kupił butelkę rumu i wróciliśmy na Malecón, gdzie obserwowaliśmy, jak młody chłopak z wędką wpatruje się z uwagą w głęboką, czarną toń oceanu.

- Oye, socio! - zawołał Alfredo. - Złapałeś już coś?

Chłopiec potrząsnął głową i podszedł do nas. Z bliska wydawał się jeszcze młodszy i mniejszy niż z oddali. Na głowie miał podartą baseballówkę, a pod oczami głębokie worki.

- Nic jeszcze nie złapałem, ale mam przed sobą całą noc - powiedział, chichocząc pod nosem. Wyglądał jak stary człowiek, który od wielu dni nie zaznał snu.

- Łowię codziennie do szóstej rano - pochwalił się. - Potem wracam do domu, śpię przez godzinę i wstaję do pracy w fabryce cementu.

- A co ze szkołą? - spytałam, lustrując go sceptycznym wzrokiem. Historia tego malca wydała mi się równie zmyślona, jak opowieści o wykorzystywaniu do pracy dzieci za czasów Batisty.

- Szkoła? - zdziwił się chłopiec. - Nie mam czasu na szkołę. Jestem najstarszy z czwórki dzieci i muszę pomagać w utrzymaniu rodziny.

- Pobrecito - odezwał się Alfredo, kiedy chłopiec wrócił na swój samotny posterunek nad brzegiem morza, niedaleko kiosku, w którym sprzedawano piwo, lemoniadę i papierosy cudzoziemcom.

- Wierzycie w to? - spytałam z niedowierzaniem.

- Ja tak - przyznał szczerze Alfredo. - Życie tutaj to ciężki kawałek chleba, Lea.

Potem rzucił spojrzenie w stronę kiosku i spytał: - Masz jakąś kasę? Daj mi, kupię chłopakowi coś do picia.

Wręczyłam mu dolara i patrzyłam, jak kupuje małemu rybakowi lemoniadę, klepiąc go z czułością po zniszczonej czapce.

Uśmiechnęłam się do niego, gdy wrócił, ale Alfredo spojrzał na mnie przez chwilę,

jakby mnie nie poznawał.

- Dlaczego nie nosisz mojego naszyjnika? - spytał raptem. Na pierwszą „rocznicę” - po siedmiu dniach od naszego pierwszego spotkania - przypadającą w walentynki, Alfredo podarował mi naszyjnik z koralami. Miał drugi taki sam, w którym spał i kąpał się. Ja z kolei miałam nawyk ściągania biżuterii przed pójściem pod prysznic czy do łóżka i nie zawsze pamiętałam, by założyć ją następnego dnia.

- Miałam go na sobie wczoraj - powiedziałam.

- Nie zauważyłem - odparł przytomnie. Rozejrzał się raz jeszcze wokół siebie, ale tym razem nie skupił wzroku na chłopcu łowiącym ryby, lecz na Barbarze i jej przyjaciółkach.

- Chcę wracać - powiedział.

- Dobrze - zgodziłam się, nabierając głęboki oddech, by powstrzymać wzbierającą we mnie złość. Postanowiłam jednak zachować spokój, zaczekać, aż Alfredo ochłonie, i nie dać mu okazji do wyzywania się na mnie, lecz pozwolić, by sam zastanowił się nad motywami swojego zachowania.

Podeszłam do Barbary i powiedziałam jej, że zbieramy się do domu. Alfredo siedział z boku na murku i czekał.

- Gdzie mieszkanie? - spytała Barbara.

- W Centro Habana.

- O, to świetnie, ja też! - ucieszyła się. - Pójdę z wami. Charlotte chyba też mieszka w tej okolicy.

Wkrótce okazało się, że wszyscy mieszkają w lub nieopodal Centro Habana i chcą już wracać. Pomachałam do Alfreda, żeby do nas dołączył, ale po kilku minutach, gdy szliśmy wszyscy razem, obwieścił: - Chcę, żebyśmy poszli inną ulicą, tylko we dwoje.

- Ale ja chcę wracać tędy - powiedziałam, w jednej chwili zapominając, że mieliśmy się nie kłócić.

- Dlaczego wszystko musi być zawsze tak jak ty chcesz? ~ spytał ze złością.

- Nie musi - odparłam. - Dobrze, chodźmy inną ulicą.

Powiedziałam Barbarze, że wstąpimy jeszcze do przyjaciela, który mieszka w Habana Vieja. Na szczęście, tym razem nikt z obecnych nie zaoferował się, że nas odprowadzi.

Próbując uniknąć zbliżającej się kłótni, skierowałam rozmowę na inny tor i spytałam, czy chłopiec, z którym rozmawiał Alfredo, powiedział mu, gdzie mieszka. Wyobrażałam sobie, jak śledzę go w dzień i w nocy, a potem piszę artykuł, który zatytułuję Młody człowiek i morze.

- Nie wiem, gdzie mieszka - odpowiedział Alfredo. - Wiem za to na pewno, że nigdy

wcześniej nie spotkałem osoby, która odrzuciłaby propozycję zamieszkania za darmo w moim domu, wybierając prywatną kwaterę.

- Alfredo - powiedziałam, zdziwiona, że wraca do sprawy, którą - jak sądziłam - wyjaśniliśmy sobie przeszło miesiąc temu. - Mówiłam ci już, że doceniam twoją propozycję, ale cenię sobie niezależność i nie chcę mieszkać razem z czyjąś rodziną.

- Ale kiedy podróżowaliśmy, nie miałaś takiej niezależności - zaprotestował. - W Santiago korzystaliśmy wszyscy ze wspólnej łazienki i jakoś ci to nie przeszkadzało.

- Owszem, ale tylko przez pewien czas - powiedziałam.

- Moje zaproszenie też nie było dożywotnie. Przecież nie będziesz mieszkać na Kubie wiecznie. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

Spojrzałam na Alfreda, który wpatrywał się we mnie wyzywająco.

- Może nie rozumiesz, bo nie jesteś taki jak ja - powiedziałam. - A ja nie potrafię się do ciebie zbliżyć. To właśnie odpowiadało mi u Dinory, że gdy chciałam być sama wieczorem, miałam taką możliwość.

- Jak możesz mówić, że jesteś tu niezależna?! - wybuchnął Alfredo. Staliśmy przed domem Dinory, a on gapił się z pogardą w solidne drewniane drzwi wejściowe. - Czy to nazywasz niezależnością, gdy ktoś mówi ci, że jeśli chcesz przyprowadzić na noc swojego czarnego chłopaka, to musi on opuścić dom przed ósmą, jak gdyby był dla tej rodziny powodem do wstydu?

- Alfredo, ja też nie jestem zachwycona tym, że musisz tak wcześnie wychodzić, ale to naprawdę nie ma nic wspólnego z twoim kolorem skóry. Mówiłam ci przecież, chodzi o podatki.

- Nie wiem, jaka jest twoja definicja wolności - kontynuował, jak gdyby nie usłyszał tego, co przed chwilą powiedziałam. - Ale jedyne, co widzę, to że pod pojęciem niezależności rozumiesz niezależność ode mnie i mojej rodziny.

Spojrzał na mnie raz jeszcze, po czym - ku mojemu zaskoczeniu - nachylił się i pocałował mnie w usta. Była to jednak czysta formalność, beznamiętny i rutynowy odruch, jak reakcja na stukanie młoteczką w kolano u lekarza.

- Buenas noches - powiedział i zanim zdążyłam odpowiedzieć, rozplynał się jak cień w ciemności, w której pogrążona była ulica Animas.

W domu weszłam na palcach do naszej sypialni. Amy leżała na pościeli, zwinięta w pozycji embrionalnej, opierając się o zimny metal klimatyzatora. Wzięłam swój dziennik z nocnego stolika między łózkami i poszłam do wolnego pokoju. Tutaj, siedząc na łóżku, w którym spędziliśmy z Alfredem kilka ostatnich nocy, zdałam sobie sprawę, że chociaż bardzo

mi na nim zależy i wiele razem przeszliśmy, kompletnie nie pasujemy do siebie jako para.

Zapisując tę myśl w moim pamiętniku, zauważyłam pewną prawidłowość między tym, co zaszło między nami dzisiejszego wieczoru, a tym wszystkim, co działo się od momentu, gdy Alfredo i ja poznaliśmy się przed hotelem El Bosque. Niezależnie od tego, czy dążyłam do konfrontacji z nim, czy też zachowywałam stoicki sposób, wszystkie nasze rozmowy toczyły się według określonego scenariusza i ról, jakie Alfredo przypisał nam wcześniej - ja byłam atakującą białą Amerykanką, on - atakowanym czarnym Kubańczykiem. Dotarło do mnie, że wszystko, co razem robiliśmy - kłóciliśmy się, podróżowaliśmy, spaliliśmy ze sobą - odbywało się nie na płaszczyźnie dwojga ludzi, lecz dwóch ras i dwóch narodów. Oboje byliśmy nosicielami gorzkiej, skomplikowanej historii rasizmu - skażeni międzynarodowym konfliktem, silniejszym niż każde z nas 1 starszym od nas obojga.

O 5.45, kiedy nad Hawanę zaczynało wstawać słońce, a ko-pełniący tradycyjnie wartę koło targowiska wydał z siebie pierwsze „kukuryku”, zamknęłam pamiętnik, wróciłam do sypialni, padłam na łóżko i zapadłam w długi głęboki sen. Spałam jak kamień do 2.30 po południu, kiedy obudziła mnie Amy, grzebiąca w stercie swoich brudnych ubrań.

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić - powiedziała. – o której wczoraj wróciłaś?

Kiedy opowiedziałam jej, co stało się zeszłej nocy, podeszła i usiadła przy mnie na łóżku.

- Wiesz co? - zaczęła. - Bardzo lubię Alfreda, ale zauważyłam, zwłaszcza w trakcie naszej podróży, że on... jakby to powiedzieć... patrzy na wiele spraw po swojemu. Pewnie, wszyscy tak robimy, ale Alfredo jest strasznie uparty. Może sam nie zdaje sobie z tego sprawy, w jaki sposób zachowuje się, będąc z tobą, ale wiem, że wiele razy próbowałaś jakoś to wszystko poukładać. Do naszego wyjazdu zostało półtora tygodnia - myślę, że nie warto, żebyś spędzała ten czas, walcząc z Alfredem.

Przytaknęłam, ciesząc się, że ktoś podziela mój punkt widzenia. Jednak z drugiej strony było mi trochę przykro, że Amy, która tyle wiedziała o moim związku z Alfredem, nie zaproponowała jakiegoś innego rozwiązania. Siedziałam przez chwilę w ciszy, nadal zmęczona, mimo bitych dziewięciu godzin snu. Gdy w końcu wstałam, by rozprostować kości, usłyszałam dzwonek do frontowych drzwi.

- Amy, jest Lea? - zawołała z dołu Dinora. - To Alfredito.

Opadłam z powrotem na łóżko i zakryłam głowę prześcieradłem.

- Mam mu powiedzieć, że śpisz? - pospieszyła z pomocą Amy.

- Tak, to dobry pomysł. I nie wpuszczaj go tu na górę.

- Dobrze, stanę na straży w holu - roześmiała się Amy.

Po kilku minutach wróciła z posępnym wyrazem na twarzy.

- Chciał tu koniecznie wejść - powiedziała. - Ale przekonałam go, że to nie najlepszy pomysł. Poprosił więc tylko, żebyś zadzwoniła do niego do filharmonii. Szedł właśnie do pracy-

- Tak późno? - zdziwiłam się.

- Nie wygląda! najlepiej - odparła Amy, po czym dodała miękkim głosem: - Może on też nie mógł dzisiaj spać.

Po tym, jak się umyłam i ubrałam, zaczęłam rozważać powrót do łóżka, zastanawiając się, co by się stało, gdybym wymyśliła sobie jakiś rzadki przypadek narkolepsji i spędziła resztę czasu, jaki mi pozostał do wyjazdu, w pościeli. Wiedziałam, że Dinora chętnie by się mną zajęła, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później będę musiała stanąć twarzą w twarz z Alfredem.

Usłyszałam właśnie jak Nitza, która spędzała większość dnia wisząc na telefonie, odkłada słuchawkę i popędziłam na dół, zanim Dinora wpadnie na pomysł, by zadzwonić do przyjaciółki, albo któryś z naszych sąsiadów utnie sobie godzinną pogawędkę przez telefon. Dinora pociągnęła kabel telefoniczny w ten sposób, by umożliwić korzystanie z niego także swoim sąsiadom, którym nie przydzielono jeszcze numeru. Było to, rzecz jasna, zabronione i - oczywiście - bardzo popularne na całej Kubie, gdzie stosunek aparatów telefonicznych do liczby mieszkańców - wahający się w granicach 5 aparatów na 100 mieszkańców - był jednym z najniższych w całej Ameryce Łacińskiej.

Wszystkie aparaty, podpięte skomplikowanym systemem przewodów do naszej linii, miały ten sam numer. W praktyce oznaczało to, że często któryś sąsiadów podnosił słuchawkę, by wykonać telefon w momencie, gdy ktoś inny już rozmawiał.

- Oye, estoy hablando! Hej, przecież rozmawiam! - wrzeszczałam do słuchawki, słysząc, jak ktoś równolegle wstukuje inny numer.

Posiadanie tego samego numeru wiązało się z jeszcze jedną niedogodnością - wszystkie telefony, zarówno Dinory, jak i jej sąsiadów, dzwoniły równocześnie. Podczas gdy ja często odbierałam przez pomyłkę telefon do kogoś innego, Dinora mogła się pochwalić niezwykłym darem rozpoznawania, do kogo właśnie dzwoni telefon. Wpatrywała się w aparat, wydający z siebie przenikliwy, nagły dźwięk i mówiła: - No, es para arianela.

Tym razem byłam na dole o minutę za późno. Wpadłam na Nitzę, która z wściekłością wpatrywała się w stojący na jej stoliku nocnym telefon.

- Se rompió - warknęła. - Przerwało mi w samym środku rozmowy z Reyem.

Budka telefoniczna na końcu ulicy też była zepsuta, więc - chwytając się ostatniej

deski ratunku - zapukałam do drzwi sąsiadki Dinory o imieniu Gertruda, będącej jednym z nielicznych szczęśliwców posiadających własną linię telefoniczną, która częściej działała niż była zepsuta. Był to rarytas do tego stopnia, że Gertruda uczyniła z niego sposób na negocjo, kasując od swoich mniej uprzywilejowanych sąsiadów po jednym peso za rozmowę.

Telefon Gertrudy był najmniej pożądaną przeze mnie opcją, ponieważ znajdował się w jadalni i chociaż domownicy wydawali się kompletnie niezainteresowani moimi rozmowami z Alfredem, odbywającymi się przeważnie w porze obiadu, zawsze czułam się z tego powodu skrępowana. Los oszczędził mi jednak nerwów - telefon Gertrudy też był dzisiaj zepsuty.

- Może poszłybyśmy w trójkę z Ludmiłą do kina? - zaproponowała Amy, kiedy przygnębiona wróciłam do domu. - Dzisiaj jest premiera nowego filmu Pedra Almodóvara, za pół godziny spotykamy się w Cine Yara. Na zewnątrz jest tam ściana pełna telefonów, któryś na pewno musi działać.

Niestety, wszystkie były zepsute. Nie wiedziałam nawet, czy udałoby mi się połączyć z filharmonią. Pomyślałam, że straciłam już tyle czasu w poszukiwaniu działającego telefonu, że zdążyłabym przejść się te trzy kilometry do Alfreda i porozmawiać z nim osobiście. Zastanawiałam się, czy tak nie zrobić i nie odpuścić sobie filmu, który miał się zacząć dobrą godzinę temu. Informacje o tym, co aktualnie grają w kinach na Kubie, rzadko wychodziły poza kasy biletowe, więc widzowie przychodzili o dowolnych porach. W zależności od tego, czy film miał się zacząć za chwilę, czy za godzinę, stawali od razu w kolejce po bilet albo snuli się przed kinem, czekając na kolejny seans. Równie popularne było oglądanie filmu po kawałku. Można było wejść do kina w połowie seansu i zostać na następny, żeby zobaczyć, jak się zaczął - jeśli raz kupiło się bilet na dany film, nikt nie zwracał sobie głowy wyrzucaniem cię z kina. Kiedy zrozumiałam, jak to działa, przestało mnie to irytować. Co więcej, zaczęłam nawet czerpać radość z tej spontaniczności. Ale dzisiaj moja cierpliwość była na wyczerpaniu.

Podeszłam do kolejki, żeby powiedzieć Amy i Ludmile o zmianie moich planów, ale zanim je odnalazłam, zobaczyłam nagle Alfreda, który nadchodził z naprzeciwka, kierując się wprost na mnie.

- Ale mam farta! - powiedział, uśmiechając się. - Właśnie miałem wpaść do ciebie do domu. Nie czułem się dziś najlepiej, więc wyszedłem wcześniej z pracy. Chciałem złapać autobus, ale był tak przepełniony, że zmieniłem zdanie i poszedłem piechotą. Wtedy zobaczyłem Amy z Ludmiłą i podszedłem, żeby się przywitać.

Pokiwałam głową.



- Kiedy byłem u ciebie po południu - Alfredo ciągnął dalej - myślałem, że uda nam się porozmawiać.

- Dobrze - pokazałam Amy i Ludmile, żeby szły dalej beze mnie. - Ale nie tutaj, chodźmy gdzie indziej.

Zostawiliśmy tłumy i poszliśmy na róg ulic 21. i L, gdzie staliśmy w milczeniu, nie wiedząc, co począć dalej. Mając w pamięci tamtą sytuację przed filharmonią, kiedy prawie ze sobą zerwaliśmy, widziałam teraz po twarzy Alfreda, jak bardzo był spięty.

W końcu przerwałam milczenie, wyrzucając z siebie cały gniew, który gromadził się we mnie od wczorajszej nocy, kiedy Alfredo zniszczył nasz związek, traktując mnie jak białą Amerykankę, a nie jak kobietę, którą kochał. Wrzeszczałam na niego łamanym hiszpańskim, a on tylko przytakiwał, nie przerywając mi.

- Zamiast mi zaufać i posłuchać, co naprawdę mam ci do Powiedzenia, skupiałeś się na poszukiwaniu ukrytych motywów, kierujących moim zachowaniem.

- Masz rację - powiedział wreszcie Alfredo, kiedy przerwałam, by zaczerpnąć trochę powietrza. - Wyszedłem dziś z pracy Przed czasem, bo nie dawało mi to spokoju. Spodziewałem się tego, co mi przed chwilą powiedziałaś. Kiedy leżałem wczoraj w łóżku, próbując zasnąć, zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem niedojrzały w stosunku do ciebie.

- Co sprawiło, że doszedłeś do takiego wniosku? - spytałam, wciąż nieprzejeđnana.

- Powtarzałem sobie to wszystko w głowie, twoje słowa dzwoniły mi w uszach i wiedziałem, że tak naprawdę nie słuchałem tego, co mówisz, bo zależało mi tylko na tym, by samemu mieć rację. Ale teraz mam dla ciebie propozycję. Jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, przestanę się z tobą kłócić i nie będę za wszelką cenę starał się zmienić twojego zdania. Naprawdę zależy mi tylko na tym, byśmy miło spędzili resztę czasu, jaki nam jeszcze pozostał.

- I nadal myślisz, że miałam coś przeciw twojej rodzinie, kiedy nie chciałam z nią zamieszkać? Wciąż mi nie wierzysz, jak źle i bezradnie się czuję bez odrobiny swobody? - spytałam.

- Wierzę ci - odpowiedział Alfredo. - I mam dla ciebie radę. Myślę, że powinnaś sobie czasem pozwolić na odrobinę bezradności, żeby podjąć ryzyko i spróbować nowych rzeczy, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje ci się, że będą one dla ciebie przykre czy krępujące.

- Dobrze - zgodziłam się. - Spróbuję. Ale nie chcę spędzić tych kilku ostatnich dni na kłótniach z tobą.

- Tym razem będzie inaczej. Było nam razem dobrze wtedy, gdy mówiliśmy o rzeczach takich, jakimi one są, bez zastanawiania się nad ich przyczynami. Teraz wiem, że

muszę przestać oceniać cię jako Amerykankę.

- Zgadza się - przytaknęłam.

- Ale ty także musisz przestać mnie oceniać jako Kubańczyka - dodał Alfredo.

- Kubańczyka? - zdziwiłam się. - To znaczy?

- To znaczy latino machista. Pamiętasz, co powiedziałas mi tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy się pocałowaliśmy? Staliśmy wtedy w kolejce do Coppelii, a ja powiedziałem, że pójde przekupić policjanta, żeby nas wpuścił.

- Powiedziałam „okej”. Nie wiedziałam, co się dzieje.

- Nie - Alfredo uśmiechnął się. - Najpierw powiedziałas co innego. Poprosiłem cię, żebyś z nikim nie rozmawiała, mając na myśli, żebyś nie mówiła, gdzie ani po co poszedłem. A ty potraktowałaś to jako dyspozycję wydaną przez męskiego szowinistę.

- I co powiedziałam? - wspomnienie tamtej chwili zaczęło powoli świtać mi w głowie.

- Powiedziałas, że będziesz rozmawiać, z kim zechcesz - Alfredo roześmiał się tak głośno, że prawie stracił równowagę.

Ja też wybuchnęłam śmiechem, lecz nagle Alfredo zamilkł.

- Więc jak, co ty na to? - spytał. - Spróbujemy jeszcze raz?

- Dobrze - powiedziałam - tylko...

- Tylko co?

- Tylko... bądź dla mnie dobry - wszystkie inne słowa wydały mi się w tym momencie nie na miejscu, a cały gniew, który kłębił się we mnie, gdzieś zniknął.

Alfredo zaśmiał się znowu.

- W porządku. A teraz, jeśli chcesz, zabiorę cię na drinka. Właściwie po to wpadłem dziś do ciebie. Gdybyś nie spała, zadzwoniłbym do pracy i powiedział, że jestem chory, żebyśmy mogli napić się gdzieś mojito. Popołudniami w wielu pubach można płacić peso.

- A teraz?

- Przekonajmy się - Alfredo wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w dół ulicy. - Może uda nam się jeszcze coś znaleźć. Turyści wychodzą dopiero po szóstej, a wtedy w barach zaczynają przyjmować tylko dolary.

Prychnęłam z niedowierzaniem, ale gdy tak wędrowaliśmy od jednej zadymionej knajpy do drugiej, w każdej barman potwierdzał to, co powiedział Alfredo. Za piątym podejściem Alfredo obrócił się do mnie i wzruszył ramionami w geście desperacji.

- Może po prostu pójdziemy do domu, zanim zmienisz się w pomarańczę - starałam się, by zabrzmiało to jak żart, chociaż nie znałam po hiszpańsku słowa „dynia” ani nie wiedziałam nawet, czy takie warzywo istnieje na Kubie.

- W pomarańczę? - Alfredo powtórzył bezmyślnie.

- Jak karoca w Kopciuszku - wyjaśniłam. - Jeśli nie będzie w domu przed północą.

- Wybacz - Alfredo pokręcił głową - ale kompletnie nie wiem, o czym mówisz.

Potem oparł mi głowę na ramieniu, zbyt wyczerpany, by prowadzić dalszą rozmowę.

- Nieważne - sama też poczułam ogromne zmęczenie, czując ciepły oddech Alfreda na swojej szyi. - To już nie ma żadnego znaczenia.

## Rozdział XVII

### Pożegnania i powroty

Na tydzień przed planowaną datą mojego wylotu do Stanów kupiłam bilet w dwie strony do Cancun, żeby przedłużyć wizę, zanim wyjadę z kraju.

O 8.30 w niedzielny poranek, mając przy sobie jedynie portfel, paszport i prawie nieważną wizę studencką, stałam w cieniu wyszczerbionego hiszpańskiego łuku nad Infantą i łapałam taksówkę na lotnisko Jose Martiego. Półtorej godziny później byłam już w samolocie, a w ciągu kolejnych dwóch godzin dotarłam do Cancun i czekałam w kolejce do urzędu, migracyjnego na terenie tamtejszego lotniska.

Po podstemplowaniu mojego paszportu przez niskiego, krępego Meksykanina udałam się dalej korytarzem na wprost, po czym skręciłam w lewo, gdzie czekał już na mnie sklep wolnocłowy. Wyciągnęłam z kieszeni wymiętą kartkę papieru, na której spisałam sobie listę zakupów dla wszystkich, których poznałam w Hawanie i nie tylko. Dinora poprosiła mnie o migdałowe mydło w płynie, a Ludmiła zażyczyła sobie słownik angielsko-hiszpański. Ja z kolei chciałam sobie kupić opakowanie tamponów i parę sandałów dla Alfreda. Jego siostra Potrzebowała witamin, babcia aspiryny, a jakiś obcy facet, którego poznałam, czekając na taksówkę spytał, czy nie przywiozłabym mu puszkę coca-coli.

Przez krótką chwilę, kiedy przez ogromną witrynę sklepową Patrzyłam na półki uginające się pod ciężarem towarów - widok kiedyś znajomy, a obecnie tak obcy, niemal nieprzyzwoity - poczułam zawrót głowy. Na regałach ustawionych wzdłuż ścian stały najnowsze książki najlepszych autorów i ostatnie numery grubych magazynów we wszystkich możliwych językach świata. Na środku znajdował się regał z błyszczącymi pocztówkami i odpustowymi brelokami na klucze w kształcie sombrero. Na ladzie przy wyjściu leżały kolorowe gumy do żucia i dziesiątki czekoladowych batoników do wyboru. Chciałam kupić wszystko i rozdać obcym ludziom stojącym w niekończących się kolejkach do sklepów, w których prawie nic nie było. Chciałam odwrócić się i uciec.

Rzuciłam okiem na wiszący nad głową zegar i z ulgą zdałam sobie sprawę, że ostatni scenariusz jest jedynym możliwym. Mój powrotny samolot do Hawany odlatywał już za 45 minut. Kiedy kupowałam bilet do Cancun, zaplanowałam podróż w ten sposób, by na miejscu mieć możliwie jak najmniej czasu, żeby czar Kuby nie zdążył prysnąć jak mydlana bańka.

Pobiegłam więc do bramki, wręczyłam bilet stewardowi i po chwili siedziałam już w wygodnym lotniczym fotelu. Kiedy samolot kołował na pas startowy, przypominałam sobie

reakcję Alfreda, kiedy powiedziałam mu, że zostaję na czwarty i ostatni miesiąc, gdyż muszę wrócić na odbywające się na początku czerwca w Kalifornii warsztaty dla pisarzy.

- Chcę, żebyś została dla mnie, ale nie chcę, żebyś została tylko dla mnie - powiedział. Przytaknęłam.

- Ja też tak to czuję.

- Myślę, że powinnaś wykorzystać ten miesiąc na pisanie i kontakty z tutejszymi wydawcami, zanim wrócisz do domu

- powiedział Alfredo. - A kiedy przylecisz tu z Cancun, wyobraź sobie, że to twoja pierwsza wizyta na Kubie. Pomyśl o tym jak o otwarciu nowego rozdziału.

Potem Alfredo zaoferował, że odbierze mnie z lotniska, urywając się z pracy pod pretekstem jakiejś wymyślonej choroby-

- Nigdy nie byłem na lotnisku - powiedział. - Ale będzie frajda. Ty przylecisz jak w odwiedziny, a ja będę na ciebie czekał.

- To bardzo miło z twojej strony - uśmiechnęłam się. - Ale mój lot może się opóźnić i utkniesz na lotnisku na kilka godzin.

- Nie szkodzi - Alfredo wydawał się niezrażony tą perspektywą, ale i ja byłam twarda.

- Po prostu zadzwonię do ciebie, kiedy będę u Dinory - rzuciłam od niechcenia, chociaż propozycja Alfreda wytrąciła mnie z równowagi. Widok ukochanego mężczyzny, czekającego na mnie w holu lotniska, sprawiłby mi ból.

Wróciłam do Hawany o 4.30 i pierwszą osobą, jaką zobaczyłam, była wychodząca z domu Amy. Nazajutrz miała lecieć do Stanów i przez cały tydzień zastanawiałam się, jak bez niej będzie wyglądać moje życie na Kubie - w surrealistycznym, socjalistycznym świecie, w którym odnalazłyśmy swoje miejsce. Dwie samotne Amerykanki na pozornie wrogim terenie.

- Jak się czujesz, wyjeżdżając? - spytałam, kiedy stałyśmy w cieniu balkonu Dinory.

- Trochę się boję - odparła Amy.

- Czego?

- Powrotu do amerykańskiego stylu życia. Tego, że zapomnę, jak tu jest. Nie, żeby było mi źle w domu, ale tutaj byłam taka szczęśliwa.

- Rozumiem - powiedziałam i uściskałam ją. - Ja też będę przerażona.

Amy stała przez chwilę bez ruchu, a potem spytała: - Pójdiesz ze mną kupić trochę jedzenia na moją despedidę?

Na pożegnanie Amy zaplanowałyśmy kolację w stylu amerykańskim dla naszych kubańskich przyjaciół, którzy wiecznie dopytywali się o tradycje kulinarne w Stanach. Na Kubie można było skosztować tylko miejscowych potraw, nie licząc smażonego ryżu z

kawałkami kurczaka, który na wyspę przywieźli Chińczycy. Kiedy opisałam im moje ulubione potrawy: gnocchi, burrito i wegetariańską zapiekankę z makaronem ryżowym o nazwie veggie pad thai - Kubańczycy natychmiast zaprotestowali, że żadne z tych dań nie jest amerykańskie.

~ Nie macie narodowej potrawy? - spytała mnie kiedyś Dinora.

Jedyne, co przychodziło mi na myśl, to hamburgery i hot dogi. Później, kiedy o to samo spytała mnie Ludmiła, przypomniałam sobie o klopsach. A kiedy, za sprawą rodziny Alfreda, temat pojawił się na tapecie po raz trzeci, dodałam do listy McDonalda, co wszyscy obecni przyjęli z aprobatą.

Kuba jest jedynym miejscem na Ziemi, nie licząc Antarktydy, w którym McDonald's nie otworzył swojej restauracji. Podczas gdy mnie ten fakt wystarczył, by zakochać się w Kubie, jej mieszkańcy postrzegali charakterystyczną żółtą literę „M” jako jeszcze jeden symbol embarga - marzyli o zestawach Happy Meal i gotowych, podgrzewanych w mikrofalówce ciastkach z jabłkami, których im odmawiano.

Ci, którzy wyjechali z kraju, pisali w listach o swoich wizytach w McDonaldach, które - mając problemy z wymową irlandzkich nazwisk - nazywali „Madonna's”. Ci zaś, którzy zostali na wyspie, chwalili się - jak dzieci kartami przedstawiającymi sławnych baseballistów - ilu członków ich rodzin i przyjaciół odwiedziło obecne, wydawałoby się, na całym świecie, a jednak niedostępne oazy hamburgerów.

- Mój dziadek jadł w McDonaldzie w Rosji, a wujek był w jednym w Niemczech... A mój przyjaciel, który wyemigrował w ubiegłym roku do Toronto, pierwsze kroki skierował do Madonna's - opowiedział mi kiedyś z dumą Alfredo.

Powiedziałam Alfredowi, że na pożegnalną kolację Amy zjemy starą, klasyczną amerykańską potrawę - makaron zapiekany z serem. Ale w pierwszym sklepie, do którego weszliśmy, nie było ani makaronu, ani sera. W drugim był tylko ser. Postanowiłyśmy więc zmodyfikować nasze menu, serwując zwykłe spaghetti z sosem serowym.

Krótko po zachodzie słońca, kiedy byliśmy w trakcie krojenia mango do sałatki owocowej, wyłączyli prąd.

- Cóż za wycucie czasu - westchnęła Ludmiła, która przysłała wcześniej, żeby pomóc nam w przygotowaniach do kolacji, po czym obwieściła, że pojedzie z Amy taksówką na lotnisko o 4.00 nad ranem.

- Pójdę do Dinory po kilka świeczek - powiedziałam, ale gdy zeszłam na dół, znalazłam jedynie Abuelę, kołyszącą się wolno w bujanym fotelu w towarzystwie miejscowej pielęgniarki, która zaglądała teraz codziennie, żeby się upewnić, czy stan zdrowia Abueli się

nie pogarsza.

- Dinora miała migrenę - powiedziała mi Abuela. - Pojechała do szpitala na zastrzyk.

Dinora faktycznie cierpiała na silne bóle głowy, odkąd ją poznałam. Ale w ciągu trzech ostatnich tygodni, od momentu mojego powrotu z Santiago, już po raz drugi zdarzyła się taka sytuacja, w której musiano udzielić jej pomocy lekarskiej.

- Wszystko z nią w porządku? - spytałam. - Czy wiadomo, co jej jest?

- Prawdopodobnie to wynik stresu - odparła pielęgniarka. - La situación.

- Kiedy wróci, niech pani jej powie, żeby przyszła na górę na kolację - powiedziałam Abueli. - Przyniesie pani trochę jedzenia.

- Dziewczyny robią dla nas amerykańską kolację - Abuela wyjaśniła pielęgniarce. - La Gorda wraca do domu.

Podczas mojej nieobecności Amy i Ludmiła znalazły świeczkę i zapaliły ją na środku kuchni. Jej słaby blask ledwo oświetlał niewielkie kupki jedzenia, usypane wzdłuż całej kuchennej lady. W tym półmroku szybko poddałyśmy się, próbując rozróżnić, jakie owoce wrzucamy do przygotowywanej przez nas sałatki. Kroiliśmy teraz jak popadnie, myśląc awokado z guaja-wą, pomarańcze z limetkami, rum z wodą.

Nie wiem czemu, ale kolejne godziny strasznie mi się dłużyły i miałam wrażenie, że to najdłuższa przerwa w dostawie elektryczności, jakiej doświadczyłam na Kubie. O 9.00, kiedy nasi goście zaczęli się schodzić na zaplanowaną na 9.30 kolację prądu nadal nie było. O 10.00, skuszeni ilością jedzenia na stole, sami zaczęli brać udział w ostatnich przygotowaniach. Mój przyjaciel Pepe zagotował mleko z cukrem na tartę, a jego Szyuka Mercedes przygotowała sałatkę z awokado, pomidorów i ogórków. Ludmiła wymieszała w szklanym naczyniu owoce na un coctel de fruta. Alfredo zajął się przystawkami w postaci naleśników ze świeżego ciasta, które kupił po drodze na targu. Z kolei Alexis, koleżanka Amy, przyjęła na siebie obowiązki barmana i wzięła się za krojenie listków hierba buena do mojito.

Usiedliśmy do stołu dopiero o 11.00, kiedy Abuela już spała, a Luis dokonywał wieczornego obchodu okolicy w ramach swojej funkcji w Komitecie Obrony Rewolucji. Dinora poszła do siebie o 10.30, prosząc nas wcześniej, byśmy ją obudziły, kiedy Amy będzie wyjeżdżać.

Pozostała siódemka upchnęła się jakoś wokół niewielkiego kuchennego stołu i zaczęliśmy świętować. Z magnetofonu leciało Hawana City Los Van Van. Rozmowa szybko zaczęła przybierać bardziej kameralną formę - ludzie mieli dość przekrzykiwania się przez całą szerokość stołu i podzielili się na małe grupki.

Po kolacji, kiedy wciąż nie było ani widu, ani słyhu powracającej elektryczności, wspięliśmy się po wąskich kuchennych schodach na dach, gdzie usiedliśmy na betonowym gzymsie, wpatrując się w gwiazdy i księżyc płynący między chmurami. Siedzieliśmy tak do świtu.

O 3.30 większość gości pożegnała się i wyszła. Zostaliśmy tylko w czwórkę z Alfredem i Ludmiłą, którzy pomogli Amy zabrać wszystkie bagaże. Potem, zgodnie z obietnicą, obudziliśmy Dinorę, która dołączyła do nas na balkonie, gdzie wspólnie czekaliśmy na taksówkę. Jej zwiewna niebieska koszula nocna szeleściła na lekkim, porannym wietrze.

Kiedy zjawiła się taksówka, Amy schyliła się, żeby podnieść swój napchany do granic możliwości plecak i narzucić go sobie na ramiona. Alfredo rzucił się, żeby jej pomóc.

- Nie, nie, dam sobie radę - zaprotestowała Amy, tracąc przy tym prawie równowagę. Roześmiałam się, dostrzegając w jej ruchach odbicie mojej własnej niezależności.

Widząc, co się dzieje, do akcji wkroczyła Dinora, która powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Vaya chica. Pozwól Alfredowi to zrobić. Może jest i chudy, ale w końcu to mężczyzna, a po to oni są.

Tym razem wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Potem Alfredo zniósł plecak na dół, a Ludmiła popędziła do taksówki.

- O, Boże! Prawie bym zapomniała - krzyknęła nagle Amy, nachylając się, by mnie uściskać na pożegnanie. - Moje pieniądze... twoje pieniądze!

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej zwitek banknotów, który wsadziła mi do ręki - ostatnie 400 dolarów, które zostały jej z podróży. W sumie, razem z moimi 150 dolarami, musiało mi to wystarczyć na cały ostatni miesiąc mojego pobytu na Kubie, dopóki nie znajdę jakiegoś nieoficjalnego kubańskiego kuriera, który przywiezie mi więcej.

- Wyślę ci czek po powrocie - zawołałam, kiedy Amy wsiadała do taksówki.

Alfredo podszedł do samochodu, by ucałować Amy po raz ostatni. Tuż za nim, z szeroko otwartymi ramionami, stała Di-nora.

Chwilę później Amy już nie było. Taksówka skręciła gwałtownie w lewo i skierowała się w stronę Soledad, zostawiając za sobą kłęb czarnych spalin.

Kiedy obróciliśmy się, żeby wejść do domu, Alfredo stanął nagle w drzwiach, jakby jakaś niewidzialna siła zabraniała mu wejść do środka. Dałam Dinorze do zrozumienia, że chcemy zostać sami.

- Za chwilę wejdziemy - powiedziałam.



- Co się stało? - spytałam Alfreda, gdy staliśmy w ciszy pogrążonego we śnie Centro Habana.

- Myślę, że będzie mi przykro, kiedy wejdę do środka i nie zastanę tam rzeczy Amy. Przypomni mi to o twoim wyjeździe.

Wzięłam go za rękę.

- Dokąd chcesz pójść? - spytałam.

- Może do mojej matki?

- A czy nie będzie miała nic przeciwko? Nie będzie spała?

Alfredo zaśmiał się.

~ W porządku, to także mój dom. Mam własne klucze.

Wybraliśmy okrężną drogę, idąc w stronę domu Alfreda Wzdłuż Malecónu. Gdzieś w oddali migotały światła wypływającego w morze statku, fale rozbijały się leniwie o otaczającą wyspę rafę koralową. Powietrze było nadal ciepłe i gęste - pozbawione tego orzeźwiającego chłodu, który towarzyszył porannym spacerom nad brzegiem oceanu w Kalifornii.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze, co z nami będzie, kiedy wyjedziesz - Alfredo odezwał się, gdy oddaliliśmy się od morza i skręciliśmy w ulicę Szpitalną. - Wiem, że rozmowy międzynarodowe są drogie, ale może moglibyśmy się umówić na telefon co dwa tygodnie? Chociaż na 10 minut.

- To dobry pomysł - zgodziłam się, choć świadomość, że nasz związek będzie od tej pory sprowadzał się do 10 minut przerywanej trzaskami rozmowy telefonicznej, wywoływała u mnie falę mdłości. - Może uda mi się zmienić abonament na bardziej korzystny, wtedy moglibyśmy częściej do siebie dzwonić.

Ponieważ z amerykańskich telefonów na kartę nie da się dzwonić na Kubę, nie miałam pojęcia, ile może kosztować minuta rozmowy z telefonu stacjonarnego. Gdy dzwoniłam do domu z kubańskiej budki telefonicznej, z której korzystałam w ciągu pierwszego miesiąca na wyspie, minuta połączenia z USA kosztowała mnie blisko 5 dolarów.

Z domu Dinory często dzwoniłam do rodziców na koszt rozmówcy. Była to jedyna możliwość kontaktu ze Stanami z telefonu domowego - nie można było zadzwonić sobie do Kalifornii ot tak, po prostu. Rodzicie odmawiali przyjęcia takiej rozmowy, a potem natychmiast oddzwaniali na mój kubański numer, jednak często zdarzyło im się czekać kilka godzin na połączenie. Kiedyś nie miałam z nimi kontaktu przez dwa dni. Kiedy wreszcie udało nam się połączyć, nasze głosy brzmiały jak zza grobu i docierały z opóźnieniem.

Niedługo po tym, jak zamieszkałam u Dinory, poznałam pewną Amerykankę, która od dwóch lat regularnie odwiedzała tutaj swojego kubańskiego chłopaka. Kiedy się nie widywali,

często do siebie dzwonili. Jednak, jak twierdziła dziewczyna, problemem we wzajemnych kontaktach nie były ograniczenia czasowe, koszt, ani zła jakość połączeń, lecz kulturowa przepaść, która dzieliła ją i jej chłopaka na co dzień.

- Kiedyś biegłam do domu z pracy w godzinach największego szczytu, żeby zadzwonić do niego o umówionej porze

- powiedziała. - Jakiś wariat, który nie zwracając na nic uwagi, gadał przez komórkę w aucie, przejechał na czerwonym świetle i potracił mnie - ledwo uszłam wtedy z życiem. I wiesz, co w tym wszystkim było najgorsze? Serce waliło mi jak młotem, a ja - zamiast pomyśleć o tym, że przed chwilą mogłam zginąć

- zastanawiałam się tylko nad jednym: Jak wyjaśnię to Ore-stesowi? Co mu powiem? Ze były godziny szczytu? Ze facet rozmawiał przez komórkę? Tu nie chodziło o angielski czy hiszpański, ale o język mojego życia, którego nie potrafiłam mu przetłumaczyć.

Kiedy szliśmy z Alfredem w dół ulicy Szpitalnej, dotarło do mnie nagle, że nigdy wcześniej nie byłam w tym domu, nigdy nie poznałam jego matki i nigdy nie zapuściłam się tak daleko od Centro Habana.

Im bardziej oddalaliśmy się od obleganego przez turystów Uniwersytetu Hawańskiego, z jego imponującymi rzymskimi kolumnami i kolorowymi korowodami ludzi tańczących w niedzielny poranek rumbę na Callejón de Hamel, tym rzadziej na drzwiach domów widziałam biało-niebieskie tabliczki z napisem casa particular, tak popularne w dzielnicy, w której mieszkała Dinora. Tutaj były tylko zapiaszczone, szare ulice i chociaż wciąż znajdowaliśmy się w sercu wielkiego miasta, w powietrzu czuć było zapach zwierząt hodowlanych.

- To tutaj - powiedział Alfredo, kiedy zatrzymaliśmy się przed domem z numerem 69 przy ulicy Szpitalnej, tuż za skrzyżowaniem z ulicą Salud. Była już 4.00 rano.

Alfredo otworzył niezamknięte na klucz frontowe drzwi ~ równie wysokie i obite drewnem, jak u Dinory, chociaż bez Zarannie wypastowanych, marmurowych stopni.

- Uważaj - powiedział, chwytając mnie za rękę w ciemność-C1ach klatki schodowej. - Niektóre stopnie są zniszczone.

Wspinając się po sfatygowanych schodach, przypomniałam sobie naszą potajemną schadzkę w posada particular i poczu-km, jak po plecach przebiegają mi te same ciarki, co wtedy.

Uzucie to jeszcze się spotęgowało, kiedy weszliśmy do mieszkania przez wąski balkon - w kompletnej ciemności czułam się, jakbym stąpała po niewidzialnym morzu.

Minęliśmy po prawej drzwi, potem następne, aż wreszcie Alfredo odnalazł po omacku

drzwi znajdujące się na drugim końcu balkonu. Spojrzałam w górę i zobaczyłam nad nami otwarte niebo, rojące się od migoczących gwiazd.

- Przed Rewolucją to była wielka rezydencja - wyszeptał, przekręcając klucz w zamku. - Ale teraz to cindadela. Zamiast jednej rodziny, mieszka tu pięć - każda w mieszkaniu, które dawnym, bogatym właścicielom służyło za jeden pokój.

Kiedy weszliśmy w końcu do środka, zobaczyłam wąską smugę fluorescencyjnego światła, wydobywającego się zza kolejnych zamkniętych drzwi.

- Och, mama musi być w łazience - ucieszył się Alfredo. - To dobrze, będziesz miała okazję ją poznać.

Przełknęłam głośno ślinę. Odgłos, jaki temu towarzyszył, wydawał się odbijać echem w pograżonym w ciszy całym domu. Usłyszałam dźwięk wody spuszczonej w toalecie, zgasło światło i przez otwarte drzwi niepewnym krokiem weszła do pokoju kobieta, skąpana w delikatnej księżycowej poświacie, która sączyła się z zewnątrz do domu. Alfredo włączył światło w pokoju. Zobaczyłam małą, wysłużoną kanapę w kolorze zielonym, stolik do gry w karty, telewizor ustawiony na krześle i wreszcie matkę Alfreda, przecierającą zaspane oczy - dobrze zbudowaną, wysoką kobietę o jeszcze ciemniejszym odcieniu skóry niż Alfredo.

- Wystraszyłeś mnie - zwróciła się do syna; moja obecność nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. - Myślałam, że jesteś u Lei. Ale przyszliście w samą porę, przed chwilą weszłam do domu. Wiesz, wczoraj były urodziny Soyli i bawiłam się całą noc.

- Soyła to nasza sąsiadka, która mieszka piętro niżej - wyjaśnił mi Alfredo, a potem odwrócił się do matki. - Zostaniemy tu do rana.

- Och, nie ma sprawy - powiedziała matka, po czym bez słowa komentarza czy wyjaśnienia zaprosiła nas do salonu i wskazała mi miejsce na kanapie. Potem, dokładnie tak, jak to zrobiła kobieta w posada particular, zaczęła ścielić nam łóżko.

- Czekajcie, przyniosę prześcieradło ze sznura - powiedziała. - Rano zrobiłam pranie.

Weszła do wyłożonej różowymi kafelkami kuchni i ściągnęła prześcieradło ze sznura rozwieszzonego na tylnej ścianie.

- Alfredito - poprosiła - zejdz na dół i zapytaj Soyłę, czy ma wolną poduszkę.

Alfredo bez słowa wyszedł z pokoju, zostawiając nas same. Nie bardzo wiedząc, co mam zrobić, wstałam i zaproponowałam matce miejsce na kanapie.

- Nie, nie, mi reina, moja królowo - odparła. - Zaraz skończę ścielić wam łóżko i idę spać. Mam nadzieję, że nie przyśnią mi się koszmary. Wczoraj wieczorem oglądałam taki straszny film.

Pokiwałam głową ze współczuciem, ale powstrzymałam się od pytania, co to był za

film. Po dwóch miesiącach spędzonych w kubańskim domu wiedziałam już, że pod pojęciem „film” mógł się kryć którykolwiek ze szmatławych amerykańskich horrorów lub filmów akcji, pokazywanych co sobotę na Kanale 6 - jednej z dwóch rządowych stacji telewizyjnych na Kubie. Chociaż większość ludzi oglądała te filmy do tego stopnia bez entuzjazmu, że nie pamiętali nawet tytułu, był to dla nich miły przerywnik między kolejnymi odsłonami dyskusji w sprawie uwolnienia Eliana Gonzalesa, które wypełniały większość wieczornej ramówki obydwu stacji.

- Na pewno nie był tak zły, jak ten w zeszłym tygodniu - powiedziałam. Oczywiście, nie widziałam żadnego filmu w zeszłym tygodniu, ale poczułam, że muszę coś powiedzieć.

- O, tak - westchnęła matka Alfreda. - Co do tego masz absolutną rację.

Alfredo wrócił z poduszką i dwoma ciastkami kokosowymi Owiniętymi w papier.

- To na śniadanie - obwieścił z dumą. - Chyba, że chcesz zjeść teraz? Jesteś głodna? Chce ci się pić?

~ Może trochę chce mi się pić.

Alfredo otworzył lodówkę, w której były tylko wysuszone resztki nieprzykrytej sałatki z pomidorów i cebuli oraz dzbanek w połowie napełniony wodą.

- Och, ale nie jest przegotowana - zmartwił się, nalewając wodę do kubka. - Może nie powinnaś jej pić. Ja piję taką cały czas, ale ty jesteś przyzwyczajona do butelkowanej wody ze sklepu.

- Nic nie szkodzi. Właściwie to bardziej chce mi się spać niż pić.

- We a dormir, muchacha, idź do łóżka - powiedziała matka Alfreda, która stała w salonie, przyglądając nam się. - Już prawie rano.

To mówiąc, wróciła do swojej pogrążonej w ciemności sypialni bez drzwi i po chwili usłyszałam, jak kładzie się do łóżka.

- Mój pokój jest tam, na górze - powiedział Alfredo, wskazując na małe poddasze bezpośrednio nad telewizorem. Weszłam za nim po rozchybotanej drabinie i znalazłam się w pomieszczeniu może dwa razy większym od dwuosobowego łóżka wciśniętego pod ścianę. Na podłodze, obok pary kłapek, leżała sterta poskładanych slipów, podkoszulków i spodni. Pod wiszącym na ścianie lustrem w wyszczerbionej ramie znajdowała się niewielka komoda, a na niej stały: budzik, lampka, wentylator, dezodorant, maszynka i krem do golenia oraz drewniana figurka przedstawiająca wyspę z palmą w owalnej ramce.

Słomiany kapelusz, który Alfredo dostał od swoich guajiro, przyjaciół z Santiago, wisiał na ścianie naprzeciwko wejścia, obok wypolerowanego przez morskie fale kawałka drewna, który znaleźliśmy tego samego dnia na plaży. W nogach łóżka wartę pełnił

sfatygowany, rozpadający się pluszowy goryl, zaś u wezłowia, na poduszce leżał słownik hiszpańsko-angielski, który pożyczyłam Alfredowi razem z moją książką *Two in the Wild*, w której opisałam moje wcześniejsze podróże.

- To tyle - powiedział Alfredo, siadając obok goryla. - To wszystko, co posiadam.

Ton, jakim to powiedział - z jednej strony znajomy, a z drugiej tak odległy - z początku mnie zaskoczył, był bowiem pozbawiony jakichkolwiek emocji. Nie było w nim słyhać cienia dumy ani zakłopotania, gniewu, rozpacz czy nawet sarkazmu. W ciszy, która po tych słowach zapadła, uświadomiłam sobie, że tak jak w kolorze czarnym można odnaleźć wszystkie inne kolory, tak rezygnacja - błędnie kojarzona z negacją - jest w istocie kumulacją wszystkich emocji. Nastęstwem oczekiwania.

- Kiedy brałam lekcje gry na perkusji, ćwiczyłem to, czego nauczyłem się na tym łóżku - Alfredo przerwał milczenie, wystukując cichy rytm na zapadniętym materacu.

Usiadłam koło niego i wzięłam z komody figurkę wyspy z palmą.

- Czy to Kuba? - spytałam.

- Nie wiem - Alfredo wzruszył ramionami. - Ktoś dał mi ją dawno temu. Podoba ci się?

- Pewnie.

- Więc weź ją sobie - powiedział, zaciskając mi delikatnie dłoń, w której trzymałam figurkę. - Jest twoja.

- Daj spokój - odparłam, rozprostowując szybko palce. - Należy do ciebie, nie mogę jej wziąć.

- Ale ja chcę ci ją dać. To prezent.

- Dobrze - zgodziłam się i pogłaskałam go po twarzy wolną ręką. - Dziękuję.

Zdałam sobie sprawę, że mówię szeptem, bojąc się obudzić matkę Alfreda.

- Tak tu cicho - powiedziałam. - Nawet ciszej niż u Dinory.

- Może dlatego, że nie mamy zwyczaju wstawać w tym domu o piątej rano - zaśmiał się Alfredo. - No i nie mamy pompy wodnej.

W domu Dinory codziennie o 1.30 w nocy włączał się alarm w jej sypialni i słyszałam niewyraźne kroki zaspanego Luisa, który szedł włączyć znajdującą się obok bojlera z wodą hałasującą pompę. Jej metaliczne pomrukiwania, towarzyszące napełnianiu się wodą na cały dzień z podziemnego źródła, odbijały się gromkim echem w całym domu.

W Stanach, gdzie woda z kranu w moim domu płynęła po cichu i bez żadnego udziału z mojej strony, nigdy nie zwracałam uwagi na to, ile jej zużywam. U Dinory natomiast często zdarzało się, że gdy wynajmujący któryś z pokoiów lokator brał dodatkowy prysznic, wody

po prostu zabrakło. Wtedy Luis chwycił za pompę i napełniał zbiornik wodą, która wczesnym rankiem płynęła szybciej i większym strumieniem. Wiedząc, jak utrudniony był dostęp do wody, nawet gdy miało się własną pompę, spytałam Alfreda, jak sobie radzi bez niej.

- Codziennie rano biorę wiadro i napełniam je wodą z fontanny na dole, a potem wracam na górę i wlewam ją tutaj - wyjaśnił mi, wskazując długi na 1,5 metra zbiornik, umiejscowiony w rogu pokoju gościnnego przy ścianie. - Czynność powtarzam tak długo, aż zbiornik napełni się wodą, która wystarczy na cały dzień.

- Czy każdy w waszej ciudadeli musi robić to samo?

- Niektórzy mają elektryczne pompy, tak jak Dinora, ale to nie takie proste, pero no es facil - powiedział Alfredo. - Najpierw musisz wymyślić jakieś negocio, żeby zarobić 60 dolarów na silnik do pompy. Kiedy już ci się to uda, idziesz do Oficina de Aqueductos, Urzędu ds. Wodociągów, i wpisujesz się na listę, żeby ktoś od nich przyszedł, rozkuł ci ulicę i podłączył rurę do twojej pompy. Ale na liście jest tylu oczekujących, że musisz przekupić jakiegoś urzędnika, dać mu 70, może 75 dolarów, żebyś nie musiał czekać przez rok, aż ktoś do ciebie przyjdzie.

- A jeśli nie masz tych pieniędzy, to co - biegasz z wiadrem tam i z powrotem?

- Albo znajdujesz inny sposób. Równie dobrze możesz ułożyć się z władzą i zgłosić na policję, że twój sąsiad przekupił urzędnika. Albo robisz własny silnik ze starego radzieckiego wiatraka, który od samego początku nie działał jak należy. Lub jak moja matka - w tym miejscu Alfredo ściszył głos - nie robisz nic i czekasz w nadziei, że coś się zmieni.

Nachyliłam się, żeby go objąć, a kiedy się rozdzieliliśmy, Alfredo zaproponował: - Może porozmawiamy teraz o czymś innym?

Skinęłam głową. W odpowiedzi Alfredo pocałował mnie, uśmiechnął się i powiedział:

- A może w ogóle nie musimy o niczym rozmawiać?

Po raz kolejny przytaknęłam, ale gdy tylko złączyliśmy się w miłosnym uścisku, dotarło do mnie, że nie potrafię zapomnieć o tym wszystkim - o naszej rozmowie i nowych szczegółach z życia Alfreda, których dowiedziałam się przed chwilą. Myślami wracałam wciąż do prawie pustej lodówki, do drewnianej figurki z palmą, do kołyszącego się wiatraka nad naszymi głowami, który sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał się urwać z sufitu i odlecieć w siną dal, do dziurawego prześcieradła, które uprała matka Alfreda, i brakującej poduszki, po którą trzeba było zejść do sąsiadki.

- Przepraszam - powiedziałam, odsuwając się od Alfreda. - Ale trochę dziwnie się dzisiaj czuję.

- O co chodzi? - spytał Alfredo. - Zrobiłem coś nie tak?

- Nie, chyba po prostu jestem trochę zmęczona - usiłowałam znaleźć najbardziej odpowiednie wytłumaczenie, wybierając półprawdę zamiast powiedzieć Alfredowi, co tak naprawdę leży mi na sercu. - To był długi dzień - najpierw lot do Meksyku, potem kolacja pożegnalna dla Amy i rozmowa o moim wyjeździe.

- Nie smuć się, mi amor - pocieszył mnie Alfredo. - Pomyśl o czymś przyjemnym. Teraz przynajmniej mamy cały miesiąc dla siebie, tylko we dwoje.

Pokiwałam głową.

- Zamknij oczy i nie myśl już więcej o powrocie - Alfredo poklepał naszą jedyną, pożyczoną poduszkę, dając mi znak, żebym się położyła. - Pomyśl, jak cudownie jest mieć kogoś gdzieś na świecie, kto naprawdę cię kocha - zaczesał mi palcami włosy do tyłu. -1 wiedzieć, że nawet gdy wyjedziesz, ten ktoś o tobie nie zapomni i będzie czekał na twój powrót.

## Rozdział XVIII

Hasta Siempre

Tej nocy u Alfreda marzyłam o innym domu. Takim, którego nigdy nie widziałam na oczy, a w którym podświadomie czułam się jak u siebie. Marzyłam o ogródku warzywnym w górach Północnej Kalifornii i małej chatce, w której mogłabym poświęcić się pisaniu i w której Alfredo mógłby grać na prawdziwej perkusji.

Wyobrażałam sobie nas lepiących bałwana na ośnieżonym szczycie Mt. Shasta, pływających w ciepłym, granatowym jeziorze Tahoe, wjeżdżających na rowerach pod Mt. Tamalpais na niedzielną porcję naleśników w schronisku West Point Inn. Śniło mi się, że Alfredo pracuje w ciągu dnia w centrum kultury latynoamerykańskiej, a wieczorami siedzimy przy sękatym, drewnianym stole, przy którym udzielam Alfredowi lekcji angielskiego. A w kominku wesoło trzaska płonące drewno.

Moje pragnienie, aby Alfredo pojechał ze mną do Stanów, wydawało się tak nierealne, że w zasadzie nie brałam pod uwagę pokonywania tych wszystkich politycznych barier, które czekałyby nas po drodze. Postanowiłam odsunąć od siebie te myśli na jakiś czas i nie wspominałam o niczym Alfredowi, gdy tak siedzieliśmy w ciszy, jedząc ciastka kokosowe pod zieloną sukienką w prążki i parą czarnych majtek, rozwieszonych przez matkę Alfreda na kuchennym sznurze nad naszymi głowami.

Żyłam tym marzeniem przez cały dzień, od wyjścia z domu matki Alfreda, przez duszne ulice Hawany, aż po sklep przy San Lázaro, gdzie w kolejce wpadłam na Rebecę, Amerykankę, którą poznałam w hotelu El Bosque.

Rebecca przyjechała na Kubę na dwutygodniowy kurs tańca. O ile dobrze sobie przypominam, po raz ostatni widziałam ją wsiadającą do autobusu na lotnisko w połowie lutego. Dwa i pół miesiąca później spotkałam ją w sklepie, kupującą rum i papier toaletowy razem ze swoim chłopakiem - instruktorem salsy o imieniu Ledián. Ich związek był owocem jednego z tych romansów nad hotelowym basenem. Od wyjazdu Rebekki widziałam Lediána dwukrotnie - raz na jakiejś imprezie i drugi na otwarciu wystawy dzieł sztuki. Za każdym razem flirtował z inną studentką z międzynarodowej szkoły salsy.

- Nie wiedziałam, że wróciłaś - powiedziałam. - Kiedy przyjechałaś?

- Dopiero wczoraj - Rebecca uśmiechnęła się, obejmując Lediána ramieniem. - Pamiętaj mojego chłopaka?

- Wpadliśmy na siebie kilka razy - odparłam, a Ledián uśmiechnął się szeroko, bez



najmniejszego cienia skruchy na twarzy.

- Mam wprowadzić tylko tydzień, ale i tak dobrze jest być tu znowu - Rebecca powiedziała rozmarzonym głosem. - Wpadłam wcześniej na trzy dni w marcu. Byłam zbyt zakochana, żeby zostać w domu. Ale co ty tutaj robisz? Myślałam, że zostajesz tylko miesiąc dłużej.

- Ja też tak myślałam - roześmiałam się. - Ale za każdym razem, gdy zbliżał się termin powrotu, wiedziałam, że nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Wygląda na to, że i ciebie nie ominęła strzała Amora - powiedziała Rebecca chytrym tonem. - Mam rację?

- Tak, to prawda. Mam tutaj chłopaka. Ale teraz już naprawdę muszę wyjechać na początku czerwca.

- Zamierzasz wrócić?

- Nie wiem. Tak naprawdę, chciałabym, żeby mój facet odwiedził mnie w Stanach.

Przez krótką chwilę zamierzałam podzielić się z Rebeccą swoim marzeniem, ale rozmyśliłam się. Być może sprawiła to obecność Lediána, a może zbyt swobodny charakter naszej rozmowy lub jeszcze kilka innych okoliczności, które sprzysięgły się, żeby zniszczyć mój sen.

- Zawsze możecie się pobrać - Rebecca wypaliła bez zastanowienia, zbijając mnie kompletnie z tropu. - Dwie moje koleżanki ze szkoły poznały tutaj Kubańczyków i teraz załatwiają papiery, żeby móc za nich wyjść.

- O, nie - pokręciłam głową. - Dla mnie to chyba za wcześnie.

- No, tak czy inaczej, przyjaciółka wychodzi tu za mąż w lipcu - Rebecca ścisnęła ramię Lediána. - Zawsze to dobry pretekst, żeby znów przyjechać na Kubę.

Uśmiechnęłam się. Ledián przestępował z nogi na nogę jak mały chłopczyk, któremu chce się siusiu. Przez chwilę nikt nic nie mówił, aż wreszcie Rebecca spytała: - Słyszałaś, że Lorraine jest w ciąży?

- Kto?

- Taka jedna dziewczyna, która mieszkała w El Bosque. I spotykała się z instruktorem gry na bębnach. Tylko że on był od niej jakieś 20 lat młodszy, a ona chyba nie chciała mieć więcej dzieci. Podejrzewam, że w ogóle nie spodziewała się, że może jeszcze zajść w ciążę, dlatego teraz trochę świruje.

- Faktycznie, nie brzmi to zbyt ciekawie - powiedziałam.

- Pues - Rebecca zachichotała nerwowo. - Asi es el amor. Taka jest miłość.

Idąc w dół San Lázaro w stronę domu, odetchnęłam z ulgą, że nie podzieliłam się z

Rebeccą moim snem i postanowiłam, że będę go strzec jeszcze przez kilka dni, zanim powiem o wszystkim Alfredowi. Ale kiedy spotkaliśmy się wieczorem i poszliśmy na spacer wzdłuż Malecónu, Alfredo spytał ni z tego, ni z owego: - Myślisz, że jeszcze wrócisz na Kubę? Poczulałam wtedy taki przyływ emocji i serce zaczęło mi walić jak młotem, że przez moment nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa. A potem wzięłam głęboki oddech i wiedziałam już, że dłużej nie wytrzymam. Opowiedziałam Alfredowi całą swoją wizję naszej przyszłości, kończąc ją słowami: - Chciałabym zabrać cię ze sobą do domu i pokazać ci mój świat.

- Z chęcią bym z tobą pojechał, ale nie wiem, jak - powiedział Alfredo, patrząc w dal z wysokości Malecónu. Podążyłam za jego spojrzeniem utkwionym w czarnych, nocnych falach Morza Karaibskiego i doznałam nagle uczucia déjà vu, tak silnego, że wypierało z mojej głowy wszystkie inne wspomnienia. Zdawało mi się, że spędziłam nad tym brzegiem, w towarzystwie Alfreda, całe moje dotychczasowe życie, próbując mu opisać świat, w którym żyję. Starając się przybliżyć życie w moim kraju - tak bliskim i zarazem tak odległym, że nie potrafiłam znaleźć właściwych słów, którymi mogłabym mu go opisać.

- Wiesz - Alfredo podniósł głowę - jest tylko jeden sposób, abym mógł ujrzeć twój świat.

- Jaki?

- Moglibyśmy się pobrać - mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy, z niepokojem oczekując mojej odpowiedzi.

- Och, Alfredzie - wykrztusiłam, w ułamku sekundy przypominając sobie wszystko to, co opowiedziała mi Rebecca. - To bardzo miłe, ale jak możemy się pobrać, jeśli nie wiesz nawet, co myśleć o życiu w moim kraju? Nie wiedząc, jak nam tam razem będzie.

- Znasz jakiś inny sposób, by się tego dowiedzieć? - spytał Alfredo. - Nie ma dla mnie innej możliwości, żeby tam pojechać, a małżeństwo mogłoby być dla nas próbą wspólnego życia w twoim kraju.

Próbowałam zachować spokój i trzeźwość umysłu, ale napięte do granic możliwości mięśnie twarzy nie pozwalały mi nawet otworzyć ust.

- Pomyśl o tym w ten sposób - ciągnął dalej Alfredo spokojnym głosem. - Jeśli będziemy szczęśliwi w twoim świecie, to cudownie - ślub będziemy już mieli z głowy. A jeśli nam się nie uda, weźmiemy rozwód i ja wrócę tutaj.

Alfredo uśmiechnął się, dumny ze swojego genialnego planu, ale ja tylko kręciłam głową, próbując gorączkowo znaleźć odpowiednie słowa.

- Alfredzie - powiedziałam w końcu - w Stanach rozwód kosztuje ogromne pieniądze,

trzeba wynająć prawnika i w ogóle nie jest to takie proste... A poza tym, nie chcę wychodzić za mąż w ten sposób, z tyloma niewiadomymi, zostawiając sobie otwartą furtkę.

- Wspomniałem o rozwodzie tylko dlatego, że wyglądałaś na niezdecydowaną - odpowiedział Alfredo. - Wiesz przecież, że jeśli chodzi o mnie, nie ma żadnych niewiadomych i nie potrzebuję furtki. Jesteś - zrobił na moment dramatyczną pauzę - kobietą, na którą czekałem.

- To bardzo słodkie - odparłam, śmiejąc się. - Ja wprawdzie nie czekałam na żadnego mężczyznę, ale w gruncie rzeczy ty też nie jesteś taki zły.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem, a po chwili Alfredo odezwał się z nadzieją w głosie: - Więc jak będzie?

- Więc życie w USA nie jest takie usłane różami, jak ci się zdaje - powiedziałam. - Ty nie mówisz po angielsku, a ja nie mam nawet regularnej pracy.

- Nauczę się angielskiego. Mogę robić cokolwiek, żeby tylko zarobić trochę pieniędzy na nasze utrzymanie. Pracować na budowie albo jako dozorca.

Wyciągnęłam rękę i pogładziłam dłonią jego delikatny, wilgotny policzek. Chociaż słońce zaszło już jakiś czas temu, w powietrzu czuć było nadal gorąco i wilgoć.

- Nie twierdzę, że nie zrobiłbyś wszystkiego, co w twojej mocy, ale ludzie zazwyczaj czekają z taką decyzją do momentu, aż się trochę urządzi. A nawet wtedy wcale nie musi być im łatwo - powiedziałam. - Brak pieniędzy tylko popsuje nasz związek i przysporzy nam wielu kłopotów. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że Kuba jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie musisz pracować, a państwo i tak cię nakarmi?

- Pamiętam...

- To prawda. W Stanach jest inaczej.

- Dobrze, Lea, założmy, że w USA musisz ciężiej pracować, ale nie wyobrażam sobie, żeby życie tam mogło być trudniejsze niż tu - Alfredo pokręcił głową, nie potrafiąc skonfrontować wizji tych wszystkich trudności, jakie przed nim roztaczałam, z tym, czego nasłuchiwał się, dorastając - opowieści o sielankowym życiu w Ameryce.

Alfredo żył w świecie, w którym mieszkający w Miami kubańscy uchodźcy wysyłali do rodzin na wyspie studolarowe banknoty i fotografowali się na tle błyszczących, nowiutkich japońskich samochodów oraz małych domków, które zbudowali wyłącznie po to, by mieć gdzie trzymać te samochody. Ci, którzy nic nie wysyłali do domu, byli uważani za skąpców i traktowało się ich jak okrytych hańbą wyrzutków - discardos. Nikt nie dopuszczał nawet do siebie myśli, że być może życie w Ziemi Obiecanej bardziej przypomina walkę o przetrwanie niż historię wielkiego sukcesu.

- Być może życie w Stanach nie jest trudne w kategoriach obowiązujących na Kubie - zgodziłam się. - Ale nie zmienia to faktu, że jest trudne. Bardziej skomplikowane.

Chciałam opowiedzieć Alfredowi o leżących w skrzynkach pocztowych rachunkach za ubezpieczenie i o pieniądzach na wynajem domu, które rozplywały się pod koniec miesiąca, zamiast rosnąć na koncie na zakup własnego domu. Ale jedyne, co mogłam zrobić, to potrząsać bezsilnie głową, prawie ze łzami w oczach, starając się za wszelką cenę wyjaśnić mojemu chłopakowi, jak wygląda codzienna egzystencja w USA.

- Jeśli mam być z tobą szczerzy - Alfredo nie dawał za wygraną - to nie rozumiem. Może dlatego, że nigdy nie wyjechałem z Kuby i nie znam tu na wyspie żadnych imigrantów, więc nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest żyć oderwanym od własnej kultury. Ale w dalszym ciągu... - Alfredo nie dokończył zdania, tylko przysunął się do mnie bliżej, tak że prawie stykaliśmy się czołami, siedząc okrakiem na murku oddzielającym Malecón od nabrzeża, jak gdybyśmy ujeżdżali wielkiego morskiego konika.

- Wciąż nie odpowiedziałas na moje zasadnicze pytanie - powiedział. - Wiem, że jesteś pisarką i musisz wracać na te swoje warsztaty, ale skoro jesteś ze mną szczęśliwa, tylko jeszcze niegotowa, by za mnie wyjść, dlaczego nie wrócisz na Kubę Po tym wszystkim?

- To znaczy kiedy?

- Kiedy przyjdzie ci ochota. Może w sierpniu albo we Wrześniu. W czerwcu wracaj do swojego świata. A jeśli nie możesz zabrać mnie ze sobą, weź chociaż tę część mnie, którą już znasz, którą potrafisz sobie wyobrazić i opisać w swojej książce. Czasem musisz być twórcza, jak Kubańczycy.

- Pomyśl o mnie czasem, gdy będziesz już w Stanach - Alfredo ciągnął dalej powoli swój monolog, robiąc krótkie przerwy po każdym zdaniu, jak gdyby nie był pewny, co mu za chwilę ślina przyniesie na język. - Znajdziemy jakiś sposób, żeby utrzymać ze sobą kontakt. A ty w tym czasie popracuj, odłóż trochę pieniędzy i porozmawiaj z wydawcami - może któremuś spodoba się twoja historia o Kubie? A potem wróć tutaj, choćby na tydzień albo dwa i przekonaj się, czy lepiej jest ci ze mną, czy beze mnie. Zwolnimy trochę tempo, tak jak lubisz. Pomyśl od czasu do czasu o naszym związku.

Chciałam zaprotestować, ale zdałam sobie sprawę, że nie ma przeciwko czemu. Nie widziałam powodu, dla którego nie miałabym wpaść tu z krótką wizytą po zakończeniu warsztatów. W porównaniu z perspektywą małżeństwa taka wycieczka wydała mi się nagle dziecinnie prosta.

- Twój plan brzmi w porządku - powiedziałam, zarzucając Alfredowi ręce na szyję.

Alfredo uśmiechnął się, zadowolony z kompromisu, który udało nam się przed chwilą

osiągnąć. - Teraz przynajmniej nie będę musiał mówić „żegnaj”, kiedy wyjedziesz w przyszłym miesiącu, bo wiem, że to nie będzie pożegnanie na zawsze.

- Tak, tylko chwilowa rozłąka.

- Słyszałaś hasło Hasta la Victoria Siempre? - spytał.

- Oczywiście - odparłam.

Hasło Hasta la Victoria Siempre, „Niech zwycięstwo trwa wiecznie”, wypisane na murach w całej Hawanie, było świadectwem ostatnich słów pożegnalnego listu Che Guevary do Fidela Castro z 1965 roku, kiedy zrezygnował on z funkcji szefa Banku Narodowego i opuścił wyspę, o której niepodległość walczył, by wzniecić ogień rewolucji gdzie indziej.

- Kiedy będziesz wyjeżdżać, zamiast „Hasta luego” powiem ci „Hasta siempre” - Alfredo uśmiechnął się. - Tak jak Che.

Roześmiałam się, wyobrażając sobie nasze pożegnanie w formie nowego socjalistycznego sloganu, a nasz związek w kategoriach jedynie słusznego czynu rewolucyjnego.

## Rozdział XIX

Asystentka gospodyni

Gdy podjęłam już decyzję o powrocie na Kubę, mogłam nareszcie przestać myśleć o wyjeździe i korzystałam z uroków Hawany jak nigdy przedtem. Po raz pierwszy od dawna nie biegałam w panice za przedłużeniem biletu lotniczego i nie spotykałam się potajemnie w hotelowym holu z przyjaciółmi moich przyjaciół, którzy przywozili mi pieniądze ze Stanów. Nie musiałam też kwestionować słuszności mojego związku z Alfredem, jako że ostateczna decyzja co do naszej przyszłości została odłożona o co najmniej trzy miesiące, do czasu mojego powrotu.

Bez tych wszystkich stresów, które zaprzętały moją głowę i mój czas, i bez lekcji hiszpańskiego na uniwersytecie, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić w trakcie tego ostatniego miesiąca pobytu na Kubie.

Porzuciwszy już wcześniej pisanie artykułu o kubańskich kobietach, który wymknął mi się spod kontroli z powodu zbyt wielu wzruszających historii, których nie miałam serca skracać, sporządziłam listę bardziej konkretnych rzeczy, o których Mogłam jeszcze napisać przed wyjazdem. Zrobiłam wywiad z Pablem Menendezem, muzykiem jazzowym z Oakland, który Przyjechał na Kubę w wieku 14 lat i który 33 lata później wciąż śrał na gitarze w tym samym, naprędce skleconym zespole.

Kolejny wieczór spędziłam na tropieniu przyjaciółki Dino-ty która dorabiała na boku jako prywatny fryzjer, zarabiając dzięki negocio więcej niż na całym etacie inżyniera w fabryce tytoniu.

Wybrałam się także na mecz baseballu na stadionie El Stadio Latinoamericano, żeby porozmawiać z Armanditem El Tintorero, starszym panem, który w ciągu dnia prowadził pralnię chemiczną oraz magiel w tintorerii, a wieczorami od 35 lat zagrzewał do boju śpiewem miejscową drużynę baseballową. Miał na stadionie specjalne honorowe miejsce, a w 1999 roku hawańscy baseballiści zabrali go ze sobą na międzynarodowy turniej do Baltimore w Stanach Zjednoczonych.

Po tym, jak spisałam wszystkie te historie, otworzyłam sobie konto e-mail na Uniwersytecie Hawańskim, udając, że nadal się tam uczę. Za 5 dolarów otrzymałam dostęp do komputera, w którym nie było nic oprócz rzeczonyj skrzynki pocztowej - ani możliwości korzystania z internetu, ani edytora tekstu. Przynosiłam sobie książkę i siedziałam w uczelnianej bibliotece, pocąc się przez godzinę czy dwie, zanim zwolniło się jedno z czterech

stanowisk komputerowych. Wtedy zasypywałam e-mailami wszystkich możliwych wydawców w Stanach, dopóki nie wyłączono prądu lub treść mojego listu nie stała się tak długa i rozwlekła, że nie miałam odwagi go wysłać.

Udało mi się sprzedać historię jazzmana Menéndeza do jednej z gazet w Oakland i spędziłam długie godziny, przepisując artykuł w łóżku, z syczącą świetlówką nad głową, której bezustanne miganie sprawiało, że czułam się jak na dyskotece.

Którejś niedzieli, chcąc się oderwać od pisania i stroboskopowej lampy w pokoju, postanowiłam wyjść z domu i poszukać jakiegoś parku, w którym mogłabym poczytać książkę. Z poprzednich podróży przywiozłam wiele kojących wspomnień takich właśnie miejsc, ale w Hawanie jeszcze tego nie próbowałam. Większość terenu Centro Habana zajmowały nieciekawe betonowe boiska, które nadawały się wyłącznie do gry w baseball i prażenia się w niemiłosiernym upale na odsłoniętej przestrzeni.

Szukając miejsca z przewagą zieleni nad szarością, pomyślałam o południowym dziedzińcu uniwersytetu, pełnym bujnie kwitnących drzew jagüey, których gałęzie tworzyły swoisty baldachim nad niewielkimi trawnikami z tabliczkami PROTEGE LA NATURALEZA (Chroń przyrodę) i AMA LAS MATAS (Kochaj rośliny).

Poszłam więc w dół ulicą San Lázaro, która doprowadziła mnie do uniwersytetu. Ale kiedy, złana potem, zaczęłam się wspinać na dziedziniec wysokimi na sto stopni schodami, drogę zastąpił mi starszy mężczyzna, który okazał się tutejszym strażnikiem.

- Przykro mi, ale uniwersytet jest dziś zamknięty - powiedział, poklepując się w nogę, żeby przywołać małego, brązowego psa, który chwilę wcześniej stał obok, a teraz odszedł na bezpieczną odległość, bacznie mi się przyglądając.

- No pasa nada, Pluto - powiedział, przywołując go dalej, aż w końcu Pluto zatrzymał się, nie decydując się jednak wrócić do nogi swojego pana. Niewielu ludzi na Kubie słyszało o Walcie Disneyu, a mimo to część popularnych bohaterów jego kreskówek zadomowiła się na wyspie. Psy najczęściej wabiły się Pluto, a ludzi, którzy obnosili się ze zbyt krzykliwymi strojami, przezywano „Mickey” - jak popularną myszkę w krwistoczerwonych szortach na szelkach.

- Pluto jest bardzo płochliwy - wyjaśnił mi strażnik. - Znalazłem go na ulicy. Mnie też się z początku bał, więc proszę się nie przejmować.

- Ależ skąd - powiedziałam, wyciągając rękę do psa. Miałam nadzieję, że zyskam w ten sposób kilka punktów u jego pana, a tym samym - możliwość wejścia na teren uniwersytetu. Ale ochroniarz był nieprzejednany.

- Przykro mi - powtórzył, kiedy spytałam, czy mogę tylko usiąść pod drzewem. - Nikt

nie może wchodzić na teren kampusu, kiedy uniwersytet jest zamknięty. Takie są zasady, ale Proszę mnie nie pytać, dlaczego.

Roześmiałam się i strażnik również się uśmiechnął. Jego ogorzała twarz w jednej chwili pokryła się zmarszczkami przypominającymi gęstą sieć miniaturowych dopływów jednej rzeki.

- Jestem Miguel - powiedział. - A pani jak ma na imię? Skąd pani przyjechała?

Kiedy powiedziałam mu, że pochodzę ze Stanów, Miguel ożywił się, szeroko otwierając oczy i zaciskając z uniesieniem dłonie.

- W takim razie proszę mówić mi Michael - powiedział po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. - Mieszkałem w Nowym Jorku przez siedem lat przed Rewolucją i dwa lata po niej.

- Dlaczego wyjechał pan do Nowego Jorku? - spytałam zaskoczona. - Nigdy nie poznałam nikogo, kto wyjechałby z Kuby przed Rewolucją, ani nikogo, kto wróciłby tutaj po pobycie za granicą.

- Moja rodzina opuściła wyspę razem z wieloma innymi Kubańczykami, ponieważ Batista był okropnym człowiekiem - Miguel odparł wprost. - A wróciliśmy także razem z innymi dlatego, że wasz kraj zaatakował nasz, a to jest przecież nasza ojczyzna.

Przytaknęłam, nieco zawstydzona.

- Ale niech się pani nie przejmuję - Miguel zauważył moją reakcję. - Teraz jest pani tutaj. To o czymś świadczy - przerwał na chwilę, po czym dodał. - Mam nadzieję, że przyjdzie pani jeszcze kiedyś. Pluto i ja zawsze pilnujemy tych schodów.

Miguel wznosił ręce w stronę bezchmurnego nieba, a potem opuścił je, jakby chciał objąć otaczającą go pustkę. W jego geście było coś tak przejmującego, a jednocześnie tak pełnego rezygnacji, że pomyślałam od razu o cienkiej linii dzielącej cierpliwość i bierność. Linii, którą tak wielu ludzi na wyspie przekraczało każdego dnia setki razy. Zastanawiałam się, choć nie miałam odwagi spytać Miguela, czy jego życie okazało się tym, czego się spodziewał po powrocie na Kubę.

- No cóż, chyba muszę znaleźć jakieś schronienie - powiedziałam. - Czuję, że zaraz się tu roztopię. Ale na pewno jeszcze się spotkamy, zanim wyjadę. Będę tu jeszcze trzy tygodnie.

- Tak krótko? - zdziwił się Miguel. - Dlaczego nie zostanie pani dłużej? W lipcu mamy święto.

- Niestety, w czerwcu muszę być w domu. - Ale wrócę jesienią.

- Ach, więc pani też wróci - Miguel ucieszył się. - W taku11 razie będzie pani знаła już dwie osoby, które wróciły.



Po krótkich i nieudanych poszukiwaniach cienia na zewnątrz, zaczęłam spędzać popołudnia w domu z Dinorą. Moja gospodyni zachowywała się jak mała dziewczynka, której najlepsza koleżanka właśnie wprowadziła się do domu obok. Od razu postanowiła wymyślić nam jakiś sposób na wspólne spędzanie czasu. Jej pierwszym pomysłem była wymiana językovo-literacka. W ramach intercambio podarowała mi zbiór opowiadań Czechowa przetłumaczony na hiszpański. Ja z kolei dałam jej angielską książkę Śnić po kubańsku. Ustaliliśmy nawet datę pierwszego spotkania, podczas którego miałyśmy dyskutować o tym, co przeczytałyśmy.

- Wreszcie będę miała z życia coś więcej niż tylko nudne obowiązki gospodyni domowej - powiedziała.

Jednak pomimo naszych ambitnych planów czytelniczych, skończyło się na tym, że większość czasu spędzałam z Dinorą, pomagając jej w wielu prozaicznych, choć nie cierpiących zwłoki pracach domowych. Zwłaszcza tych, których - jak sama twierdziła - nie znosiła, a które w rzeczywistości wychodziły jej najlepiej.

Jeśli chodzi o prace w domu, Dinora była niezwykle skrupulatna i drobiazgowa - zdrapywała nawet najmniejsze resztki jedzenia z naczyń, które myłam. I bez przerwy ścierała kurze, mimo że z każdym podmuchem morskiej bryzy przez zawsze otwarte żaluzje wpadały do domu kolejne śmieci.

- Jeśli mam już być gospodynią domową, to będę najlepszą z nich wszystkich - odpowiedziała, kiedy spytałam ją o źródło tego entuzjazmu. - Dobrze jest umieć robić różne rzeczy - ciągnęła dalej. - Nigdy nie wiadomo, co życie przyniesie. Nawet jeśli cię czymś zaskoczy, bez trudu zdołasz się przyzwyczaić. I nie ma na ciebie mocnych.

Z tą deklaracją na ustach - niczym profesor w liceum przedstawiający swoim uczniom zadania na rozpoczynający się rok szkolny - Dinora zaczęła mnie uczyć, jak lepiej sprzątać, jak być bardziej zorganizowaną w życiu, a przede wszystkim - jak być równie sprytnie jak Kubańcy.

Pierwszą rzeczą, jaką mi pokazała, było przyrządzenie soku z ananasa a la cubana.

- W ten sposób masz jakby dwa ananasy - instruowała mnie, krojąc delikatnie kolczastą skórę, żeby nie stracić zbyt wiele miększu. Potem odłożyła na bok obranego ananasa, napełniła garnek wodą i wrzuciła do niego pokrojoną skórę. Po odstawieniu na dzień do lodówki, z garnka wyrzucało się obierzyny, pozostawiając samą wodę, która nabierała przez ten czas słodkiego smaku, stając się teraz kubańskim sokiem z ananasa.

Aby oszczędzić pieniądze na smażeniu, Dinora poradziła mi, żebym nie wyrzucała zużytego poprzedniego dnia oleju, tylko przelewała go do odpowiednio opisanych butelek

(olej z omletów, warzyw, ryżu i fasoli). Pokazała mi też, jak uratować stertę spleśniałych ziemniaków, które miałam właśnie wyrzucić. Kroiła je tak długo, aż dotarła do białego, niespleśniałego serca każdego ziemniaka. To, co z początku wyglądało na nie-nadające się do niczego odpadki, w rzeczywistości zamieniało się w dwa kopiaiste talerze pełne grubych, chrupiących frytek.

Wieczorami testowałam aktualnie nabyte zdolności w dziedzinie prowadzenia domu na Alfredzie, a on nauczył mnie kilku swoich „sztuczek”. Robiliśmy pepinos encultwos z posiekanych ogórków, które następnie wrzucaliśmy do gorącej wody z octem winnym, po czym schładzaliśmy je przez noc w lodówce. Był to tak prosty, wręcz oczywisty proces, że poczułam wstyd, jedząc chrupiące, aromatyczne pikle - nie miałam wcześniej pojęcia, w jaki sposób się je robi i ograniczałam się do tej pory do gotowych, paczkowanych porcji z warzywniaka.

Alfredo pokazał mi też, jak się robi kukurydziane naleśniki tamales, a kiedy zorientowaliśmy się, że nie mamy czym ich przewiązać, po krótkich poszukiwaniach wrócił z nożyczkami i moim wielofunkcyjnym sarongiem. W trakcie mojego pobytu na Kubie - jak również podczas innych, wcześniejszych wypraw do Ameryki Łacińskiej, gdzie go kupiłam, sarong służył mi już jako spódnica, tkanina dekoracyjna, prześcieradło, improwizowany koc piknikowy i szybko schnący ręcznik. Ale propozycja Alfreda wydawała mi się już nieco zbyt kontrowersyjna.

- Czy mogę odciąć kawałek? - spytał, wskazując na ozdobne frędzle.

Przejechałam ręką po czerwono-czarnej lamówce, po czym - odkładając na bok sentymenty - skinęłam głową, wyrażając zgodę. Potem wspólnie związaliśmy tamales. Było to dość czasochłonne zadanie - ja obwiązywałam każdy naleśnik prowizoryczną nicią dwukrotnie wzdłuż i wszerz, a Alfredo przykładał na końcu kciuk, bym mogła zrobić węzeł.

Kiedy leżeliśmy na łóżku, wyczerpani i syci po naleśnikowej uczcie, Alfredo obrócił się do mnie, zadowolony spojrzał mi w oczy i powiedział:

- Wiesz, kiedy tak razem gotowaliśmy, pomyślałem sobie, że takie życie bardziej mi się podoba, niż ciągle podróżowanie. Jest takie... prawdziwe.

Uśmiechnęłam się, rozumiejąc dokładnie, co ma na myśli. Kiedy Amy wyjechała, Alfredo wprowadził się do mojego pokoju, przyniósł swoje ubrania, szczoteczkę do zębów i maszynkę do golenia. Teraz, zamiast dzwonić, żeby mi powiedzieć, że przyjdzie po pracy, po prostu przychodził.

Nie byłam już tylko turystką z Ameryki, która zaprosiła na noc swojego kubańskiego chłopaka. Czułam, że jesteśmy prawdziwą parą, która mieszka razem. I nawet prozaiczne

szczegóły dnia codziennego nabrały nowego blasku. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że wspólne robienie zakupów czy przyrządzanie posiłków może być takie fajne.

Na śniadanie jedliśmy tosty przyrządzane w harcerski sposób - na płycie kuchennej, gdyż w domu nie było toster, a piekarnik nie działał. Smak spalenizny zabijaliśmy mnóstwem ostrego żółtego sera, kupowanego na czarnym rynku. Z kolei smród sera zabijaliśmy, smarując go miodem ze słoika, który Alfredo trzymał w wodzie, żeby nie dobrały się do niego mrówki.

Na deser przygotowaliśmy sobie wymyślne puchary wypełnione owocami mango, guajawy, bananów i ananasa. Potem Alfredo zmywał naczynia, a ja wycierałam. Kiedy Dinora zwróciła mi uwagę, że powinnam dokładniej szorować talerze, Powiedziałam, że to Alfredo, a ona się uśmiechnęła.

~ Znalazłaś sobie dobrego faceta - powiedziała.

Na dzień przed wylotem z Kuby, po kilku godzinach nieoczekiwanie smutnych pożegnań, mimo iż wszyscy wiedzieli, że wracam za kilka miesięcy, spotkaliśmy na ulicy kumpla Alfreda - Gerarda. Chwilę wcześniej znaleźliśmy się w samym sercu kolejnego wiecu solidarności z Eliánem Gonzálem.

- Socio! - zawołał Gerardo. Żeby do nas dojść, musiał przedrzeć się przez tłum ludzi machających flagami i skandujących „Viva la Revolución”!

- Estabas perdido! - powiedział, ściskając mocno Alfreda. - Gdzieś ty się podziewał?

Nie widziałam Gerarda od czasu, kiedy przyprowadził Alfreda do hotelu El Bosque, by poznać mnie z nim, a samemu poderwać moją koleżankę Heather. Mimo to miałam go ciągle w pamięci, gdyż Alfredo często o nim wspominał. Kiedy spacerowaliśmy po Hawanie, zawsze znajdował gdzieś jakiś park albo zrujnowany dom, który przypominał mu dzieciństwo spędzone z Gerardem.

- Strasznie dawno nie widziałem cię w okolicy - powiedział Gerardo.

- Owszem - Alfredo uśmiechnął się. - Mieszkam teraz z Leą w Centro Habana.

Gerardo spojrzał na mnie i nagle sobie przypomniał.

- Ciągłe tu jesteś? - spytał. - Minęło tyle czasu. Praktycznie jesteś już cubana.

Roześmiałam się.

- To nie było aż tak dawno.

- Spotkaliśmy się na początku lutego, czyli... - Gerardo zaczął liczyć na palcach - marzec, kwiecień, maj, dzisiaj mamy 3 czerwca. Twierdzą nadal, że trochę już tu jesteś. Nie daj się zmylić brakiem pół roku.

Pożegnaliśmy się z Gerardem, odprowadziłam Alfreda do pracy, a potem wróciłam do

domu. Powietrze było tego dnia wyjątkowo parne, niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, a w powietrzu wisiały pierwsze krople deszczu. Idąc ulicą Animas, zwolniłam kroku w nadziei, że zobaczę pierwszą moją burzę na Kubie. Czekaając na deszcz, pokręciłam się trochę przed domem. Ucięłam sobie pogawędkę z sąsiadem, który nigdy nie rozstawał się z cygarem i obejrzałam mecz ulicznego baseballu. Jednak mimo iż Gerardo nazwał mnie cubana, wiedziałam, że nigdy nie będę miała takiej cierpliwości jak tutejsi mieszkańcy i po jakimś czasie weszłam do domu.

Usiadłam na łóżku, chcąc trochę poczytać, ale prawie natychmiast zasnęłam. Najpierw obudził mnie pierwszy grzmot, a potem głos Luisa, który kazał mi pozamykać okna. Przede mną rozciągały się dachy Hawany - miasta, które zdążyłam już dobrze poznać. Przez uchylone żaluzje zrobiłam zdjęcie przepięknej błyskawicy, która przecięła niebo na pół; nie miałam jednak większej nadziei, że zdjęcie wyjdzie.

Wróciłam do łóżka i zasnęłam. Obudziłam się po raz trzeci, tym razem nie z powodu grzmotów czy głosów, ale z poczuciem, że ktoś mnie obserwuje - tak silnym, że przewiercało mi niemal czaszkę od tyłu. Obróciłam się na drugi bok, otworzyłam oczy i zobaczyłam Dinorę, która stała w drzwiach i patrzyła na mnie. Przez ułamek sekundy, zanim odwróciła wzrok, zobaczyłam w jej oczach coś, co mnie zdziwiło. Łagodne, choć uważne spojrzenie matki, która obserwuje swoje dorastające dziecko, wiedząc, że niebawem wyfrunie z gniazda.

- Nie chciałam cię obudzić - powiedziała Dinora, kiedy usiadłam na łóżku. - Przyszłam się tylko upewnić, czy pozamykałaś wszystkie okna. Duerme, mi hija. Spij, moja córko.

## Rozdział XX

### Wyobrażenia o Kubie

Przez kilka pierwszych dni w Stanach wszystko wokół wydawało mi się takie intensywne. Przemierzałam niegdyś znajomy świat, który teraz był mi zupełnie obcy Niczym antropolog, który notuje swoje wrażenia z kontaktu z odmienną kulturą.

Stany Zjednoczone były tak całkowicie i fantastycznie inne niż Kuba, że nie znajdowałam w nich praktycznie niczego, co przypominałoby mi wyspę, którą przed chwilą opuściłam. Nie było w ogóle czego porównywać, nie czułam nawet zmęczenia po trwającej trzy godziny podróży samolotem. W ciągu kolejnego tygodnia od powrotu do życia, które porzuciłam 4 miesiące wcześniej, czułam się już zupełnie swobodnie.

Wróciłam do starej pracy w księgarni, gdzie sprzedawałam książki i dyskutowałam o literaturze przy dźwiękach płyty z muzyką Buena Vista Social Club, którą jakiś klient zażyczył sobie, byśmy grali co najmniej raz dziennie. Z leżących na półkach magazynów spoglądała na mnie twarz Eliána Gonzálesa. Żaden z nich nie był w stanie opisać moich doświadczeń z pobytu na Kubie, chociaż dla większości ludzi, którzy mnie o nie pytali, wyspa kojarzyła się wyłącznie z tymi dwoma tematami - bohaterskim chłopcem, który uciekł Fidelowi, i zespołem z filmu Wima Wendersa, złożonym z kilku czerstwych staruszków.

Kiedy pod koniec czerwca Elián został w końcu odesłany na Kubę, pokazałam koledze w pracy artykuł w jednej z gazet, w którym było napisane, że rząd amerykański wydał na całą operację 2 miliony dolarów.

- Pomyśl tylko, ilu Kubańczyków można by za to wyżywić! - uniósł się mój kolega.

- Albo - dodałam, przypominając sobie bezdomnych, których widziałam rano koczujących na Van Ness Avenue - ilu Amerykanów.

Kiedy miałam wolne, robiłam to, co przed wyjazdem na Kubę - chodziłam w góry, spotykałam się ze znajomymi na kolacji, oglądałam filmy w kinie. A kiedy od nadmiaru możliwości i tempa życia w USA bolała mnie głowa, po prostu czytałam, leżąc na królewskich rozmiarów kanapie, większej od jakiegokolwiek łóżka, które dzieliłam wcześniej z Alfredem.

Co dziwne, mimo że nie potrafiłam sobie wyobrazić w tej scenerii Alfreda, jego brak dawał mi się we znaki. Nie chodziło nawet o to, że to, co widziałam, przypominało mi w jakiś sposób o nim, ale raczej o to, że wszystko, co widziałam, słyszałam i czułam, kazało mi myśleć, jak zareagowałby na to Alfredo. Czy przeraziłyby go albo zaskoczyły amerykańskie

kuchnie, ze słojami pełnymi ciasteczek i nieograniczoną liczbą przetworów mlecznych, zamrażarkami wypełnionymi po brzegi mięsem i miskami z jedzeniem dla kotów, które jadły nie resztki z wczorajszej kolacji, ale łososia i kocie miętówki? Czy odtńczyłby swój słynny taniec podniecenia, przechodząc po raz pierwszy po moście Golden Gate? Czy chciałby pójść ze mną w Nowy Rok na wędrowkę po parku narodowym Point Reyes?

Każde z pytań, które zadawałam sobie na Kubie, zastanawiając się, co Alfredo mógłby sobie pomyśleć o życiu w moim świecie, wydawało się teraz żyć swoim życiem. Rozpadało się, zmieniało i mnożyło, tworząc setki nowych pytań, na które nie znałam odpowiedzi. A jednak wciąż je sobie zadawałam i próbowałam - z różnym skutkiem - dzielić się moimi amerykańskimi doświadczeniami z Alfredem w czasie naszych rozmów telefonicznych, odbywających się dwa razy w miesiącu Przy akompaniamencie pisków i trzasków na linii.

Niestety, dość często zdarzało się, że gdy Alfredo odbierał słuchawkę po pierwszym sygnale, pytając: Hola? Mi amor?, telefon częściowo odmawiał posłuszeństwa, zagłuszając moje słowa, które stopniowo zmieniały się w coraz głośniejsze i bardziej desperackie okrzyki: - Estoy aquí, mi amor!

- Hola? Mi amor? - Alfredo powtarzał co kilka sekund, aż w końcu - znudzona i wściekła zabawą w głuchy telefon - odkładałam słuchawkę, przerywając mu w połowie amor.

Potem zaczynałam wszystko od nowa: wybierałam 11-cyfrowy numer karty telefonicznej, 10-cyfrowy kod pin, 3-cyfrowy prefiks rozmowy międzynarodowej, 2-cyfrowy numer kraju, 1-cyfrowy numer miasta i wreszcie 6-cyfrowy numer do domu matki Alfreda. Karta ta, w odróżnieniu od innych, nawet droższych połączeń międzynarodowych, jako jedyna dawała możliwość dodzwonienia się na Kubę - jednak cena takiego połączenia była dwukrotnie wyższa niż na sąsiednie Haiti, czterokrotnie wyższa niż do Kazachstanu i dziesięciokrotnie wyższa niż do Japonii. Droższe były już tylko połączenia do Afganistanu, Ruandy i kilku innych miejsc, o których nigdy nie słyszałam, takich jak Tokelau czy Diego Garcia.

Kiedy w końcu udało mi się dodzwonić do Alfreda, siedziałam na łóżku, wstrzymując oddech, bojąc się, że najdrobniejszy gest czy niewłaściwy ruch przerwie połączenie, zamykając niewidzialne drzwi, przez które mogłam dostać się na Kubę.

- Lea! - w głosie Alfreda słyszałam uśmiech i prawie czułam delikatne ciepło jego ramion, którymi objąłby mnie, gdybyśmy spotkali się na żywo. - Jak się masz? - pytał po angielsku, głosem tak nienaturalnie brzmiącym, że prawie nierozpoznawalnym. Zaraz po tym, jak wyjechałam z Kuby, zapisał się na lekcje angielskiego i teraz wrzucał obce zdania, gdzie tylko się dało. Jego ulubionymi zwrotami były: „O, mój Boże!” oraz „Czy jesteś moim

sąsiadem?”

- Może, gdy wrócisz, będziemy już mogli rozmawiać po angielsku - powiedział mi. -  
A potem, któregoś dnia przeczytam twoją książkę.

- Z miłą chęcią - zaśmiałam się do słuchawki.

Zaimponowało mi, że Alfredo chce przeczytać to, co napisałam, ale wiedziałam też, że nawet gdyby zdążył się do tego czasu dobrze nauczyć języka, i tak będzie miał trudność ze zrozumieniem istoty mojego pisarstwa. Tak samo ja potrzebowałam znacznie więcej niż tylko biegłej znajomości hiszpańskiego, by wyjaśnić mu niuanse życia w Ameryce.

Mimo wszystko, udawało nam się jakoś funkcjonować w tej nowej sytuacji, omijając szerokim łukiem rafy i mielizny, na które napotykalibyśmy, będąc jeszcze w Hawanie. Przez telefon Alfredo nigdy nie wzdychał z irytacją i nie mówił: „Ech, wy Amerykanie”. Ja też nigdy nie oskarżyłam go o męski szowinizm. Mając świadomość, że każda minuta rozmowy kosztuje mnie dolara, wiedziałam, że wdawanie się z nim w kłótnie przez telefon miałyby opłakane konsekwencje, ponieważ nigdy nie udałoby się nam osiągnąć kompromisu na odległość. Musiałam więc porzucić przekonanie, którego się do tej pory trzymałam, że nawet jako para jesteśmy skazani na kłótnie.

Z konieczności musieliśmy mocno ograniczać nasze rozmowy, wyzbywając się wszelkich niepewności i zamieniając prozę w poezję, wsłuchując się w poszczególne słowa i ton naszych głosów, tak abyśmy mogli potem kontynuować konwersację w naszych głowach, podczas długich tygodni ciszy. Zdecydowaliśmy się porzucić naszą małostkowość na rzecz prawdziwego słuchania.

Alfredo nadawał ton naszym rozmowom, notując w pamięci wszystko to, co usłyszał ode mnie w trakcie poprzednich rozmów i zapamiętując najdrobniejsze szczegóły dotyczące mojego życia w USA, o których ja sama zdążyłam już dawno zapomnieć. Pytał o moich przyjaciół, których nie znał i o moje codzienne zajęcia, których nie rozumiał.

- Czy wydawcy spodobała się twoja recenzja książki? - spytał podczas jednej z takich rozmów, chociaż wiedziałam, że sam nigdy nie czytał żadnej recenzji i nie bardzo wiedział, o co w niej chodzi.

- Dlaczego po prostu nie przeczytasz książki, jeśli chcesz się dowiedzieć, o czym ona jest? - spytał Alfredo.

- Recenzja książki nie polega na streszczaniu jej fabuły - odpowiedziałam. - Recenzja to w większym stopniu krytyka, wyrażenie własnej opinii na temat tego, czy książka ci się podobała, czy nie. Dzięki recenzjom nie musisz tracić czasu na czytanie złych książek.

- A jeśli osobie, która napisała recenzję konkretnej książki, nie przypadła ona do

gustu, podczas gdy ty lubisz tego typu literaturę?

- No cóż, musisz po prostu poznać jak najwięcej krytyków, żeby wiedzieć, który z nich ma gust podobny do twojego.

- Czyli z jednej strony oszczędzasz czas, czytając recenzje książek, a z drugiej tracisz go na studiowanie krytyków, żeby wiedzieć, co czytać? - Alfredo dociekał tak długo, aż wreszcie poddałam się, przyznając mu rację i śmiejąc się z absurdalności całej tej sytuacji.

Czasem nasze rozmowy tak właśnie wyglądały i z początku cieszyłam się z wyzwania, jakim było wyjaśnianie wszystkiego Alfredowi jak dziecku. Poszukiwanie najbardziej odpowiedniego słowa przypominało mi pisanie. Zdawanie powtórnego egzaminu z rzeczywistości, tym razem z drugiej strony katedry, sprawiało, że mój świat nabierał nowych barw.

Kiedy indziej miałam jednak dość pozornie niekończących się translacji kulturowych, których - koniec końców - i tak nie udawało mi się wiernie przetłumaczyć. Miotalam się między zadowoleniem i niezadowoleniem ze sposobu, w jaki role w naszym związku zmieniły się wraz z dzielącą nas od siebie odległością.

Na miejscu, w Hawanie, Alfredo zawsze odgrywał tego, który przekonuje, przeważnie nieugiętego - czasem w sposób rozpaczliwy - do bólu. Przypominam sobie, jak na samym początku zapamiętał numer mojego telefonu, zanim ja zdążyłam poprosić go o jego. Pierwszy wziął mnie za rękę, kiedy wracaliśmy z naszej randki w Coppelii i pierwszy pocałował mnie przed hotelem tej samej nocy. Kiedy wręczyłam mu list, w którym chciałam z nim zerwać, Alfredo zaprotestował i przy okazji późniejszych kłótni to on jako pierwszy wyciągał dłoń na zgodę, obiecując poprawę. To on pierwszy powiedział „Kocham cię” i pierwszy zapłakał przy pożegnaniu, kiedy wracałam do Stanów.

Ostatniego wieczoru przed moim wylotem Ludmiła przyszła z Alfredem na kolację. Potem przenieśliśmy się do mojego pokoju - ja się pakowałam na podłodze, oni siedzieli na łóżku.

- Lea, spójrz - w pewnym momencie Ludmiła przerwała mi moje nerwowe wywody na temat zbliżającego się lotu, a także rodziny i przyjaciół czekających w Stanach.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że Alfredo leży na łóżku, w pozycji na brzuchu, z głową zwisającą poza krawędź łóżka. W pierwszej chwili pomyślałam, że pewnie zasnął, była bowiem 2.00 w nocy. Ale kiedy przysunęłam się do niego, chcąc mu zrobić niespodziankę i zarzucić ręce na szyję, zobaczyłam, że oczy Alfreda, utkwione w podłodze, były otwarte i błyszczące od łez.

Alfredo nigdy nie płakał przez telefon. Ja za to często czułam, że za chwilę się



rozplacę, tak byłam zmęczona nową rolą osoby, która musi w pojedynkę dbać o to, by nasz związek się nie rozpadł, dzwoniąc regularnie na Kubę. Nie miałam innego wyjścia, gdyż Kubańczycy mogli dzwonić do Stanów wyłącznie na koszt rozmówcy, a cena takiego połączenia była znacznie wyższa od tej, którą ja płaciłam, dzwoniąc na wyspę.

W pewnym sensie były to te same stare role, w których Alfredo i ja ugrzęźliśmy na Kubie. Pieniądze i władza w dalszym ciągu leżały w moich rękach, choć teraz ta władza zyskała nowy wymiar - nie tylko ekonomiczny, ale także emocjonalny. Już nie mogłam być tylko bezbronną kobietą, teraz to ja musiałam walczyć o naszą miłość w sposób, w jaki nigdy wcześniej tego nie robiłam. Kiedy rozmawialiśmy o przyszłości, odczuwałam to samo poczucie nierówności co kiedyś - i znów wszystko zależało ode mnie.

- Kiedy wrócisz? - Alfredo spytał mnie w połowie lipca. - Kiedy znów cię zobaczę?

- Muszę odłożyć trochę więcej pieniędzy - powiedziałam. ~ Myślałam o końcu września.

- Acha - głos Alfreda wydawał się, mimo wszystko, opanowany. - To znaczy, że będziemy osobno prawie tyle, ile byliśmy razem.

- Wiem - powiedziałam. Szukając jakiejś jasnej strony tej niełatwej sytuacji, pomyślałam o naszych urodzinach, które wypadają w październiku.

- Moglibyśmy świętować je razem - powiedziałam.

- W porządku - Alfredo sprawiał wrażenie częściowo usatysfakcjonowanego. - Myślę, że po prostu musimy być cierpliwi i...

- Kreatywni, jak Kubańczycy - zakończyłam nieśmiertelną konkluzją, do której często dochodziliśmy podczas naszych rozmów na wyspie.

- Tak - zdążył jeszcze powiedzieć Alfredo, zanim usłyszałam w słuchawce znajomy sygnał, a po chwili nagrany głos uprzedził mnie, że nasz czas dobiega końca. - Możemy udawać, że nadal jesteśmy razem. Możemy śnić o nas w nocy.

Głos Alfreda przez telefon pozbawiał mnie oddechu, natomiast podstawą naszej komunikacji były regularne e-maile, poprzedzające rzadsze rozmowy telefoniczne.

Na początku pisaliśmy do siebie codziennie. Rano, po drodze do pracy Alfredo wstępował na uczelnię, gdzie korzystał z mojego starego konta. Czytając jego listy, wyobrażałam sobie, jak siedzi w dusznej uniwersyteckiej bibliotece i stuka palcami w brudną, poźółkłą klawiaturę. Pamiętałam doskonale zakłopotanie na jego twarzy, mieszające się z podziwem, gdy przed wyjazdem próbowałam nauczyć go używania klawiszy Shift i Enter oraz pozostałych klawiszy funkcyjnych. Teraz wiedziałam już, że nie do końca poradził sobie z tą sztuką.

Czasem maile, które przychodziły od Alfreda, były pisane samymi wielkimi literami, jakby ktoś pisząc je, krzyczał.

- MOJA NAJDROŻSZA - pisał Alfredo - NIE WIEM, CO SIĘ DZIEJE Z TYM KOMPUTEREM!

Kiedy indziej w ogóle nie było korespondencji, za sprawą an-tyamerykańskich i antyimperialistycznych pochodów, w trakcie których zamykano wszystkie ulice otaczające budynek uniwersytetu.

Bywały również takie dni, w których cały mail, napisany wyłącznie małymi literami, składał się z dwóch zdań: „Napisałem do ciebie długi list, ale wyłączyli prąd i wszystko szlag trafił. Teraz wszyscy czekają, aż zwolnię komputer, a la pesad rzuca w moją stronę pełne gniewu spojrzenia”.

Wiedziałam, co ma na myśli. Kiedy sama wysyłałam maile, będąc jeszcze w Hawanie, kilka razy stałam się w bibliotece uniwersyteckiej z la pesadą, nerwową kobietą, której zadaniem było monitorowanie, kto i w jaki sposób korzysta z komputera. Chociaż nie było żadnych limitów czasowych na wysłanie poczty, mniej więcej pół godziny po tym, jak usiadło się przed komputerem, la pesada zaczynała krążyć wokół swojej ofiary, rzucając w jej stronę charakterystyczne gniewne spojrzenia.

Z łatwością mogłam sobie więc wyobrazić, że la pesadzie nie spodobał się Alfredo ani jego pisanie w tempie 10 słów na minutę. Z każdym kolejnym tygodniem jej postać coraz częściej przewijała się w korespondencji od Alfreda. Raz nawet napisał mi, że kobieta poprosiła go o dokument potwierdzający możliwość korzystania z konta.

Następnego dnia dostałam kolejnego, tym razem bardzo zdawkowego maila, który brzmiał mniej więcej tak: „Lea, gdybyś tylko wiedziała, jaki jestem szczęśliwy, czytając i odpowiadając na twoje listy. Hola, mi amor”. Przejechałam w dół kursorem w nadziei, że może Alfredo niepotrzebnie wcisnął kilka razy Enter, ale na tym mail się kończył.

Próbowałam wytłumaczyć to sobie nagłą przerwą w dostawie prądu w całej Hawanie. Ale chwilę później przyszedł mail, którego się obawiałam.

- Wybacz mi, mi amor - pisał Alfredo - ale przyszedł szef la pesady i powiedział, że mam tylko kilka minut na napisanie tego ostatniego maila. Powiedział, że skoro to ty zapłaciłaś za dostęp do poczty, tylko ty jesteś upoważniona do korzystania z tego konta. A ja nie mogę otworzyć swojego, nawet gdybym miał pieniądze, ponieważ tutaj nie studiuje. Strasznie mnie to rozzłościło, pero ya tu sabes. Es Cuba.

Wiedziałam jednak, że na Kubie zawsze jest jakieś wyjście, kolejny mail musiałam czekać zaledwie trzy dni. Chociaż tym razem poczta przyszła z innego adresu i była

podpisana Przez człowieka, którego nie znałam. Mężczyzna ten napisał niezgrabną, formalną angielszczyzną: „Alfredito poprosił mnie, bym panią uprzedził, że wkrótce wysle do pani maila.

W przyszłości proszę kierować odpowiedzi na ten adres. Z poważaniem, Ernesto”.

Niebawem dowiedziałam się, że Ernesto, czy też El Cor-rupto, Demoralizator - jak nazywał go przez telefon Alfredo (pewnie dlatego, że Ernesto miał 55 lat i umawiał się z 25-let-nią przyjaciółką Alfreda), podciągnął sobie na własną rękę internet do swojego domu w Miramarze.

Od tej pory rzeczywiście wysyłałam maile na skrzynkę El Corrupto, który je drukował i dzwonił po Alfreda, żeby wpadł je sobie odebrać. W odpowiedzi Alfredo pisał maile odręcznie i dawał je Ernestowi, który wklepywał je do komputera, po czym wysyłał do Stanów.

Z początku dość mocno cenzurowałam swoje listy, skrępowana świadomością, że obcy - w dodatku dość obleśny - facet, którego mogę spotkać przy najbliższej okazji na Kubie, przeczyta moje intymne wyznania adresowane do Alfreda. Jednak gdyby Alfredo podejrzewał Ernesta o to samo, również trzymałby na wodzy swoje uczucia, które przelewał na papier - a nie robił tego. Im lepiej znał angielski, tym jego maile stawały się coraz bardziej intymne.

Któregoś dnia napisał po angielsku, ciesząc się z mojego rychłego powrotu: „Będę czekał na ciebie z szeroko otwartymi ramionami i sercem na dłoni”.

Gdy to czytałam, natychmiast przypomniał mi się jeden z tych niepokojących obrazów Fridy Kahlo, na którym wewnętrzne organy człowieka unosiły się swobodnie w powietrzu wokół jego rozprutego ciała.

Innym razem napisał maila, w którym El Corrupto popełnił - mam nadzieję - niezamierzony, choć dość kuriozalny błąd: „Jestem strasznie zmęczony, ponieważ harowałem cały dzień, a potem waliłem konia, wracając na nogach przez całą Hawanę” (błąd, o którym pisze Lea, musiał wynikać z przekręcenia słowa „walked” - szedłem, na „wanked” - onanizowałem się - przyp. tłum.).

Kiedy już skończyłam się śmiać, dotarło do mnie, że postępy Alfreda w nauce angielskiego zaczynają mnie przerażać - A może „angielski” Alfredo, władający biegle moim językiem, nie spodoba mi się? A jeśli okaże się, że wszystkie te czułe słówka, którymi obsypywał mnie po hiszpańsku, są tylko językowymi kalkami, które po angielsku brzmią dużo gorzej? I wreszcie, czy istnieje możliwość, że namiętność i uczucie, które narodziło się między nami, były wynikiem dzielących nas różnic, a nie podobieństw?

Często czułam się tak, jak gdybym tylko wyobrażała sobie Kubę, Alfredo był wyłącznie wymyśloną przeze mnie postacią, nasz związek literacką fikcją, a mój pobyt na wyspie niczym więcej, jak tylko bajką - krótkim, słodkim snem, który wydarzył się dawno, dawno temu.

Nawet zdjęcia, które zrobiłam na Kubie, nie pomagały mi pozbyć się tego odczucia. Jedno ze zdjęć przysłała mi Heather, Amerykanka, która uczestniczyła w naszym programie i poznała mnie z Alfredem.

- Nie jest dobre - napisała - ale myślę, że i tak będzie coś dla ciebie znaczyło.

Zdjęcie zostało wykonane przez nieznaną mi osobę pierwszej nocy, kiedy poznałam Alfreda. Siedzieliśmy wtedy na Ma-lecónie. Na zdjęciu po jednej stronie byłam ja, po drugiej Heather, a Alfredo i jego przyjaciel Gerardo siedzieli w środku. Jakimś trafem migawka aparatu nie do końca się otworzyła, wskutek czego jedyną częścią Heather widoczną na zdjęciu były jej nogi. Mnie brakowało jednego oka i połowy czoła, a Gerardo został ucięty do pasa. Alfredo wprawdzie zachował się w całości, ale tego wieczoru ubrany był cały na czarno, więc na fotografii widać było tylko świecące na tle nocnego nieba białka jego oczu, podczas gdy cała twarz rozpływała się w mroku.

Nigdy wcześniej moje wspomnienia nie wyblakły tak szybko i dosłownie. I nigdy nie trwały tak mocno na tak wiele sposobów. Gdy mi ich zabrakło, Alfredo odzywał na kartach mojej książki, moich artykułów i listów, które słałam do wydawców.

Kiedy przestałam już nerwowo reagować na pytania dotyczące wyłącznie Eliana Gonzalesa i zaczęłam opowiadać o tym, Co naprawdę dzieje się na Kubie, zdałam sobie sprawę, że brak wiedzy na temat tego kraju, pokutujący w opinii publicznej - podobnie jak i mojej, zanim nie odwiedziłam wyspy - nie wynikał z obojętności. Był bezpośrednim skutkiem embarga i wynikającej z niego cenzury na wszystko, co wiązało się z Kubą. W rzeczywistości ludzie chętnie dowiadywali się prawdy o życiu na wyspie i z przyjemnością dzielili się nawet najdrobniejszymi szczegółami, które zapamiętali.

Wkrótce po tym, jak opublikowałam mój pierwszy artykuł na temat Kuby - historię roweru Flying Pigeon, który wypożyczyłam i na którym zwiedziłam całą Hawanę, zadzwonił do mnie pewien czytelnik, który podróżował po Kubie w ten sam sposób.

- Wydaje mi się nawet, że mogliśmy tam być w tym samym czasie - powiedział podekscytowany. - Tak się ucieszyłem, gdy przeczytałem pani artykuł, ponieważ za każdym razem, gdy próbowałem opowiedzieć znajomym, co wtedy przeżyłem, nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów.

Potem, któregoś wieczoru po powrocie do domu, zastałam na automatycznej

sekretarce wiadomość: „Witam, nazywam się William i pewnego dnia, gdy zupełnie przypadkiem szedłem ulicą Calle 64 w Hawanie, spotkałem pewną kobietę o imieniu Ludmiła, która niezwykle żywo zareagowała, gdy jej powiedziałem, że pochodzę z Kalifornii. Zaprosiła mnie do domu, przedstawiła swojej babci, a potem pokazała mi kilka artykułów napisanych przez jej koleżankę z Kalifornii. Rozpoznałem pani nazwisko, ponieważ wcześniej czytałem już pani artykuł na temat Kuby. Wróciłem do Stanów, mieszkam teraz w San Francisco i z chęcią się z panią spotkam, by przekazać pani list od Ludmiły”.

Kiedy oddzwoniłam do Williama, mając nadzieję, że uda nam się spotkać w jakimś neutralnym miejscu, on zaprosił mnie na obiad do swojej rodziny. Ten gest przypomniał mi o Kubie bardziej niż cokolwiek innego od czasu, gdy wróciłam do domu.

Regularnie wyjmowałam ze swojej skrzynki pocztowej listy od przyjaciół z Kuby - wszystkie wysłane za pośrednictwem obcych mi ludzi, którzy podróżowali do miejsc, w których nigdy nie byłam - Boulder, Miami czy Quebecu. Działo się tak, ponieważ Kubańcy nie pokładali większej wiary we własny system pocztowy.

W liście ostemplowanym w Nowym Jorku Dinora pisała, że wraca we wrześniu na uniwersytet, gdzie znów będzie uczyć rosyjskiego, tym razem w niepełnym wymiarze godzin. „Kiedy wrócisz - przeczytałam w jej liście - będziesz już mieszkać z nauczycielką, nie z gospodynią domową”. Pod koniec listu Dinora wspomniała o Alfredzie: „Z tego, co wiem, trzyma się nieźle. W zeszłym miesiącu dzwonił, żeby złożyć Luisowi życzenia z okazji Dnia Ojca”.

- Naprawdę do niego zadzwoniłeś? - spytałam Alfreda przy okazji najbliższej rozmowy telefonicznej. - Czy to znaczy, że zmieniłeś zdanie na ich temat?

- Tak - odparł Alfredo. - I wiesz co? Telefon odebrała Dinora i ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Powiedziała, że z początku źle mnie oceniła z powodu mojej fryzury.

- Fryzury?

- No wiesz, że niby jest taki szalony, jak u wszystkich rasta-manów, którzy noszą dredy.

- Ach tak... W każdym razie cieszę się, że lepiej się ze sobą dogadujecie - powiedziałam.

Potem zmieniliśmy temat i zaczęliśmy planować, co będziemy robić po moim powrocie na Kubę na początku października. Stało na tym, że pierwsze 3 tygodnie spędzimy w Hawanie, potem wyjedziemy na kilka dni do Trinidadu w centralnej części wyspy, by na kilka ostatnich wrócić do stolicy.

Czas, który pozostał mi do października, wykorzystywałam najlepiej jak potrafiłam,

wysyłając Alfredowi okruchy mojego życia - napisane przeze mnie artykuły, które mógł czytać ze swoim nauczycielem na lekcjach angielskiego oraz fotografie gór otaczających mój dom. Wszystko to wsadzałam do paczek doręczanych na Kubę przez nieoficjalnych kurierów, których nazwiska poznałam dzięki międzynarodowej organizacji Global Exchange - tej satnej, która zorganizowała mój kurs języka na wyspie.

Czasem zdarzało mi się znaleźć takiego kuriera na własną rękę - byli to przeważnie klienci, którzy kupowali w mojej księgarni książki na temat Kuby. W tym przypadku musiałam być jednak bardziej ostrożna, podchodząc do potencjalnych posłańców z wielką delikatnością i w możliwie zawoalowany sposób.

- Och, czyżby planował pan podróż na Kubę? - pytałam z udawaną nonszalancją, jak gdyby rozmowa dotyczyła tego, czy po południu będzie padać.

Na twarzach moich rozmówców pojawiało się wówczas dobrze mi znane, ukradkowe spojrzenie, będące odpowiedzią na niezadane pytanie: „Czy tej osobie można zaufać?”. W ten sposób nawiązywaliśmy kontakt.

Z czasem stosowałam tę technikę coraz częściej i z coraz lepszym skutkiem, tak że średnio co 2 tygodnie udawało mi się znaleźć kogoś, kto wybierał się na Kubę. Jeśli nie była to bezpośrednio ta osoba, z którą rozmawiałam, okazywało się, że akurat czyjś przyjaciel, szef z pracy albo ktoś, kto wyprowadzał psa należącego do brata tej osoby, leciał do Hawany.

- Nie wydaje ci się to dziwne, że wcześniej nie znałaś nikogo, kto byłby na Kubie, a teraz, kiedy wróciłaś, okazuje się, że wszyscy, których spotykasz, mają jakieś związki z tym krajem? - spytał mnie kiedyś mój przyjaciel.

Nie wydawało mi się to aż tak niezwykle. Wróciłam ze świata, o którym większość Amerykanów jednak słyszała, tylko nie wszyscy odważyli się tam pojechać. Ci z nas, którzy odwiedzili Kubę - członkowie nieoficjalnych klubów lub należący do określonych subkultur - utrzymywali „podziemny” system informacji, broniąc go, jakby to była kwestia życia i śmierci.

Dzięki pomocy naszych kubańskich kurierów Alfredo i ja zaczęliśmy międzynarodową wymianę prezentów. Ja wysłałam mu sandały Timberlanda, okulary przeciwsłoneczne, słownik hiszpańsko-angielski i album z naszymi zdjęciami.

Alfredo zrewanżował mi się dwujęzycznym magazynem, opisującym historię rewolucji na Kubie oraz pocztówką z Gran Piedra - skalistą górą w Santiago, na którą wspięliśmy się razem. Wysłał mi też wszystkie przeterminowane, pozornie bezużyteczne listy, których do tej pory nie udało mu się dostarczyć za pośrednictwem poczty elektronicznej. Ale najpiękniejszym prezentem, jaki od niego dostałam, było matowe, czar-no-białe zdjęcie,

pogięte i poźółkłe na rogach. Na zdjęciu był mały Alfredo stojący na wyłożonej kafelkami podłodze przed telewizorem. Pod stopami miał ceramiczną kaczkę-zabawkę, na rękach dziecięce waleczki tłuszczu, do tego krótkie włosy i odstające uszy. Ubrany był w ciemne sztruksy, zapinaną na guziki białą koszulę i kamizelkę w tureckie wzory, na nogach miał błyszczące białe buty. Uśmiechał się od ucha do ucha jak kot Garfield.

„Zdjęcie zostało zrobione, kiedy miałem zaledwie 4 lata

- Alfredo dopisał w liście. - Ale spójrz, już wtedy się w tobie kochałem”.

Ja także wysłałam mu swoje zdjęcie w tym samym wieku

- pulchniutkiej dziewczynki, nadąsanej z powodu jakiejś wielkiej niesprawiedliwości, która musiała mnie spotkać tuż przed otwarciem migawki.

Jedyną rzeczą, jakiej nie wysyłałam Alfredowi, były pieniądze. Nie dlatego, że nie ufałam moim kubańskim łącznikom. Nie ufałam samym pieniądзом, bojąc się, że wpłyną na nasz związek. Pamiętałam doskonale sceny nad basenem w hotelu El Bosque, gdyż wielu zamieszanych w nie moich rodaków dzwoniło do mnie regularnie, by porównać nasze dotychczasowe „trofea” i związane z nimi doświadczenia. Z dumą odpowiadałam, że Alfredo nigdy nie wziął ode mnie pieniędzy, w odróżnieniu od ich kochanek i kochanków, którzy prosili (i bardzo często dostawali) o kilkaset, a nawet kilka tysięcy dolarów na pilne wydatki, które były im potrzebne pod nieobecność ich amerykańskich sponsorów.

Zamiast pieniędzy wolałabym wysłać Alfredowi nowy, wielki worek marynarski.

„Mogę wyścielić go pierzem dla wygody. A kiedy moja przyjaciółka Susan zjawi się u ciebie w przyszłym tygodniu, jedyne, co musisz zrobić, to wejść do worka i zwinąć się w kłębek na Jego dzień - napisałam do niego. - To moja serdeczna przyjaciółka, która w dodatku ma wobec mnie dług wdzięczności. Będzie na ciebie czekać w terminalu bagażowym i jeśli wszystko się uda - za kilka godzin będziemy razem. Bez ślubu, bez papierów, bez polityki”.

„Ay, mi amor! - odpisał Alfredo. - Jeśli to, co piszesz jest możliwe, możesz się już zabierać za pisanie swojej najlepszej historii”.

Kiedy Susan poleciała na Kubę, zamiast worka dałam jej do podpisania przez Alfreda wniosek wizowy dla par starających się o wydanie zgody na akt małżeństwa. Ta opcja, o której dowiedziałam się od przyjaciółki pewnej dziewczyny, która starała się o taką samą wizę razem ze swoim kubańskim chłopakiem, umożliwiłaby Alfredo przyjazd do Stanów na 3 miesiące. Po tym okresie albo weźmiemy ślub, albo - jeśli okaże się, że nie jesteśmy jeszcze gotowi do takiego poświęcenia - Alfredo najzwyczajniej w świecie wróci do siebie.

Wydawało się to idealnym rozwiązaniem, jeśli pominąć tak „nieistotne” szczegóły, jak brak pozwolenia na pracę Alfreda w trakcie tych 3 miesięcy czy fakt, że nie posiadałam

własnego mieszkania, w którym moglibyśmy zamieszkać. Martwiłam się też tym, że - nawet jeśli potraktujemy tę wizę wyłącznie jako pretekst do wizyty Alfreda w USA, a gdyby okazało się, że nie możemy bez siebie żyć, po prostu weźmiemy ślub - cała sprawa nie okaże się taka prosta, jak można by ją sobie wyobrazić. Bałam się, że waga słowa „narzeczony” postawi nasz związek pod dużą presją, zwłaszcza w przypadku - nieuniknionych przecież - kłótni, które mogłyby mieć teraz dużo poważniejsze konsekwencje. Z wizą czy bez niej, nasza przyszłość - dwojga ludzi pochodzących z dwóch diametralnie różnych państw pozostających ciągle w stanie zimnej wojny - i tak była z góry skażona tyłoma różnymi utrudnieniami, że sama myśl o nich przyprawiała mnie o zawrót głowy.

Tak czy inaczej, w konfrontacji ze zniechęcającą perspektywą wzięcia ślubu przy okazji najbliższej wizyty na Kubie tylko po to, by Alfredo mógł przyjechać do Stanów, moje zmartwienia dotyczące samej wizy wydawały się mało znaczącymi błahostkami. Tymczasem, kiedy powiedziałam Alfredowi o takiej możliwości, zareagował na nią z czystą i szczerą ekscytacją.

- To kiedy mogę przyjechać? - spytał.

- No wiesz, cały proces trwa około 9 miesięcy, ale...

- Tylko tyle? Dziewięć miesięcy? To pestka! - potem nastąpiła krótka cisza, w czasie której Alfredo liczył coś gorączkowo pod nosem. - To znaczy, że już w maju stanę się częścią twojego świata.

- Być może - utemperowałam nieco jego entuzjazm. - Ale bardziej prawdopodobne jest to, że będziesz musiał poczekać do następnej jesieni, aż uda mi się odłożyć trochę pieniędzy.

- Pieniądzy? - głos Alfreda zabrzmiał tak, jak gdyby nigdy się nad tym aspektem nie zastanawiał. - Mogę poprosić tatę o pieniądze na wizę.

Ojciec Alfreda wyemigrował do Stanów tuż przed moim wyjazdem z Kuby i w ciągu miesiąca razem z żoną znaleźli pracę w Miami.

- Nie przelewa mu się, ale na pewno zechce nam pomóc - ciągnął Alfredo, po czym dodał: - Z pewnością daje sobie radę dzięki ustawie o przystosowaniu Kubańczyków do życia w USA.

Przegłosowana w 1966 roku ustawa, o której wspomniał Alfredo, gwarantowała uchodźcom z Kuby większe prawa niż jakiegokolwiek innej grupie etnicznej zamieszkującej terytorium Stanów Zjednoczonych, włącznie z automatycznym nadawaniem amerykańskiego obywatelstwa dzieciom, które urodziły się na emigracji. Kubańczycy, którzy uciekli z wyspy, mogli za darmo uczęszczać do prywatnych szkół, brać kredyty studenckie na czas



nieokreślony oraz pożyczki na rozwój działalności gospodarczej na warunkach dużo bardziej preferencyjnych niż te, na jakie mogli liczyć obywatele amerykańscy. Podczas gdy mieszkańcy Haiti, którzy przybijali do brzegów Stanów Zjednoczonych na prowizorycznych tratwach, byli natychmiast deportowani do domu, gdzie czekały ich faktyczne prześladowania polityczne, w przypadku obywateli sąsiedniej Kuby wystarczyło, że postawili oni stopę na amerykańskiej ziemi, a niemal od ręki dostawali prawo stałego pobytu i związane z nim korzyści materialne. Jak podsumował to kiedyś Fidel Castro: „Gdy Meksykanin wjedzie do Stanów nielegalnie, natychmiast wyrzucają go z powrotem. A kiedy to samo zrobi Kubańczyk, Amerykanie dają mu dom”.

W przypadku ojca Alfreda przez pierwsze pół roku on i jego rodzina otrzymywali od rządu 300 dolarów miesięcznie w bonach żywnościowych, bezpłatną opiekę medyczną, darmowe bilety autobusowe oraz 500 dolarów gotówką.

- To miło z twojej strony, że chcesz prosić ojca o pomoc - powiedziałam Alfredowi. - Ale wierz mi, dam sobie radę. Potrzebuję tylko trochę czasu.

Chciałam powiedzieć Alfredowi, że prawdopodobnie oszczędności, które posiadałam, wystarczyłyby na utrzymanie naszej dwójki przez te 3 miesiące, ale wiedziałam, że to tylko skomplikowałoby sprawę. Następną rzeczą, jaką musiałabym wyjaśnić Alfredowi, byłby fakt, że gdy mówiłam mu, iż nie może przyjechać przed jesienią przyszłego roku z powodu moich kłopotów finansowych, nie byłam z nim szczerą, tak jak to mają w zwyczaju ludzie na Kubie. Prawda, którą usłyszałby z moich ust, byłaby zupełnie inna - ja po prostu nie miałam ochoty pozbyć się w ten sposób wszystkich moich oszczędności. Posiadanie zawsze choćby kilku dolarów na czarną godzinę było w socjalistycznym społeczeństwie kubańskim czymś obcym i niezrozumiałym. W całym tym procesie przekładania na nasze języki dzielących nas barier kulturowych czułabym się jak ostatni skąpiec, wiedziałam bowiem, że Alfredo - gdyby miał pieniądze - bez najmniejszego wahania wydałby je na bilet do Stanów, sekundę po tym, jak dowiedziałby się o przyznaniu mu wizy. Będąc na Kubie, doświadczyłam wielkiej hojności i przekonałam się, że im mniej ludzie mieli pieniędzy, tym łatwiej było im wszystko wydać - w najgorszym przypadku wychodzili na zero, czyli do punktu, w którym znajdowali się na początku.

4 września 2004 roku spakowałam do teczki wszystkie bilingi telefoniczne z wyszczególnionymi rozmowami z Kubą, ksero mojego biletu lotniczego do Hawany, pismo, w którym własnoręcznym podpisem poświadczałam, że jestem stanu wolnego i na Kubie czeka na mnie mężczyzna o imieniu Alfredo, potwierdzone notarialnie w dwóch językach - hiszpańskim i angielskim - odpisy naszych aktów urodzenia, 4-stronicowy kwestionariusz

osobowy, kilka naszych zdjęć - razem i osobno - oraz czek na 95 dolarów. Wsadziłam to wszystko do wypchanej po brzegi koperty, którą następnie zaadresowałam do siedziby służb?migracyjnych, mieszczącej się w jakiejś kompletnie mi nieznannej miejscinie w Południowej Kalifornii i wrzuciłam w drodze do pracy do błękitnej skrzynki na listy, wiszącej niedaleko wejścia do mojej księgarni.

Mimo iż powiedziałam kilku najbliższym przyjaciółom o pomysłe z wizą dla narzeczonych, większość bliskich mi osób - w tym moi rodzice - o niczym nie wiedzieli. W przypadku mojej matki, która zakochała się w Alfredzie od pierwszego wejrzenia, gdy pokazałam jej jedno z jego zdjęć i twierdziła, że to najprzystojniejszy mężczyzna na świecie, nie byłby to żaden problem. Podobnie jak Alfredo, moja mama była romantyczką i idealistką, która szybko wpadała w zachwyty, a wolniej zastanawiała się nad konsekwencjami podjętej przez siebie decyzji. Gdy opowiedziałam jej o naszym związku, nie zważając na żadne rasowe, kulturowe, finansowe ani językowe różnice, które zaprzętały moją głowę, serdecznie mnie wyściskała.

Z kolei mój ojciec był bardziej podobny do mnie. Realista i pragmatyk, który słysząc o Alfredzie i moich planach powrotu na Kubę, z miejsca pogrążał się w smutku. Próbował sobie jakoś z tym radzić i ignorował całą tę sytuację, a ja - nie chcąc słuchać jego obaw, w których pobrzmiwało echo moich własnych - brnęłam dalej. Z czasem osiągnęliśmy perfekcję w unikaniu się nawzajem.

Pakując walizki przed odlotem na Kubę, liczyłam dni, odkąd po raz ostatni słyszałam głos Alfreda przez telefon i zdałam sobie sprawę, że od tamtej pory minął już prawie miesiąc. Podczas jednej z naszych ostatnich rozmów Alfredo uprzedził mnie, że za cztery dni połączenia między Kubą i Stanami zoraną przerwane.

- O czym ty mówisz? - spytałam, zaskoczona, zastanawiając się, czy takie przerwy - podobnie jak w przypadku energii elektrycznej - były zamierzone.

- Och, to się zdarza mniej więcej raz w roku na kilka tygodni - Alfredo nie wydawał się tym faktem przejęty. - W tym czasie obie strony usiądą do stołu negocjacji. Kuba będzie, na przykład, żądać zwrotu pieniędzy zdeponowanych w amerykańskich bankach przed wybuchem rewolucji, ale Amerykanie zażądają w zamian ustąpienia Fidela. Albo USA podniosą opłaty za połączenia telefoniczne Kuby ze światem. Wtedy Fidel się wścieknie i sam odłączy linię. Zazwyczaj robi to podczas wakacji, ponieważ wie, że w tym czasie imigranci z Miami próbują się skontaktować ze swoimi krewnymi na wyspie.

Wiedząc, że nasz czas jest ograniczony, przez kolejne cztery dni rozmawialiśmy po 15 minut, dzięki czemu nasze kontakty nabrały tak bardzo przez nas pożądanego poczucia

ciągłości, o którym nie mogło być mowy w przypadku sporadycznych telefonów co dwa tygodnie.

Piątego dnia, gdy podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer, w uszach zabrzmiał mi sygnał zajętego numeru. Nie mogąc się połączyć, pogodziłam się z faktem, że następnym razem, gdy usłyszę głos Alfreda, będę już stała z nim twarzą w twarz w holu międzynarodowego lotniska imienia José Martí.

## Rozdział XXI

To się nazywa szczęście

Kiedy przyleciałam do Cancún, kończyłam właśnie 26 lat, a na Kubie rozpoczynał się sezon huraganów.

Stawiając czoło rzęsistej ulewie, wybiegłam z terminalu Cancún International Airport, kierując się w stronę niewielkiego budynku w kolorze brzoskwini, w którym mieścił się urząd Cubana de Aviación. Gdy tylko moja stopa zapadła się w rozmokłej od wody ziemi, dzielącej brakujący kawałek chodnika od wejścia do budynku, przypomniałam sobie, jak przyleciałam tu po raz pierwszy, w taki sam dżdżysty poranek, niecałe 8 miesięcy temu. Jak w filmowej retrospekcji zobaczyłam siebie stojącą w tym samym miejscu, w tym samym błocie wciskającym mi się do tych samych sandałów, z niecierpliwością i niepokojem wyczekując, co będzie dalej. Kiedy zorientowałam się, że nie byłam w tym uczuciu odosobniona - inni uczestnicy programu również zabrali ze sobą bagaż własnych zmartwień i oczekiwań na nadchodzący miesiąc - moje obawy powoli zaczęły znikać. W dość nerwowej atmosferze zbiliśmy się w kupkę pod niewielkim okapem, starając się nie zmoknąć w oczekiwaniu na kogoś, kto otworzy nam drzwi wejściowe do zamkniętego na cztery spusty budynku Cubana de Aviación.

Dzisiaj, gdy wylądowałam o 7.00 rano, urząd był już wprawdzie otwarty, ale odpowiedź kobiety sprzedającej bilety nie uspokoiła w żadnej mierze moich skołatanych nerwów.

- Proszę przyjść jutro, albo jeszcze później - powiedziała z nonszalancją, po czym zaczęła przekładać stertę papierów na biurku.

- Por qué? - spytałam. Dziwnie się czułam, rozmawiając z kimś znowu twarzą w twarz po hiszpańsku i zaczęłam się nawet zastanawiać, czy dobrze zrozumiałam kobietę.

- Loty zostały wstrzymane trzy dni temu - powiedziała.

- Zawsze tak się dzieje w porze huraganów. Jest zbyt niebezpiecznie.

- A co z tymi wszystkimi samolotami? - obróciłam głowę w stronę pasa startowego, z którego widziałam, jak odlatywało kilka maszyn.

- To są nowe samoloty - agentka nie mrugnęła nawet okiem.

- Nie takie stare rosyjskie, jak nasze.

- No tak - dałam za wygraną, pamiętając o tym, że kubańskie linie lotnicze nawet w najlepszych czasach cieszyły się kiepską reputacją. Dinora opowiadała mi, jak bardzo się bała

za każdym razem, gdy Luis albo Nitzta lecieli gdzieś w interesach, mając w pamięci nie tak dawną katastrofę, kiedy w 1989 roku w Hawanie rozbił się samolot, na pokładzie którego zginęło 126 osób. Podczas mojego ostatniego lotu na Kubę wszyscy pasażerowie bili brawo, kiedy nasz samolot dotknął kołami płyty lotniska.

Odkładając na moment papiery, kobieta wskazała na stertę plecaków i walizek stojących w kącie pod ścianą.

- Może pani tam zostawić bagaż na noc.

W ten sposób uczciłam 27. urodziny, włócząc się po pełnych turystów ulicach Cancún i unikając ulicznych naciągaczy, którzy wołali za mną w języku będącym mieszanką hiszpańskiego i angielskiego: - Un sombrero, seniorita. For you, very buen precio. Muy cheap. Kiedy dopadło mnie zmęczenie i trudy nieprzespanej nocy dały wreszcie o sobie znać, wróciłam do hotelu, żeby uciąć sobie spóźnioną drzemkę. W chłodnym, klimatyzowanym pokoju zapadłam w niespokojny sen, przerywany niepokojącymi myślami, krążącymi wokół przyjazdu do Hawany i wyjazdu ze Stanów.

Gdy po raz pierwszy wybrałam się na Kubę, wszystkie potrzebne mi rzeczy zapakowałam do starego, wysłużonego plecaka. Ale tym razem, chcąc pomieścić prezenty, które kupiłam moim kubańskim przyjaciółom, zaopatrzyłam się w modną walizkę na kółkach. Pomimo wygodnej wysuwanej rączki, na dłoniach miałam odciski od ciągnięcia jej z lotniska do terminalu odpraw, w którym agentka linii lotniczych poinformowała mnie bezzwłocznie, że mój bagaż ma ponad 20 kilogramów nadwagi.

- Pani walizka waży 41 kilogramów, podczas gdy górny limit wynosi 20 kilogramów - powiedziała, kiedy wpatrywałam się z niedowierzaniem w cyfrowy wyświetlacz. Nie pozostało mi nic innego, jak jeszcze raz chwycić rączkę poranionymi dłońmi, odciągnąć walizkę na bok i sprawdzić, z czym mogę się rozstać.

Do walizki zapakowałam: multiwitaminę i ibuprofen dla babci Alfreda, papier toaletowy, paczkę batonów energetycznych i kilka puszek liofilizowanej zupy fasolowej, sznur do rozwieszania prania, proszek do prania dla Dinory, pościel dla Ludmiły i buty do biegania dla Alfreda.

Wśród mniej niezbędnych rzeczy znalazły się: butelka czerwonego kalifornijskiego wina, opakowanie makaronu z serem oraz pół tuzina jabłek, które na Kubie były drogim, importowanym luksusem. Oprócz tego wzięłam jeszcze kasetę-skła-dankę z ulubionymi nagraniami oraz album ze zdjęciami moich najlepszych tras biegowych, a także moich psów, rodziców i przyjaciół. Miałam też egzemplarz gazety, w której opublikowałam artykuł, chociaż wątpiłam, że Alfredo cokolwiek z tego pojmie.

Podobnie nie łudziłam się, że Alfredo zrozumie słowa piosenek, których słuchałam. I podejrzewałam, że nie będzie zachwycony perspektywą jedzenia makaronu z pudełka razem z mętnym, gotowym pseudoserowym sosem. Ale po kilku miesiącach bezowocnego wyjaśniania i wyobrażania sobie, czy Alfredo będzie pasował do świata, w którym żyłam, potrzebowałam niezbitych dowodów na to, jak ten świat wygląda, które mogłabym mu pokazać.

Na międzynarodowym lotnisku w San Francisco spędziłam pół godziny, wybierając najcenniejsze, moim zdaniem, rzeczy i kilkanaście kolejnych minut, próbując nakłonić innych pasażerów, by pomogli mi je zabrać. Personel linii lotniczych okazał się jednak nieubłagany - jeden z pracowników skierował mnie nawet do najbliższego kosza na śmieci, tłumacząc, że w nowo otwartym terminalu, z którego odlatywałam, nie było nawet depozytu, w którym mogłabym przechować swoje skarby. Nie chciałam ich tak po prostu wyrzucić, dlatego postanowiłam złożyć je w najciemniejszym kącie lotniska, niczym w świątyni materialnych dóbr, które na Kubie były - i nadal są - rarytasem.

Po dwóch dniach spędzonych w Cancón udało mi się w końcu przeczekać burzę i załapać się na samolot do Hawany. Wydawało mi się, że już nic nie jest w stanie zakłócić mi dalszej podróży... oprócz kubańskiej odprawy celnej.

Nie minęło kilka minut od momentu, gdy odebrałam moją walizkę na lotnisku w Hawanie, kiedy zobaczyłam surowo wyglądającą panią oficer w oliwkowym mundurze, która przywołała mnie skinieniem ręki, a potem kazała wypakować walizkę razem z bagażem podręcznym. Jeden po drugim brała do ręki wszystkie moje prezenty i rzeczy osobiste, każąc mi tłumaczyć, do czego każda z nich służy.

- To do przyprawiania potraw - wyjaśniłam, kiedy celniczka wyciągnęła butelkę z ostrym sosem i obróciła ją do góry nogami jak klepsydrę, patrząc jak jasnoczerwony płyn spływa po ściankach. - Dla przyjaciela, który lubi gotować.

Potem obejrzała kasetę z filmem Buena Vista Social Club, którą kupiłam dla Alfreda, z takim zainteresowaniem, że zaczęłam się obawiać, czy nie będzie jej chciała zatrzymać dla siebie. W dalszej kolejności przyjrzała się moim tamponom, skonfiskowała mi jabłka, a na koniec wyciągnęła z torby opakowanie zawierające 25 sztuk kondomów marki Trojan.

- Czy to też dla przyjaciela, który lubi gotować? - spytała.

Nie uśmiechnęła się przy tym nawet ani nie zaśmiała, natomiast ja poczułam, jak w jednej chwili czerwienię się ze wstydu.

- No... nie... - zaczęłam się jąkać.

- Więc dla kogo? - dociekała celniczka. - Kim właściwie są pani przyjaciele?

Musiałam podać nazwiska i pełne adresy, i chociaż kobieta nic nie zanotowała, wzbudziła we mnie taki strach, że gdy w końcu mnie wypuściła, byłam cała roztrzęsiona i zarumieniona ze wstydu. Twarz miałam zlaną potem, a ręce zimne i lepkie. Serce waliło mi tak głośno, że byłam pewna, iż wszyscy dookoła słyszą jego przyspieszone bicie. Czułam coś na kształt nagłego przyływu tremy przed występem - zaschło mi w gardle, a wykrztuszenie choćby słowa wydawało się niemożliwe.

Zobaczyłam Alfreda pierwsza. Stał w tłumie wyższych od siebie ludzi przed bramą lotniska, miotając się w przód i w tył, jak pies zamknięty w klatce. Za każdym razem, gdy udało mu się znaleźć trochę miejsca, klinował się łokciami i podskakiwał do góry, lustrując wzrokiem pasażerów wychodzących z budynku. Jego zakręcone dredy, które urosły o dobrych 10 centymetrów od czasu mojego wyjazdu, unosiły się w górze jak włosy diabła wyskakującego z pudełka.

Alfredo zauważył mnie, kiedy zaśmiewałam się z jego wysiłków. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, on także wybuchnął śmiechem. W jednej chwili przestaliśmy zwracać na cokolwiek uwagę i ruszyliśmy w swoją stronę, aż wreszcie spotkaliśmy się na końcu ogrodzonego sznurem chodnika prowadzącego wprost do wejścia, gdzie - po tym, jak tyle razy zastanawiałam się, co powiedzieć w tak długo oczekiwanym momencie - w milczeniu padliśmy sobie w ramiona. Staliśmy tak, przytuleni, dopóki jeden z mężczyzn z obsługi lotniska nie powiedział czegoś po hiszpańsku, czego ja nie rozumiałam, ale Alfredo najwyraźniej tak, bo uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i odsunął na bok, robiąc miejsce przechodzącym pasażerom.

Przez chwilę przyglądałam mu się w milczeniu. Oczywiście pamiętałam, jak wygląda, ale zapomniałam, jak bardzo jest przystojny - podziwiałam piękny, brązowy odcień jego skóry, pełen uroku pieprzyk po lewej stronie nosa, długie rzęsy i nie-gasnący zapal w oczach.

Zapomniałam też o zielonym kolorze, w który Alfredo najchętniej się ubierał. Dzisiaj miał na sobie swój ulubiony strój - te same szorty golfowe w zielono-czarną kratę i krzykliwe zieloną koszulkę Bawarii, w której przyniósł mi wstyd podczas naszej podróży do Santiago. Mimo to, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, trzymając się za spocone ręce, nie miałam wątpliwości, że i tak go kocham.

Opuściwszy teren lotniska, staliśmy jeszcze przez chwilę w ciszy, delektując się widokiem przedmieść Hawany. Było pochmurne popołudnie, wilgotne i szare; deszcz wisiał w powietrzu.

Na drodze biegnącej równolegle do pasa startowego dwóch mężczyzn spychało z drogi na trawiaste pobocze zdezelowanego niebieskiego chevroleta. Alfredo złapał taxista

particular i kazał szoferowi zawieźć nas do dawnego domu swojego ojca.

- Teraz mieszka tam mój kuzyn - wytłumaczył mi. - Muszę tylko oddać mu parasol, który pożyczyłem na wszelki wypadek, gdyby miało zacząć padać, kiedy na ciebie czekałem.

Przysunął się bliżej i objął mnie ramieniem, roztaczając wokół zapach wody kolońskiej. Nigdy wcześniej nie używał tego rodzaju kosmetyków i chcąc nie chcąc - z mieszaniną sympatii i smutku - pomyślałam, czy ją też pożyczył.

Taksówkarz czekał w samochodzie, kiedy Alfredo i ja pobiegliśmy z parasolem do domu kuzyna.

- Udało ci się - ucieszył się na mój widok kuzyn. - Alfredo stracił już nadzieję, że kiedykolwiek wydostaniesz się z Cancón.

Alfredo zaśmiał się, żeby ukryć zakłopotanie, a kuzyn spytał mnie: - I jak ci się wydaje - czy od twojego wyjazdu Kuba zmieniła się? Zauważyłaś jakieś zmiany?

- Nie - odparłam, lekko zbita z tropu jego pytaniem. - A powinnam?

Kuzynowi moja odpowiedź wydała się tak śmieszna, że mało nie zakrztusił się ze śmiechu. - Dla mnie Kuba zawsze wygląda tak samo - powiedział. - Ale nigdy stąd nie wyjeżdżałem, więc nie mam porównania - zrobił krótką przerwę, po czym westchnął: - I o ile mi wiadomo, tak będzie już zawsze.

Podczas gdy ja spędziłam ostatnie cztery miesiące, przywołując wspomnienia Kuby i Alfreda, martwiąc się, że wszystko, co tu zastanę po powrocie, będzie nieodwracalnie inne, on i jego kuzyn czekali spokojnie, cierpliwi i niewzruszeni jak otaczający ich ocean, w którym odbijało się jedynie bezchmurne, błękitne niebo.

Gdy nasza taksówka skręcała w ulicę Animas, Dinora już czekała na balkonie, machając do nas, jak gdyby bała się, że zapomnimy, który to dom.

- Świetnie wyglądasz! - zawołała ze szczytu schodów, kiedy się na nie wspinałam. A potem westchnęła i dodała: - Tak się zapewne dzieje, kiedy podróżujesz i poznajesz otaczający cię świat. Qué rico!

Wciąż uśmiechnięta, uściskała nas na powitanie i zaprowadziła do salonu.

- Mimi, spójrz na Leę. Czy nie wygląda dobrze? - zwróciła się do Abueli, która była tak podekscytowana naszym wejściem, że złapała się oparcia fotela, próbując wstać o własnych siłach.

Podeszłam do niej, a ona wyrzuciła z siebie potok słów, z których zrozumiałam jedynie „gord.ita”.

- Nie - roześmiałam się. - La Gordy nie ma z nami. To ja, Lea. Pamięta mnie pani?

Zauważyłam, że gdy Abuela mówiła, Dinora przyglądała mi się bacznie. Po chwili



skinęła głową i powiedziała: - Masz rację, mimi. Lei przybyło trochę gordita.

Spojrzałam w dół, szukając jakichś oznak nadwagi, ale nie znalazłam nic, co wzbudziłoby mój niepokój.

- Nie wydaje mi się - odpowiedziałam.

- Ależ tak, bez dwóch zdań utyłas - Dinora zwróciła się do Alfreda. - Nie uważasz?  
Alfredo uśmiechnął się zalotnie.

- Może troszkę - powiedział.

W tym momencie Abuela wycelowała w Alfreda swój kościsty palec i, kiwając głową w górę i w dół, zaczęła z niego szydzić niczym przeżywająca hormonalną burzę złośliwa nastolatka: - Gordito. El también es gordito.

Czekałam, aż Dinora wyprowadzi matkę z tym razem oczywistego błędu - wystarczyło spojrzeć na chude jak wykałaczkę nogi Alfreda, by się o tym przekonać. Lecz Dinora po raz kolejny przytaknęła Abueli.

- To prawda - powiedziała. - Oboje wyglądacie tacy zdrowi, pełni życia, tacy... - głos uwiązł jej w gardle, gdy szukała odpowiedniego słowa, którym mogłaby podsumować i wyjaśnić raz na zawsze tajemniczą przyczynę naszego przytycia. Ale zanim Dinora zdążyła dokończyć, Abuela wtrąciła kolejne niezrozumiałe zdanie.

- No tak, oczywiście - Dinora wzruszyła ramionami w teatralnym geście. - Es amor.

Na górze padłam na tak dobrze mi znane, wygodne łóżko, przykryte jak zwykle cienką warstwą świeżo wykrochmalonych, chłodnych prześcieradeł. Alfredo wślizgnął się do pokoju po wypastowanej posadzce i położył się na łóżku, między mną a wazonem ze świeżymi kwiatami, stojącym na nocnym stoliku.

- Uwielbiam ten pokój - rozmarzył się.

Rozejrzałam się i zobaczyłam plecak, który wysłałam Alfredowi przez kolegę z pracy. Chwilę później rozpoznałam na jego nogach nowiutkie sandały Timberlanda, które również spędziły trochę czasu na podłodze mojej sypialni w Kalifornii. Miałam wrażenie, że wszystkie te materialne przedmioty, nie licząc golfowych spodni w kratę i t-shirta z reklamą piwa, funkcjonowały w obydwu naszych światach. Jedyne, czego brakowało, by proces tej wymiany można było uznać za skończony, to zgoda na to, żeby Alfredo i jego ukochany strój przyleciały do Stanów.

- Wczoraj przyniosłem tu plecak - Alfredo zauważył moje spojrzenie. - Mam w nim kilka prezentów dla ciebie.

- Tak? Ja też ci coś przywiozłam - powiedziałam.

- Ale najpierw ja - Alfredo cieszył się jak małe dziecko. ~ Wszystkie prezenty są w

plecaku, tylko jeden jest gdzie indziej w pokoju. Zagramy w grę? - spytał po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. - Musisz go sama poszukać - kontynuował już po hiszpańsku.

Schyliłam się i zajrzałam pod łóżko.

- Zimno, bardzo zimno - powiedział Alfredo znów po angielsku.

Podeszłam do szafy i sięgnęłam ręką pod spód.

- Ciepło - Alfredo usiadł na łóżku.

Rozejrzałam się po pokoju. Nie było w nim już miejsca, by coś ukryć. Podeszłam do przeciwległej ściany i zajrzałam do kosza na śmieci.

- Zimno - powiedział Alfredo. - Lodowato.

Wróciłam do szafy, a potem zaczęłam się przesuwając bokiem do niej.

- Gorąco. Parzy.

Spojrzałam w dół na małą lodówkę, a potem otworzyłam ją-

- Bingo! - Alfredo obwieścił triumfalnie koniec gry.

Lodówka była wypełniona po brzegi kilkudziesięcioma dużymi butelkami wody Ciego Montero, stanowiącej - wartą jednego dolara - alternatywę dla wątpliwej jakości kubańskiej wody z kranu. Kiedy któremuś Kubańczykowi udało się ją kupić w zwykłym sklepie, zachowywał pustą butelkę tak długo, jak to możliwe, używając jej do schładzania przegotowanej „kranówki”, przemycania nielegalnego rumu na imprezy i picia piwa w lokalnych barach, w których zabrakło kufli.

Z powodu upału panującego w Hawanie z reguły wypijałam cztery takie butelki dziennie i często żartowaliśmy z Alfredem, że w ten sposób większość pieniędzy na Kubie przepijam. Teraz, kiedy patrzyłam z niedowierzaniem na wszystkie te butelki upchnięte w naszej małej lodówce, zdałam sobie sprawę, że ich koszt był mniej więcej równy dwumiesięcznej wypłacie Alfredo.

- Dostałem je na koncercie - Alfredo przerwał moje rozmyślenia. - Miały być dla grupy chilijskich wiolonczelistów, ale sporo zostało, a ponieważ wszyscy wiedzieli, że przylatujesz, pozwolili mi je wziąć.

- Dziękuję - powiedziałam. - Jesteś słodki.

Alfredo uśmiechnął się z dumą i zaczął wyjmować z plecaka pozostałe prezenty. Były one świadectwem życia na Kubie w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Znalazła się tam, między innymi, niewielka reprodukcja fotografii Che Guevary, którą Alfredo znalazł na ulicy i zachował dla mnie. Był też drukowany dodatek do niedawno emitowanego w telewizji programu o literaturze iberoamerykańskiej, którego Alfredo nie omieszkał obejrzeć, oraz dwie małe, brązowe laleczki z upudrowanymi policzkami i marakasami w rękach - maskotki

lipcowego karnawału, o którym Alfredo opowiadał mi z takim przejęciem przez telefon.

Ja z kolei przywiozłam Alfredowi hiszpańskojęzyczny egzemplarz książki Howarda Zinna A People's History of the United States (Ludowa historia Stanów Zjednoczonych), buty do biegania firmy Nike w komplecie ze skarpetami, kasetę wideo Buena Vista Social Club, kasetę z muzyką Boba Marleya, walkman, szorty i zasuszony, kalifornijski polny mak.

Kiedy Alfredo siedział obłożony prezentami, zauważyłam, że po chwilowym przyływie entuzjazmu jego oczy nabrały szklanego, nieobecnego wyrazu. Widziałam już to spojrzenie wcześniej, z reguły wtedy, gdy próbowałam wytłumaczyć Alfredowi złożoność mojego życia w USA, serwując mu gigantyczną dawkę informacji, których nie był w stanie wchłonąć. W tym przypadku ta dawka przyjęła całkiem realny wymiar w postaci niezwyklej prezentów „z tamtego świata”.

Postanowiłam więc wstrzymać się z pokazaniem Alfredowi kolejnych rzeczy - książki, którą napisałam o nas oraz zdjęć mojej rodziny. Choć w tych dwóch ostatnich przypadkach chodziło bardziej o dzielenie się radością niż obdarowywanie nią, nie chciałam jeszcze bardziej go przytłaczać.

Zanim jednak miał nastąpić ostateczny finał wymiany prezentów z mojej strony, musiałam dać Alfredowi jeszcze jedną rzecz. Wiedziałam bowiem, że im dłużej będę z tym zwlekać, tym ciężiej mi to potem przyjdzie.

W Stanach nigdy nie kupowałam swojemu chłopakowi bielizny, ponieważ wydawało mi się to szlampowe i pozbawione Polotu. Ale w przypadku Alfreda, który miał trzy pary slipek, w dodatku wytartych i kompletnie niemodnych, sprawa wyglądała diametralnie inaczej.

Chciałam po prostu wręczyć mu tę bieliznę, tak jak kasetę Buena Vista czy taśmę z Bobem Marleyem, bez słowa wyjaśnienia. Ale bawełniane slipy, w odróżnieniu od kaset i taśm, a nawet jedwabnych bokserów, były czymś praktycznym. Stanowiły konieczność i zaliczały się do tych prezentów, które - w cichy, choć oskarżycielski sposób - sugerowały, że w życiu obdarowanego brakuje czegoś podstawowego i niezbędnego zarazem.

- Jeszcze jeden prezent? - Alfredo spytał z niedowierzaniem, widząc, jak grzebię w walizce.

- To taki drobiazg - odparłam. - Nic specjalnego, ale może ci się przydać.

Wreszcie dokopałam się do pudełka z bielizną, na którym napakowany biały mężczyzna prężył mięśnie, ubrany jedynie w parę niebieskich slipek z napisem Jockey - co było równie krępujące, jak sam prezent. Alfredo otworzył przezroczyste, plastikowe pudełko, wyciągnął z niego trzy pary majtek w różnych odcieniach koloru niebieskiego i rozłożył je na

łóżku.

- Są piękne - powiedział bez cienia zażenowania. - Kupiłaś je w domu towarowym Macy?

- Skąd wiesz? - spytałam zaskoczona.

- Tylko żartowałem - Alfredo przytulił mnie do piersi. - Na kasetach Berlitz'a do nauki angielskiego, które mi przysłałaś, był taki dialog o domu towarowym Macy. Chciałbym tam kiedyś pójść.

- Okej, nie ma sprawy - roześmiałam się na głos. - Czego jeszcze nauczyłeś się z Berlitz'a?

- Dom towarowy Macy, czym mogę służyć? - Alfredo doskonale naśladował szczebioczący głos sprzedawczyni, po czym zmienił głos na bardziej męski i powiedział: - W czasie wakacji lubię nurkować z akwalungiem.

- Nurkować z akwalungiem? Wiesz w ogóle, co to znaczy?

- Nie, ale fajnie brzmi.

- Ej, Alfredo!

- Słucham?

- Jesteś taki zabawny.

- I głodny - dodał. - Pójdziemy coś zjeść? W tym tygodniu udało mi się zarobić trochę forsy na boku, więc ja stawiam.

- Dobrze, vamonos - zgodziłam się, biorąc z łóżka torebkę i wrzucając puste pudełko po bieliźnie z Mr. Macho do kosza, co zdenerwowało Alfreda.

- Dlaczego wyrzuciłaś opakowanie? - spytał.

- Chciałaś je zatrzymać? Z tym głupim facetem na zdjęciu?

- Nie... nie w tym rzecz - Alfredo spuścił wzrok. - Pomyślałem sobie, że... ktoś zobaczy je w koszu i pomyśli, że kupiłaś mi slipy, bo sam nie mam żadnych.

Kiedy stałam jak wryta, myśląc o tym, co mi powiedział, Alfredo wyciągnął pudełko z kosza i włożył mi do torebki.

- Na wszelki wypadek weźmy je ze sobą i wyrzucimy do kontenera na zewnątrz - powiedział.

Po drodze na kolację Alfredo nauczył mnie „huraganowego kroku”. Była to wariacja na temat: jak unikać palącego, letniego słońca. Polegała ona na chodzeniu po ulicy zygzakiem, tak aby cały czas znajdować się w cieniu balkonów, a nie na acera de los bobos. Na zalanym słońcem „chodniku głupków”, jak określił tę część ulicy Alfredo, można było spotkać niejednego cudzoziemca, otumanionego ulicznym gwarem i osłabionego kubańską

dieta, który zataczał się, lepki od potu, w stuporze.

Jednak w trakcie sezonu huraganów należało za wszelką cenę unikać dających schronienie starych balkonów.

- Są niebezpieczne nawet przy dobrej pogodzie. Ale w czasie huraganów nigdy nie wiesz, skąd zawieje silny podmuch wiatru, który zrzuci ci taki balkon na głowę - opowiadał mi Alfredo, gdy szliśmy środkiem 13. ulicy w Vedado.

Kilka przecznic dalej, na rogu 17. i 8. ulicy znajdowała się nasza ulubiona knajpa, w której chętnie się stołowaliśmy.

El Recanto, podobnie jak wszystkie inne prywatne restauracje - znane również jako paladar, prowadzona była w domu. Dziś wieczorem, kiedy zadzwoniliśmy do nieoznakowanych drzwi, otworzył nam ojciec rodziny, który zaprowadził nas do salonu, gdzie oglądał wieczorną telenowelę. Potem jego córka eskortowała nas schodami na dół, do holu i przez kuchnię, na znajdujący się poniżej taras, otoczony bujną roślinnością i zalany księżycową poświatą. Wokół rosły posadzone w doniczkach palmy, a dwie wiekowe papugi przyglądały nam się uważnie, wystawiając głowy przez pręty wspólnej klatki.

Zjedliśmy kopiasty talerz smażonych rajskich bananów z ryżem i fasolą oraz jukę przyprawioną czosnkiem i maczaną w sosie pomarańczowym. Jako przystawkę Alfredo zamówił sobie danie z wieprzowiny, a ja sałatkę z awokado i pomidorów.

Nie miałam pojęcia, skąd paladares miały tyle świeżego jedzenia, ani dlaczego w El Recanto można było płacić pesos, podczas gdy wszystkie inne jadłodajnie przyjmowały wyłącznie dolary, i to słono sobie licząc - około 13 dolarów za posiłek. Zastanawiałam się też, czy kiedy następnym razem przyjdziemy na kolację, El Recanto wciąż tu będzie.

Zauważyłam, że od czasu naszej ostatniej wizyty właściciele dostawili dodatkowy stół, dzięki czemu restauracja mogła teraz pomieścić 16 gości - cztery osoby powyżej ustalonego przez władze maksimum. W każdej chwili mogła wpaść kontrola i położyć kres działalności El Recanto. Alfredo popatrzył na nowy stół i na jego twarzy zobaczyłam smutek.

- Kiedy wyjechałaś, przyszedłem tu raz z Gerardem - powiedział. - Siedzieliśmy przy tamtym stoliku, a teraz go nie ma.

- Jak to nie ma? - spytałam. Gerardo był sąsiadem Alfreda, jednym z jego najstarszych i najlepszych przyjaciół. W naszym związku funkcjonował jako pośrednik, przyjaciel przyjaciela, któremu mnie przedstawił.

- W zeszłym tygodniu Gerardo wyjechał do Belgii - powiedział Alfredo.

- Do Belgii? Ale po co? I jak?

- Ma tam dziewczynę. Wiedziałem o tym, nawet ją poznałem, ale nic mi nie powiedział, że ubiegała się o wizę turystyczną dla niego.

- Dlaczego to przed tobą ukrył?

- Wiesz, jak tu jest. Ludzie się boją. Boją się plotkarzy.

- Więc Gerardo nigdy nie wspomniał, że wybiera się do Belgii?

- Wyjechał w środę, a we wtorek wpadł do mnie do pracy, żeby zaprosić mnie do siebie na imprezę. To miała być jakaś religijna ceremonia jednego chłopaka z sąsiedztwa. Wciąż mam przed oczami obraz Gerarda stojącego na schodach filharmonii - powiedział z nostalgią w głosie Alfredo. - Zawołał: „Mamy dziś imprezę z okazji Eleggy”. Myślałem wtedy, że pójdę, ale późno skończyłem pracę i jedyne, o czym marzyłem, to łóżko i sen. Następnego dnia dowiedziałem się od kolegi, który był na przyjęciu, że Gerardo obwieścił wszystkim, iż nazajutrz wyjeżdża.

- Na ile dostał wizę?

- Na miesiąc, ale już nie wróci - Alfredo potrząsnął smutno głową. - Gerardo zawsze chciał się stąd wyrwać i wreszcie znalazł sposób. Nawet jeśli nie wyjdzie mu z dziewczyną, przeniesie się w inne miejsce, ale na Kubę już nie wróci. Jestem tego pewien. A najgorsze jest to, że nawet się z nim nie pożegnałem.

Kiedy wróciliśmy do Dinory, spytałam Alfreda o coś, co przyszło mi do głowy na samym początku jego historii o Gerardzie.

- Czy powiedziałaś komuś o naszej wizie?

- Jeszcze nie - odparł. - Ludzie zbyt dużo gadają. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli poczekamy do momentu, aż wszystko ostatecznie się wyjaśni. Ale jednego możesz być pewna - nie będę z tym zwlekał do ostatniej nocy przed wyjazdem.

Skinęłam głową, a Alfredo przysunął się do mnie bliżej na łóżku.

- Myślisz, że dostanę wizę? - spytał.

- Nie wiem. Proces składania wniosku wyglądał jak jakaś iluzja. Wszystko wydaje się takie przypadkowe. Nie wiem, na jakiej zasadzie rząd decyduje, komu przyznać wizę.

Alfredo pokiwał głową w zamyśleniu. Ponieważ ten temat został już wyczerpany, następnych kilka godzin spędziliśmy, nadrabiając czteromiesięczne zaległości. Alfredo opowiedział mi o swojej siostrze - niezależnej kobiecie, która postanowiła Pozostać singlem, nawet kiedy zaszła w ciążę, aż w końcu się poddała i wyszła za mąż za ojca swojego dziecka tydzień po porodzie. Potem opisał mi kolację u swojego kolegi z pracy, Mamita, którego pies tańczył na dwóch łapach, kiedy matka Mamita grała na gitarze.

Kiedy Alfredo wziął prysznic i wrócił do pokoju, odtńczył swój rytualny taniec w

nowych slipach, a ja przetłumaczyłam mu na hiszpański pierwszą stronę książki, którą napisałam o nas. Kiedy doszłam do opisu naszej pamiętnej wizyty w posada particular, Alfredo schował oblaną rumieńcem twarz za poduszką. Lecz gdy znów na mnie spojrział, jego oczy błyszczały dumą.

- To takie piękne, mi amor - powiedział. - Dziękuję ci, że zapamiętałaś te wszystkie szczegóły.

Leżeliśmy obok siebie, a mnie wydawało się, że mija wieczność. Nie rozmawialiśmy już, lecz dotykaliśmy swoich twarzy, pieszcząc je dłońmi centymetr po centymetrze. A potem wróciliśmy do naszej przerwanej konwersacji i rozmawialiśmy od zachodu słońca aż do wczesnych godzin rannych, nie zwracając kompletnie uwagi na upływający czas.

- Jesteś zmęczona? - spytał Alfredo, gdy na czerwonym, cyfrowym zegarze pokazała się 2.10.

Zwinął się w kłębek tuż za mną, tak że czułam nieprzerwane, spokojne bicie jego serca na moich plecach.

- Jestem - skinęłam głową. - Nawet bardziej niż zmęczona, ale mam dziwne uczucie, że mogłabym tak z tobą rozmawiać jeszcze przez kilka kolejnych godzin.

- Ja też - powiedział Alfredo. - To się chyba nazywa szczęście.

## Rozdział XXII

Co się zmieniło?

Nazajutrz, po naszej pierwszej wspólnie spędzonej nocy po moim powrocie, obudził mnie głuchy odgłos dobiegający z tyłu domu; jednocześnie kłęb szarego pyłu wdarł się przez okno do naszej sypialni. Przez chwilę w powietrzu słychać było łopot skrzydeł oszalałych ze strachu kurczaków i skrzypienie nienaoliwionych taczek. Usłyszałam jeszcze kilka stłumionych głosów nawołujących się ludzi, po czym nagle wszystko ucichło.

Odwrociłam się do Alfreda, ale spał spokojnie jak dziecko, zwinięty w kłębek wokół swojej poduszki. Założyłam więc letnią sukienkę, którą miałam na sobie poprzedniego dnia i ruszyłam samotnie w miasto.

Zbliżał się chłodny front atmosferyczny i kiedy wyszłam na ulicę, znalazłam się nagle w samym środku zupełnie innej Hawany - targanego wiatrem, pochmurnego miasta, którego mieszkańcy poubierali się chyba we wszystkie możliwe ciuchy, jakie mieli w szafie.

Mimo iż nie mogło być mniej niż 18 stopni, kobiety pochowały obcisłe, fluorescencyjne kostiumy ze spandeksu pod workowatymi spodniami i płaszczami do kolan, a mężczyźni zakryli gołe torsy kilkoma warstwami niepasujących do siebie flanelowych koszul. Ścisnęłam mocno obiema rękami dół sukienki, żeby wiatr nie zwał mi jej na głowę.

Przecnicę dalej ujrzałam źródło hałasu, który wyrwał mnie z łóżka. Obłok kredowobiałego pyłu i sterta roztrzaskanych, pomarańczowych dachówek - tyle zostało z dachu targowiska, który wydawał się teraz spełnioną przepowiednią z najczarniejszych snów Alfreda.

Stałam jak słup soli, przyglądając się dziełu zniszczenia, dopóki wiatr nie wygrał ze mną pojedynku, zmuszając mnie do odwrotu przed chłodem i ostrymi jak igły ceramicznymi odłamkami, fruującymi w powietrzu. Kiedy wróciłam do domu, Alfredo już nie spał i siedział wyprostowany na łóżku.

- Przespałeś wszystko - powiedziałam, siadając obok niego i okrywając prześcieradłem trzęsące się nogi. - Zwalił się dach nad targowiskiem.

- Naprawdę? - spytał Alfredo. - Wydawało mi się, że coś słyszałem, ale wziąłem to widocznie za część snu. A potem, gdy się ocknąłem, wyobraziłem sobie coś dużo gorszego niż to, co się stało.

- Co takiego?

- Wyobraziłem sobie - powiedział, nachylając się, żeby mnie objąć, jego skóra wciąż



była ciepła po przebudzeniu - że twój powrót był tylko snem.

Tak jak powrót w objęcia Alfreda, tak i pierwszych kilka dni w Hawanie wydawało mi się snem. Nic więc dziwnego, że prawie zupełnie straciłam poczucie czasu. Odpowiadałam na pytania anonimowych znajomych, którzy zauważyli wprawdzie moją nieobecność, ale wydawali się nie dopuszczać do siebie myśli, że mogłabym na stałe opuścić ich wyspę.

- Mieszka pani teraz w innej dzielnicy? - pytali, gdy szłam ulicą. - A gdzie pani amiga gorda?

Chodziłam od jednych przyjaciół do drugich, rozdawałam prezenty i spędzałam całe popołudnia w bujanym fotelu. Uczestniczyłam w kilku rundach gry, którą roboczo nazywałam „Co się zmieniło?”, zainicjowanej przez kuzyna Alfreda - tego samego, któremu oddał parasol pierwszego dnia po moim powrocie.

Poprzednim razem Kubańcy zadawali mi tyle pytań na temat Stanów Zjednoczonych, iż nie byłam w stanie na wszystkie odpowiedzieć. Po powrocie okazało się, że ci sami ludzie wypytywali mnie wyłącznie o Kubę, zupełnie jakby sami zapomnieli, skąd pochodzą.

Z początku mnie to dziwiło, ale szybko zdałam sobie sprawę, że - po tym, jak wyjechałam i wróciłam na wyspę - ludzie postrzegali mnie jako kogoś w rodzaju wizjonera, zdolnego dostrzec choćby najbardziej subtelne zmiany zachodzące w ich kraju.

Nie chcąc nikogo rozczarować, zaczęłam układać w głowie listę takich drobiazgów, na które natykałam się, wędrując ulicami Hawany.

- Macie tramwaj - powiedziałam Ludmile, przypominając sobie nowiutki, błyszczący pojazd wożący turystów wzdłuż Malecónu.

- Widziałam nowe dekoracje na ulicach, których nie było tu wcześniej. Chodzi mi o te małe lampiony zrobione z puszek po Tropicoli na rocznicę powstania Komitetów Obrony Rewolucji - zwróciłam uwagę mojemu koledze o imieniu Pepe.

Gdy zdarzały się dni - a było ich wiele - kiedy nie potrafiłam dostrzec żadnych nowych zmian, odwoływałam się do starej, sprawdzonej sztuczki - tak głupiej, że jej wykorzystywanie sprawiało mi wręcz ból. Ogłaszałam wówczas wszem i wobec, udając zaskoczoną: - Zniknęły wszystkie billboardy z Elianem.

Tydzień po moim powrocie szalejące nad Kubą wichry, które zrzuciły dach targowiska, przyniosły kolejną stratę. Pewnego wietrznego, choć parnego poranka, kiedy Dinora otworzyła francuskie drzwi prowadzące na balkon, do salonu wpadł gwałtowny podmuch wiatru, który zrzucił na podłogę ozdobny żyrandol, roztrzaskując go w drobny mak i zasypując całe pomieszczenie drobnymi odłamkami szkła.

Ku mojemu zaskoczeniu, Dinora, zamiast rzucić się natychmiast do sprzątanania, stała nieruchomo, wpatrując się w to, co zostało z antycznego żyrandola, jak gdyby oglądała w telewizji setną powtórkę znanego filmu.

- Najpierw targ, teraz to - wykrztusiła w końcu, potrząsając głową w rozpacz. - Hawana wali się w gruzy na moich oczach.

Mimo tradycyjnego dramatyzmu w jej głosie, akurat to wyznanie - w odróżnieniu od innych skarg, dotyczących złej jakości obuwia czy braku proszku do prania - zrobiło na mnie wrażenie.

Kiedy żyrandol runął, stanęliśmy z Alfredem jak wryci na schodach. Teraz podeszliśmy do Dinory, a ja spojrzałam w jej zatroskaną twarz. Dinora ruchem ręki wskazała nam, byśmy nie zbliżali się do rozsypanego szkła, po czym wydała z siebie długie, głębokie westchnienie i powiedziała: - Już nigdy nie uda mi się odzyskać tego żyrandola. Takich rzeczy nie robi się już na Kubie.

Pokiwałam głową ze współczuciem, szukając w głowie jakichś słów pocieszenia, gdy raptem Alfredo odezwał się, zaskakując nas wszystkich: - Nie martw się, Dinora - powiedział łagodnym tonem, a potem dodał z nutką ekscytacji: - W pracy mamy mnóstwo zapasowych lamp. Na pewno uda mi się kilka przynieść i razem z Luisem coś wymyślimy.

Dinora uśmiechnęła się. Mnie także poruszył gest Alfreda. Odkąd wróciłam, zauważyłam, że Alfredo stara się znaleźć z Dinorą wspólny język. Częściej przyjmował od niej zaproszenia na kawę i przestał wreszcie doszukiwać się ukrytych rasistowskich podtekstów w każdym jej słowie.

Dinora również sprawiała wrażenie mniej spiętej i nie nalegała już nawet tak bardzo, żeby Alfredo opuszczał dom przed 8.00 rano, w obawie przed wścibskimi spojrzeniami sąsiadów.

W ciągu tych czterech miesięcy mojej nieobecności Alfredo awansował w domu Dinory z zalotnika wymykającego się ukradkiem o świcie na ulubionego przyjaciela domu, mimo iż nikt z rodziny Dinory nigdy nie poznał nikogo z rodziny Alfreda.

- Luis kazał mi przekazać Mielikki, na wypadek gdyby chciała przenocować w tym domu swojego chłopaka, że jestem wyjątkiem, ponieważ Luis i ja przyjaźnimy się od dawna - Alfredo powiedział mi któregoś dnia z taką dumą, jakby to rzeczywiście była prawda.

Mielikki była nową lokatorką u Dinory, Finką biorącą udział w programie wymiany studentów. Wprowadziła się następnego dnia po moim powrocie. Kiedy Mielikki przyszła zostawić swój bagaż, wniesiony na górę przez przystojnego czarnego mężczyznę, którego przedstawiła jako swojego kubańskiego chłopaka, na twarzy Dinory zobaczyłam grymas

smutku.

- Gdy przyszła w zeszłym tygodniu zobaczyć dom, nic nie wspominała, że ma faceta - Dinora odezwała się z troską w głosie, kiedy oboje wyszli. - Myślisz, że on też będzie chciał tu zostać?

- Myślę, że nie, skoro nie powiedziała ci o tym wcześniej - uspokoiłam ją.

- Mam nadzieję, bo nie chciałabym tu kolejnego Kubańczyka. To niebezpieczne. Niebezpieczne jest nawet goszczenie pod dachem tyłu cudzoziemców naraz, w sytuacji gdy mam zarejestrowane tylko dwa pokoje pod wynajem.

Alfredo i ja mieszkaliśmy w tym samym pokoju, który zajmowałam wcześniej z Amy. Mielikki wynajmowała pokój obok, a po drugiej stronie mieszkały dwie Dunki. Na dole, w pokoju Nitzy zakwaterowała się Szwedka, natomiast Nitza przeniosła się do Abueli, z którą spała teraz w jednym łóżku. Alfredo i ja dzieliliśmy więc kuchnię i łazienkę z czterema osobami. Było trochę tłoczno - przypominało mi to bardziej atmosferę w akademiku lub hostelu studenckim.

W ciągu dnia każdy z nas był w innej części miasta, ale co wieczór, mniej więcej o tej samej porze, schodziliśmy się wokół stołu niczym zorganizowana naprędce międzynarodowa rodzina. Mielikki odrabiała zadanie domowe z hiszpańskiego. Szwedka Kajsza siedziała ze słownikiem w jednej ręce i politycznym tekstem w drugiej, zbierając notatki do pracy magisterskiej na temat systemu biurokratycznego na Kubie. Anna i Vita - Dunki studiujące odpowiednio filmoznawstwo i historię Komitetów Obrony Rewolucji - paliły papierosy i pisały dzienniki. Ja czytałam opasłą biografię Fidela Castro, a Alfredo Wpatrywał się tępym wzrokiem w całą naszą czwórkę.

Dla Alfreda Skandynawki były cudzoziemkami w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie tylko były większe i bardziej blond niż wszystkie Kubanki, jakie spotkał, ale także ich język nie przypominał mu żadnego z wcześniej zasłyszanych.

One z kolei nie dawały mu zbyt wielu okazji do obserwacji

- najczęściej nie odzywały się wcale, siedząc w skupieniu, każda nad swoim projektem. Zauważyłam, że tego rodzaju cisza za każdym razem wytrącała Alfreda z równowagi. Bawił się wtedy swoimi dreadami albo wystukiwał całym ciałem sobie tylko znany rytm - połączenie dźwięku z ruchem. Alfredo był dzieckiem głośnej, niespokojnej kultury, w której cisza była udręką ludzi samotnych i powodem do zmartwień w towarzystwie.

Równie obcy był dla niego pęd Skandynawek do wiedzy, rozumiany jako rozwijanie własnych zainteresowań, bez oglądania się na przydatność takiej wiedzy z ekonomicznego

punktu widzenia. Jak większość swoich rówieśników, Alfredo spędzał czas wolny w domu z rodziną albo na ulicy z przyjaciółmi, często kombinując jakąś forszę na boku, dzięki której mógł związać koniec z końcem.

Patrząc, jak stawia pierwszy krok na drodze do poznania ich świata, sama również wkraczałam w nową rzeczywistość, w której byłam świadkiem, jak Alfredo przystosowuje się do różnic kulturowych dzielących jego świat od naszego. Dzięki wieczorom spędzonym w towarzystwie Skandynawek mogłam przekonać się na własne oczy, co Alfredowi może się podobać w moim kraju, oddalonym o 150 kilometrów i 180 stopni na północ.

Na początku, gdy Alfredo wracał do domu z pracy i zastawał mnie przy stole z dziewczynami, dosiadał się. Ale gdy zdarzało się, że byłam wtedy akurat w łazience albo zbierałam pranie ze sznura na dachu, chował się w naszym pokoju, czekając aż przyjdę i oszczędzę mu tym samym potencjalnego wstydu, jaki niechybnie spotkałby go, gdyby znalazł się sam na sam z obcymi kobietami w kuchni.

Strasznie mnie to denerwowało i miałam ochotę wypchnąć Alfreda siłą z pokoju, zamykając mu drzwi przed nosem. Ale z czasem zauważyłam, że - krok po kroku i na swój sposób

- Alfredo próbuje brać udział w dziwnych skandynawskich rytuałach. Wszystko zaczęło się pewnego dnia, gdy chwilę po tym, jak weszliśmy do kuchni, Alfredo wycofał się z powrotem do sypialni, tym razem jednak nie po to, by uciec, ale przyniósł swój zeszyt do nauki angielskiego, usiadł przy stole i także zaczął odrabiać zadanie.

Nazajutrz wróciłam do domu z popołudniowego biegania na Malecónie i zastałam Alfreda w kuchni - rozmawiał z Kajsą i gotował wielki gar spaghetti.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedział z uśmiechem, dodając szczyptę soli do makaronu.  
- Robię obiad dla wszystkich.

Potem z własnej woli zaczął uczestniczyć w wieczornych na-siadówkach, kiedy wszyscy kończyli swoje zajęcia i zaczynało się robić bardziej towarzysko.

W pewnym momencie Mielikki wychodziła na randkę ze swoim kubańskim chłopakiem i jej miejsce natychmiast zajmowała Ludmiła, która odwiedzała nas na zmianę wieczorami, wracając z uczelni, i o poranku, po skończonej lekcji japońskiego. Oprócz prawa, turystyki i księgowości, Ludmiła postanowiła teraz uczyć się tego egzotycznego języka, co miało jej rzekomo pomóc, gdyby zechciała spróbować swoich szans w biznesie. Dwa razy w tygodniu wstawała więc o 5.00 rano, żeby zdążyć na jeden z trzech autobusów, którymi mogła dojechać na lekcje odbywające się na drugim końcu Hawany.

Po Ludmile wpadali dwaj rastafarianie - koledzy Dunek. Ponieważ nie potrafiliśmy z

Alfredem zapamiętać ich imion, nazywaliśmy ich umownie Rasta nr 1 i Rasta nr 2.

Rasta nr 1 pochodził z Baracoa na wschodzie Kuby i przynosił nam zawsze domowej produkcji słodycze z czekolady, otrzymywanej z owoców drzew kakaowca, które rosły przy jego domu. Rasta nr 2 z kolei przyniósł kiedyś wosk pszczeli i zaplótł dredy Vicie.

Co wieczór obserwowałam, jak Alfredo czuje się coraz swobodniej w towarzystwie Skandynawek. Z początku tylko milczał, gdy ktoś zmieniał temat, na który nie miał nic do powiedzenia, ale z czasem pozbył się nieśmiałości i sam zaczął o wszystko pytać.

Kiedy Mielikki opowiadała o swoim wolontariacie na oddziale położniczym w Chinach, Alfredo spytał ją, czy to prawda, że rodzice w Chinach nie chcą dziewczynek. A kiedy Kajsa wspomniała o roku spędzonym na uczelni w Kenii, Alfredo chciał się koniecznie dowiedzieć, czy widziała jakieś lwy na ulicach Nairobi.

Skandynawki też miały mnóstwo pytań do Alfreda, a ja z przyjemnością oglądałam go w tej roli - oczy świeciły mu dumą, kiedy zaspokajał ich ciekawość dotyczącą edukacji, życia domowego oraz zwyczajów panujących na Kubie.

Wszystko szło jak z płatka, aż do wieczora, kiedy Ludmiła spytała Alfreda, czy wzięł udział w odbywających się tego dnia wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Wtedy po raz pierwszy byłam świadkiem, jak Alfredo stracił nad sobą panowanie i wybuchnął: - Nie, jeszcze nie głosowałem - powiedział rzeczowo. - I nie mam najmniejszego zamiaru tego robić!

- Ależ, Alfredzie! - krzyknęła Ludmiła. - A co zrobisz, gdy przyjdzie do ciebie KOR i zapyta, dlaczego nie głosowałeś?

- Powiem im, że byłem wtedy w pracy. Byłem zajęty - odparł Alfredo; chłodna nonszalancja w jego głosie zaczynała powoli zmieniać się w irytację.

- No to jesteś bardzo odważny - powiedziała Ludmiła. - Ja nie odważyłabym się nie pójść na wybory.

- Dlaczego? - wtrąciła się Kajsa, która zaraz po tym, jak Alfredo dał wyraz swojemu obywatelskiemu nieposłuszeństwu, wyjęła notes i zanotowała to odstępstwo od przyjętej w kubańskim systemie politycznym normy.

- Bo głosowanie jest naszym obowiązkiem jako Kubańczyków - Ludmiła nie dała się sprowokować.

Usłyszawszy te słowa, Alfredo prychnął pogardliwie pod nosem. Kiedy Skandynawki czekały na jakiś kontrargument z jego strony, ja poczułam w duchu solidarność z Alfredem. Działo się tak za każdym razem, gdy Kajsa chichotała z jego dowcipów lub gdy Anna i Vita uśmiechały się w tym samym momencie rozmowy z nim, co ja.

Kajsa chwyciła do ręki pióro, gdy tylko Alfredo otworzył usta i powiedział: - Skoro głosowanie jest naszym najważniejszym obowiązkiem, to dlaczego nie wolno nam wybierać najważniejszego przedstawiciela naszego narodu? Dlaczego nigdy nie odbyły się wybory prezydenckie, które Fidel obiecał nam 40 lat temu?

W odpowiedzi Ludmiła utkwiała wzrok w stojącej przed nią szklance z wodą. Jak zwykle, mimo iż przyszła w momencie, gdy przygotowywaliśmy obiad, nie dała się namówić na nic do jedzenia czy picia, oprócz wody. A teraz, zanim zdążyła odpowiedzieć, Kajsa podniosła głowę znad notesu, w którym z pasją cały czas coś notowała i spytała Alfreda: - Więc nie obawiasz się kłopotów za niewzięcie udziału w głosowaniu?

- Nie głosuję od lat - przyznał Alfredo. - Bo uważam, że dopóki nie będzie wyborów prezydenckich, i tak nic się w tym kraju nie zmieni. A po drugie, dlaczego funkcjonariusze KOR-u mieliby mnie nachodzić? Nie jestem przestępcą, który nie pracuje i włóczy się całymi dniami po ulicy jak jinetero. A nawet gdyby siłą doprowadzili mnie na wybory, wszedłbym za zasłonę i celowo oddał nieważny głos albo w ogóle zniszczył kartę do głosowania. Ludzie zawsze tak robią.

Ludmiła podniosła głowę, najwyraźniej przerażona obrazoburczym wyznaniem, którego przed chwilą była świadkiem.

- Czy kiedykolwiek ktoś cię zmusił do głosowania? - spytałam Alfreda.

- Nie. Ostatnim razem, kiedy opuściłem wybory, KOR przyszedł do mnie do domu, ale byłem wtedy w pracy. Powiedzieli więc mojej matce, żebym zagłosował po powrocie. Nie zrobiłem tego.

- Czy twoja matka była na ciebie zła? - Anna wtrąciła się do rozmowy.

- O tak, i to bardzo - Alfredo roześmiał się. - Wrzeszczała na mnie, że jestem antysocjalistycznym kontrrewolucjonistą, jak mój ojciec. A ja poszedłem do swojego pokoju i włączyłem muzykę Carlosa Vareli, żeby tego nie słyszeć. Kiedy następnego dnia wróciła z pracy, spytała tylko, czy wiem, że wielu ludzi - także u niej w pracy - uważa teksty Carlosa Vareli za Wywrotowe.

Na szczęście dla Ludmiły nie śmiałam się z Alfreda przedrzeźniającego swoją matkę w jej rewolucyjnych tyradach, ale (eraz - gdy piszę te słowa - nie mogę powstrzymać się od śmiechu, gdy sobie wyobrażę komitet złożony z kubańskich matek oceniających płyty pod kątem ich ewentualnej kontrrewolucyjnej zawartości.

O 1.30 obydwie z Ludmiłą ziewałyśmy już na zmianę. Kiedy odprowadziłam ją do drzwi, poczułam, że oczy same mi się zamykają, a w głowie szumi mi od rozmów i słodkiego kubańskiego wina, które piliśmy. Pożegnałam się więc ze wszystkimi i powiedziałam, że idę

spać. Myślałam, że Alfredo pójdzie razem ze mną, ale on pocałował mnie tylko na dobranoc i powiedział: - Niedługo przyjdę.

Będąc już w sypialni, zakradłam się z powrotem do holu, żeby podsłuchać, jak Alfredo kontynuuje rozmowę beze mnie - swojego buforu bezpieczeństwa. Ale gdy się nad tym zastanowiłam, zawstydziłam się z powodu własnego wścibstwa, wróciłam na palcach do łóżka i zmusiłam się do zamknięcia oczu.

Byłam już pogrążona w głębokim śnie, kiedy poczułam, jak Alfredo wślizguje się za moimi plecami do łóżka. Odwróciłam się twarzą do niego i zobaczyłam, że na zegarku jest 4.00 rano.

- Cały czas rozmawialiście? - spytałam.

Alfredo skinął głową, na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji.

- Rozmawialiśmy o wszystkim. Nie tylko o polityce i o życiu na Kubie, ale też o filozofii, kulturze, a nawet o związkach. Wiedziałaś, że Kajsja miała w Kenii czarnego faceta?

Nie dając mi szansy na odpowiedź, Alfredo wyjął album z naszymi zdjęciami, który mu dałam na pamiątkę naszych czterech pierwszych wspólnie spędzonych miesięcy i powiedział, podekscytowany: - Pokazałem im nasze zdjęcia z podróży do Santiago. A one spytały, czy mogłyby czasem wyskoczyć gdzieś z nami na weekend.

- Alfredo, jestem z ciebie dumna, że zostałeś - powiedziałam, głaszcząc go po twarzy.

Alfredo pocałował moje palce pieszczące jego usta, a potem zamknął moją dłoń w swojej.

- Wiesz - powiedział z niewinnym, choć pewnym siebie uśmiechem - gdy tak się przysłuchiwałem twoim rozmowom z tymi Skandynawkami... Zdaję sobie sprawę, że teraz to zabrmi głupio, ale byłem wtedy przekonany, że są dla mnie takie miłe, bo jestem twoim chłopakiem.

Spojrzałam na niego, zaskoczona tokiem jego myślenia, którego nigdy nie wzięłam pod uwagę, tłumacząc sobie zawsze milczenie Alfreda w towarzystwie jego nieśmiałością.

- Dzisiaj poczułem po raz pierwszy, że ja też mogę być dla nich interesujący - kontynuował Alfredo. - Z powodu tego, kim jestem, dlatego, że jestem Kubańczykiem.

- A dlaczego miałyby być inaczej? - spytałam. - Przecież właśnie po to tu przyjeżdżamy. Żeby poznać ludzi takich jak ty-

- Kiedyś też tak myślałem, ale to było dawno temu - odparł Alfredo. - Może wtedy, gdy jeszcze chodziłem na wybory. Zanim turyści zawładnęli Kubą, a ja zacząłem się zastanawiać, gdzie jest moje miejsce. Może - zakończył, przypominając mi o swoim kuzynie i wszystkich ludziach, którzy zadawali mi to pytanie - to było, zanim zrozumiałem, jak

wszystko nagle się zmieniło.



## Rozdział XXIII

Co zrobiłby kapitalista?

Z każdym dniem spędzonym na Kubie do mojego ciała powoli zakradała się choroba. Początkowo tłumaczyłam sobie zawroty głowy i okresowe nudności zwykłym głodem. Ale któregoś popołudnia w głowie zakręciło mi się tak mocno, że padłam z powrotem na łóżko i nie byłam w stanie się podnieść. Później zdołałam jedynie wziąć kilka tabletek Imodium AD i - czekając, aż zaczną działać - dowlokłam się jakoś do łazienki.

Gdyby to była moja pierwsza wizyta na Kubie, winą za ten nagły atak słabości obarczyłabym zwykłą biegunkę, wynikającą ze zmiany klimatu i nazywaną tutaj „zemstą Montezumy”. Ale nawet za pierwszym razem nie miałam żadnych problemów zdrowotnych. A tym razem byłam jeszcze ostrożniejsza, jeśli chodzi o jedzenie, unikając ociekającej tłuszczem ulicznej pizzy, która kiedyś nie tylko podtrzymywała mnie przy życiu, ale i pozwalała zawrzeć nowe znajomości w długich kolejkach, a teraz wywoływała u mnie natychmiast odruch wymiotny. Jedzenie wprost z ulicy miało na początku swój urok - taki sam jak kraj, przez który przejeżdżasz po raz pierwszy, poznany dopiero co przyjaciel czy problemy, które z początku wydają ci się tylko przygodami nadającymi twojemu życiu szczyptę pikanterii. Jednak wraz z upływem czasu i nadejściem pewnej stałości - a przynajmniej krótkoterminowej stabilności - poczucie przeżywania przygody blednie, odsłaniając kulisy codziennej walki o byt.

Mimo iż udało nam się z Alfredem uniknąć tego fatalnego scenariusza - owa trwałość dodała naszemu związkowi powagi, a rozłąka zaszczepiła w nas cierpliwość - moje relacje z Kubą okazały się tym razem dużo bardziej złożone. Z jednej strony, wyspa nadal mnie fascynowała i inspirowała, ale z drugiej - wstręt do ulicznej pizzy świadczył tylko o moim rosnącym zmęczeniu poszukiwaniem czegoś nie tyle zdrowego, co przynajmniej zjadliwego, czym mogłabym zaspokoić fizyczny głód.

Pamiętam głód z pierwszego pobytu na Kubie. Jednak ten, którego doświadczałam teraz, był bardziej intensywny, jak gdyby łączył w sobie wszystkie głody, których wcześniej zaznałam. Wykraczał on poza żołądek, zagnieżdżając się w mojej głowie w postaci niesłabnącego bólu, który towarzyszył mi przez cały czas, przypominając o braku jedzenia.

Ponieważ nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak długotrwałego uczucia nienasycenia, nigdy też nie byłam tak ciężko i przewlekle chora. Jakby tego jeszcze było mało, pierwszy atak dolegliwości zbiegł się z niewyjaśnionym brakiem papieru toaletowego

w sklepach. Musiałam więc pójść w ślady Kubań-czyków, którzy robili tak od dziesięcioleci, i nauczyć się korzystania z narodowego organu prasowego - „Granmy”.

Tak samo jak wszyscy chorzy przykuci do łóżka, przyjmowałam gości w pozycji horyzontalnej, czekając cierpliwie, aż przedefilują przez mój pokój i wypowiedzą się na temat dziesiątek możliwych przyczyn mojej niemocy i tylu samo sposobów jej wyleczenia. Jednak w odróżnieniu od lekarskich diagnoz stawianych przez moich, niemających nic wspólnego z medycyną, amerykańskich przyjaciół, te proponowane przez obecnych kubańskich towarzyszy okazywały się dużo bardziej znośne z racji niezwykle interesującego i typowo kubańskiego podejścia do spraw zdrowia i medycyny. Tworzyły one bowiem mieszankę błędnych ocen medycznych, pogłosek i religijnych przesądów.

Dinora sugerowała na przykład, że przyczyną mojej choroby było zbyt szybkie branie prysznic tuż po kolacji i pozbawianie się w ten sposób zbawczego w swym działaniu, a przede wszystkim ułatwiającego trawienie leżakowania bez ruchu po każdym posiłku. Alfredo poszedł w swych ocenach jeszcze kilka kroków dalej, udzielając mi reprimendy za czytanie w łóżku po późno zjedzonej kolacji zeszłej nocy.

- Alfredo ma rację - sekundowała mu wiernie Ludmiła.

- Nie powinnaś czytać tuż po jedzeniu.

- Przecież się nie ruszam, kiedy czytam - zaprotestowałam.

- Czytanie wymaga mentalnego ruchu - Ludmiła wyciągnęła odpowiedź jak królika z kapelusza, a Alfredo tylko jej przytaknął.

- A poza tym, w Stanach ludzie często czytają po posiłku - odgryzłam się celnym kontrargumentem. - A kiedy jedzą śniadanie, zazwyczaj przeglądają poranną gazetę.

- Escucha eso. Posłuchaj tego - Alfredo zwrócił się do Ludmiły, marszcząc brwi.

Chociaż odmówiłam zaprzestania czytania w łóżku, świadoma, iż była to jedna z nielicznych rozrywek, jakie mi pozostały w tym stanie, poszłam na ugodę w drugiej kwestii i zobowiązałam się, że od tej pory będę brała prysznic przed kolacją.

W celu zasięgnięcia dalszych porad Alfredo skonsultował się z babcią, która spytała, czy wychodzę na dwór w czasie ma-drugady - wczesnych godzin porannych przed świtem, kiedy - według wierzeń religii santería - po ulicach hula zły duch o imieniu Echus. Babcia Alfreda poleciła mi również, bym dla równowagi przyciągnęła do siebie dobre duchy, kąpiąc się w perfumach, kwiatkach mariposy oraz w cascarilli - miniaturowych bezach robionych w całości ze sproszkowanych skorupek jajek.

Ja sama nie próbowałam się leczyć na własną rękę, ponieważ - w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych - miałam świadomość, że przyczyna mojej choroby leży całkowicie

poza moim zasięgiem, a lekarstwa na nią nie sposób znaleźć. Moim zdaniem, źródłem tej choroby było coś w powietrzu, a dokładniej - samo powietrze.

Dwa tygodnie przed moim powrotem rząd kubański rozpoczął intensywną kampanię dezynfekcyjną, mającą na celu wyeliminowanie zgłoszonych przypadków dengi - ostrej wirusowej choroby zakaźnej przenoszonej przez komary. Od tego czasu przynajmniej raz dziennie na ulice Centro Habana z hukiem wyjeżdżały plutony miniaturowych czołgów, które wypuszczały chmury trującego gazu, mające zabić mnożące się na potęgę komary.

Zanim wylądowałam w łóżku, na widok pierwszej, unoszącej się w oddali toksycznej chmury pomogłam Dinorze zabezpieczyć dom. Przygotowując się do odparcia inwazji, zamknęłyśmy drzwi balkonowe i pozaciągałyśmy żaluzje w całym domu. Dzień później, gdy brygada dezynfekcyjna pojawiła się pod naszym domem, Dinora wpadła do mojego pokoju, krzycząc: - Ai balcón, ai balcón! - Zataczając się, wstałam z łóżka i pobiegłam na dół, gdzie przed drzwiami prowadzącymi na balkon czekały już Dinora, obie Dunki i Abuela. Opierając się o zamknięte drzwi patrzyłyśmy, jak pod nami ląduje na ulicy obłok trujących chemikaliów i słyszałyśmy syk kolejnych, wypuszczanych na sąsiednich ulicach.

Najgorsze jednak było popołudnie w dniu poprzedzającym atak choroby. Byłam wtedy na ulicy z Ludmiłą i nagle poczułam, jak ziemia drży pod moimi stopami. Usłyszałam znajomy huk i zanim jeszcze zobaczyłam przezroczystą chmurę czarnych toksyn, poczułam w ustach ich duszący, metaliczny zapach. Zaczęłam natychmiast kaszleć, a Ludmiła wzięła mnie za rękę i zaciągnęła na sąsiednią ulicę, z dala od bezpośredniego źródła zagrożenia.

Kiedy kaszel osłabł, poklepała mnie po plecach i powiedziała: - Teraz już będziesz wiedziała, co robić. Kiedy usłyszysz eksplozję, zmykaj gdzie pieprz rośnie, najlepiej na sąsiednią ulicę - tam będziesz bezpieczna.

Próbowałam jej wyjaśnić, że powietrze jest takie samo na każdej ulicy i że fakt, iż chwilowo nie miałam problemów z oddychaniem nie znaczył, że zabójcze chemikalia nie przenikały w dalszym ciągu do mojego organizmu, oddziałując nań w trudny do przewidzenia, choć z pewnością szkodliwy sposób. Próbowałam powiedzieć Ludmile i innym o DDT (środek owadobójczy otrzymywany przez kondensację chloralu z chlorobenzenem w obecności stężonego kwasu siarkowego - przyp. tłum.) i zaburzeniach krążenia, ale moje słowa uderzały jak grochem o ścianę.

- Władze odpowiadają za dezynfekcję - powiedziała mi Di-nora. - Dlaczego mieliby używać czegoś, co jest dla nas szkodliwe?

Pytanie wydawało się tak oczywiste i uzasadnione, że nie potrafiłam znaleźć na nie odpowiedzi, może poza tą jedną, że ja na jej miejscu nie ufałabym tak bezgranicznie

władzom. Ale wiedziałam doskonale, że taka odpowiedź nie zadowoliliby osoby, której niezmiennie wysokie oczekiwania względem swojego rządu przeplatały się z jednej strony, z bezustannym narzekaniem pod jego adresem, a z drugiej - z nieregularną, choć stale powracającą wiarą w to, że ów rząd zaopiekuje się nią w razie potrzeby.

- Czy twój rząd użyłby do dezynfekcji szkodliwych dla ludzi chemikaliów? - spytała Dinora, kiedy siedziałyśmy na łóżku pierwszego gorącego popołudnia po moim powrocie.

- U nas takie sprawy nie leżą w gestii rządu - odparłam.

- W Stanach jest mnóstwo prywatnych firm zajmujących się dezynfekcją domów i często dopiero po kilku, a nawet kilkudziesięciu latach okazuje się, że ludzie, którzy znajdowali się w zasięgu działania takich chemikaliów, zapadali na różne groźne choroby.

- I co się wtedy dzieje? - Dinora wyglądała na zaintrygowaną.

- Jeśli wina takiej firmy zostanie udowodniona, ktoś z pewnością poda ich do sądu, zażąda gigantycznego odszkodowania i dostanie je.

- W takim razie, dlaczego firmy nie testują używanych przez siebie środków, zanim z nich skorzystają? - spytała z konsternacją Dinora.

- Na pewno to robią - powiedziałam. - Ale najważniejsze testy są też na pewno najdroższe, poza tym muszą minąć dziesięciolecia, zanim poznamy w pełni ich efekty. Może firmy produkujące chemikalia nie chcą czekać tak długo przed wprowadzeniem na rynek każdego nowego produktu. A może - dodałam - nie robią testów, bo nikt im nie każe.

Dinora siedziała w ciszy, kręcąc głową; usta miała zaciśnięte w czymś na kształt uśmiechu.

- Zaskakujesz mnie - odezwała się w końcu. - A wszystko to z powodu głupiej akcji opryskiwania szkodników. Nie to, żebym ci nie wierzyła. Po prostu sama nigdy w ten sposób o tym nie myślałam. Na Kubie nie zadajemy tylu pytań. Być może dlatego, że nie potrafimy tak myśleć, nie umiemy być tacy... - w tym miejscu Dinora zrobiła krótką przerwę, jak gdyby szukając najodpowiedniejszego słowa - cyniczni.

- Nie wydaje mi się, żeby był w tym jakiś cynizm - powiedziałam. - Moim zdaniem, chodzi o to, by być bardziej krytycznym, myśleć w krytyczny sposób.

- Dla mnie to jest kapitalistyczne myślenie - Dinora wreszcie wybuchnęła śmiechem.

- Co masz na myśli? - spytałam, zaskoczona jej nonszalanckim tonem.

- Nie twierdę, że to źle - Dinora poprawiła się natychmiast. - Ale to typowy sposób patrzenia na świat oczami człowieka, który przyjechał z kraju, w którym władza nie dba o obywateli. A może my nie bylibyśmy tacy podatni na zmiany, może pomogłoby nam to trochę, gdybyśmy rozumowali w podobny sposób? - Dinora przysunęła się bliżej mnie na

łóżku, zniżając konspiracyjnie głos. - Może nawet mogłabym się tego od ciebie nauczyć?

- Nauczyć się czego? Myślenia?

Dinora ochoczo pokiwała głową.

- Myślisz, że byś potrafiła? - spytała.

- Ale w jaki sposób?

- Czy ja wiem, mogłabyś po prostu wyjaśnić mi kilka sytuacji z innego punktu widzenia.

Kiedy zastanawiałam się, jak mogłabym tego dokonać, Dinora nagle wstała i obwieściła, jak gdyby zawstydzona własną propozycją: - Bueno, solamente fue una idea. To był tylko taki pomysł.

Potem, zanim zdążyłam zareagować, wyszła z pokoju.

Mogłam ją zawołać, ale prawdę mówiąc, poczułam ulgę, że nasza rozmowa skończyła się w ten sposób. Tak przyzwyczaiłam się do roli uczennicy Dinory we wszystkim, co robiłam w domu i w tysiącu innych szczegółów z życia na Kubie, że czułam się nieprzygotowana do tej nagłej zamiany ról. Zwłaszcza, że z listu, który wysłała mi, kiedy byłam jeszcze w Stanach, wynikało dość wyraźnie, że i tym razem, nawet w większym stopniu, będzie jej odpowiadała rola mentora.

Kiedy przeczytałam, że Dinora wraca na uniwersytet uczyć rosyjskiego, wyobraziłam ją sobie stojącą przed salą pełną oczarowanych studentów i prowadzącą z pasją kolejną lekcję w języku Tolstoja z szybkością karabinu Kałasznikowa. Ale kiedy wróciłam na Kubę i zastałam ją czekającą na mnie na balkonie, w pełnym radości sposobie, w jaki się ze mną witała, w bijącej z jej oczu potrzebie bliskości z drugim człowiekiem i trosce było coś, dzięki czemu natychmiast wiedziałam, że żyje tym samym życiem, co cztery miesiące temu.

Następnego dnia Dinora zdradziła mi, że zapłaciła swojemu lekarzowi za wystawienie lewego zaświadczenia o niezdolności do pracy, dzięki któremu od przyszłego roku miała otrzymywać wyłudzoną rentę.

- Dinora! - zawołałam, zszokowana jej wyznaniem, chociaż po tylu miesiącach spędzonych na Kubie w sumie nie powinnam się już takim rzeczom dziwić. Tydzień przed wylotem Amy w maju Ludmiła, za namową matki, poszła do lekarza, żeby dal jej zwolnienie ze szkoły na kilka dni, po to, by mogła je spędzić z Amy.

A w czasie mojego pierwszego pobytu Alfredo „kupił” sobie za 5 dolarów infekcję dróg moczowych, która pozwoliła mu opuścić 2 tygodnie w pracy i pojechać ze mną do Santiago.

- Infekcja dróg moczowych? - spytałam go później. - Jak na to wpadłeś?

- To był pomysł lekarza - powiedział Alfredo. - Myślałem o żółtaczce typu A, ale doktor powiedział, że to bardziej skomplikowane. Musiałbym zacząć symulować chorobę na kilka dni przed planowaną datą zwolnienia. Poza tym, infekcja dróg moczowych była dużo tańsza od żółtaczki.

- A ile kosztuje żółtaczka? - spytałam, próbując zachować powagę.

- Nie wiem. Lekarz powiedział mi tylko, że infekcja jest tańsza. Ale znam ludzi, którzy za swoje zwolnienia zapłacili ponad 50 dolarów. Wszystko zależy od tego, jak długo chcesz być chory i po co.

Patrzyłam na Alfreda z niesłusznym, choć trudnym do ukrycia podziwem dla jego negocjo.

- Jeśli pracujesz w turystyce albo przyjeżdża do ciebie rodzina z Miami - tłumaczył mi dalej Alfredo - musisz zapłacić dużo więcej, bo lekarz wie, że masz pieniądze.

Kiedy Alfredo założył do pracy swój przywieziony z Santiago kapelusz guajiro, spytałam go, czy nikt nie dociekał, jak udało mu się go zdobyć, skoro całe dwa tygodnie przeleżał w łóżku, złożony infekcją dróg moczowych.

- Ależ skąd - odpowiedział beztrąsko. - Wszyscy wiedzieli, że jedziemy do Santiago. To zwolnienie od lekarza to była tylko formalność.

Gdy spytałam Dinorę, jaką chorobę sobie kupiła, by na stałe wymigać się od pracy, przełknęła głośno ślinę i powiedziała:

- Poprosiłam lekarza, by mi wpisał, że jestem niezrównoważona psychicznie.

- Mówisz poważnie?! - zamurowało mnie. - Dlaczego przez resztę życia wolisz być uznawana za chorą psychicznie niż uczyć rosyjskiego przez rok?

Dinora spuściła wzrok, zawstydzona. - Prawdę mówiąc, na samą myśl, że mam znów zacząć uczyć, ogarnął mnie taki strach - powiedziała - że poczułam się, jakbym naprawdę miała zwariować. Zaczęłam się zastanawiać: „A co, jeśli już tego nie potrafię? Co, jeśli - po tylu latach zamknięcia w tym domu, praktycznie bez żadnych kontaktów społecznych - okaże się, że nie mam już w sobie siły i energii, by zachęcić studentów do nauki?”.

- Poza tym, znasz moją matkę i wiesz, w jakim jest stanie - powiedziała nagle. - Mój brat obiecał się nią zająć podczas mojej nieobecności, ale po powrocie do domu z uczelni wiedziałam, że Abuela zawsze będzie potrzebować mojej uwagi i mojego czasu. Nie dałabym rady przygotować się do zajęć, więc uznałam, że tak będzie najlepiej.

Po naszej pierwszej i ostatniej rozmowie na temat udaremnionej kariery zawodowej Dinory wróciłyśmy - jak to było wcześniej - do innych tematów, takich jak jedzenie czy przyjaźń. Jednak większość naszych konwersacji toczyła się w zupełnie innym rytmie, niż to

miało miejsce podczas mojej pierwszej wizyty na Kubie. Wszystko odbywało się teraz w jakimś niezrozumiałym pośpiechu i kręciło się wokół tego, co Dinora określiła wcześniej jako kapitalistyczny sposób myślenia. Trzeciego dnia Dinora wyjawiała mi prawdziwy powód zainteresowania regułami rządzącymi światem kapitalistycznym.

- Wczoraj wieczorem Nitza przyznała się w końcu do tego, o co podejrzewałam ją od dłuższego czasu - powiedziała, stawiając na moim nocnym stoliku garnek pełen potaje.

- Proszę, nie mów o tym nikomu - poprosiła, biorąc głęboki oddech, zanim zdradziła mi sensacyjną wiadomość. - Nitza złożyła papiery i wyjeżdża do Argentyny.

- Wyjeżdża? - spytałam. - To znaczy na stałe? Na zawsze?

Dinora potwierdziła skinieniem głowy.

- Ma już dosyć życia tutaj - powiedziała; w jej głosie słychać było raczej zrozumienie niż gniew. - Jest już za stara, żeby dzielić łóżko z babcią. Pragnie niezależności i ja ją rozumiem, bo sama nigdy nie zaznałam wolności. Nigdy nie miałam okazji mieszkać sama. Spójrz na mnie, całe małżeństwo spędziłam u boku mojej matki. Jedyne, na czym naprawdę zależy Nitzy, to samodzielność. Chce doświadczyć życia w kapitalistycznym świecie. A ja nie mogę jej za to winić.

- Więc pozwolisz jej polecieć do Argentyny?

- Ni despues de muerta! Po moim trupie! - Dinora zareagowała gwałtownie, uderzając przy tym głową w ramę łóżka. - Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam, nie pozwolę, by opuściło mnie moje jedyne dziecko.

- Powiedziałaś jej to?

- Pewnie - Dinora zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem. - Ale ona i tak chce jechać.

- I co zrobisz?

Dinora roześmiała się po raz kolejny.

- Mam nadzieję, że jej wniosek zostanie odrzucony.

- A kiedy się to wyjaśni?

- Na szczęście trochę to potrwa - powiedziała Dinora. - To długi proces i nie wiem nawet, na czym polega. Ale na pewno nie krócej niż rok, może dłużej, więc martwię się przedwcześnie. I naprawdę nie chciałam zwracać ci tym głowy. Ale niekiedy mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która znajduje czas, by mnie wysłuchać i jedyną, która naprawdę mnie rozumie.

Przytaknęłam solennie, jej słowa jednocześnie zasmuciły mnie i pochlebiły mi.

- Kiedy wyleciałaś do Stanów, byłam taka smutna - ciągnęła dalej Dinora. - Luisa i Nitzy nie było. Miałam tylko Abuelę, z którą mogłam porozmawiać.

- A Skandynawki?

- No tak, Dunki zawsze były dla mnie bardzo miłe - zgodziła się. - Ale zazwyczaj byli z nimi ci dwaj rastafarianie, a wiesz, jacy oni są. Niekoniecznie chciałabym się z nimi dzielić osobistymi problemami - Dinora zmarszczyła czoło z niesmakiem.

- To znaczy?

- Cóż, nie znam ich zbyt dobrze, ale jakoś nie wzbudzają mojej sympatii. Są tacy... średnio wykształceni - powiedziała Dinora. - Widziałas ich kiedykolwiek, gdy tu przychodzili?

Pokręciłam głową.

- Pytają zawsze, czy jest Anna i Vita, a potem lecą po schodach na górę jak zwierzęta. O, właśnie tak... - Dinora przykucnęła, a potem zaczęła chodzić po pokoju na czworakach i zgięta w pół, naśladując goryla z łapą wyciągniętą w górę po banana. Pomimo komizmu całej sytuacji, jakoś nie potrafiłam zmusić się do śmiechu.

- Nigdy tego nie zauważyłam - przyznałam.

- No to masz szczęście. Kiedy wyjechałaś, w domu byli tylko oni i ich Dunki. Z kolei ta Szwedka, Kajsa, jest bardzo wymagająca, jeśli wiesz, o czym mówię.

W ciągu dwóch tygodni, odkąd poznałam Kajsę, szybko się zaprzyjaźniłyśmy i byłyśmy ze sobą w takiej zażyłości, że z czasem zaczęłam traktować ją jak Amy. Ale wiedząc, jak delikatna potrafi być Dinora, przypuszczałam, że może potraktować asertywność Kajsy - jej znak firmowy - jako przejaw osobistej niechęci.

- Kiedy Kajsa przyszła obejrzeć pokój - opowiadała dalej Dinora - podałam jej cenę 15 dolarów, na co ona powiedziała mi, że przy tej samej ulicy znalazła niemal identyczny pokój za jedyne 10 dolarów.

- I co z tego? - wzruszyłam ramionami. - To przecież możliwe, prawda?

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. 15 dolarów to aktualnie obowiązująca stawka, a poza tym - w tym miejscu nastąpiła kolejna dramatyczna pauza - to jedyna casa particular przy Animas.

- Może nie chodziło jej dosłownie o tę samą ulicę - powiedziałam. - Pewnie myślała o najbliższej okolicy.

- Nie - Dinora pokręciła stanowczo głową. - Chodziło jej konkretnie o tę ulicę. Wiem o tym, bo przyłapałam ją na kłamstwie. Powiedziałam Kajsie: „Mogę wynająć ci pokój za 10 dolarów, wystarczyło tylko spytać. Nie musiałaś zmyślać tej historii”, a ona spojrzała na mnie, jakbym była jakimś potworem z głową wyrastającą spod pachy. Ale - Dinora dodała z triumfem - nie zaprzeczyła, że kłamała.



- To normalne - machnęłam ręką, zdziwiona jej oburzeniem. - Tam, gdzie mieszkam, ludzie zawsze tak robią, żeby dostać lepszą cenę.

Dinora wyjrzała przez okno, analizując w głowie to, co jej powiedziałam. A potem nagle odwróciła się do mnie z twarzą promieniającą pierwszym rumieńcem zupełnie nowej myśli.

- Powiedz mi, Lea - powiedziała podekscytowanym głosem - czy jeśli Kajsa okłamała mnie, mówiąc, że proponowano jej inny pokój za lepszą cenę, a ja znalazłabym kogoś, kto byłby gotów zapłacić więcej, mogę wyrzucić ją z pokoju.

Mało nie wybuchnęłam śmiechem. - Nie, nie możesz - odparłam.

- Nie? Dlaczego? - Dinora wydawała się lekko zbита z tropu moją stanowczą odpowiedzią.

- Bo już jej powiedziałaś, że może zostać. Zgodziłaś się na niższą cenę. Nie możesz teraz wszystkiego odkręcić. To nie działa w ten sposób.

- Więc jak to działa? - Dinora spytała z przejęciem, siadając obok mnie na krześle. - Lea, proszę, powiedz mi. Co na moim miejscu zrobiłby kapitalista?

- Och, Dinoro - potrząsnęłam głową. - Naprawdę kiepski ze mnie kapitalista. Nie wiem, co ci powiedzieć.

Dinora przyglądała mi się uważnie, w milczeniu oczekując odpowiedzi.

- No cóż - westchnęłam - w tej sytuacji chyba niewiele możesz już zrobić, ale być może kapitalista nie zgodziłby się tak łatwo na obniżenie ceny następnym razem. - Może w ogóle by się nie targował. Prawdopodobnie, gdybyś trzymała się stanowczo swojej pierwotnej stawki, Kajsa zapłaciłaby te 15 dolarów.

- Pewnie masz rację - Dinora wyglądała na usatysfakcjonowaną. - Widzisz, Lea, znasz odpowiedź. Nie powinnaś tak nisko się oceniać.

Zaśmiałam się.

- Dziękuję. Cieszę się, że mogłam pomóc.

- No dobrze - Dinora wstała. - Myślę, że trochę się teraz zdrzemnę. Może to tylko stres, ale czuję, że zbliża się kolejna migrena.

Uśmiechnęła się słabo, a potem wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę schodów. Leżąc na łóżku, patrzyłam jak schodzi, stopień po stopniu, aż w końcu zniknęła mi z oczu, pozostawiając po sobie jedynie coraz cichszy, miękki odgłos stąpania.

## Rozdział XXIV

Inne rodzaje szczęścia

Pierwszego dnia, gdy poczułam się lepiej, zatargałam do domu dziadków Alfreda plecak pełen prezentów. Miałam wrażenie, że znów przesadziłam z ich liczbą, udowadniając po raz kolejny, iż jako kapitalista jestem przede wszystkim konsumentem.

Jak gdyby chcąc mnie ukarać za brak umiaru, wieczorne słońce skupiło swoje promienie wyłącznie na moim plecaku, sprawiając, że po plecach spływały mi strużki potu. Na domiar złego, założyłam bezmyślnie czarną, wieczorową suknię, tak żebyśmy mogli z Alfredem pójść na wesele jego kolegi od razu po obiedzie z dziadkami.

Stąpając niczym karawana po asfaltowej pustyni Plaza de la Revolución, mijałam po drodze rozsądniej ubranych i mniej objuczonych hawańczyków. Wyobrażałam już sobie błyszczące spojrzenia i zdumiony wyraz twarzy dziadków oraz sióstr Alfreda, których - tak jak jego - zamierzałam obsypać prezentami: kawą, herbatą i czekoladą, t-shirtami i koszulkami, aspiryną i kostkami owocowego mydła oraz małym, pluszowym, żółtym lwem, którego przywiozłam dla nowo narodzonego dziecka jednej z sióstr Alfreda.

Chciałam mu przywieźć dużo więcej, ale zanim wróciłam na Kubę, Alfredo wybił mi to z głowy, mówiąc: - Bruno ma wokół siebie mnóstwo życzliwych ludzi, którzy będą dbali o to, by niczego mu nie brakowało; poza tym, to jeszcze niemowlak, który nie ma na razie żadnych potrzeb.

Alfredo miał rację. Wypchany lew nie tylko w zupełności wystarczył 3-miesięcznemu Brunowi (który mógł go wyłącznie obślinić), ale także okazał się czymś znacznie lepszym, niż się wszyscy spodziewali.

- Ay, qué rico! - zachwycała się siostra Alfreda, głaszcząc obślinionego lwa tak delikatnie, jakby był żywy i mógł się w każdej chwili obudzić z głębokiego snu.

- Qué lindo! - zawtórowała jej babcia, kiedy przyszła jej kolej, żeby dotknąć maskotki.

- Już dawno nie widziałam tak przystojnego munequito.

- Kiedy byłam mała, w sklepach można było dostać takie zabawki - wyjaśniła mi siostra. - Ale wszystko się zmieniło podczas Okresu Specjalnego.

Szwagier Alfreda przytaknął, zamyślony.

- Muchismas gracias, Lea - powiedział.

Roześmiałam się, zaskoczona furorą, jaką wywołał mój prezent.

Jedynie najbardziej opanowany z całej rodziny dziadek Alfreda, który zwracał się do

mnie oficjalnie Usted, wydawał się trzymać emocje na wodzy. Siedział w milczeniu w swoim bujanym fotelu, obojętnie przyglądając się całej scenie.

Postanowiłam zaczekać z resztą prezentów do obiadu, ale mimo to większość rozmów przy stole koncentrowała się nadal wokół pluszowego lwa oraz braku munequitos w sklepach. Gdy już zjadłam swoją porcję ryżu z fasolą i sałatkę z pomidorów, a pozostali domownicy uporali się także ze swoimi dodatkami wieprzowiny, na stole pojawił się deser w postaci pokrojonej w kostkę, schłodzonej papai. Od tego momentu dalsza rozmowa popłynęła wartkim strumieniem. Dyskutowaliśmy o wszystkim - od papierosów po ubrania - co było powszechnie dostępne w czasach kubańskiej prosperity, a teraz zniknęło ze sklepowych półek.

Po skończonym posiłku szwagier Alfreda wstał z krzesła, Pożegnał się ze wszystkimi i skierował się do drzwi. W ostatniej chwili przed wyjściem obrócił się i zawołał do swojej żony:

- Będę jutro wieczorem.

- Gdzie on się wybiera? - spytałam.

- Do domu - odpowiedziała opryskliwie siostra Alfreda, tak że poczułam się głupio, zadając w ogóle takie pytanie.

W kuchni, kiedy wycieraliśmy umyte naczynia, Alfredo wytłumaczył mi, że jego szwagier mieszka ze swoją rodziną w kawalerce w Vedado.

- Nie ma tam miejsca dla mojej siostry - powiedział, po czym zaśmiał się cierpko i dodał: - A babcia uważa, że nie ma tu miejsca dla niego.

- Nie mogła oddać mu jednego pokoju, zwłaszcza po tym, jak się pobrali? - spytałam, zdumiona. Widziałam pokój siostry Alfreda i wydawało mi się, że jest tam wystarczająco miejsca dla dwóch osób. - Czy twoja babcia nie lubi twojego szwagra?

- Nie przepada za nim - przytaknął Alfredo. - Uważa, że jest leniem i awanturnikiem.

- I na tym koniec? - zaskoczyło mnie to, że siostra Alfreda, która sama była bardzo wygadana, odpuściła i pozwoliła, by taka sytuacja miała miejsce. - Dlaczego nie zamieszkają razem gdzie indziej?

- Bo nie mają pieniędzy.

- Myślałem, że rząd rozdaje ludziom domy. Nie mogli się postarać, by im także jakiś przydzielono?

- Być może, ale to trwałoby wieki - powiedział Alfredo.

- Poza tym, wydaje mi się, że nie opłaca się dawać domu dwójce ludzi. Chyba już lepiej kupić sobie dom od kogoś.

- Czy to legalne?

- Nie, oczywiście, że nie.

Po obiedzie rozdałam resztę prezentów. Siostra i babcia Alfreda usiadły na kanapie, zaś Alfredo stanął troskliwie u mojego boku. Niczym asystent magika wyciągający króliki z kapelusza, Alfredo odprawiał własny magiczny show, komentując każdy podany mu przeze mnie przedmiot odpowiednim, choć silnie akcentowanym, angielskim słowem.

Z czekoladą i aspiryną poszło mu nieźle, ale kiedy przyszło do wyrazów podobnie brzmiących, wyłożył się na mydle, wymawiając je jako zupę (angielskie słowa soap - mydło i soup - zupa brzmią i piszą się bardzo podobnie). Zareagowałam na to potknięcie milczącym uśmiechem, za to siostra Alfreda, która biegle mówiła po angielsku, wydała z siebie głośny dźwięk, przypominający sygnał udzielenia błędnej odpowiedzi w telewizyjnym teleturnieju.

- Alfredo tak pilnie uczył się angielskiego. Musiał naprawdę zakochać się w tym języku - powiedziała, po czym, puszczając do mnie oko, dodała: - A może zakochał się w Lei?

Spojrzałam na Alfreda, który odwzajemnił mi nieśmiały uśmiech.

Po tym, jak cała rodzina nawąchała się już owocowego mydła, Alfredo poprosił mnie, bym opowiedziała im - tak jak jemu - o różnych rodzajach mydła sprzedawanego w Stanach Zjednoczonych. Babcia i siostra popatrzyły na mnie tym samym błagalnym wzrokiem, co Dinora za każdym razem, gdy rozmawialiśmy o materialnych owocach świata kapitalistycznego. Lecz gdy zerknęłam na dziadka Alfreda, zobaczyłam na jego twarzy ten sam stoicki spokój i to samo utkwione w dal spojrzenie, pozbawione jakichkolwiek emocji.

Kiedy zastanawiałam się przez moment, w jaki sposób mężczyźni udaje się zachować taką obojętność, podczas gdy w całym domu aż kipiało od pozytywnych emocji, przypominałam sobie, jak Alfredo opowiedział mi kiedyś, że jego dziadek był najbardziej oddanym Rewolucji członkiem rodziny. Przypominałam sobie także, jak pewnego dnia, w samym środku rozmowy, dziadek przeprosił nas i udał się na spotkanie lokalnego Komitetu Obrony Rewolucji.

Tak jak babka Alfreda nie pozwoliła mężowi swojej wnuczki zamieszkać w jej domu, bo nie podobał się jej jego charakter, tak dziadek Alfreda odmówił tego samego - tyle że z przyczyn politycznych - ich zięciowi, którego uważał za kontrewolucjonistę, po tym jak ten podjął próbę ucieczki do Stanów w 1980 roku.

Wreszcie, kiedy mydlana euforia przygasła, dziadek w końcu przemówił.

- Wiesz - powiedział powoli, jak na zakończenie długiego kazania, które wcześniej ułożył sobie w głowie - są inne rodzaje bogactwa, niż tylko materialne. Jest bogactwo

kulturowe, emocjonalne, duchowe i intelektualne.

Kiedy wstaliśmy, żeby się pożegnać, babcia Alfreda udzieliła mi matczynej reprimendy za to, że nie zaglądam do nich częściej.

- Nie waż się czekać kolejnych dwóch tygodni z następną wizytą - pogroziła mi palcem.

- Dobrze - przyrzekłam.

- Czy ty tu jeszcze w ogóle będziesz za dwa tygodnie? - spytała z wahaniem.

- Tak, ale niewiele dłużej. Tym razem przyjechałam tylko na miesiąc.

- Szkoda, że na tak krótko - w jej głosie pobrzmiwał smutek. - Powinnaś zostać dłużej, pojeździć trochę i zwiedzić inną część wyspy, tak jak poprzednim razem.

- Mamy taki zamiar - wtrącił się Alfredo. - Nie mówiłem wam, że ostatni tydzień pobytu Lei chcemy spędzić w Trinida-dzie?

- Nie, nic nie mówiłeś - babcia znów pokręciła smutno głową, jak gdyby brak tej informacji, w parze z moimi rzadkimi wizytami w jej domu, był dla niej przejawem ciężkiej zdrady. Potem odciągnęła Alfreda na bok i szepnęła mi do ucha: - W ogóle nie powinnaś wyjeżdżać z Kuby. Wiesz, że gdy wróciłaś do Stanów, Alfredo cały czas płakał i nie jadł przez trzy dni?

Odwrociłam się do niego, zszokowana tą rewelacją. Ale zamiast skomentować w jakikolwiek sposób słowa babci, Alfredo ucałował ją na pożegnanie, a potem wziął mnie za rękę i wyprowadził z domu. Usłyszałam jeszcze, jak babcia woła za nami w drzwiach: - No pierdan el camino. Nie bądź nam obca.

- Alfredo - spytałam, gdy skręciliśmy w ulicę Panorama - czy to prawda z tą trzydniową głodówką?

Pokręcił głową.

- Babcia zawsze mówi takie rzeczy - powiedział. - We wszystkim przesadza.

- Naprawdę? - zdziwiłam się, bo nigdy wcześniej nie słyszałam podobnego zarzutu pod jej adresem. - Na przykład?

- Na przykład, mówiąc, że nie jadłem trzy dni - odparł rezolutnie Alfredo.

Spojrzałam na niego podejrzliwym wzrokiem, a on przez chwilę wytrzymał moje spojrzenie. W oddali przetaczały się po niebie grzmoty armatnich wystrzałów, zwiastujące nadejście godziny 21.00.

- Tak naprawdę - powiedział Alfredo z nieśmiałym uśmiechem błakającym się w kącikach jego ust - nie jadłem dwa i pół dnia. Trzeciego dnia zjadłem kolację.

Oboje wybuchliśmy gromkim śmiechem, a całe napięcie w jednej chwili zniknęło.

- Wiesz, co bym chciał? - rozmarzył się Alfredo. - Chciałbym, żebyśmy mogli zatrzymać tę chwilę, żeby zawsze była dziewiąta wieczór i żebyśmy zawsze stali tu razem.

- To piękne życzenie - powiedziałam, opierając głowę na jego ramieniu i patrząc w migoczące nad naszymi głowami gwiazdy. Może uda nam się wywalczyć tę wizję, a wtedy nie będziemy musieli zatrzymywać tej chwili, by być razem.

Nagle dziwnie się poczułam, wspominając o wizji, o której nie rozmawialiśmy od tamtej pierwszej nocy po powrocie, kiedy Alfredo powiedział mi, że jego najlepszy przyjaciel uciekł w podobny sposób do Belgii. Wiedziałam, że Alfredo chce utrzymać w tajemnicy nasze plany, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego od biurokratów, którzy byli władni dać nam możliwość wypróbowania naszego związku w Stanach. Podobnie jak zachowanie dziadka, tak i milczenie Alfreda było podyktowane względami politycznymi, choć w tym drugim przypadku ważną rolę odgrywał strach przed reakcją ze strony fidelistów.

Alfredo był spokojny o to, że jego rodzina przyjmie naszą decyzję o zaręczynach jako wyraz naszej miłości, a nie polityki. Ale bał się też, że jeśli powie im o tym zbyt szybko, o naszych planach może dowiedzieć się ktoś, kto nie podziela naszych poglądów. A potem przekaze informacje dalej ludziom o podobnej wrażliwości, wywołując efekt domina, w wyniku którego Alfredo mógłby zostać uznany za contrarevolucionario i stracić pracę.

Mimo to, przy co najmniej kilku okazjach miałam ochotę się wygadać, ostatnio babci Alfreda, a najczęściej Dinorze. Pamiętałam, jak niedługo po moim powrocie na Kubę Dinora odciągnęła mnie kiedyś na bok i spytała, czy znalazłam sobie faceta w USA.

- Faceta? - powtórzyłam za nią. - Myślisz, że zadałabym sobie tyle trudu, żeby tu przyjechać i zobaczyć się z Alfredem, gdybym związała się z kimś w Stanach?

- Pues, uno nunca sabe. Nigdy nic nie wiadomo - Dinora wzruszyła niewinnie ramionami. - Ale to dla mnie cenna wiadomość. To znaczy, że chodzi o prawdziwą miłość. Teraz musisz tylko się pospieszyć i wyjść za Alfreda.

Szliśmy z Alfredem w niemal kompletnej ciemności na wesele jego kolegi z pracy. Ulice typowej dzielnicy mieszkalnej Nuevo Vedado wydawały się bez porównania spokojniejsze od tych w Centro Habana.

- Dlaczego nie poszliśmy najpierw na ślub? - spytałam, z uwagą lawirując między kolejnymi kocimi łbami.

- Na ślub? - Alfredo wydawał się zaskoczony. - Może i mogliśmy. Ale zazwyczaj idą tam tylko ci, którzy czują się do tego zobligowani, głównie najbliższa rodzina. Słyszałam, że te ceremonie są okropnie nudne - wszystko sprowadza się do podyktowania formułek przez urzędnika w Palacio del Matrimonios.

- Nigdy nie byłeś na żadnym ślubie? A kiedy twoja siostra wychodziła za mąż?

- Nikt nie był na ich ślubie - odpowiedział Alfredo. - Chcieli być tylko we dwójkę. W USA tak się nie robi?

- Czasami. Ale zazwyczaj śluby wyprawiane są z wielką pompą. Ludzie przygotowują się do nich z rocznym wyprzedzeniem, czasem dłużej.

- Dlaczego?

- Muszą zdecydować, kogo zaprosić, gdzie odbędzie się ślub, gdzie będzie przyjęcie, jak udekorują stoły weselne i kto gdzie będzie siedział. A potem zbierają na to wszystko pieniądze.

- Oh, my God! - Alfredo powiedział po angielsku. - Co za skomplikowane życie.

Podobnie jak na wszystkich kubańskich imprezach towarzyskich, na których byłam, muzyka na weselu Soyli i Argea grała tak głośno, że wchodząc do sali, czułam się, jakbym przekraczała bramę do innego wymiaru. Cały świat składał się wyłącznie z dźwięku i ruchu, gdzie język służył wyłącznie do śpiewania, a ludzie wirowali wokół siebie na parkiecie tak szybko, że nie sposób ich było zidentyfikować.

Zdołaliśmy się jakoś przebić przez krąg gości tańczących salsę do stojącego z tyłu sali stołu z przekąskami, gdzie każdy z nas wziął sobie po kartonowym pudełku na wynos, do którego ktoś zapakował grubo polukrowane ciasto. Idąc za przykładem Alfredo, który pogrzebał w pozostałych resztkach jedzenia i naładował do innego pudełka solidną porcję popcornu, nałożyłam sobie trochę ensalada fría, sałatki z makaronem, ananasem, majonezem i kawałkami szynki. Na stole stało jeszcze kilka puszek Tropicoli, za to wszystkie butelki z rumem zostały już opróżnione.

Rozejrzałam się za miejscem, w którym moglibyśmy usiąść, porozmawiać i zjeść. Lecz w odróżnieniu od innych przyjęć, na których ludzie ucinali sobie pogawędki dosłownie wszędzie - od kolejki do łazienki po zatłoczone sofy w salonie - tutaj nie było nawet miejsca, żeby usiąść, nie wspominając już o rozmowie. Nie widziałam też tak dobrze znanego w Stanach stołu przy wejściu, na którym goście zostawiają prezenty.

- Tutaj dajesz prezent, jeśli cię na niego stać - wyjaśnił mi Alfredo. - Większości nie stać, więc nie dają. Z wyjątkiem rodzin państwa młodych, które starają się zebrać trochę pieniędzy.

- Rany, ci to mają najgorzej - zaśmiałam się. - Nie dość, że uczestniczą w nudnej ceremonii, to jeszcze muszą dawać pieniądze.

Alfredo zaśmiał się z mojego żartu, a potem wyszliśmy na balkon, ostrożnie trzymając w dłoniach pudełka, z których ściekał tłuszcz, zostawiając na naszych rękach brązowe plamy.

Alfredo wskazał na ścianę w pokoju, na której wisiało zdjęcie w kolorze sepii, przedstawiające tańczącą balerinę. Zza na wpół przymkniętych drzwi widać było jedynie fragment jej sylwetki.

- Soyla jest tancerką - wyjaśnił Alfredo. - To dom jej matki.

- Czy zamieszka w nim razem ze swoim mężem? - spytałam.

- Pewnie tak. Wygląda na to, że jest tu wystarczająco dużo miejsca.

- A czy pojedą w podróż poślubną? Praktykuje się to w ogóle na Kubie?

- Oczywiście. Każda para dostaje w prezencie dwie noce w hotelu. Ale nie w każdym

- Alfredo zamyślił się. - Myślę, że na pewno nie w Habana Libre. Musisz wybrać jeden hotel z listy.

- Jakiej listy?

- Przy zakupie certyfikatu potwierdzającego zawarcie małżeństwa dostajesz listę hoteli. Płacisz równowartość 12 dolarów w pesos, a w zamian dostajesz od państwa pokój w hotelu, rum, kilka skrzynek piwa i to ciasto - Alfredo teatralnym gestem wpakował sobie do ust ostatni kęs. - To oficjalne kubańskie ciasto weselne. Znajdziesz je tutaj na każdym weselu.

Zanim zdążyłam ukryć przed nim moje pudełko z ciastem, Alfredo spojrzał łakomym wzrokiem na ostatni kawałek, który bezmyślnie rozdrabniałam widelcem.

- Nie smakuje ci? - spytał.

- Jak dla mnie jest trochę za słodkie - przyznałam.

- Ay, a mi me encanta! A ja je uwielbiam! Jest bardzo popularne - po czym, zniżając głos, dodał: - Niektórzy Kubańczycy żenią się tylko dla niego.

- Co takiego?!

- No, w zasadzie dla całego pakietu - ciasta, alkoholu i dwóch nocy w hotelu - powiedział Alfredo. - Rząd oferuje im to za cenę, za którą normalnie nie udałoby im się tego wszystkiego kupić. Dlatego niektórzy biorą ślub, sprzedają wszystko z zyskiem, po czym - kilka dni lub tygodni później - rozwodzą się-

- Naprawdę? - spytałam, wstrząśnięta ciemną stroną kubańskich małżeństw. Pomyślałam, czy spokój Alfreda, z jakim zadeklarował wcześniej, że możemy się pobrać i rozwieść, jeśli nam nie wyjdzie, nie wynikał przypadkiem z tego samego pragmatycznego i swobodnego podejścia do tematu związków małżeńskich.

- Czy to jest powszechne zjawisko? - dociekałam dalej. - Como un negocio?

- Było powszechne przed Okresem Specjalnym. Ale i dzisiaj się zdarza. Jest nawet taka piosenka zespołu Los Van Van, w której śpiewają: La gente se está casando para vender la cerveza. Ludzie się pobierają, żeby handlować piwem.



- Myślisz, że władze są tego świadome?

- Pewnie, że tak, ale co mogą zrobić? Powiedzieć ci, żebyś wytrzymała w małżeństwie przez rok, a dopiero wtedy dostaniesz weselne ciasto?

Kiedy wróciliśmy do środka, zauważyłam jednego z kolegów Alfreda z pracy, filmującego ludzi na parkiecie służbową kamerą z filharmonii. Perspektywa tego, że moje nieudolne podrygi zostaną uwiecznione na taśmie, wydała mi się tak potworna, że chciałam od razu wyjść. Na szczęście inna koleżanka machnęła na Alfreda ręką, żeby z nią zatańczył, a ja - wdzięczna za wybawienie z opresji - szybko kiwnęłam głową, puszczając go na parkiet.

Kiedy Alfredo wirował w tańcu, pokazałam mu, że będę w pobliżu. Wyszłam na taras, a potem schodami na podwórko przed domem. Zobaczyłam tam Romana, jednego ze współpracowników Alfreda, również specja od oświetlenia, który opierał się o gruby pień drzewa jagüey. Zagadnęłam go i zaczęliśmy rozmawiać o zbliżających się koncertach w filharmonii, o stanie zdrowia jego matki i o jego meksykańskiej dziewczynie, a potem weszliśmy razem do domu.

Ku mojemu zaskoczeniu, impreza podczas mojej krótkiej nieobecności zmieniła się nie do poznania. Frontowe drzwi, które wibrowały w rytm głośniejszej muzyki, teraz stały nieruchomo. Powietrze było o kilka stopni chłodniejsze, a miejsce migających nad głową dyskotekowych świateł zajęło kilkanaście świeczek, ustawionych w kręgu na podłodze w salonie. W środku ujrzałam parę, jak się okazało, państwa młodych, którzy - ubrani już swobodnie - tańczyli szybką salsę o rytm piosenki La Vida Es un Carnaval, granej przez stojący na zewnątrz koła prowizoryczny zespół muzyków. Kilkunastu uczestników zabawy śpiewało refren, a jeden z przyjaciół Alfreda wystukiwał rytm na odwróconym do góry nogami, wiklinowym krześle. Alfredo akompaniował mu, uderzając łyżką o dno patelni.

Stałam, urzeczona pięknem chwili i zdumiona tym, w jaki sposób spontanicznej wersji znanej piosenki udało się wiernie naśladować oryginał. Wymachując patelnią, Alfredo zachęcił mnie, żebym podeszła, a chór rozstąpił się, robiąc mi miejsce.

Czułam się, jakbym weszła w sam środek magicznego wymiaru i wkrótce śpiewałam razem z innym, nie przejmując się zupełnie tym, że fałszuję. Ale minęła zaledwie jedna zwrotka i refren, kiedy światło z górnego żyrandola rozświetliło z powrotem pokój, a wraz z nim wróciły fluorescencyjne stroboskopy i dudniące stereo. Biesiadnicy zgodnie klasnęli w dłonie, porzucając występ a capella, jak gdyby to muzyka z taśm była najbardziej oczekiwaną atrakcją wieczoru.

- Fue un apagón. Wyłączyli prąd - wyjaśnił Alfredo, widząc zaskoczenie na mojej twarzy.

Obserwowałam, jak nowożeńcy w pośpiechu opuścili zakłętą krąg, pan młody wyłączył miniaturową latarkę, która ozdabiała jedną z klamerek jego paska, w miejscu, gdzie Amerykanie noszą komórkę albo pager. W ciągu kilku minut parkiet znów uginał się pod stopami tańczących, a czar muzycznej improwizacji w stylu unplugged prysnął niczym mydlana bańka.

Kiedy zmęczeni państwo młodzi wymknęli się w końcu z imprezy, ja także wyszłam na zewnątrz, by w asyście ekipy pracowników filharmonii zobaczyć finał weselnego wieczoru. Jeden z przyjaciół pana młodego, który specjalnie na tę okazję udostępnił im swojego lśniącego wiśniowego chevroleta, niczym mistrz ceremonii podał mu przez szybę kluczyk. Argeo włączył stacyjkę, a ludzie wzniesli dłonie do oklasków. Ale po kilku prychnięciach, silnik zakrzuszył się, a potem zamilkł całkowicie. W powietrze wzbily się okrzyki rozżalonych gości, z których najczęściej powtarzały się: Pinga! i Cono!, nie licząc innych, równie wulgarnych określeń anatomicznych.

Alfredo pospieszył z odsieczą kierowcy i wraz z kilkoma innymi mężczyznami zaczął sprawdzać silnik. Każdy z mechaników amatorów po kolei zaglądał pod maskę, ale po mniej więcej 15 minutach Alfredo wrócił do mnie i bezradnie rozłożył ręce.

- Nic z tego, nie odpali - powiedział. - Będą musieli iść pieszo.

- Może powinniśmy pójść na główną ulicę i zamówić im taksówkę? - zaproponowałam.

Alfredo po raz kolejny pokręcił głową.

- Zobacz, już idą - powiedział, wskazując pannę młodą, która ucałowała swoją matkę na pożegnanie, a potem wzięła za rękę swojego nowo poślubionego męża i ruszyli ulicą w towarzystwie rozbawionych gości.

Uderzyła mnie prostota tego wesela - bez orkiestry, prezentów, baru z drinkami dla gości, bez stołów, miejsca do jedzenia, wreszcie - bez elektryczności.

- Me encanta mi vida aquí. Uwielbiam życie tutaj - Alfredo z rozmarzeniem popatrzył w dal, gdy orszak weselny zniknął za rogiem. - W moim kraju panuje pokój, a ja mam dobrą pracę i wspaniałych przyjaciół. Jedyną rzeczą, jakiej mi brakuje - dodał po chwili zastanowienia - są pieniądze.

Uśmiechnęłam się, zastanawiając się jednocześnie w duszy nad innym życiem - moim kapitalistycznym życiem - do którego zamierzałam zaprosić Alfreda. Pomyślałam, że być może powinnam była mu przywieźć coś ważniejszego niż makaron z serem i aromatyzowane mydło, by przygotować go do tej zmiany. A potem dotarło do mnie, że dla Alfreda jest to wyprawa na Księżyc i nie da się go tak po prostu przygotować do życia w USA. Nie będę w

stanie zachować tej szczerości i prostolinijności, za którą tak go kochałam i która istniała tylko dlatego, że Alfredo nie miał żadnego doświadczenia w życiu w świecie innym niż ten, gdzie rządzą zupełnie odmienne typy bogactwa.

## Rozdział XXV

Como Ser Negro y No Morir en el Intento

Na dzień przed planowaną datą naszego wyjazdu do Trinidadu, fińska lokatorka oświadczyła, że się wyprowadza.

Ze wszystkich Skandynawek Mielikki znałam najmniej, pewnie dlatego, że większość czasu spędzała ze swoim kubańskim chłopakiem, Onelio. Wiadomość o jej wyprowadzce również dotarła do mnie z drugiej ręki.

- Powiedziała, że znalazła lepsze warunki - większy pokój, bliżej uniwersytetu i za tę samą cenę - powiedziała mi Dinora, wzruszając ramionami i wzdychając teatralnie, gdy siedziałyśmy w salonie na dole, czekając aż fala południowego upału ustąpi. Wyglądałyśmy jak dwie starsze panie siedzące u fryzjera, brakowało nam tylko wielkich elektrycznych suszarek nad głowami. Ich miejsce zajmowały dwa wentylatory, do których wdzięczyłyśmy się, jak się dało, byle tylko otrzymać jak największą dawkę chłodnego powietrza.

- Pewnie to był sygnał dla mnie, żeby obniżyć czynsz - mówiła dalej Dinora. - Ale ja nie chciałam znowu bawić się w tę kapitalistyczną grę, więc powiedziałam jej: - W porządku, w takim razie wyprowadź się.

Wiedziałam, że Dinora i Kajsja, Szwedka, która niegdyś tak ją uraziła, blefując w celu uzyskania lepszej ceny za pokój, pogodziły się. Ale teraz przekonałam się, że chociaż Dinora nigdy więcej nie wspomniała o tym przykrym incydencie, wciąż nie mogła o nim zapomnieć.

W przypadku Mielikki, która płaciła swój cotygodniowy czynsz bez szemrania, odkąd przyjechała miesiąc temu, wyczułam jednak, że chodzi o coś więcej, niż tylko o pieniądze. Nie myliłam się. Kiedy przechodziłam obok pokoju Mielikki w drodze do swojego, zajrzałam do niej, by spytać o przyczynę tak nagłej decyzji. Mielikki potwierdziła moje podejrzenia jednym pogardliwym parsknięciem.

- Więc Dinora powiedziała ci, że znalazłam większy pokój bliżej uniwersytetu? - spytała z niedowierzaniem, wkładając parę dzinsów do niemiłosiernie wypchanego plecaka.

- Głównym powodem mojego odejścia jest to, że w nowym mieszkaniu Onelio będzie mógł zostawać tak długo, jak zechce. Ale wiesz, jak jest, ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć.

- Wiem, że z Alfredem jest inaczej, bo to przyjaciel rodziny - dodała Mielikki, przypominając mi o kłamstwie, które na oczekaniu wymyślił Luis. - Ale Onelio od pierwszego dnia nie czuł się tu miłe widziany - to mówiąc, spojrzała na mnie znad plecaka, zawiesiła na chwilę głos, po czym powiedziała:

- Onelio uważa, że dla Dinory i Luisa jest przedmiotem kpin z powodu koloru swojej skóry.

Gdy to usłyszałam, serce podskoczyło mi do gardła. Stałam, oniemiała, a w uszach dzwoniły mi słowa Alfreda, który na początku naszej znajomości krytykował Dinorę dokładnie za to samo.

- I wiesz, co wkurza mnie najbardziej? - Mielikki oparła ręce na biodrach jak mała rozżłoszczona dziewczynka. Pokręciłam głową.

- Dinora próbuje mnie przekabacić na swoją stronę, sugerując, żebym znalazła sobie sympatycznego, białego kubańskiego chłopaka.

- Co takiego? - już chciałam zapytać Mielikki, czy aby się nie przesłyszała i nie przekreśliła jej słów, ale ostatecznie, zamiast bronić Dinory, zamilkłam i słuchałam dalej.

- Nie zauważyłaś, że Dinora zawsze zaprasza tego Johana? - ciągnęła Mielikki. - Na pewno go widziałas - maskotkę wszystkich imprez.

Roześmiałam się, przypominając sobie faktycznie ciemnego blondyna, którego oficjalnie nigdy mi nie przedstawiono, ale widziałam go kilka razy, gdy siedział przy stole kuchennym z Anną i Vitą, opowiadając im o licznych swobodach obywatelskich, jakich Kubańczycy doczekali się pod rządami Fidela Castro.

- A ja myślałam, że to przyjaciel Anny i Vity - odparłam zmieszana.

- Tak to na pierwszy rzut oka wyglądało, prawda? - przytaknęła Mielikki. - Ale gdy tylko Dinora zorientowała się, że nie zostawię Onelia dla Johana, przyczepiła się do Dunek w nadziei, że podsunie im Johana w miejsce ich rastafariańskich kolegów. A one są zbyt uprzejme, żeby zwrócić jej uwagę.

Chciałam wątpić w to, co powiedziała Mielikki. Ale zamiast tego przypominałam sobie wszystkie te niepokojące sytuacje, jakie wydarzyły się pod tym dachem z winy Dinory. Pierwszą wizytę Alfreda, kiedy Luis kazał mu wyjść wcześniej. Późniejszą prośbę Dinory - kiedy wydawało się, że zdobył już ich zaufanie i mógł spędzać u mnie noc - by wychodził z domu, zanim obudzą się sąsiedzi. Panikę na twarzy Dinory, kiedy zobaczyła, jak czarny chłopak Mielikki pomaga jej wnieść bagaże. I wreszcie najgorszą ze wszystkich, kiedy Dinora naśladowała małpy, pokazując mi jak Rasta nr 1 i Rasta nr 2 wchodzi po schodach.

Mielikki, jak gdyby czytając w moich myślach, przerwała ciszę, mówiąc: - Wracając do Anny i Vity, to naprawdę miłe dziewczyny, ale jeśli je spytasz, też ci powiedzą, że mają dosyć rasistowskiego zachowania Dinory.

Przytaknęłam jej, po czym pożegnałyśmy się i odprowadziłam Mielikki do drzwi. Kiedy wyszła, postanowiłam, że faktycznie zapukam do dziewczyn i porozmawiam z nimi.

Przepytując Annę i Vitę na okoliczność ich doświadczeń z Dinorą, czułam się jak prawnik zbierający dowody w sprawie o molestowanie - zdrajczynie kobiety, która gościła mnie pod swoim dachem i często karmiła; która pokochała mnie jak rodzoną córkę i zawsze służyła mądrą matczyną radą; która zaufała mi jak przyjaciółce i dzieliła się ze mną swoimi największymi sekretami.

Anna i Vita potwierdziły, że Dinora od początku zachowywała się dziwnie wobec ich przyjaciół z dredami.

- Za każdym razem, gdy nas odwiedzali, kazała im zostawiać dowody osobiste - powiedziała Vita.

- I co z nimi robiła? - spytałam zaskoczona wizją Dinory żądającej przy wejściu dokumentów, jak jakiś ochroniarz na bramce w dyskotece.

W odpowiedzi Vita wzruszyła tylko ramionami.

- Oddawała im je, kiedy wychodzili nad ranem - powiedziała. - Ale kto naprawdę wie, po co zbierała te dowody?

- Chyba tylko po to, by okazać swoją władzę - dorzuciła Anna.

- Znasz naszego duńskiego przyjaciela Prebena? - spytała Vita.

Przytaknęłam, przypominając sobie blondyna o postrzępionych dredach, który wpadł kiedyś do nas na kolację.

- Od niego nigdy nie chciała paszportu - powiedziała Vita. - Tak samo od Johana, on też nie musi zostawiać dowodu.

- Faktycznie, to dziwne - zgodziłam się. - Alfreda też nigdy nie prosiła o żadne dokumenty, choć wielokrotnie uskarżał się na nią z innych powodów.

- To ci dopiero zagadka - Vita zaśmiała się z przekąsem, Anna ze zrozumieniem pokiwała głową, a ja kompletnie osłupiałam, nie wiedząc, o co im chodzi.

- Alfredo został oszczędzony, bo jest twoim facetem - wyjaśniła w końcu Vita. - A ty masz szczęście - dodała, tym razem z większą życzliwością niż sarkazmem. - Zawsze byłaś ulubienicą Dinory.

Po wyjeździe Mielikki resztę dnia spędziłam w strachu, nie wiedząc, co począć z nowo odkrytą - a może raczej na nowo odkrytą - wiedzą.

„Dlaczego tyle czasu zajęło mi poznanie prawdy o Dinofze? - zachodziłam w głowę. - Dlaczego potrzebowałam zeznań trzech niezależnych świadków, żeby przekonać się o tym, o czym już dawno mówił mi ktoś, kogo kocham”.

Po części tłumaczyłam to sobie w ten sposób, że przestałam słuchać własnej intuicji, aby lepiej zrozumieć obcą kulturę. Odrzuciłam na bok amerykańskie przyzwyczajenia, które

od samego początku i tak nie dały się zastosować do życia na Kubie.

W Stanach uznałabym, że facet, który zamawia w restauracji deser razem z obiadem, jest albo całkowicie pozbawiony cierpliwości, albo jest nienazartą świnią, a nie dlatego, że boi się, że gdy skończy jeść obiad, deseru może już nie być. W Stanach pomyślałabym, że dwudziestoparolatka z dyplomem medycyny powinna być obiecującą i dobrze zarabiającą lekarką, a nie stewardesą na pokładzie samolotu. W Stanach byłabym pewna, że ktoś, kto jest rasistą, nie będzie mieszkał w dzielnicy z czarnymi ani sugerował mi, że powinnam wyjść za Murzyna.

Ale oprócz jednego powodu - o podłożu kulturowym, dla którego tak zwlekałam z uświadomieniem sobie, że Dinora jest rasistką - zdałam sobie sprawę z jeszcze jednego, czysto osobistego. Nie wierzyłam Alfredowi i nie rozmawiałam z nikim o moich podejrzeniach wobec Dinory, ponieważ bałam się, że dowiem się tego, co sama już wiedziałam, a czego nie byłam jeszcze gotowa usłyszeć. Ale teraz, gdy zyskałam niezbite dowody, czułam, że muszę działać.

- Może też wyprowadzicie się z Alfredem i wynajmiemy coś w trójkę? - zaproponowała Kajsa, kiedy spytałam ją o radę. Szłyśmy ulicą D w kierunku filharmonii, gdzie umówiliśmy się z Alfredem na koncert, na który czekałam cały tydzień. Teraz byłam jednak tak zdenerwowana, że nie wiedziałam, czy uda mi się skoncentrować na muzyce.

- Czy ty też miałaś podobne problemy z Dinorą? - spytałam, wiedząc, że Kajsa rzadko zapraszała do domu kubańskich przyjaciół różnych ras.

- Nie miałam z nią żadnych problemów - odpowiedziała Kajsa. - Po prostu znam kogoś, kto wynajmuje prywatne, dwu-pokojowe mieszkanie w Vedado i pomyślałam, że fajnie byłoby mieć odrobinę niezależności.

- Ale kiedy wrócimy z Trinidadu, zostanie mi niecały tydzień - powiedziałam, sama zaskoczona tym, jak to zabrzmiało. Musiałam już powoli zacząć myśleć o wszystkich małych pożegnaniach, żeby przygotować moich przyjaciół i samą siebie na wielkie, ostateczne „żegnajcie”. Nawet nie rozmawialiśmy z Alfredem, co zrobimy, jeśli nie przyznają nam wizy. Jeśli przyznają, też nie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tak szybko wyjeżdżasz - powiedziała Kajsa. - Ale może tym bardziej jest to powód, żeby się wyprowadzić, tak żebyście mieli z Alfredem tych kilka ostatnich dni tylko dla siebie.

- Masz rację - zgodziłam się. - Pomyślę o tym.

Kiedy zbliżaliśmy się do filharmonii, widziałam już z daleka Alfreda stojącego na ostatnim stopniu schodów. Z ręką podniesioną do czoła szukał nas w tłumie, niczym

marynarz wypatrujący odległego lądu z wysokości bocianiego gniazda.

Pomachałam mu, a on się uśmiechnął, rozpoznawszy mnie, i powoli opuścił rękę w geście salutującego żołnierza. Przeszłyśmy na drugą stronę ulicy i dołączyłyśmy do niego na schodach filharmonii. Alfredo uśmiechnął się do mnie nerwowo i spojrzał na zegarek.

- Mam dla ciebie niespodziankę... Chcę coś dla ciebie zrobić - powiedział tajemniczo.  
- Ale musimy się pospieszyć, bo niedługo zacznie się koncert.

Kajsa zatrzymała się w foyer, nie wiedząc, czy ma iść z nami, czy zostać.

- Wen aquí - Alfredo przywołał ją gestem, wchodząc do windy. - Chodź z nami.

Kiedy wysiedliśmy z windy na drugim piętrze, gdzie znajdowały się biura obsługi technicznej, zorientowałam się, że niespodzianka Alfreda nie była aż tak tajemnicza, jak sam twierdził. Chodziło mu po prostu o przedstawienie mnie i Kajsy ludziom, z którymi pracował.

Mimo iż byłam już wiele razy na koncertach w filharmonii, wycieczkach zakładowych na plaży, wspólnych imprezach i w domach pracowników, wciąż odnosiłam wrażenie, że nadal nie znam wielu przyjaciół Alfreda, z których większość stanowili mężczyźni.

- Nie przejmuj się tym - powiedział Alfredo, kiedy podzieliłam się z nim swoim spostrzeżeniem. - To nieprawda, że oni nie są tobą zainteresowani, bo często pytają mnie o ciebie. Po prostu widzą cię ze mną i boją się podejść.

- Więc mógłbyś im powiedzieć, żeby się nie bali - powiedziałam. - Myślę, że większość nie zna nawet mojego imienia. Dla nich jestem po prostu dziewczyną Alfreda.

- Ale ja wielokrotnie mówiłem im, jak masz na imię - zaprotestował Alfredo. - Tylko nieoficjalnie, kiedy nie było cię przy mnie.

- I może w tym tkwi właśnie problem - powiedziałam. - Pomyśl tylko, jak byś się czuł po przylocie do Stanów, gdybym zabrała cię na przyjęcie, na którym nikogo nie znasz i nikt z tobą nie rozmawia.

W tym momencie Alfredo zamilkł, marszcząc tylko czoło, co świadczyło, że intensywnie myśli, jak gdyby nigdy nie brał pod uwagę takiego porównania. Perspektywa wzięcia udziału w imprezie, na której nie wszyscy byli jego bliskimi przyjaciółmi z czasów dzieciństwa, wydawała się przekraczać granice jego percepcji.

Wysiłki Alfreda, który chciał mnie w ten sposób wyróżnić, przedstawiając oficjalnie swoim znajomym, znaczyły dla mnie więcej, niż mógł przypuszczać. Nie chciałam mu tego jednak tłumaczyć, bo to oznaczałoby ujawnienie pilnie strzeżonej w moim umyśle listy, którą zawsze miałam ze sobą, odkąd tylko wróciłam na Kubę.

Po przylocie do Stanów zaczęłam zbierać wszystkie moje opinie i spostrzeżenia dotyczące Alfreda - to, jaki był, a jaki nie był, jak mógł się przystosować i jaką rolę pełnić w



moim świecie. Będąc już z powrotem na Kubie, wypróbowałam go po cichu przy każdej możliwej okazji. Alfredo mógł ze mną rozmawiać o pogodzie w Stanach albo o tym, co robilibyśmy w tej chwili w Kalifornii, a ja w tym czasie zastanawiałam się, czy będzie mu smakowała etiopska kuchnia. Jak zareaguje na sześciorasmową autostradę? Co zrobi, gdy okaże się, że jest jedynym czarnym na imprezie?

Poznając - nawet poniewczasie - wszystkich jego znajomych w pracy, mogłam skreślić jeden punkt z listy moich zmartwień dotyczących zdolności adaptacyjnych Alfreda, który chciał się wyrwać z komfortowego i wygodnego środowiska, nawet za cenę wystawienia się na śmieszność.

Kiedy wyszliśmy z biura i skierowaliśmy się w stronę właściwej sali koncertowej, większość miejsc była już zajęta, a w powietrzu czuć było niecierpliwe wyczekiwanie.

- Czy na występy Franka Delgady zawsze przychodzi tyle ludzi? - Kajsza spytała Alfreda.

- Nie wiem - odparł. - To mój pierwszy raz. Tak naprawdę nigdy nawet nie słyszałem ani jednej jego piosenki.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. Alfredo od tygodnia nie mówił o niczym innym, tylko o tym koncercie. - Więc dlaczego tak go nam zachwalałeś?

Alfredo uśmiechnął się.

- Bo musi być dobry. Jego piosenki są cenzurowane - powiedział.

- Jak to? - czekało mnie dziś kolejne zaskoczenie.

- Nie znajdziesz jego płyty ani kasety w żadnym sklepie muzycznym na Kubie. Chociaż używa do tego celu pięknych słów, śpiewa o problemach współczesnej Kuby i niespełnionych obietnicach z czasów Rewolucji. A władze nie chcą, by to się wydostało na zewnątrz.

- W takim razie, skąd ci wszyscy ludzie się o nim dowiedzieli? - nie dawałam za wygraną.

- No cóż, to, że jest na cenzurowanym, nie oznacza, że przestał grać. Najczęściej występuje przed swoimi przyjaciółmi, a oni prawdopodobnie nagrywają jego piosenki na taśmy, które potem kopiują i puszczaają w nielegalny obieg.

- Ale ty nigdy nie słyszałeś żadnej z jego piosenek - wtrąciła się Kajsza. - Więc skąd o nim tyle wiesz?

Alfredo potrząsnął głową.

- To prawda, nie znam jego twórczości. Ale dowiedziałem się o nim, ponieważ miał tu już grać kilkakrotnie i za każdym razem w ostatniej chwili koncert odwoływano.

- Więc co się takiego stało, że dzisiaj pozwolono mu zagrać? - spytałam.

- Bueno - uśmiechnął się Alfredo, którego w końcu udało mi się przyprzeć do muru, przyznając, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. - Es Cuba - odpowiedział po prostu.

Kurtyna poszła w górę i na scenę, przy ogłuszającym aplauzie, wyszedł biały mężczyzna ubrany cały na czarno. Zakasłał kilka razy, powiedział „Gracias”, a potem usiadł na środku sceny na prostym drewnianym krześle, ułożył gitarę na kolanach i brzdąknął w struny - w eter popłynęły dźwięki pierwszej skandalizującej piosenki.

Natychmiast zrozumiałam, co Alfredo miał na myśli, mówiąc o pięknych tekstach Franka Delgady, które płynęły z poetycką słodyczą, tworząc niedającą spokoju mieszankę miłości i smutku, narodowej dumy i nostalgii, inteligentnie zamaskowanego gniewu.

W piosence o turystyce na plaży półwyspu Varadero - niegdyś popularnym miejscu wypoczynku Kubańczyków, obecnie zamkniętym dla miejscowych - Delgado opłakiwał: „Gdy ostatnio szedłem tą ziemią, ona wciąż była moją przyjaciółką Kubą... Nie potrzebowałem paszportu... Nie pamiętam, kiedy półwysep wyrwano mi z rąk i czy ktoś w ogóle pytał mnie o zdanie”.

Frank śpiewał o Kubańczykach, którzy zginęli w walce o niepodległość Angoli, o talibach i feminizmie, o Simone de Beauvoir - francuskiej pisarce i bliskiej przyjaciółce Fidela. Śpiewał o piosence Guantanamera, Eliánie Gonzálezie, jine-teros i Hemingwayu. Śpiewał o książce Milana Kundery, którą ukrywał, i o życiu na wsi, gdzie mógłby uprawiać kabaczki. W tekstach kilku innych piosenek przewinęły się motywy braku związku literatury marksistowskiej z jego życiem, postaci Lenina, Che Guevary, fenomen el bombo i potargane guayaberas - zwiewne, bawełniane koszule z czterema kieszeniami, będące symbolem kubańskiej męskości.

Jego koncert był dla mnie krótką, ale ważną lekcją historii por ewolucyjnej Kuby. Czułam, że mogłabym tak stać i słuchać jego mądrego, przepelnionego smutkiem głosu bez końca. Ku mojej radości, rozumiałam prawie każde słowo Franka Delgady. Łapałam nawet jego żarty, kiedy z sarkazmem mówił: - Chciałbym podziękować kubańskiej telewizji za bezpośrednią relację z mojego koncertu.

Z każdą jego kolejną bezczelną deklaracją bałam się, że ktoś w końcu wpadnie na scenę i zakończy koncert. Ale jedyną reakcją ze strony publiczności były brawa i lekkie kołysanie, czasem ktoś zapalił zapalniczkę w geście solidarności.

Tak zasłuchałam się w poetycki rytm słów Franka Delgady, że nie zauważyłam, jak często śpiewa a capella, zanim na nowo uderzy w struny gitary. Kompletnie zapomniałam o wszystkich wcześniejszych zmartwieniach, chociażby towarzyszących wyprawdzie

Mielikki, aż do końca koncertu, kiedy Delgado zapowiedział jedną z ostatnich swoich piosenek Como Ser Negro y No Morir en El Intento (Jak być czarnym i nie dać się zabić). Zadedykował ją czarnemu poecie Albertowi Guerrze, poprzedzając ją takim oto żartem:

Czarny mężczyzna zwraca się do swojego białego przyjaciela: - Mój biały przyjacielu, kiedy się rodzę, jestem czarny. Kiedy dorosnę, jestem czarny. Kiedy ogrzewa mnie słońce, jestem czarny. Kiedy jest mi zimno, jestem czarny. Kiedy jestem zaskoczony, jestem czarny. Kiedy zachoruję, jestem czarny. Kiedy umrę, jestem czarny. A ty? Kiedy się rodzisz, jesteś różowy. Kiedy dorosisz, jesteś biały. Kiedy ogrzewa cię słońce, jesteś czerwony. Kiedy jest ci zimno, jesteś siny. Kiedy jesteś zaskoczony, jesteś żółty. Kiedy zachorujesz, jesteś zielony. A kiedy umrzesz, jesteś szary. I pomimo to śmiesz nazywać mnie „kolorowym”?

Potem zaśpiewał o czarnych policjantach, którzy zachowywali się jak biali, zatrzymując Alberta Guerrę na ulicy, żeby go wylegitymować, a potem dopytując go, dlaczego - skoro jest członkiem UNEAC, kubańskiego związku pisarzy – niesie w ręce torbę z warzywami, a nie książkami. Kolejny policjant spytał Alberta, co robi w ekskluzywnej dzielnicy Miramar, skoro żyje w Vedado - dzielnicy klasy średniej. A trzeci z policjantów, którzy zatrzymali Alberta tego wieczoru, nie pozwolił mu wsiąść do autobusu, na który się spieszył, i spytał: - Nie wiesz, że po zmroku czarnym nie wolno biegać po Parque Central?

Alfredo i reszta widowni reagowali co chwila salwami gromkiego śmiechu, do którego sama nie potrafiłam się zmusić. Na zakończenie koncertu stałam razem z innymi, nagradzając artystę brawami, i żałowałam, że nie zaśpiewał piosenki o tym, jak się zaprzyjaźnić z rasistką, by samemu nie być posądzonym o rasizm.

## Rozdział XXVI

Zmyślane tożsamości, wymarzone życia

W autobusie do Trinidadu, po niespokojnej nocy, podczas której powtarzałam przez sen słowa ostatniej piosenki Franka Dełgady, postanowiłam zapomnieć na jakiś czas o całej sprawie. To, czego się dowiedziałam o Dinorze, było jeszcze zbyt świeże, nieprzyzwoite i delikatne, by wspominać o tym Alfredowi.

Kiedy przyjechaliśmy do Trinidadu o zmierzchu, na dworcu czekało na nas co najmniej kilkunastu właścicieli kwater. Jak pikietujący w czasie strajku, każdy z nich miał tabliczkę z ogłoszeniem o wynajmie pokoi i kiedy wysiedliśmy z autobusu, wszyscy zaczęli jednocześnie wykrzykiwać swoje ceny.

- Chodźcie ze mną - jedna szczególnie natarczywa kobieta szarpnęła Alfreda za ramię.

- Cały dom tylko dla was! - zawołał z tłumu ktoś inny.

- Słuchajcie! - zawołał Alfredo, uśmiechając się pod nosem z poruszenia, jakie wywołał swoim władczym tonem. - Nie zdecydujemy się, jeśli wszyscy będziecie krzyczeć naraz.

Na pierwszy plan wysunęła się gruba Murzynka.

- Dajcie im spokój! - wrzasnęła do tłumu. - Zostawcie ich w spokoju. Jesteście jak sfora dzikich psów.

Podniosła do góry ręce, nie pozwalając nikomu podejść bliżej. Ale ludzie wyciągali dalej ręce, jak koszykarze szykujący się do zablokowania podania. Z tłumu jakiś głos zawołał: - Osiem dolarów! Za nim wyciągnęła się ręka, która złapała Alfreda, a on pociągnął mnie za sobą. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki byliśmy wolni. Właściciel ręki, która nas wyłowiła, nazywał się Leosmani i od razu przeprosił nas za zamieszanie.

- To naprawdę dobrzy ludzie - powiedział. - Tylko czasy w Trinidadzie ciężkie.

- W Hawanie też nie jest lekko - odburknął Alfredo.

Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że w jego głosie usłyszałam drwinę. Jak większość Kubańczyków, Alfredo znał doskonale pełną sprzeczności najnowszą historię Trinidadu. Leżące nieopodal góry Sierra del Escambray były wstydliwym wrzodem na ciele Rewolucji - to tam na początku lat 60. swoje kryjówki miały wspierane przez CIA oddziały kontrewolucjonistów. Ale kiedy UNESCO w 1988 roku wpisało Trinidad na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego, uroczemu kolonialnemu miasteczku z czerwonymi dachami i bogato zdobionymi, charakterystycznymi okratowanymi oknami kamienic

wybaczono dawne grzechy. Trinidad stał się oczkiem w głowie kubańskich władz, pławiąc się w blasku ich uwagi i pieniędzy, podczas gdy inne miejsca o ważnym znaczeniu architektonicznym, chociażby rozpadające się domy w Centro Habana - takie jak ten, w którym mieszkał Alfredo z matką i czterema innymi rodzinami - niszczały w zapomnieniu.

Leosmani poprowadził nas senną, wybrukowaną kocimi łbami boczną uliczką, wzdłuż której stały rzędy pastelowych domów, aż w końcu znaleźliśmy się przed piętrowym apartamentem w kolorze lawendy, w którym mieszkał razem z matką.

W środku zaprowadził nas do naszego pokoju - nieskazitelnie czystej sypialni bez okna. Kiedy zostaliśmy sami, zwałam się na łóżko, by po ułamku sekundy zerwać się z powrotem jak oparzona, kiedy sprężyny materaca wbiły mi się w plecy jak miniaturowe szpady.

- Jeśli nie będzie nam tu wygodnie, nie musimy zostawać - powiedział Alfredo, sprawdzając materac, który przy każdym ruchu wydawał z siebie głośnie skrzypienie.

Znalazłam Leosmaniego w kuchni z matką, gdy kroili słodkie ziemniaki na obiad.

- Po namyśle stwierdziłam, że jeszcze się trochę rozejrzymy - powiedziałam.

Leosmani spojrział na mnie zdumiony.

- Potrzebuję wygodniejszego łóżka - wyjaśniłam. - To jest w złym stanie.

- Nie znajdziesz nigdzie lepszego łóżka - oburzył się Leosmani. - To jest praktycznie nowe.

- Niech pan posłucha - Alfredo starał się załagodzić sytuację. - Po prostu rozejrzymy się i być może wrócimy.

- Wtedy pokój może być już zajęty - odparł gospodarz, po czym nagle spytał: - Jesteście małżeństwem?

- Nie, a dlaczego pan pyta? - zainteresował się Alfredo.

- W takim razie wątpię, żebyście znaleźli inną kwatere - powiedział Leosmani. - Jesteśmy jedyną rodziną w Trinidadzie, która wynajmuje kwatery mieszanym parom bez okazania aktu małżeństwa. Ludzie boją się kar finansowych. A władze sprawdzają pod tym kątem wszystkie ośrodki turystyczne poza Hawanę. W ciągu najbliższego roku kontrole mają objąć cały kraj.

- Byliśmy w Santiago i w pierwszym domu, do którego zapukaliśmy, nikt nie pytał nas o żadne papiery ani czy jesteśmy małżeństwem - powiedziałam, licząc, że Leosmani przyzna się do blefu.

- Jasne - Leosmani nie dał się podejść. - A to jest wasz pierwszy dom w Trinidadzie.

Jedenaście domów, dwadzieścia parę ulic i dwie godziny później nie wiedzieliśmy już,

jak wrócić do domu Leosmaniego i jego skrzypiącego łóżka, które teraz wydawało nam się luksusem. W końcu znaleźliśmy kobietę, która zdecydowała się przyjąć nas bez papierów.

Casa particular, którą pokazała nam przy świetle świecy, była bardzo komfortowa - mieliśmy do swojej dyspozycji całe mieszkanie na piętrze. Mogliśmy tu zostać, pod jednym jednak warunkiem. Gdyby ktoś nas zapytał, skąd jest Alfredo, mieliśmy skłamać.

- Jeśli ludzie dowiedzą się, że oboje jesteście cudzoziemcami, nie będzie problemu - wyjaśniła nam gospodyni. - Mówcie, że jesteście z Panamy albo Dominikany, cokolwiek. Byle się nie wydało, że Alfredo jest Kubańczykiem.

- A co powiesz na Portoryko? - spytał Alfredo, gdy już wprowadziliśmy się do nowej sypialni. - Czy to brzmi wiarygodnie?

Skinęłam głową, zastanawiając się jak zwykle, o ile wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym nie pochodziła ze Stanów. Nie musiałabym wtedy lecieć okrężną drogą, przez trzeci kraj, żeby dotrzeć na Kubę. Ani Alfredo nie musiałby się ubiegać o wizę dla narzeczonych, żeby mnie odwiedzić.

- Czy ja też mogę być Portorykanką? - spytałam.

- Świetny pomysł - ucieszył się Alfredo. - Od tej pory, gdy ktoś nas spyta, jesteśmy la pareja puertorriqueña.

Na nieszczęście pierwszy człowiek, który poznał naszą nową tożsamość, i to już pierwszego dnia, chciał koniecznie dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów na temat naszej wymyślonej ojczyzny.

- Słyszałem, że to piękna wyspa. Czy to prawda? - zagaił nasz nowy znajomy. Był to stary guajiro o ogorzalej od słońca i wiatru skórze, który opowiedział nam, że codziennie dojeżdża dwie godziny do Trinidadu, by po południu sprzedawać swoje płody rolne. Kiedy nachylił się podekscytowany w naszą stronę, poczułam bijący od niego zapach słońca, siana i zakurzonych, polnych dróg.

- Portoryko to piękny kraj - Alfredo zaczynał wczuwać się w nową rolę. - Jest bardzo podobny do Kuby.

- Yo lo sabta. Wiedziałem o tym - staruszek uderzył dłonią o kolano. - My, Kubańczycy, zawsze czuliśmy się z wami spokrewnieni. Mamy przecież tę samą flagę, tylko kolory są odwrócone. Funkcjonuje u nas też takie powiedzenie, że Kuba i Portoryko są dwoma skrzydłami tego samego ptaka.

- W Portoryko też się tak mówi - pokiwał głową Alfredo.

- A z której części wyspy jesteście?

Alfredo pobladł i szybko odwrócił się do mnie, rezygnując ze swojej gwiazdorskiej

roli, by ratować przedstawienie.

- Z dużego miasta - powiedziałam, żeby zyskać trochę na czasie. - Z San Juan.

- A, ze stolicy - mężczyźni zablęskły oczy. - I co tam robicie?

- Ja studiuje muzykę - pospieszył z odpowiedzią Alfredo.

- A Lea uczy tam pisarstwa.

- Wygląda na to, że dobrze wam się wiedzie - skwitował staruszek, a ja gwałtownie szturchnęłam Alfreda w bok, dając mu do zrozumienia, że czas się pożegnać, zanim w końcu zostaniemy przyłapani na kłamstwie.

- Dobrze, nie będę was zatrzymywał cały dzień - nasz rozmówca zreflektował się, zauważając moje zniecierpliwienie.

- Mam nadzieję, że miło spędzicie tu czas i że któregoś dnia wasz kraj też uwolni się od USA - to mówiąc, wznosił ręce do góry i zadeklarował: - Jedyną drogą jest zbrojna rewolucja. Ktoś musi udowodnić tym bękartom, że nie mogą kontrolować całego świata!

Gdy byliśmy już w bezpiecznej odległości, Alfredo przygarbił się i wykonał ten sam gest, co guajiro. Śmiejąc się na głos, zawołał: Que viva la Revolución!

Ja także zareagowałam śmiechem, choć w głębi duszy pomyślałam, co powiedziałyby staruszek, gdyby znał nasze prawdziwe tożsamości, zwłaszcza moją. Może za zasłoną życzliwości wszystkich poznanych przeze mnie Kubańczyków, którzy przekonywali mnie od początku, że dostrzegają różnicę między amerykańskim rządem a amerykańskimi obywatelami, tlił się również - choćby w najmniejszym stopniu - ten sam gniew i nienawiść. A może poczucie narodowej dumy i towarzyszącej jej antyamerykańskiej wściekłości było w Trinidadzie szczególnie silne, biorąc pod uwagę wspieraną przez Stany Zjednoczone działalność wywrotową w okolicznych górach.

Rozmyślałam o tym przez kilka kolejnych dni spędzonych w Trinidadzie, podczas gdy Alfredo snuł domysły na temat innego aspektu historii miasta. Obsesję tę wzbudziło w nim niezwykle prozaiczne odkrycie, a mianowicie budowa tutejszych ulic.

Pokryte kocimi łbami ulice na wyspie były równie niewygodne do chodzenia, co piękne, gdy się na nie patrzyło. Wystające kamienie przypominały bardziej wyschłe koryto rzeki niż deptaki dla pieszych. Kiedy zbrzydło nam już bezustanne potykanie się i wzajemne powstrzymywanie przed upadkiem, uciekliśmy na wąski chodnik.

- Zastanawiam się, kiedy te ulice zostały wybrukowane?

- powiedział w pewnym momencie Alfredo. - I czy zrobili je niewolnicy?

W Muzeum Historycznym Alfredo odkrył całą wystawę poświęconą dziejom niewolnictwa na Kubie. Wśród eksponatów były tam dyby, takie jak te, w które zakuwano

jego przodków. W Triniaadzie niewolnicy pracowali na plantacjach trzciny cukrowej i - jak słusznie podejrzewał Alfredo - przy budowie dróg. Kiedy czytał opisy poszczególnych zdjęć i eksponatów, w jego oczach znów zobaczyłam tak dobrze mi znaną ekscytację.

Poza starcem patriotą, spotkanym pierwszego dnia, nikt w mieście nie dał się nabrać na naszą historyjkę z Portoryko. Mężczyzna, który wypożyczył nam rowery, żebyśmy mogli pojechać na plażę, zasugerował, byśmy raczej podawali się za Kubańczyków.

- Turystom nie wolno wypożyczać rowerów - powiedział.

- Władze chcą, żeby używali hotelowych skuterów.

- Więc gdy ktoś spyta nas o rowery, mamy mu powiedzieć, że jesteśmy Kubańczykami, a gdy będzie się chciał dowiedzieć, gdzie mieszkamy, mamy powiedzieć, że przyjechaliśmy z Portoryko?

Mężczyzna zaśmiał się.

- Po prostu pedałujcie, ile sił w nogach - powiedział. - Wtedy nikt nie zdąży o nic zapytać.

Pedałowanie ile sił w nogach było dobrym pomysłem także z innego powodu. Gdy tylko minęliśmy ostatni dom na ulicy, usłyszałam nagle głośny łomot i poczułam podmuch powietrza na plecach. Obróciłam się i zobaczyłam, jak wali się dach opuszczonego domu. Kobieta, którą właśnie mijaliśmy pokazała nam, żebyśmy jechali dalej, jakby bała się kolejnej katastrofy. Spojrzałam na nią, zdumiona stoickim spokojem, z jakim tutejsi mieszkańcy podchodzili do takich spraw. Chwilę później pierwsi ludzie zabrali się już za rozbiórkę budynku, bez słowa oczyszczając kolejne sterty gruzów.

Ostatniego dnia pobytu w Trinidadzie porzuciliśmy wybrukowane przez niewolników ulice i ruszyliśmy w samo serce gór Sierra del Escambray.

Niestety, przegapiłam większość mijanych po drodze krajobrazów, gdyż nasz kierowca, bojąc się, że zostanie ukarany za przewożenie turystów w taxi particular, kazał mi się schować pod siedzenie, tak aby stojący przy drodze patrol drogówki nie wypatrzył mnie z daleka.

Kiedy było już na tyle bezpiecznie, że mogłam wyjść z kryjówki, dojeżdżaliśmy właśnie do wejścia do parku narodowego Topes de Collante. Śpiew ptaków mieszał się z szumem pobliskiego wodospadu, a w powietrzu unosił się przyprawiający o zawrót głowy zapach sosen i eukaliptusów.

Spędziliśmy całe popołudnie, wędrując po lesie, łaskocząc mięsożerne rośliny przypominające nasze rosziczki i kołysząc się na lianach nad małymi strumyczkami. Wspięliśmy się także 60-metrową ścianą z omszałych skał na górny poziom Salto de Caburni,



pierwszego wodospadu, jaki Alfredo widział w życiu.

- Qué furte! - zawołał w uniesieniu, gdy stanęliśmy wokół opadających w dół niezliczonych kaskad wody.

Gdy zeszliśmy na dół, Alfredo zanurkował w zimnym i krystalicznie czystym zielonym jeziorku, do którego wpadała woda z wodospadu. Ja zostałam na brzegu, trzęsąc się z zimna na samą myśl, że mogłabym pójść w jego ślady. Schodząc gęsto porośniętą ścieżką, natknęliśmy się na drzewo z czerwonymi owocami przypominającymi jemiołę. Alfredo sięgnął i zerwał kiść takich owoców, po czym wręczył mi je z przepelnionym dumą uśmiechem, jakby to on sam posadził to drzewo.

- To prezent dla twojej mamy - obwieścił.

Kiedyś powiedziałam Alfredowi, że zamiłowanie do przyrody i przebywania na łonie natury odziedziczyłam po matce, która regularnie zbierała różne minerały i rzadkie okazy roślin. Ale teraz nie bardzo wiedziałam, o co konkretnie mu chodzi.

- To miło z twojej strony - powiedziałam w końcu, przyglądając się twardym owalnym owocom. - Co to takiego?

- Kawa - odparł Alfredo. - Mówiłaś, że twoja mama pije ją codziennie rano.

- Naprawdę? Ale czy kawa nie powinna być brązowa?

- Owszem, ale dopiero na samym końcu procesu technologicznego. Najpierw suszy się owoce, potem zdejmuje się łupiny. Dopiero wtedy praży się ją i miele - wytłumaczył mi Alfredo. - Pokażę ci, jak to zrobić w bardzo prosty sposób. Naturalnie, tak jak lubisz.

Zaczęliśmy ładować do kieszeni gładkie ziarna kawy w kolorze rubinowym\* ale gdy moje były już pełne po brzegi, naszła mnie pewna niepokojąca myśl.

- Alfredo, czy to jest legalne? - spytałam. - Zbierać tyle kawy?

- W ogóle nie wolno jej zbierać - odpowiedział. - Kawa jest własnością rządu.

- Jasne - roześmiałam się. - Oczywiście.

Skończyliśmy zbieranie i wróciliśmy na szlak, zapuszczając się jeszcze głębiej w las. W końcu doszliśmy do polany, z której aż po horyzont roztaczał się piękny widok na połacie brązowożółtej ziemi. Nieopodal znajdowało się małe gospodarstwo z klatkami na kurczaki, a po drugiej stronie pola, w miejscu, gdzie trawa stykała się z drzewami, stała rozlatująca się chata. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam, że jedna z jej ścian wykonanych ze sklejki prawie runęła. Zauważyłam, że brakowało górnej części frontowych drzwi, pokrytych teraz misterną siecią pajęczyn.

Usiedliśmy na rozchwianych deskach na ganku i w tej samej chwili zerwaliśmy się z powrotem na równe nogi, gdy cały podest zatrzeszczał groźnie pod naszym ciężarem.

- Candela! - Alfredo cofnął się kilka kroków, przyglądając się chacie z bezpiecznej odległości. - Wyobrażasz sobie, że mógłby to być nasz dom?

- Jeśli tak, to mielibyśmy sporo do zrobienia - zaśmiałam się.

Pokazałam palcem ścianę, która wymagała zburzenia, a Alfredo stwierdził, że w miejsce brakującej połowy drzwi moglibyśmy wstawić okno. Ja zaproponowałam położenie dachówek, a on wymyślił, że na piętrze zrobi dla mnie gabinet.

- A w salonie postawimy kominek - powiedziałam. - W chłodne wieczory będziemy mogli siedzieć w bujanych fotelach i czytać przy jego świetle.

Alfredo westchnął z rozmarzeniem, a potem kontynuowaliśmy naszą zabawę w projektowanie wspólnego domu. Przychodziły nam do głowy kolejne przeróbki - w środku i na zewnątrz, aż nagle, mniej więcej w połowie zagospodarowywania ogródka, Alfredo zatrzymał się i spytał zdezorientowany

- Więc gdzie jest ten dom?

- Nie rozumiem - powiedziałam.

- Wiem, że to wszystko na niby. Ale zacząłem się czuć, jakbyśmy rozmawiali o czymś prawdziwym. I zastanawiam się, czy tak właśnie może wyglądać nasze życie w Stanach, jeśli przyznają mi wizę?

Fakt, że Alfredo zniżył głos przy ostatnim pytaniu, uświadomił mi, jak umiejętnie udawało nam się unikać tego tematu, jak gdyby rozmowa w kwestii nierozstrzygniętej jeszcze wizy była równoznaczna z kolejną przeszkodą na - i tak już niepewnej - drodze do jej uzyskania.

Ale nie znaczyło to, rzecz jasna, że nie myślałam - choć może nie wprost - o naszej przyszłości, uzależnionej od decyzji urzędników do spraw emigracyjnych. Górską chatę, którą sobie wyobrażałam - podobnie jak tę, o której myślałam przy okazji pierwszego pobytu na Kubie - stała już w moich myślach na solidnej podmurówce w Północnej Kalifornii.

- Ja myślałam o naszym wspólnym życiu w USA - powiedziałam. - A ty?

- Tak. Być może. Nie wiem - Alfredo wyrzucił z siebie jednym tchem. - Chyba myślałem, ale potem poszliśmy w góry i zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie wiem, jak wyglądają Stany, ani co tam rośnie.

- To zależy - powiedziałam, szukając w głowie najprostszego sposobu, by wyjaśnić mu złożoność mojego świata.

- Zależy od tego, gdzie i jak będziemy mieszkać. Od naszych wyborów.

- Wyborów? - Alfredo znów wyglądał na zagubionego.

- Tak. W Stanach masz mnóstwo wyborów. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o

dziesiątkach różnych gatunków mydła?

Alfredo pokiwał głową.

- Tak jest mniej więcej ze wszystkim. Modelem samochodu, roweru czy adidasów. Rodzaj ogrodu zależy od miejsca, w którym mieszkasz. Na wsi, czy nawet na przedmieściach, miejsce na ogród jest na podwórku z przodu lub tyłu domu. Ale jeśli będziemy mieszkać w wielkim mieście, wolałabym mieć ogród na dachu. Do tego dochodzi jeszcze najważniejszy wybór - gdzie będziemy mieszkać. W mieście czy na wsi. W górach, na pustyni, nad rzeką czy oceanem...

- Naprawdę jest aż tyle wyborów? - zastanowił się Alfredo. - Powiedzmy, że będziemy mieszkać w San Francisco. Ale będzie mi tam za zimno, więc przeniesiemy się do Miami. Można po prostu tak zrobić? Nie trzeba mieć żadnego pozwolenia od władz?

- Nie - zaśmiałam się. - Ale nie sądzę, żebym chciała mieszkać w Miami.

- Dlaczego?

- Bo lubię San Francisco. Mieszkałam wcześniej w różnych miejscach, ale dobrze mi w tym, w którym żyję teraz.

- Więc nigdy nie zamieszkamy w Miami? - Alfredo wydawał się zawiedziony. - A co z Las Vegas? Słyszałam, że Las Vegas jest bardzo rozwiniętym, pięknym miastem z tysiącem świateł, które palą się bez przerwy - w dzień i w noc.

- Nie, Las Vegas zdecydowanie odpada - poczułam, jak zbiera się we mnie irytacja, która towarzyszyła mi zawsze, gdy musiałam Alfredowi wszystko tłumaczyć. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce żyć w Las Vegas.

- A co z ludźmi, którzy tam mieszkają?

- Część z nich po prostu tam utknęła - powiedziałam.

- Całe życie spędzili w Las Vegas i nie wiedzą teraz, jak się z niego wydostać.

- Ale skoro nie potrzebują żadnego zezwolenia, to dlaczego nie wyjadą?

- Bo to nie zawsze jest takie proste - potrząsnęłam głową.

- W porządku - Alfredo położył mi rękę na kolanie. - Może nie potrafię tego pojąć, ale zrozum, że nigdy nie byłem w tych wszystkich miejscach, więc może chciałbym tam zamieszkać, nie na stałe, lecz na jakiś czas.

- O takich rzeczach powinniśmy porozmawiać już dawno temu - powiedziałam. Poczułam, że pojawiła się okazja, żeby zadać wszystkie pytania z listy, którą nosiłam w głowie, dodałam więc: - Pomyśl, co zrobimy, gdy już nauczysz się angielskiego i postanowisz studiować, dajmy na to, antropologię, ale okaże się, że szkoła z najlepszym programem jest w Tennessee, a ja dostanę pracę w mojej wymarzonej gazecie w San Francisco i nie będę

chciała przenieść się do Tennessee na cztery lata? Będziemy mieli dwa domy, w których będziemy tylko odwiedzać się co jakiś czas i spędzać razem wakacje? A jeśli tak, to w jaki sposób te domy utrzymamy? A może będziemy musieli się rozstać, bo nie dojdziemy do porozumienia?

Zanim jeszcze ujrzałam zakłopotanie na twarzy Alfreda, wiedziałam, że postąpiłam nie fair. Ale nie mogłam się powstrzymać. Miałam już dosyć martwienia się za nas dwoje o naszą przyszłość tylko dlatego, że wyobrazenie sobie życia w Stanach Zjednoczonych przekraczało możliwości percepcyj-ne Alfreda.

- Nie wiem, gdzie leży Tennessee - powiedział Alfredo po długiej przerwie. -1 nie mam zielonego pojęcia o antropologii. Nigdy też nie byłem w związku partnerskim w USA.

Przekrzywiłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Wiedziałam, że jest zdenerwowany, bo - jak zwykle w takiej sytuacji

- unikał mojego wzroku, wbijając go w ziemię. Ale kiedy podniósł głowę, zobaczyłam, że oczy ma błyszczące i zaczerwienione od płaczu.

- Naprawdę nie wiem, co ci powiedzieć - odezwał się.

- Wiem, że wymagasz ode mnie więcej niż mogę ci dać. Nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji ani miejsc, o których mówisz. Nigdy nie myślałem zbyt wiele o przyszłości. Na Kubie przyszłością jest to, co ci się przydarza, a nie to, co wybierasz. i w większości przypadków kolejny dzień jest taki sam jak poprzedni. - Alfredo przełknął ślinę, zanim zaczął mówić dalej.

- Wiem, jaka jesteś, Lea. Wiem, że chcesz mieć kontrolę nad swoim życiem, ale jeśli chcesz zamieszkać ze mną w Stanach, musisz się nauczyć żyć, nie znając odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania. Musisz się przyzwyczać - przerwał i spojrzał mi prosto w oczy - do niepewności.

Kiedy schodziliśmy w milczeniu z gór, wyczerpani naszą rozmową i pytaniami, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi, dotarło do mnie wreszcie, że Alfredo ma rację. Zdałam też sobie sprawę, że w porównaniu z czekającym nas życiem w Stanach - pełnym niewiadomych i wyzwań - życie na Kubie, nawet z jego wadami i frustracjami, wydawało mi się stabilne i przewidywalne.

Gdy rozmawialiśmy o remoncie domu na Kubie, wiedziałam dokładnie, jak on będzie wyglądał - kafelki na podłogach, drewniane żaluzje w pknach, niezabudowany prysznic i francuskie drzwi w pokojach. Wiedziałam, gdzie taki dom stanie - w Hawanie. I wiedziałam też, co posadzimy w ogrodzie - mangoce, bananowce i słodkie, zielone pomarańcze. Gdyby Alfredo zdecydował się studiować antropologię, wiedziałam, gdzie pójdzie - na Uniwersytet

Hawański.

Alfredo nie potrafił odpowiedzieć, jak będzie wyglądać nasze życie w Stanach. Ja za to, będąc na Kubie, znałam odpowiedź na większość pytań. Tutaj wiedziałam, kim razem jesteśmy.

W pewnym stopniu Trinidad - ze swoimi przerwami w dostępie do energii elektrycznej, walącymi się dachami oraz odrębnymi regułami dla miejscowych i turystów - był mikrokos-mosem wszystkich naszych kubańskich doświadczeń. Odbijało się w nim echo tego wszystkiego, o co się potykaliśmy, problemów, które w końcu - jeśli nie pokonaliśmy - to przynajmniej poznaliśmy na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak sobie z nimi poradzić. To było jak zdjęcie, widokówka tego, jak daleko udało się nam - i mnie samej - zejść na Kubie.

Jak ci ludzie, którzy wiedzieli natychmiast, co robić, gdy zawalił się dach, obok którego przejeżdżaliśmy na rowerach, tak i ja poznałam tajniki życia na Kubie. Znałam już „huraganowy krok”. Pamiętałam, żeby zabierać ze sobą latarkę, kiedy wychodziłam z domu w poniedziałkowy wieczór, gdyż tego dnia z reguły wyłączano prąd. Jako mieszana, kubańsko-amerykańska para w Hawanie nabraliśmy umiejętności w wyszukiwaniu tanich restauracji, takich jak El Recanto, w których Alfredo mógł płacić pesos, co pozwalało nam wyrównać nieco dzielącą nas przepaść ekonomiczną. Nawet tutaj, w Trinidadzie, chociaż wkurzała nas ta sytuacja, nauczyliśmy się omijać wymierzoną w turystów politykę apartheidu, przybierając nową tożsamość.

Zastanawiałam się, jak wiele czasu potrzebowałam - ja, mówiąca po hiszpańsku kobieta, która podróżowała wcześniej po Ameryce Łacińskiej - by osiągnąć ten wewnętrzny spokój tu, na Kubie. Myślałam, a właściwie martwiłam się o Alfreda, który nie mówił po angielsku i nigdy nie opuścił wyspy, czy uda mu się przystosować do życia w Stanach, gdzie postępy w nauce muszą być dużo szybsze.

W kraju, w którym - z wyjątkiem Amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego - nikt nie będzie nas pytał o nasz stan cywilny, istniało wiele miejsc, gdzie ludzie patrzyliby na nas wilkiem, i wiele przejawów rasizmu nieporównywalnych z tymi, które spędzały sen z powiek Alfredowi na Kubie. Oboje dostawalibyśmy w pracy wypłaty w dolarach, ale w przypadku Alfreda - który nie znał języka i nie miał dyplomu wyższej uczelni - musiałyby upłynąć wiele lat, zanim nasze pensje zbliżyłyby się do siebie.

Biorąc pod uwagę wszystkie nowe zagrożenia, które miałyby wpływ na nasz związek w USA, zaczęłam się zastanawiać, co tak naprawdę mną kierowało, gdy składałam wniosek o wizę dla Alfreda. Tym bardziej, że wiedziałam, iż na podjęcie decyzji mającej odbić się na całym naszym życiu miałam równe trzy miesiące. Wiedziałam jednak doskonale, co to było -

powtarzające się, prześladowające mnie marzenie, by pokazać Alfredowi mój świat. Nawet teraz, gdy wpadałam w panikę, ta wizja towarzyszyła mi nadal. Z tą jednak różnicą, że teraz byłam bardziej świadoma, iż wszystkie te wyzwania, którym mieliśmy stawić czoło w Stanach, mogły całkowicie zniszczyć nasz związek.

W drodze powrotnej do miasta biłam się z myślami i czułam, że coraz bardziej puszczają mi nerwy. Kiedy taksówkarz wysadził nas na dworcu, z którego odjeżdżał nasz autobus do Hawany, byłam już w takim stanie, że kupiłam kartę telefoniczną, żeby zadzwonić do mojej matki, która nie wiedziała nic o wizie ani o naszych planach, i jak gdyby nigdy nie spytać o maile, które przysły do mnie w trakcie mojej nieobecności.

- Wydaje mi się, że jedyne, co dostałaś, to trochę spamu - powiedziała mama, kiedy w końcu za trzecim razem udało nam się połączyć. - Spodziewasz się czegoś ważnego?

- Nie, właściwie to nie - odparłam, wciąż bojąc się odkryć naszą tajemnicę, zwłaszcza teraz, gdy opadły mnie takie wątpliwości.

- Miałam przeczucie, że wkrótce zadzwonisz - po drugiej stronie odezwała się mama. - W tym tygodniu przyszły dla ciebie dobre wieści.

- Tak? Mów szybko, o co chodzi, mamó. Zostało mi niewiele czasu!

- Odsłuchiłam twoją automatyczną sekretarkę, tak jak mnie prosiłaś. Zadzwonił jakiś wydawca, który powiedział, że chce wykorzystać twoją historię o Alfredzie w książce o Kubie, którą wydaje. Powiedział też, że na początku stycznia organizuje w Hawanie warsztaty dla pisarzy ze Stanów i Kuby, na które powinnaś pójść. Podobno wszystkiego dowiesz się w Związku Pisarzy. Podał mi nawet adres. Poczekaj... gdzieś go sobie zapisałam - usłyszałam szelest papierów na biurku, po czym przeciągły sygnał w słuchawce obwieścił koniec impulsów na karcie.

Wracając na dworzec, byłam tak podniesiona na duchu propozycją nieznanego wydawcy, że ledwo powstrzymywałam się, żeby nie biec. Nareszcie ktoś docenił moją opowieść o autentycznym uczuciu dwojga ludzi na Kubie. Podzieliłam się tą radosną nowiną z Alfredem, kiedy wsiedaliśmy do autobusu.

- Felicidades, mi amor! - ucieszył się. - Kiedy przeczytałaś mi fragment twojej książki po raz pierwszy, wiedziałem, że któregoś dnia ktoś ją opublikuje. A te warsztaty to może być dla ciebie życiowa szansa. Zostaniesz na nich?

- Bardzo bym chciała - powiedziałam - ale nie wiem, jak to zrobić. Moja wiza jest ważna tylko do końca przyszłego miesiąca. Gdybym chciała ją przedłużyć do stycznia, musiałabym lecieć do Meksyku pod koniec listopada i pod koniec grudnia. Nie stać mnie na to.

- Zawsze znajdzie się jakiś sposób - powiedział Alfredo, bębniąc w zamyśleniu palcami o plecak. - Kiedy w grudniu nadejdą święta, w gazetach takich jak „Granma International” będą potrzebowali dodatkowych rąk do pracy, bo wszyscy zagraniczni dziennikarze pojedą do domu na wakacje.

- A potem automatycznie przedłużą ci wizę, jeśli wcześniej dostaniesz tymczasową pincha - dodał Alfredo, używając slangowego określenia słowa „praca”. Mój wujek miał dziewczynę Kanadyjkę, która pracowała jako tłumacz w międzynarodowej agencji prasowej i co roku w grudniu jeździła do domu. A jako cudzoziemka dostała na Kubie darmowe mieszkanie. Masz wszystko, co najlepsze, i tu i tam. Płacą ci w dolarach, dostajesz książeczkę z kartkami żywnościowymi do wykorzystania w bodegach. Chyba nawet masz własną un carne de identidad.

- Dowód osobisty? - zaśmiałam się. - Czy to znaczy, że mnie też może zatrzymać policja na środku ulicy?

- Nie - pokręcił głową Alfredo. - To znaczy, że jesteś prawie Kubanką. Gdybyś miała tę kartę, prawdopodobnie nikt nie pytałby nas o akt małżeństwa w Trinidadzie. To by wiele zmieniło, co?

- Tak, na przykład w następnej podróży - powiedziałam. A potem, zastanawiając się nad propozycją Alfreda, która zaczęła kielkować w mojej głowie w trakcie naszej rozmowy, dodałam: - Może gdybym dostała fajną pracę, nie tylko na czas świąt, ale także po nich, mogłabym zostać na Kubie dłużej po zakończeniu warsztatów.

- Więc zostalibyśmy tutaj, zamiast ubiegać się o wizę? - spytał Alfredo, a ja ze zdumieniem zobaczyłam na jego twarzy coś na kształt ulgi.

- No, na pewno nie zostałam tu na zawsze, ale z drugiej strony, nie mam w Stanach pracy, do której muszę wracać - wyjaśniłam mu, coraz bardziej przekonana co do słuszności mojego planu. - A o wizie pewnie nie usłyszymy jeszcze przez dobrych kilka miesięcy. Może więc zostanę do czasu, gdy coś się rozwiąże - wtedy będzie nam łatwiej wrócić razem. - Jeśli - nie wierzyłam, że to powiem, dopóki słowa same nie wyszły mi z gardła - w ogóle będziemy chcieli wracać, gdy nadejdzie ten moment.

Alfredo wpatrywał się we mnie bez słowa.

- I co ty na to? - spytałam, wstrzymując oddech. - Czy to ma dla ciebie sens? A może jestem szalona?

- Myślę - powiedział Alfredo - że byłem strasznie podekscytowany myślą, że zobaczę twój świat i go wypróbuję. Ale teraz widzę, jak wiele jest jeszcze istotnych pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Sądzę, że to się z czasem zmieni, ale na razie jestem tu szczęśliwy. A

jeśli uważasz, że praca pisarza tu, na Kubie, jest dla ciebie dobrym pomysłem, to - na twarzy Alfreda pojawił się uśmiech - twój plan brzmi całkiem niezłe.



## Rozdział XXVII

Wyprowadzka

Z dworca autobusowego wracaliśmy do domu w ciszy; była to jednak inna cisza niż ta, która towarzyszyła nam w drodze z Sierra del Escambray. Tym razem - przynajmniej dla mnie - cisza ta narodziła się nie ze zmęczenia bezowocną dyskusją, ale z podniecenia w parze z wyciszonym oczekiwaniem.

Poza nagłym przyływem ulgi, która nadeszła wraz z pozbyciem się mentalnej listy pytań do Alfreda i rezygnacją z bezustannego wyobrażania sobie tego, co niewyobrażalne, byłam szczęśliwa, że mam przed sobą misję, cel mojego życia na Kubie. Teraz, zamiast traktować każdą sytuację, której razem z Alfredem byliśmy świadkami, jako test na powodzenie naszego związku w Stanach, sama mogłam poddać się próbie i wykorzystać całą moją energię do znalezienia pracy w przeciągu miesiąca, zanim moja wiza wygaśnie.

Gdybym faktycznie dostała od władz darmowe zakwaterowanie, nasze życie na Kubie z pewnością zmieniłoby się - dzielące nas różnice materialne przestałyby się liczyć; nie musiałabym już wydawać na życie całych oszczędności, z dwiema pensjami i książeczkami z kartkami na żywność żylibyśmy we względnym komforcie.

Moja wizja nowego życia składała się w zasadzie z samych „może”. Może uda nam się na Kubie. Może, jeśli będę miała pracę i żyła na własny rachunek, Kuba stanie się w końcu - tak jak wcześniej USA - moim domem. Może, funkcjonując w bardziej stałym związku z Alfredem, nauczę się żyć w niepewności, o której mówił, kiedy rozmawialiśmy o naszej przyszłości za oceanem. Lub - jeszcze lepiej - z czasem pragnienie sprowadzenia Alfreda do mojego świata rozplynie się i zniknie jak słodki odległy sen, pozostawiając po sobie jedynie ulotne wspomnienie.

Byłam tak pochłonięta wyobrażaniem sobie nowego życia w Hawanie, że gdy stanęliśmy przed drzwiami domu, przypomniałam sobie o pewnym kluczowym szczególe, który zupełnie wyleciał mi z głowy - miał on na imię Dinora. Wyprowadzka Mielikki. Piosenka Como Ser Negro. I wreszcie Alfredo, który zwrócił uwagę na rasistowską historię budowy dróg w Trinidadzie. W tej sytuacji perspektywa pozostania u Dinory do czasu znalezienia pracy z zakwaterowaniem wydała mi się praktycznie niemożliwa.

- Lea! Alfredo! - Dinora zawołała z wysokości swojego punktu widokowego na balkonie. Wymachiwała rozpaczliwie rękami, jakby bała się, że jej nie zauważymy. - Czekaście, utworzę wam.

Nie zdążyliśmy jeszcze wejść na marmurowe schody, kiedy stanęła w drzwiach, gestykulując. Choć tym razem jakby w zwolnionym tempie koncentrowała się na potoku wyrzucanych przez siebie słów.

- Od kiedy wyjechaliście, w domu zrobiło się straszne zamieszanie - powiedziała. - Jedna rzecz za drugą. Wiesz już o Mielikki, ale nazajutrz po jej wyjeździe zepsuj się telefon i nie mogłam się doprosić, by ktoś przyszedł go naprawić. Potem, trzy dni temu, wysiadł bojler z ciepłą wodą, a przedwczoraj wyprowadziły się obie Dunki. Myślę, że miały już tego wszystkiego dość. Na tydzień przyleciała siostra Kajsy i razem gdzieś wyjechały. Zostałam sama z tymi wszystkimi naprawami i bez pieniędzy z wynajmu. Candela! - Dinora klasnęła w dłonie. - A potem - nie pytaj mnie jak - zapełniłam cały dom w ciągu jednego dnia.

Zmęczona dźwiganiem ciężkiego plecaka, postawiłam go na podłodze w holu.

- W dużej mierze to był zbieg okoliczności - kontynuowała Dinora. - Dunki były tak miłe, że na swoje miejsce znalazły pewną Szwajcarkę, którą tu poznały. Potem para Austriaków zobaczyła na drzwiach tabliczkę casa particular - zdecydowali się zostać na dwa tygodnie. Ale to i tak było wciąż za mało, żeby zdobyć pieniądze na naprawę bojlera, więc poszłam na uniwersytet i pytałam wszystkich cudzoziemców, których spotkałam, czy nie szukają kwatery. W ten sposób znalazłam jednego Chińczyka. Bardzo miły chłopak.

Dinora uśmiechnęła się, dumna ze swojej przedsiębiorczości: - Niezła ze mnie kapitalistka, co?

Skinęłam głową.

- Pewnie chcecie się rozpakować - zreflektowała się nagle. - Nie zdziwcie się tylko, jeśli natkniecie się przypadkiem na kogoś obcego w łazience. Zapomniałam wam powiedzieć, że wczoraj wprowadził się jeszcze Niemiec. Zostanie tu na miesiąc. Pomyślałam wprawdzie, że robi się trochę ciasno, ale co mi tam. Nitza jest w Argentynie, więc Chińczyka ulokowałam w jej pokoju, a Niemca w moim.

- A co zrobiłaś z Luisem?

- Przeniosłam go do jadalni.

- Do jadalni?

- Tak, przesunęliśmy stół pod ścianę, a na podłogę położyliśmy dodatkowy materac. Nie jest tak źle, naprawdę. Poza tym, to tylko na jakiś czas. Powiedziałam Niemcowi, że pod koniec tygodnia wyjeżdżasz i będzie mógł zająć twój pokój.

Na początku myśl o wyprowadzce napawała mnie przerażeniem, ale nieoczekiwany finał relacji Dinory zaskoczył mnie jeszcze bardziej. Chociaż próbowałam ukryć zadowolenie z takiego obrotu spraw i satysfakcję, że nie będę musiała poruszać w jej obecności bolesnego

tematu na literę „r”, wyraz mojej twarzy musiał zaalarmować ją, że coś jest nie tak.

- O, nie! - Dinora zmartwiła się. - Wiedziałam. Zostajesz, prawda?

Pokiwałam w milczeniu głową, zaskoczona jej przenikliwością.

- Tego się obawiałam - powiedziała. - Zeszłej nocy spytałam Luisa, co powinnam zrobić. „Wiesz, jaka jest Lea - powiedziałam. - Co będzie, jeśli zmieni rezerwację biletu i przedłuży sobie pobyt?”. Ale Luis uspokoił mnie: „Nie, w zeszłym tygodniu powiedziała, że wyjeżdża po powrocie z Trinidadu”. Nie powinnam była go słuchać. Byłam taka zdesperowana z powodu Dunek, ale posunęłam się za daleko. Mam nadzieję, że Luis nie będzie miał nic przeciwko, żebyśmy zostali wszyscy w jadalni, ale tak właśnie zrobimy.

- Nie, Dinoro, proszę cię - zaprotestowałam. - To nie będzie konieczne. Znajdziemy sobie inną kwaterę.

- A może... - Dinora powiedziała, zamyślona, jakby nie dotarło do niej to, co przed chwilą powiedziałam. - W sumie to nie potrzebuję tego Niemca, zwłaszcza kiedy ty wróciłaś. Jak długo chcesz jeszcze zostać?

- Och, nie wiem. Co najmniej miesiąc, może dłużej. Mam zamiar...

- W takim razie powiem mu, że jest mi przykro, ale nie może zostać - przerwała mi. - Powiem mu, że... Wiem. Powiem mu, że pomyliły mi się terminy i myślałam, że wyjeżdżasz pod koniec tego miesiąca, a chodziło o przyszły miesiąc.

Pokręciłam głową. Po plecach przebiegły mi ciarki.

- Będę cię nadal odwiedzać - powiedziałam. - Pójdziemy do kina albo na lody. Możemy nawet wrócić do tematu literackiego kółka dyskusyjnego. Ale uważam, że nie powinnaś wyrzucać tego Niemca.

- Naprawdę? - Dinora była zbита z tropu. Przyglądała mi się uważnie w nadziei, że zaraz wybuchnę śmiechem. Ze może żartuję, a ona daje się nabrać. - Dlaczego? - spytała.

- Dlatego, że już mu powiedziałaś, że może zostać i... - nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Ach, już rozumiem - na twarz Dinory znów powrócił uśmiech. - Lea, tu eres tan dulce. Jesteś taka kochana, zawsze o mnie pamiętasz. Wiem. Kapitalista tak by nie postąpił, prawda?

Byłam niezmiernie zadowolona z faktu, iż opuszczałam Dinorę w przeświadczeniu, że odrzucając jej ofertę, myślałam jedynie o biznesowej etykietce. A mimo to czułam smutek. Alfredo - podobnie jak Dinora - natychmiast zorientował się w moim nastroju, gdy usiedliśmy na łóżku, które już niebawem miało należeć do kogoś innego.

- Lea, dlaczego nie powiesz Dinorze, żeby zatrzymała dla nas ten pokój od przyszłego

miesiąca, kiedy Niemiec wyjedzie? - spytał.

Wzięłam głęboki oddech, zanim spytałam go: - Nie mówiłam ci, jaki był prawdziwy powód odejścia Mielikki, prawda? - Nie.

- Powiedziała, że jej chłopak źle się czuje w towarzystwie Dinory.

Twarz Alfreda wykrzywił grymas.

- Czy z tego samego powodu wyprowadziły się Dunki? Przez swoich rasta przyjaciół? Tych czarnych?

- Tak myślę - przytaknęłam. - Przepraszam cię, Alfredzie. Od początku miałeś rację.

Alfredo pokiwał głową w milczeniu.

- Chcesz się od razu wyprowadzić? - spytałam. - Zostaniemy u twojej mamy, a rano zastanowimy się, co dalej?

- Co powiesz Dinorze?

- Nie wiem.

- Nie musimy wyprowadzać się natychmiast - powiedział, kładąc się na łóżku. - Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Wiem, że Dinora jest twoją dobrą przyjaciółką. I wiem, że akceptuje mnie przez wzgląd na ciebie. Kilka dni wytrzymam, ale chciałbym załatwić to jak najszybciej.

- Zacznę szukać jutro z samego rana - obiecałam, wdzięczna za to ostatnie zdanie.

Przez kilka ostatnich dni drapało mnie w gardle, aż w końcu

- pierwszego wieczoru po powrocie do Hawany - infekcja objęła zatoki. Obudziłam się rano z bólem głowy i ciekącym nosem, straciłam kompletnie głos, a za każdym razem, gdy kichałam, rozrywało mi gardło, jak gdyby ktoś tarł o nie papierem ściernym.

Alfredo przygotował mi płyn do płukania gardła, który - poza jednym zasadniczym składnikiem - nie różnił się od tego, którego używałam w domu. Była to mieszanka ciepłej wody z cytryną i miodu „wzbogacona” dodatkowo solidną dawką rumu, który - jak twierdził Alfredo - postawi mnie na nogi. Zanim wyszedł rano do pracy, po powrocie wieczorem i w czasie popołudniowej przerwy na lunch, przyrządzał mi jeden ze swoich cudownych koktajli, tak mocnych, że ból w porównaniu z cierpieniem, które towarzyszyło ich picciu, faktycznie wydawał się mniejszy.

Gdy tak leżałam przez cały dzień w łóżku, pogrążona w apatii, poddając się kolejnym napływającym falom gorąca, które równie dobrze mogły być wynikiem gorączki, co alkoholowego upojenia, wertowałam pewną książkę na temat kubańskich mediów. Z tyłu znajdował się wykaz wszystkich instytucji z branży wraz z danymi adresowymi i numerami telefonów. Studiowałam je pod kątem możliwości ewentualnego zatrudnienia i nie mogłam

się doczekać dnia, kiedy zacznę szukać pracy.

Gdy czułam się lepiej, a słońce szykowało się już ku zachodowi, wędrowałam po schodach na dach, żeby sprawdzić, co się dzieje z moimi ziarenkami kawy, które zebraliśmy w Tri-nidadzie. Rozłożyliśmy je z Alfredem na kawałku dziennika „Granma”, żeby wyschły, i chociaż nie dało się z nimi już nic zrobić, poza czekaniem, doglądałam ich z poświęceniem godnym frustrata i cierpliwością właściwą człowiekowi pełnemu nadziei. Ziarenka zmieniły kolor z czerwonego na nieco bardziej ziemisty, mahoniowy, a ich gładka niegdyś skórka popękała od słońca. Przewracałam je co jakiś czas, żeby się równomiernie wysuszyły, a wokół pobudowałam niewielkie barykady z cegieł, żeby silne popołudniowe wiatry nie zabrały mi moich delikatnych nasionek z wymyślonego ogrodu na dachu.

Z powodu braku ciepłej wody, ponieważ bojler był zepsuty, zaczęłam gotować sobie wodę do kąpieli. Mimo że w kuchni na górze była czteropalnikowa kuchenka, musiałam gotować wodę trzy razy w jedynym garnku, który nie był przypalony ani brudny od tłustych resztek jedzenia. Kiedy woda już się zagotowała, przelewałam ją do plastikowego, beżowego wiaderka, w którym przynosiłyśmy kupione przy Aramburo bukiety słodko pachnących kwiatów azucena i zanosiliśmy pranie do rozwieszenia na dachu. Potem dodawałam kolejny garnek, tym razem już zimnej wody, i mieszałam wszystko kuchenną chochłą, aż buchająca mi w twarz para z wiadra znikła jak poranna mgła. Pod prysznicem polewałam się jedną trzecią wiadra i szybko namydlałam się. Potem wylewałam sobie resztę wody na głowę i wychodziłam spod prysznica czysta i szczęśliwa, że nie zmarnowałam ani kropli życiodajnego płynu.

Niestety, podobnych - prostych i przyjemnych - rozwiązań nie dało się zastosować w przypadku zepsutego telefonu, którego - pomimo coraz ostrzejszych interwencji Dinory - nikt jeszcze nie naprawił. Kilka razy dziennie Dinora podnosiła słuchawkę i za każdym razem odpowiadał jej ten sam głuchy, brzęczący w uszach brak sygnału i wywołująca furię cisza. Potem odkładała słuchawkę z takim hukiem, że słyszałam to w moim pokoju na piętrze.

Wieczorami, kiedy czułam się na siłach, by zjeść kolację z domownikami, siadałam przy stole, uderzając krzesłem o leżący na podłodze materac Dinory i Luisa, w miejscu, gdzie - jak sądziłam - rozprostowywali w nocy kości.

Z początku czułam się winna, że nie zerwałam ostatecznie kontaktów z Dinorą, ale z drugiej strony, wydawało mi się to dziwne i nienaturalne, skoro - na co zwrócił uwagę Alfredo - nic się nie zmieniło między nim a Dinorą, odkąd wszyscy inni się wyprowadzili. Co więcej, drugiego wieczoru po moim powrocie z Trinidadu, kiedy Dinora zawołała mnie na dół na kolację, zapominając, że Alfredo pracuje w tym tygodniu na nocną zmianę, nakryła do

stołu dla nas obojga. Niestety, wiedziałam, że gdyby Alfredo był tego dnia ze mną, musielibyśmy znaleźć jakąś wymówkę i pójść na górę, żeby nie jeść kolacji w jej towarzystwie.

Pierwszego dnia, gdy poczułam się na tyle na siłach, żeby wyjść z domu i wyrzekłam się ostatecznie gorącej wody z cytryną i rumem, posmarowałam się - jak zwykle - grubą warstwą filtra przeciwsłonecznego i powlokłam do sklepu przy San Lázaro. Ale idąc już z daleka zauważyłam, że coś jest nie tak. Drzwi wydawały się zamknięte na głucho, przed sklepem nie było kolejki ani nawet jednego zbłąkanego klienta kręcącego się w pobliżu i przeliczającego drobne w nadziei, że wystarczy mu chociażby na olej do smażenia.

Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam w drzwiach odręcznie skreśloną kartkę z napisem: CERRADO FOR REPARACIONES (Zamknięte z powodu remontu). Obróciłam się na pięcie i podreptałam do oddalonych o dobre dziesięć przecznic drugich - i zarazem jedynych - delikatesów w Centro Habana, o których istnieniu wiedziałam. Po drodze zaschło mi w gardle, a pot strużkami spływał mi z czoła, zalewając oczy. Ale ten sklep był również zamknięty z powodu remontu. Zastukałam w drzwi, licząc, że ktoś mi otworzy, ale światła w środku były zgaszone i gdy przytknęłam nos do szyby, nie zauważyłam wewnątrz żadnego ruchu. Po kilku minutach rozpaczliwego wpatrywania się w ciemność poddałam się, zostawiając jedynie w geście niemego protestu spocony odcisk nosa na szybie.

Alfredo i ja wyprowadziliśmy się od Dinory 31 października, w dniu, w którym pierwotnie miałam wracać do Stanów. Nawet jej nie obejrzawszy, zgodziłam się zamieszkać w pierwszej casa particular, o której się dowiedziałam. Był to nielegalnie wynajmowany pokój w domu małżeństwa dentystów, znajomych Ludmiły.

Nie domagałam się telefonu ani bojlera z ciepłą wodą, wiedząc, że ich funkcjonowanie dzisiaj nie gwarantowało działania nazajutrz. Nie pytałam też Ludmiły o cenę casa particular, mając nadzieję, że uda nam się potargować już na miejscu. Opuściliśmy dom Dinory tak jak to sobie zaplanowaliśmy, kiedy gardło przestało mnie już boleć i mogłam od razu zacząć szukać pracy, na której tak mi zależało.

„W salonie ucałowałam na pożegnanie Dinorę i Abuelę; Alfredo rzucił tylko w pośpiechu „do widzenia”, znosząc na dół bagaże.

- No pierdan el camino! - zawołała Dinora, kiedy zaczęłam już schodzić po schodach, a Abuela wystawiła głowę z fotela, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na moje plecy. -”Wpadniesz w przyszłym tygodniu? - spytała Dinora.

- Wpadnę - odparłam. - Dam wam znać, co z moją pracą.

- Świetnie - drzenie w jej głosie, które było słyhać jeszcze kilka minut wcześniej,

ustąpiło bezpowrotnie, a na jej twarz powrócił uśmiech. - Usiądziemy w salonie i pogadamy o życiu - powiedziała. - Jak za dawnych dobrych czasów.

W domu u dentystów zabrałam się od razu za rozpakowywanie i urządzanie nowego pokoju, by jak najszybciej zapomnieć o chwytającym za serce obrazie Dinory stojącej tradycyjnie na balkonie i machającej mi na pożegnanie.

Kiedy wszystko było już na swoim miejscu, z dna plecaka wyjęłam zapakowane w wymiętą „Granmę” ziarenka kawy, przyniesione z Trinidadu na skąpany w słońcu dach Dinory, i rozsypałam jej na zimnej, betonowej podłodze naszego nowego domu.

Były one dla mnie podróżniczym talizmanem, czymś w rodzaju muszelek kauri, które zabobonni Kubańczycy rozsypywali na rozłożonej na podłodze macie, żeby wyróżyć z nich swoją przyszłość. Zamyśliłam się: jeśli z ziaren kawy też mogę odczytać moją przyszłość, to co może ona dla mnie przynieść?

## Rozdział XXVIII

Jeszcze prawdziwsza Kuba

Pierwszego dnia w nowym domu obudziłam się sama. Chwilę po tym, jak Alfredo pocałował mnie na do widzenia, co miał w zwyczaju robić zawsze, gdy jeszcze spałam - a ja budziłam się wtedy słodko zaskoczona - zapadłam z powrotem w sen. Obudziłam się prawie dwie godziny później, kiedy małżeństwo dentystów i ich córka Lialne żegnali się głośno ze sobą, zanim każde z nich zniknęło w porannym gwarze ulicy Neptuno.

Wyjęłam mój notes, w którym spisałam wszystkie możliwe miejsca, gdzie mogłam znaleźć pracę, i przeszłam do mojego nowego salonu. Panująca w nim pustka przypominała mi, że w domu mieszkają lekarze, a nie pracownicy linii lotniczych.

Nie było tu sof z koronkowymi serwetkami na oparciach foteli ani dekoracyjnych tkanin, przedstawiających kiczowate scenki rodzajowe. Jedynymi sprzętami w pokoju były: mała, dwuosobowa kanapka, stolik kawowy i bujany fotel. Wszystkie one jednak tylko potęgowały wrażenie pustki, przypominając mi teatralną scenę podczas zmiany dekoracji.

Usiadłam w fotelu, żeby przejrzeć notatki. Tak zleciał mi czas do południa i kiedy przekreśliłam gałkę we frontowych drzwiach, żeby wreszcie zacząć tak długo wyczekiwany dzień, pod drugiej stronie stał Alfredo, który wpadł do domu na obiad.

- A ty dokąd się wybierasz? - spytał zaskoczony, jak gdyby nadal spodziewał się zastać mnie w łóżku.

- Zaczynam rozglądać się za pracą - odpowiedziałam. - Idę znaleźć una pincha.

Znajdujący się nieco na uboczu przy 23. ulicy budynek latynoamerykańskiej agencji prasowej Prensa Latina nie przypominał newsroomu. Wyglądał raczej jak betonowy bunkier, więzienie bez okien otoczone drutem kolczastym.

Gdy stałam przed tym socrealistycznym dziełem sowieckich architektów, wydawało mi się niemożliwe, żebym ja - obywatelka amerykańska, w dodatku przebywająca na Kubie nielegalnie, mogła otrzymać pracę i wynagrodzenie od komunistycznych władz wyspy. Ale gdy powiedziałam recepcjonistce, że jestem amerykańską dziennikarką szukającą pracy, uśmiechnęła się tylko i powiedziała, jak mi się zdawało, szczerze: - Qué interesante!

Podniosła słuchawkę interkomu i wykręciła dwucyfrowy numer wewnętrzny. Powiedziała coś do mikrofonu szybko i niezrozumiale, a potem, wskazując mi nieco ukryte drzwi po prawej, wpuściła mnie do środka.

- Redaktor czeka na panią w holu - schodami do góry i do końca korytarza -



obwieściła.

Korytarze w Prensa Latina były dokładnie takie, jak je sobie wyobrażałam z zewnątrz - długie, kręte i ciemniejsze niż noc.

Tak jak powiedziała recepcjonistka, w holu na szczycie schodów siedział rozczochrany siwy mężczyzna w prążkowanej koszuli, z papierosem w ustach. Kiedy mnie zobaczył, wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

- Więc jest pani Amerykanką - powiedział z uśmiechem.

- Proszę, niech pani siada.

Potem opowiedział mi wszystko o Prensa Latina - kiedy została założona, od kiedy on sam tu pracował, dokąd biegły kręte korytarze. Między jedną informacją a drugą robił krótkie przerwy, zaciągając się cygarem. Na zakończenie powiedział:

- Niestety, nie mamy w tej chwili wolnych etatów.

- Och - powiedziałam zaskoczona, zastanawiając się, po co w takim razie się ze mną spotykał. - W każdym razie dziękuję za poświęcony mi czas.

- Żaden problem. Chętnie poznaję wszystkich cudzoziemców, którzy się tu przewijają - powiedział. - Zostawię pani swój adres, skontaktujemy się, gdyby coś się zmieniło w przyszłości.

Skinęłam głową i podałam mu czystą kartkę papieru wydartą z notesu. Kiedy skończył pisać, podniósł wzrok i uśmiechnął się raz jeszcze.

- Zależało mi, żeby panią poznać także z innego powodu. Mamy tutaj kogoś, z kim pewnie chciałaby pani porozmawiać - zrobił teatralną pauzę. - Jeszcze jedną Amerykankę.

- Pracuje tutaj?

- Tak, i gdybyśmy szukali kogoś na stanowisko tłumacza języka angielskiego, to z nią odbyłaby pani rozmowę kwalifikacyjną. Chciałaby pani ją poznać? Usłyszeć jej opinię na temat Prensa Latina?

- Oczywiście - ucieszyłam się, a redaktor uklonił mi się na pożegnanie i poszedł gdzieś, by po chwili wrócić w towarzystwie szczupłej pięćdziesięciokilkuletniej kobiety w bluzce ze staromodnym kołnierzykiem i w niebieskich dzwonach, które wyglądały jak żywcem wyjęte z filmu dokumentalnego o latach 70. Ona także trzymała papierosa w zębach.

Redaktor wrócił do siebie, zostawiając nas same. Amerykanka usiadła obok, pograżając nas obie w tytoniowym dymie.

- Jestem Linda - przedstawiła się i zanim zdążyłam powiedzieć jej swoje imię, spytała: - Wracasz do Stanów?

- Nie, jeśli znajdę tu pracę - powiedziałam.

- Może zawrzemy układ? - spytała, wydając z siebie urywany śmiech, właściwy wszystkim palaczom. - Oddam ci swoją pracę, jeśli ty znajdziesz mi robotę w USA.

- Nie rozumiem - zamrużałam oczami ze zdziwienia.

- Odkąd sięgam pamięcią, staram się stąd wyrwać - wyjaśniła Linda. - Ale ciężko jest żyć w Stanach, nie mając stałej pracy. A ja jestem tu już tak długo, że straciłam wszystkie kontakty za oceanem.

- W takim razie, czemu nie zostaniesz? - spytałam.

- Kuba to był w moim przypadku... - przerwała, szukając odpowiedniego słowa - kiepski pomysł.

Strzepnęła popiół z papierosa, czekając na moją odpowiedź. Ale ja pokiwałam tylko głową, nie bardzo wiedząc, czy chcę wiedzieć, dlaczego.

- Poznałam tutaj faceta, Kubańczyka. Zakochałam się i wyszłam za niego - kontynuowała Linda. - Przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki nie odkryłam, że ma drugą żonę i dwójkę dzieci.

Potrząsnęłam głową z oburzeniem.

- No właśnie - przytaknęła. - To było naprawdę... nie w porządku. Od tej pory jest mi coraz trudniej. Potrzebuję kopa.

Zamknęła usta i wypuściła nosem kłęb dymu.

- Już dawno nie mówiłam tyle po angielsku - powiedziała.

- Przecież jesteś tłumaczem, prawda? - spytałam.

- Tak, ale nie ustnym. Siedzę przez cały dzień w ciemnym, zatęchłym pokoju z przestarzałym słownikiem w ręce - Linda znów wydała z siebie chrypliwy śmiech. - Posłuchaj, chcę cię prosić o przysługę - powiedziała, nachylając się bliżej. - Czy gdybym dała ci swój e-mail - tak, mam tu e-mail, to jedyna korzyść z tej pracy - mogłabyś mi przysłać namiary na kilku wydawców, których znasz w Stanach i do których mogłabym wysłać swoje cv? Nie muszą to być nawet sami wydawcy. Radio, telewizja, cokolwiek. Jestem gotowa na zmiany. Wiesz, o co mi chodzi?

Pokiwałam głową, tym razem wiedziałam.

- Świetnie, cudownie - zapaliła się Linda. - Bardzo ci dziękuję... Nie pamiętam twojego imienia.

- Lea.

- Właśnie, dzięki, Lea - powiedziała, podając mi świstek papieru z zapisanym adresem. - I powodzenia w szukaniu pracy.

Wróciłam do domu zniechęcona i jedyne, na co miałam ochotę, to zwinąć się w

kłębek w łóżku. Ale kiedy otworzyłam drzwi, okazało się, że mam towarzystwo.

O 15.30 cała rodzina była już w domu - Damaris i Manolo siedzieli ścisnięci na kanapie i prowadzili poważne rozmowy, a ich córka pianistka studiowała w tym czasie nuty w bujanym fotelu. Kiedy weszłam do domu, wszyscy podnieśli głowy, przez chwilę zdezorientowani moim niespodziewanym pojawieniem się w ich salonie. Dzień wcześniej Manolo powiedział mi, że nigdy wcześniej nie wynajmowali pokoiów turystom z zagranicy.

- Ale sama wiesz, jaka jest sytuacja na Kubie - usprawiedliwiał się.

Pokiwałam głową, rozumiejąc doskonale, o co mu chodzi, tak jak wiedziałam - bez zbędnego tłumaczenia - dlaczego wszyscy wracali tak wcześnie do domu. Żeby zająć się innymi, pokrętnymi źródłami pozyskiwania pieniędzy, które pozwalały im dorobić trochę do pensji. Teraz jednak, kiedy zatrzasnęłam za sobą frontowe drzwi, wszystkie rozmowy, których tematem mogło - choć nie musiało - być negocjacje, ucichły, a na tapecie pojawił się nowy, znacznie ciekawszy temat - moje poszukiwanie pracy. Sama idea, że mogę szukać zatrudnienia na Kubie, o której powiedziałam im poprzedniego wieczoru, wydała im się niezwykła i fascynująca.

- Praca? - roześmiał się Manolo. - Jakiego rodzaju praca? Taka jak taxista particular? Jestem przekonany, że nie zarabiają takich pieniędzy, do jakich jesteś przyzwyczajona, ale to całkiem niezły zarobek, jak na tutejsze warunki.

- Albo - Lialne nie wybaczyłyby sobie, gdyby ominęła ją możliwość wtrącenia trzech groszy - Lea mogłaby sprzedawać cygara turystom. To gwarancja wspaniałej kariery.

Po tym, jak powiedziałam rodzinie o moich planach dotyczących Alfreda, ich sarkazm zmienił się w solidarność i współczucie. Dzisiaj, kiedy Manolo spytał, jak minął mi dzień, w jego głosie usłyszałam szczerą troskę.

- Udało ci się coś znaleźć? - spytał.

Nie chcąc zanudzać go żalosną relacją z pierwszej nieudanej próby podjęcia pracy w kubańskiej agencji prasowej, pokręciłam tylko głową.

- No es fácil - powiedziała Damaris, poklepując mnie delikatnie po plecach.

Postanowiłam odetchnąć trochę od intensywnego biegania za pracą i co rano przed wyjściem z domu skupiałam się trochę na poprawianiu mojego artykułu o Alfredzie i o mnie.

Wydawca napisał mi, że muszę skrócić moje liczące 8000 słów wyciągi o połowę, co zaczęło mi pochłaniać coraz więcej wolnego czasu. Polowanie na komputer podłączony do internetu, za pośrednictwem którego mogłabym wysłać poprawioną wersję, przypominało mi dziecięce poszukiwanie zaklętego skarbu. Z tą tylko różnicą, że tu dotarcie do upragnionego finału nie gwarantowało zdobycia głównej nagrody.

Poszukiwania poczty elektronicznej zaczęłam od uniwersyteckiej pracowni komputerowej, gdzie mężczyzna siedzący za biurkiem powiedział, że nie może reaktywować mojej skrzynki pocztowej bez pisemnej zgody profesora, potwierdzającej, że faktycznie studiuje na tej uczelni. Zastanawiając się, czy przypadkiem to nie on zamknął mi konto e-mail cztery miesiące temu, kiedy przyłapał na korzystaniu z niego Alfreda, próbowałam - za pomocą delikatnej perswazji - uzyskać dostęp do komputera, ściskając w ręce dyskietkę jak dziecko ulubioną pluszową maskotkę.

- Mam tutaj coś bardzo ważnego, muszę to wysłać jeszcze dziś - przekonywałam go.

- Proszę spróbować w hotelu Colima po drugiej stronie ulicy - mężczyzna był nieugięty.

Kobieta w recepcji hotelu Colima skierowała mnie do Ha-bana Libre, gdzie z kolei zasugerowano mi, żebym poszła do hotelu Nacional.

Najbardziej luksusowy hotel w Hawanie i jeden z głównych punktów orientacyjnych miasta usytuowany był na klifie wznoszącym się nad Malecónem. Przed Rewolucją służył jako schronienie dla różnego rodzaju mafiosów, takich jak Meyer Lansky. Za każdym razem, gdy przechodziłam obok, hotel Nacional onieśmiał mnie swoją historią i majestatycznym wyglądem, którego pozazdrościłby mu niejeden zamek czy pałac w Europie. Jednak dziś, gdy przechodziłam przez jego mauretańską bramę, otaczający mnie przepych w większym stopniu budził we mnie nadzieję, niż tylko imponował. Nadzieję tę podsycił jeszcze zaczepiony przeze mnie odźwierny, który potwierdził, że w hotelu jest nie tylko dostęp do poczty elektronicznej, ale także - w reprezentacyjnym apartamencie na jednym z górnych pięter - możliwość skorzystania z internetu.

Popędziłam w głąb wyłożonego mozaikami holu, a następnie pięć pięter do góry, zbyt podekscytowana, by pomyśleć w ogóle o wjechaniu windą. Ale kiedy dotarłam, zdyszana, na szóste piętro, kobieta odpowiedzialna za komputery, która siedziała za biurkiem, bazgrząc coś w zeszycie, oznajmiła mi, że internet nie działa od trzech dni.

- Mam nadzieję, że jutro już będzie naprawiony - powiedziała.

Poszłam więc do pracy Alfreda, w nadziei, że może znajdzie jakieś rozwiązanie. Alfredo zrobił sobie przerwę i zabrał mnie do domu Ernesta, znanego już czytelnikom jako El Corrupto, który podciągnął sobie nielegalnie stałe łącze do domu i w ten sposób umożliwił Alfredowi kontakt ze mną, kiedy moje uniwersyteckie konto zostało zablokowane.

- Spóźniliście się o miesiąc - poinformował nas Ernesto, kiedy dotarliśmy na miejsce, po czym, wzruszając ramionami, dodał: - Nie wiem, co się stało, ale straciłem dostęp do sieci tuż po tym, jak wysłałem ci ostatniego maila od Alfreda.

Co kilka dni robiłam w domu pranie - w powietrzu, nie dotykając powierzchni umywalki, w której roilo się od zaschniętych zielonych zacieków po paście do zębów i czarnych plam w miejscach, gdzie została obita emalia. Kiedy już dokonałam tego iście syzyfowego zadania, szukałam miejsca, w którym mogłabym rozwiesić pranie (na dachu domu dentystów nie było sznura na pranie, tak jak u Dinory). Z początku wykorzystywałam do tego celu wentylatory i gałki do drzwi, ale szybko zrezygnowałam z tego pomysłu, bo na bieliźnie zostawały ślady, podobnie jak w przypadku krzesel w kolorze karmelowym, które farbowały moje białe podkoszulki.

Kiedy mieszkałam przez trzy miesiące w casa particular u Dinory, rozpieła mnie duma, że jestem mieszkanką „prawdziwej Kuby”. Teraz wiedziałam, jak bardzo się myliłam. Moi gospodarze, pozbawieni regularnego dopływu gotówki w dolarach, nie byli w stanie zainwestować w klimatyzację; nie stać ich też było na zatrudnienie nielegalnej służącej, która pomagałaby im utrzymać dom w czystości. Po całym dniu spędzonym w pracy i kilku godzinach dodatkowego zarobkowania byli zbyt zmęczeni, by zrobić coś więcej, niż tylko zaleść na kanapie przed telewizorem.

Staralam się pomagać w sprzątaniu, ale czułam, że mija się to z celem. Pomimo trwającej kampanii oczyszczania miasta z wszędobylskiego robactwa, pluskwy podgryzające mnie w nocy wydawały się nieśmiertelne. Sama już nie pamiętam, ile razy budziłam się w łóżku z insektami wielkości orzecha włoskiego wędrującymi mi po plecach i stopach. A w łazience co rano czekały nas truchła mniej żywotnych karaluchów leżące w wannie.

Małeńka kuchnia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Nie było w niej ani suszarki, ani nawet ścierki do naczyń, nie mówiąc już o takim luksusie, jak zwykły kuchenny blat, na którym można by rozłożyć świeżo umyte przybory i sprzęty kuchenne. Wszystko, jeszcze mokre, upychało się do szafek i równie wilgotne - i śmierdzące - wyciągało. Smród przypominający zepsute jajka przyprawiał mnie o mdłości za każdym razem, gdy piłam ze szklanki czy jadłam z talerza.

Marną pociechą był fakt, iż w tym czasie, tak czy owak, nie było zbyt wiele do jedzenia, ponieważ wszystkie okoliczne sklepy były nadal zamknięte. Korzystałam więc z zapasów suszonych produktów, ograniczając się do jedzenia małych kawałeczków sera. Alfredo natomiast - podobnie jak inni Ku-bańczy - radził sobie w inny sposób, do którego nie byłam w stanie się przekonać - napychając się do granic możliwości suchym chlebem i pożerając niewyobrażalne ilości pomarańczy.

Poza kurczącym się zaopatrzeniem w artykuły spożywcze, zamknięcie sklepów wiązało się z jeszcze jedną niedogodnością - brakiem mydła. A biorąc pod uwagę, że Alfredo -

mający, jak większość Kubańczyków, obsesję na punkcie higieny osobistej - kąpał się trzy razy dziennie, nasza ostatnia kostka pospolitego różowego kubańskiego mydła topniała niemal z godziny na godzinę.

- Może - powiedziałam Alfredowi, chcąc obrócić moją rosnącą irytację całą tą sytuacją w żart - powinniśmy zacząć racjo-nować mydło. Czy mógłbyś myć za każdym razem tylko jedną trzecią powierzchni ciała?

- Może i mógłbym - Alfredo uśmiechnął się w odpowiedzi - za to ty chyba powinnaś zmienić nazwisko na Castro.

W środę po południu, po kolejnym dniu spędzonym na bezowocnym poszukiwaniu pracy, tym razem w charakterze tłumacza w „Granmie” i El Instituto Superior de Artes, odkryłam, że sklepy chopping zostały ponownie otwarte, tym razem jednak jako sklepy gospodarstwa domowego. W szklanej gablocie przy kasie wystawiono resztki poprzedniego asortymentu - kilka tabliczek importowanej czekolady, drogie perfumy i ekskluzywne gatunki mydła. Resztę powierzchni dawnych delikatesów spożywczych zajmowały teraz lodówki, sprzęt stereofoniczny i suszarki do włosów - wszystko wyłącznie za dolary i w cenach znacznie wyższych od tych w USA.

Mimo to ludzie tłumnie rzucili się do nowo otwartych sklepów, tworząc przed nimi gigantyczne kolejki, podobne do tej, która ustawiała się codziennie do Coppelii. Nie chciało mi się wierzyć, że nagle każdy w Hawanie zapragnął wejść w posiadanie nowej lodówki, a nawet jeśli, to w jaki sposób - ze średnią miesięczną pensją na Kubie nieprzekraczającą 100 dolarów - był w stanie zapłacić za nią pięciokrotność tej sumy.

- Na co ci wszyscy ludzie czekają? - spytałam Alfreda. - Co chcą kupić?

- Cokolwiek, na co ich stać, a co zostało z poprzednich sklepów - powiedział. - Skoro cały asortyment nagle po prostu zniknął, nie wiadomo, jak długo jeszcze będą leżeć te resztki.

W drodze powrotnej do domu zobaczyłam na ulicy zdechłego psa - leżał z łapami wyciągniętymi sztywno w górę. Kilkadziesiąt metrów dalej dzieci grały w baseball własnoręcznie wystruganymi kijami i prowizorycznymi piłkami, nieświadome truchła rozkładającego się tuż za rogiem. Przez chwilę zawahałam się, czy nie skręcić w inną przecnicę, nadrabiając nieco drogi, ale ostatecznie - niczym przechodzień zatrzymujący się mimowolnie przy rozbitym w wypadku samochodzie - podeszłam bliżej, żeby zobaczyć, co tak naprawdę się stało. Gdy byłam już koło psa, poczułam potworny smród - połączenie spoconych skarpet i gnijących owoców - i zobaczyłam, że jedno z jego oczu jest wciąż otwarte; wyglądało to tak, jakby pies wpatrywał się we mnie niemo, nieczuły na roje pożerających go od środka robaków. Resztę drogi do domu pokonałam biegiem.

## Rozdział XXIX

Un Socio Me Preguntó...

Miałam nadzieję, że gdy odwiedzę Dinorę, będę już mogła pochwalić się nową pracą. Ale zamiast tego znalazłam się na znajomej ulicy Animas w tych samych oparach trujących chemikaliów, co kiedyś, z objawami trzeciej i najpoważniejszej choroby w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

W odróżnieniu od choroby, która zaatakowała mnie za pierwszym razem, byłam przekonana, że ta nie była skutkiem bezpośredniego zatrucia się rozpylanym na ulicach preparatem owadobójczym, ani wynikiem infekcji wirusowej, która dopadła mnie po powrocie z Trinidadu.

Tym razem czułam, że chodzi o coś poważniejszego i mającego swoje źródło wewnątrz mojego organizmu. Kiedy oddawałam mocz, towarzyszyło mi za każdym razem nieznośne uczucie pieczenia, a dziś rano, wstając z toalety, zobaczyłam w środku tyle krwi, że mało nie zemdlalam.

Zbliżając się do domu Dinory, zobaczyłam, że drzwi na balkon są szczelnie zamknięte w obawie przed trującymi opryskami. Mimo to, kiedy zadzwoniłam do drzwi, Dinora otworzyła mi, krztusząc się od kaszlu. Potem zauważyła, że zachowuję się nieswojo i spytała, co się stało, a ja opowiedziałam jej o wszystkim.

- Czy zastałam Nitzę? - spytałam. - Miałam nadzieję, że może będzie wiedzieć, co mi dolega.

- Nitza jest w Chile, wróci jutro - powiedziała Dinora. - Ale może ja będę mogła ci pomóc?

Abuela wymamrotała coś pod nosem i Dinora skinęła głową.

- Właśnie miałam to zasugerować - powiedziała, po czym kazała mi się iść wysikać do ubikacji.

Kiedy ją zawołałam, rzuciła tylko jedno spojrzenie na zakrwawioną muszlę i wysłała mnie do szpitala. Chciała mi towarzyszyć, ale odmówiłam. Musiałam sobie udowodnić, że po tych kilku miesiącach spędzonych na Kubie wizyta u lekarza nie będzie dla mnie żadnym problemem, co z kolei pozwoli mi odzyskać wiarę w siebie, którą utraciłam, bezskutecznie próbując znaleźć pracę.

Ku mojemu zaskoczeniu, wyprawa do szpitala Hermanos Ameijeiras - tego samego, w którym odwiedzałam Abuelę, i do którego Dinora jeździła na zastrzyki przeciw migrenie -

okazała się jednym z najłatwiejszych przedsięwzięć, jakich się tu podjęłam. Bałam się, że za wizytę zapłacę majątek (bezpłatna opieka zdrowotna na Kubie nie dotyczy obcokrajowców), będę musiała czekać w długiej kolejce i wypełniać niezliczone papierki, a lekarstwo, które przepisze mi lekarz, będzie dostępne wyłącznie w międzynarodowej aptece na drugim końcu miasta, otwartej w sobie tylko znanych godzinach.

Tymczasem cała wizyta - od wypełnienia formularza do oddania próbki moczu do analizy - trwała niecałą godzinę i kosztowała 50 dolarów. W tej cenie zawierało się również lekarstwo, które odebrałam razem z wynikami badań i diagnozą: miałam zapalenie dróg moczowych.

- Ale dlaczego? To znaczy, wie pan, co mogło ją spowodować? - spytałam lekarza.

- Och - doktor wydawał się głęboko poruszony moją przypadłością. - Mogło być wiele przyczyn, z których najbardziej prawdopodobna to złe warunki higieniczne i zbyt długie wstrzymywanie się z oddawaniem moczu.

Pomyślałam natychmiast o gazecie, którą podcierałam się, kiedy zamknęli sklepy, i o tym, ile razy powstrzymywałam się przed pójściem do publicznej toalety w obawie przed tym, co w niej zastanę. Pamiętałam też, że „przepisana” przez lekarza fikcyjna infekcja dróg moczowych pozwoliła Alfredowi pojechać ze mną do Santiago. Jednak w przeciwieństwie do tamtej sytuacji, tym razem nie było mi absolutnie do śmiechu.

Próbując mnie jakoś pocieszyć, tego samego wieczoru Alfredo zaproponował, żebyśmy poszli posłuchać koncertu fortepianowego Lialne - córki dentystów, u których mieszkałam, w jednej z restauracji w Habana Vieja. Manolo i Damaris zaoferowali się, że podwiozą nas swoim chevroletem rocznik '58, którego dostali od ojca Manola. Od czasu, gdy wyprowadziłam się z hotelu El Bosque, nie korzystaliśmy z Alfredem z samochodu, wybierając się wieczorem do miasta, i przez chwilę radość z takiej perspektywy przysłoniła znużenie, jakie towarzyszyło mi od kilku dni.

Ale później, co zdarzało nam się ostatnio coraz częściej, Alfredo i ja wdaliśmy się w kłótnię, przez którą nie tylko straciłam entuzjazm na cały wieczór, ale spóźniliśmy się też na samochód.

Przygotowując się do wyjścia, kupiłam w sklepie Infanta butelkę przecenionego mydła w płynie. Na łóżku rozłożyłam letnią sukienkę na ramiączkach z brązowo-czarnym, batikowym kwiatowym nadrukiem - moją ulubioną, a jednocześnie jedyną czystą, odkąd zrezygnowałam z prania ubrań w umywalce. Ostrożnie weszłam pod prysznic, unikając jak zwykle strumienia wody, który po włączeniu zmieniał się nagle z letniego we wrzący. Ale kiedy skończyłam się myć w lodowatej wodzie i wyskoczyłam spod prysznica, chcąc sięgnąć



po jedyny zapasowy ręcznik Manola i Damaris, z którego korzystaliśmy wspólnie z Alfredem, nie znalazłam go tam, gdzie zwykle - wiszącego na klamce.

Otworzyłam drzwi do sypialni i zobaczyłam, że ręcznik - zwinięty w kłębek i przemoczony po porannym prysznicu Alfreda - leży przerzucony niedbale przez oparcie krzesła przy łóżku. Gdy wzięłam go do ręki, poczułam zapach pleśni.

- Jak ci się udało tak go przemoczyć? - zwróciłam się z wyrzutem do Alfreda. - I dlaczego nie powiesiłeś go na klamce, tak żeby zdążył wyschnąć, zanim poszłam się kąpać?

- Myślałam, że mówiłaś, że klamka zostawia na ubraniach brudne ślady z rdzy - Alfredo sprawiał wrażenie skrzywdzonego dziecka.

- To tylko ręcznik - powiedziałam, trzęsąc się z zimna; wokół moich stóp zebrała się już spora kałuża wody. - Kto by się przejmował głupim ręcznikiem?

- Więc co ci przeszkadza, że jest trochę wilgotny? - Alfredo dalej nic nie rozumiał. - Nawet gdy go wieszamy, i tak nie wysycha do końca.

- Ale zawsze to lepsze niż wyciskanie go jak gąbki - poczułam, że podnoszę głos, odkładając ręcznik z powrotem na krzesło. - Po pierwsze, to jest obrzydliwe. A po drugie, nie mam już nic, w co mogłabym się wytrzeć, poza tymi ubraniami, które zaraz na siebie włożę.

- Lea, wyluzuj trochę - Alfredo położył mi uspokajająco rękę na ramieniu, po czym podał mi jeden ze swoich t-shirtów, żebym mogła się wytrzeć.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usłyszeliśmy pukanie do drzwi i głos Damaris: - Moi drodzy, nie chcę wam przeszkadzać - w jej głosie usłyszałam zniecierpliwienie - ale musimy naprawdę już jechać. Jesteście gotowi?

Alfredo popatrzył na mnie z wahaniem, a ja odwzajemniłam mu się spojrzeniem pełnym złości. Nie byłam jeszcze gotowa, by zakończyć tę kłótnię. Minęła chwila, po czym Damaris odezwała się znowu: - Może po prostu spotkamy się na koncercie? Będziemy siedzieć z boku.

Kiedy Alfredo wziął mokry ręcznik i poszedł pod prysznic, zastanowiłam się, dlaczego - mimo że zdałam sobie sprawę z absurdalności moich pretensji i usłyszałam we własnym głosie wzbierającą wściekłość - nie powstrzymałam się od wybuchu. Czułam się tak jak wtedy, gdy planując po raz pierwszy zostanie z Alfredem na Kubie, zamiast skreślić z mentalnej listy pytań kolejne punkty dotyczące tego, czy damy sobie radę w USA, wymyśliłam kolejną listę - tym razem składającą się z tego, co mnie drażniło na Kubie. W rzeczywistości obydwie listy sprowadzały się do wytykania osobistych wad Alfreda.

Przypomniałam sobie, jak Alfredo zaczął zostawać u mnie na noc, a Dinora poprosiła mnie któregoś dnia, żebym kazała mu pozbierać włosy, które zostawił pod prysznicem.

Byłam wtedy tak zawstydzona, że nic powiedziałam, tylko posprzątałam wszystko sama.

Teraz wystarczyło, że do szau doprowadzały mnie zdechłe karaluchy w łazience. Dlatego po każdej kąpieli Alfreda sprawdzałam dokładnie, czy nie zostawił gdzieś choćby jednego włoska - a jeśli tak było, miał zakaz wstępu do sypialni, dopóki po sobie nie posprzątał.

- Co ty robiłeś z rękami, zanim urosły ci włosy? - spytałam go kiedyś, widząc, jak nerwowo skręca i szarpie swoje długie dredy. Jego nawyk nie tylko doprowadzał mnie do furii, ale też przekładał się bezpośrednio na liczbę włosów zostawianych przez Alfreda w łazience.

Alfredo przez chwilę zamarł w milczeniu, jakby nie wiedział, czy żartuję, czy mówię poważnie. A potem na jego twarzy zagościł lekki uśmiešek, po czym wyciągnął przed siebie obie ręce i zaczął nimi walić się w piersi, naśladując Tarzana.

Kiedy Damaris powiedziała mi, że razem z Manolem będą siedzieć z boku widowni na koncercie, byłam tak zawstydzona, że dałam się jej przyłapać na tej idiotycznej kłótni, że w ogóle nie zwróciłam uwagi na jej słowa. Ale kiedy razem z Alfredem znalazłam się już w znajdującej się na świeżym powietrzu sali bankietowej restauracji El Patio i zobaczyłam dentystów siedzących na lichych rozkładanych krzeselkach obok kuchni, z dala od stołów rozłożonych z myślą o turystach, niczym grom z jasnego nieba spadło na mnie fundamentalne i dobrze znajome poczucie, że tak być nie powinno.

Wzięliśmy z Alfredem dwa z całej kupy krzeseł ustawionych za dentystami i wspólnie obejrzelśmy dwa przedstawienia - wyćwiczony, pierwszorzędny występ Lialne i jej zespołu oraz show w wykonaniu dewizowych turystów, którzy dostąpili zaszczytu siedzenia w pierwszych rzędach tylko dlatego, że zapłacili za swoje drinki - mojito i daiquiri - dolarami. Gdy w powietrze wzbily się pierwsze upajające dźwięki granej na trąbce melodii El Chan Chan, turyści odsunęli stoliki i zaczęli tańczyć niezręcznie w rytm salsy, podczas gdy cała reszta słuchaczy - w tym i my - z braku miejsca bębniła tylko rękami o uda, podając tempo.

Kiedy spacerowałam ulicami Hawany, szukając pracy w gąszczu agencji, których nazwy składały się niemal wyłącznie ze skrótów - od ICAIC i ICAP po UNEAC i UNESCO - zaczęłam dostrzegać nowe, drażniące szczegóły ulicznego życia.

Spotykani przeze mnie na ulicy mężczyźni, którzy do tej pory zaczepiali mnie - często w sprytny i dowcipny sposób - wymyślając na poczekaniu niewinne preteksty w stylu dwustronnej wymiany językowej czy zaproszeń na pokazy tańców folklorystycznych, teraz ograniczali się już niemal wyłącznie do mniej ambitnych, za to bardziej desperackich prób umówienia się na randkę lub - mówiąc wprost - ułożenia sobie życia z cudzoziemką. Jeden z

nich, mężczyzna w podeszłym wieku z synem starszym ode mnie o dobrych kilka lat, oświadczył mi się przy kiosku z pizzą.

- Wyjdź za mnie, a nie będziesz już musiała oganiać się od tych wszystkich niedojrzałych młokosów - powiedział; resztki tłuszczu imitującego ser spływały mu po policzku. - Zapraszam cię do nas na kolację. Spędź ze mną noc, a zrozumiesz, o czym mówię - dodał, chwytając mnie za ramię.

Wyrwałam się z uścisku starca i z wyrzutem popatrzyłam na jego syna, który zrewanżował mi się przepraszającym, pełnym współczucia spojrzeniem.

Następnego dnia, kiedy przechodziłam obok Muzeum Napoleona, nieopodal domu, w którym mieszkałam, jakiś mężczyzna w mniej więcej moim wieku zawołał: - Zawsze chciałem ożenić się z Hiszpanką!

- Nie jestem Hiszpanką - odgryzłam mu się i - unikając dobrze mi znanej gry: Italia? Argentina? Inglaterra? - dodałam szybko: - Pochodzę ze Stanów Zjednoczonych.

- A, z USA - mężczyzna był podekscytowany. - W takim razie daj mi tylko parę dolarów.

W kolejnych dniach proszono mnie o chleb (grupka dzieciaków przy Callejón de Hamel), oliwę do smażenia (starszy facet przed delikatesami w San Lázaro) i lekarstwa (matka na Malecónie, której syn cierpiał na chorobę o niezrozumiałej dla mnie nazwie).

Którejś nocy, kiedy mijaliśmy z Alfredem Teatr Narodowy, zauważyłam kilka osób leżących na ziemi na wznak i wpatrujących się w niebo. Zaczęłam się już zastanawiać, czy aby tego dnia nie zapowiadali jakiegoś interesującego zjawiska meteorologicznego - może nawet zaćmienia, o którym nic nie wiedziałam. Ale gdy poniosłam głowę i spojrzałam w niebo, zobaczyłam tylko gwiazdy.

- Jak myślisz, w co oni się tak wpatrują? - spytałam Alfreda. Wszyscy ci ludzie leżeli osobno, jak gdyby każdy z nich tworzył odrębną część pewnej gwiazdnej konstelacji.

- Przyjrzyj im się dobrze - odparł na to Alfredo.

Zmrużyłam oczy, ale w dalszym ciągu nie zauważyłam nic wyjątkowego.

- Oni nie patrzą w żaden określony punkt - Alfredo odezwał się po chwili. - Po prostu śpią. No tienen casar.

- Jesteś pewien? - zdziwiłam się. - Nigdy wcześniej nie widziałam bezdomnych na Kubie. Nie rozumiem tego.

- Es Cuba - zamiast odpowiedzi Alfredo wzruszył, jak zwykle, ramionami.

Spokój, z jakim to powiedział, i jego reakcja na całą tę sytuację zmusiły mnie do zastanowienia, ilu takich bezdomnych wzięłam wcześniej za miłośników astrologii. I które z

rzeczy, które dopiero teraz zauważałam, były tak naprawdę nowe. Przypomniałam sobie, jak opowiedziałam Alfredowi o martwym psie, rozkładającym się na środku ulicy - wtedy też wydał się tym kompletnie niewzruszony.

- Wciąż je widuję - machnął ręką z lekceważeniem. - Nie dalej jak wczoraj minąłem jednego leżącego na ławce przy El Prado.

Próbowałam pocieszyć się myślą, że to, czego byłam tu świadkiem, i tak miało się nijak do sytuacji społecznej w innych krajach Ameryki Łacińskiej, które odwiedziłam wcześniej. Nawet w Stanach Zjednoczonych, choć nigdy nie widziałam na ulicy zdechłego psa, bardzo często spotykałam wychudzonych, przerażających ludzi - żebraków proszących o pieniądze czy jedzenie i - zwłaszcza przy wylotach z autostrad - dużo więcej bezdomnych niż tu, pod hawańskim Teatrem Narodowym.

Mimo to nie potrafiłam jednak wymazać z pamięci scen, których świadkiem byłam w ciągu ostatnich kilku dni, ani wyrzucić z głowy dręczącego mnie pytania: dlaczego dopiero teraz, po pięciu miesiącach spędzonych na Kubie, nagle zaczęłam dostrzegać smutniejszą, ciemniejszą stronę wyspy?

Próbując odpowiedzieć sobie na to pytanie, doszłam do wniosku, że wiem już też, co odpowiedzieć tym ludziom, którzy nieustannie pytali mnie, co zmieniło się na Kubie podczas mojej nieobecności. Podczas gdy wcześniej odrzucałam, przymykałam oko lub w inny pokretny sposób tłumaczyłam sobie sytuacje, które spotykały mnie na różnych etapach mojej kubańskiej przygody, tak teraz przestałam to robić. Podobnie jak w przypadku Dinory, zajęło mi trochę czasu, zanim zdołałam - i zechciałam - poznać prawdę.

Tak naprawdę nic się na Kubie nie zmieniło. Zmienił się za to mój stosunek do tego kraju - od bujającego w obłokach podróżnika do stąpającego twardo po ziemi mieszkańca. Przemiana ta następowała stopniowo i delikatnie - niczym morska bryza wkradająca się niezauważenie w stojące, duszne powietrze.

W połowie listopada huraganowe wiatry, które towarzyszyły mi od powrotu na wyspę, ustąpiły z powrotem miejsca fali upałów, podobnej do tych, które nawiedzały Kubę w okresie przed moim wyjazdem w czerwcu. Wiezorami zbierały się wprawdzie chmury, po to jednak tylko, aby sprawić wrażenie iluzji, że za chwilę spadnie na nas - spacerujących po Malecó-nie - rzęsy deszcz.

Jednego wieczoru, kiedy zaczynaliśmy właśnie przechadzkę nadmorską promenadą, Alfredo odwrócił się do mnie i spytał:

- Powiedz mi, Lea, tak szczerze, czy ty lubisz Kubę?

Przez ostatnią godzinę ślęczeliśmy nad zadaniem domowym Alfreda z angielskiego,

pograżając się w dyskusji o zdaniach imiesłowowych i źle użytych rzeczownikach. Być może dlatego to niespodziewane pytanie, które padło z jego ust, zupełnie zbiło mnie z tropu. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- O co właściwie ci chodzi? - wykrztusiłam z siebie w końcu. Tego rodzaju pytania spodziewałabym się raczej od nowo poznanego znajomego, z którym ucięłabym sobie niezobowiązującą pogawędkę, albo jakiegoś jinetero, który chciał naciągnąć mnie na ulicy, ale na pewno nie od mojego kubańskiego chłopaka, z którym byłam już prawie pół roku. - Dlaczego teraz mnie o to pytasz?

- Lea, no te pongas molesta, nie złość się - Alfredo bezbłędnie wyczuł wzbierającą we mnie irytację. - Es que, el otro día, un socio me preguntó, któregoś dnia kolega mnie zapytał: „Czy twojej dziewczynie podoba się na Kubie?”. Poza tym, przecież po to tu przyjechałaś, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym kraju. I z początku, zanim mnie poznałaś, zostałam tu tylko dlatego, że ci się spodobało. Pomyślałam więc sobie - Alfredo przerwał na chwilę - że wróciłaś tu z obydwu powodów. Ale ostatnio nie jestem już tego taki pewny. I prawdę mówiąc, nie wiem, co mam odpowiedzieć przyjacielowi.

- To znaczy? - gorączkowo szukałam w głowie czegoś, co ostatnio zrobiłam lub powiedziałam, co kazało mu tak sądzić.

- Chodzi ci o ten żart z racjonowaniem mydła? - spytałam, przypominając sobie, jak użyłam pretekstu zbyt częstego korzystania z prysznicy przez Alfreda do wyrażenia negatywnej opinii na temat nagłego zamknięcia delikatesów i - w efekcie - całej sytuacji na Kubie.

- Nie - odparł Alfredo. - No, może trochę. W każdym razie nie tylko o to. Zawsze na coś narzekasz - a to na pluskowy gryzące cię w łóżku, a to na spryskiwanie, upał, głód, przerwy w dostawie prądu...

- Wszyscy wiedzą, jak bardzo kocham Kubę - przerwałam mu, czując się jednocześnie zdradzona przez to, że dzieliłam się z nim moimi krytycznymi uwagami, i zaskoczona tym, jak wiele faktycznie ich było. - Myślę, że gdybyś spytał kogokolwiek z moich znajomych w Stanach, nawet tych, z którymi utrzymuję bardzo przelotne kontakty, powiedzieliby ci, że mam na punkcie Kuby obsesję - kontynuowałam. - Kiedy wróciłam do domu, opowiadałam wszystkim, że poznałam Kubę i zrozumiałam Rewolucję. Poznałam ludzi, którzy nie wiedzieli, że jest tutaj bezpłatna opieka zdrowotna i to ja im o tym opowiedziałam. Wszędzie nosiłam ze sobą album ze zdjęciami. Przeczytałam nawet autobiografię Fidela Castro, napisaną drobnym maczkiem na 700 stronach. I nie chcę cię w żaden sposób dotknąć, ale mylisz się, jeśli uważasz, że jestem tu tylko z twojego powodu. Gdybym nie lubiła Kuby, nie

zadałabym sobie tyle trudu, żeby tu zostać i szukać pracy.

Ku mojemu zaskoczeniu, Alfredo w odpowiedzi na mój wybuch złości tylko się uśmiechnął. Gdy przyjrzałam mu się bliżej, zobaczyłam, że był to raczej uśmieszek, nie uśmiech, jak gdyby podobała mu się moja pasja, ale nie do końca ją kupił.

- Kubańczycy też przecież narzekają - spróbowałam z innej strony. - Dinora, której mąż jest szefem KOR-u. I twoja babcia, która na drzwiach domu ma tabliczkę CREEMOS EN LA REVOLUCIÓN. Nawet ty, który walczyłbyś w obronie kraju przed inwazją USA, też często to robisz. Dlaczego ja nie miałabym ponarzekać trochę na wyspę, a jednocześnie nadal ją kochać?

Alfredo przyjrzał się uważnie pęknięciu w chodniku, zanim odpowiedział.

- Myślę, że to dlatego - powiedział z namysłem, ostrożnie dobierając słowa - że nie jesteś Kubanką.

- O, nie! - westchnęłam. - Tylko nie to!

Alfredo wybuchnął śmiechem.

- Chodziło mi o to, że gdy Kubańczycy narzekają, robią to tak, jakby narzekanie mieli we krwi. Za to twoje skargi mają bardzo niecierpliwy charakter. Są tak śmiertelnie poważne, jakbyś krytykując coś, miała nadzieję to zmienić. Przez to, że noszą w sobie ten element możliwości spełnienia, stają się bardziej intensywne. Tego nie ma w ogóle w narzekaniu nas, Kubańczyków. Myślę, że pozwalasz sobie na tę złość, bo nie pochodzisz stąd. Bo wiesz - zakończył swój wywód - że w każdej chwili możesz stąd wyjechać.

Pomimo słów, które znalazły się w finale, było nie było, elokwentnego wyводу Alfreda, obiecałam sobie, wyruszając po raz kolejny na poszukiwanie pracy, że nie wezmę w ogóle pod uwagę wyjazdu z Kuby, dopóki nie wyczerpię wszystkich możliwości. Jedną z nich miałam właśnie przed sobą. Kiedy dowiadywałam się o możliwość pracy w Kubańskim Instytucie Przyjaźni Między Narodami, kobieta, z którą rozmawiałam, zasugerowała mi, żebym wzięła udział w organizowanym przez Instytut Światowym Kongresie Przyjaźni i Solidarności. Kongres ten odbywał się w formie pięciodniowej konferencji w Teatrze Karola Marksa - lub Teatro Carlo Mar, jak nazywali go Kubańczycy.

- Będzie pani miała okazję poznać pisarzy i tłumaczy z całego świata - powiedziała. - I może nawet, jeśli dobrze się pani rozejrzy, znajdzie pani kogoś, kto chciałby zatrudnić na miejscu tłumacza.

W pierwszym dniu konferencji przez Teatr Miramar przewinęły się blisko cztery tysiące ludzi. Ich głośne, niecierpliwie rozmowy odbijały się głośnym echem w całym gmachu. Usiadłam obok starszego, dystyngowanego jegomościa w garniturze, planując

zacząć nawiązywanie nowych kontaktów właśnie od niego. Ale po krótkiej, choć intensywnej lekcji pantomimy okazało się, że mężczyzna nie mówi ani po hiszpańsku, ani po angielsku, lecz w sobie tylko znanym języku, który nawet pokazał mi w trzymanym przez siebie programie konferencji. Podobnie jak inni niemówiący po hiszpańsku uczestnicy konferencji, przechadzał się po teatralnym foyer ze słuchawkami na uszach, tak żeby nie uronić ani słowa z tłumaczonych rozmów. Gdy chwilę później obrzuciłam spojrzeniem cały teatr, zobaczyłam, że większość gości siedzi w skupieniu, ściskając w dłoniach okazjonalne długopisy Kubańskiej Solidarności, gotowi w każdej chwili zapisać najistotniejsze wnioski w oficjalnych konferencyjnych notesach. Pod fotelami mieli schowane przezroczyste plastikowe torby, w których każdy z nich otrzymał zestaw gadżetów - plakat i koszulkę.

To była największa i najbardziej profesjonalnie przygotowana impreza masowa na Kubie, której byłam świadkiem. Kiedy na mównicę wszedł konferansjer, by dokonać oficjalnego otwarcia konferencji, wokół poczułam szmer podniecenia, który udzielił się także i mnie.

W czasie pierwszej godziny dowiedziałam się, że spośród 130 krajów biorących udział w kongresie, najliczniejszą delegację przysłały... Stany Zjednoczone. Dowiedziałam się również, że tego dnia przypadała 25. rocznica uzyskania - przy wydatnej pomocy bratniej Kuby - niepodległości przez Angolę. Kolejną wartą odnotowania informacją było to, że tylko Izrael i pozostające pod zwierzchnictwem USA Wyspy Marshalla poparły amerykańskie embargo wymierzone w Kubę. Przez kolejne dwie godziny, jakie zostały do lunchu, słyszałam jedynie niezliczone wariacje na temat wyżej wymienionych sensacji, powtarzane przez kolejne delegacje we wszystkich językach świata.

Kiedy poszczególni prelegenci schodzili ze sceny w asyście gromkich owacji, zęgały ich głośnie okrzyki: Patria o muerte! lub Cuba sí, bloqueo no!, powtarzane niczym refren popularnej piosenki w całym teatrze.

Podczas obiadu zaczęłam odczuwać klaustrofobię. Nawet gdy siedziałam na świeżym powietrzu, na ławce z widokiem na Morze Karaibskie, cały czas otaczało mnie kilka tysięcy uczestników spotkania, którzy przeważnie witali się, powtarzając jak mantrę zasłyszane przed południem rewolucyjne hasła.

W czasie popołudniowej sesji cierpiałam już na serio, gry-zmoląc w zeszycie między kolejnymi przemówieniami i starając się zapamiętać jak najwięcej nowych informacji w ich trakcie. Kiedy pierwszy dzień kongresu dobiegł końca i wstałam wreszcie, żeby wyjść, zobaczyłam, że siedzący obok mnie mężczyzna zapadł w błogi sen.

Następnego dnia nie udało mi się już dotrzeć nawet do obiadu. W pewnym momencie

zajrzałam do zeszytu i zorientowałam się, że jedyne, czego się dzisiaj dowiedziałam, to to, że Stany Zjednoczone wydają każdego roku na kosmetyki więcej niż jakiegokolwiek inne państwo na świecie. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, wychodząc z teatru, był chóralny śpiew: Que viva Cuba!, na który widownia zareagowała nie mniej entuzjastycznym Que viva Fidel!

Kiedy zanurzyłam się w błogą ciszę panującą na sennych ulicach Miramaru, zaskoczył mnie zupełnie panujący wokół bezruch. W oddali usłyszałam jedynie leniwie rozbryzgujące się o brzeg fale Morza Karaibskiego i ruszyłam w tamtym kierunku. Podeszłam i usiadłam na pokrytej bliznami niczym po ospie cementowej ławce nad samym brzegiem. Kilka osób brodziło w słonawej wodzie, większość jednak po prostu siedziała beczynn timer, wpatrując się w dal.

Kiedy wyjęłam z plecaka mój dziennik, żeby zapisać w nim kilka nowych myśli, poczułam na twarzy ciepłą bryzę. Zdażyłam jedynie zapisać datę i miejsce, po czym długopis Kubańskiej Solidarności, który od początku kiepsko pisał, teraz zwyczajnie wysechł.

Skupiłam więc uwagę na morzu i gdy obserwowałam cofające się fale, moje myśli także uciekały wstecz. Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Alfredem przed konferencją, w której zapytał mnie o mój stosunek do Kuby. Zamiast przybrać postawę obronn timer, tak jak to zrobiłam wtedy, czułam teraz błog timer ulgę. Jak gdyby Alfredo, zadając mi to pytanie, dał mi pewne przyzwolenie, z którego wtedy zrezygnowałam - mówić głośno o tym, że denerwuje mnie sytuacja panująca na Kubie. Jego niewinne pytanie otworzyło puszkę Pandory mojego niezadowolenia. Teraz, nie mając pod ręk timer drugiego długopisu, by zapisać targające mn timer uczucia, ani nikogo, z kim mogłabym się nimi podzielić, nuciłam cich timer pieśń tęsknoty, która ginęła gdzieś w morzu.

Tęskniłam za tym, by móc wyjść z domu bez grubej warstwy tłustego filtra przeciwsłonecznego. I żeby nie trzeba było iść półtora kilometra po to, żeby kupić chleb, znaleźć kosz na śmieci czy sklep, w którym sprzedają mydło (i żeby jeszcze mieli je akurat na składzie). Marzyłam o życiu bez ciekającej lodówki i samochodów zatruwających powietrze oparami taniej ropy. Chciałabym zrobić pranie w normalnej, działającej pralce, zjeść burrito i skorzystać z telefonu bez sąsiada na linii, który co chwila podnosi słuchawkę.

Wstydziłam się sama swoich małych zachcianek, dzięki którym czułam się jak typowa „amerykańska imperialistka” - nieprzystosowana do jakichkolwiek zmian, której zależy tylko na tym, co łatwe. Ale górę brało zmęczenie, i to z powodu dużo ważniejszych spraw. Byłam zmęczona nawracającymi chorobami, bałam się spadających na głowę szyldów i oberwanych dachów. Miałam dość bezustannego chronienia się latem przed upałem w cieniu balkonów i unikania ich w porze huraganów. Męczyło mnie szukanie dostępu do internetu, za



pośrednictwem którego mogłabym wysyłać moje teksty wydawcom w Stanach. Wreszcie, miałam poczucie, że moje życie na Kubie, jeśli nie toczy się w zwolnionym tempie, to na pewno jest dużo bardziej pasywne niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy odwiedziłam hotel Nacional po raz ostatni, internet już działał. Sprawdziłam pocztę i znalazłam w niej wiadomość od znajomej redaktorki, która informowała mnie, że rozkręca nowy magazyn i szuka dziennikarki do pomocy. W skrzynce była też druga ważna wiadomość - jury konkursu literackiego, na który nadesłałam jeden ze swoich artykułów, dopuściło mnie do kolejnego etapu. Te dwa maile, mimo iż żaden z nich nie gwarantował przyszłego zatrudnienia czy też publikacji, dały mi najwspanialsze nadzieje na przyszłość od czasu, gdy podjęłam decyzję o pozostaniu na Kubie, gdzie nowe magazyny nie powstawały ot, tak sobie, a z kilku istniejących konkursów literackich wszystkie były sponsorowane przez państwo.

W głowie kołatała mi się jeszcze jedna myśl, przypominając o czymś, co Alfredo powiedział mi tej samej nocy, kiedy wypomniał mi moje narzekanie - o tym, że nie jestem Kubanką. Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę wszystko sprowadzało się do nieśmiertelnego powiedzenia Es Cuba, z tą jednak różnicą, że Kubańczycy, posługując się nim, brali w cudzysłów swoje narzekanie, podczas gdy ja tylko narzekałam. Brakowało mi tego kubańskiego dystansu i racjonalizmu - narodowego talentu do akceptowania sprzeczności. Zastanawiałam się, kiedy Es Cuba straciło swój komiczny wydźwięk i stało się pospolitym wykrętem.

Wiedziałam, że Alfredo miał rację, mówiąc, że Kubańczycy narzekają w ten sposób, gdyż jest to ich jedyna droga ucieczki przed prawdziwą frustracją. Ja natomiast nie potrafiłam wyzbyć się swojej - właściwej dla większości cudzoziemców - nerwowości. Mimo że w tej chwili nie wyróżniałam się niczym z grupki Kubańczyków zapatrzonych w horyzont, jak pełen nadziei balsero, wyznaczając w głowie trasę niewidzialnego metra, które lada moment wyjedzie spod powierzchni morza, by mnie stąd zabrać. Przypominałam sobie chwilę, w której patrzyłam tak po raz ostatni - chwilę, którą za wszelką cenę starałam się wymazać z pamięci.

Ostatniego dnia u Dinory wspięłam się na dach, żeby zabrać ziarenka kawy z Trinidadu, które wspólnie z Alfredem suszyliśmy na słońcu. Horyzont widziany z tej wysokości, tak jak i ten teraz, wydawał się nie mieć końca. Na każdym dachu stali ludzie, którzy tak jak ja wpatrywali się w dal, przypominając mi o ćwiczeniach, które zalecił mi kiedyś okulista co 20 minut spędzonych przed komputerem. Ale wiedziałam, że żaden z tych ludzi nie potrafi posługiwać się komputerem i kiedy rozejrzałam się wokół, po chwili zdałam

sobie sprawę, że nie tylko ja przyglądam się im, ale i oni mnie. Patrzyli na mnie jak na jedną z nich, pogrążoną w tym samym bezruchu, letargu i bezładzie, tęskniącą za czymś nieokreślonym. Ta świadomość przeraziła mnie.

## Rozdział XXX

### Pożegnanie z Kubą

Kiedy wróciłam wcześniej do domu i powiedziałam Alfredowi, że chcę wracać do Stanów, papaja, którą właśnie kroił na plasterki na metalowym kuchennym blacie, wypadła mu z rąk na podłogę, obryzgując sokiem jego bose stopy.

- Pinga, cojones! - zaklął, cofając się o krok, po czym obrócił się w moją stronę - na jego twarzy złość mieszała się z rozterką.

- Wściekasz się na mnie czy na swoją fruta bomba? - zażartowałam.

- Na fruta bomba - odparł Alfredo; grymas na jego twarzy zelżał, kiedy się roześmiał.

- Nie sądziłem, że to się stanie tak szybko, ale znam cię już na tyle dobrze, że miałem pewne podejrzenia.

Patrzyłam na niego, marszcząc ze zdumienia czoło. Powiedziałam Alfredowi, że wyjeżdżam, ponieważ - po konferencji solidarnościowej - w końcu dojrzałam do tej decyzji. Byłam gotowa wrócić do domu i zająć się na miejscu moją karierą pisarską. Uzmysłowiłam sobie wreszcie, że moja wcześniejsza decyzja o pozostaniu na Kubie została podjęta z dwóch powodów: naszej znajomości życia na Kubie i obawy przed tym, że nie damy sobie rady jako para w USA. W końcu, sfrustrowana niemożnością znalezienia pracy i tym wszystkim, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich tygodni, postanowiłam przełamać strach i dać szansę naszemu związkowi także poza Kubą.

Jednak mimo że nie miałam już wątpliwości co do słuszności podjętej przeze mnie decyzji, spodziewałam się, że Alfredo będzie przynajmniej lekko zszokowany moim wcześniejszym wyjazdem i wyniknie z tego co najmniej mała awantura. W końcu planowaliśmy spędzić wspólnie Nowy Rok na wyspie. Alfredo zdradził mi nawet, że ma dla mnie niespodziankę - specjalne miejsce, w którym mieliśmy świętować z tej okazji.

- Źle się czułem po tym, jak spytałem cię, czy lubisz Kubę, więc nie chciałem już nic mówić - wyjaśnił, widząc moje zdziwienie. - Ale widziałem twoją rosnącą frustrację. I wiedziałem, że któregoś dnia po prostu powiesz sobie: dość!

- Jesteś rozczarowany? - spytałam.

- Oczywiście - skinął głową. - Wciąż trzymałem się tej nadziei, ale uważałem też, że tę decyzję powinnaś podjąć sama. Sama przyznałaś, że nie jesteś tu tylko z mojego powodu. Nie możesz tu zostać, bo ja tak chcę. Zwłaszcza - dodał, rzucając mi znajome spojrzenie - gdybyś, zostając tu, miała być dla mnie niemiła.

- Zawsze byłam dla ciebie miła - wyrwało mi się.

- Eeee! - Alfredo podniósł głos, chwytając wymyślony ręcznik i podając mi go. -  
Gdy się nim wycierasz, ręcznik jest cały mokry.

Wybuchnęłam głośnym śmiechem i po chwili oboje ocieraliśmy łzy z twarzy.

- A co z twoimi warsztatami pisarskimi? - spytał, kiedy złapał już oddech, a ja zreflektowałam się, że koncentrując się na poszukiwaniu pracy, prawie zapomniałam o prawdziwym powodzie, dla którego zaczęłam za nią chodzić.

- Wygląda na to, że nic z tego nie będzie - wzruszyłam ramionami.

- W porządku, czyli wracamy do naszych pierwotnych planów - powiedział Alfredo, oddychając powoli. - Poczekamy na decyzję w sprawie wize, a w międzyczasie będziemy do siebie dzwonić tak często, jak się da. Jakoś wcześniej dawaliśmy sobie radę, prawda? Często bez telefonu czy maila, pamiętasz? A teraz nasze uczucie jest dużo silniejsze, więc tym razem powinno być jeszcze łatwiej.

Przez chwilę stałam jak wryta, pod wrażeniem jego przemowy.

- Ćwiczyłeś to wcześniej przed lustrem, czy co? - spytałam.

- Nie - uśmiechnął się. - Ale mam rację, prawda?

Skinęłam głową.

- Więc - spuścił gwałtownie wzrok - nie musisz jeszcze wyjeżdżać w tym tygodniu, co?

- Nie, ale za tydzień moja wiza traci ważność. Muszę wyjechać najpóźniej w przyszłą środę.

- Idealnie - ucieszył się. - W takim razie będę mógł cię zabrać w to specjalne miejsce, do którego mieliśmy pojechać w Nowy Rok.

- Będzie nam do tego potrzebny akt małżeństwa? - spytałam.

- Nie, nie jedziemy do Trinidadu. To będą kubańskie wakacje - powiedział rozbawiony moim żartem, a potem dodał już poważnym tonem: - Kubańskie pożegnanie.

Alfredo, który nie przepadał za spotkaniami w dużych grupach, zaskoczył mnie, zapraszając na nasze kubańskie pożegnanie wszystkich moich przyjaciół, których poznałam w Hawanie. Na liście gości znalazła się Ludmiła i - to chyba efekt długich rozmów Alfreda ze Skandynawkami o tym, że chciałyby pojechać kiedyś z nami na wycieczkę - Kajsa (która zajmowała obecnie naszą sypialnię u Dinory), Mielikki oraz Dunki, a także Niemiec i Szwajcarka, którzy zajęli ich miejsce.

- Wybierzcie się z nami na kubańskie wakacje - usilnie prosił każdego z nich; jego głos rozbrzmiewał taką radością, że przypominał mi jednego z tych żarliwych

telemarketerów, zostawiających mi na automatycznej sekretarce wiadomość o darmowej wycieczce do Disney World, którą właśnie wygrałam.

Z całego zaproszonego grona jedynie Niemiec i Szwajcarka zgłosili chęć uczestnictwa w tajemniczej wyprawie, której celu Alfredo za żadne skarby nie chciał zdradzić przed wyjazdem. Już będąc w pociągu powiedział nam, że jedziemy w kierunku Varadero. Zamiast uspokoić tym moją ciekawość, zapragnęłam dowiedzieć się jeszcze więcej, ponieważ Varadero to była ta plaża, o której śpiewał Frank Delgado - niegdyś tłumnie odwiedzana przez Kubańczyków, a obecnie dostępna wyłącznie dla turystów.

- Myślałam, że Kubańczycy nie spędzają już wakacji, bo nie ma na wyspie miejsca, do którego mogliby pojechać - zagadnęłam Alfreda, kiedy pociąg zatrzymał się z piskiem w szczerym polu, a konduktor wyprosił wszystkich na zewnątrz, informując nas, że za godzinę przyjedzie autobus, którym będziemy kontynuować dalszą podróż.

- Większość mieszkańców Kuby faktycznie nie jeździ na wakacje, bo musi się borykać ze zbyt wieloma problemami w domu - powiedział Alfredo. - Ale jest jeszcze kilka miejsc, w których wolno im przebywać, jeśli tylko zdołają do nich dotrzeć. Czy to ma dla ciebie sens?

- Trochę tak - odparłam. Na drugim końcu pola zza palm wychynęła nagle krowa, która zaczęła dumnie kroczyć naprzód w wysokiej trawie, niespecjalnie zainteresowana ludźmi, którzy wtargnęli na jej pastwisko. - Gdzie dokładnie jedziemy?

- Na campismo - odparł Alfredo. - Wiesz, co to jest?

Pokręciłam głową.

- Aha! - Alfredo zawołał triumfalnie, jak gdyby właśnie odpowiedział na ostatnie pytanie w finale teleturnieju. - Wiedziałem, że cię zaskoczę. Wątpię, żeby było o tym coś napisane w twoim amerykańskim przewodniku. Są tam domki kempingowe zbudowane po zakończeniu Rewolucji z myślą o Kubańczykach, żeby mieli niedrogie miejsce, w którym mogą spędzać wakacje. Będąc małym chłopcem, byłem raz na campismo w Peñas Blancas, do którego właśnie jedziemy - kontynuował.

- Wybraliśmy się tam z moim tatą i siostrą zaraz po tym, jak rodzice się rozwiedli. Za nic w świecie nie potrafię sobie jednak przypomnieć, co tam robiliśmy... - przerwał, szukając gorączkowo w pamięci. - Pamiętam za to - rozmarzył się po chwili - że było tam jak w raj.

W autobusie do Peñas Blancas Niko i Petra chcieli zwrócić pieniądze za bilety i pobyt na kempingu Alfredowi, który za wszystko zapłacił z góry. Ale Alfredo machnął tylko ręką.

- Właśnie dostałem wypłatę, a poza tym - dodał z dumą - to ja was tu zaprosiłem. W mieście cudzoziemcy zapraszają nas do pubów i klubów, w których płaci się dolarami, ale na

campismo wszystkich obowiązują ceny w pesos. Tutaj jesteście moimi gośćmi.

Kiedy nasz autobus zjechał w dół krętą drogą, odkrywając przed nami zielone trawniki, błękitne niebo i małe domki rozrzucone nad turkusowym brzegiem i granatowym morzem w oddali, natychmiast zrozumiałam, co Alfredo miał na myśli, mówiąc o raju i wybaczyłam mu telemarketingowy entuzjazm.

Po plaży galopowały swobodnie dwa siwe konie, a piaszczystymi uliczkami między palmami przechadzały się kubańskie pary. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, Alfredo rozłożył ręce i z dumą ogłosił: - Bienvenidos a Penas Blancas.

- Jak tu pięknie - powiedziała Petra.

- Dziękuję - odparł Alfredo, a jego głos zabrzmiał tak, jakby sam stworzył ten krajobraz.

W drodze do naszych domków Alfredo opowiedział nam historię tego miejsca.

- Zbudowali je Rosjanie, ale - jak pewnie zauważyliście - są dużo mniejsze i ładniejsze niż postsowieckie budynki w Hawanie. Domki, które dla nas zarezerwowałem, znajdują się bliżej plaży, ale nieco na uboczu. Większość ma wspólne sanitariaty na zewnątrz, ale ja wybrałem takie z własnymi łazienkami - najładniejsze.

Ale kiedy Alfredo otworzył drzwi do naszego domku, z mrocznego wnętrza buchnął zatechły smród kanalizacji. Poza uspokajającą niebieską fasadą, całość została postawiona ze zwykłych, szarych pustaków. Alfredo włączył światło - samotną, nieoprawioną żarówkę zwisającą z sufitu, rzucającą blade światło na bezkształtny materac bez pościeli, który leżał w kącie na betonowej podłodze.

Poza koślawym piętrowym łóżkiem stojącym pod ścianą, w pokoju nie było nic więcej. Poczułam, jak entuzjazm uchodzi ze mnie jak z przebitej opony.

- Może dali nam zły domek? Może ten jest akurat remontowany? - zwróciłam się do Alfreda. - Nie widzę nawet łazienki.

- Ja też nie - powiedział, wchodząc do środka, podczas gdy ja na wszelki wypadek zostałam na progu.

- Minęło dobre dwadzieścia lat, odkąd tu byłem - głos Alfreda zabrzmiał usprawiedliwiająco gdzieś z wnętrza kempingu-

Kilka minut później zobaczyłam jego niewyraźną postać stojącą w przeciwległym kącie pokoju i usłyszałam głos: - Tu jest chyba łazienka. Wyczuwam klamkę.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi, krótki błysk, potem stłumione westchnięcie i równie głośny trzask, gdy zamknął drzwi.

- Co się stało? - spytałam, nie ruszając się z bezpiecznego miejsca. - To nie była

łazienka?

- Niestety, była - Alfredo wyszedł na słońce. Podszedł do mnie, objął mnie ramieniem i powiedział: - Myślę, że i tak spędzimy tu miło czas, ale chyba lepiej, jeśli po prostu wykapiemy się w morzu.

W Penas Blancas spędziliśmy trzy dni, pływając co rano w morzu albo po prostu unosząc się na wodzie i nadając chmurom nazwy różnych zwierząt. Popołudniami spacerowaliśmy po plaży, mijając wyrzucone na brzeg aguas malas - meduzy jarzące się niebieskim, neonowym blaskiem, które zalegały na plaży jak przebite balony. Pisałam dziennik i czytałam pod wielką palmą, podczas gdy Alfredo ujeżdżał na oklep na wpół dzikie konie, którymi tak zachwyciłam się po przyjeździe.

Później ustawialiśmy się w długiej kolejce do budki z jedzeniem, która od czwartej do piątej po południu serwowała risotto z kurczakiem i lody sorbetowe o smaku mango. Nie było żadnych talerzy, serwetek ani sztućców, więc jedliśmy z Alfredem wprost z przetłuszczonych, plastikowych toreb na wynos. Kupiłam trochę pomidorów, które przywieźliśmy ze sobą, pokroiłam widelcem pożyczonym od dentystów i wrzuciłam je do ryżu, w którym kurczaka było jak na lekarstwo.

Wieczorami siadaliśmy razem z Petrą i Nikiem oraz Ku-bańczykami z sąsiednich domków przy wspólnym stole na zewnątrz. Piliśmy rum prosto z butelek i przy nikłej poświacie, jaką rzucała żarówka przy schodach do naszego kempingu, graliśmy w domino. Za nami szumiało Morze Karaibskie.

Ostatniego dnia, gdy słońce i księżyc miały się w swojej wędrówce po niebie, schodziliśmy we dwójkę z zalesionej góry, na którą wspięliśmy się po południu. Na szczycie byliśmy świadkami całkowitego zaćmienia, spowodowanego wyłączeniem prądu w całym Penas Blancas. Przez chwilę światła w kempingach zamigotały niewyraźnie, po czym zapadła zupełna ciemność i cisza, przerywana jedynie salwami przekleństw: cono! i candela!

Kiedy dotarliśmy na dół, prowadzeni ostatnimi promieniami słońca i bladym światłem wschodzącego księżyca, na kempingu panowała już błoga cisza i spokój.

Otworzyłam drzwi. Weszliśmy do pogrążonej w mroku ciemnej klitki i usiedliśmy w milczeniu na materacu, napawając się ciszą. Przyzwyczaiałam się do zasypiania przy dźwiękach salsy, którą słyszałam już tyle razy z magnetofonów naszych sąsiadów, wtulona w muskularne ramię Alfreda, które bez słowa podsuwał mi zamiast poduszki. Dzisiaj mogłam jedynie wsłuchiwać się w świst wiatru uderzającego o pokryty blachą dach, czując na sobie nieoczekiwany dotyk ręki Alfreda, który przesuwiał ją po całym moim ciele, szukając mojej dłoni.

- O czym myślisz? - zapytał, kiedy nasze dłonie w końcu się odnalazły.

- O powrocie - odpowiedziałam, choć nie do końca była to prawda. Myślałam raczej o tym, jak trudny do wyobrażenia jest ten powrót. Wydawało mi się to czystym surrealizmem i napawało mnie smutkiem, że za niecałe 60 godzin będę w samolocie odlatującym z Kuby, a za mniej niż 70 godzin znajdę się w Kalifornii - w świecie diametralnie różnym od tego, nie wiedząc, kiedy ani czy w ogóle Alfredo i ja się jeszcze zobaczymy.

- Ja też o tym myślałem - Alfredo powiedział delikatnym głosem. - I chciałem o tym z tobą porozmawiać - przerwał w tym miejscu; nie wiedziałam, czy ma otwarte oczy, czy może wolał je zamknąć, by być sam na sam ze swoimi myślami.

- Co zrobisz, jeśli nie będzie żadnych wieści w sprawie wizy? - spytał po dłuższej chwili.

- W jednym z formularzy było wyraźnie napisane, żeby nie dzwonić przed upływem ostatecznego terminu rozpatrzenia wniosku - odparłam. - Więc chyba jedyne, co możemy zrobić, to zacząć przygotowywać się, zakładając z góry, że decyzja będzie pozytywna.

- Spróbuję uczyć się więcej angielskiego - zadeklarował Alfredo. - Może wezmę w tygodniu dodatkową lekcję. I poproszę szefa o list polecający z filharmonii. Może zna kogoś w San Francisco, komu może się przydać oświeceniowiec.

Natychmiast przypomniałam sobie o moim dawnym strachu przed zniszczeniem czarno-białego obrazu świata Alfreda i wrzuceniu go na głęboką wodę kapitalistycznego życia. Poczulałam nagły przyptyw nadopiekuńczości, pragnienie, by chronić go przed nieuchronnymi rozczarowaniami i wyzwaniem, którym będzie musiał stawić czoło jako emigrant.

Ale z drugiej strony zapal Alfreda do poznania i spróbowania czegoś nowego uświadomił mi, że moje obawy nie były wystarczającym powodem, aby zrezygnować z naszej wspólnej przyszłości w Stanach Zjednoczonych. Zrozumiałam, że wszelkie próby odmawiania mu szansy spełnienia jego marzeń tylko dlatego, że się boję, w jaki sposób może to na niego wpłynąć, byłyby równoznaczne z tym, co głosił Fidel Castro, który tak ograniczał i ubezwłasnowolniał swój naród, że nie sposób już było doszukać się w jego działaniu dobrych intencji.

- To dobry pomysł - powiedziałam. - Na pewno niełatwo będzie ci znaleźć pracę w kalifornijskiej filharmonii, ale warto spróbować. Ja też popytam wśród swoich znajomych, czy ktoś o czymś nie słyszał.

- A jeśli - głos Alfreda zadrżał - nie dostanę wizy?

- Wtedy znajdziemy inny sposób - odwołamy się od decyzji albo złożymy wniosek



jeszcze raz.

Instynktownie otworzyłam oczy, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy. Ale pokój był pogrążony w ciemności tak samo jak wtedy, gdy miałam zamknięte powieki. Czułam jedynie milczącą obecność Alfreda obok mnie.

- Masz otwarte oczy? - spytałam.

- St, mi amor - powiedział. - Cały czas są otwarte.

Chwilę po tym, jak wreszcie zasnęliśmy, włączyli z powrotem elektryczność. Pokój w jednej chwili utonął w świetle gołej żarówki wiszącej nad naszymi głowami. Przez moment nie wiedziałam, co się dzieje, przypomniałam sobie jednak, że przekreśliłam wyłącznik, szukając w ciemnościach plecaka. Ale przy pełnym świetle zobaczyłam coś jeszcze... Na podłodze i ścianach - wszędzie były setki karaluchów! Część z nich wspinała się już na materac.

Chociaż nigdy nie bałam się jakoś specjalnie insektów, odruchowo wrzasnęłam. Alfredo zerwał się na równe nogi, wy-trzepał kaptcie stojące obok materaca, po czym założył je na nogi i zaczął skakać po pokoju jak szalony. Karaluchy w okamgnieniu rozpierzchły się do swoich ciemnych nor, w których ukrywały się w ciągu dnia.

Mimo iż uprosiłam Alfreda, żebyśmy spali przy zapalonym świetle, budziłam się co chwilę, wyobrażając sobie, że coś pełźnie mi po nodze.

Pierwszego dnia z powrotem w Hawanie i zarazem ostatniego na Kubie Dinora zadzwoniła do mnie o poranku. Wpadłam na nią na ulicy Soledad przed wyjazdem do Penas Blancas i - na pożegnanie - umówiliśmy się tego popołudnia na wspólne wyjście do kina, w którym odbywał się festiwal kina europejskiego.

- Jesteś głodna? - spytała teraz; w słuchawce słychać było tradycyjnie same trzaski, chociaż dzieliło nas od siebie zaledwie kilka przecznic. - Robię dzisiaj wegetariański obiad. Może wpadniesz wcześniej? Abuela też chciałaby się z tobą pożegnać.

Kiedy do niej przyszłam, Dinora wręczyła mi skórzaną torebkę zamykaną na zamek i ozdobioną mozaiką z wyszytych trójkątów w jesiennych kolorach, przypominającą witraż.

- Dziękuję, jest piękna - powiedziałam. Widziałam już ją wcześniej, przechodząc obok bazaru rzemieślników La Rampa, gdzie wszystkie towary sprzedawano za dolary.

- To taki mały prezent - Dinora uśmiechnęła się. - Na pamiątkę.

Weszliśmy razem z Abuelą do jadalni, w której, ku mojej radości, nie było już materaca Dinory i Luisa.

- Czy to aby na pewno wegetariańskie danie? - spytałam nie bez złośliwości Dinorę, która krzątała się wokół stołu, podając mnie i Abueli coś, co faktycznie wyglądało jak jarska

zupa minestrone, ale - mając w pamięci opowieści Dinory, jak skrzętnie ukrywała kawałki mięsa w daniach, które u niej jadłam - równie dobrze mogła być rosółem z kurczaka.

- Nie ma w niej nawet odrobiny mięsa. Nie dodałam nawet kości do wywaru dla smaku - zarzekała się, podając mi łyżkę, bym pomieszała nią w wazie i mogła się przekonać na własne oczy.

- Świetnie się bawiłam, przyrządzając tę zupę - dodała jeszcze. - Może sama też kiedyś zostanę wegetarianką.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Nie śmiej się ze mnie - powiedziała Dinora. - To możliwe. Zanim cię poznałam, gdyby ktoś mi coś takiego zaproponował, powiedziałabym mu, że postradał rozum, ale teraz... - zawiesiła głos w powietrzu. - Lea, tyle się od ciebie nauczyłam - odezwała się po chwili, a ja starałam się nie dostrzec łez w jej oczach. - Ale my tu gadu gadu - zreflektowała się - a zupa stygnie.

W drodze do kina La Rampa Dinora spytała mnie o moje poszukiwania pracy.

- Nie możesz znaleźć pracy? Więc dlatego wyjeżdżasz?

Na pierwszą część pytania odparłam skinieniem głowy, ale zanim zdążyłam ustosunkować się do drugiej, Dinora przerwała mi.

- Wiem, to trudne - powiedziała. - Popatrz na mnie. Tyle lat nauki i co? Wciąż jestem tylko gosposią.

Przytaknęłam znowu, choć zabrzmiało to dziwnie, biorąc pod uwagę, że Dinora zrezygnowała z pracy na własne życzenie, płacąc lekarzowi, by wpisał jej w papiery chorobę umysłową. Czy bała się zostawić matkę samą, czy też faktycznie nie miała odwagi zmierzyć się po latach z młodzieńczymi ideałami - tego nie wiedziałam. Może ani jedno, ani drugie.

Nie odezwałam się jednak ani słowem, bo nie chciałam, odpowiadając na jej pytanie o powód mojego wyjazdu, opowiadać jej wszystkiego. Dlatego wolałam trzymać się wersji, że wyjeżdżam z powodu braku pracy - co częściowo było prawdą. Faktycznie jednak, tak jak kiedyś opuściłam Dinorę, ponieważ wynajęła mój pokój już komuś innemu - co też częściowo było prawdą, tak teraz wyjeżdżałam z Kuby po części dlatego, że nie mogłam tu znaleźć dla siebie stałego zajęcia, a po części dlatego, że odechciało mi się go szukać.

Być może żadna z nas nie wierzyła w tłumaczenie tej drugiej, ale nie rozmawialiśmy już o tym, zadowolone z półprawd, które sobie powiedziałyśmy. Ale kiedy doszliśmy do kina, okazało się, że jest zamknięte z powodu przerwy w dostawie prądu.

- Si no es Juana, es su hermana - westchnęła Dinora, co w wolnym tłumaczeniu znaczyło: „Jak nie urok, to sraczka”.

Odprowadziłam ją do domu, opowiadając po drodze o brakach w dostawie prądu w Penas Blancas, o koszarnej łazience i głodowych porcjach żywności. Kiedy doszłam do części z karaluchami, Dinora wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Może faktycznie dobrze robisz, wracając do domu - roześmiała się.

Kiedy pożegnałyśmy się już na ulicy Animas, powiedziała mi: - Będę sobie wmawiać, że wkrótce znowu wrócisz i postaram się nie martwić. Napisz do mnie, jeśli znajdziesz kogoś, kto będzie mógł mi przekazać twój list - przerwała na chwilę, po czym dodała: - I powiedz Alfredowi, że może się u mnie czuć jak u siebie w domu.

- Powiem mu - obiecałam i nagle zrobiło mi się przykro, że tyle narzekałam na naszą pożegnalną podróż, więc dodałam bez namysłu: - Plaża w Penas Blancas była cudowna. Tak samo pogoda. Pływaliśmy codziennie.

- Dzięki Bogu - Dinora przewróciła oczami. - Co by ten kraj zrobił bez pięknej pogody?

Wracając, poszłam jeszcze na ostatni spacer nad morze, wzdłuż Malecónu. Wdrapałam się na kredowobiały mur, w którym znałam każde pęknięcie i każdą rysę. Przechadzałam się po tej cienkiej linii oddzielającej wyspę od nieskończoności, w oddali - w mojej wyobraźni - majaczyły dachy Miami. Wpatrywałam się przez chwilę w szafirową głębię, a potem poszłam dalej, w stronę hotelu Riviera w Vedado, mijając po drodze dzieci i starsze kobiety.

W drodze powrotnej zeskoczyłam z murku na plażę - niemal w tym samym miejscu, z którego rozpoczęłam spacer - tuż obok dwudziestoparoletniego rybaka, który wyciągał z wody sieci. - Qué día más lindo, ne? - zagadnęłam go. Rybak uśmiechnął się, ale był to uśmiech nieobecny - uśmiech rozmarzenia i rozczarowania jednocześnie. Nie spodziewałam się jednak odpowiedzi, która nastąpiła później.

- Piękny dziś dzień, to prawda - powiedział rybak z uśmiechem od ucha do ucha i wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali, za latarnią morską Morro, w kierunku pełnego morza. A potem dodał z typowym dla Kubańczyków sarkazmem: - Piękny dzień na ucieczkę.

Po powrocie do domu spakowałam plecak w oczekiwaniu na kolejne pożegnanie.

W ciągu godziny miała do mnie wpaść Ludmiła po drodze z uczelni i chciałam przejrzeć jeszcze swoje rzeczy w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym jej podarować, pod pretekstem, że nie zmieści mi się w bagażu. Po tym, jak Alfredo zasugerował, że plastikowa teczka z konferencji solidarności nadawałaby się idealnie na wszystkie listy, które będę do niego pisać ze Stanów, odłożyłam mu ją na bok.

Mój plan z rozdawnictwem rzeczy osobistych spalił na panewce z powodu Ludmiły,

która zamiast przyjąć nową, jeszcze nie-otwartą butelkę szamponu i prawie pełną tubkę pasty do zębów, postawiła sobie za punkt honoru pomóc mi je upchnąć do torby. Mimo że nigdy nigdzie nie wyjeżdżała, okazała się dużo lepsza w pakowaniu ode mnie. Zamiast składać ubrania, zwinęła je w rulon, a cięższe rzeczy rozmieściła równomiernie po całej torbie.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytałam.

- Pokazał mi to przyjaciel mojej matki, który jest muzykiem i dużo podróżuje - odparła. Tę samą sztukę posiadał Alfredo, którego również nauczył pakowania kolega muzyk.

Wyobraziłam sobie kubańską imprezę powitalną, na której - zamiast pokazywać zdjęcia czy filmy nakręcone kamerą, powracający podróżnicy wytaczali na środek pokoju walizki, demonstrując rodzinie i znajomym swoją sprawność w pakowaniu.

Kiedy skończyłyśmy i zamierzałyśmy już wyjść z sypialni, zauważyłam, że Ludmiła nie spuszcza wzroku z mojej koszulki, którą dostałam na tej samej konferencji co teczkę, a którą teraz rozłożyłam na łóżku z zamiarem przebrania się w nią do samolotu.

- Jaka ładna koszulka - nie wytrzymała w końcu, przyglądając się nadrukowi, który przedstawiał różnokolorowe dłonie zachodzące na kubańską flagę. - Zapomniałyśmy ją spakować. A może zamierzasz ją tu zostawić?

Rozpoznałam cień nadziei w jej głosie i szybko zdjęłam t-shirt z łóżka.

- Obawiam się, że jeśli upchniemy do tej torby coś jeszcze, najzwyczajniej w świecie eksploduje - powiedziałam, wręczając Ludmile koszulkę. - Proszę, daj ją komuś, komu się przyda.

Kiedy o 6.30 rano zadzwonił budzik, myślałam tylko o tym, żeby go wyłączyć, ale przytłoczona świadomością nieuchronnego pożegnania z Kubą, byłam jak sparaliżowana - nie potrafiłam się ruszyć. W czasie snu straciłam zupełnie rachubę czasu, poza tym byłam nieprzytomna o tak wczesnej porze, dlatego wciąż nie docierało do mnie, że to już. Ostatni poranek na Kubie. Z nowymi ugryzieniami od pluskiew, jasnym listopadowym słońcem wpadającym przez otwarte okno, dobiegającymi z ulicy dźwiękami wszechobecnej salsy i piszczących hamulców camello. I z Alfredem u boku.

Mój samolot odlatywał o 10.00. Mimo że już poprzedniego dnia zarezerwowałam sobie taksówkę na 8.00, o 8.30 jeszcze jej nie było.

Alfredo dzwonił do dyspozytorni co dziesięć minut i za każdym razem powtarzano mu, że taksówka jest już w drodze. W międzyczasie wędrował nerwowo tam i z powrotem po małym balkonie wychodzącym na ulicę.

- Jeżeli nie przyjedzie za dziesięć minut, może powinniśmy dać w łapę jakiemuś prywaciarzowi, żeby zawiózł nas na lotnisko - zasugerowałam.

- Cojones! - Alfredo zaklął siarczyście, uderzając dłonią o poręcz balkonu. Przez moment bałam się, że uraziłam go tą propozycją. Ale wtedy zauważyłam w jego oczach to nieobecne spojrzenie, które widziałam już tyle razy. I wiedziałam, że jego gniew bierze się z wewnątrz, z czegoś, o czym myślał, zanim się odezwałam.

- Socjalizm nie jest złym ustrojem - powiedział w końcu.

- Mamy bezpłatną służbę zdrowia, szkolnictwo i minibus, który zabiera mnie codziennie do pracy... Ale weźmy taką taksówkę. Zaczynasz się zastanawiać nad tym, że skoro w socjalizmie wszystkim należy się po równo, czy stoją, czy leżą, to kto będzie się starał wykonywać swoją pracę jak najlepiej? Myślisz, że kiedykolwiek zrobimy krok naprzód, nie mając w żadnej dziedzinie pojęcia o tym, czym jest profesjonalizm?

Nie czekając na odpowiedź, Alfredo pokręcił głową.

- Czasem mi się wydaje, że na tym kraju ciąży jakaś klątwa

- kontynuował. - Ze ktoś kiedyś powiedział: „Możecie mieć palmy, morze i słońce, ale będziecie też musieli cierpieć z powodu przywódcy, który będzie chciał wszystko kontrolować”.

Na tej konkluzji Alfredo musiał zakończyć swój pesymistyczny wywód, ponieważ pod dom zajęła właśnie taksówka.

- Lo siento - usprawiedliwił się taryfiarz, wychylając się przez okno, kiedy już zatrzymał samochód pod balkonem.

- No es facil.

Gdy spotkaliśmy się przed wejściem, wyciągnął ręce po mój bagaż i wymamrotał coś pod nosem, z czego zrozumiałam jedynie „przebita opona” i „przeprawa z policją”.

- Lo siento - powtórzył, wrzucając mój wypakowany po brzegi plecak na tylne siedzenie. - Bagażnik się nie otwiera.

Wcisnęłam się jakoś do tyłu, a Alfredo usiadł na miejscu pasażera z przodu. Jechaliśmy w milczeniu przez centrum Hawany. Trzymałam rękę na ramieniu Alfreda, a on nakrył ją swoją dłonią.

Kiedy dojechaliśmy na lotnisko i zapłaciłam za przejazd, taksówkarz po raz drugi wybełkotał coś pod nosem, czego oczywiście nie zrozumiałam, za to Alfredo wybuchnął głośnym śmiechem.

- To ona wyjeżdża, socio - powiedział, wskazując na mnie. - Mnie się jeszcze sandały przydadzą.

Po drodze do sali odpraw zobaczyłam, że Alfredo rzeczywiście ma na nogach sandały Timberlanda, które przysłałam mu kiedyś przez kuriera.

- O co mu chodziło? - spytałam.

- Powiedział, że nie weźmie od nas pieniędzy, jeśli dam mu swoje sandały - odparł Alfredo.

- Jak mógł w ogóle coś takiego zaproponować? - oburzyłam się.

- Es Cuba.

Kiedy podeszliśmy do stanowiska odpraw, zauważyłam stojącego za ladą Luisa w świeżo wyprasowanym, biało-niebieskim uniformie. W ręku trzymał zaciśniętą papierową torbę, jakie rozdaje się zazwyczaj pasażerom cierpiącym na chorobę lokomocyjną.

- Obsługuję twój lot - uśmiechnął się, wychodząc nam na spotkanie i ściskając rękę Alfreda. - Ktoś zachorował i wezwali mnie na zastępstwo.

- Kiedy Dinora się dowiedziała, wpadła w panikę i chciała napisać do ciebie pożegnalny list - ciągnął dalej Luis. - Ale zanim znalazła długopis, musiałem już wyjść. Więc obiecałem jej tylko, że po drodze kupię ci mały prezent - to mówiąc, wręczył mi torbę i zaśmiał się nerwowo.

- Wiem, że to niewiele - powiedział - ale biorąc pod uwagę ilość czasu, jaka mi została, to jedyne, co przyszło mi do głowy.

Otworzyłam torbę i znalazłam w środku paczkę orzeszków ziemnych i dwa piwa Cristal.

- Nie martw się - powiedział Luis. - I napij się.

Pocałował mnie szybko w policzek, uściskał jeszcze raz dłoń

Alfreda, a potem obrócił się na pięcie i gwałtownie ruszył przez stanowisko odpraw oraz punkt celny, znikając za solidnymi białymi drzwiami, przed którymi znajdował się posterunek oficera migracyjnego. Wstęp mieli tam tylko pasażerowie i obsługa lotniska.

- Wow! - na Alfredzie większe wrażenie zrobiło błyskawiczne wyjście Luisa niż prezent, który mi wręczył. - Widziałas? Wszedł sobie tak po prostu do urzędu migracyjnego.

- Przecież tam pracuje.

- Wiem, ale jak do tej pory byłaś jedyną osobą, którą widziałem, wchodzącą tam.

- A twój tata? Przecież też stąd wylatywał.

- No tak, masz rację - Alfredo znów się ożywił. - To był wprawdzie inny terminal, ale drzwi faktycznie nie różniły się od tych dla lotów międzynarodowych - ostatnie dwa słowa wypowiedział powoli, jakby obracał na języku perły. - Nieczęsto zdarza mi się mówić „loty międzynarodowe”.

Pokiwałam głową.

Alfredo towarzyszył mi, kiedy uiszczałam opłaty lotniskowe, a potem przeszliśmy do

stanowiska imigracyjnego, przed którym ustawiła się niewielka kolejka. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że nie będzie nikogo - mniej czasu na pożegnanie i mniej czasu, by rozpaczać.

Obiecałam sobie, że nie będę płakać, ale kiedy stanęliśmy twarzą w twarz i Alfredo położył mi dłonie na ramionach, spoglądając mi prosto w oczy, poczułam gwałtowne bicie serca, a w nosie zaczęło mnie drapać, co zwiastowało niechybny płacz. Nie chciałam beczeć sama, więc spojrzałam Alfredowi w twarz i spytałam, dlaczego on nie płacze. W tej samej chwili łzy napłynęły mu do oczu i głos zmienił mu się na bardziej chropowaty. A ja poczułam się winna.

- Nie chciałem płakać - powiedział, szlochając już na głos. - Bo będę musiał wracać sam przez całe lotnisko i... - zająknął się z płaczu - to tylko pogarsza całą sprawę.

Ja też ryczałam już jak dziecko, kiedy oficer migracyjny poprosił mnie do siebie. Pocałowałam Alfreda, a on ścisnął mnie tak mocno, że jeszcze długo czułam na sobie odciski jego palców.

Kobieta, prosząc mnie o paszport, starała się za wszelką cenę unikać mojego wzroku. Głos miała chłodny i opanowany. Zapisała wszystkie niezbędne informacje i zwracając mi paszport, kazała skierować się prosto do drzwi.

- Zadzwoń do ciebie - powiedziałam Alfredowi, wycierając łzy z twarzy. - Czekaj na telefon u babci dziś wieczorem o 9.00 twojego czasu.

Alfredo przytaknął i kiwnął ręką, żebym podeszła.

- Un minuto - powiedziałam celniczce, obracając się, ale gdy tylko przekroczyłam białą linię, kobieta wydała z siebie piskliwy krzyk.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie wolno pani już wracać z podbitym paszportem. Dame tu pasaporte.

Odróciłam się raz jeszcze. Serce waliło mi tak szybko, że nie byłam pewna, czy uda mi się wykrztusić słowo.

- Przepraszam - powiedziałam, biorąc głęboki oddech i przełykając łzy. - Proszę, tylko na chwilę. On chce mi coś powiedzieć.

Kobieta skinęła głową.

- W porządku - powiedziała wyraźnie spokojniejszym tonem. - Tylko proszę się pośpieszyć.

Podbiegłam do Alfreda.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że ostatnim razem, gdy wylatywałaś, poszedłem tam, na górę - wskazał mi schody prowadzące na taras widokowy. - Widziałem stamtąd, jak

przechodzisz przez drzwi. I teraz pomyślałem sobie, że jeśli chcesz, znów wejdę na górę, żebyśmy mogli sobie jeszcze pomachać...

- Nie - przerwałam mu gwałtownie. - To nie jest dobry pomysł. Ktoś mógłby nabrać podejrzeń, a poza tym... chyba pękłoby mi serce. Musimy się pożegnać tutaj.

- Dobrze - w głosie Alfreda usłyszałam jakby ulgę. - Ale... obiecaj mi, że będziesz zwracać uwagę na szczegóły. Lea, powiedz mi...

Oficer emigracyjna przerwała nam, nakazując mi przejście przez bramkę teraz albo nigdy. Wróciłam za białą linię, odzyskałam paszport i pchnęłam z całych sił drzwi bez klamki. W ostatnim momencie obróciłam się jeszcze na chwilę, by pomachać Alfredowi.

- Co mam ci powiedzieć? - zawołałam, przechodząc przez drzwi, które zamknęły się za mną, zostawiając tylko małą szczelinę, przez którą widziałam zapłakaną twarz Alfreda.

Pomachał mi i krzyknął zza linii: - Powiedz mi, jak jest po drugiej stronie!



## **Epilog**

Po drugiej stronie

22 września 2001 roku, dziesięć miesięcy po naszym wzruszającym pożegnaniu na lotnisku Jose Marti International Airport, dwa miesiące po przyznaniu wizy i jedenaście dni po ataku na WTC, Alfredo przyleciał do Stanów.

Nie był to najlepszy czas na podróż samolotem, zwłaszcza dla Alfreda, który najwyżej w życiu wspiął się ostatnią kondygnację 35-piętrowego budynku Focsy, a i wtedy czuł się nieswojo, spoglądając na miasto z takiej wysokości.

Umawianie się na lotnisku również nie było najrozsądniejszym pomysłem. Na tydzień przed planowaną datą przylotu Alfreda cotygodniowe loty z Hawany do Los Angeles, z których korzystali głównie szczęśliwi posiadacze wiz dla narzeczonych i muzyków albo zwycięzcy loterii bombo oraz innych specjalnych rządowych przepustek, zostały odwołane. Do samego końca nie byłam pewna, czy Alfredo w ogóle przyleci, ale loty wznowiono na dzień przed zabukowaną datą.

Wjeżdżając na parking przy lotnisku LAX, po pięciu godzinach nużącej i pełnej nerwów (począwszy od najbardziej błahych spraw, takich jak sam lot, po dużo bardziej delikatne i wybiegające daleko w przyszłość obawy o to, czy Alfredo zaadaptuje się do życia w moim świecie) jazdy autostradą zorientowałam się nagle, że nie zatrzymywałam się po drodze ani razu na siusiu.

Chęć pójścia za potrzebą wzrosła gwałtownie, gdy skręciłam za znakiem kierującym mnie na parking dla pasażerów wylatujących na dłużej. Od tej chwili liczyłam już tylko kolejne sekundy dzielące mnie od toalety. Zaparkowałam samochód pod - jak mi się zdawało - terminalem odpraw międzynarodowych. Gdy już znalazłam się wewnątrz, okazało się, że dalej wstęp mają tylko pasażerowie z ważnymi biletami. Wszyscy pozostali musieli poczekać na centralnym parkingu, gdzie przyjeżdżały autobusy z pasażerami, którzy przechodzili drobiazgową kontrolę paszportowo-celną. Według kierowcy mogło to potrwać nawet godzinę.

Przylot Alfreda zaplanowany był na godzinę 20.00. Chcąc uniknąć korków, byłam na lotnisku o 19.00. Zabrałam ze sobą książkę i coś do jedzenia, ale pod gigantycznymi namiotami, w których setki ludzi odbierających swoich krewnych i znajomych z lotniska tłoczyły się jak uchodźcy, ruszając gwałtownie z miejsc za każdym razem, gdy przyjeżdżał kolejny autobus z pasażerami i wrzeszcząc we wszystkich językach świata, nie było warunków ani do czytania, ani do jedzenia. W tym prowizorycznym koczowisku nie widziałam też nigdzie toalety.

Wszystkie moje wcześniejsze obawy i zmartwienia towarzyszące przylotowi Alfreda

skupiły się teraz tylko na dwóch sprawach: nie posikać się i nie przegapić jego lotu. Stałam tak blisko ogrodzonego stanowiska dla przylatujących, jak to tylko było możliwe, cofając się na moment jedynie wtedy, gdy pilnujący porządku strażnik rzucał w moją stronę gniewne spojrzenie.

Zrobiło się chłodniej. Ścisnęłam mocniej trzęsące się nogi, przeklinając w duchu, że założyłam sukienkę. Nie miałam zegarka, a wokół nie było nikogo, kto mówiłby po angielsku i mógłby mi choć trochę współczuć. Czas płynął powoli jak piasek w klepsydrze. 45 minut wydawało się trwać tyle samo co 72 minuty, a dwie godziny wydawały się już wiecznością.

Szukając sobie jakiegokolwiek zajęcia, liczyłam przyjeżdżające autobusy, próbując odgadnąć narodowość wysiadających z nich turystów. W autobusie numer 4 byli sami Azjaci. Autobus numer 7 był pełen Francuzów, wreszcie z autobusu numer 9 wysiadło kilku Włochów, para Rosjan w starszym wieku i - na samym końcu - jeden oszołomiony Kubańczyk.

Alfredo nerwowo szukał mnie w tłumie, a kiedy już mnie dojrzał, natychmiast zarzucił na ramię średniej wielkości worek podróży i puścił się biegiem w moją stronę.

- Jak ci minął lot? - spytałam, kiedy padliśmy sobie w ramiona.

- Me encantó - odparł Alfredo, rozpromieniony. - Qué grande es le mundo, qué lindo. Świat jest taki wielki, taki piękny.

- W ogóle się nie bałeś? - spytałam z niedowierzaniem.

- Nic a nic - z powagą pokręcił głową. - Chyba jestem stworzony do latania.

Pocałował mnie w usta i czoło, po czym zadarł głowę do góry i spojrzał w niebo nad Los Angeles, wciąż jarzące się mglistą, niebieskoszarą poświatą, chociaż było już po zachodzie słońca.

- Gdzie się podziały wszystkie gwiazdy? - spytał, a ja przypomniałam sobie rozgwieżdżone niebo nad Hawaną, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy.

- Są gdzieś tam - odpowiedziałam, żalując, że nie mógł przylecieć bezpośrednio do San Francisco. - Tylko trudno je zobaczyć, bo Los Angeles jest bardzo zanieczyszczonym miastem.

Alfredo podniósł brwi z niedowierzaniem i otworzył szeroko oczy, widząc za nami niekończący się sznur samochodów wjeżdżających na autostradę.

- Czy to jest ulica? - spytał. - A to wszystko są samochody?

- To jakby inny świat, prawda? - powiedziałam.

- Jakby? - Alfredo zaśmiał się. - To jest inny świat.

Pierwszy tydzień po przyjeździe Alfreda do Stanów spędziliśmy, podróżując wzdłuż

wybrzeża Kalifornii, odwiedzając moich przyjaciół w Los Angeles, biwakując w Big Sur i zatrzymując się w Santa Cruz u kolejnych znajomych. Potem skręciliśmy w głąb lądu szosą 1-5 i pojechaliśmy na północ, kierując się w stronę góry Mt. Shasta, na szczycie której Alfredo kazał sobie zrobić zdjęcie z pierwszą w życiu kulką śniegową w ręce.

Zaplanowałam jeszcze więcej atrakcji - trekking do Point Reyes i kemping przy plaży Stinson Beach - ale z czasem zdałam sobie sprawę, że Alfredo, mimo że cieszył się jak dziecko, był trochę przytłoczony tym wszystkim, co zobaczył i czego doświadczył w ciągu ostatniego tygodnia. Odczuwał zmęczenie z powodu długiej podróży samolotem i zmiany czasu, doznał szoku kulturowego, a czasem też - zaskakując mnie w najmniej spodziewanych momentach - tęsknił za domem. W obozie u stóp Mt. Shasta, kiedy patrzyliśmy jak zahipnotyzowani w czerwono-niebieskie płomienie ogniska, powiedział ni stąd, ni zowąd: - Brakuje mi mojej babci.

Jadąc na południe przez hrabstwo Marin, za każdym razem, gdy mijaliśmy jakiś sklep lub biuro, Alfredo zadawał to samo pytanie, które powtarzał setki razy przy okazji wyprawy na północ: - Del gobierno o particular?

Kiedy po raz kolejny potwierdziłam, że większość firm oraz sklepów należy do osób fizycznych lub prywatnych korporacji, Alfredo tradycyjnie wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, a potem zasypał mnie gradem kolejnych pytań.

- A drogi? - dociekał. - Lotniska? Banki?

- A woda? Kto jest właścicielem takiej ilości wody? - spytał w Sausalito, omiatając wzrokiem zatokę Richardson. Schodziliśmy w stronę doków, gdzie stała zacumowana barka przerobiona na małe studio, która od tej pory miała być naszym domem.

Wprowadziłam się dosłownie kilka dni wcześniej i chociaż robiłam wszystko, żeby zdążyć rozpakować cały dobytek przed przyjazdem Alfreda, wiele rzeczy wciąż jeszcze stało w kartonach. Podczas mojej nieobecności mama miała mi przywieźć trochę roślin, a tata, który w końcu pogodził się z ideą sprowadzenia Alfreda do Stanów, zobowiązał się zrobić dla niego szafę pod antresolą. Teraz, kiedy zbliżaliśmy się do drzwi, wstrzymałam oddech.

- Mieszkanie jest małe - powiedziałam, próbując się niepotrzebnie usprawiedliwić - ale myślę, że będzie nam tu wygodnie, kiedy się już urządzimy.

Otworzyłam rozsuwane szklane drzwi i podniosłam roletę. Wrześniowe słońce wpadło do środka, oświetlając japoński materac, przykryty świeżym, białym prześcieradłem, który zastępował sofę. Z sufitu wyłożonego drewnem sekwoi zwisała donica z dużą paprocią; jej pierzaste liście zakołysały się delikatnie, kiedy weszliśmy. Tata zainstalował mi też wieżę hi-fi

- głośniki nie stały już na podłodze, ale wisiały na ścianie. Na stoliku, na którym mieliśmy jeść, ktoś ustawił wazon z bukietem słoneczników, a czarny od sadzy, żelazny piecyk opalany drewnem został skrzętnie wyczyszczony.

- Ale tu pięknie! - zachwycił się Alfredo, po czym ukląkł na podłodze niczym marynarz stawiający stopę na nieznanym lądzie i złożył pocałunek na białym, berberyjskim dywanie.

- Cieszę się, że mamy twoje błogosławieństwo - roześmiałam się z ulgą.

- Tak, jestem pewien, że będziemy tu bardzo szczęśliwi

- Alfredo przytaknął, wstając z klęczek. Rozejrzał się wokół po całym studiu, skupiając wzrok na antresoli z półkami na książki wystającymi na co najmniej jedną czwartą szerokości królewskich rozmiarów materaca, przez co antresola wyglądała bardziej na kącik do czytania niż miejsce do spania.

Potem podszedł do bocznego okna, które wychodziło na zewnętrzne schody prowadzące do mieszkania właściciela barki. Jego apartament ciągnął się przez całą długość mojego studio i jeszcze sąsiedniego.

- No to co? - Alfredo uśmiechnął się w sposób, który nie budził żadnych wątpliwości.

- Pokażesz mi piętro? Czy to tam znajduje się sypialnia?

Stopniowo, z każdą kolejną nocą przyzwyczajaliśmy się do warunków panujących w naszym ciasnym wagonie sypialnym (choć nie było nocy, żeby Alfredo nie walił przez sen głową w półkę z książkami). Nie przeszkadzało nam nawet to, że łazienka była tak mała, iż z trudem mogła się tam obrócić jedna osoba.

Tym razem było inaczej niż wtedy, gdy wróciłam z Kuby po raz pierwszy, sama. Nasze przystosowanie do życia w USA sprowadzało się w zasadzie do nadrobienia zaległości przez cały ten okres, kiedy żyliśmy osobno. Teraz musieliśmy na nowo nauczyć się być razem i razem przyzwyczać się do wspólnego życia w nowym wcieleniu.

W tym świecie, całkowicie odmiennym pod względem fizycznym i politycznym od tego, w którym się poznaliśmy, odnosiłam czasem wrażenie, że odtwarzamy nasz związek od samego początku, cofając się do czasów naszych pierwszych rozmów i dyskusji.

Alfredo ucieszył się strasznie, kiedy zapisałam go na kurs angielskiego. Tak bardzo chciał się nauczyć języka, którym mówili wszyscy wokół, że kazał mi się zwracać do siebie wyłącznie po angielsku. Kiedy przechodziłam na hiszpański, zatykał uszy.

Inne zmiany nie przychodziły mu jednak tak łatwo. Nauczył się obsługiwać pralkę automatyczną, z niewiadomych względów bał się za to suszarki i wolał wywieszać pranie na sznurze rozwieszonym w studiu. Bał się też pikantnych potraw, które jakimś dziwnym trafem

nie trafiły na Kubę po drodze z Meksyku do USA. Kiedy miał zjeść pierwsze burrito z łagodnym sosem salsa, był cały spocony. Przerazały go gorące źródła, do których zabrałam go w jego 28. urodziny - patrzył na mnie, jakbym chciała go ugotować. I tak jak ja odczuwałam organiczny strach przed toaletami na Kubie, tak u Alfreda trau-mę wywoływał amerykański telefon, który dzwonił częściej w ciągu dnia, niż przez cały tydzień na Kubie.

Kiedy odbierał go podczas mojej nieobecności, zazwyczaj nie potrafił zrozumieć, co chcieli mu przekazać dzwoniący do mnie ludzie. W końcu po tym, jak jakiś mężczyzna uznał, że wykręcił omyłkowo zły numer i odłożył słuchawkę, Alfredo odkrył automatyczną sekretarkę. Kiedy uświadomił sobie, że maszyna może odbierać telefony za niego, sam w ogóle przestał to robić.

Ten garnitur strachów i obaw mógł się jedynie równać z wachlarzem usług, gadżetów i cudów natury, które go fascynowały. Tak spodobała mu się moja skrzynka na listy, że sprawdzał ją kilka razy dziennie, w tym także w niedziele i święta, tłumacząc mi to w ten sposób, że listonosz mógł omyłkowo wrzucić list do niego do skrzynki sąsiada, który w każdej chwili mógł go odnieść z powrotem do naszej. Zafascynowała go moja turystyczna kuchenka, którą określił jako una maravilla, gdy pierwszy raz zobaczył, jak gotuję na niej wodę. Ale największym jak dotąd zaskoczeniem był dla niego stały dostęp do energii elektrycznej, który praktycznie nie istniał w jego gorącej, wilgotnej ojczyźnie.

- Mira, Lea - mówił, pokazując mi, jak wkłada turystyczną koszulkę z poliestru. - Escucha - dodawał, dotykając swoich uszu i kładąc palec na ustach, żebym nie przegapiła odgłosu elektryzującego się poliestru, który towarzyszył tej czynności. Po czym, jak zwykle, uśmiechał się od ucha do ucha.

Tak jak nie potrafiłam przewidzieć jego reakcji w wielu sytuacjach, z których składało się życie w USA, tak i sam Alfredo czasem nie wiedział, jakim emocjom ma się w danej chwili poddać.

Na pewno nie podobał mu się amerykański system opieki zdrowotnej i pomysł mojego rządu osiedlania poszczególnych grup etnicznych w osobnych dzielnicach. Ale już na zmianę fascynowały go i przerazały wszystkie dobra materialne - od swetrów z kaszmiru po sprawne komputery - które nasi sąsiedzi wystawiali na ulicę, obok śmietnika.

- Wyobrażasz sobie, co ludzie na Kubie mogliby zrobić z połową tych rzeczy? - nie wytrzymał któregoś dnia, kręcąc głową z przygnębieniem.

Pomimo krótkiego okresu rozpacz, a może właśnie z jej powodu, Alfredo zaczął gromadzić wszystkie rupiecie, jakie tylko zdołał. Upychał do szafki pod antresolą wyrzucone okulary słoneczne z myślą o swoich znajomych, działającą automatyczną sekretarkę dla

matki, zamknięte opakowanie świeczek w kształcie motyli dla dziadka, parę dziecięcych Nike'ów (które nazywał „Neeks”) dla siostrzeńca i kilka koszulek dla siostry.

Pomijając już kwestię, jak uda mu się przewieźć całą tę kolekcję z powrotem na Kubę, rodziło się dużo ważniejsze pytanie: kiedy i czy w ogóle Alfredo wróci na Kubę? A to z kolei miało bezpośrednie przełożenie na - wciąż jeszcze nieokreśloną - przyszłość naszego związku.

Na razie za cenę 1500 dolarów, jaką trzeba było zapłacić za wizę (koszt ten obejmował bilet lotniczy, papiery i badanie lekarskie, które Alfredo musiał przejść przed wyjazdem), kupiliśmy sobie trzy miesiące na podjęcie decyzji, czy uda nam się przeżyć razem w Stanach Zjednoczonych.

To ograniczenie czasowe przypomniało mi o pewnej, opisywanej przeze mnie na kartach tej książki nocy na Kubie, kiedy Alfredo zaprosił mnie na drinka, ale wyszliśmy za późno i we wszystkich lokalnych barach kłębili się wyłącznie dewizowi turyści, od których barman przyjmował już tylko dolary.

W Stanach z każdym kolejnym dniem uświadamiałam sobie, że jeśli wkrótce nie podejmiemy decyzji i nie będziemy działać szybko, Alfredo będzie musiał wrócić na Kubę bez możliwości powrotu do USA. Kurtyna zapadnie w połowie sceny. Nasz film będzie skończony, a nasza karetka z powrotem zamieni się w dynię. Tym razem w obecności Alfreda nie siliłam się już nawet na metafory z „Kopciuszka”.

Dla niego ta decyzja była oczywista i prosta. Alfredo był skłonny wziąć ślub, kiedy tylko będę gotowa. Powiedział mi to jeszcze przez telefon, kiedy znalazłam mieszkanie na łodzi i spytałam go, kiedy może przylecieć: - Kiedy tylko będziesz gotowa.

Wprawdzie nie był jeszcze pewny swoich uczuć do Ameryki, ale był we mnie zakochany i to mu wystarczyło, żeby sądzić, że wszystko się ułoży.

Niestety, moje namiętne uczucie do Alfreda nie łagodziło obaw o naszą przyszłość. Co więcej, często wręcz je nasilało - każdą cechę, którą podziwiałam i kochałam w Alfredzie, natychmiast konfrontowałam podświadomie z odpowiednią obawą.

Alfredo przyleciał do Stanów z trzema dolarami w kieszeni - to wszystko, co zostało mu ze stu dolarów, które mu wysłałam na podróż. Mając jedynie wizę dla narzeczonych, nie mógł legalnie pracować, więc tak jak on zapoznał mnie z czarnym rynkiem pracy na Kubie, tak i ja zrobiłam dla niego to samo w USA, znajdując mu dorywcze zajęcie przy malowaniu czy budowie domów moich przyjaciół i ich znajomych. Zarabiał jednak w ten sposób tak mało, że nie było go stać nawet na podstawowe zakupy, postanowił więc zaoszczędzić pieniądze w jedyny sposób, w jaki potrafił - nie wydając ich wcale.

Któregoś dnia zapakował rano rower do autobusu i pojechał do odległej o piętnaście kilometrów szkoły języka angielskiego. A w drodze powrotnej, żeby zaoszczędzić na bilecie, pedałował na rowerze przez całe miasto, aż znalazł w końcu turystyczny szlak prowadzący w górę na most Golden Gate, a potem w dół - nad zatokę Sausalito.

Chociaż podziwiałam zarówno jego kreatywność w cięciu kosztów, jak i zmysł orientacji (sama zgubiłam się na tej trasie pierwszego dnia), bałam się z drugiej strony, że będziemy zmuszeni klepać biedę.

Gdybyśmy się pobrali, Alfredo dostałby pozwolenie na pracę, ale obawiałam się, że minie wiele miesięcy, a może i lat, zanim będzie w stanie sam się utrzymać. Teraz, żeby zapłacić cały czynsz, sfinansować obydwie polisy ubezpieczeniowe i zrobić większość zakupów, musiałam pracować więcej niż 40 godzin tygodniowo. Zostawało mi już więc niewiele czasu na pisanie, co groziło końcem marzenia, do którego realizacji przygotowywałam się od dzieciństwa. A to oznaczało, że nie będę już nigdy szczęśliwa, ani sama, ani - tym bardziej - z Alfredem.

Kochałam Alfreda za to, jak mobilizował mnie do pisania w wolnym czasie i zakradał się za moimi plecami, wymawiając moje imię, a kiedy się obracałam, robił mi z zaskoczenia zdjęcie i mówił: - Przyda ci się, jak będziesz sławną pisarką.

Zastanawiałam się też, ile czasu upłynie, zanim Alfredo będzie w stanie czytać ze zrozumieniem moje teksty - dostrzegać w nich właściwy kontekst kulturowy, poczucie humoru i podteksty znajdujące się w takim czy innym zdaniu. Zanim poznałam Alfreda, wszyscy moi faceci byli pisarzami i teraz czułam pewien dyskomfort, nie mogąc dzielić z nim tej części mojej osobowości.

Każdego wieczoru czekałam z niecierpliwością, kiedy Alfredo zaserwuje mi jakieś nowe hasła, których nauczył się na lekcji angielskiego. Tak jak wtedy, gdy gotowałam garnek fasoli bez dodatku soli i oliwy, a on spytał: - Czy mogę cię nazywać czubkiem od zdrowej żywności?

To, jak Alfredo wymawiał trudne angielskie słowa, również wywoływało we mnie salwy śmiechu. Na przykład fotografa Roberta Mapplethorpa nazywał „Robert Mapie Syrup”, a nazwisko Zinfandel wymawiał jak „sin Fidel”, co po hiszpańsku znaczyło „bez Fidela”.

Jednak pomimo tych wszystkich gierek słownych, często nie tylko śmiesznych, ale i inteligentnych, brakowało mi nadal tej duchowej bliskości i intelektualnego pokrewieństwa, które wynika z tej samej kultury i podobnego wykształcenia. Czasem czułam się wyczerpana bezsensownością prób odpowiedzi na wszystkie pytania Alfreda. A te tworzyły pełną gamę - od znaczenia słowa „yuppie” - obcej formy życia dla kogoś, kto wychował się w komunizmie,

po pytania dotyczące amerykańskiego systemu przetwarzania odpadów, który był dla Alfreda równie abstrakcyjny, biorąc pod uwagę, że mój przyszły mąż pochodził z kraju, w którym olej wykorzystany do smażenia był używany po raz drugi, a plastikowe butelki po napojach rzucało się wprost pod nogi, na ulicę.

Prawdę mówiąc, byłam tym przerażona, bo choć z jednej strony wyczuwałam podświadomie, że wszystko zmieni się z czasem, chciałam za wszelką cenę uniknąć sytuacji, które w teraźniejszości nie odpowiadały temu, jak chciałabym je widzieć w przyszłości. Mówienie sobie: „poczekaj, a zobaczysz” wydawało mi się najgorszą z możliwych opcji, ale na razie nie miałam żadnej innej.

Mogłam, oczywiście, powiedzieć, że nie powinniśmy się pobierać, ponieważ na początku naszego nowego, wspólnego rozdziału życia nie wszystko było jeszcze tak, jak być powinno. Mogłam też wrócić na Kubę, mimo obaw, że ani ten kraj, ani Alfredo nie sprostają nigdy moim oczekiwaniom. Albo zaryzykować tutaj. Uzbroić się w cierpliwość, dać Alfredowi czas na dostosowanie się i pozwolić naszemu związkowi rozkwitać, po raz pierwszy w jego dwuletniej historii bez wyznaczania ostatecznych terminów i listy warunków koniecznych do spełnienia.

23 listopada 2001 roku wzięliśmy ślub na szczycie Mt. Ta-malpais w dolinie Mili Valley. Jedynymi świadkami tego wydarzenia byli moi rodzice i zatoka San Francisco, migocząca w ciszy pod naszymi stopami.



## Posłowie

Kiedy zaczęłam pisać tę książkę, przyświecał mi jeden cel: wyrzucić z głowy kubańskie wspomnienia, które towarzyszyły mi na każdym kroku, nie pozwalając rozpocząć życia od nowa w Stanach Zjednoczonych. Teraz, pisząc te słowa trzy lata później, robię to, by o nich pamiętać.

To było niezwykle doświadczenie, prawie tak surrealistyczne jak sama Kuba - żyć teraźniejszością, a jednocześnie każdego dnia opisywać i analizować wcale nie tak odległą przeszłość. Doszłam do momentu, w którym przedstawiałam naszą bieżącą historię w Stanach Zjednoczonych, biegnącą równoległe z kolejnymi rozdziałami książki opisującymi to, co wydarzyło się na Kubie. Kiedy skończyłam rozdział o Guelmis, małej dziewczynce, którą poznałam w kolejce po pizzę w Miramarze i która ostrzegła mnie przed Alfredem, mówiąc, że los Cuba-nos son candela, znów miałam zobaczyć się z Alfredem, tym razem, żeby zabrać go na egzamin z prawa jazdy (który, zresztą, zdał śpiewająco). Opisując mój pierwszy dzień u Dinory, życzyłam Alfredowi powodzenia w pierwszym dniu pracy w sklepie ze zdrową żywnością, gdzie w chwili obecnej jest zatrudniony na cały etat i dobrze zarabia. A kiedy piszę to posłowie, równocześnie pomagam Alfredowi w napisaniu pracy zaliczeniowej na temat nieposłuszeństwa obywatelskiego na zajęcia z języka angielskiego w dwuletnim college'u przygotowującym do studiów wyższych. W przyszłym roku Alfredo planuje zdawać na studia magisterskie na jednym z dwóch kierunków: ochrona środowiska albo geografia.

Jako parze udało nam się porozumieć w sposób, który wcześniej - z powodu bariery językowej i kulturowej - uważałam za niemożliwy. Kiedy Alfredo podszkolił się już solidnie z języka, mogliśmy zacząć oglądać różne amerykańskie filmy: od politycznych pamfletów, takich jak Fahrenheit 9/11, po kultowe komedie w rodzaju Fargo i dyskutować o nich. Dwa lata temu przeczytaliśmy wspólnie pierwszą książkę zatytułowaną Następny rok na Kubie. Były to wspomnienia o kubańskich korzeniach Amerykanina, który osiągnął pełnoletniość już w Stanach. Alfredo czytał wersję angielską, a ja hiszpańską; zaglądaliśmy sobie nawzajem przez ramię, brnąc w łóżku przez najtrudniejsze fragmenty.

Przyjęliśmy sobie taką zasadę, także w przypadku tamtej książki, że po skończonej lekturze dyskutowaliśmy na jej temat w języku, który w USA nosi umowną nazwę „spanglish” (połączenie hiszpańskiego i angielskiego, szczególnie popularne w środowisku emigrantów - przyp. tłum.). Była to - wymyślona specjalnie na nasz użytek - mieszanka naszych ojczystych języków oraz osobistych odniesień do ludzi, których poznaliśmy, i miejsc, które razem odwiedziliśmy. Począwszy od Kuby, przez Kalifornię, a skończywszy na Kanadzie (którą odwiedziliśmy z plecakami, spędzając wakacje nieopodal polodowcowego

jeziora na północ od Vancouver), Florydzie (gdzie wybraliśmy się na festiwal kultury kubańskiej Calle Ocho w Miami po to tylko, żeby przekonać się, iż dzielnica emigrantów Little Havana nie umywa się do swojego kubańskiego pierwowzoru) czy wreszcie Oregonie (gdzie byliśmy częstymi gośćmi w księgarni Powella i kawiarniach w Portland). Po zebraniu razem wszystkich tych doświadczeń, zdałam sobie niedawno sprawę, że udało nam się osiągnąć wspólną przestrzeń kulturową, której wcześniej tak rozpaczliwie pragnęłam.

Pomimo moich zmartwień o stan naszych finansów i niemożności kontynuowania kariery pisarskiej na taką skalę, jaką sobie wcześniej wymarzyłam, udało mi się napisać większość tej książki w czasie, gdy Alfredo był już w Kalifornii. I przez cały ten czas płaciliśmy czynsz w terminie, a dzięki zniżkom Alfreda w sklepie ze zdrową żywnością, nigdy nie mieliśmy pustej lodówki.

Pomysł dokończenia książki razem z Alfredem nie tylko wzmocnił, ale tak naprawdę uratował nasz związek. W tym czasie podjęcie każdej, nawet najdrobniejszej decyzji, takiej jak odebranie telefonu czy wysuszenie prania, przypominało przeciąganie kulturowej liny. Opowiadanie raz jeszcze o historii naszej miłości pozwoliło mi sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle zakochałam się w Alfredzie. Dzięki tej książce wróciły wspomnienia łatwiejszego, mniej skomplikowanego życia, które pozwoliły mi przetrwać ciężkie chwile zwątpienia.

Niezależnie od radości, jaką dawała mi wreszcie możliwość dzielenia się moim światem z Alfredem, borykaliśmy się często z różnymi trudnościami, których nie dało się przewidzieć w czasie naszego, trwającego 90 dni, „okresu próbnego”. Wtedy wszystko było jeszcze nowe i świeże, przez co każde zderzenie - czy to kulturowe, czy osobiste - wydawało się tymczasowe.

Często próbując odgadnąć, czy nasze problemy wynikają z naszej natury, czy może z dzielących nas różnic cywilizacyjnych, zadawałam sobie pytania, na które nie sposób było znaleźć jednoznaczną odpowiedź, w rodzaju: Co było pierwsze - jajko czy kura? Czy fakt, że lubię podróżować i siedzieć w domu sama jest wynikiem tego, że pochodzę ze świata, w którym ceni się takie wartości, jak niezależność i prywatność? Czy powodem tego, że Alfredo czuje się samotny, prowadząc samemu samochód, a siedzenie w pokoju, w którym nie słychać głośnej muzyki i ulicznego gwaru, jest jego ojczysta kultura, w której podstawową wartością jest wspólnota? Czy gdyby on urodził się w Stanach, a ja na Kubie, byłibyśmy tacy jak teraz?

Nie tak dawno wpadłam na ulicy na pewną znajomą, mądrą kobietę, której nie widziałam od czasu przyjazdu Alfreda. Byłam wówczas kłębkim nerwów i wahałam się, czy powinnam za niego wyjść. Znajoma pokręciła wtedy głową, współczując mi sytuacji, w której

czynnikiem decydującym o tym, że podjęliśmy tak ważną decyzję w tak krótkim czasie, była polityka.

- No cóż - powiedziała, sama będąc rozwódką - nigdy nie będziesz wiedziała, czy to na pewno właściwy mężczyzna, nawet jeśli pochodzi z tej samej kultury i mówi tym samym językiem co ty. W tej sytuacji musisz po prostu wsłuchać się w siebie i pójść za głosem serca.

Teraz, kiedy zdałam jej krótką relację z tego, co się przez ten czas zdarzyło, uśmiechnęła się z ulgą i powiedziała: - Tak się cieszę, że wam się ułożyło.

Pokiwałam głową, myśląc o tym, jak wielka jest moc narracji. Opowiadając o naszych przeżyciach, decydujemy się wyrzucić pewne szczegóły (z braku czasu, miejsca, a może z powodu naszej dumy, z którą nie potrafimy się rozstać), budując w ten sposób historię naszego życia niejako od nowa.

Ale zanim zdążyłam cokolwiek dodać, moja przyjaciółka sama się poprawiła: - Tak naprawdę to chyba wciąż jeszcze pracujecie nad tym, by wam się ułożyło.

Ponieważ Alfredo planował odłożyć pewną sumę pieniędzy, żeby pomóc rodzinie, a ja z kolei nie chciałam zwlekać ze skończeniem mojej książki, nie wróciliśmy już na Kubę. I chociaż tęsknię nieraz za przyjaciółmi i okrucami życia, które tam zostawiłam, podjęcie takiej decyzji nie było specjalnie trudne.

Z czasem intensywność i bezpośredniość, którymi charakteryzowało się życie na wyspie, rozmyły się w niepamięci, dzięki czemu przyjęcie sobie nieokreślonej daty powrotu okazało się łatwiejsze, niż to sobie wyobrażaliśmy. I choć mogę narazić się w tym miejscu na zarzut lenistwa, to z perspektywy wyczerpanej twórczym wysiłkiem pisarki doprowadzenie książki do finału w tym momencie było nie tylko bardziej rozsądne, ale przede wszystkim łatwiejsze.

We krwi mam jednak to, że się martwię. Martwię się, że Alfredo wróci na Kubę i poczuje się tam na tyle swobodnie, we własnej kulturze i wśród swoich ludzi, którzy łatwiej go zrozumieją, że nie wróci już do Stanów. I odwrotnie, boję się, że po tak długim czasie spędzonym tutaj, na Kubie będzie się czuł jak outsider. Boję się, że będzie patrzył jak obcy na życie, które kiedyś było jego własnym - jakby widząc siebie na zdjęciu sprzed wielu, wielu lat, zrobionym bez jego zgody i w miejscu, którego nie potrafi już zidentyfikować.

Kiedy powiedziałam Alfredowi, że piszę posłowie, w którym chcę opisać także to, co przez ten czas zmieniło się na Kubie, wyglądał na skonsternowanego.

- No, nie wiem, Lea - powiedział. - Rzeczy zmieniają się w różnych miejscach, ale nie na Kubie.

Faktycznie, z pozoru sytuacja na wyspie, zwłaszcza w kwestii stosunków ze Stanami

Zjednoczonymi, wydawała się identyczna jak przed naszym wyjazdem. Pomimo wizyty na Kubie Jimmiego Cartera w 2002 roku (był to pierwszy amerykański prezydent, który postawił stopę na kubańskiej ziemi od czasu Rewolucji) oraz rezolucji Senatu w sprawie złagodzenia turystycznego embarga nałożonego na wyspę, przegłosowanej jesienią następnego roku, a następnie zawetowanej przez prezydenta, Kuba pozostaje nadal nielegalną wyspą. Ironią jest to, że mieszkańcy Kuby przestają być nielegalni, kiedy uda im się dotrzeć do USA - nawet za cenę porwania samolotu pasażerskiego, jak to miało miejsce w 2003 roku. Wystarczy, że taka akcja zostaje podjęta jako forma protestu przeciwko dyktaturze Fidela Castro, a uchodźcy są witani w Ameryce niemal jak bohaterowie. Reszta Kubańczyków - w sumie 11 milionów mieszkańców, którzy zostali w kraju - jest zaliczana do, jak to określił George W Bush, „krajów osi zła” i traktowana jako potencjalni terroryści.

W wyniku zakwalifikowania Kuby w poczet tzw. krajów rozbójniczych, kubańskim artystom i muzykom, którzy mieli już wyznaczone daty wizyt w Stanach Zjednoczonych, odmówiono wjazdu do kraju. Także większość programów wymiany amerykańsko-kubańskiej (w tym także i ten, dzięki któremu znalazłam się na Kubie) została rozwiązana, a ich organizatorom nie przedłużono licencji. I chociaż żyjemy w państwie, które - jak twierdzi prezydent - jest atakowane przez inne kraje, które zazdroszczą nam wolności, Amerykanom znów nie wolno swobodnie podróżować na Kubę.

W czerwcu 2004 roku prezydent Bush wprowadził nowe prawo, które ogranicza obywatelom amerykańskim pochodzenia kubańskiego możliwość odwiedzenia kraju swoich przodków. Podczas gdy wcześniej mogli podróżować na Kubę przez 30 dni w roku i zabierać ze sobą 3000 dolarów jako wsparcie materialne dla ich rodzin, teraz wolno im wyjeżdżać tylko na 15 dni co trzy lata i wwozić ze sobą zaledwie 300 dolarów.

W efekcie straciłam, niestety, kontakt z większością moich kubańskich przyjaciół - być może z racji odległości, która zwiększyła się drastycznie wraz z gigantyczną podwyżką opłat za rozmowy telefoniczne (i to tylko pod warunkiem, że linie telefoniczne w ogóle działały), a może z powodu trudności z wysyłaniem poczty elektronicznej na wyspę lub gwałtownym spadkiem liczby kurierów udających się w tym kierunku.

W swoim ostatnim liście, wysłanym w lutym 2002 roku, Dinora napisała mi o śmierci Abueli i chociaż wcześniej narzekała bez przerwy, że musi się nią zajmować, teraz bardzo odczuwała jej brak. Inną wielką nowiną w życiu Dinory było to, że została wegetarianką, być może pierwszą w nowożytnej historii Kuby.

- To ty mnie zainspirowałaś - pisała. - Czuję się teraz zdrowsza i rzadziej boli mnie głowa. Ale wciąż nie mam pomysłu, co mogłabym ugotować z warzyw. Proszę, przyslij mi

kilka przepisów!

Od czasu do czasu dostawałam maile od Ludmiły, która ukończyła obydwie kursy - japońskiego i księgowości, a teraz uczy się francuskiego i bierze udział w szkoleniu przygotowującym do pracy na statkach pasażerskich. Podobnie jak jej kraj, najbardziej oddana socjalizmowi spośród wszystkich moich kubańskich znajomych robi, co w jej mocy, by utrzymać się na powierzchni.

Najbardziej regularny kontakt utrzymuję z tymi, którzy tak jak ja opuścili Kubę - koleżankami z Toronto i Berlina. Gerardo, przyjaciel Alfreda, który wyjechał do Belgii na wizie turystycznej, mieszka teraz gdzieś w Hiszpanii, a Mamito - najlepszy kumpel mojego męża z filharmonii - uciekł niedawno do Miami.

Siostrzeniec Alfreda, który urodził się dwa miesiące przed moją ostatnią wizytą na Kubie, ma już cztery lata i zaczyna mówić po angielsku. Przez telefon siostra Alfreda, która sama biegle włada językiem Szekspira, daje małemu sygnał po angielsku, a wtedy Bruno zaczyna gaworzyć w tym samym języku.

Niestety, siostra Alfreda, która nie mogła znaleźć wspólnego kąta dla siebie i swojego męża, rozwiodła się z nim.

Dziadek Alfreda, ten sam, który opowiadał mi o innych rodzajach szczęścia, zmarł w listopadzie 2004 roku. Na szczęście reszta rodziny ma się dobrze i za każdym razem, gdy Alfredo dzwoni do domu, mówią, że nic się nie zmieniło, utwierdzając go tym samym w przekonaniu, że Kuba wciąż jest pogrążona w stagnacji.

Kilka miesięcy temu koleżanka, która jest właścicielką jednego z nielicznych biur podróży oferujących legalne wycieczki na Kubę, wróciła z wyspy ze zdjęciami rodziny Alfreda i krótkim filmem nagrany cyfrową kamerą, który przesłała nam mailem. Na filmie widać siostrzeńca Alfreda, który bawi się z mamą nadmuchiwana, czerwoną piłką, i siedzącą w bujanym fotelu babcię, ubraną tradycyjnie w swój ulubiony strój - letnią sukienkę w brązowe, pomarańczowe, żółte i białe pasy. Włosy ma starannie upięte i przewiązane jedwabną chustą w kwiaty, która spada jej na ramiona i plecy. Wygląda pięknie, zwiewnie i - pomimo swojej wirtualnej obecności na ekranie monitora - bardzo odlegle.

- Dile algo. Powiedz coś - odzywa się głos gdzieś z głębi kadru, a po chwili babcia, bujając się dostojnie w fotelu, rzeczywiście zaczyna mówić:

- Alfredzie, mój wnuku. Bardzo cię Kocham. I tęsknię za tobą. Mam nadzieję, że wkrótce nas odwiedzisz - przerywa na chwilę, po czym, zachęcona znów niewidzialnym głosem, mówi dalej: - U nas wszystko po staremu... Dajemy sobie radę. Czasami bywa ciężko, ale sam wiesz, jak jest... - w tym momencie film kończy się równie gwałtownie, jak

się zaczął.

Ale ja wiem, co babcia Alfreda chciała w tym momencie powiedzieć, przed czym się zawahała, a może ktoś, kto nagrywał ten film, przerwał jej w pół słowa. To dwa wyrazy, które pozostają niezmiennie, bez względu na wszystko: Es Cuba.

## **Podziękowania**

Na samym wstępie chciałabym podziękować Billowi Jonesowi, profesorowi z mojego liceum Dulaney High School w Ti-monium w stanie Maryland, który od początku zachęcał mnie do rozwijania mojej pisarskiej pasji.

Jestem wdzięczna bibliotekom publicznym - szczególnie w Mill Valley i Sausalito - moim „kwaterom głównym”, w których powstała większość tej książki.

Dziękuję Michelle Hamilton, Michelle Snider Lunie, Miji Riedel, Amrze Stafford i Tarze Weaver za wnikliwe przeczytanie i cenne uwagi do pierwszej części Es Cuba. Muchas, muchas gracias dla Bridgette Novak nie tylko za dobre chęci, ale za przeczytanie całych 670 stron mojej książki przed oddaniem jej do właściwej redakcji, a potem poświęcenie mi 5 godzin w pewne niedzielne popołudnie na cięcie zbędnych fragmentów. Dziękuję Jeanowi Paikowi Schoenbergowi, Danie Sachs i Bradowi Newshamowi za pisemne wsparcie. Dziękuję Debo-rze Fleischer za lokalny wywiad w kwestii smaków lodów i wyposażenia samolotów. Dziękuję Olivii Boler za wszystkie nasze, pełne współczucia, sesje. Dziękuję Markowi Bakerowi za przyjaźń i za to, że co roku swoim studentom specjalizującym się w literaturze podróżniczej na Uniwersytecie Santa Cruz podsuwa fragmenty mojej książki. Dziękuję także Larry’emu Ha-beggerowi i Tomowi Millerowi za opublikowanie fragmentów Es Cuba, czym zachęcili mnie do napisania całej reszty.

Dziękuję mojemu tacie, Berniemu Aschkenasowi, który namówił mnie, żebym zadzwoniła do wydawnictwa Traveler’s Tales z pytaniem, czy mogę wysłać im próbkę tekstu po upływie wyznaczonego terminu. Dziękuję Ci, że po każdej naszej rozmowie mówiłeś: - Musisz to zapisać. I dziękuję Ci za to, kim dla mnie jesteś - przyjacielem, cierpliwym słuchaczem, głosem rozsądku i spokoju w świecie, który ma w sobie wszystkie cechy poza tymi dwiema.

Dziękuję mojej mamie, Sherry Gooltz, która zrobiła mi pierwsze zdjęcie do paszportu, gdy skończyłam pierwszy miesiąc życia, a potem - kiedy byłam w szkole podstawowej - czytała do snu książki z serii O. Henry Prize Stories i zachęcała, bym już wtedy uczyła się języka hiszpańskiego. Dziękuję Ci za Twój nieśmiertelny, bezwarunkowy optymizm.

Dziękuję również za wsparcie mojej babce, Ruth Gooltz.

Dziękuję Brooke Warner, mojemu wydawcy, za to, że nigdy nie wahała się jej opublikować. Podziękowania kieruję także do całego zespołu redakcyjnego wydawnictwa Seal Press - Ma-risy Solis (szefowej redakcji) i Wendy Taylor (redaktor prowadzącej).

Szczególne podziękowania należą się Alfredowi - za to, że po kilku dniach od naszego poznania zadałeś mi pytanie: - A kiedy napiszesz coś o mnie? I za wszystko, co zdarzyło się

później.

Na samym końcu chciałabym gorąco podziękować wszystkim moim kubańskim przyjaciółom, którzy podzielili się ze mną historiami swojego życia. Nie mniej wdzięczna jestem też samej Kubie - odważnemu, suwerennemu państwu, które walcząc o przetrwanie, wciąż utrzymuje się na powierzchni, wbrew niezliczonym przeciwnościom losu.

CRACOVIENS!»

Miłośnikom literatury faktu polecamy wybrane tytuły z serii „czas i ludzie”:

Yehuda Koren, Eilat Negev Sercem byliśmy wielcy. Niezwykłe losy żydowskiej rodziny karłów ocalałej z holocaustu.

Pasjonujący dokument o życiu pewnej żydowskiej rodziny, w której siedmioro z dziesięciorga rodzeństwa urodziło się jako karły. Uzdolnienia muzyczne i teatralne odziedziczone po ojcu pozwoliły im założyć trupę i koncertować po Europie Środkowej. Gdy wybuchła wojna, trafili do obozu w Oświęcimiu, gdzie stali się przedmiotem eksperymentów „anioła śmierci” - Josefa Mengele. Mimo że Ovitzowie uniknęli śmierci i cieszyli się nawet pewnymi przywilejami, to jednak rok spędzony w obozie był dla nich koszmarnym przeżyciem.

Narzeczone Allacha

, Te rro ry s t k i - sa mobó jeżynie z Czeczenii

Julia Juzik

Narzeczone Allacha. Terrorystki-samobójczynie z Czeczenii

Julia Juzik - moskiewska dziennikarka „Newsweeka” - postanowiła odpowiedzieć na pytanie, co sprawia, że kobiety stają się terrorystkami. Narazając się na wielkie niebezpieczeństwo pojechała do Czeczenii i przez kilka miesięcy prowadziła wywiady z przyjaciółmi i krewnymi samobójczyń, który dokonały zamachów w Rosji.

Wynik tych dociekań jest porażający: większość z zamachowczyń nie skazała się dobrowolnie na śmierć, lecz były bezwolnymi ofiarami.

Opisując losy tych kobiet, Julia Juzik odsłania równocześnie kulisy głośnych zamachów terrorystycznych na Teatr Dubrow-ka, Nord-Ost, lotnisko Tuszyno, hotel National i moskiewskie metro.

Roj Miedwiediew Zores Miedwiediew

Nieznany Stalin

Žores A. Miedwiediew Roj Miedwiediew Nieznany Stalin

„Nieznany Stalin” jest pierwszym szczegółowym studium opartym na lawinie materiałów ujawnionych po otwarciu tajnych archiwów sowieckich po rozpadzie Związku



Radzieckiego. Dostęp do nieznanych dotąd dokumentów pozwolił autorom poddać pod wątpliwość czy wręcz obalić wiele z wcześniejszych teorii na temat Stalina. Zachowując styl popularnej publicystyki, autorzy starają się odsłonić nieznane karty w życiorysie krwawego dyktatora, a także w historii XX wieku.

Ilja Zbarski

W cieniu mauzoleum

Wstrząsające wspomnienia konserwatora zwłok Lenina

Ilja Zbarski

W cieniu mauzoleum. Wstrząsające wspomnienia konserwatora zwłok Lenina

Książka napisana przez syna Borysa Zbarskie-go - chemika, który nadzorował balsamowanie zwłok Lenina i który przez długie lata odpowiadał za ich wizerunek i stan. Ilja również był biochemikiem i przez długie lata pracował wraz z ojcem. W swojej relacji spisanej u schyłku życia opowiada o chorobach i przyczynach śmierci Lenina oraz okolicznościach powstania mauzoleum. Opisuje dzieje zwłok wodza rewolucji, problemy z utrzymaniem ich w nieskazitelnym stanie, polityczny kontekst kultu Lenina. Przedstawia losy swojej rodziny w czasie wojny i dramatycznych latach stalinowskiego terroru. Przywołuje historie związane z balsamowaniem innych komunistycznych dostojników: Stalina, Georgija Dimitrowa, Klementa Gott-walda, Ho Chi Minha.

Cioma Schönhaus Falszerz paszportów. Niezwykłe losy żydowskiego grafika w ogarniętym wojną Berlinie

Wspomnienia młodego żydowskiego grafika, który w sercu Berlina fałszował setki dokumentów ułatwiających Żydom przetrwanie lub ucieczkę z nazistowskich Niemiec. Równie inteligentny, co lekkomyślny zachowywał się na co dzień tak, jakby był zamożnym aryjczykiem - odwiedzał drogie restauracje, kupił jacht, którym pływał po jeziorze Wannsee. Kiedy skończyły się pieniądze ze sprzedaży rodzinnego dobytku, podjął współpracę z organizacją podziemną, wykorzystując swój talent plastyczny.

Nie stroniąc od autoironii, autor opowiada o najbardziej spektakularnych akcjach, kolejnych kryjówkach, wreszcie o swojej brawurowej ucieczce rowerem do Szwajcarii.

Detlef Giirtler Multimilionerzy.

Od Krezusa do Billa Gatesa, czyli jak powstawały wielkie światowe fortuny

Barwna opowieść o najbogatszych ludziach i dynastiach, które pojawiły się w ciągu 3000 lat. Autor ukazuje metody zdobywania wielkich fortun i warunki decydujące o ich powstawaniu, a zarazem wpływ multimilione-rów na dzieje świata.

Prezentuje historie i sylwetki najbogatszych ludzi XIX wieku, czyli Rotszyldów,

potentata finansowego XX wieku: Rockefellera, mega-bogacza XXI wieku - Billa Gatesa. Opowiada o Krezusie, o bogaczu antyku Cezarze, mówi o bogactwach islamu i średniowiecznych kupców Hanzy, przedstawia bogacza ery kolei żelaznej - Kruppa oraz światowych potentatów: Siemensa i Edisona, Henry'ego Forda, Onassisa, Donalda Trumpa.